

CZARNA SERIA
THRILLER



Anders de la Motte

**JESIENNA
ZBRODNIA**

Anders de la Motte

**JESIENNA
ZBRODNIA**

Tłumaczyła Iwona Jędrzejewska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: Höstdåd

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcia na okładce: © wingmar / Getty Images, © borchee / Getty Images

Korekta: Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © Anders de la Motte 2017

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-674-6

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Moim chłopcom, którzy pewnego dnia podbiją świat.

Gmina Nedanås i maleńkie Mörkaby, podobnie jak Reftinge w *Końcu lata*, to miejsca fikcyjne. Zainspirowały mnie moje rodzinne strony w północno-zachodniej Skanii, w szczególności gminy Bjuv, Åstorp i Svalöv, położone na przepięknych zboczach Söderåsen.

Nieczynne kamieniołomy istnieją w rzeczywistości, jednak podobnie jak ich literacki odpowiednik nie są naniesione na żadną mapę. Natomiast kolejne pokolenia plażowiczów dobrze wiedzą, gdzie leżą, tak jak my wiemy, że woda tam jest tak głęboka, że nawet w samym środku lata nie osiąga więcej niż dwadzieścia stopni Celsjusza.

*The falling leaves
Drift by my window
The falling leaves
Of red and gold.*

*I see your lips,
The summer kisses,
The sunburned hands
I used to hold.*

*Since you went away
The days grow long
And soon I'll hear
Old winter's song*

*But I miss you most of all
My darling
When autumn leaves
Start to fall.*

Johnny Mercer

*Come little leaves,
Said the wind one day,
Come over the meadows
With me, and play;
Put on your dresses
Of red and gold,
For summer is gone
And the days grow cold.*

George Cooper

Prolog

Woda rozpoczynała swą podróż gdzieś w mrocznej głębi zbocza. Wyływała z podziemnego źródła, a ciśnienie wypychało ją w górę. Metr po metrze przedzierała się przez błoto i skały. Zbocze miało ponad dwieście metrów wysokości i bez pomocy ludzkiej ręki woda szybko traciła impet. Zawracała w dół i znajdowała drogę wśród porastających wzniesienie leśnych konarów, by skończyć swą podróż jako strumyk w jednym z głębokich wąwozów wznających się w zbocze. Na początku dwudziestego wieku, w samym środku zbocza, powstał kamieniołom. Diabaz i amfibolit, czarne twarde skały, jak ulał pasowały na nagrobki.

Człowiek chciwie wwiercał się i wznął coraz głębiej i głębiej, aż pewnego dnia wał odciął wodzie przejście i wskazał jej prostszą drogę ku powierzchni. A woda w podzięce tryskała z taką siłą, że aż trudno było to sobie wyobrazić. Jakieś pół roku później wyłączono pompy, pozabierano maszyny i opuszczono kamieniołom.

Z czasem miejsce to uległo zapomnieniu. Woda zamieniła nieckę w małe głębokie jezioro, z trzech stron spowite mrokiem i stromymi skałami, z czwartej zaś zakończone kilkumetrowym brzegiem. Las wchłonął drogę i roślinność znów wzięta w swoje posiadanie cały teren, a jedyne, co pozostało, to zarośnięte szkielety starych baraków i polana tuż przy brzegu, tak gęsto usiana skałami, że najmniejsze nawet życie nie mogłoby się przez nie przecisnąć.

Dopiero w latach sześćdziesiątych, kiedy sprzęt do wyrębu lasów potrzebował nowych dróg, odkryto opuszczony kamieniołom. Mimo iż wstęp do niego był właściwie zabroniony, z czasem i tak powstało tam piękne ukryte kąpielisko dla miejscowej młodzieży. Dobre miejsce, by z dala od zawistnych spojrzeń spotkać się i robić, czego dusza zapagnie.

Nikt już dokładnie nie pamiętał, jak głęboki był kamieniołom. Jedni

mawiali, że głębokość wody dochodziła do dwudziestu metrów, inni – że do czterdziestu. Jeszcze inni twierdzili nawet, że kamieniołom nie ma dna – jeśli to w ogóle możliwe.

Krążyło wiele plotek na temat tego, co się tam kryło. Wraki samochodów, łupy z rabunków, a nawet szczątki dawno zaginionych osób. Plotki wymykały się spod kontroli i dlatego z każdą nową historią obrastały w coraz bardziej nieprawdopodobne opowieści. Jednak wszyscy byli zgodni co do dwóch rzeczy: że czarna woda była tam tak głęboka, iż nawet najgorętsze lato nie było w stanie jej ogrzać do temperatury wyższej niż dwadzieścia stopni; i że stracił tam życie pewien młody człowiek, który postanowił wspiąć się po ścianie skalnej na najdalej wysunięty uskoczek i skoczyć do wody.

Aby wyciągnąć ciało z wody, potrzeba było aż czterech strażaków. Brzeg był stromy i pełen ostrych kamieni, które uniemożliwiały znalezienie oparcia dla stóp. Kilka razy któryś z nich potykał się i tracił równowagę. Tak jakby woda stawiała opór i próbowała przytrzymać ciało.

Kiedy się spojrzano z pewnej odległości, ów młody człowiek wyglądał, jakby spał. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, tak spokojnie i pogodnie, jakby miał się zaraz obudzić. Lecz kiedy jego ciało z głuchym odgłosem wylądowało na noszach, całe wrażenie przysło. Lodowata woda spływała z jego ubrania – i długich blond włosów pokrytych krwią z jego roztrzaskanej głowy – tworząc na noszach różową kałużę, by potem zebrać siły i między odłatkami skał znów powrócić w mroczną głębię.

Woda zawsze szuka najniżej położonego punktu, pomyślał policjant stojący kilka metrów dalej. Przez parę sekund zastanawiał się, czy nie otworzyć notesu, w którym zapisywał swoje wnioski, i na ostatniej stronie nie zanotować również tego. Wprawdzie ta krótka refleksja niewiele miała wspólnego z pracą policjanta, ale pozwalała zachować pewną równowagę. Jednak pozostał na stronie, na której chwilę wcześniej robił notatki.

Miejsce, czas i datę zapisał od razu po wyjściu z radiowozu.

Kamieniołom w Mörkaby, 5:54, 29 sierpnia 1990 roku.

Pod spodem zostawił miejsce na imiona i nazwiska czworga młodych ludzi, którzy bladzi jak kreda stali przed nim, nie patrząc na nosze, choć wzrok mimowolnie ich tam ciągnął. Policjant dobrze ich znał, wiedział, do której klasy chodzą i czy mieszkają na zboczu, czy w dolinie, w miasteczku, a nawet jak mają na imię ich rodzice i gdzie pracują. Lubił tę robotę, tu na miejscu. Znał wszystkich mieszkańców, czuł z nimi pewną wspólnotę. Jednak tego ranka po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie pracuje gdzie indziej.

Zapisał imiona i nazwiska, po jednym w każdej linii.

Alexander Morell

Carina Pedersen

Bruno Sordi

Marie Andersson

Wszyscy w wieku dziewiętnastu lat, tak jak ten młody chłopak na noszach. A jeszcze tak niedawno, bo w czerwcu, razem świętowali zdaną maturę. Jeździli na platformie po miasteczku, pili piwo, gwizdali, machali białymi czapkami z daszkiem i wesoło krzyczeli w przyszłość, która na nich czekała.

Simon Vidje – zanotował policjant na końcu listy i oba słowa podkreślił podwójną czarną kreską. Choć dobrze wiedział, kim była ofiara, było jednak coś przerażającego w zobaczeniu imienia i nazwiska na piśmie. Wszyscy w gminie Nedanås wiedzieli, kim był Simon Vidje. Cudowne dziecko. Jeden na milion. Mógł zawojować świat, zwiedzić fantastyczne miejsca i całe miasteczko zabrać w tę podróż. Tymczasem jego opowieść skończyła się właśnie tutaj, w lodowatej wodzie, w środku niczego, zaledwie kilka kilometrów od jego domu.

Policjant usłyszał trzaski w swoim radiu, a potem ostry, dobrze znany głos przekazujący instrukcje, których odbiór natychmiast potwierdził.

– Tata jest już w drodze, Alex – powiedział potem do jednego z chłopaków z listy, wysportowanego mężczyzny o wyglądzie zapaśnika.

Zamiast odpowiedzi otrzymał krótkie skinienie głową.

Policjant jeszcze raz spojrział na czworo młodych ludzi, zmarszczył czoło i pod ich nazwiskami zaczął coś notować.

„Marie Andersson ma przemoczone ubranie”, napisał. „Ubrania Alexandra Morella, Cariny Pedersen i Bruna Sordiego są suche”.

Być może było to tylko nic nieznaczące spostrzeżenie. Fakt bez jakiegokolwiek znaczenia. Przynajmniej tak w przyszłości będzie twierdził, kiedy jego notatki znajdą się w raporcie policyjnym, a ludzie zaczną pytać, co te kilkanaście słów właściwie znaczą.

Jednak w tamtej chwili policjant jeszcze nie był świadomy tego, co go czeka. Jedyne, co wiedział, to to, że musi wykonać swoją robotę. Zapisać w notesie wszystkie pytania, które postawi, i odpowiedzi, które otrzyma.

– Co się właściwie stało? – zapytał, najdelikatniej jak mógł.

Nikt z całej czwórki nie odpowiedział. Ich spojrzenia przestały walczyć i w końcu skierowały się na nosze, gdzie jasnoczerwona woda wciąż spływała z roztrzaskanej głowy Simona Vidje i kierowała się do najniższego punktu, w czarną głębię.

1.

Jesień 2017

Zbocze jest długie i strome. Przecinają je wąwoz i wysokie drzewa. Jarzące się kolorami liście odbijają się na lakierze samochodu, zanim wyciągną się ku wysokiemu niebu.

– Szwedzkie lato to zupełnie dobra pora na umieranie – lubił mawiać Håkan. – Ta cholerna eksplozja kolorów, zanim nastanie wieczna ciemność, *that's the way to go*. Prawda, Anno?

Następnie zaczynał nucić refren z *Out of the Blue*, udając, że gra na gitarze, dopóki Agnes i ona nie zaczęły się dławić ze śmiechu. Håkan lubił jesień, uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu. Biwakować, wędrować po górach, wspinać się. Byli wtedy młodzi, ona i on, bez żadnych problemów i zmartwień. Malutka jeszcze Agnes huśtała się lekko jak motyl na jego ramionach. Od tamtego czasu minęło już piętnaście lat, a Anna wciąż, bez żadnego problemu, może przywołać te wspomnienia. Piosenkę również.

It's better to burn out, than to fade away.

Tak śpiewał Neil Young.

I dokładnie tak to robił Håkan – gaść powoli, *out of the blue* i *into the black*, a jedyne, co po nim zostało, to szepty w jej głowie.

„Błagam, Anno, pomocy!”

Anna pogłaskała radio na kanale plotkarskim, który wybrała Agnes, zanim jeszcze całą swoją uwagę przeniosła na telefon. Jadą już bardzo długo, prawie siedem godzin, siedząc razem w jednym samochodzie. Mimo to konwersacja na linii matka–córka nie trwa dłużej niż dziesięć minut. Anna obejmuje kierownicę i wbija wzrok w drogę. Nie widzi drzew, nieba i otaczających je kolorów. Jaskrawej czerwieni, złota i błękitu.

Nienawidzi jesieni. Nienawidzi.

Ze stacyjki zwisają trzy klucze. Jeden od willi w Äppelviken, która już nie jest ich domem. Drugi to zapasowy klucz do mieszkania Håkana, właściwie to powinien być oddany już zeszłej zimy, kiedy agencja nieruchomości opróżniała te smutne, małe pokoiki. Klucz numer trzy jest do jej gabinetu na komendzie w Sztokholmie. Wie, że powinna była go zwrócić przedwczoraj, razem z wejściówką, a jednak tego nie zrobiła.

„Bo jak zaczniesz wyjmować po kluczu z pęku, to już pójdzie”, szepcze Håkan. „Będziesz musiała wziąć wszystko. Nie tylko klucze, ale i zamki, i drzwi, i wspomnienia”.

Anna mruczy, żeby się zamknął.

Przyroda porastająca zbocze w górnej jego części jest zupełnie inna niż w dole. Otwarty krajobraz zastąpiły drzewa iglaste i małe pagórkowate łąki, otoczone grubym kamiennym murem. Kilka krów gapi się, kiedy przejeżdżają obok. Jakby uważały je za intruzów. Główna droga, która biegnie po grzbiecie zbocza, ma wprawdzie linię oddzielającą pasy ruchu, a jednak jest tak wąska i kręta, że Anna automatycznie zwalnia, kiedy widzi nadjeżdżający samochód. Kiedy zbliżają się do skrzyżowania, GPS zawodzi, i Anna domyśla się dlaczego.

Roślinność po obu stronach wąskiego zjazdu została niedawno wycięta, a droga wysypana ciemnobrązowym świeżym żwirem. Natomiast blaszana tablica z napisem „Tabor” jest stara i powyginana, jakby ktoś zmiął ją w dłoni, niczym kartkę, a potem próbował rozprostować.

Agnes trzyma Milo na kolanach, i kiedy w tylnym lusterku samochodu droga znika, jej biały terier opiera się łapami na drzwiach i przyciska nos do szyby. Niecierpliwie macha ogonem, tak jakby znał to miejsce, choć to oczywiście niemożliwe, bo nigdy przedtem nie postawił łapy w Skanii. Agnes z pochyloną głową wędruje kciukami po ekranie telefonu.

Anna zerka na zegarek. Samochód transportowy jest jakąś godzinę

drogi za nimi. To przeprowadzka, nie ucieczka – powtarza w myślach, chyba już po raz piąty z kolei.

„Oczywiście”, śmieje się Håkan w jej głowie. „I kogo ty próbujesz oszukać?”.

Anna jeszcze pogłośnia radio, żeby tylko go zagłuszyć. Poznaje tę piosenkę, jedną z niewielu nowych, którą naprawdę lubi.

– Ta jest niezła! Zara Lah-hrsson – mówi. Głównie po to, żeby przełamać ciszę, ale natychmiast wpada w pułapkę: zacina się na nazwisku, a Agnes, nie podnosząc wzroku znad telefonu, wydaje jeden z tych swoich dźwięków, coś pomiędzy westchnieniem a parsknięciem.

Jej szesnastoletnia córka zna wiele sposobów na ukaranie jej. Ufarbowanie włosów na różowo-czerwony kolor, kolczyk w nosie, pięć kolczyków w prawym uchu. Obcisłe dżinsy, mroczny makijaż, kurtka wojskowa i przydeptane conversy, jednym słowem uniform rebeliantki, który zatarł prawie wszystkie ślady po Agnes z przeszłości. Nie wspominając już o jej ultrafeminizmie, napisie na kurtce „All Cops are Bastards” czy innych minach-pułapkach, na które Anna nie może nadepnąć, kiedy rozmawiają, żeby nie wywołać eksplozji. Jednak żaden z tych sposobów nie jest tak skuteczny jak ten, który Agnes stosuje teraz. Cisza.

Zazwyczaj ludzie otwierają się przed Anną. Håkan zawsze uważał, że coś z niej emanuje. W rzeczywistości chodzi o jej zacinanie się. Anna doskonale wie, że jest prawie niezauważalne, niewielkie połykanie niektórych dźwięków, czasami może to nawet przewidzieć, czasami nie. Nigdy nie było to dla niej problemem, dopóki rodzice nie wysłali jej do logopedy, kiedy była małą dziewczynką. W rezultacie zaczęła unikać mówienia, skupiając się na słuchaniu. Większość ludzi słucha na ogół jednym uchem, a słuchając, już myśli o tym, co powie, kiedy przyjdzie ich kolej, dlatego też często wiele z tego, co usłyszeli, po prostu im umyka. Nie tylko same słowa i ton głosu, ale również niemal niewidoczna mowa ciała. Ruchy, gesty, grymasy, pauzy. Znaki, które czasami sugerują coś innego niż to, co zostało powiedziane. To dzięki nim Anna

bardzo wczesnie zrozumiała, że rodzice chcą się rozwieść. I że Håkan ją zdradził.

Natomiast milczenie Agnes sprawia, że jest świadoma każdego wypowiedzianego słowa, każdej sylaby, która wypływa z jej ust, i to uczucie w jakiś niewytłumaczalny sposób przechodzi do centrum językowego w jej mózgu. Między wargami a mózgiem powstają mikrowyładowania elektryczne, które powodują, że Anna traci pewność siebie. A tego po prostu nie znosi, ponieważ jąkanie się nie ma, do cholery, nic wspólnego z niepewnością.

Oddychaj, oddychaj...

Zerka w lusterko wsteczne, zauważa, że ma ściśnięte szczęki, czego też bardzo nie lubi. Ciemne włosy i oczy odziedziczyła po ojcu, nieco spiczasty nos także, ale tę zgorzkniałą minę definitywnie po matce. Macha głową, żeby to z siebie strząsnąć, i jednocześnie sama siebie próbuje przekonać, że postępuje właściwie, słuchając zaleceń pedagoga szkolnego, żeby wykazać dużą cierpliwość i unikać konfrontacji. Cholernie proste dla kogoś, kto spotyka się z Agnes raz w tygodniu na godzinę i nie musi z nią mieszkać...

Oddychaj...

Las coraz gęściej otacza drogę, a Milo, skomląc nerwowo, skrobie łapami o boczną szybę samochodu. Pies to pomysł Håkana. W czternaste urodziny Agnes Håkan po prostu stanął w drzwiach ze szczeniakiem na rękach. Oboje obiecali sobie, że nigdy nie ulegną stereotypom. Że będą trzymać wspólną linię i nie przybiorą ról dobry glina – zły glina. A jednak tak się stało.

Håkan uchodził za tego wesołego, kochającego tatusia, a jej, zupełnie nie wiadomo dlaczego, przypadła rola powielająca najgorsze stereotypy – tej mało sympatycznej i gderliwej matki, która cały czas zrzędzi o zasadach i odpowiedzialności. I która tak nie lubi zwierząt, że własnej córce nie pozwala na szczeniaczka. Dlatego dała za wygraną – wpuściła kundla do domu tylko po to, by pokazać, że też potrafi być fajna i spontaniczna.

Nie pomogło.

Milo zaczyna popiskiwać, tym razem głośniej, tak jakby w cieniu

drzew zobaczył coś, co tylko pies może dojrzeć. Może zające. Ten głupi kundel ma bzika na ich punkcie i może gonić je godzinami, jeśli uda mu się uciec, co zresztą zdarza mu się dość często. Terier jest hiperaktywny, rozpuszczony i traktuje Annę jak powietrze. Bierze przykład z Agnes. Jednak trzeba mu przyznać, że Agnes kocha nad życie. A ona jego. Czasami Anna łapie się na tym, że jest nawet trochę zazdrosna, choć to przecież niedorzeczne.

Droga prowadzi coraz głębiej w las, mieniąca się kolorami gęstwina liści szczelnie zasłania niebo, i mimo że Anna jeszcze chwilę temu była prawie pewna, że dojechały już na szczyt zbocza, droga wciąż wije się w górę.

– Ciebie też bolą uszy? – pyta Anna najbardziej neutralnym głosem, na jaki ją stać.

– Mhm – mamrocze Agnes pod nosem, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

Po około pięciu minutach skręcają i powoli wjeżdżają na długie podwórze otoczone z obu stron gęstym lasem. Drzewa stoją tak blisko siebie, że odsłaniają tylko mały skrawek nieba. Po lewej widać długą, przechyloną szopę, a po przeciwnej stronie, bliżej zbocza, stoi piękny stary dom z cegły. Przy budynku dostrzegają zaparkowany ciemny samochód. Kiedy podjeżdżają bliżej domu, widzą, między parterem a pierwszym piętrem, pomalowany na biało kawałek ściany w kształcie prostokąta, na którym wyryta jest data: „1896 rok”, a pod spodem ozdobny napis: „Twierdza Mistrza”.

Samo miejsce i dom wyglądają nawet lepiej niż na zdjęciach, a jednak Anna czuje jakieś podenerwowanie. Umiejscowione gdzieś w przeponie, niejasne uczucie niepokoju, którego nie poznaje ani nie potrafi nazwać.

Kiedy zwalniają, popiskiwanie Milo przechodzi w pełne podniecenia szczekanie. Pies zaczyna dziko drapać łapami o szybę i rzucać się, jakby chciał ją wybić.

– Co się z tobą dzieje? – Agnes próbuje go przytulić, ale pies się wyrывa i znów rzuca się na szybę, na której zostawia plamę śliny. – Uspokój się, Milo! – Agnes chwyta go za obrozę, lecz pies się wyrывa

i szczerzy zęby. Komórka Agnes wpada między siedzenia. – Milo, wstydz się!

Jej podniesiony głos powoduje, że Milo się uspokaja. Zsuwa się na podłogę i chowa głowę za torbą ze sprzętem fotograficznym.

– Nigdy tak się nie zachowywał – stwierdza Agnes nieco płacząc.
– Nigdy!

– Może chce mu się siku – odpowiada Anna. – Wypuść go, a zobaczysz.

Ale kiedy drzwi samochodu się otwierają, pies prześlizguje się między nogami Agnes i znika między drzewami.

– Milo, Milo, chodź tutaj! – Agnes zdejmuje torbę i biegnie za psem, aż żwir rozpryskuje się jej pod stopami.

Anna stoi przy samochodzie. Nie ma dzisiaj ochoty ganiać za Milo. Poza tym to przecież pies Agnes, nie jej.

Słyszysz dochodzące z lasu szczekanie, a zaraz potem nawoływania Agnes. Nie może się oprzeć myśli, że dobrze jej tak. Głupi pies.

Spogląda na zaparkowany samochód. Świeżo umyty passat, najnowszy model. Żadnych fotelików dziecięcych, pudełek po McDonaldzie czy osłon przeciwsłonecznych z Kubusiem Puchatkiem. Jedynie puszka wody Ramlösa w zagłębieniu między siedzeniami, która wskazuje na to, że samochód ma właściciela.

Anna przeciąga się i bierze kilka głębokich wdechów. Jesienne powietrze jest rześkie i czyste, pachnie ziemią, a wilgotne liście niczym całun spowijają nieprzyjemne uczucia i zastępują je pełnym napięciem oczekiwaniem. Już są na miejscu. W swoim nowym domu. Anna jeszcze raz utwierdza się w przekonaniu, że Tabor jest jeszcze ładniejszy niż na zdjęciach, co mimo ponurego nastroju Agnes i próby ucieczki psa jest całkiem niezłym początkiem tej... „ucieczki”, szepcze Håkan, zanim Anna zdąży go powstrzymać.

Ogród jest starannie zagrabiony, droga dopiero co wysypana żwirem, a okna, drzwi i ściany domu świeżo pomalowane. Kilka jaśniejszych dachówek oznacza, że były niedawno wymieniane. Ten stary piękny budynek z cegły ma dwoje drzwi. Jedne duże, dwuskrzydłowe, tuż za rogiem – to główne wejście. Jednak stalowa

barierka zamknięta na dużą kłódkę świadczy o tym, że od dawna są nieużywane. Drugie drzwi znajdują się po lewej stronie budynku, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie stoi Anna. Są zielone. Prowadzą do nich metrowej szerokości wytarte kamienne schody. Zanim Anna zdąży się ruszyć z miejsca, drzwi się otwierają i z domu wychodzi mężczyzna mniej więcej w jej wieku.

Około metra osiemdziesięciu wzrost, w okularach z czarnymi oprawkami. Ma na sobie marynarkę, krawat i dżinsy zamiast spodni od garnituru.

– Ty musisz być Anna Vesper, prawda? – pyta i wyciąga rękę na powitanie. – Lars-Åke Gunnarsson. Gunnarsson jak moja kancelaria prawna. Ale mów mi Lasse, jak wszyscy.

Anna poznaje niski głos Gunnarssona z wczorajszej rozmowy telefonicznej, jednak coś jej w nim nie pasuje. Mów-mi-Lasse ma taką minę, jakby odgadł jej wątpliwości.

– Spodziewałaś się pewnie kogoś starszego, prawda? Nie ty jedna. Ludzie zaczęli mylić mnie z ojcem, zanim jeszcze skończyłem trzydzieści lat. To pewnie dlatego, że przez wiele lat wspólnie prowadziliśmy kancelarię i mieliśmy ten sam numer telefonu.

Mężczyzna uśmiecha się, pokazując zęby, które byłyby nienaturalnie symetryczne i porcelanowo białe, gdyby jego kancelaria znajdowała się w Sztokholmie, a tak są zupełnie normalne jak na mężczyznę zbliżającego się do pięćdziesiątki.

– Teraz tata gra w golfa na Majorce, a ja doglądam interesu.

Znów się uśmiecha, więc Anna odwzajemnia mu się tym samym.

Właściwie to nieszczęśliwie lubi adwokatów i prawników, ma już wystarczająco dość swojego własnego. Ale Mów-mi-Lasse sprawia, że trudno go nie polubić. W dodatku z tą nienaturalnie zaczesaną na bok grzywką jest podobny do postaci z obrazka na tubce z pastą kawiorową.

Anna rzuca okiem na jego lewą dłoń. Nie ma obrączki ani najmniejszego śladu po niej. Na wpół nieświadomie przesuwając kciukiem po wewnętrznej stronie swojego palca serdecznego lewej ręki. I wydaje jej się, że choć minęły już prawie dwa lata, wciąż czuje

małe wgłębienie.

– To miło, że chcecie mieszkać tutaj, a nie w samym miasteczku. Tabor to miejsce szczególne. – Mów-mi-Lasse uśmiecha się i robi ręką ruch w kierunku budynku, tak jakby był pracownikiem agencji nieruchomości, a nie prawnikiem rodzinnym. – Nie pamiętam, czy ci mówiłem przez telefon, ale został zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku jako dom misyjny. Legenda głosi, że pewien pastor wyleczył chore dziecko właściciela ziemskiego i w dowód wdzięczności dostał kawałek ziemi i materiał na budowę domu. Ale to tylko legenda. Kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku odrodzenie religijne przybrało na sile, domy misyjne zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu, w każdej, nawet najbardziej zapadłej dziurze. Tu w gminie były aż trzy, ale do dzisiaj pozostał tylko Tabor. Wejdziemy do środka?

– Muszę chyba poczekać na córkę... Pies jej uciekł.

Anna słyszy z lasu szczekanie psa i nawoływania Agnes. Może powinna sprawdzić, co się tam dzieje, i zaoferować pomoc, jednak, szczerze mówiąc, wcale jej nie przeszkadzała krótka przerwa od Agnes i jej pasywno-agresywnego zachowania.

– Może najpierw przejdźmy do kuchni. Drzwi wejściowe zostawię otwarte, żeby córka mogła do nas dołączyć – proponuje Mów-mi-Lasse, tak jakby czytał w jej myślach.

Anna waha się przez chwilę.

– Świetnie – odpowiada z uśmiechem.

Wchodzą do przedsiionka z kilkoma parami niskich drzwi i kierują się na lewo do kuchni. W środku Tabor jest równie piękny jak na zewnątrz. Grube ściany z cegły, belki pod sufitem, stara podłoga z desek i okna ze szprosami. Na środku kuchni pali się kominek. Mów-mi-Lasse musi tu być już od jakiegoś czasu, bo w pomieszczeniu rozchodzi się przyjemne ciepło i zapach drewna, a cały dom emanuje kojącą energią.

– Dom i ziemię, zaraz po drugiej wojnie światowej, zakupiła rodzina Vidje. Ruchy religijne już dawno wtedy wybrzmiały i budynek stał pusty. Kawy? – Mężczyzna wskazuje na nowy ekspres.

– Dziękuję, bardzo chętnie.

Nalewa kawy do dwóch kubków z Höganäs, które wyjmuję z szafki.

Anna się rozgląda. Dochodzi do wniosku, że kuchnia też musiała być odnowiona, podobnie jak dom z zewnątrz. Drzwiczki do szafek i blaty wyglądają wprawdzie na wiekowe, ale oprócz aromatu kawy wyraźnie czuć zapach farby i kleju.

– Przez wiele lat Tabor służył za mieszkanie dla robotników. Rodzina Vidje posiadała, podobnie jak teraz, lasy i sady, więc zatrudniano sezonowych pracowników, którzy musieli gdzieś mieszkać.

Anna upija z kubka łyk kawy i spogląda przez okno. W lesie panuje cisza i spokój. Zaczynają ją gryźć wyrzuty sumienia, rodzi się w niej niepokój. Dlaczego nie pomogła Agnes złapać tego głupiego kundla? Przecież to będzie teraz ich nowy dom. Ich nowy początek.

– A później, przez ponad dwadzieścia lat, służył jako atelier – kontynuuje Mów-mi-Lasse.

Anna uświadamia sobie, że musiała stracić kawałek z jego opowieści.

– O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że mieliście w domu jednego Karla-Jo, prawda?

Anna kiwa głową.

– W pokoju gościnnym u moich rodziców wisiła jedna z jego litografii. Czasami tam się zakradałam, siadałam przed obrazem i wpatrywałam się w niego, bo tak mi się podobał. – Anna wstaje, bierze wdech.

„Karl-Jo też się jąkał”, słyszy w głowie słowa ojca. „Więc jak widzisz, to w niczym nie przeszkadza”.

– Co się stało z tą litografią? – pyta Mów-mi-Lasse. – Dzisiaj może być sporo warta.

Anna wzrusza ramionami. – Kiedy miałam dziesięć lat, rodzice się rozwiedli. Tata zabrał obraz i już nigdy go nie widziałam.

Ojca też nie, dodaje w duchu.

– Szkoda. – Prawnik wciąga powietrze przez zęby. – Jak pewnie wiesz, Karl-Jo zalicza się do najwybitniejszych artystów swego

pokolenia, więc ceny za jego prace stale rosną. W zeszłym roku jego obraz sprzedał się w Bukowskim za prawie cztery miliony koron.

Anna słyszy motor i wygląda przez okno. Samochód terenowy zbliża się wolno w kierunku podwórza. Stary model, ma pewnie jakieś dziesięć, piętnaście lat. Zatrzymuje się na skraju lasu, gdzie znikli Agnes i pies. Z oddali słychać szczekanie Milo. Kierowca wyskakuje z samochodu, ale porusza się tak szybko, że Anna nie zdąży mu się przyjrzeć, nim ten zniknie między drzewami. Ma na sobie płaszcz nieprzemakalny, kalosze i czapkę z daszkiem.

– Pewnie widziałaś na planie, że w domu są dwie sypialnie, pralnia, gabinet i salon na parterze, ale zacznijmy od góry, od sali kazań.

Wydaje się, że Mów-mi-Lasse nie zauważył samochodu. Otwiera jedno z wielu drzwi w przedsionku, za którymi kryją się strome schody. Z pokoju na piętrze pada mocne światło. Niemal zupełnie zamazuje górne stopnie. Prawnik robi zapraszający gest, ale Anna się waha. Minęło już prawie dziesięć minut, odkąd Milo zniknął. Absolutnie powinna iść i zobaczyć, co się dzieje z Agnes, szczególnie teraz, kiedy pod lasem zatrzymał się jakiś samochód. Znowu słyszy szczekanie psa.

– Chwileczkę – mówi, kierując się do drzwi wyjściowych, i staje na progu. Mruży oczy i próbuje coś zobaczyć między drzewami.

Dostrzega jakiś ruch. To Agnes wychodzi z lasu. Obok niej idzie mężczyzna w płaszczu nieprzemakalnym. Trzyma Milo pod pachą, a pies, zamiast się wyrwać, jak to robią zazwyczaj teriery, jest zupełnie spokojny. Zatrzymują się przy samochodzie i prowadzą ożywioną rozmowę. Po chwili Agnes otwiera torbę, wyjmując aparat fotograficzny i zaczyna robić zdjęcia mężczyźnie i psu.

– Agnes! – Anna właściwie nie wie, dlaczego ją woła, i zanim jeszcze zdąży zamknąć usta, już żałuje swojej decyzji.

Ku jej zdziwieniu Agnes podnosi rękę i macha do niej. Robi kilka zdjęć i razem z mężczyzną kierują się w stronę do domu.

Mniej więcej w połowie drogi mężczyzna stawia Milo na ziemi. A pies, zamiast biec prosto w las, wlepia w niego wzrok i skacze radośnie wokół jego lewej nogi. Jest zabłocony, ma otwarty pysk

i wywieszony język. Agnes cały czas ich fotografuje. Kiedy podchodzą bliżej, Anna zaczyna rozumieć dlaczego. Mężczyzna ma dość surowy wygląd, co razem z czapką z daszkiem, płaszczem nieprzemakalnym i flanelową koszulą w kratkę czyni z niego szwedzką wersję Marlboro Mana. Wygląda na mniej więcej sześćdziesiąt lat, ma dobrze zbudowane ciało i lekkość w ruchach, jakby był przyzwyczajony do życia w otoczeniu natury. Coś w jego spojrzeniu mówi Annie, że jest znacznie starszy, niż się wydaje.

– Klein – przedstawia się mężczyzna, kiedy podchodzą do drzwi.

Ma surowy, mocny uścisk. Szorstkie dłonie. Twarz gładko ogoloną, tak jak jej dziadek, bez cienia zarostu.

– Popatrz na Milo, mamó. – Agnes wskazuje na teriera, który siedzi przy lewej nodze Kleina, ze wzrokiem wbitym w mężczyźnię.

– Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam.

Jej ton głosu zadziwia Annę. Agnes brzmi niemal... radośnie.

– Ma pan dobrą rękę do psów – mówi Anna.

Klein kiwa głową. Jego twarz jest nienaturalnie sztywna, prawie jak maska.

– A więc to pani zastąpi Henry'ego Morella. – Jego wypowiedź to raczej stwierdzenie niż pytanie. Mężczyzna wygląda, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale Mów-mi-Lasse mu przerywa.

– Dobrze, że już jesteś, Klein! Właśnie chciałem Annie pokazać salę kazań. – Prawnik odwraca się do Anny. – Klein jest zarządcą majątku Elisabet Vidje. Jeśli będzie jakiś problem z domem albo będziecie czegoś potrzebowały, dzwońcie do niego. Änglaberga leży zaledwie kilometr stąd, przy głównej drodze, więc Klein może tu być niemal natychmiast, prawda, Klein?

Klein robi grymas, który sugeruje odpowiedź twierdzącą, potem patrzy w głąb lasu, a Mów-mi-Lasse przedstawia się Agnes. Anna słyszy, jak oznajmia, że ma syna w jej wieku, a potem zaprasza do środka.

– Uważajcie na schodach, są strome. – Mów-mi-Lasse idzie jako pierwszy, prowadząc wszystkich po drewnianych schodach na piętro.

Poręcz po jednej stronie jest tak wytarta, że wygląda, jakby była polakierowana. Pod poręczą, na jej ostatnim odcinku, widać owalne plamy po farbach w wielu kolorach i Annie zajmuje chwilę, zanim uświadamia sobie, że to odciski palców.

Światło padające z piętra staje się coraz mocniejsze, a na szczycie schodów jest tak mocne, że cała czwórka musi się zatrzymać na chwilę, żeby przyzwycząić wzrok.

Sala kazań jest niespotykane wysoka i zajmuje całe piętro. Trzy ściany, podłoga, spadzisty dach, kolumny i stare belki pod sufitem pomalowane są na biało, a duże okno w kształcie łuku, po przeciwnej stronie sali, jeszcze bardziej wzmacnia sakralny charakter tego miejsca. Szyby między szprosami wprawdzie nie są kolorowe, ale to w niczym nie przeszkadza.

– Twierdza Mistrza. – Mów-mi-Lasse uśmiecha się i robi ruch ręką.

Dom musi stać na skraju skały, bo z okna nie widać ogrodu, jedynie niebo i korony drzew, a trochę dalej lasy, pola i wioski spowite lśniąca jesienną kołdrą, na całej długości – aż po horyzont.

Anna widziała już ten krajobraz na zdjęciach, które jej przysłał, a mimo to widok wciąż ją zachwyca. To już prawie trzydzieści lat, jak po raz ostatni wkradła się do pokoju gościnnego rodziców, żeby podziwiać litografię. A jednak pamięć natychmiast powraca. Kolory, głębie, i to uczucie spokoju. Poczucie bezpieczeństwa.

– Wow – wzdycha Agnes i wyjmuje aparat, a Anna nie jest pewna, czy to ton głosu córki, światło, czy może eksplozja kolorów panoramy, która się przed nimi rozpościera, chwytają ją za gardło ze wzruszenia.

To był dobry wybór, myśli, podczas gdy aparat Agnes z zapalonym pstryka zdjęcia. Wszystko się ułoży. Powtarzała już te słowa, jak mantrę, wiele razy w ciągu ostatnich tygodni, ale dopiero teraz zaczyna w nie wierzyć.

– Dach Skanii – żartuje Mów-mi-Lasse. – Przy naprawdę dobrej pogodzie za pomocą mocnej lornetki można zobaczyć filary mostu Öresund. A to ponad siedemdziesiąt kilometrów stąd...

Mów-mi-Lasse pozwala Agnes jeszcze przez chwilę pstrykać zdjęcia

krajobrazu, a potem dalej oprowadza je po sali kazań. Wyjaśnia, że te strome schody, którymi właśnie weszli, służyły kiedyś za tajemne przejście dla kaznodziei do mieszkalnej części domu. Potem pokazuje nieco już zachrypnięte, stare, ale wciąż jeszcze działające organy, a następnie główne schody, które prowadzą w dół, do zamkniętych na kłódkę drzwi wejściowych. Aparat Agnes zwraca uwagę na każdy szczegół, a Anna desperacko szuka w sobie poczucia bezpieczeństwa. Wmawia sobie, że to właśnie to miejsce.

– Jak już pisałem w mailu, Tabor to jedna z najatrakcyjniejszych nieruchomości w całej Skanii – stwierdza Mów-mi-Lasse. – W ciągu ostatnich lat Elisabet Vidje dostawała mnóstwo propozycji kupna domu. Szczególnie wytrwały był jeden kupiec z Abby. Ale Elisabet zawsze mówiła nie i to niezależnie od tego, jakie pieniądze jej oferowano. Prawda, Klein?

Mężczyzna nie odpowiada. Tylko stoi, niemalże nieruchomo, tuż przy schodach.

Mów-mi-Lasse i Agnes przechodzą na lewą stronę sali, gdzie kiedyś musiał stać ołtarz, Anna idzie za nimi. Tymczasem Klein zostaje przy schodach i wygląda, jakby nie miał ochoty ruszyć się z miejsca. Milo siedzi przy jego lewej nodze, wpatrzony weń oddanym i pełnym podziwu wzrokiem, którego Anna nigdy przedtem u tego psa nie widziała. Klein milczy. A jednak w jego zachowaniu jest coś, co budzi w Annie jej policyjną czujność. Wygląda, jakby bardzo się wysiłał, żeby pod tą sztywną maską coś ukryć.

– Co to za obraz? – słychać Agnes z drugiego końca sali. – Czy to malarstwo ołtarzowe?

– Nie, powstało później. Znasz Karla-Jo?

– Karla-Johana Vidje? – pyta Agnes takim głosem, jakby poczuła się urażona. – No pewnie. Uczyliśmy się o wszystkich wielkich artystach. Chodzę do szkoły o profilu artystycznym. – Agnes zamyka aparat i rzuca w kierunku Anny pełne wściekłości spojrzenie. – To znaczy chodziłam...

Kwaśny ton głosu Agnes powoduje, że w głowie Anny pryska iluzja poczucia bezpieczeństwa i znów pojawia się ten dręczący niepokój.

– Świetnie. – Mów-mi-Lasse uśmiecha się, nie zważając na ton Agnes. – To pewnie wiesz, że Tabor to było jego atelier aż do czasu choroby, kiedy już nie mógł malować. Na poręczy wciąż jeszcze są jego odciski palców. – I Mów-mi-Lasse wskazuje ręką na schody. – Ten obraz był ostatnim, jaki namalował – kontynuuje, podczas gdy aparat Agnes znów zaczyna pstrykać zdjęcia. – Karl-Jo poważnie zachorował na oczy i prawie zupełnie stracił wzrok. Jednak nie chciał się stąd wyprowadzić, zanim nie skończył tego malowidła. A zajęło mu to prawie dziesięć lat.

Anna podchodzi bliżej. Powoli, niemalże wstrzymując oddech. Malowidło jest ogromne, ma blisko sześć metrów szerokości i trzy metry wysokości. Zajmuje całą ścianę. Przedstawia jezioro otoczone lasem. Głazy i ostre skały zamknięte jesiennymi drzewami pod niespokojnym niebem. Przytłumione barwy, powierzchnia wody prawie zupełnie ciemna. Gdzieś białe krople deszczu niepokoją czarne lustro wody, łamią odbicia koron drzew i skał, tworząc nowe formy. Kształty się zmieniają, kiedy się do nich zbliżyć, i powodują, że woda wydaje się jakby żywa. Anna nie za bardzo zna się na malarstwie, jednak domyśla się, że musi się za tym kryć wielki talent. Zafascynowana, przesuwa się nieco do przodu. Im bliżej podchodzi, tym wrażenie ruchu jest silniejsze, jednocześnie wzbudzając w niej uczucie niepokoju. Robi, co może, żeby je od siebie odpędzić. Nie chce wiedzieć, co ma jej do powiedzenia.

Odgłosy z sali wyrywają ją z zamyślenia, rzuca wzrokiem za siebie. Klein robi kilka kroków i staje przodem do malowidła z rękami złożonymi jak do modlitwy. Ma ściśnięte szczęki, ciemne oczy. Cienka skóra na czole i policzkach uwydatnia jego kości, tak jak u Håkana w ostatnich tygodniach życia.

„Błagam, Anno, pomóż!”.

„Pomóż mi!”.

Niepokój przenika jej pancerz ochronny, wciska się w jej świadomość jak wiejący jesienny wiatr i szepcze jej własnym głosem, że wszystko – ta przeprowadzka, ta nowa praca, to nowe życie jej i Agnes – że wszystko to jedna wielka pomyłka.

2.

28 sierpnia 1990

Bruno i Alex przyjechali pierwsi, zresztą jak zawsze. Alex zaparkował swojego czarnego eskorta przy barierce, która zamykała małą żwirową drogę. Siedzieli jeszcze przez chwilę w samochodzie przy otwartym dachu i szybach, słuchając muzyki.

Mimo iż noce robiły się coraz chłodniejsze, a liście gdzieniegdzie zaczynały już zmieniać barwę na żółtą, lato wciąż jeszcze trwało w swojej krasie. Wydarło jeszcze kilka dni, zanim skapitulowało przed tym, co nieuniknione. A to z kolei oznaczało, że już najwyższy czas na ich coroczny rytuał. Na ostatnią letnią kąpiel w ich tajnym kąpielisku, w kamieniołomie w Mörkaby.

Umówili się z Simonem, że spotkają się o wpół do trzeciej przy barierce, ale z góry wiedzieli, że się spóźni.

– Co za palant. Mieszka najbliżej, a się spóźnia – powiedział Bruno.

– Przecież go znasz – wymamrotał Alex.

Ojciec Bruna lubił mawiać, że ten, kto się spóźnia, nie szanuje czasu innych, toteż Bruno zawsze był pięć minut przed czasem. To dlatego denerwowało go, że Simon jest taki niepunktualny, choć pozostała trójka nie widziała w tym nic złego.

Podkręcili muzykę, wysiedli z samochodu, zapalili papierosa, każdy swojego, i wysikali się pod drzewem. Właściwie to ani Bruno, ani Alex nie palili. Paczka papierosów, która leżała w samochodzie, należała do dziewczyny Alexa, Cariny, ale to też był pewien rodzaj rytuału. Coś, co robili razem w takie leniwe dni jak ten. Kiedy skończyli i niedopałki wcisnęli nogą w ziemię, nie bez oporów, postanowili, że wezmą torby i podejną pieszo te pięćset metrów, jakie dzieliły ich od kamieniołomu.

Wąska żwirowa ścieżka wiła się w górę, torby były ciężkie i Bruno

zdążył się już porządnie spocić, zanim wszystko dotaszczyli do lewej ściany – ich stałego miejsca biwakowania. Alex jak zwykle wyglądał, jakby się w ogóle nie zmęczył. Kiedyś Bruno zazdrościł Alexowi. Jego ciała, które było mu we wszystkim posłuszne, jego pewności siebie i tego, jak inni na niego patrzą. Jednak z czasem Bruno pogodził się z sytuacją. Przecież Alex to jego najlepszy kumpel, a to oznaczało, że trochę tego splendoru spływało i na niego. Sprawiało, że Bruno był niepodważalnym numerem dwa w ich nieoficjalnym rankingu. W każdym razie on tak to widział.

Kiedy zdążyli rozłożyć pierwszy namiot, na polanie w dole pojawił się pomarańczowy crescent Simona.

– Świetny timing – wymamrotał Bruno do Alexa, kiedy go zobaczyli.

Alex wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

– Sorry, ale musiałem zadzwonić do jednego gościa – wyjaśnił Simon zdyszany, kiedy dotarł do kamieniołomu i zrzucił z pleców futerał z gitarą.

– Zabrałeś „Wiadomości Wieczorne”? – zapytał Bruno kwaśnym tonem.

Jego ojciec zawsze używał tego sformułowania, jeśli tylko ktoś się spóźnił, choćby o minutę. Właściwie może i głupio to zabrzmiało, ale było mu gorąco i był w nie najlepszym humorze, a poza tym miał już dość tych idiotycznych wykrętów Simona.

Ku irytacji Bruna Simon to zupełnie zignorował.

– Kiedy będą dziewczyny?

Alex wyrżał z namiotu.

– Carina kończy o czwartej. Marie ma ją zabrać i przyjadą prosto tutaj, więc pewnie najpóźniej o wpół do piątej.

– Okej. A tak na marginesie, to jak tam? Teraz jesteście razem w tygodnie parzyste czy nieparzyste? Nigdy nie mogę się w tym połapać...

W odpowiedzi Alex zaśmiał się szyderczo i pokazał Simonowi środkowy palec.

Bruno też nie chciał być gorszy i zażartował złośliwie:

– To musi być niezła robota, podcierać tyłki staruchom. Carinie to nie przeszkadza?

– To przynajmniej prawdziwa robota – odciął się nieoczekiwanie Alex, czego Bruno zupełnie się nie spodziewał.

– O co ci chodzi? Przecież ja też przez całe wakacje zapieprzałem – zaczął się bronić.

– W restauracji ojca, co? To się nie liczy – stwierdził Alex.

– A niby dlaczego?! – Bruno był wściekły. To przecież Simonowi powinni utrzyć nosa, nie jemu.

– Bo szefem jest twój ojciec – wtrącił się Simon. – Więc to jasne, że cię nie wywali. I raczej marne szanse, że będzie ci kazał podcierać tyłki. Chyba że tyłek twojego fantastycznego starszego braciszka, co?

Alex zarechotał i dał Simonowi kuksańca w ramię. Bruno poczuł, jak robi się cały purpurowy.

– Przynajmniej mój ojciec nie jest stuknięty – zasyczał.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

Simon obrzucił Bruna wściekłym wzrokiem, ale się nie odezwał. Nagły podmuch wiatru poluzował jedną stronę namiotu, która zaczęła trzepotać, za moment jednak wszystko ucichło i nastąpiła przytłaczająca cisza.

– No, dziewczynki, czy nie jesteśmy czasem trochę za starzy, żeby się bawić w czyj-tatuś-lepszy? – rzekł Alex, kiedy cisza trwała już zbyt długo. – Chyba tak się bawiliśmy w przedszkolu? Przecież wiecie, że zawsze z wami wygram, bo Henry jest i silniejszy niż wasi zniewieściali tatusiowie, i do tego ma pistolet – dodał dziecinnym głosem, zanim wyjął z lodówki turystycznej zimne puszki z piwem. – Macie, pijcie! Na zgodę!

Otwierane puszki zasyczały i atmosfera od razu się polepszyła.

– Sorry, że tak... – wymamrotał Bruno do Simona.

– Spoko – odparł Simon. – To ja zacząłem. Poza tym Alex ma rację. – I Simon zrobił gest puszką piwa. – To jasne, że Henry jest groźniejszy niż nasi ojczulkowie razem wzięci. Zobaczcie, jakiego jaskiniowca sobie wyhodował. Byczy kark, łapy jak u goryla, brakuje mu tylko uszu jak liście kapusty.

Simon i Bruno zarechotali.

– Walcie się! – Alex dopił swoje piwo, demonstracyjnie beknął, podniósł się i zgniótł puszkę w dłoni.

– Dobra. To teraz przyniesiemy resztę gratów z samochodu i jeśli szybko rozłożymy namiot Simona, to zdążymy się jeszcze wykąpać, zanim przyjadą dziewczyny.

Kiedy na polanie pojawiły się Carina i Marie z plecakami i torbami plastikowymi, chłopaki właśnie wkładali kąpielówki.

Alex postawił swój ogromny magnetofon na skale i w kamieniołomie zadudnił Def Leppard.

Bruno i Simon szybko się ubrali, przyciszyli muzykę i zeszli na dół, żeby wyjść dziewczynom naprzeciw. Właściwie to obaj nie mieli nic przeciwko temu, by uniknąć skakania ze skały. Kamieniołom był przepastnie głęboki, a tafla wody mała, więc woda nigdy nie była porządnie ciepła. Natomiast Alexa wcale nie przerażała myśl o lodowatej wodzie. Pobiegł boso ścieżką na drugi koniec kamieniołomu i wprawnymi ruchami zaczął się wspinać na stromy uskok skalny.

Kiedy Bruno i Simon pomagali dziewczynom wnosić plecaki, Alex stał na najwyższym uskoku i czekał. Tafla wody, jakieś siedem czy osiem metrów pod nim, była ciemna i gładka, popołudniowe słońce oświetlało ścianę i spowijało złotem jego opalone i muskularne ciało.

Bruno, Simon i dziewczyny stali i patrzyli na Alexa. Żadne z nich jeszcze nigdy nie skakało z najwyższego uskoku, ale wiedzieli, że w linii prostej kilkanaście centymetrów pod ciemną taflą wody znajduje się skała. Wiedzieli to też inni, którzy kąpali się w kamieniołomie, i ciągle opowiadali o ludziach, którzy łamali sobie rękę i nogi podczas nieudanego skoku, i to z mniejszych wysokości. Wiedzieli też, że jeśli popełni się choćby najmniejszy błąd, skacząc z tak wysoka jak Alex, można to przyptać życiem.

– No skacz! – krzyknęła Marie.

Ale Alex stał nieruchomo. Było jasne, że próbuje to odwlec jak

najdłużej.

– No dalej, Alex, skacz! – dołączył się Bruno.

Carina demonstracyjnie odwróciła się tyłem, przykucnęła i zaczęła szukać papierosów w plecaku. Jednak cały czas zerkąta na Alexa i uskok.

– Skacz, no skacz.... – zaczął skandować Bruno i pozostali.

Po chwili Carina się wyprostowała i w milczeniu zasłoniła dłonią oczy.

Zrobił się mały ruch, ale Alex właśnie na to czekał. Wziął głęboki wdech, zatrzymał powietrze i wyciągnął ręce przed siebie. Napiął ciało, przez kilka sekund pobujał się na palcach, po czym wziął zamach i z pełną siłą rzucił się w powietrze. W locie złożył ciało w szczyryk i dotknął palców stóp. Na moment przed spotkaniem z taflą wody wyprostował się i przeciął ciałem jej gładką powierzchnię. Uderzenie było niemalże perfekcyjne, jedynie głuchy plusk. Długi słup wody szybko zamienił się w ciemne kręgi, które powoli rozchodziły się po powierzchni wody, aż do samych brzegów.

Cała czwórka stała w milczeniu ze wzrokiem wbitym w sam środek ciemnych pierścieni. Alexa nie było widać. Pierścienie powoli się rozeszły i woda znów była gładka. Bruno poczuł gulę w gardle.

– Czy on...? – Marie nie dokończyła zdania. Wymieniła tylko pełne niepokoju spojrzenie z Simonem, a potem z Brunem.

Carina niepewnie zrobiła krok w stronę brzegu, a po chwili jeszcze jeden. – Alex! – zawołała w głąb kamieniołomu. – Kochanie...

W następnej sekundzie czarna tafla wody się załamała i wynurzyła się głowa Alexa, który wziął głęboki wdech, podniósł ręce do góry i wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, który poniósł się po całym kamieniołomie.

Carina odwróciła się do Marie i z wściekłością pokazała ruchem głowy na wodę. – A nie mówiłam? To cholerny niedojrzały idiota!

Bruno zrozumiał komentarz. Setki razy słyszał, jak Carina i Alex się kłócą. Wiedział, że te kłótnie to nieodłączny element ich związku, jednak tego lata w tonie głosu Cariny zauważył coś nowego, coś niepokojącego.

3.

Jesień 2017

– *Last one* – mówi jeden z Polaków, prawdopodobnie szef całej ekipy, podnosząc karton. Przedstawia się jako Paweł.

– *Are you sure I can't offer you something?* – pyta Anna. Specjalnie mówi wolniej, wiedząc, że jękanie częściej pojawia się wtedy, kiedy mówi w innym języku niż szwedzki.

Mężczyzna podnosi ręce i macha głową.

– *No, thank you. Mister Klein told us go back when finish.*

– *Okay. Thank you so much then.*

Paweł nakazuje swoim trzem pracownikom, żeby wsiadali do małego samochodu transportowego na polskich numerach rejestracyjnych. Anna stoi na schodach domu i patrzy, jak tylne światła samochodu oświetlają las.

– Co za obsługa – mówi stojąca za nią Agnes. Nieoczekiwanie jej głos jest wesoły, choć jednocześnie nieco ironiczny. To taka jej forma obrony.

– Całkiem nieźle. – Anna spogląda na zegarek. – Meble i dywany porozkładane, wszystkie kartony przewiezione i rozpakowane jeszcze przed południem. I to już w sobotę.

Wczoraj po południu Mów-mi-Lasse zostawił im klucze, a zaraz potem przyjechał samochód transportowy. Przywiózł łóżka i najpotrzebniejsze rzeczy. Nie rozmawiały wtedy więcej niż to konieczne. Kiedy samochód odjechał, a one zjadły kolację, obstawione meblami i nierozpakowanymi kartonami, Agnes zamknęła się w swoim pokoju z Milo i laptopem i nie wyściubiła nosa aż do ranka następnego dnia, kiedy to Polacy od Kleina wcześniej rano zapukali do drzwi. Anna już nie spała, a Agnes bez marudzenia i narzekania pomogła jej wypakować rzeczy z kartonów.

Tak jakby zabiegała o kontakt. Być może to tylko życzeniowe myślenie, ale po nocy spędzonej w Taborze Annie wydaje się, że ich stosunki trochę się poprawiły. Tak jakby ten stary dom miał na nie kojący wpływ.

– Nawet poskręcali meble – dodaje Agnes. – Przynajmniej po domu nie walają się śruby, tak jak kiedy tata... – Agnes nie kończy zdania, odwraca się. Uśmiech gaśnie na jej twarzy, a jej mina, której żadna z nich nie chce, zabija rozmowę.

– Jesteś głodna? – pyta Anna, próbując utrzymać radosny ton głosu. – Jadę na zakupy.

Pytanie zawisa w powietrzu. Agnes nie odpowiada, idzie do swojego pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Anna zatrzymuje się przy głównej drodze. Jeśli skręci w lewo, będzie miała około dwudziestu pięciu minut do sklepu w Nedanås, jeśli zaś pojedzie w prawo, do mniejszego Mörkaby, to według Mówmi-Lasse droga zajmie jej piętnaście minut i, jak ją zapewniał, tam też znajdzie wiejski sklepik. To słowo brzmi tak malowniczo i zachęcająco, że postanawia zaryzykować i skręca w prawo.

W nocy padał deszcz, więc asfalt jest mokry, a po bokach wśród drzew unosi się szary koc jesiennej wilgoci. Droga łagodnie wije się między drzewami, a po mniej więcej kilometrze las otwiera się na płaskowyż pokryty polami.

Na prawo ciągnie się aleja wierzb, na której końcu migoczą kontury zabudowań. Anna mija szyld z napisem „Änglaberga”. To tam mieszka właścicielka domu. I najpewniej zarządca Klein, którego nie zdążyła jeszcze rozgryźć. Był arogancki, na granicy z wrogością. Pytanie tylko dlaczego?

Płaskowyż ciągnie się jeszcze przez kilka minut, Anna mija pojedyncze zagrody i wjeżdża w gęsty las. Asfaltowa droga robi się coraz bardziej kręta. Od czasu do czasu, zupełnie bez ostrzeżenia, odchodzą od niej małe boczne dróżki, słabo widoczne w jesiennej mgle. Większość z nich jest tak wąska, że ledwo mogą pomieścić

samochód, niektóre przedzielone są pośrodku zieloną linią traw. Dróżki, mgła i ostre zakręty powodują, że Anna jedzie bardzo ostrożnie. Od czasu do czasu wyprzedza ją jakiś samochód pędzący powyżej dozwolonej szybkości, jakby zupełnie nie obchodziła go pogoda i kiepska widoczność. Ostatni trąbi na nią nerwowo przy wymijaniu.

Dokładnie piętnaście minut po tym, jak wyjechała z domu, zauważa wyłaniającą się z mgły białą wieżę kościoła. Chwilę potem kilka domów i szyld, który informuje, że właśnie wjechała do Mörkaby i że znajduje się tu najwyższy położony kościół w całej Skanii.

Sama wioska to w gruncie rzeczy jedynie skupisko domów ustawionych wokół skrzyżowania w kształcie litery T. Do jednego z nich prowadzi dziurawa asfaltowa droga. Z przodu budynku stoją reklamy produktów spożywczych i lodów. Niezupełnie odpowiada to obrazowi wiejskiego sklepiku, jaki Anna sobie wyobraziła.

„A czego się właściwie spodziewałaś?”, kpi Håkan. „Bullerbyn?”.

Sklep jest zamknięty, ale na drzwiach wisi ręcznie napisana kartka z informacją, żeby w razie potrzeby użyć dzwonka. Po chwili pojawia się starsza kobieta w zniszczonej bluzie z logo sklepu.

– Witam, witam! – mówi radośnie i wpuszcza Annę do środka.

Sklepik jest niewiele większy od pokoju gościnnego w Taborze. Stara lada chłodnicza, kilka półek z suchym towarem, różnymi rodzajami papierosów i stojak z gazetami. W środku pachnie plastikową podłogą.

– W czym mogę pomóc? – pyta kobieta. Podniesione na czoło okulary przekrzywiły jej perukę na prawą stronę. Kobieta odgarnia kilka sztywnych akrylowych loków na drugą stronę czoła.

– Chciałabym coś na obiad.

– Mamy świeże jajka. Prosto z kurnika. – Kobieta jeszcze raz poprawia perukę, zanim uzna, że ta leży wystarczająco dobrze.

– Moja córka jest wegangą... – mamrocze Anna pod nosem. Przez chwilę zastanawia się, czy jej nie wytłumaczyć, co to znaczy i jakie to niesie za sobą ograniczenia.

– Mamy też świeże buraki, jeśli to może pomóc – proponuje kobieta. – Można je upiec w piecyku i podać razem z serem wiejskim. Oj, nie. Głupio powiedziałam. Przecież weganie nie jedzą sera, prawda? Żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego.

– No nie – mówi Anna, zdziwiona, i potrząsa głową.

– Moja wnuczka jest weganą – kontynuuje kobieta w peruce i puszcza oko do Anny. – Na pewno coś wymyślimy.

Po dziesięciu minutach na ladzie leży góra warzyw, oczywiście w większości uprawianych w okolicy. Oprócz tego świeże jajka i kawałek bekonu, który pachnie bardzo zachęcająco.

– Mam na imię Gunnel – przedstawia się kobieta. – To ty wynajmujesz Tabor?

Anna kiwa głową.

– Skąd wiesz?

– Nieczęsto widzimy tu nowe twarze. A już prawie nigdy nie słyszymy dialektu ze Sztokholmu. – Gunnel przygląda się Annie z zaciekawieniem. – Jesteś policjantką, prawda?

Anna znów kiwa głową, zaskoczona jak szybko roznoszą się tu wiadomości. Przeprowadziła się do Nedanas i zaczęła nową pracę zaledwie miesiąc temu.

– Muszę przyznać, że wszystkich nas to trochę zdziwiło, kiedy dowiedzieliśmy się, że Elisabet Vidje wynajęła Tabor. I to w dodatku policjantce... – dodaje kobieta i jednocześnie pakuje zakupy do torby. – Tabor to dla niej święte miejsce, a poza tym nie pała miłością do policji... I to delikatnie mówiąc.

– Dlaczego?

Uśmiech znika z twarzy Gunnel.

– Myślałam, że wiesz? Nikt ci nic nie powiedział?

– Nie. – Anna marszczy czoło. – A o czym?

– O Simonie. Chłopaku Elisabet i Karla-Johana. Zabił się w kamieniołomie. – Gunnel wskazuje ręką na drogę. – Niedługo minie już trzydzieści lat... Straszna historia.

– Naprawdę? – mówi Anna, zaciekawiona. – Nic nie słyszałam.

Gunnel smutno kiwa głową.

– Biedny Simon. To był dobry chłopak i jaki zdolny... Grał i śpiewał jak anioł. Dziewiętnaście lat... Zakończył życie, kiedy dopiero je zaczynał...

– To okropne – mówi Anna i obserwuje minę Gunnel. – A co się stało?

– Grupka przyjaciół biwakowała w kamieniołomie, jakoś pod koniec lata w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym... Pamiętam, jakby to było wczoraj... – Kobieta ścisza głos. – Obudziło nas z Ąkem walenie do drzwi. Tuż przed piątą rano. To był Bruno, chłopak właściciela knajpy, błąd jak ściana. Chciał skorzystać z telefonu. Bo zdarzył się wypadek...

Gunnel potrząsa głową i ściąga wargi, tak jakby ostatnie słowo przeszkadzało jej w ustach. Przechyliła się przez ladę i kiedy chce powiedzieć więcej, otwierają się drzwi i do środka wchodzi mężczyzna we flanelowej koszuli i spodniach roboczych.

– Hej, Gunnel – wita się i pewnym krokiem podchodzi do półki z papierosami. Jednocześnie z zainteresowaniem przygląda się Annie.

Gunnel się prostuje i dłońmi strząsa bluzę, jakby chciała się pozbyć czegoś nieprzyjemnego.

– Jeszcze coś, Anno? – pyta nieco za głośno.

Po przyjeździe do Taboru Anna przygotowuje lunch, a Agnes ze smętną miną nakrywa do stołu. Po chwili cisza wydaje się nie do zniesienia i Anna opowiada o swojej wizycie w sklepie. O tym, jak była zaskoczona, kiedy okazało się, że Gunnel sporo wie o jedzeniu wegańskim. Ale Agnes nie reaguje. Po chwili, nie zastanawiając się długo, od początku zaczyna opowiadać swoją rozmowę z Gunnel, od przekrzywionej peruki po wypadek Simona Vidje.

– Jak myślisz, czy to malowidło w sali kazań przedstawia kamieniołom?

Agnes patrzy w górę, a kiedy się odzywa, w jej głosie słychać nieoczekiwane zainteresowanie:

– Właściwie to nie wiem.

Anna próbuje ukryć radość, że nareszcie zaczęły o czymś rozmawiać, o czymkolwiek, co nie ma nic wspólnego z Håkanem czy przeprowadzką. Bezpieczny temat, wolny od punktów zapalnych.

– Jeśli chcesz, możemy go poszukać. Gunnel mówi, że jest niedaleko.

– Sprawdzę w Google maps. Ale może poczekamy do jutra, jak będzie mniejsza mgła. Chcę porobić zdjęcia, żeby potem porównać z malowidłem.

– Oczywiście!

Agnes podnosi się, pomaga sprzątnąć ze stołu i bez prośzenia zaczyna myć blachę do pieczenia.

Milo jest zdezorientowany, depta jej po piętach i nie bardzo wie, jak się zachować, jakby zmiana atmosfery zbiła go z tropu. Po chwili wskakuje na leżankę w kuchni i ukradkiem rzuca się łapami na okno wychodzące na ogród. Warczy, jakby coś zobaczył. Anna wygląda przez okno, ale jedyne, co widzi, to duży ogród, drogę wjazdową i mgłę, która rozciąga się między drzewami.

– Głupie psisko – mamrocze pod nosem.

W odpowiedzi otrzymuje nadąsane spojrzenie.

Kiedy naczynia są już pozmywane, Agnes znika w sali kazań. Anna słyszy, jak wyjmuje sprzęt fotograficzny. Statyw, parasolkę odbijającą światło, ekrany, soczewki. Wie, że to wszystko jest cholernie drogie, dobrze pamięta, jak się o to pokłócili z Håkanem.

– Kupujesz sobie jej miłość, czy jesteś tego świadomy? Stawiasz mnie w sytuacji bez wyjścia. A tak na marginesie, to jak cię, do cholery, na to stać?

Teraz to wszystko wydaje się zupełnie bez znaczenia.

Wchodzi po schodach na górę. Przystaje, jakby czekała, aż Agnes ją ofuknie, żeby zostawiła ją w spokoju. Kiedy nic takiego się nie dzieje, podchodzi do okna. Nic nie widać, nawet jeśli pogoda jest trochę lepsza niż wczoraj. Mgła niczym całun pokrywa drzewa, widać

jedynie ich szare zarysy. Z oddali migocze rząd czerwonych świateł i Anna uświadamia sobie, że to światełka wiatraków ustawionych na zboczu. Migające rytmicznie prehistoryczne zwierzęta z metalu.

Agnes ustawia aparat przed malowidłem

– Mamo, czy możesz mi podać ten drugi statyw?

Anna stara się nie okazywać, jak bardzo się cieszy, że Agnes próbuje ją zaangażować.

Małymi kroczkami, myśli sobie. Próbuje przywołać Håkana, ale on milczy. To dobry znak, naprawdę. Choć brakuje jej jego głosu.

Podaje Agnes statyw, a potem patrzy, jak córka montuje go wprawnymi ruchami. Znów spogląda na malowidło. Tak samo ciemne niebo, skały i milczący las. Jesienny deszcz, który marszczy taflę wody i zniekształca odbicia.

– Piękne, prawda! – mówi Agnes. – Kolory, nastrój, deszcz, wszystko. Jakby ta woda kryła jakąś tajemnicę. Jakby tam coś było pod powierzchnią. Ciekawie będzie zobaczyć, jak kamieniołom wygląda w rzeczywistości i czy malowidło dobrze to oddaje.

– Mhm. – Anna przekrzywia głowę i uważnie studiuje odcienie ciemnego lustra wody.

– Wygooglowałam obrazy Karla-Jo – mówi Agnes. – Ale nie znalazłam ani jednego podobnego do malowidła, a to znaczy, że nikt go jeszcze nie sfotografował. Może będę pierwsza? Zdjęcia będę mogła dołączyć do portfolio. – Szybкими, wprawnymi ruchami składa lampy.

Wcześniejsze uczucie nie mija i Annie robi się ciepło na duszy. Damy radę, myśli. Wszystko będzie dobrze.

Håkan wciąż milczy.

Po południu wychodzą z Milo na spacer. Przecinają ogród, tuż obok szopy skręcają w prawo i wąską dróżką kierują się do lasu. Na ziemi leży pełno liści. Brązowo-żółty miękki dywan, który wraz z welonem z mgły połyka odgłos kroków, a nawet pełne podniecenia szczekanie Milo, który rusza do przodu i między drzewami próbuje gonić

zapachy i wrażenia, uchwytne tylko dla psów.

Agnes, oczywiście, ma ze sobą aparat. Fotografuje Milo i brązowo-żółty sufit drzew. Co jakieś trzy minuty musi się zatrzymywać, żeby wytrzeć soczewki z deszczu, który jest tak drobny, że aż prawie niewidoczny.

Droga prowadzi do małego, płytkiego strumienia, który płynie w dół zbocza. Milo, biegnąc z prądem, raz za razem chłepce krystalicznie czystą wodę. Agnes biegnie brzegiem za nim i strzela aparatem serią zdjęć.

– Milo, popatrz tutaj! Milo!

Anna robi nieuważny krok, wpada nogą w kałużę i płoszy żabę. Musi kupić kalosze.

– Jak myślisz, dokąd prowadzi ten strumień?

Agnes ma czerwone policzki, ożywiony wzrok. Anna oddałaby wszystko, żeby widzieć ją taką każdego dnia.

– Pewnie w dół zbocza. – Wskazuje na spowitą gęstą mgłą pochyłość. – Tam gdzieś w dole płynie rzeka.

– A może prowadzi do kamieniołomu.

– Być może. Nie znalazłaś nic w Google maps?

Agnes kręci głową.

– Nie, na mapie nie ma żadnego kamieniołomu.

– Trochę dziwne, nie uważasz?

– Może. – Agnes wygląda na zamyśloną. – Może pójdziemy kawałek wzdłuż strumienia i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi?

Anna spogląda na swój mokry but. Skarpetka przemoczona aż po nogawkę spodni. Ale Agnes znów z nią rozmawia, nareszcie jest zaangażowana w coś innego niż telefon i pies. Poza tym Anna sama jest ciekawa tego tajemniczego kamieniołomu.

– Dlaczego nie.

Strumień wije się między drzewami, a kiedy wypełnia się mniejszymi odnogami, robi się szerszy i nieco głośniejszy. Agnes i Milo są zajęci sobą. Anna przystaje co jakieś dwieście metrów, żeby sprawdzić, gdzie są. Czy nie idą za blisko urwiska. Z powodu mgły niewiele widzi, ale wie, że zbocze musi być gdzieś tutaj. Dobrze się

orientuje, gdzie jest jaki kierunek. Samo Nedanås leży na północno-zachodnim zboczu. Stamtąd do domu mają ponad dziesięć kilometrów, a teraz idą zboczem od Nedanås, co oznacza, że podążają na południowy wschód. Anna próbuje odczytywać kierunki z natury, tak jak ją uczył Håkan. Mchy porastają północną stronę drzew, a stare konary i gałęzie pochylają się w kierunku południowym. Mrowiska prawie zawsze leżą po południowej stronie drzewa, ale, jak na razie, nie widać ani jednego, choć w zasadzie wcale jej to nie dziwi. W pobliżu nie ma ani jednego igłaka, jedynie wysokie drzewa liściaste o pniach jak zielono-szare kolumny. Stoją gęsto, jedno przy drugim, spowite welonem mgły. Wrażenie jest niesamowite, niemalże upiorne.

„Znajdą cię”, szepcze Håkan bez ostrzeżenia. „Nawet tutaj nie jesteś bezpieczna. Musisz jej w końcu powiedzieć. Obiecałaś mi to”.

Annę przechodzi dreszcz, strząsa z siebie jego głos, by po chwili znów odzyskać spokój i radość z tego, że ona i Agnes robią wreszcie coś razem.

Idą ścieżką wzdłuż strumienia. Po chwili ten mały ciek wody wżyna się w rozmięktą ziemię i tworzy stromy brzeg. Anna spogląda na zegarek. Kilka minut po piątej, za jakąś godzinę zrobi się ciemno, ale światło zaczyna matowieć już teraz. Teren lekko się pochyla, a one wciąż nie widzą choćby śladu skał ani jakiegokolwiek zmiany terenu, która przypominałaby krajobraz z malowidła. Anna chce zaproponować, żeby wracały do domu, kiedy nagle Milo zaczyna głośno i nerwowo szczekać.

Pies natknął się na jakiś duży dół przy brzegu i zanim zdążyły go zatrzymać, już wskoczył do środka. Szczekanie nie ustaje i mimo iż ziemia trochę tłumi hałas, i tak jest coraz bardziej zajadłe.

– Milo, chodź tutaj! – krzyczy Agnes, ale pies ją ignoruje.

Tyłnymi łapami zapiera się mocno, by po chwili zupełnie zniknąć w dole. Szczekanie miesza się z innym odgłosem. Pochrząkiwanie, przechodzące w głośne syczenie, które z pewnością nie pochodzi od psa.

– Milo! – krzyczy Agnes. Próbuje wejść do dołu za psem, ale traci

równowagę i się przewraca. Osuwa się i łąduje prosto w strumieniu.
– Cholera!

Milo wciąż szczeka. Głośno i zajadle. Tak jakby się bał, a jednocześnie był zły i podekscytowany. Anna robi kilka kroków do przodu. Wyciąga rękę, żeby pomóc Agnes wstać, kiedy kątem oka dostrzega jakiś ruch. Zieloną sylwetkę przeskakującą strumień i ruszającą w ich kierunku. To wysoki, brodaty mężczyzna w maskującym ubraniu. Jego pojawienie się jest tak zaskakujące, że obie z Agnes stoją jak sparaliżowane. Mężczyzna wskakuje do dołu i tak długo rozkopuje nogami ziemię, aż prawie cały się w niej mieści. Piasek i kamienie sypią się za jego plecami, odgłosy ze środka dochodzą jeszcze przez kilka sekund, lecz po chwili mężczyzna znów jest na zewnątrz. Brodę ma całą w piasku, za tylne łapy trzyma miotającego się i ujadającego Milo. Rzuca psa na ziemię i jakby nikiąd wyciąga czarny rewolwer. Milo stroszy sierść i atakuje nogę mężczyzny. Anna popycha Agnes za siebie.

– Nie! – krzyczy Agnes.

Ale mężczyzna nie celuje ani w nie, ani w psa, tylko wskakuje z powrotem do dołu, z którego dochodzi to przedziwne syczenie, z każdą chwilą coraz głośniejsze. I nagle wszystko ucicha.

Mężczyzna powoli wychodzi z dołu. W jednej ręce trzyma pistolet, w drugiej coś szarego. Chowa pistolet pod kurtkę i obiema rękami unosi w górę szary tobołek. Łapy, pazury, czarno-biała trójkątna głowa. Odstonięte kły w śmiertelnym grymasie.

– Borsuk – mówi mężczyzna dialektem, strzepując z siebie ziemię.
– Mógł zażreć kundla.

Kiedy znajduje płaskie miejsce, wyjmuje zza paska scyzoryk. Szybko i sprawnie zaczyna oprawiać zwierzę. Håkan pokazywał Annie, jak to się robi, i raz nawet wypatroszyła zająca. Ale ten mężczyzna to zupełnie inna liga. Wyjęcie wnętrzości borsuka zajmuje mu zaledwie minutę, a kiedy kończy, ręce ma ledwo ubrudzone krwią. Jego palce są zadziwiająco krótkie, paznokcie obgryzione aż do skórek.

Agnes siada obok Milo i przytrzymuje go za smycz, żeby nie grzebał

we wnętrznościach, jednocześnie oboje z zafascynowaniem śledzą ruchy mężczyzny. Anna jeszcze nie może dojść do siebie. Przez krótką chwilę myślała, że mężczyzna celował pistoletem w ich kierunku.

– Odważna sabaka.

Mężczyzna pokazuje na Milo, a drugą ręką ściera pot z czoła. Ma potargane włosy i zmierzwioną brodę, spłaszczony nos i szeroko rozstawione oczy, które upodabniają go do jednego z bohaterów filmu o Harrym Potterze. Nierealność sytuacji jeszcze się potęguje, kiedy odzywa się zupełnie niezrozumiałym skańskim dialektem:

– Nie wszystkie kundle mają odwagę wejść do nory borsuka.
– Mężczyzna nożem pokazuje przez ramię. – Jestem Mats Andersson, mieszkam w Änglaberdze. – Wyciera nóż o nogawkę spodni i wkłada go do pochwy.

– Witaj, Mats. Jestem Anna Vesper, a to jest Agnes i Milo. Mieszkamy... – Anna czuje, że zaraz się zatnie, więc na sekundę robi pauzę. A w ogóle to mówi się „w” czy „na”?

– W Taborze – kończy za nią mężczyzna, rozwiązując dylemat.
– Wiem. Przyjechałyście wczoraj. To dom mojej ciotki, Elisabet Vidje, też mieszka w Änglaberdze. Mój ojciec to Bengt Andersson. – Imię ojca wypowiada w taki sposób, jakby było oczywiste, że powinna go znać. – Co to za rasa? Terier? – Mats odwraca się do Agnes i Milo.

– Mieszaniec, coś pomiędzy jackiem russellem a foksterierem – odpowiada Agnes.

– A niech to szlag, podobny do teriera skańskiego.

Mats wyciąga rękę do Milo, który siedzi między nogami Agnes. Pies unosi górną wargę i szczyrzy zęby, ale Mats się nie boi. Po chwili ciekawość Milo zwycięża. Zaczyna obwąchiwać rękę Matsa, a potem ją liże.

– To zapach krwi. Dobry pies myśliwski nie może go nie poczuć.
– Mats tarmosi Milo pod brodą, a pies wciąż liże przegub jego ręki.

– Czy mogę ci zrobić zdjęcie? – pyta Agnes i unosi zawieszoną na szyi kamerę.

– Po co? – pyta mężczyzna z pewną ostrożnością w głosie, tak

jakby podejrzewał, że Agnes sobie z niego żartuje.

– Po prostu lubię robić zdjęcia. Chcę być fotografem. Poza tym uratowałeś mojego psa. – Agnes włącza ten swój uśmiech, który zawsze działał na Håkana.

Jak widać działa też na Matsa.

– No dobra.

Olbrzym robi się czerwony na twarzy. Nagle wygląda jak nieśmiały kilkunastolatek, a nie czterdziestoletni mężczyzna. Mimo maskującego ubioru, gęstej brody, pistoletu i noża jest w nim coś dziecinnego.

Pozuje z borsukiem w rękę. A nawet odchyła wargę swojej zdobyczy, żeby pokazać te wielkie kły.

– Mogą zmiażdżyć kości – tłumaczy, podczas gdy aparat Agnes pstryka kolejne zdjęcia. – Kiedyś mówiło się, że dobrze jest włożyć skorupki jajka w kalosze, kiedy się idzie upolować borsuka. Na wypadek gdyby chciał ugryźć. Ponoć borsuk nie ugryzie, jak usłyszy trzask skorupki. Ale to głupoty.

Zaczyna chichotać, a Agnes razem z nim.

– Czy mięso borsuków się je? – pyta Anna.

Mats się odwraca. Wygląda na zdziwionego, tak jakby zapomniał, że Anna też tam jest. A potem uśmiecha się szeroko do tego ewidentnie głupiego pytania.

– Nie, do diabła. Mogą mieć pasożyty. Nawet dla kundli mojej siostry muszą gotować takie mięso. Na jesieni borsuki mają dużo tłuszczu. Są pożywne. – Mężczyzna znów się odwraca do Agnes. – Futro sprzedaję. No ale ten tu to dorodny okaz, więc chyba go oprawię.

– Oprawisz? – pyta Agnes. Wydaje się naprawdę zainteresowana.

– Wypcham go. Mam już niezłą kolekcję w Änglaberdze. Przyjdź, to ci pokażę. Będiesz nawet mogła zrobić zdjęcia.

– Bardzo chętnie.

Anna spogląda na zegarek.

– Musimy już wracać. Zaraz będzie ciemno.

Agnes przewraca oczami, ale na wszelki wypadek nie protestuje

zbyt głośno.

– A tak przy okazji, to czy tu w pobliżu jest jakiś kamieniołom?
– pyta Agnes, a jej głos znów jest tak radosny jak dawniej.

Mats posępnieje.

– Nie tutaj – mruczy pod nosem. – W lesie, po drugiej stronie Änglabergi. Ale nie idźcie tam.

– Dlaczego?

Mats potrząsa głową.

– To pieruńskie miejsce. Niebezpieczne – stwierdza i milknie, jakby już wszystko powiedział.

– Dzięki za ostrzeżenie!

Żegnają się i odchodzą. Mats stoi z borsukiem leżącym pod jego nogami i patrzy za nimi. A kiedy Agnes się odwraca, podnosi rękę i macha im na pożegnanie.

4.

28 sierpnia 1990

Cała piątka leżała na brzegu skały, każdy na swoim ręczniku, w miejscu, gdzie jeszcze docierało słońce. Bruno trzymał się z boku. Alex, choć niechętnie, pozwolił Marie zmienić muzykę. Mieszanka z top listy: Alannah Myles, Madonna, Cher...

– Co to za cholerny miszmasz – wymamrotał Alex do Bruna.

Lecz tym razem Bruno go nie poparł. Zawsze unikał wtrącania się w sprawy Alexa i Marie. Alex położył się na brzuchu i zamknął oczy. Po kilku minutach zaczęła pochrapywać.

Dziewczyny zdjęły bluzki i zaczęły się opalać w stanikach i spodenkach. Carina posmarowała się czymś o zapachu kokosowym, od czego jej opalone ciało zaczęło błyszczeć. Marie nie była ani tak opalona, ani tak zaokrąglona jak Carina. Na jej ciele gdzieś tam widniały przebarwienia. Bruno wiedział, że Marie trochę się ich wstydzi. Ale jemu to nie przeszkadzało. Uważał wręcz, że dodają jej charakteru. Po chwili Carina odwróciła się na brzuch, żeby opalić plecy. Odpięła stanik. Z boku wyraźnie było widać kolistość jej piersi, szczególnie wtedy, kiedy unosiła głowę, żeby coś powiedzieć. Bruno próbował nie patrzeć w jej kierunku, ale to nie było wcale łatwe. Carina była ładna i nie istniał chłopak w okolicy, który nie zwróciłby na nią uwagi. Chodziła z Alexem, i to już od gimnazjum. A nawet trochę wcześniej.

Simon natomiast nie był tak dyskretny. Bruno widział, jak od czasu do czasu zerka na Carinę, na jej ciało, nie przejmując się zupełnie tym, że ktoś to zauważy. Brunowi z jakiegoś powodu to przeszkadzało.

Kiedyś w autobusie podsłuchał, jak dziewczyny z niższej klasy plotkowały o Simonie. Nie złośliwie, jak to robiły w szkole

podstawowej, kiedy Simon był jeszcze chudy i nieopierzony jak Janko Muzykant, ale w zupełnie inny sposób. W sposób, którego Bruno szczerze nie lubił. Odwrócił się na brzuch, próbując pozbyć się irytacji, ale nie bardzo mu się udawało.

Po chwili Marie zauważyła spojrzenia Simona, szturchnęła Carinę i znaczącym gestem pokazała głową w jego kierunku. Carina poprawiła okulary słoneczne i spojrzała na Marie.

– A teraz patrz – szepnęła.

Oparła się na łokciach i uniosła lekko górną część ciała, tak że jej piersi stały się zupełnie widoczne.

– Simon – powiedziała przesadnie miękkim głosem i zsunęła okulary na czubek nosa. – Czy przyniesiesz coś do picia dla mnie i dla Marie?

– Jasne! – Simon podniósł się niezdarnie.

Ale Bruno już był prawie przy lodówce.

– Ja to zrobię – rzucił przekornie i ze złością spojrzał na Simona, by ten zrozumiał, że ma się nawet nie ruszać z miejsca.

– Dzięki. – Carina znów się położyła.

Bruno podszedł do torby, która stała w cieniu za namiotem. Z dołu usłyszał chrzęst i kiedy spojrzał, zobaczył wolno jadący radiowóz, który najpierw wykręcił, a potem zatrzymał się tuż przy rowerze Simona. Otworzyła się boczna szyba i z samochodu wyrzała rostry mężczyzna o surowym spojrzeniu.

– Alex! – krzyknął Bruno i wskazał ręką w kierunku policjanta.

– Czego? – wymamrotał Alex, nie podnosząc głowy.

– Twój stary.

Alex westchnął i usiadł.

– Byłem na tyle głupi, że wzięłem od niego klucz do szlabanu. A ten od razu zrobił mi cały wykład, że wstęp tutaj jest właściwie zabroniony i że skały są niebezpieczne, i takie tam, bla, bla. I że przyjedzie, żeby sprawdzić.

– Super, że masz takiego troskliwego tatusia – wymamrotała Carina.

– Przecież nie jesteśmy jakimiś pieprzonymi smarkaczami? Co się

może stać? – Alex podniósł się i stanął koło Bruna, a potem pomachał nerwowo w kierunku radiowozu. – Cześć, Henry – powiedział, ale tak, żeby tylko pozostała czwórka go słyszała. – Wszystko w porządku, możesz jechać.

Policjant odpowiedział machnięciem ręki.

– Zachowujecie się tam? – krzyknął, a jego głos był ostry i odbijał się echem od skały.

– Jasne – odparł Alex, nie próbując ukryć irytacji.

– Ten sam skład co zawsze?

– Pewnie!

Henry Morell siedział w radiowozie i nic nie wskazywało na to, że zamierza odjechać. Dopiero po kilku sekundach Alex zorientował się, o co ojcu chodzi.

– Idź do diabła – wymamrotał i odwrócił się do pozostałych, którzy leżeli na ręcznikach. – Wstańcie i pomachajcie mu – powiedział i zanim oni zdążyli otworzyć usta, wymownym gestem dał znak, żeby nie protestowali. – To jedyny sposób, by się go pozbyć. Inaczej jest gotowy tutaj przyjsć.

Carina, Marie i Simon podnieśli się i podeszli na skraj skały.

– Cześć, Henry! – krzyknęła Marie przesadnie dziarskim głosem, podczas gdy inni tylko entuzjastyczne mu pomachali.

Henry Morell też im pomachał i powiedział coś do kierowcy. Radiowóz ruszył i zaczął powoli odjeżdżać wąską zwirową drogą, zamigał jeszcze światłami i zniknął wśród drzew.

– Sorry – powiedział Alex. – Ale znacie go...

– Spoko – odparł Simon i poklepał Alexa po plecach. – To, że Henry jeździ za swoim synalkiem i sprawdza, czy mu się nic nie stało, to już tradycja. Będzie to robił, nawet jak ci stuknie pięćdziesiątka.

Alex wymamrotał coś pod nosem, wziął piwo i wrócił na swój ręcznik. Simon zmienił kasetę w magnetofonie.

– Tylko nie Toto, błagam – wyjęczała Marie. – Co było nie tak z tym, co leciało?

– Michael Bolton – powiedział Simon i przewrócił oczami. – Chyba nie muszę mówić więcej?

– A co od niego chcesz? – Marie popatrzyła na Carinę, szukając poparcia.

Ale Carina położyła się na ręczniku i wyglądała na zupełnie niezainteresowaną całą tą dyskusją.

– No właśnie, co chcesz od Michaela Boltona? – zachichotał Simon.

– Wiesz co? Czasami jest z ciebie niezły palant, Simon. Tylko dlatego, że jesteś jakimś pieprzonym grajkiem, to wszystko inne jest nie w twoim guście, tak? – wysyczała Marie przez zęby.

Simon usiadł obok niej i troskliwie ją objął.

– Ale wybaczysz mi to, kuzyneczko, prawda?

Marie odsunęła jego rękę, ale on się nie poddawał, dopóki nie parsknęła śmiechem.

– Palant! – skwitowała, choć tym razem bardziej przyjaźnie.

Bruno wyjął z torby dwa piwa i colę i podszedł do dziewczyn. Uśmiechnął się delikatnie, podając Marie colę, ale bez reakcji z jej strony. Była zajęta przekomarzaniem się z Simonem. Kiedy Bruno usiadł na ręczniku i otworzył piwo, zauważył, że Simon znów gapi się na Carinę, zupełnie nie zważając, czy ktoś to widzi.

Może w końcu ktoś usadzi tego skurczybyka, pomyślał. Wypił kilka łyków i uśmiechnął się krzywo do samego siebie, bawiąc się tą przyjemną myślą.

Ktoś musi usadzić Simona Vidje.

5.

Jesień 2017

Anna jest na nogach już od wpół do szóstej rano. Najpierw bierze długi prysznic w świeżo wykafelkowanej łazience, a potem wkłada mundur. Spodnie, świeżo wyprasowaną koszulę, na to ciemnoniebieski sweter z żółtymi pagonami na ramionach, który zwykle nosi się w biurach. Munduru nie miała na sobie od wielu lat. W kryminalnym w Sztokholmie zawsze chodzili po cywilnemu.

Poniedziałek rano. Kiedy podsumowuje miniony weekend, wychodzi jej słaby plus. Pogoda była wczoraj fatalna, więc nie wyszły z Agnes z domu w poszukiwaniu kamieniołomu. Zamiast tego jej córka na cały dzień zamknęła się w pokoju z Netflixem, a ona załatwiała jakieś sprawy. Jedna część Anny ma nadzieję, że Agnes znudzi się całą tą historią o Simonie i uświadomi sobie, że tragiczny wypadek kogoś, kto był tylko kilka lat starszy od niej, oraz fakt, że mieszkają w domu jego ojca, niewarte są tego, by się w tym grzebać. Druga, dużo silniejsza część Anny już tęskni za tą wspólnotą, którą dzieliły w ostatnią sobotę. Przez kilka krótkich godzin wszystko było prawie... normalne.

Kiedy jej włosy są już dostatecznie suche, związuje gumką koński ogon, potem robi delikatny makijaż i poprawia krawat. Sprawdza rezultat w lustrze. Koło jednego oka znajduje zmarszczkę, której dotąd nie zauważyła. Zastanawia się, czy ją zapudrować, ale uznaje, że nie potrzeba. W końcu ma już przecież czterdzieści sześć lat, poza tym nie chce się pokazywać wypacykowana już pierwszego dnia w nowej pracy.

– Pora wstawać. – Puka do pokoju Agnes.

Milo, oczywiście, leży z nią w łóżku, choć doskonale wie, że mu nie wolno. Pies jest niezadowolony, kiedy Anna wkłada głowę przez

drzwi. Unosi górną wargę, jakby ją ostrzegał, by nie podchodziła zbyt blisko Agnes.

– Dobrze spałaś? – pyta jakiś czas później, kiedy Agnes wkłada kurtkę, żeby wyjść z psem.

W odpowiedzi otrzymuje tylko mruknięcie. Cały dobry humor z weekendu gdzieś wyparował.

– O której masz pociąg?

– O wpół do ósmej.

– W takim razie z domu musimy wyjść najpóźniej za dziesięć siódma.

Drzwi zamykają się z trzaskiem tuż przed nosem Anny, która bierze głęboki wdech i za wszelką cenę nie daje się sprowokować. To pierwszy dzień Agnes w nowej szkole. Można powiedzieć, że jej też.

Anna parkuje samochód przed komisariatem pięć minut przed czasem. Mgła z ostatniego weekendu utrzymuje się. W miasteczku jest nawet gęstsza, osiada na ubraniach. Poza tym nieprzyjemnie pachnie. To jakby wznajający się w nozdrza zapach spalenizny. Kiedyś zapachy nieszczególnie ją obchodziły. W pracy aż nadto nawąchała się tych najokropniejszych, więc już się nimi nie przejmuje dłużej niż minutę. Jednak w ciągu ostatniego roku wszystkie wonie stały się jakby intensywniejsze. Dokładnie wie, kiedy to się zaczęło i jaki zapach był najpierw. Przedpołudnie, drugi listopada ubiegłego roku. Białe lilie. Pogrzeb Håkana. Anna czuje ucisk w brzuchu, wypełnia płuca powietrzem.

„Spokojnie, wszystko pójdzie dobrze”, szepcze Håkan. Wygląda na to, że znów są przyjaciółmi. W każdym razie nie przychodzi do niej z jakimiś złowrobnymi ostrzeżeniami.

Henry Morell wychodzi z budynku komisariatu, zanim Anna zdąży tam dotrzeć. Prawdopodobnie minęli się po drodze. Morell to rostry mężczyzna, z pewnością ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i waży co najmniej sto kilo. Część kilogramów siedzi w pasie, jednak nie tak wiele jak u większości jego rówieśników. Też ma na sobie

mundur, co Anna przyjmuje z ulgą. Być nieodpowiednio ubranym już pierwszego dnia nie wróży nic dobrego. Morell jest nieco przygarbiony i przy chodzeniu cały ciężar ciała przenosi na palce stóp, co przy jego brodzie i krzaczastych brwiach upodabnia go do starego niedźwiedzia.

– Henry – przedstawia się i wyciąga swoją wielką dłoń. Uśmiecha się uprzejmie, ale nic ponadto. – Witamy w Nedanås. Paskudny dzisiaj dzień, ale myślę, że mimo to zrobimy sobie objazd. Zresztą mam kawę w samochodzie. – I pokazuje na ciemnoniebieskie volvo, które mimo braku napisu już z daleka krzyczy, że to wóz policyjny.

W samochodzie pachnie wodą po goleniu. W zagłębieniu między siedzeniami stoi papierowy kubek. Anna popija małymi łydkami, podczas gdy on wyjeżdża na ulicę. Kawa jest letnia, a w samochodzie panuje niewygodna cisza.

– Przepraszam za spóźnienie – Anna stara się mówić wolno. – Moja córka... – Czuje, że zaraz się zatnie, więc robi przerwę i zaczyna od nowa: – Droga zajęła mi trochę więcej czasu, niż przypuszczałam. Dużo zakrętów, no i ta mgła...

Henry robi ruch ręką, że nic się nie stało.

– Przyzwyczaisz się. Przyjechałyście tu dopiero w piątek, prawda? Podróż ze Sztokholmu była w porządku? – pyta.

– Absolutnie.

– Mieszkacie z córką w Taborze, prawda? Już się urządzyliście?

– Mniej więcej.

Jego ton głosu jest neutralny – ani miły, ani szorstki. Mówi łatwym do zrozumienia dialektem, nie tak jak Mats Andersson. Niewyraźnie i gulgocząco.

– Piękny dom. Jeden z najładniejszych w okolicy. Elisabet Vidje nie miała łatwo przez ostatnie lata. Nie chciała w nim nic zmieniać. A już najmniej sprzedać czy wynająć... – Coś w tonie jego głosu wskazuje, że jest tutaj więcej do powiedzenia, ale Morell zmienia temat. – Pomyślałem sobie, że zrobimy objazd po miasteczku i opowiem ci

trochę, co tu się dzieje. Będziemy też mieli okazję lepiej się poznać. A potem o dziesiątej na spotkaniu poznasz resztę naszej ekipy.

– Brzmi niezłe! – Słowa są trochę za bardzo entuzjastyczne, co ją nieco irytuje. Lepiej być neutralnym, mniej więcej, tak jak on, nie wychylać się przed szereg.

Henry Morell skręca w kierunku głównej ulicy, dwa kilometry prostego jak kij asfaltu, przeciętego przejazdem kolejowym. Anna przejeżdżała już tędy kilka razy i zdążyła skonstatować, że ulica jest trochę za szeroka, co razem z linią oddzielającą pasy i niskimi budynkami po obu stronach stwarza wrażenie odludnego i pustego miejsca, szczególnie takiego ranka jak ten, kiedy nie ma ludzi. Wilgoć rozciąga się nad miasteczkiem niczym całun, mimo to na lewo widoczny jest zarys stromego zbocza, które wypiętrza się jak zwiastująca nieszczęście ciemna sylwetka.

Anna tłumii dreszcz.

„Schowana przed światem”, szepcze Håkan. „Prawda, że tak myślała?”.

– Nasz rejon, jak już pewnie wiesz, obejmuje trzy gminy – mówi Morell. – Razem trochę ponad dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Najludniejsza to Nedanås, dziewięć tysięcy, i tu najwięcej się dzieje.

Anna popija kawę i kiwa głową, słuchając wykładu Morella. Udaje, że nie wygooglowała już wszystkich informacji, a jednocześnie ukradkiem go obserwuje. Henry Morell z pomocą związków zawodowych wywalczył sobie późniejszą emeryturę, w sześćdziesiątym siódmym roku życia, i zawarł to w swojej umowie. Nie pracował nigdzie poza Nedanås. Czterdzieści pięć lat w jednym miejscu – to prawie tyle samo, ile ona żyje na świecie. Trudno to sobie wyobrazić. Cztery i pół dekady z przeróżnymi problemami ludzkimi. Mimo to Morell przykleił się do swojego stołka na tak długo, jak to tylko możliwe. Musi naprawdę kochać tę robotę. A teraz zmuszony jest wszystko przekazać jej, osobie z zewnątrz. Anna uważnie obserwuje jego mowę ciała i wsłuchuje się w ton głosu. Jeśli jest do niej wrogo nastawiony, to świetnie to ukrywa.

Kawa to wprawdzie miły gest powitalny, nawet jeśli tylko letnia, ale i tak jeszcze nie wie, co o nim sądzić. A ponieważ siedzą w samochodzie, obok siebie, trudno cokolwiek wyczytać z mowy ciała czy wyrazu twarzy. Może o to mu właśnie chodziło? W każdym razie jest przebieglejszy, niż myślała.

Zbliżają się do rynku, przy którym znajduje się urząd gminy, i Morell pokazuje jej komisariat, dwupiętrowe pudełko z żółtej cegły, wybudowane pewnie jeszcze w latach osiemdziesiątych.

– Zaczniemy tutaj. Razem dwudziestu sześciu policjantów, z czego dwudziestu jeden na służbie poza biurem. Oprócz tego dwie pracownice cywilne, które obsługują recepcję. Okaze się, jak to będzie przy następnych cięciach. No ale to już nie mój problem...

Anna słyszy gorycz w ostatnim zdaniu, a może wcale nie. Nie jest tego pewna.

Morell drapie się po brodzie.

– Ławka pijaczków – mówi, kiedy mijają mały placyk przed monopolowym. – Mamy tu trochę alkoholików i innych nałogowców, którzy tu przesiadują, szczególnie jak dostaną zasiłek. Ale to już wymierające pokolenie. Jeszcze pięć, dziesięć lat i znikną. – Jego głos brzmi niemal melancholijnie. Przejeżdżają przez tory kolejowe, które lekko zakręcają, szyny leżą więc na różnej wysokości, a to powoduje stukot amortyzatorów w samochodzie.

– Trochę trzęsie, co? – odzywa się Morell. – Ale to cena, jaką płacimy, żeby mieć tu pociągi. Są gminy, które ofiarowałyby wszystkie amortyzatory, żeby tylko mieć u siebie pociąg. W przyszłym roku ma ruszyć pociąg dalekobieżny, w każdym razie budują już wiadukt.

Starsza para macha po drugiej stronie ulicy, Morell odpowiada na ich pozdrowienie. Trochę dalej rowerzysta robi to samo. To jasne, że ludzie znają swojego komendanta policji. Zapach spalenizny, który Anna czuła już wcześniej, staje się coraz mocniejszy.

– Wypalają glinę – tłumaczy Morell i pokazuje na ciemne kontury budynków na końcu ulicy. – Fabryka żwiru Glarea. Mają tu dużą kopalnię na samym skraju zbrocza. Oprócz wydobycia żwiru

i makadamu wypalają też glinę na kafle do pieców.

Anna poznaje nazwę, to ten sam logotyp, który widziała na zniszczonej bluzie Gunnel w sklepiu.

– W niektóre dni czuć zapach bardziej, w inne mniej – wyjaśnia Morell. – Ja już tego nawet nie zauważam, ale nowi, którzy tu się sprowadzili, zaskarżyli ich do sądu. Dlatego pod koniec przyszłego roku nie będzie już ani wypalania, ani wydobywania... – Morell wzrusza lekko ramionami. – Czasy się zmieniają... Kto wie, może to i dobrze. W każdym razie nie trzeba będzie tak często myć samochodu.

Jadą powoli przez miasteczko, a Morell pokazuje jej knajpę, bibliotekę, szkołę, basen i sklep spożywczy. Potem mijają sklep z artykułami żelaznymi, szewca, kwaciarnię, a na samym skraju miasteczka straż pożarną i wysoką wieżę ciśnień, która przypomina gigantyczny szary betonowy grzyb. Asphalt, cegły, ciemne drzewa i brudnoszary eternit, którego kolor jest jeszcze bardziej bury od cuchnącej mgły. Nedańs to nie żadne malownicze skańskie miasteczko. Raczej typowa przemysłowa miejscowość.

– Tutejsze problemy są takie same jak na przedmieściach dużych miast. Włamanie, pijaństwo, prowadzenie samochodu bez prawa jazdy, mazanie ścian czy niszczenie przystanków autobusowych – opowiada Morell i znów drapie się po brodzie. – I paru takich, co to notorycznie biją swoje żony, choć nad nimi mamy akurat kontrolę, do tego jakieś pojedyncze bójkę w obozie dla uchodźców czy w parku. Jak widzisz, to żadna wielka robota, zwłaszcza dla tak doświadczonej policjantki jak ty.

Zdanie zawisa w powietrzu, a Morell skupia się na skręcie w lewo. Anna domyśla się, dokąd prowadzi ta rozmowa.

Wjeżdżają do części przemysłowej, mijają myjnię samochodową i dojeżdżają do ślepej uliczki z rzędem identycznych pudełek z blachy falistej. Firma malarska, warsztat samochodowy i przechowalnia opon. Na końcu uliczki znajduje się stary zapuszczony dziedziniec, który zupełnie nie pasuje do pozostałych zabudowań. Wysoka trawa zarasta resztki zabudowań. Okna, drzwi zabite grubymi dechami. Morell zatrzymuje się, płaci za parking i zwraca się do Anny:

– A więc tak, Anno. Powiem prosto z mostu, twój przyjazd tutaj jest trochę... – robi gest, jakby szukał odpowiedniego słowa – ... nieoczekiwany – kończy. – Na ogół na stanowisko szefa tutejszej policji nie zgłasza się zbyt wielu kandydatów z zewnątrz. Kilka pozbawionych wszelkiego entuzjazmu zgłoszeń od osób z pobliskich miejscowości, które próbują sobie podwyższyć pensję, albo od jakichś wypalonych nieszczęśników, którzy mają dość miasta. Nigdy nie mieliśmy żadnego zgłoszenia z daleka, co rozumiałe. Jeśli się chce robić karierę, ucieka się do miasta, a nie z miasta, prawda?

Anna potakuje. Wchodzi w tę jego grę, choć cały czas obawia się dalszego ciągu. Co on sugeruje? Może coś jednak wie?

– Na ogół to stanowisko przypada komuś, kto już tu pracuje – kontynuuje Morell. – Kto ma jakieś doświadczenie na tym terenie i zna tutejsze zwyczaje. W taki sposób wiele lat temu ja dostałem tę posadę. – Morell pochyla się w stronę Anny. – Nie zrozum mnie źle, Anno, bardzo się cieszymy, że mamy tutaj tak doświadczoną policjantkę. Referencje, jakie ci dali ze Sztokholmu, są, krótko mówiąc, imponujące. Inspektor śledczy, szef grupy dochodzeniowej... Mnóstwo rozwiązanych spraw... – Jego usta zwierają się w minie, która przypomina życzliwy uśmiech, jednak przez ułamek sekundy zamienia się w wymowny grymas.

Krótkie, prawie że nieuchwytnie wrażenie, które zaprzecza wszystkiemu, co właśnie powiedział. Teraz Anna jest już pewna. Tak jak podejrzewała, Morell wcale jej tu nie chce.

– Wszyscy na komisariacie byli przekonani, że posadę dostanie Jens Friberg – kontynuuje Morell. – Już to nawet obgadaliśmy z naczelnikiem... Ale parę dni przed końcem terminu pojawiło się twoje podanie. No a w porównaniu z twoimi kwalifikacjami ten nieszczęsny Jens miał niewiele do zaoferowania. Naczelnik był wniebowzięty.

Morell uśmiecha się ironicznie, a Anna bardzo się pilnuje, żeby czegoś nie powiedzieć. Wie, że to jeszcze nie koniec.

– Tak więc wszyscy zachodzimy w głowę dlaczego, Anno? Dlaczego ktoś z twoim doświadczeniem i twoją karierą, bez najmniejszego

związku z Nedanås czy Skanią, szuka tego typu posady? Dlaczego nie chcesz dalej pracować jako inspektor kryminalny czy szukać jakiegoś wyższego stanowiska w Sztokholmie. Krótko mówiąc, po co ty tu właściwie przyjechałaś?

Morell sztywno się trzyma swojej uprzejmej fasady. Jednak jego ton głosu jest zdradziecki, prawie aluzyjny. Tak jakby już znał odpowiedź na swoje pytanie. Henry Morell dosłownie przez całe jej życie pracował jako policjant. Na pewno ma mnóstwo różnych kontaktów we wszystkich możliwych miejscach. Czyżby coś wiedział o dochodzeniu? O Håkanie? O niej? Logiczna odpowiedź powinna brzmieć: nie. Nie ma przeciwko niej zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, dlatego nie powinno jej być w żadnych rejestrach. A jednak nie może się opędzić od myśli, że Morell wie więcej, niż jej się wydaje. A może tylko chce, żeby tak myślała? To jedna ze sztuczek, które sama stosowała podczas przesłuchań. „I tak wszystko wiem, więc lepiej się przyznaj”. Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć...

– Potrzebowałyśmy zmiany otoczenia – mówi bez drżenia w głosie. Dlaczego właściwie miałyby jej drżeć głos? Przecież to prawda. – Mój m-m... – Szybko się otrząsa i zwalcza to denerwujące zacinać się. – Mój były mąż, Håkan, zmarł w zeszłym roku. Nowotwór. Agnes bardzo to przeżyła. Zaczęła mieć problemy w szkole, wpadła w złe towarzystwo. Sztokholm potrafi być ciężki... – Robi przerwę, pozwala mu uzupełnić zdanie. To dobry sposób, żeby uniknąć kłamstw. Wszystko, co dotychczas powiedziała, to prawda. Przemilcza jedynie małe szczegóły.

„Dokładnie tak jak ja”, szepcze Håkan z tyłu jej głowy, jak zwykle w najbardziej nieodpowiednim momencie. Anna chce przygryźć wargę, opanowuje się w ostatniej chwili.

Morell potakuje zamyślony. Siedzi nieruchomo przez kilka sekund i studiuje jej twarz. Czyżby ją prześwieślał, tak jak niedawno ona jego? Może próbuje się zorientować, czy kłamie? Anna utrzymuje maskę, nie zmienia nic ani w mimice, ani w mowie ciała.

„On coś wie”, szepcze Håkan. „Nie ma znaczenia, jak daleko

wyjedziesz. Nie uciekniesz od tego”.

Morell cały czas ją obserwuje. Odchrząkuje i zaczyna:

– Rozumiem... dobrze to rozumiem, Anno. – Bierze głęboki wdech.
– Też byłem w podobnej sytuacji wiele lat temu. – Morell drapie się nieświadomie po lewej stronie brody. Ma w tym miejscu zaczerwioną skórę.

– Eva-Britt i ja mieliśmy zaledwie po dwadzieścia lat, kiedy urodził się Alexander. Poród był bardzo ciężki i, niestety, okazało się, że nie będziemy mogli mieć więcej dzieci, więc całą uwagę skierowaliśmy na niego. – Morell uśmiecha się wstydliwie, co powoduje, że jej puls się uspokaja. – Byłem zaangażowanym rodzicem. Zebrania w szkole, treningi, mecze. Wtedy zaproponowali mi naprawdę dobre stanowisko w Helsingborgu. Szef wydziału narkotykowego. Lepsza pensja, ciekawa praca. Wymarzona robota dla wielu policjantów. Ale po namyśle doszedłem do wniosku, że dla Alexandra lepiej będzie, jak zostaniemy tutaj, w Nedanås. Czego się nie robi dla dzieci, prawda?

– To prawda! – Anna powoli kiwa głową w zamyśleniu.

Morell wciąż się w nią wpatruje, ale jego wyraz twarzy jakby zmiażdżył. Atmosfera w samochodzie też się zmieniła i Anna rozumie dlaczego. Morell ją sprawdzał i wynik testu w jakiś dziwny sposób spowodował, że oboje poczuli ulgę.

– Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego się tu zatrzymaliśmy. – Morell wskazuje z samochodu na opuszczony dziedziniec. Jego ton głosu złagodniał, zrobił się dużo bardziej życzliwy. – Kilka lat temu dowiedzieliśmy się, że jacyś ludzie chcą kupić to miejsce i zamienić je w klub. Płot z drutu kolczastego, kamery, monitoring całą dobę na okrągło. Zupełnie nie ten typ działalności, jaki chcielibyśmy mieć w naszej gminie. Ale razem z Bengtem Anderssonem, który był wtedy prominentnym działaczem u nas w gminie, wymyśliliśmy rozwiązanie. Inspektor sanitarny zbadał to miejsce i znalazł w ziemi dużą ilość toksycznych substancji...

Morell nie zmienia tonu przy słowie „znalazł”, mimo to jego głos jest nieco inny. Anna już gdzieś słyszała nazwisko Bengta

Anderssona i teraz szuka w pamięci.

– I kiedy nieruchomości znalazła się na gminnej mapie terenów zagrażających środowisku, kupcy się wycofali. – Morell ściąga usta z zadowoleniem. – Trochę szkoda właściciela, ale dostał stosowną rekompensatę. Wieloletni kontrakt na prowadzenie biura, więc wszyscy są zadowoleni.

Szeroko się uśmiecha.

– Znamy się z Bengtem Anderssonem już ponad czterdzieści lat – kontynuuje Morell.

A Anna przypomina sobie, skąd kojarzy to nazwisko.

– Wydaje mi się, że w zeszły weekend poznałam jego syna. Mats Andersson mieszka w Änglaberdze?

Morell przytakuje.

– Mats jest najmłodszym dzieckiem Bengta i, jak pewnie zauważyłaś, jest trochę... inny. Ale to miły chłopak, zupełnie nieszkodliwy.

Nie dla borsuków, myśli Anna w duchu.

– To dzięki Bengtowi mamy tutaj sklep wielobranżowy i pociągi. Teraz stara się o pociągi dalekobieżne. Poza tym jest w zarządzie Glarei. Gdyby nie on, Nedanås wciąż tkwiłoby w latach dziewięćdziesiątych. – W głosie Morella słychać pewien rodzaj podziwu, tak charakterystyczny dla osób po sześćdziesiątce mówiących o innych osobach w wieku sześćdziesiąt plus.

– Córka Bengta, Marie, przejęła stery w gminie. Nieglupia dziewczyna, tak samo obrotna jak ojciec. Mogłaby zajść bardzo daleko, ale wolała zostać w Nedanås i pracować dla dobra gminy. Marie i Alexander to przyjaciele z dzieciństwa, więc traktuję ją trochę jak własną córkę. – Jego głos nagle poważnieje. – Rozumiesz, do czego zmierzam?

Anna przytakuje, choć to pytanie retoryczne.

– Chodzi mi o to, że w takim miasteczku jak Nedanås policja jest częścią społeczności w zupełnie inny sposób niż w dużym mieście. Wszystko, co się robi, albo nie robi, rodzi konsekwencje, czasami bardzo osobiste. – Morell milknie, wygląda, jakby ostrożnie ważył

słowa. Pochyla się tak blisko Anny, że ta czuje zapach kawy w jego oddechu. – W tej robocie chodzi o relacje. O to, żeby być częścią społeczności, rozumieć, jak i co ludzie myślą. A kiedy wydarzy się coś, co wymaga litery prawa...

„A kiedy wydarzy się coś, trzeba będzie postąpić właściwie”, szepcze głos Håkana w jej głowie. „Bo chyba nie sądzisz, że zapomniałem, co mi obiecałaś?”.

6.

28 sierpnia 1990

Marie udawała, że zaciąga się papierosem, który podała jej Carina. Czerwone prince'ny były zdecydowanie za mocne, ale te wszystkie lata szkolne spędzone w miejscu dla palaczy nauczyły ją dobrze udawać. Tak samo z pićm. Zazwyczaj kieliszek wina piła bardzo długo, a potem dolewała sobie tylko do połowy. I wytrzymywała z tym na wpół pustym kieliszkiem przez cały wieczór, co oszczędzało jej złośliwych komentarzy, że jest nudna. Tylko Carina wiedziała, że Marie oszukuje, ale nigdy jej nie wydała.

Alex rozpalil ognisko tuż przed zapadnięciem zmroku. Na początku płomienie były wysokie i rzucały cienie na drzewa i skały, potem zgasyły. Bruno, jak zwykle, wziął z restauracji płytę grillową i razem z Alexem rozstawili ją nad żarem. W tym samym czasie Marie, Carina i Simon przygotowywali postłania. Skała wciąż jeszcze była nagrzana od słońca, ale jak tylko się ściemniało, powietrze robiło się chłodne i wilgotne, dlatego po chwili wszyscy, oprócz Alexa, włożyli dżinsy i kurtki.

– Postaw się jesieni! – Zaśmiał się Alex, otwierając nową puszkę piwa.

Marie nalała czerwonego wina do plastikowych kubeczków dla Cariny i dla siebie.

– Jak spędziłaś dzień? – zapytał Bruno.

Pytanie było neutralne, ale Marie widziała, jak na nią patrzy.

– Do dupy. – Carina wydmuchnęła dym z nosa w sposób, w który Marie nigdy się nie udało.

– Åke wrócił o czwartej nad ranem, oczywiście na bani, i obudził mnie i mamę. Potem, jak zwykle, zaczęli się kłócić. – Carina z pogardą przewróciła oczami, tak jak zawsze, kiedy mówiła o swoim

ojcu. – Po drodze do pracy zostawiłam maluchy u babci, żeby nie słuchały tych awantur. Potem za gówniane pieniądze karmiłam staruszków, zmieniałam im pieluchy i myłam kible. Jeszcze jeden wspaniały dzień rodziny Pedersenów. – Carina zrobiła ironiczny grymas i zaciągnęła się papierosem.

Bruno wyglądał, jakby pożałował, że w ogóle zapytał, a Marie zrobiło się go żal. Jednocześnie poczuła, jak jej burczy w brzuchu. Była zajęta przygotowaniami do przeprowadzki i nie zdążyła nic zjeść. I teraz dopadł ją głód. Wypiła parę łyków wina.

– Twoja matka powinna to zgłosić na policję – powiedział Alex tonem, który sugerował, że nie lubi gadać o takich sprawach.

– Jasne – wymamrotała Carina. – Jakby to miało w czymś pomóc. Przecież wszyscy w tym zasranym Nedanås wiedzą, że on bije moją matkę.

– Od czego masz starszych braci? – zapytał Simon.

Carina potrząsnęła głową.

– Są zajęci swoim życiem. – Zgasiła papierosa o kamień i popatrzyła przed siebie.

Marie wiedziała dlaczego. Wszyscy znali starszych braci Cariny i wszyscy doskonale wiedzieli, że nikt nie ośmieliłby się zapytać, czym są tak bardzo zajęci. Marie wzięła łyk wina i uświadomiła sobie, że ma już prawie pusty kieliszek.

Kiedy drewno z ogniska trochę wystygło i zrobiło się szare, Bruno ułożył na grillu karkówkę i warzywa. Imponujące było to, że w ciągu paru minut potrafił wyczarować cały posiłek, ale wszyscy widzieli to już tyle razy, że teraz nikt nie reagował. Jednak tego wieczoru Marie postanowiła to zmienić.

– Jak apetycznie pachnie, Bruno! Dobra robota! – powiedziała. Prawdopodobnie dlatego, że była głodna, albo z powodu wina, które wypiła na pusty żołądek.

Bruna ucieszył taki komplement, jednocześnie wprawiając go w zakłopotanie. Marie wiedziała, dlaczego tak nagle się zarumienił. Simon napomknął jej, że podoba się Brunowi. A jeśli nawet ona nie czuła tego samego, to mimo wszystko było jej miło. Zaczynała mieć

dość tej idiotycznej gry w brzydkiego chłopaka i ładną dziewczynę, w którą zdawali się grać już od pierwszej klasy. Fajnie było wiedzieć, że się komuś podoba i że jest ktoś, kto woli ją, a nie tę superlaskę Carinę Pedersen, nawet jeśli tym kimś miałby być tylko Bruno Sordi.

– *Friends forever* – powiedział Alex i uniósł puszkę z piwem. – Na dobre i na złe.

– Dawaj! – I Carina napełniła kieliszek Marie po sam brzeg.

Jeśli wszystko wypije, znacznie przekroczy swoją zwykłą normę. Ale to nie był zwyczajny wieczór. Ostatnia letnia kąpiel to tradycja, którą wymyślił Alex, kiedy mieli po trzynaście lat. Od tego czasu robią to co roku. Przynajmniej tak było dotychczas. Lato 1990 i maturę mieli za sobą i Marie już czuła to ekscytujące oczekiwanie na wszystko, co przed nimi. Na to, jak będzie wyglądało prawdziwe życie. Wzniósła toast i wzięła drugi łyk wina, a potem jeszcze jeden... Poczwała miłe ciepło przechodzące przez ciało.

Po jedzeniu wszyscy położyli się na swoich matach, najedzeni i przyjemnie odurzeni, i spoglądali w czarne niebo. Wprost nad nimi było przejrzyste, ale od zachodu zaczynały gromadzić się chmury. Uformowały gęstą ciemną ścianę, która wolno wędrowała w kierunku zbocza i kamieniołomu. Simon wyłączył magnetofon, wrzucił do ognia parę drewna i wyjął gitarę. Usiadł plecami do ściany skalnej i zaczął grać. Marie zobaczyła, że Carina oparła głowę na ramieniu Alexa i zaczęli palić wspólnego papierosa, co oznaczało, że wszystkie wcześniejsze starcia poszły prawdopodobnie w niepamięć. Marie była już przyzwyczajona do ich ciągłych awantur, choć zauważyła, że w ciągu ostatnich miesięcy jakby się nasiliły. Czasami Carina napomykała, że zastanawia się, czy nie zerwać z Alexem. Tym razem tak na serio, a nie jak wiele razy wcześniej, kiedy to uprawiała pewnego rodzaju grę. Nie wspomniała też nic o tym, żeby się zamieniły z Marie, tak by ona i Alex mogli spać w jednym namiocie. W tym roku Marie już na to nie pójdzie. Spanie w namiocie z Brunem oznaczałoby, że wysyła mu fałszywe sygnały.

Bruno ułożył swoją matę tuż obok Marie. Trudno jej było wyobrazić sobie ich razem. Ona, Bruno, Carina i Alex znali się jeszcze

z przedszkola. Simona znała najdłużej. Na jednej z najstarszych pożółkłych fotografii w albumie rodzinnym byli jeszcze bobasami. Leżeli na plecach w jednym łóżeczku, podczas gdy ich mamy, Elisabet i Ebba Vidje, odświętnie ubrane, dumnie przy nich pozowały. Marie i Simon byli kuzynami, ale czuli się, jakby byli rodzeństwem. Mimo to łatwiej jej było wyobrazić sobie siebie z Simonem niż z Brunem. Tym miłym i przewidywalnym Brunem.

– Kurwa, chyba nie może być już lepiej niż teraz – westchnął Alex. Zaciągnął się papierosem i podał go Carinie.

Simon wciąż grał na gitarze. Miękkie akordy mieszały się z trzaskiem płomieni. Nagły dźwięk z lasu poderwał Carinę na równe nogi.

– To był trzask łamanej gałęzi? – zapytała przestraszona.

Bruno też wstał i zaczął się wpatrywać w drzewa.

– Jakież zwierzę – odparł. – Może jeleń.

Carinę trochę to uspokoiło i znów położyła głowę na ramieniu Alexa. Bruno usiadł na macie, jeszcze bliżej Marie. Uśmiechnął się zażenowany, kiedy spotkał jej wzrok. Marie nie była pewna, czy może mu na to pozwolić. Ale czuła się trochę wstawiona, poza tym postanowiła, że tego wieczoru pozwoli sobie i na wino, i na zaloty. Za parę tygodni będą już z Simonem w Lundzie. Już sobie nawet załatwiła dorywczą pracę w komitecie partyjnym w Malmö. Oczywiście, pomogło jej to, że była córką Bengta Anderssona. I wcale nie zamierzała się tego wstydzić. Jej plan był jasny: przez kilka lat, podczas studiów, będzie robić sprawozdania z zebrań i parzyć kawę, potem skończy studia jako dobrze zapowiadająca się młoda osoba z jasno wyznaczonym celem. Kilka lat praktyki w lokalnej polityce, a potem dalej, do sejmu, tak koło 2000 roku. Ta data była dla niej jak magia. Rok 2000. Nie tam jakieś nudne 1990, tylko 2000. Przyszłość.

Simon zmienił piosenkę, nucił cicho coś, co prawdopodobnie było refrenem. Atmosfera natychmiast się zmieniła, kiedy wziął instrument do ręki. Wszystko stało się jakby bardziej oczywiste, a oni dojrzalsi.

– Wiecie co? – zapytała Carina, wrywając Marie z zamyślenia. – To może ostatni wieczór, kiedy to razem robimy.

– Zielona noc? – odezwał się Simon. – Zamierzam spać dzisiaj w ubraniu. Wiecie, co myślę o biwakowaniu.

– Nie to miałam na myśli – odparła Carina i znów się zaciągnęła.

– A co miałas na myśli, baby? – powiedział Alex i wyciągnął rękę po papierosa, ale Carina udała, że nie zauważyła jego gestu.

– Miałam na myśli, że to może nasz ostatni raz... – Jej głos zabrzmiał melancholijnie. – Alexa biorą w kamasze za dwa tygodnie...

– To się nazywa służba wojskowa – przerwał jej Alex, ale Carina udała, że nie słyszy.

– Marie i Simon wynoszą się do Lundu.

– W czwartek – dodała Marie. – A tak na marginesie, to nie podpisałeś jeszcze umowy wynajmu, Simon.

Simon nie odpowiedział, co zrytowało Marie. Ale to był właśnie cały Simon, nigdy nie pojawiał się na czas i zawsze wszystko odkładał na ostatnią chwilę.

– Strasznie ciężko jest dostać akademik w Lundzie – powiedziała zirytowanym głosem. – A jeszcze trudniej znaleźć mieszkanie. Tata musiał użyć wszystkich swoich kontaktów, żeby to załatwić. – Marie odwróciła się do Simona, by mieć pewność, że ją słyszy. – Nie możesz tego olać tak po prostu. Przyjadę do ciebie jutro i to załatwimy, okej?

– Mhm – odburknął Simon, nie podnosząc wzroku znad gitary.

Marie wypita jeszcze łyk wina, zobaczyła, że kieliszek jest pusty, i wyciągnęła rękę po butelkę.

– W każdym razie wy troje wynosicie się stąd – kontynuowała Carina. – I zostawiacie mnie i Bruna w tym zapyziałym cholernym Nedanås. W tej dziurze.

– W jakiej dziurze? – zaprotestował Bruno. – Mam plany na przyszłość. Ty chyba też jakieś masz?

– Jasne – odburknęła Carina.

– Plany? A jakie ty masz plany, baby? – zapytał Alex. Rozbawiło go

to.

Carina zaciągnęła się mocniej.

– Powłóczyć się pociągami, popracować trochę jako kelnerka na Ibizie, a nawet być jakąś cholerną *au pair*, jeśli coś znajdę. Cokolwiek, byle się stąd jak najszybciej wyrwać.

– Ależ, baby – rzekł Alex. – Przecież już o tym rozmawialiśmy... Że weźmiesz cały etat w domu starców, dopóki ja nie skończę wojska. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może uda nam się wyskoczyć na parę tygodni na Krete w przyszłym roku, jeśli tylko to nie będzie kolidowało z moimi zawodami.

– Wiele stąd sama, bez ciebie. Już, teraz. Jak najdalej od Åke i matki, z dala od twoich rodziców i wszystkich, którzy patrzą na mnie bykiem. Jak najdalej od tej choliernej dziury. – Carina zaciągnęła się ostatni raz i wrzuciła niedopałek do ogniska.

– Jasne, jak chcesz, baby... – Alex pogłaskał Carinę z pobłażaniem po włosach, lecz ona z irytacją odepchnęła jego rękę i usiadła naprzeciwko niego.

– Słyszeliście?

– Co? – zapytali Marie i Bruno jednocześnie.

Gitara Simona ucichła.

– Co tym razem? – zaśmiał się Alex. – Nowy jeleń-morderca?

– Cicho! – Carina wstała i popatrzyła w dół, tam, gdzie kończyła się droga.

Za drzew zaczęło się wylaniać światło reflektora, a następnie głucho pomrukiwanie silnika. Z jakiegoś powodu Marie aż zadrżała.

7.

Jesień 2017

Dwudziesty piąty lipca 1994 roku był pierwszym dniem Anny w mundurze. Wciąż jeszcze pamięta to zdenerwowanie, ten drapiący w szyję kołnierzyk, ocierający się o biodra pas z bronią. I świadomość, że na odprawie wszyscy znali się jak tyse konie. Znali swoje mocne i słabe strony, wiedzieli, co trzeba zrobić, żeby wykonać zadanie. Wszyscy oprócz niej.

Dzisiaj Anna nie siedzi już cicho w ostatnim rzędzie, tylko stoi na przedzie i wszystkie oczy są zwrócone na nią. A jednak uczucie jest mniej więcej to samo. Dwadzieścia sześć osób, czyli niemal cały personel. Anna nie jest urodzonym liderem jak Håkan. Jej siła tkwi w słuchaniu, nie w mówieniu, dlatego swoje przemówienie ćwiczyła przez kilka tygodni.

– Tak więc witamy bardzo serdecznie naszą nową szefową i moją następczynię, Annę Vesper, tutaj w Skanii i w naszym Nedanås – te słowa kieruje do Anny Henry Morell.

– Witajcie wszyscy – odpowiada Anna i próbuje uchwycić jak najwięcej spojrzeń. – Jak już wiecie, nazywam się Anna Vesper. Mam czterdzieści pięć lat i, co też już pewnie wiadomo, przyjechałam ze Sztokholmu. Przez ostatnie siedem lat pracowałam w Wydziale Przemocności Zorganizowanej na stanowisku komisarza kryminalnego. – Nabiera powietrza i świadomie mówi powoli: – Ale nie obawiajcie się, jako dziecko przyjeżdżałam tu do rodziny na wakacje, więc co nieco rozumiem skański, nawet jeśli nie mówię...

Anna uśmiecha się, a w ślad za nią kilkoro młodszych policjantów. Jednak cała reszta nie reaguje na jej żart, nawet nie drgnie im warga.

„A nie mówiłem”, przypomina jej Håkan. „Poczucie humoru nie jest twoją najmocniejszą stroną. Rób to, w czym jesteś naprawdę

dobra, głuptasie!”.

Anna odchrząkuje, wyłącza z myśli Håkana.

Dużo powietrza, nie za szybko. Tylko się nie zatnij.

– Formalnie zaczynam od przyszłego miesiąca. W ciągu najbliższego tygodnia Henry przekaże mi stanowisko. Spróbuję też wziąć kilka dyżurów, żeby pojeździć radiowozem po okolicy. Mam nadzieję, że za jakieś dwa, trzy tygodnie spotkam się z każdym z was i porozmawiamy o tym, jak pracujecie, jakie macie problemy i w jaki sposób mogę was wspierać jako wasza szefowa.

Szczególnie zadowolona jest z tego ostatniego sformułowania. To mowa motywacyjna z kursu dla szefów, którą wykuła na pamięć. W swoim przemówieniu dodaje jeszcze, że ma szesnastoletnią córkę Agnes, która właśnie zaczęła naukę w liceum i marzy o tym, aby w przyszłości być fotografem. Potem kończy bez zająknięcia, że bardzo się cieszy, iż będzie miała okazję z nimi pracować.

Morell zaczyna uprzejmie klaskać.

– Dziękuję, Anno, za te słowa. Jestem przekonany, że wszyscy tu obecni zrobią, co w ich mocy, żeby ta zmiana była bezbolesna. Zanim oddam głos Jensowi, chciałbym jeszcze przypomnieć, że w piątek po południu, w urzędzie gminy, odbędzie się uroczystość pożegnalna. Wiecie, co myślę o takich imprezach, dlatego bardzo bym się ucieszył, gdybyście oprócz garniturów przywdziali też uśmiech na usta.

Żart Morella natrafia na dużo lepszy grunt. Morell czeka, aż wszyscy przestaną się śmiać, i zwraca się do policjanta siedzącego w pierwszym rzędzie, na samym brzegu:

– Oddaję ci głos, Jens.

Jens Friberg wstaje, czeka, aż Anna i Morell usiądą, i otwiera czarną teczkę, którą trzyma pod pachą. Friberg jest jej rówieśnikiem, wysportowany i umięśniony, co Annie się podoba. Ma szare oczy, podobnie jak Håkan, ale bez tego błysku, który powodował, że trudno było się na niego gniewać. Ma ciemne, krótko ścięte włosy, jego perfekcyjnie leżąca koszula ma prościusienkie zaprasowanie na piersi i na plecach, a jego amerykańskie buty spadochronowe

wypastowane są na błysk. Anna szuka u niego kolejnych symboli – zegarek dla nurków, a w pasie podwójny magazynek, kajdanki i nisko zawieszona kabura. Zastanawia się, czy Friberg ma też tatuaż militarny, i na pięćdziesiąt procent jest pewna, że tak. Jej przekonanie wzrasta do sześćdziesięciu procent, kiedy Friberg zaczyna swoją mowę. Od razu sobie uświadamia, że sama się z siebie śmieje.

– Witajcie, wszyscy tu zebrani. Weekend minął następująco...

Anna spotkała wielu takich mężczyzn jak Friberg. „Tom of Finland szwedzkiej policji”, jak ich nazywał Håkan. Ściąga usta, ale uśmiech i tak nie chce zejść z jej twarzy. Jej chichot to przede wszystkim reakcja na uczucie ulgi po przemówieniu, podczas którego ani razu się nie zacięła. Połyka go szybko i patrzy w podłogę. Po kilku sekundach podnosi głowę i próbuje się zorientować, czy Friberg coś zauważył, ale jego zdyscyplinowana twarz nic nie zdradza.

Po odprawie Morell oprowadza Annę po komisariacie. Budynek jest większy, niż jej się wydawało – szatnia, archiwum, garaż i sala gimnastyczna w piwnicy oraz recepcja, areszt i pokój odpraw na parterze. Gabinet nad schodami prowadzącymi na piętro ma oszklone ściany. W środku stoi duże biurko, a na ścianach wiszą zdjęcia. Anna domyśla się, że to gabinet Morella i że wkrótce będzie należał do niej. Morell pokazuje Annie pokój wypoczynkowy, gdzie spędzają przerwy, i przedstawia jej policjantów siedzących wzdłuż korytarza. Potem zatrzymuje się na końcu korytarza i otwiera drzwi.

– To będzie twój gabinet, Anno.

Pokój jest duży, słabo umeblowany i pachnie stęchlizną. Półki są puste, bez książek, leży tam tylko prawie puste pudło z papierem biurowym, podłokietniki do fotela i kilka starych telefonów z przyciskami. Okna, przy których jedna z żaluzji jest powyginana, wychodzą na parking i garaże.

– Myślałam, że dostanę twój stary gabinet – mówi Anna ze zdziwieniem.

– No właśnie chciałem o tym z tobą porozmawiać... Szkoła Policyjna zatrudniła mnie, żebym zaktualizował ich materiały

dydaktyczne, rozumiesz... Przywództwo, zarządzanie ludźmi, tego typu rzeczy. – Morell uśmiecha się, jego głos w dalszym ciągu jest przyjazny. – Naczelnik wyraził zgodę, więc żeby nie komplikować sprawy, chciałem cię zapytać, czy mogę zachować mój stary gabinet. To kwestia kilku miesięcy, najwyżej pół roku.

Pytanie ją zaskakuje. Morell cały czas jest ojcowsko uprzejmy. Poza tym na razie to jej jedyny sojusznik. Więc wybiera proste rozwiązanie.

– Oczywiście, nie ma problemu.

– Wielkie dzięki, Anno – mówi z uśmiechem. – Doceniam to, naprawdę. Co byś powiedziała na lunch, ja stawiam? Zaraz za rogiem jest świetna knajpa.

Restauracja, mimo swojego nijakiego wystroju, okazuje się mieć naprawdę niezłą włoską kuchnię. W menu nie ma błędów w pisowni, jak to często bywa, nie ma też tak zwanej kebabopizzy, a makaron jest smaczny i ugotowany al dente. Kiedy Morell przedstawia Annę właścicielowi, wszystko staje się jasne.

– Fabrizio Sordi, ale wszyscy w tej dziurze nazywają mnie Fabbe – mężczyzna mówi perfekcyjnie po szwedzku, a raczej po skańsku, jednak z typowo włoską intonacją. Ma ciemne włosy i okulary i na oko jest tej samej wagi i w tym samym wieku co Morell, jedynie o dwie głowy niższy.

– Fabbe, jak wielu innych, przyjechał tu do pracy w Glarei w sześćdziesiątym ósmym. I marnował swój talent w fabryce żwiru. Resztę sam ci opowie! – Morell poklepuje go zachęcająco po ramieniu.

– W latach sześćdziesiątych szwedzka kuchnia nie nadawała się do jedzenia. Czerwona fasolka i grochówka. Ananas i szynka w puszcze. Rodzina z Włoch przysyłała mi makaron i oliwę z oliwek. – Fabbe wznosi ręce do nieba. – W weekendy dorabiałem w kuchni na zmywaku, aż w końcu kucharz dopuścił mnie do gotowania. A że był moczymordą, zdarzało się to coraz częściej.

Tak pewnie tu nazywają pijaków, myśli Anna, a w ustach tego małego Włocha słówko to brzmi tak zabawnie, że Anna aż zaciska usta, by się nie zaśmiać.

– W siedemdziesiątym piątym właściciel chciał sprzedać knajpę – kontynuuje Włoch. – Więc wyściubiłem wszystko, co miałem, i udało się. Moje chłopaki właściwie tu wyrosły. Gotowanie mają we krwi. Dante, mój najstarszy syn, jest drugi po szefie w Nomie w Kopenhadze. Dwie gwiazdki Michelin!

Morell jeszcze raz poklepuje go po ramieniu, a Włoch pęka z dumy.

– A więc to nie jego dzieło? – Anna pokazuje na swój talerz.

– Nie, to Bruno, młodszy syn.

– Przekaż mu więc, że było bardzo smaczne. Ottimo!

Fabbe uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Tu parli Italiano. Brava!

– Trochę, już właściwie zapomniałam – mówi Anna po włosku, a potem przechodzi na szwedzki: – Na początku lat dziewięćdziesiątych przez pół roku studiowałam we Florencji. Jeszcze zanim zostałam policjantką.

– Nieźle ci idzie – śmieje się Fabbe. – Poczekaj chwilę. Bruno! Bruno!

Jego wołanie zwraca uwagę klientów restauracji. Mężczyzna w stroju kucharza wygląda przez drzwi w drugiej części sali. Fabbe macha, żeby podszedł.

– Bruno, chodź tutaj się przywitać. To jest Anna Vesper, nasza nowa komendant. Mieszkała we Florencji i mówi po włosku.

Mężczyzna wyciąga rękę. Jest mniej więcej w wieku Anny i wypisz wymaluj to szczuplejsza wersja jego taty. Ma zaczesane do tyłu włosy i takie same usta jak Fabbe, ale poważniejsze spojrzenie i brak zmarszczek mimicznych.

– Bruno Sordi – przedstawia się.

– Witaj, Bruno! Twój makaron był pyszny.

– Dziękuję! – Ściąga nieco usta i kiwa głową na ojca. – Niestety, mój włoski jest trochę kulawy. Czy tata już zdążył ci powiedzieć, że zaczynał na zmywaku, a skończył jako właściciel restauracji?

– Przed chwilą.

– To pewnie też już wiesz, że mój brat jest kucharzem z gwiazdkami Michelina?

Anna kiwa głową.

– W takim razie nie mam już nic do dodania. – Bruno uśmiecha się trochę krzywo. – Jestem tylko prostym prowincjonalnym kucharzem, poza tym robota czeka, więc jeśli mi wybaczysz...

– Co słyhać u Marie? – pyta Morell trochę za szybko, jakby nie chciał, żeby Bruno odszedł.

– Dziękuję, w porządku. Pojechała z Bengtem do Sztokholmu na jakieś spotkanie. Ale znasz ją. Dziesięć srok za ogon. Nedanås nie poradziłoby sobie bez niej. – Bruno robi żartobliwy, a jednocześnie zrezygnowany gest ręką.

– Słyszałem od Alexa, że jakoś wam się udało załatwić wszystko z finansami – mówi Morell. – Jak myślisz, kiedy z tym ruszycie?

Bruno zerka na ojca.

– Zobaczymy. Mam nadzieję, że już niedługo.

Morell odwraca się do Anny.

– Bruno ożenił się z córką Bengta Anderssona, Marie, tą, która pracuje w urzędzie gminy. Prowadzą bed and breakfast w domu rodzinnym Marie, niedaleko stąd. Ale mają większe plany. Centrum konferencyjne, spa i wykwinna restauracja. Firma Alexa buduje im ósmy cud świata. Przedsięwzięcie, dzięki któremu Nedanås nareszcie znajdzie się na mapie, prawda?

– W każdym razie mamy taką nadzieję. – Bruno wygląda na zawstydzonego. – Muszę wracać do kuchni. Miło cię było poznać, Anno, i cieszę się, że ci smakowało. Do zobaczenia.

Bruno kiwa głową ojcu i Morellowi, a potem znika.

– Miły chłopak – mówi Anna do Fabbego, głównie dlatego, iż czuje, że mężczyzna na to właśnie czeka. – Musisz być bardzo dumny ze swoich dzieci.

Właściciel knajpy kiwa głową.

– To dobre dzieciaki. Bruno, Marie, Alex. Wszyscy.

Mężczyźni spoglądają na siebie w sposób, który Annie nic nie

mówi. A jednak czuje, choć nie wie dlaczego, że na jej oczach toczy się jakaś dziwna gra. Gra, której reguł nie potrafi rozgryźć.

8.

28 sierpnia 1990

Z lasu wytoczył się motor, wykręcił i zatrzymał się tuż przy rowerze Simona. Marie próbowała coś dojrzeć i zobaczyła dwie osoby, prawdopodobnie dziewczynę i chłopaka. Silnik ucichł, światła zgasły i parę sekund później zostały zastąpione światłem latarki skierowanym na ścianę skalną.

– Halo, wy tam w górze! – zawołał męski głos.

– Halo! – Zamachała Carina, stojąc na skraju skały, i zmrużyła oczy przed rażącym ją światłem latarki.

Alex podszedł do Cariny i próbował ją objąć ramieniem. Marie trzymała się z tyłu. Nie rozpoznawała ani motoru, ani głosu. Nie podobała jej się myśl o obcych tutaj.

– Możemy do was wejść na chwilę? – zawołał motocyklista.

Alex odwrócił się do Marie i uniósł brwi w pytającym geście. Marie potrząsnęła głową.

– To nasza impreza – powiedziała. – Nasza tradycja, prawda, Bruno?

Bruno bez słowa pokiwał głową. Simon znów zaczął grać na gitarze.

– Mamy trawkę – odpowiedział męski głos. – Ja i moja siostra chętnie się z wami podzielimy, jeśli dacie nam coś do jedzenia.

Alex zrobił gest w kierunku Marie i zachichotał.

– No dalej, Marie, może być całkiem fajnie.

– Mówisz tak, bo chcesz zapalić – zasyczała Marie.

– *So what?* Przecież żyje się tylko raz, baby? – Alex ponowił próbę, żeby znów objąć Carinę, i tym razem spotkał się z mniejszym protestem.

– Dlaczego nie... – wymamrotała Carina.

– A co pozostali na to? Poszerzymy trochę horyzonty? – zapytał

Alex.

– Dzięki, obejdzcie się – zaprotestowała Marie. – Bruno też nie chce. Bruno spojrzął za siebie.

– Dwie osoby za, dwie przeciw – powiedział Alex. – Simon, masz decydujący głos?

Simon patrzył znad gitary wzrokiem, jakby zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Marie spojrzała na niego, zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową. Ku jej irytacji Simon to zignorował.

– Obojętnie – odparł i wzruszył ramionami.

– No i co w końcu? – krzyknął motocyklista. – Zabawimy się czy jak?

Alex zachichotał do Marie.

– Chodźcie! – zawołał. – I nie zapomnijcie o trawce!

Simon ciągle grał. Rzewne i smutne akordy, wzmocnione ciszą, która nagle zapadła. Marie ogarnęło uczucie niechęci, wymieszane z upokorzeniem, że nie wyszło na jej, i postanowiła natychmiast wracać do domu. Podniosła się i zaczęła otrząpywać spodnie. Zrobiła kilka kroków w kierunku namiotu, ale zakręciło jej się w głowie. Przystanąła, zaczęła coś liczyć i uświadomiła sobie, że wypita zdecydowanie za dużo, żeby prowadzić. Wprawdzie do domu, do Kotorp, nie miała daleko, więc ryzyko, że zostanie zatrzymana, było niewielkie... A jeśli coś się stanie? Ludzie tutaj jeżdżą jak wariaci. Nie mówiąc już o tym, co by powiedział ojciec, gdyby zobaczył, że prowadziła samochód po pijanemu. Jeden taki błąd może ją kosztować karierę, jeszcze zanim na dobre ją zaczęła.

Wtedy na skałę weszła para z motoru.

– Cześć wszystkim!

Chłopak trzymający latarkę wyglądał na kilka lat starszego od nich. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, biały T-shirt i dzinsy. Prezentował się dobrze, miał długie, zaczesane do tyłu włosy, a jego twarz miała nieco ostre, może nawet groźne rysy.

– Joe, a to moja siostra Tanja.

Światło latarki skierował na dziewczynę tylko na kilka sekund, ale Marie zdążyła zauważyć, jak Alex natychmiast się wyprostował.

Postawione włosy, podarte dzinsy, buty na obcasach i wydekoltowany top pod skórzaną kurtką sprawiały, że siostra Joego wyglądała jak te niegrzeczne, ale eleganckie panienki z klipów muzycznych.

– Cześć – przywitała się Tanja krótko.

Aleks podszedł do nich, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę na powitanie.

– Alex.

Joe nakierował na niego światło latarki. Mierzył go powoli z góry do dołu i z powrotem.

– Cześć, Alex – odpowiedział, ale bez podawania ręki. – A więc to ty jesteś samcem alfa w tej grupie. A to twoi kumple? – Joe przesunął latarkę.

– To Marie, a to Carina – powiedział Alex, ignorując komentarz Joego.

– Cześć dziewczyny – rzekł Joe.

Na krótki moment latarką oświetlił Marie, ale zanim zdążyła zmrzyć oczy, skierował światło na Carinę. Minęła dobra chwila, nim przeniósł je na Bruna.

– A ty masz jakieś imię?

– Bruno.

– To ty zajmujesz się tu kuchnią? – Joe poświecił na leżące obok tacki foliowe z resztkami jedzenia. – Długo dzisiaj jechaliśmy i jesteśmy cholernie głodni. Jeśli chcesz ją poderwać, to jedzenie jest dobrym początkiem.

– Co? – Bruno próbował odgadnąć, czy Joe żartuje, ale w ciemności trudno było zobaczyć wyraz jego twarzy.

– O, widzę, że macie tu i trubadura. – Strumień światła przesunął się na Simona. – Nie przestawaj grać. Nie ma ogniska bez *Blowin' in the wind*, co?

Marie chciała już coś powiedzieć, żeby ten bezwstydnym intruz i ta jego popieprzona siostra poszli do diabła, ale Tanja ją uprzedziła.

– Daj spokój, Joe. – Tanja wzięła latarkę i skierowała ją wprost na twarz Joego, w taki sam sposób, w jaki on to robił przed chwilą. –

Przepraszam za mojego brata. Potrafi być niezłym palantem. Ale tak naprawdę to tylko marudny smarkacz, któremu spadł poziom cukru.

Joe zasłonił oczy przed światłem latarki, ale po chwili się poddał i ze śmiechem opuścił ręce.

– Tanja ma rację. Palant ze mnie. Głodny palant! Sorry, jeśli kogoś obraziłem.

Tanja zgasiła latarkę i odwróciła się do Bruna. Płomienie z ogniska oświetlały jej twarz. Miała mocny makijaż: na ustach ciemną szminkę, a pod oczami czarne kreski, które w blasku ognia wyglądały na jeszcze grubsze.

– Jeśli dacie nam coś do jedzenia, będzie super – powiedziała i ostrożnie położyła rękę na ramieniu Bruna.

Nie umknęło to uwadze Marie.

Bruno odchrząknął.

– Jasne, nie ma problemu. – I zaczął wyjmować tacki foliowe.

– Poczekaj, Bruno – powiedział Alex. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to była mowa o handlu wymiennym?

Joe uśmiechnął się, włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął przezroczystą foliową torebkę z czymś, co przypominało tytoń.

– Wystarczy dla wszystkich – zaśmiał się.

Alex poklepał go po plecach, wyjął z torby-lodówki dwie puszki piwa i najpierw podał Joemu, a następnie Tanji. Drugą puszkę przytrzymał chwilę dłużej, żeby napotkać jej wzrok. Marie spojrzała na Carinę, myśląc, że ta się zezłości na ten wyraźnie flirtujący gest, ale, ku jej zdziwieniu, Carina zachowywała się całkiem obojętnie.

Intruzi pochłaniali jedzenie, jakby od wielu dni nic nie mieli w ustach. Następnie popili kilkoma puszkami piwa, a Alex, Bruno, Carina i Marie patrzyli na nich z ciekawością. Simon jako jedyny nie był zainteresowany gośćmi, siedział zatopiony we własnych myślach i brzdąkał na gitarze.

Kiedy się już najedli, Joe beknął głośno i wyjął torebkę z towarem, a następnie papierki do skrętów i zapalniczkę.

– Pora na deser. Co wy na to?

Joe podał Alexowi latarkę, a sam wziął tackę foliową jako

podkładkę. Jego długie, smukłe palce poruszały się szybko i sprawnie. Joe zwinął trzy jointy i atmosfera powoli się poprawiała. Zapalił pierwszy, zaciągnął się i podał jointa Carinie.

– Paliałaś już kiedyś?

Carina potrząsnęła głową.

– Głęboko wciągnij dym i wstrzymaj oddech. Kiedy skończysz, podaj dalej. – Pokazał głową na Marie.

Włożył do ust drugiego jointa i go zapalił. Mocno się zaciągnął i przysunął do Cariny. Oboje trzymali dym w płucach. Carina zakasłała, a potem zachichotała w sposób, którego Marie nie lubiła.

– Teraz moja kolej – powiedział Alex i wyciągnął rękę.

Tymczasem Joe, zamiast podać mu jointa, jeszcze raz się zaciągnął, delikatnie szturchając przy tym Carinę łokciem.

– W gorącej wodzie kąpany, co? Zawsze taki jest?

Carina wciąż chichotała. Alex się zezłościł. Carina odwróciła się do niego tyłem i podała jointa Marie, która tylko udała, że się zaciąga. Przez kilka sekund trzymała dym w ustach, a potem wypuściła. Trawka smakowała zarazem czymś słodkim i spalenizną i, szczerze mówiąc, była smaczniejsza niż tytoń. Marie ponownie się zaciągnęła, tym razem trochę głębiej, co Joe ostentacyjnie docenił. Coś było w tym chudym facecie. W jego oczach. Był przystojny i nawet w jej guście, co było miłym zaskoczeniem. Już sam fakt, że nazwał Alexa samcem alfa, świadczył o poczuciu humoru i inteligencji. Poza tym był starszy i dojrzały. Ale było w nim coś jeszcze. Coś pociągającego, a jednocześnie odpychającego.

– No dalej – zajęczał Alex do Joego. – Podaj dalej!

– Masz! Wyluzuj.

Alex wziął jointa, ale zdecydowanie za mocno się zaciągnął i zaczął przeraźliwie kaszleć. Joe zaczął się śmiać i walnął go kilka razy w plecy. Marie znów się zaciągnęła. Tym razem, kiedy przesunęła dym trochę głębiej do gardła, poczuła w całym ciele miłe uczucie ciepła, które zastąpiło napięcie i zdenerwowanie. Zamknęła oczy i spróbowała jeszcze raz.

Joe zapalił trzeciego jointa i podał go Tanji.

– To dla ciebie i trubadura. Lubisz gitarzystów, co?

– Zamknij się – powiedziała Tanja, ale wstała i usiadła obok Simona.

Joe przysunął się bliżej Cariny. Następnie wykonał gest w kierunku Marie, choć ona nie od razu go zrozumiała. Musiało minąć kilka sekund, zanim sobie uświadomiła, że wciąż trzyma jointa między palcami i że prawie połowę już wypaliła.

Jesień 2017

Anna urządziła się w swoim nowym biurze. Na biurku postawiła komputer, na ścianach powiesiła kilka dyplomów w ramkach, żeby przykryć plamy. Kodeks prawny, raporty śledcze, czapka policyjna oraz zdjęcie Agnes stoją na półce, udało jej się nawet załatwić dwa różne krzesła dla gości. Mimo jej wysiłków pokój wciąż wygląda zimno i nieprzytulnie, a duszny zapach niezamieszkania wciąż nie mija. Anna otwiera okno i wpuszcza trochę świeżego jesiennego powietrza, potem siada za biurkiem i zaczyna przeglądać najnowszą statystykę przestępczości i listę spraw w toku.

Trudno jej się skupić. W głowie tłoczą się zdarzenia ostatnich dni. Tabor, Mów-mi-Lasse, Klein, borsuk, spotkanie z tym dziwnym Matsem. Henry Morell i Jens Friberg, lunch w restauracji u Fabbego i jego syna Bruna, który z jakiegoś powodu wydał jej się jakby zaplanowany. Nie wspominając już o malowidle na ścianie w sali kazań i opowieści o śmierci Simona Vidje. Trudno sobie wyobrazić, że jeszcze w piątek rano stały z Agnes w korku w Essingeleden. Jej prawnik ostatnio nie dzwonił, ale może za wcześniej, żeby się o to martwić. Zrobiła, co jej kazał, teraz jego kolej.

Z opowieści Morella wynika, że wyzwania, które ją tu czekają, w większości są do zaakceptowania, jednak pominął kilka interesujących ją spraw. Podobnie jak w innych gminach, i tu zdarzają się pewnie przestępstwa związane z narkotykami, tym bardziej że w ostatnich latach policja odkryła pustostan używany do uprawy marihuany. Poza tym odbyło się tu parę głośnych akcji przeciwko Glarei zorganizowanych przez organizacje ekologiczne. Anna wciąga powietrze, ale dzisiaj nie dobiega do niej żaden zapach. Prawdopodobnie wiatr rozwiął mgłę i smród wypalanej gliny.

Mniej więcej po godzinie ślęczenia nad papierami Anna wstaje, bierze swój ulubiony wyszczerbiony kubek z emblematem nowojorskiej policji i idzie nalać sobie kawy. Kiedyś koledzy z pracy podliczyli, ile kubków dziennie wypija. Skończyli na sześciu, ale to nawet nie zbliżało się do topowej trójki z kryminalnego. Kiedy idzie pachnącym starą wilgocią korytarzem, słyszy w pokoju wypoczynkowym odgłosy rozmowy. W środku siedzi Jens Friberg i umundurowana policjantka po trzydziestce.

Kiedy Anna wchodzi, przerywają rozmowę w środku zdania.

– Cześć, Jens – mówi Anna i wydaje jej się, że to uprzejmy sposób pokazania mu, że jest na tyle ważny, iż zapamiętała jego imię.

– Cześć – odpowiada policjantka, dobrze zbudowana blondyna, może trochę za wysoka. Jej ton jest z lekka obrażony.

– Cześć. Myśmy się chyba już spotkały, wczoraj, prawda?

– Frida. Nie, nie spotkałyśmy się. Byłam na zwolnieniu, miałam chore dziecko. – Jej ton, wzmocniony mimiką, staje się jeszcze bardziej gorzki.

– Za dużo nowych twarzy i imion w tak krótkim czasie... W każdym razie spotykamy się teraz. Anna Vesper. – I Anna wyciąga rękę, ukrywając rumieńce na twarzy i ignorując spojrzenia Friberga.

Po chwili się odwraca i nalewa sobie kawy do kubka. Nagle budynkiem wstrząsa głucho dudnienie, aż zaczynają dzwonić szyby w oknach. Anna wzdryga się i wylewa kawę na spódnie.

– Co to t... t... – zacina się. Między zębami a dolną wargą czuje wibracje. Przełyka ślinę i akcent przenosi na inny wyraz. – Co to o było?

Jens Friberg i Frida patrzą, najpierw na siebie, potem na nią.

– Glarea – wyjaśnia Friberg. – Używają dynamitu w żwirowni. Przyzwyczaisz się po paru miesiącach.

– Okej – odpowiada Anna. Wie, że nie ma już nic więcej do dodania, wraca więc do swojego gabinetu.

– M-m-yślisz, że d-długo tu z-zostanie? – słyszy Fridę przedrzeźniającą ją ze śmiechem.

Jednak nie słyszy, co odpowiada Friberg.

Tuż po lunchu dobiega ją stukanie do drzwi. To Morell. Najpierw Anna myśli, że przyszedł ją zaprosić na lunch, ale okazuje się, że nie jest sam. Jest z nim mężczyzna w wieku Anny, w bluzie i spodniach roboczych z pasem na narzędzia. Ma pasemka na włosach, szeroki nos, umięśniony kark i lekko odstające uszy, jak u zapaśnika. Pewnie kiedyś musiał być przystojny. Właściwie to wciąż niczego mu nie brakuje, mimo iż ma już lekkie zakola i brodę przyprószoną siwizną.

– To jest właśnie mój Alexander – mówi Morell. – Jego firma budowlana wykonuje dla nas na komisariacie różne prace remontowe, więc poprosiłem, żeby spojrzął też na twoje okna.
– Morell pokazuje na żaluzje.

– Świetnie. Anna Vesper.

Alexander Morell pachnie potem i ubraniem roboczym, ale nie jest to całkiem nieprzyjemny zapach, jak u niektórych mężczyzn.

– To ja obejmę stanowisko po twoim tacie – mówi Anna tylko dlatego, że nic innego nie przychodzi jej do głowy.

– Tak, wiem – odpowiada Alexander i uśmiecha się nieśmiało.
– Możesz mówić do mnie Alex, wszyscy tak mnie nazywają, oprócz rodziców.

– Anna i jej córka mieszkają w Taborze – mówi Henry Morell tonem, który wskazuje, że Alex prawdopodobnie już dawno o tym wie.

– W Taborze, aha – mamrocze pod nosem Alex. – Najładniejszy dom w całej okolicy.

Oprócz tego nie ma już nic więcej do powiedzenia. Podchodzi do okna i sprawdza ramę. Z pasa wyjmuje śrubokręt i wykonuje parę ruchów ręką. Coś sympatycznego jest w tym jego wycofaniu.

– Mój krewny miał ziemię blisko Taboru, zanim Vidje ją od niego odkupił – głos Morella brzmi jak zwykle uprzejmie, a jednak Anna wyczuwa w jego tonie pewien rodzaj goryczy. – Dom jest świeżo po remoncie, prawda?

Anna kiwa głową. Domyśla się, o co chodzi, i odwraca się w kierunku okna.

– To pewnie twoja robota, Alex. Wygląda świetnie.

Alex zaskoczony podnosi głowę.

– Nie. Elisabet Vidje nie chciała, żebym...

Alex zerka na ojca. Usta Morella robią się wąskie jak kreska.

Anna domyśla się, że wdepnęła na grząski grunt.

– Myślałam, że... – odpowiada i odwraca się do Morella.

– Myślałam, że jeśli tyle wiecie o tym domu i Alex j-jest... – Anna robi przerwę, wciąga powietrze, żeby ukryć zacinanie się. – Przepraszam, jeśli nadepnęłam komuś na odcisk.

Twarz Morella mięknie.

– Nic się nie stało. – Morell pochyla się bliżej Anny i ścisza głos: – Niestety, Elisabet Vidje żywi do naszej rodziny urazę. – Morell zatrzymuje się, spogląda przez ramię na Alexa i drapie się po brodzie. – To stara historia. Kiedy mój krewny sprzedał Tabor Elisabet Vidje, zachował prawo do polowania na tamtym terenie. Taką zawarł umowę z ojcem Elisabet, jako pewien rodzaj rekompensaty za to, że tak tanio sprzedał posiadłość. Po pewnym czasie ja i moi kuzyni przejęliśmy umowę i nawet dobrze to funkcjonowało. Änglaberga ma mnóstwo innych terenów łowieckich. – Morell znów się drapie po brodzie. – Ale pod koniec lat osiemdziesiątych jeden z moich kuzynów ranił jelenia, który przybłąkał się do Taboru. Zwierzę leżało i ryczało. Bardzo szybko udało nam się je uwolnić, ale, Niestety, Karl-Johan widział wszystko. Przyjechał na dziedziniec i zaczął krzyczeć i płakać. Wpadł w zupełną histerię. Skończyło się na tym, że musieliśmy zadzwonić po Kleina. – Morell znów drapie się po brodzie. Jego egzema jest dzisiaj bardziej widoczna, mocno zaczerwieniona. – Karl-Johan zawsze był bardzo wrażliwy. Typowy mieszcuch, który kochał malować naturę, nie mając jednocześnie pojęcia, jak funkcjonuje. Polowanie to polowanie, czasami coś się może zdarzyć. – Morell potrząsa głową. – W każdym razie, nie wiadomo dlaczego, Klein przyjechał z Elisabet Vidje, choć mu mówiliśmy, żeby był sam. Kiedy Karl-Johan siedział z nimi w samochodzie, trząsł się jak osika i był zupełnie bez kontaktu. Próbowałem ich przeproszać, ale Elisabet nie chciała o tym słyszeć. Zaczęła na mnie pokrzykiwać przed całą naszą grupą,

z którą polowałem. A używała takich słów, że nie chcę ich nawet powtarzać...

Morell potrząsa głową. Kątem oka Anna widzi, że Alex przestał naprawiać żaluzję. Stoi do nich tyłem, ale jest jasne, że wszystko słyszy.

– Po dwóch dniach przyszedł list z kancelarii Gunnarssona. Umowa pozwalająca na polowanie została zerwana w trybie natychmiastowym. Od tej pory przestaliśmy się do siebie odzywać i, niestety, przeniosło się to na następne pokolenie. – Morell wykonuje gest w kierunku Alexa, który jest skupiony na oknie. – *À propos*, spotkałaś ją może?

Pytanie sprytnie ukryte w zdaniu, jednak Anna natychmiast się domyśla, że właśnie do tego zmierzała cała ta opowieść.

– Tylko jej prawników, no i Kleina.

– Aha. – Morell kiwa głową i robi minę, jakby poczuł lekką ulgę. – Klein jest okej. To dzięki niemu Änglaberga wciąż istnieje. Przejął stery, kiedy Karl-Johan ściągnął majątek na dno. – Morell kończy. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał, i zerka na Alexa. – Elisabet Vidje na pewno cię odwiedzi – odzywa się po chwili cicho. – Będzie chciała ci opowiedzieć tę tragiczną historię. Wiesz, jej syn Simon...

Zanim Morell kończy zdanie, okno trzaska z hukiem. Anna wzdryga się i zaciekawiona podnosi głowę.

– Okej, zrobione. – Alex chowa śrubokręt, wypróbowuje żaluzję, która teraz działa jak należy, i odwraca się do ojca. – Pokaż mi, co jeszcze jest do zrobienia?

Anna stoi i patrzy, jak ojciec z synem idą korytarzem. Z tyłu ich ciała i ruchy są niemal identyczne. Kiedy skręcają w prawo i kierują się do schodów, Alexander odwraca się i spogląda w jej stronę. Uśmiecha się w sposób, który poprawia jej humor. „Podoba ci się”, stwierdza Håkan bez odrobiny zazdrości. Anna mamrocze pod nosem, żeby się zamknął, i wraca do swoich raportów. Jednak po chwili znów odzywa wrażenie z wczorajszego lunchu.

Że wokół niej dzieje się coś, czego wciąż jeszcze nie rozumie.

10.

28 sierpnia 1990

Carina głęboko się zaciągnęła, tak jak nauczył ją Joe. Czowała na sobie jego spojrzenie. Zauważyła, jak przysunął się do niej tak blisko, że ich ciała aż się dotykały. Jakby chciał sprawdzić, czy ma coś przeciwko temu. Joe był przystojny, niezaprzeczalnie. Poza tym o kilka lat starszy i dojrzałszy niż Alex. No i inteligentniejszy. Alex nawet nie zauważył, że Joe sobie z niego żartuje. Na przykład że ten cały samiec alfa to było ironiczne...

Właściwie to najchętniej uniknęłaby tego biwakowania, tych sprzeczek z Alexem, spania w wilgotnym namiocie i wysłuchiwania, jakie to wszyscy mają cholernie wspaniałe plany na przyszłość, oczywiście wszyscy oprócz niej i tego nieszczęśnika Bruna. Nawet jeśli Alex ślinił się do tej lafiryndy, siostry Joego, to i tak ta dwójka sprawiła, że ten ich cholerny wieczór był o niebo bardziej interesujący.

Byli w trakcie drugiej kolejki i atmosfera wyraźnie się poprawiła. Marie, która była pijana i na haju, zaczęła głośno fałszować refren piosenki:

– *Ooh, baby, baby it's a wild world...*

Simon grał na gitarze z na wpół zamkniętymi oczami i otwierał je tylko wtedy, kiedy Tanja, która siedziała obok niego, wkładała mu do ust jointa. Jego czoło było błyszczące, palce tańczyły na strunach gitary. Coś dzisiaj z nim nie tak, zastanawiała się Carina. Jest jakiś inny. Przyciągający, co nie było raczej cechą charakterystyczną Simona Vidje.

Alex usiadł pod drugiej stronie Tanji, bardzo się wysiłał, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, co było zarówno irytujące, jak i dość przewidywalne. Ale, o dziwo, nie to najbardziej przeszkadzało

Carinie. Z niewiadomego powodu zaczęło ją irytować to, w jaki sposób Tanja wyjmowała jointa sobie z ust i podawała Simonowi. Miętko, powoli, jakby przekazywała mu pocałunek. Dlaczego tak jej to przeszkadzało? Carina nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Bruno wrócił z obszczałki. Usiadł tuż obok Marie, trzymając butelkę wody. Marie spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był niespełna rozumu, sama popijała piwo z puszki, którą podał jej Joe, mimo iż normalnie nigdy nie piła piwa.

Carina pomyślała, że może powinna pomóc Brunowi z Marie. Uspokoić ją i dać jej trochę wody. Z drugiej strony fajnie było popatrzeć, jak ta zawsze poukładana Marie Andersson chociaż raz się upiła.

Piosenka się skończyła i Simon uznał, że czas zrobić przerwę. Oparł głowę o kamień i zamknął oczy.

Tanja położyła mu głowę na ramieniu. Ten intymny gest wywołał w Carinie jeszcze większą irytację, tak że nawet nie zauważyła, jak Joe ukradkiem ją objął. Carina nie odsunęła jego ręki.

– A więc, dzieciaki – powiedział Joe przesadnie dorosłym tonem – zdaliście właśnie maturę i całe życie przed wami, tak? Wszystko jest możliwe! – Wciągnął dym z jointa i podał go Carinie. – No to jakie macie marzenia? Kim zostaniecie, jak będziecie duzi, co? – Wskazał na Bruna. – Może zaczniemy od ciebie, szefie kuchni!

Bruno spojrzał na Marie, która najwyraźniej miała problem z utrzymaniem się w pozycji siedzącej.

– Własna restauracja – odpowiedział. – Nie restauracja ojca, tylko moja, moja własna.

– A więc... kucharz. Uczciwe zajęcie. Ludzie zawsze będą chcieli jeść, co?

Bruno skinął niepewnie głową, jakby nie do końca wiedział, czy Joe sobie z niego żartuje, czy mówi poważnie. Carina natomiast dobrze wiedziała. I trochę ją to wszystko bawiło. Że jako jedyna domyślała się, jaka gra tu się toczy.

– A ty? – Joe zwrócił się do Alexa. – Mister samiec alfa. Na kogo ty wyrośniesz?

– Złoty medal na olimpiadzie – odpowiedział Alex pewnym siebie głosem, próbując jednocześnie zwrócić uwagę Tanji. – Zapasy. Jestem dwójką w Szwecji w mojej grupie wiekowej i w mojej wadze. W dziewięćdziesiątym drugim, na olimpiadzie w Barcelonie, stanę na najwyższym podium. – Wyjął z zanadru swój najszerszy uśmiech, pomachał rękami i zamrugał do Tanji.

Carina pokręciła głową. Jeśli coś takiego wydarzyłoby się na przykład rok temu, zrobiłaby mu scenę. Ale była już tym zmęczona. Tymi idiotycznymi gierkami, które z kłótni przechodziły w pojednawczy seks, w codzienne życie, a potem znów od początku, i tak cały czas.

– Nieźle – odparł Joe. – A ty, moja piękna? – zwrócił się do Cariny.

– Cokolwiek. Byle się stąd wyrwać – wymamrotała.

– Cokolwiek, naprawdę? – Głos Joego przybrał aksamitną barwę. Zdawało się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Marie mu przerwała.

– Polityka! – powiedziała głośno. – Chcę się zajmować... – przerwała i zaczęła od początku. – Chcę się zajmować polityką. Sejm. Ale najpierw studia, nauki polityczne w Lundzie. Simon i ja wyprowadzamy się w przyszłym tygodniu...

– No, no – rzekł Joe. – A co z naszym małym trubadurem? Co z niego wyrośnie, hm?

– Muzyk rockowy – odpowiedział Simon zadziwiająco mocnym głosem.

– Muzyk rockowy, naprawdę? – zachichotał Joe ironicznie. – Całkiem niezłe marzenie. Sława? *Sex, drugs and rock'n'roll*, tak?!

– Coś w tym stylu. – Simon znów zamknął oczy.

– *Come on*, odwal się – wybełkotała Marie. – Simon będzie studiował na akademii muzycznej w Malmö. Będziemy razem mieszkać. Mój ojciec załatwił nam wypasioną chatę w centrum miasta...

– Nie – powiedział Simon zwartym głosem i otworzył oczy.

– Co nie? – zdziwiła się Marie.

– Nie przenoszę się do Lundu.

– Co?!

Carina bezwiednie się wyprostowała. Zauważyła, że nie ona jedna. Alex i Bruno zrobili to samo.

– Będę koncertował z jedną kapelą – kontynuował Simon. – Ich gitarzysta odszedł i szybko potrzebują kogoś nowego. Zaczynają tournée za trzy tygodnie, więc już we wtorek jadę do Sztokholmu.

Wokół ogniska zapanowała idealna cisza i przez chwilę wydawało się, że wszyscy czekają na moment, kiedy Simon wybuchnie śmiechem i powie, że to był żart.

– Poważnie? – zapytał Bruno, kiedy cisza zrobiła się o kilka sekund za długa.

Simon pokiwał głową.

– W jakiej kapeli?

– Talizman.

– Ja pierdolę, słuchaliśmy ich po drodze tutaj. Jak, do diabła, się tam dostałeś?

Simon wzruszył ramionami.

– Mój nauczyciel gitary zna jednego gościa z wytwórni płytowej. I mnie zarekomendował. W zeszłym tygodniu w Malmö spotkałem się z kilkoma muzykami z zespołu i zagraliśmy razem. Najwyraźniej uznali, że pasuję.

Carina poczuła, jak wali jej serce. Mieszanka radości i podniecenia rozchodziła się po jej ciele. Nareszcie coś się zaczęło dziać. Nareszcie ktoś zrobił coś nieoczekiwanego. Jednocześnie poczuła ukłucie zazdrości. Postanowiła natychmiast je zdusić.

– To niemożliwe, Simon. Gdzie będziesz mieszkał? – Głos Marie brzmiał płacząco.

– Wytwórnia płytowa załatwiła mieszkanie na czas prób. Tournée będzie trwało cztery miesiące. Szwecja, Europa i parę koncertów w Azji. A potem... zobaczymy. Najchętniej chciałbym pisać własną muzykę, a to jest niezły start.

– Ale przecież ja już nawet zamówiłam meble, do cholery – powiedziała Marie drżącym głosem.

Joe zdjął rękę z pleców Cariny i zaczął bić brawo.

– Brawo, trubadurze! Pozostali przy tobie to jak banda nieudaczników, luzerów. Gwiazda rocka, drodzy przyjaciele, to jest prawdziwe cholerne marzenie! – Joe zachichotał, znów położył rękę na plecach Cariny, tym razem kilka centymetrów niżej. Ale ona się nie broniła.

– A ty, co ty zrobiłeś takiego super ekstra!? – wypalił Alex, który nareszcie się zorientował, jaką grę prowadzi Joe.

– Wow, spokojnie mister samiec alfa. – Joe uniósł wolną rękę. – Jesteśmy po tej samej stronie. Ja też cholernie zazdrozczę naszemu trubadurowi.

Joe przesunął rękę na plecach Cariny jeszcze niżej, ale tym razem Carina ją zdjęła, wstała, chwiejnym krokiem podeszła do Simona i go przytuliła.

– Ale ekstra, gratuluję – powiedziała. – Nareszcie ktoś, kto się stąd wyrwie!

Usiadła obok Simona. Teraz po jego jednej stronie siedziała Tanja, po drugiej ona.

– I kiedy zamierzałeś nam o tym powiedzieć? – Alex był wciąż wściekły, choć teraz skierował swoją złość na Simona.

– Dopiero teraz wszystko się wyjaśniło. Zadzwonili do mnie z wytwórni dzisiaj po południu.

– I nic nie powiedziałaś?

– Musiałem to najpierw przetrwać. Przecież teraz wam o tym mówię, tak? – zirytował się Simon.

W ciągu zaledwie minuty atmosfera zmieniła się z luźnej przez pełną zaskoczenia aż po prawdziwie napiętą. Carina poczuła wzrok Joego. Przez krótki moment nawet on stracił kontrolę i był równie zaskoczony jak pozostali. Jednak teraz z szyderczym uśmiechem na ustach uważnie wodził wzrokiem po całej piątce.

– No tak – zaśmiał się. – Niełatwo stanąć twarzą w twarz z kimś, kogo marzenia się spełniają, co? Zwłaszcza jeśli jest to ktoś z naszych najbliższych kumpli.

– Zamknij się – powiedziała Carina i uświadomiła sobie, że ona też wpadła w pułapkę. Że dała się wciągnąć w te cholerne

psychologiczne gierki, które prowadził z nimi Joe.

– Zaśpiewasz nam coś, Simon? – zapytała Tanja. – Coś swojego?

– Właściwie to nie wiem...

Tanja przysunęła się trochę bliżej niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Proszę! Zrób to dla mnie.

Simon poczerwieniał na twarzy. Wziął gitarę i rozejrzał się wokół.

– Okej. – Przeciągnął kostką po strunach. – Tytuł *Lonely Waters*.

Zagrał kilka melancholijnych akordów w pięknej opadającej skali. A potem zaczął śpiewać:

– I saw a friend today, someone I knew long ago. But I still recalled her name...

Głos Simona płynął nad ogniskiem, odbijał się o ścianę skalną i powracał pięknym echem.

– And she told me this. My friend from long ago. And things will never be the same.

Simon wciąż wyglądał tak samo. Długie jasne włosy opadające na ramiona, spiczasty nos, smukłe palce na strunach. Carina setki razy słyszała, jak grał i śpiewał – mniej więcej w taki sam sposób jak teraz. Ale dopiero teraz coś się w nim zmieniło, jakby nagle stał się zupełnie inną osobą.

– I'll see you by the waters. The dark and lonely waters.

Po pierwszej zwrotce Tanja podchwyciła refren. Jej głos był głębszy, niż się wydawało, a Simon szybko się do niej dopasował. Zmienił chwyt i zaczął śpiewać nieco wyżej. Ich dwa różne głosy sprawiły, że piosenka była jeszcze piękniejsza. Carina i reszta siedzieli w ciszy i słuchali. Joe też, mimo iż cały czas zachował swoją ironiczną minę. Simon i Tanja śpiewali, ich głosy stapały się i odbijały echem o ściany kamieniołomu.

– The dark and lonely waters.

Przy ostatnim refrenie Carina usiłowała do nich dołączyć, ale bez powodzenia. Jej głos brzmiał słabo w porównaniu z ich głosami i był prawie niesłyszalny. Kiedy piosenka się skończyła, zapanowała grobowa cisza.

- Super – powiedziała Carina i chwyciła Simona za ramię.
- Dzięki – odpowiedział Simon, nie odwracając wzroku od Tanji.
Alex splunął wściekły w dół urwiska.
- Naprawdę dobra – dodał Bruno. Chyba chciał powiedzieć coś więcej, ale spojrzenie Marie uciszyło go.
Joe podniósł się, wyprostował i mrugnął do Cariny.
- Wystarczy tego smęcenia. Co powiecie na małą nocną kąpiel?
A może, drogie dzieci, boicie się kąpać w ciemności?

Jesień 2017

Dworzec kolejowy w Nedanås to piękny stary budynek z początku dwudziestego wieku, z wysokimi filarami, odświeżoną fasadą i wieżą z dużym starym zegarem. W środku znajduje się mała poczekalnia, obowiązkowo Pressbyrån i duży szyld informujący, że wkrótce otwarcie Espresso House.

Dochodzi piąta, więc na pętli autobusowej przed stacją kłębią się tłumy ludzi wracających z pracy i ze szkoły. Anna zatrzymuje się na przystanku, wysiada z samochodu i próbuje znaleźć Agnes. Powietrze pełne jest spalin i dymu papierosowego. Agnes nie widać, więc Anna idzie na peron. Kiedy wychodzi z samochodu i wchodzi na chodnik, słyszy, że ktoś za nią woła.

– Tu nie wolno parkować!

Zatrzymuje się radiowóz, ma otwarte szyby. Jens Friberg siedzi na miejscu pasażera, a za kierownicą ona, ta pewna siebie krótko ostrzyżona policjantka z pokoju wypoczynkowego.

– Hej, Jens – odpowiada Anna. – Czekam tylko, żeby odebrać córkę.

– Niestety, przepisy obowiązują wszystkich – mówi Friberg. – Poza tym wysiadłaś z samochodu. Jeśli się opuści samochód, to znaczy, że zaparkowany.

Anna stoi przez chwilę i zastanawia się, o co chodzi. Czy to może jakiś ponury żart, w tym samym stylu co kiedyś w Sztokholmie... Ale nie dostrzega tego po sztywnej twarzy Friberga. Natomiast widzi, że policjantka za kierownicą uśmiecha się w jakiś inny sposób. Przed i za samochodem Anny są przecież wolne miejsca, Anna chce im to pokazać. Ale rezygnuje, bo wie, że w tej bezsensownej dyskusji nie chodzi o przepisy ruchu drogowego, tylko o coś zupełnie innego.

Kątem oka zauważa Agnes, która stoi i rozmawia z grupą rówieśników. Anna czuje się upokorzona. Bierze głęboki wdech.

– Właśnie idzie moja ccc-córka – mówi i zacina się na ostatnim słowie.

Friberg siedzi nieruchomo i obserwuje ją przez otwartą szybę samochodu. Jego oczy są szare i zimne, a twarz wciąż bez wyrazu.

– Okej – odpowiada i powoli zamyka szybę.

W samochodzie Agnes nie jest szczególnie rozmowna. Otwarta i przyjazna wersja niej z ostatniego weekendu gdzieś znikła. Teraz siedzi i jak zwykle bawi się swoją komórką. Zwykle bardzo to Annę irytuje, ale w tej chwili jej to nawet odpowiada. Daje szansę ochłonąć i zastanowić się nad tym, co właściwie się przed chwilą wydarzyło. Im więcej o tym myśli, tym bardziej jest przekonana, że Friberg jechał za nią od samego komisariatu. Szukał okazji. Okazji, żeby ją przyłapać. Sytuacji gdzieś pomiędzy jej rolą zawodową a rolą osoby prywatnej. I wszystko po to, by wystawić jej autorytet na próbę. A ta plotkara, jego koleżaneczka po fachu, już zadba o to, żeby wszyscy się dowiedzieli, jak to Friberg usadził swoją nową szefową. Ona zaś, oczywiście, nie będzie miała okazji, żeby się obronić. Uświadamia sobie to dopiero wtedy, kiedy wjeżdżają na zbocze.

Po pierwsze, to ona popełniła błąd, że zaparkowała na przystanku, a Friberg, zwracając jej uwagę, wypełniał tylko swoje obowiązki. Tym samym pokazał, że wszyscy są równi wobec prawa.

Po drugie, oficjalnie jeszcze nie przyjęła stanowiska. Ma się to odbyć równoległe z odejściem Morella, więc jeśli chciałaby natychmiast zareagować i wysłać Friberga do archiwum na parę dni albo oddelegować do sprzątania radiowozów, musi włączyć w to Morella, czego, oczywiście, nie robi.

Po trzecie, swoim wykładem w samochodzie, kilka dni temu, Morell jasno dał do zrozumienia, że sympatia na komisariacie leży po stronie Friberga. Jeśli usadzi go zaraz po tym, jak przejmie stanowisko w przyszłym tygodniu, będzie to jasny sygnał dla pozostałych, że karze go, bo jest jej rywalem. Tak więc musi zacisnąć

zęby i odnaleźć się w tej sytuacji. A potem poczekać na odpowiedni moment, żeby podreperować swój autorytet, który nadszarpnął Friberg. Najchętniej jak najszybciej. Gdy tylko zobaczyła jego spojrzenie przez szybę samochodu, stało się dla niej jasne, że nie było to ani przypadkowe, ani jednorazowe wydarzenie.

Kiedy widzi tablicę z napisem „Tabor”, postanawia nie myśleć więcej o pracy, w każdym razie nie dzisiejszego wieczoru.

– Z kim rozmawiałaś? – pyta Anna.

– Z nikim. Z dziewczynami ze szkoły. Jechałyśmy tym samym pociągiem – mamrocze Agnes pod nosem ze wzrokiem wlepionym w telefon.

– One też mieszkają w Nedanås? – Anna wie, że pytanie jest głupie, i tylko czeka, kiedy zostanie ofuknięta.

– Mhm.

Tylko tyle słyszy w odpowiedzi, postanawia więc nadstawić karku i drąży dalej:

– A o czym rozmawiałyście?

– O niczym szczególnym. W sobotę w Parku Miejskim jest jakaś impreza. Będzie Caia Bianca, więc wszyscy oszaleli.

– Kto taki?

Agnes podnosi głowę i wzdycha.

– *Come on*, mamó! Caia Bianca! Aktorka oper mydlanych, blogerka i bizneswoman. Ma własną markę kosmetyków, jest też jurorką w *Mam talent*? – Agnes podnosi telefon i pokazuje Annie zdjęcie platynowej blondyny o ustach kaczki, podniesionych policzkach i czole po botoksie.

– Ach, ona – mówi Anna, która wciąż nie ma pojęcia, o kim mowa.

– Caia pochodzi z Nedanås, ale nie przyjeżdża tu zbyt często. I teraz wszyscy oszaleli, jak tylko się dowiedzieli, że pojawi się w Parku Miejskim. O niczym innym dziewczyny dzisiaj nie mówiły w pociągu. *Big deal*.

– Rozumiem. Nie mamy żadnych planów na sobotę, więc jeśli chcesz iść...

Agnes parska pogardliwie i wraca do telefonu.

– Po prostu w to nie wierzę...

Anna parkuje samochód przed samym wejściem. Z kuchni słychać szczekanie Milo. Jest podekscytowany i gdy tylko otwierają drzwi, wybiega, robi kilka kótek wokół Agnes, a potem jak strzała pędzi do lasu.

– Milo! – krzyczy Agnes z niepokojem i chce biec za nim.

– Zostaw go w spokoju – mówi Anna. – Od rana nic nie jadł, więc na pewno jest głodny. Dajmy mu dziesięć minut, a jeśli nie wróci, pójdziemy razem i pomogę ci go złapać, okej?

Agnes zagryza dolną wargę, tak jak to robił Håkan. Ukłucie smutku przechodzi przez ciało Anny. Czasami są tak podobni do siebie, że aż ją to boli.

Przewidywania Anny sprawdzają się i po piętnastu minutach Milo wraca. Pies poszczekuje z zadowoleniem, kiedy otwierają mu drzwi. Obok niego na schodach leży martwy królik. Milo jest cały w błocie, więc Anna i Agnes myją go w dużym zlewie kuchennym. Pies strzepuje z siebie wodę, która rozpryskuje się po całej kuchni, co wywołuje u Agnes atak śmiechu. Anna się cieszy, że wszystko wygląda tak zwyczajnie.

To radosne uczucie utrzymuje się aż do kolacji. Agnes opowiada o swojej nowej szkole i o klasie, wprawdzie zdawkowo, ale lepsze to niż nic. Jednak potem, kiedy siedzą przed telewizorem, coś się zaczyna psuć. Agnes ma na kolanach swój iPad, a Anna ogląda wiadomości. Znowu mówią o złej sytuacji w służbie zdrowia i nagle w reportażu pojawiają się zdjęcia z oddziału onkologii. Stojące w rzędzie łóżka, białe kotary, żółte koce. Jej żołądek kurczy się. Zaczyna szukać po omacku pilota, ale wpadł między poduszki sofy i dopiero po trzydziestu sekundach udaje jej się zamienić pacjentów onkologicznych na niegroźny amerykański serial. To zdecydowanie za długo, jak się okazuje. Kiedy Anna patrzy na Agnes, natychmiast zauważa, że nastrój się zmienił. Chce coś powiedzieć, cokolwiek, co by zmieniło atmosferę. Jednak nic jej nie przychodzi do głowy.

– Ty tam byłaś, mamó, prawda? – mówi Agnes cicho. – Kiedy tata umierał. Byłaś tam, tak?

– Tak – odpowiada Anna, zanim jeszcze zdąży zebrać myśli.

– Dlaczego ja nie mogłam tam być?

Już słyszała to pytanie. Nigdy w słowach, ale w spojrzeniach, gestach i długich bolesnych chwilach milczenia. I tak jak zwykle, teraz też nie potrafi na nie odpowiedzieć.

Håkan bardzo chce odpowiedzieć, ale ona pogłośnia telewizor, żeby go nie słyszeć.

Kiedy Agnes mamrocze dobranoć i zamyka za sobą drzwi, Anna wychodzi na schody przed domem. Chwyta martwego królika za tylne łapy i podnosi go do góry. Jest lżejszy, niż myślała. Po chwili już wie dlaczego. Brzuch zwierzęcia jest otwarty i brakuje w nim wnętrzości. Najpierw Anna myśli, że to Milo tak go załatwił, i bierze ją obrzydzenie, kiedy przypomina sobie, jak lizał Agnes po twarzy. Ale kiedy ogląda królika w świetle lampy, widzi, że jego brzuch został otwarty jednym prostym cięciem i że wszystkie wnętrzości są dokładnie wyjęte. Anna stoi przez chwilę i zastanawia się, co to znaczy, ale nie znajduje wytłumaczenia. Milo musiał buchnąć gdzieś tego królika, może w Änglaberdze, nawet jeśli nie zgadza jej się ani odległość, ani czas.

Niesie królika do śmietnika za domem, wybiera kosz z napisem „Odpady” i wrzuca zwierzę. Zaczyna wiać wiatr i kiedy Anna wraca do domu, znów ma to dziwne uczucie, takie samo jak kilka dni wcześniej, kiedy była w lesie. Dobrze wie dlaczego. To przez pytanie Agnes i szept Håkana.

„Czy to wystarczająco daleko? Czy naprawdę wydaje ci się, że cię nie znajdą, jeśli będą chcieli? Musisz jej to powiedzieć, Anno!”.

W nocy ma sny, po raz pierwszy od kilku miesięcy znów ma sny. Klaustrofobiczny pokój szpitalny. Ona na krześle, on na łóżku obok. Powietrze jest suche i przesiąknięte zapachem środków antyseptycznych, światło jest przyziemione. Szum maszyn, kable

i wężyki poskręcane jak larwy, a trochę dalej kruche ludzkie ciało. Ciało, które kiedyś było Håkanem, a teraz powoli usycha.

– Anno, pomóż mi, proszę cię – szepcze Håkan.

Unosi wychudzoną rękę i kościstym palcem, który powinien należeć do dużo starszego mężczyzny, pokazuje na stojącą obok łóżka maszynę. Prostokątne pudło z mnóstwem guzików. Delikatnie szumiąca pompa, która wprowadza morfinę do jego krwi.

Spływające łzy zamazują pokój, Anna słyszy jego głos:

– Nie chcę umierać. Nie w taki sposób. Pomóż mi, Anno, proszę cię!

Nowa scena. Pokój przesłuchań.

Dwóch śledczych po jednej stronie stołu, ona i jej obrońca po drugiej.

– Zrobiłaś to? – pyta jeden z przesłuchujących i musi minąć kilka sekund, zanim Anna uświadomi sobie, że przesłuchującym jest Jens Friberg.

Budzą ją jakieś odgłosy. Albo tak jej się tylko wydaje, bo jest zupełnie rozbudzona, a serce wali jej jak młotem. Leży w ciszy i nasłuchuje. W pokoju jest zupełnie ciemno, za oknem słychać słaby szum wiatru. Siada na łóżku i sprawdza leżącą na stoliku komórkę. Jest druga w nocy, jeszcze około czterech godzin do dzwonka budzika. Cicho wstaje, tak żeby nie obudzić Milo i Agnes, i idzie do toalety. Zatrzymuje się przed pokojem córki i nasłuchuje, tak na wszelki wypadek. Jest cicho i spokojnie.

Ostrożnie zamyka drzwi od łazienki, ściąga spodnie od piżamy i siada na sedesie. Świeżo położona podłoga jest ogrzewana, dzięki czemu kafelki są ciepłe i miłe, kiedy się po nich stąpa. Anna siedzi jeszcze chwilę, zamyka oczy. Słyszy jakiś dźwięk, więc je otwiera. To skrzypienie z góry. Anna ostrożnie wstaje i podciąga spodnie od piżamy. Delikatnie uchyla drzwi od łazienki. Znów skrzypienie, tym razem jest już pewna. To podłoga. Ktoś jest na górze, w sali kazań. Włamywacz, intruz w ich domu, w środku nocy, zaledwie kilka

metrów od pokoju jej córki... Anna biegnie na palcach do przedsionka. W szufladzie leży jej pałka policyjna. Chwyta ją i wypróbówuje w ręce. Po chwili biegnie do schodów z pałką przygotowaną do obrony. Kiedy czuje w dłoni gumową rączkę, jej panika się zmniejsza. Nasłuchuje odgłosów z sali kazań.

Włamywacz jakby stał nieruchomo, bo nie słysząc skrzypiących desek podłogi. Może usłyszał odgłos jej pałki. Anna wstrzymuje oddech, a potem powoli wypuszcza powietrze, żeby jaśniej myśleć. Ma dwa wyjścia. Może obudzić Agnes i Milo, zapakować ich do samochodu i odjechać stąd tak szybko, jak to tylko możliwe, a następnie, z bezpiecznej odległości, zadzwonić pod numer 112. Wygląda przez okno. Księżyc w pełni oświetla całe podwórko. Samochód stoi blisko domu. Nie więcej niż pięć metrów od drzwi, ale włamywacz na pewno je usłyszy i będzie daleko stąd, zanim pojawi się radiowóz. Z sali kazań znów dochodzi skrzypienie. Ale nie brzmi jakoś groźnie. Raczej wyczekująco, trochę niepewnie. Ucieczka w panice z własnego domu nie przysporzy jej zaszczytów na komisariacie. Już sobie wyobraża, jak będą o tym gadać przy kawie. Że stchórzyła i uciekła jak spłoszony zając. Druga możliwość jest taka, że złapie włamywacza na gorącym uczynku już w pierwszym tygodniu. To podniosłoby jej autorytet, a to by jej się teraz bardzo przydało. Poza tym ta alternatywa jest bliższa jej policyjnemu sercu. Anna ściska pałkę w dłoni i myśli, co robić.

Moment zaskoczenia jest prawdopodobnie po jej stronie. Poza tym jest uzbrojona, wyćwiczona i ma doświadczenie w walkach wręcz. Anna znów grzebie w szufladzie, znajduje skórzane etui z kajdankami i wkłada je do kieszeni spodni od piżamy. Następnie ostrożnie otwiera drzwi na schody i nasłuchuje odgłosów z góry. Najpierw słyszy skrzypienie, a potem szelest. Wydaje jej się, że odgłosy dochodzą z tej ściany, na której jest malowidło.

Anna stawia stopę na pierwszym schodku. Drewno ziębi jej gołe stopy. Potem drugi schodek, trzeci. Zgina pałkę. Czwarty schodek, potem piąty. Dzięki piżamie i gołym stopom porusza się prawie bezszelestnie. Szósty schodek, siódmy, zatrzymuje się i znów

nastłuchuje. Na górze cisza. Jeszcze dwa kroki i będzie mogła wyrzec z za rogu. Staje na ósmym schodku i czuje wibracje w stopie, kiedy drewno wydaje z siebie słabe skrzypienie. Cholera!

Anna zatrzymuje się, wstrzymuje oddech. Z sali kazań nie dochodzi nawet najmniejszy odgłos. Czyżby została zdemaskowana? Jeśli tak, to znajduje się w najgorszym możliwym miejscu. Włamywacz jest gdzieś nad nią, strome i wąskie schody uniemożliwiają swobodne ruchy pałką, a poza tym ryzykuje upadek do tyłu. Do przodu czy do tyłu – musi podjąć decyzję.

Głęboko wdycha powietrze i wchodzi dalej po schodach. Lewa ręka z pałką uniesioną za głowę w pozycji obronnej, ale atak nie nadchodzi. Anna wpada do sali kazań i próbuje zlokalizować włamywacza. Księżyc wisi wprost nad ogromnym oknem i spowija pomieszczenie srebrzystobiałym światłem. Panuje idealny spokój, ani śladu włamywacza. Jedyne możliwe kryjówki w sali to duże schody za organami i za ekranami fotograficznymi Agnes. Anna obchodzi organy z gotową do użycia pałką, ogląda się za siebie, żeby nikt jej nie zaatakował z nienacka. Puls dudni jej w uszach. Przestrzeń za organami jest pusta. Obchodzi salę jeszcze raz i uświadamia sobie, że powinna też sprawdzić duże schody i ekrany fotograficzne przy ścianie z malowidłem. To jedyne miejsce, do którego jeszcze nie zajrzała. Zatrzymuje się jednak w pół drogi i ścisną rączkę pałki policyjnej.

– Wychodź stamtąd – jej głos odbija się groźnym echem. Nic się nie dzieje. – Jestem policjantką – mówi, tym razem trochę głośniej. – Wychodź natychmiast!

Wciąż nic.

Porusza się bardzo ostrożnie, aż dochodzi do pierwszego ekranu. Pusto. Zostało jeszcze jedno miejsce, za ekranem w drugim rogu sali.

Anna zatrzymuje się i znów nastłuchuje. Ale jedyne, co słyszy, to własny oddech. Ma suchość w ustach, rączka pałki przykleja jej się do spoczonej dłoni.

– Wyłaź! – krzyczy kolejny raz.

Bez odpowiedzi.

Porusza się ostrożnie, wyciąga lewą rękę i chwyta za róg ekranu. Jest lekki, składa się głównie z aluminium i materiału. Przysuwa go do siebie, odchyła i cofa się, żeby mieć miejsce na przejechanie pałką. Ekran chwieje się przez chwilę, po czym z hukiem przewraca się na podłogę.

Kąt za ekranem jest pusty. Anna opuszcza pałkę, oddycha głęboko.

Czyżby sobie to wszystko wymyśliła? Czy może to tylko naturalne odgłosy starego domu? To możliwe, nawet jeśli nie bardzo kupuje to wytłumaczenie. Bo jeśli rzeczywiście był tu włamywacz, to gdzie się podział? Anna schodzi dużymi schodami i sprawdza drzwi wychodzące na ogród. Zamknięte na kłódkę od zewnątrz, tak jak trzeba, wraca więc na górę. Okno wychodzące na ogród nie otwiera się, lecz i ono zostaje sprawdzone, tak na wszelki wypadek. Widok jest tak samo piękny w nocy jak za dnia. Daleko na horyzoncie połyskuje na różowo nocne niebo.

Coś jest nie tak w pokoju. Po kilku sekundach uświadamia sobie, co to takiego. Delikatny zapach, który nie pasuje do tego domu. Anna go nie zna. Im bliżej ściany z malowidłem, tym woń jest coraz mocniejsza.

W świetle księżycy malowidło wygląda jeszcze bardziej złowrogo. Kolory bardziej przytłumione, niebo ciemniejsze, deszcz jeszcze bardziej ponury. Zniekształcone odbicia w tafli wody wyglądają jak żywe. Zmieniają się, kiedy Anna podchodzi bliżej. Dzielą się, stapiają, i znów dzielą. Tworzą nowe kształty i nowe formy. To przypomina jej...

Księżyc chowa się za chmurę i w ciągu kilku sekund pokój spowija mrok. Anna zatrzymuje się, nie spuszcza wzroku z malowidła, jest tak skupiona, że nawet nie słyszy odgłosu dochodzącego ze schodów.

Księżyc wynurza się zza chmury, a ona bierze głęboki wdech. Odbicia stopiły się w jedno, uformowały jasną postać młodego mężczyzny. Ręce wyciągnięte nad głową, twarz zwrócona ku niebu. Błada skóra, długie włosy oplatające głowę jak świetlista aureola. Jest w tym coś pięknego, a jednocześnie bardzo smutnego. Bo jest

oczywiste, że ten młody mężczyzna jest martwy.

– To musi być Simon Vidje – odzywa się Agnes tuż za plecami przerażonej Anny.

12.

28 sierpnia 1990

Carina zobaczyła, że Simon wstaje, opiera gitarę o kamień i idzie w kierunku ścieżki za skałą. Poczekala chwilę, żeby jej nikt nie widział, wstała i powoli poszła za nim. Właściwie to nie wiedziała dlaczego. Być może dlatego, że coś nowego się wydarzyło. Coś, o czym musiała z nim porozmawiać. Między drzewami było zupełnie ciemno. Ale chodziła już tą ścieżką wiele razy. Obszczajka, jak ją nazywali, prowadziła do starych baraków, które kiedyś należały do działającego kamieniołomu, jednak teraz nikt nie docierał dalej niż do połowy drogi.

– Simon, jesteś tam? – wyszeptala Carina. – Simon?

– Tutaj!

Usłyszała jakieś odgłosy na prawo od ścieżki. I zobaczyła Simona wychodzącego zza drzew i zapinającego rozporek. Stanęli naprzeciwko siebie, kilka centymetrów bliżej, niż by to zrobili w dzień. Tak jakby ciemność ich do tego zmuszała. Ta bliskość spowodowała, że poczuła łaskotanie w przeponie, co właściwie było trochę dziwne. Przecież to był ten sam Simon Vidje, którego znała od przedszkola. Choć jednocześnie, w jakiś dziwny sposób, to nie był ten sam Simon, tylko całkiem nowa osoba...

– Pomyślałam, że... – urwała i poprawiła się: – Wiesz... to megasuper z tym twoim tournée. Peřen szacun.

Przez trawkę, którą niedawno palili, brzmiała trochę niewyraźnie. Oboje czuli od niej szczypiący smak w ustach.

– Dzięki!

– Kiedy się zwijasz?

– W poniedziałek.

– Tak szybko? – Carina nabrała powietrza, zawahała się. Ale

przerwał jej dźwięk łamiącej się gałęzi w lesie. – Co to było?
– Wzdrygnęła się.

– Nie mam pojęcia.

– Myślisz, że ktoś tam jest?

– A kto by miał być? Przecież wszyscy są na górze. – Simon zrobił gest w kierunku ściany, skąd dudniła muzyka.

– Nie oni. Ktoś inny...

Stali przez chwilę w ciszy i nasłuchiwali, ale jedyne, co dochodziło do ich uszu, to ich własne oddechy i odgłosy z kamieniołomu. Carina przetłknęła ślinę.

– Na pewno ten sam jeleń-morderca co przedtem – żąrtował Simon. – Pewnie jest ciekawy, co się tutaj dzieje.

– Tak myślisz? – Carina próbowała pozbyć się strachu, ale nie było to łatwe.

– No pewnie. Dlaczego tak znieruchomiłaś? Coś się stało?

Carina nie odpowiedziała. Zagryzła górną wargę i cały czas nasłuchiwała.

– Właściwie to zabawne – wymamrotała. – Głupia wariatka ze mnie.

– Co?

Carina potrząsnęła głową.

– No dalej, mów! – I Simon złapał ją za rękę.

Jego dotyk wcale nie był nieprzyjemny, wręcz przeciwnie. Carina wzięła głęboki oddech i zatrzymała powietrze na kilka sekund.

– A więc tak... tydzień przed końcem roku jechałyśmy z Marie autobusem do domu. Trochę nam się dłużyła droga i zaczęłyśmy rozmawiać o tym, jakie lubimy piosenki z lat osiemdziesiątych.

Simon się zaśmiał.

– Okej i pewnie któraś z was wybrała *Never Gonna Give You Up* Ricka Astleya?

– Przestań.

– Sorry, sorry, sorry. A więc rozmawiałyście w autobusie o muzyce z lat osiemdziesiątych i...

– I powiedziałam Marie, że moja ulubiona to *When Doves Cry*.

– Prince’a. Niezła!

– Też tak uważam! – rozpromieniła się Carina. – W każdym razie zaczęłyśmy nucić ten kawałek, no wiesz. Do do-do. Do do do-do. A potem gadałyśmy o czymś zupełnie innym. I nagle któraś z nas znów zaczęła to nucić, a potem dołączyła następna. Do do-do, aż myślałyśmy, że się posikamy ze śmiechu. Trochę to głupie, ale sam wiesz, jak to jest tydzień przed końcem roku... Tak jakby puszczały wszystkie hamulce.

Simon pokiwał głową.

– I potem, następnego dnia... – Carina zamilkła na moment. – Ale obiecuj, że nie będziesz się śmiać.

– Słowo skauta. – Simon zasalutował.

– No więc... Nie, przecież to idiotyczne... – Carina poczuła rumieńce na policzkach.

– *Come on*, no mów.

– Okej, Ale się nie śmieję! Następnego dnia znalazłam na parapecie martwego ptaka. I... wyobraź sobie... to był biały gołąb.

Na chwilę zapanowała cisza. A potem Simon wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

– Kurczę, Simon, przecież obiecałeś. – Carina dała mu kuksańca w klatkę piersiową.

– Sorry, sorry. To brzmi po prostu...

– Idiotycznie. Tak, wiem. Jestem przysłowiową głupią blondynką.

– Carina skrzyżowała ręce i odwróciła się.

– Nie. Nie o to mi chodzi. Przepraszam. – Simon strząsnął z siebie śmiech. – Nie jesteś głupia, Carina. Ale nie pomyślałaś o tym, że gołąb mógł po prostu wpaść na okno?

– Nie, bo hałas by mnie obudził. Poza tym ptak nie był zmasakrowany. Leżał na parapecie i wyglądał, jakby spał. Był niemal piękny, choć w jakiś taki przerażający sposób. Przyszło mi do głowy, że ktoś słyszał, jak śpiewałyśmy, a potem szedł za mną do domu... Od tej pory zupełnie jakby mi padło na rozum.

– I jesteś pewna, że nikt ci nie zrobił głupiego żartu? Kto jeszcze jechał tym autobusem?

Carina próbowała sobie przypomnieć.

– Samochód Alexa był w naprawie, więc on i Bruno siedzieli z tyłu. Poza tym była cała masa maluchów, młodszy brat Marie i jego kumple z klasy. Ty też wtedy jechałeś, ale jak zwykle siedzieliś ze słuchawkami na uszach, więc nie mogłeś nas słyszeć.

– W takim razie głównym podejrzanym jest Alex – powiedział Simon. – Pamiętasz, co zrobił po obejrzeniu *Ojca chrzestnego*?

– Wypchał poduszkę Bruna końskim gównem. Całe miasto potem o tym mówiło.

Simon uśmiechnął się krzywo.

– I nazwał to końską głową. Potem Bruno nie odzywał się do niego przez dwa tygodnie. Głupie i idiotyczne, ale śmieszne.

Carina popatrzyła na Simona i westchnęła.

– Może masz rację. Te jego idiotyczne żarty... To w sumie do niego podobne. – Carina chciała w to wierzyć, ale trudno jej było oszukiwać samą siebie. – A może to po prostu mój znudzony umysł próbował sobie urozmaicić swoją marną egzystencję. – Opuściła ręce. – Czasami mam już tak wszystkiego dość, rozumiesz?

Simon pokiwał głową.

Stali w ciszy przez kilka sekund i patrzyli na siebie w ciemności. Wciąż jej waliło serce, choć teraz nie tylko ze strachu. Po prostu Simon był jakiś inny tego wieczoru. Taki dojrzały, ekscytujący, więc...

Zupełnie impulsywnie Carina zrobiła krok do przodu, oplótła rękami jego szyję i przycisnęła swoje wargi do jego warg. Ich języki się spotkały, oddechy potoczyły w podniecającym smaku śliny, trawki i alkoholu. Ich ciała splotły się w uścisku i Carina poczuła, że Simon natychmiast stwardniał.

– Weź mnie ze sobą – wydyszała mu do ucha. – Zabierz mnie do Sztokholmu. Możemy zamieszkać razem, odłożyłam trochę forsy. Tylko ty i ja, Simon.

Carina znów próbowała go pocałować, ale Simon szybko się cofnął. Położył jej ręce na ramionach i wziął głęboki wdech.

– A Alex?

– Alex... – parsknęła. – Przecież to cholerny idiota. On nigdy się

stąd nie wyrwie. Ta jego olimpiada... Czy słyszałeś kiedykolwiek o luksusowym życiu jakiegoś zapaśnika? – Carina zaczęła się zacinać na końcowych słowach, a dwa ostatnie wypluła, jakby chciała za czymś nadążyć.

Wzięła ręce Simona, położyła je sobie na biodrach i przycisnęła się do niego. Simon wciąż był twardy.

– Pieprzyć Alexa, pieprzyć Nedanås, pieprzyć wszystko. Wiejmy stąd, tylko ty i ja. – Znów próbowała go pocałować, ale on wciąż trzymał ją na dystans, co tylko ją irytowało.

– Przecież chcesz – powiedziała i mocniej się do niego przycisnęła.

– Czuję, że chcesz.

Simon zrobił krok do tyłu, uwolnił się z uścisku i podniósł ręce do góry.

– Carina, nie mogę... – Przerwały mu odgłosy szybkich kroków i spadającego żwiru. Oślepiło ich światło latarki.

– Tu jesteście – zawołał Bruno. – Co wy tu robicie, przecież mieliśmy się kąpać? Powiesiliśmy już lampy i wszystko przygotowane. Idziecie, do cholery, czy nie!?

– Już idziemy, idziemy. – Simon ostonił oczy i spojrzał na Carinę.

Na widok jego twarzy zabrakło jej powietrza. I nie było to żadne podniecenie ani strach, że Bruno ich zdemaskował. To było coś innego. Coś, co kroilo jej żołądek niczym jakiś cholerny zardzewiały nóż.

Współczucie.

Cholerny Simon Vidje, ten pieprzony muzykant, który marzył o niej przez lata, który na pewno onanizował się, fantazując o niej, teraz jej współczuł.

Jak mógł, do cholery!

13.

Jesień 2017

Kiedy w 2000 roku Anna uczestniczyła w szkoleniu dla śledczych, jej nauczycielem był bardzo doświadczony policjant, który lubił mawiać, że najgorsze, co może być dla policjanta prowadzącego dochodzenie, to zbyt wcześnie się na czymś zafiksować. Kiedy się to robi, mózg automatycznie zaczyna interpretować informacje tak, aby potwierdziły wcześniejsze założenia. Czasami do tego stopnia, że z góry wyklucza się inne wnioski.

– Pielęgnujcie w sobie wątpliwości – mawiał tamten policjant.
– Mieście otwarty umysł. To właśnie odróżnia dobrego śledczego od złego.

Malowidło na ścianie doskonale potwierdza tę teorię. Jeśli z góry się założy, że przedstawia małe, ciemne jezioro otoczone lasem i stromymi skałami, to tak jest. Można oglądać je niezliczenie wiele razy z różnych stron, a i tak zobaczy się tylko odbicia w lustrze wody. Jednak kiedy się zrozumie, że jest tam też coś innego, sylwetka tuż pod taflą ciemnej wody, to niemożliwe będzie jej nie zobaczyć.

Anna i Agnes rozmawiały o malowidle Karla-Jo i o Simonie Vidje cały ranek. Agnes była tak pochłonięta rozmową, że nawet nie zapytała o tego urojonego włamywacza, co zresztą Annie bardzo odpowiadało. To absolutnie ostatnie, czego chce – żeby Agnes nie czuła się bezpiecznie w swoim nowym domu, szczególnie teraz, kiedy zaczęły zbliżać się do siebie. Mają ten sam cel. Postanowiły, że jak tylko to będzie możliwe, znów spróbują dowiedzieć się, gdzie dokładnie leży kamieniołom, i pojadą tam, żeby Agnes mogła porobić zdjęcia. Już na samą myśl o tym Annie poprawia się humor, nawet mimo tragicznego kontekstu.

Powinna zacząć się przygotowywać do rozmowy z naczelnikiem

policji. Ale zamiast tego nalewa sobie kawy do kubka, zamyka drzwi od pokoju i wchodzi na link z wikipedii, który przysłała jej Agnes.

Karl-Jo urodził się w 1943 roku, w Malmö, jako Karl-Johan Pettersson. Ukończył Wyższą Szkołę Projektowania i Rzemiosła Artystycznego w Sztokholmie, a następnie kilka lat spędził na stypendium w Paryżu. Jego wczesne prace przedstawiają ulice, taksówki i Sacré-Cœur w promieniach słońca. Obiecujący początek, zdaniem wielu. W 1971 roku dwudziestoosmioletni Karl-Jo nieoczekiwanie ożenił się z dwudziestotrzyletnią Elisabet Vidje, którą poznał zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Być może uważał, że nazwisko Pettersson jest zbyt popularne, przyjął więc nazwisko Elisabet. Jeszcze tego samego roku urodził się ich syn, Simon. Nie ma żadnej daty, ale ślub i dziecko w jednym roku mogą świadczyć o tym, że małżeństwo było koniecznością.

Na początku lat siedemdziesiątych Karl-Jo tworzył niewiele. Być może nie pozwalała mu na to nowa rola rodzica małego dziecka albo po prostu nie miał natchnienia. W każdym razie do sztuki wrócił w 1975 roku, jednak zupełnie zmienił styl. Zalesione wzgórza, skańskie pola i lasy, zawsze z odrobiną melancholii i smutku. Swoim nowym stylem Karl-Jo dokonał dużego przełomu. Jego obrazy można było spotkać w każdym możliwym kontekście.

Kiedy Anna klika na jeden z linków z jego obrazami, parę razy pojawia się dobrze znany motyw. Tabor. Rano, za dnia, nocą. Anna znajduje więcej obrazów małych ciemnych jezior, ale, tak jak mówiła Agnes, żaden z nich nie przypomina jeziora z malowidła ściennego. Kolory też są inne. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Karl-Jo malował w barwach jasnych i intensywnych. Jego obrazy stawały się coraz lepsze. A pod koniec lat osiemdziesiątych zdobył międzynarodowe uznanie. Swoje prace wystawiał w Berlinie, Londynie i Nowym Jorku, i dostawał świetne recenzje. Potem, tak jak opowiadała Gunnel ze sklepu, wszystko zmieniło się na gorsze.

Jesienią 1990 roku Karl-Jo i Elisabet stracili swoje jedyne dziecko. Simon utopił się niedaleko domu. W tym samym roku u Karla-Jo zdiagnozowano dziedziczną chorobę oczu, *retinitis pigmentosa*,

która z czasem przechodzi w zupełną ślepotę. Mimo że popularność Karla-Jo wciąż rosła i był on uważany za jednego z najwybitniejszych artystów swojego pokolenia, w latach dziewięćdziesiątych i później nie powstały żadne nowe prace. Do tej pory nie wiadomo dlaczego. W roku 2010 rzecznik rodziny przyznał, że Karl-Johan choruje na alzheimera i zupełnie wycofał się z życia artystycznego.

Głuche dudnienie powoduje, że zaczynają drzeć szyby w oknach. Anna jeszcze się nie przyzwyczała do wybuchów z Glarei. Dudnienie staje się coraz silniejsze, przechodzi w wibracje w podłodze i dosięga kubka z kawą, tworząc okręgi na jej ciemnej powierzchni.

Dokładnie o piątej Anna kończy pracę. Agnes wysłała jej esemesa, że ktoś ją podwiezie do domu, więc Anna nie musi jechać na dworzec. Zastanawia się, czy to jedna z koleżanek, które widziała poprzedniego dnia, czy może ktoś z rodziców. Anna waha się, czy nie zadzwonić do niej i nie dowiedzieć się kto to, ale psycholog ostrzegwał ją, że Agnes potrzebuje własnej przestrzeni. Więc Anna rezygnuje, choć niechętnie.

W komputerowej bazie danych szuka akt ze śledztwa Simona Vidje, jednak, tak jak się spodziewała, nic nie znajduje. W roku 1990 baza danych nie była jeszcze tak skomputeryzowana, więc jeśli chciałaby przestudiować jego akta, musiałaby iść do archiwum. Po chwili namysłu dochodzi jednak do wniosku, że ma teraz inne sprawy na głowie. Ważniejsze rzeczy, które wymagają jej uwagi.

„Na przykład to, że twój adwokat jeszcze się nie odezwał”, szepcze Håkan. „A oboje wiemy, co to oznacza. Że dochodzenie wciąż trwa i że to jeszcze nie koniec”.

„Że ucieczka nie pomogła...”.

Żeby go uciszyć, Anna przechadza się po komisariacie i rozmawia z personelem. Idzie jej tak sobie. Wprawdzie nie spotyka ani Jensa Friberga, ani jego irytującej koleżanki, ale jest oczywiste, że plotka o incydencie na stacji już się rozeszła. Starsi policjanci otwarcie zaczynają chichotać na jej widok, natomiast młodszy koledzy mają na tyle kultury, że na jej pytania odpowiadają grzecznie i neutralnie. W następnym tygodniu musi wymyślić jakąś strategię. Jakiś sposób,

żeby pokazać im, kto tu rządzi.

W drodze do domu jest tak pochłonięta tą sprawą, że mało brakuje, a byłoby z nią źle. Na jednym z niewidocznych zakrętów w górę zbocza napotyka nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Za późno się orientuje, że auto ścięło zakręt, wjeżdżając na jej pas, i w ostatniej chwili udaje jej się uciec. Prawymi kołami wyjeżdża poza asfalt i zanim wjedzie z powrotem na jezdnię, słyszy bębniące ostrzeżenie. Spogląda w lusterko wsteczne i widzi tylne światła białego pick-upa z logotypem Glarei, wiozącego na platformie dźwig teleskopowy. Po chwili samochód znika za kolejnym zakrętem. Pobocza po obu stronach drogi są strome i pełne dużych drzew. Anna uświadamia sobie, że sytuacja mogła być dużo poważniejsza, gdyby zupełnie zjechała z drogi, dlatego obiecuje sobie, że w przyszłości będzie bardziej uważać.

Kiedy dojeżdża do Taboru, widzi, że na jej miejscu stoi jakiś obcy samochód. Land rover, który może mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat, a może i więcej. Wyblakła od słońca zielona karoseria jest w wielu miejscach połatana. Ale kiedy Anna go mijają, widzi, że to jeszcze nie żaden złom. W środku samochód jest wysprzątnany, tapicerka cała i czysta. Widać, że właściciel dba o swój wóz. Anna otwiera drzwi i wchodzi do domu. Słyszy dochodzące z kuchni głosy. Obok butów Agnes stoi para długich kaloszy. Przez krótki moment Annie się wydaje, że należą do Kleina, ale po chwili orientuje się, że są zbyt małe. W kominku pali się ogień, w kuchni jest ciepło i przyjemnie. Agnes siedzi przy stole z kubkiem herbaty w ręku, a naprzeciw niej szczupła kobieta, na oko siedemdziesięcioletnia, w dużych okularach i chustce na głowie. Jej płaszcz nieprzemakalny przypomina płaszcz Kleina, ale to nie jedyne podobieństwo. Wyraz jej twarzy również przypomina Kleina. Jest tak jak on opanowana. Kontrast między tą kobietą a Agnes w obcisłych dżinsach, ze swoimi różowo-czerwonymi włosami i przesadnym makijażem, nie może już chyba być większy. A jednak wydaje się, że dobrze im razem.

– To jest Elisabet – mówi Agnes. – To ona mnie dzisiaj podrzuciła do domu.

Kobieta wstaje i wyciąga chudą rękę z wyraźnie widocznymi żyłami.

– Elisabet Vidje – mówi kobieta. – To ja jestem właścicielką domu.

– Słowa bulgoczą jej w ustach, jak u skańskiej szlachty w starych filmach. – Masz zachwycającą córkę.

– Dziękuję – odpowiada Anna. – I dziękuję, że ją podwiozłaś.

– Drobnostka. Wpadłyśmy na siebie na stacji. A Tabor jest po drodze.

Elisabet Vidje siedzi na brzegu krzesła, trzyma wysoko kubek, tak jakby nie chciała nic ruszać bez potrzeby. Ma wyrazisty, czysty głos i niekiedy nadużywa zdań oznajmujących.

– Agnes powiedziała mi, że chce być fotografem. I że tata ją tym zainteresował. Twój były mąż nie żyje, prawda?

– Tak. – Annę zaskakuje bezpośredniość tej kobiety oraz to, że Agnes tak się wobec niej otworzyła. Jednocześnie irytuje ją trochę, że z opowieści Agnes wynika, że Håkan to jakiś bohater.

– Jak zmarł?

– Na raka – odpowiada Anna krótko. I nawet udaje jej się nie zająknąć.

– Bardzo mi przykro. Mój ojciec umarł mniej więcej w tym samym wieku. Na zawał. – Kobieta zwraca się do Agnes. – I też uważał, że wykształcenie to ważna rzecz. – Elisabet upija łyk herbaty. – Zawsze marzył, żebyśmy z moją siostrą Ebbą studiowały w Lundzie. Żebyśmy wyszły na ludzi.

– Nie chciałyście? – pyta Agnes. – No, studiować w Lundzie?

Elisabet Vidje lekko przechyliła głowę, jej wargi robią się jeszcze węższe. Anna chce przekierować to zbyt osobiste pytanie na inną tory. Zrobić jakiś przeproszający gest tłumaczący, że Agnes jest jeszcze za młoda, aby w pełni rozumieć gry między ludźmi. Ale ku jej zdziwieniu Elisabet Vidje ją uprzedza.

– Zawsze lubiłam się uczyć – odpowiada. – W szkole miałam dobre stopnie. Ebbie szło trochę gorzej. Nie chciała studiować, więc szybko wyszła za mąż za Bengta Anderssona. Wolała, żeby ktoś się nią zaopiekował. Taki typ. Była znerwicowana, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Elisabet robi grymas niezadowolenia. – Ja studiowałam

prawo. Ale kiedy zmarł ojciec, ktoś musiał się zająć mamą, Ebbą i ogrodem. Czasami sprawy układają się inaczej, niż sobie zaplanujemy, prawda?

Elisabet znów bierze łyk herbaty z kubka.

– Ty objęłaś stanowisko po Morellu. – Znowu zdanie oznajmujące, tym razem skierowane do Anny.

– Tak – odpowiada Anna. – Formalnie od poniedziałku w przyszłym tygodniu.

– To świetnie. Jak się domyślam, pewnie cię ostrzegął przede mną. I oczywiście nie omieszkał wspomnieć o tej historii z polowaniem i że brakuje mi piątej klepki. – Elisabet Vidje unosi prawą rękę. – Nie, nie musisz odpowiadać. Z Henrym Morellem znamy się od dziecka. To inteligentny człowiek, czarujący, kiedy trzeba. Henry i mój szwagier Bengt Andersson zrobili oczywiście dużo dobrego dla tego miasteczka, i wielu ich za to podziwia. – Oczy Elisabet lekko się zwięzają. – Powiedzmy, że ja się do nich nie zaliczam. I mam po temu powody. Nie chodzi, oczywiście, o coś tak banalnego jak jeleń... – Elisabet robi minę, jakby zamierzała powiedzieć więcej, ale zerka na Agnes i zaczyna myśleć o czymś innym. – Mam dla was w samochodzie mały upominek powitalny. Czy byłabyś tak miła, Agnes, i przyniosła go?

– Oczywiście. – Agnes wstaje i idzie do wyjścia.

– Nie będę owijała w bawełnę – odzywa się Elisabet, gdy tylko Agnes zamyka za sobą drzwi. – Mój syn zginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, ale pewnie i o tym już wiesz?

Anna potakuje.

– To dobrze, zaoszczędzimy sporo czasu. Ze śledztwa wynika, że był to nieszczęśliwy wypadek. Ale ja w to nie wierzę.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że nawet jeśli dochodzenie prowadził dawny szef tutejszej policji, to wszyscy dobrze wiedzieli, że to Morell miał ostatnie zdanie. Rozumiesz... – Elisabet Vidje pochyla się przez stół. – Jego syn był w kamieniołomie tego wieczoru.

– Alex?

– A więc już go poznałaś?

– Był z Henrym na komisariacie przedwczoraj.

Kobieta ściąga usta.

– Na pewno nieprzypadkowo. Czy przedstawił cię jeszcze komuś z tej trójki. Brunowi? Marie? Carinie Pedersen?

– Tak... To znaczy... poznałam Bruna, a jego żonę znam z opowiadań. Henry zaprosił mnie na lunch do restauracji.

Elisabet pochyla się jeszcze bardziej.

– Śmierć Simona to nie żaden wypadek, Anno. Tamtego wieczoru zdarzyło się coś jeszcze. A Henry, mój szwagier Bengt Andersson, a może i ten mały śliski restaurator Sordi zadbali o to, żeby sprawę wyciszyć.

Otworzyły się drzwi i do domu weszła Agnes.

– Henry Morell manipuluje tobą – wyszeptła Elisabet Vidje. – Prawdopodobnie już od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczył. Powód, dla którego Henry tak się przyspawał do swojego stołka, na tyle lat, jest prosty. Chciał się upewnić, że prawda o tym, co się naprawdę wtedy stało Simonowi, nie wyjdzie na jaw. A ja chcę, żebyś się tego dowiedziała, Anno. Co właściwie stało się tamtej nocy, kiedy zginął mój syn. Możesz mi to obiecać?

28 sierpnia 1990

Marie stała przy obszczajce już kilka minut i z niecierpliwością wyglądała Simona. Nagle zobaczyła Bruna, a za nim Carinę.

– Co się dzieje? – zapytała, bo Carina wyglądała na bardzo zdenerwowaną, ale odpowiedziała jej tylko potrząśnięciem głowy i zniknęła za namiotami.

– Idziemy się kąpać.

Marie usłyszała Alexa, który jednocześnie podkręcał magnetofon. Znowu ten hard rock. Nienawidziła go.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała do Simona, gdy tylko ten dołączył do pozostałych, i wzięła go pod rękę.

Marie kręciło się w głowie, a wargi odmawiały jej posłuszeństwa. Słowa jakby przyklejały się do podniebienia, wymagały dodatkowej pomocy języka, żeby wydostać się na zewnątrz. Zdawała sobie sprawę, że jest naćpana albo pijana, a może jedno i drugie. Zresztą bez znaczenia.

Simon obejrzał się za Cariną i uwolnił się od ręki Marie.

– Nie teraz, Marie.

– A właśnie, że teraz! – Marie zatrzymała się i wbiła mu palec w klatkę piersiową. Była wyższa od Simona i miała silne palce.

– Aj, odczep się!

– Sam się odczep! – Znów wbiła mu palec w klatkę piersiową, tym razem jeszcze mocniej.

Simon uderzył ją w rękę.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– O co ci, kurwa, chodzi. O co ci, kurwa, chodzi – przedrzeźniała go.

– Odpierdol się. Jesteś naćpana, Marie!

– Tak, i co z tego. Chociaż raz. Naćpana, pijana i wściekła jak

cholera. Jak ty, kurwa, możesz... – Splunęła i oblizała sobie usta. Wściekłość ją otrzeźwiła. – Jak ty, kurwa, możesz tak po prostu uciec? Mieliliśmy to zrobić razem. Mieszkanie, Lund...

Simon popatrzył w dal.

– Dopiero dzisiaj dostałem potwierdzenie.

– Ale już wiedziateś. Wiedziateś, że coś się szykuje.

Simon nie odpowiedział.

– Przecież znamy się od dziecka. Jesteśmy jak brat i siostra... – Jej głos z pełnego złości zamienił się w rozżalony, ale nic nie mogła na to poradzić. – I mimo to nic nie powiedziateś...

Simon rozpostarł ręce.

– Co się stało, to się nie odstanie! – odpowiedział.

Tymi słowami i nonszalanckim ruchem rąk jeszcze bardziej ją rozwścieczył. Tyle czasu poświęciła na załatwienie tego wszystkiego... a on nawet palcem nie ruszył. Nawet nie podziękował. I teraz, kiedy już wszystko było gotowe, kiedy lada dzień mieli wyjeżdżać, po prostu się na nią wypiął. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby powiedzieć przepraszam, tylko jakby nigdy nic zakomunikował, że co się stało, to się nie odstanie. Nagle ogarnęła ją ogromna ochota, żeby wreszcie przebić tę bańkę cudownego dziecka, w jakiej tkwił. Przekłuć ją igłą, żeby poczuł taki ból, jaki ona czuła w tej chwili.

– Czy ciotka popiera to, że tak po prostu się zmywasz? Że pakujesz manatki i wiejesz do Sztokholmu?

– Ojciec mnie wspiera – pośpieszył Simon z odpowiedzią.

– A ciocia Elisabet?

Simon unikał jej wzroku.

– Mama jeszcze nie wie...

Marie wybuchła szyderyczym śmiechem.

– Przecież Elisabet chce, żebyś studiował w Lundzie. Żebyś skończył studia.

Simon udawał niewzruszonego.

– Jadę do Sztokholmu, niezależnie od jej opinii.

– Już to widzę – parsknęła Marie. – Przecież to Elisabet ma ostatnie

słowo, popatrz tylko na swojego ojca, który całymi dniami tylko siedzi i maluje. Nie nadawał się do niczego innego, to go z Kleinem zamknęła w Taborze...

– Zamknij się!

– Bo co? Przecież to prawda. I tak wszyscy wiedzą, że twój ojciec ma nie po kolei w głowie, że jest stuknięty!

– Przynajmniej nie włazi z buciarami w moje życie tak jak twój – wysyczał Simon. – Popatrz tylko na swojego braciszka. Bengt wypiął się na swojego własnego syna. Tylko ty się dla niego liczysz. Córeczka tatusia...

– Pewnie wiesz, że twoja matka i Klein są kochankami? Że się pieprzą za plecami Karla-Jo. – Wściekłość i alkohol sprawiły, że te słowa same wypłynęły jej z ust.

Dopiero po chwili Marie uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko. Ale było już za późno. Co się stało, to się nie odstanie, przecież to były słowa Simona... Marie uniosła brodę, ich spojrzenia się spotkały. Ale Simon nie zareagował tak, jak przypuszczała. Nie wybuchnął, pokiwał tylko głową i uśmiechnął się do niej pogardliwie, co ją jeszcze bardziej rozwścieczyło.

– To prawda! – powiedziała Marie. – Wszyscy to wiedzą. Wszyscy wiedzą, że ciotka i Klein zamknęli Karla-Jo w Taborze, żeby mieć święty spokój. Już od dawna są razem. Karl-Jo to była pomyłka, po prostu pomyłka!

Simon patrzył na Marie w milczeniu. Znów jedynie pokiwał głową, choć tym razem zdruzgotany.

– Marie... – zaczął.

– Hej! – Jakby znikąd pojawiła się Tanja i chwyciła Simona za rękę. – Zastanawiałam się, gdzie się podziewałeś. Możesz jeszcze trochę pograć?

Marie obrzuciła Tanję wściekłym wzrokiem.

– Przerwałaś nam. Rozmawiamy o czymś ważnym – wysyczała.

– Nie – odpowiedział Simon. – Już wszystko sobie powiedzieliśmy, Marie.

Jego głos brzmiał smutno, ale nie w sposób, jakiego oczekiwała.

Nie dlatego, że poczuł się zraniony. Nie dlatego, że zdeptała ten jego cholerny bajkowy świat. Powód był inny. Ale była za bardzo pijana albo naćpana, żeby to wiedzieć. Niezależnie od wszystkiego jeszcze bardziej ją to rozwścieczyło i przez chwilę miała nawet ochotę go spoliczkować. Zetrzeć z tej jego cholernejszej twarzy tę minę niewiniątka i tak długo bić, dopóki nie będzie pewna, na sto procent pewna, że poczuł taki sam ból jak ona.

Jesień 2017

W pokoju wypoczynkowym było cicho i spokojnie. Telewizor pod sufitem był wprawdzie włączony, ale ktoś go wyciszył i z programu „Dom i ogród” widać było tylko obraz...

- I to chyba już wszystko – mówi Morell, kiedy siedzą przy stole.
- Czy masz jakieś pytania? Chciałabyś się czegoś jeszcze dowiedzieć?
- Chyba nie, na razie wszystko ogarniam.
- To świetnie. Jako kapitan tego statku chcę zejść z pokładu z podniesioną głową. – Morell bierze łyk kawy.

Większa część dnia zesła im na przeglądaniu akt personalnych pracowników. Morell pokazał, że ma kontrolę nad najmniejszym szczegółem, czym wzbudził w Annie jeszcze większy szacunek.

- Aha, uroczystość pożegnalna przeniesiona jest na następny tydzień – dodaje Morell. – Pani wojewoda też chce przyjechać, dlatego my, prości urzędnicy, nie mamy wyboru i musimy się do niej dostosować. A ponieważ nieoczekiwanie piątek mamy wolny, więc chcielibyśmy z Evą-Britt zaprosić ciebie i twoją córkę na kolację. Co ty na to?

- Z przyjemnością!
- Świetnie, w takim razie o wpół do siódmej? Niezobowiązujący strój, pełen luz. Ja przygotowuję jedzenie. Przyjdzie też Alexander z dziewczynkami.
- Wpół do siódmej jest okej.
- W takim razie jesteśmy umówieni.

Anna naprawdę się cieszy z zaproszenia i jest jej trochę wstyd, że miała co do Morella pewne obiekcje. Właściwie oprócz tych pierwszych minut ich znajomości zawsze jest miły i życzliwy, a teraz nawet zaprosił ją i Agnes do siebie do domu. Anna długo się

zastanawiała, czy powiedzieć mu o wczorajszej wizycie. Już właściwie się zdecydowała, a jego zaproszenie jeszcze ją w tym utwierdziło.

– Wczoraj była u nas Elisabet Vidje. – Anna zawiesza zdanie w powietrzu.

– Ach tak. – Morell powoli opuszcza kubek. – Niech no zgadnę... Chciała porozmawiać o Simonie. – Morell wzdycha ciężko. – No tak, powinienem być cię przed nią ostrzec. Właściwie to miałem to zrobić już kilka dni temu, ale nie chciałem odgrzebywać tej starej historii przy Alexandrze. Już dosyć się nacierpiał. W końcu miał wtedy zaledwie dziewiętnaście lat. – Morell drapie się po brodzie i wzdycha. – Mogę się tylko domyślać, co ci naopowiadała Elisabet. Tyle że śledztwo jasno wykazało, że śmierć Simona Vidje to był wypadek. Tamtej nocy porządnie lało, nic nie było widać, skały były śliskie od deszczu. Prawdopodobnie poszedł się wysikać, poślizgnął się, uderzył głową i wpadł do wody. Lejący deszcz robił taki hałas, że Alexander i pozostała trójka nic nie słyszeli. Ale Elisabet, jak już pewnie wiesz, odrzuca tę wersję. Jest przekonana, że my, policjanci, ukrywamy przed nią prawdę.

Morell wzdycha i nie przestaje gładzić się po brodzie. To dobrze jej znany gest, choć w jego mowie ciała jest coś, co powoduje, że w głowie Anny zapala się światełko ostrzegawcze.

– Przez całe lata Elisabet słała pisma, gdzie tylko mogła: do prokuratora, do naczelnika policji, wszędzie – kontynuuje Morell. – Robiła wszystko, żeby mnie stąd usunąć. Bengta Anderssona też obwinia?

Anna kiwa głową. Nie pokazuje po sobie, że bardzo uważnie go obserwuje.

– Tak się domyślałem. Bengt jest szwagrem Elisabet. Są skłócenia, odkąd jeszcze w latach osiemdziesiątych Bengt sprzedał ziemię, którą podarował mu stary Vidje. Jej zdaniem, pewnie już ci to mówiła, Bengt i ja stoimy za całą tą konspiracją.

Tym razem Morell pokazuje w powietrzu cudzystów. Zdumiewa Annę. Jego mowa ciała nie pasuje do sposobu, w jaki się wyraża, a to

sprawia, że lampka ostrzegawcza w jej głowie świeci jeszcze mocniej.

– Przykro mi, że zostałaś w to wszystko wciągnięta, Anno. Przeczywałem, że tak będzie, jak tylko się dowiedziałem, że wynajęłaś Tabor. Ta tragiczna śmierć Simona trzyma ją przy życiu. Z czysto ludzkiego punktu widzenia trzeba jej oczywiście współczuć. Straciła jedyne dziecko, a potem jeszcze ta choroba Karla-Johana... Elisabet jest pewna, że to tamte wydarzenia przyczyniły się do jego choroby. Że oślepnął ze smutku i rozpaczy, no a potem przestał malować. Ale zapomina, że ta tragedia dotknęła nie tylko ją, ale i wielu innych.

Morell ciężko potrząsa głową, jak stary smutny niedźwiedź. Zarówno jego język, jak i gesty wydają się szczere, lecz coś mimo wszystko jest nie tak. Jakiś mały, trudno dostrzegalny dysonans.

– Trzeba ci wiedzieć, że Simon, Alexander i Bruno Sordi znali się już od przedszkola i często bywali u nas w domu. Oni trzej i dwie dziewczyny byli prawie że nierozłączni. – Morell upija kolejny łyk kawy. – Simon już w przedszkolu potrafił grać na kilku instrumentach. „Cudowne dziecko”, mówił nauczyciel muzyki. „Jeden na milion”. A kiedy podrośł, ciągle był zatrudniany na wesela i pogrzeby. Grał i śpiewał tak przejmująco, że aż ścisnęło za serce. – Morell znów wykonuje gest smutnego niedźwiedzia. – Dostał się do Wyższej Szkoły Muzycznej w Malmö. Wszyscy byli pewni, że zrobi wielką karierę. Ale wtedy zdarzyła się ta tragedia. Już samo to, że młody człowiek ginie tak tragicznie, jest straszne, ale że spotyka to właśnie Simona Vidje... to już zupełnie niewyobrażalne. Niedługo potem w miasteczku zamyka się poczta i bank, a rok później fabryka konserw. Tak jakby śmierć Simona wypuściła całe powietrze z Nedanås. Wzrosło bezrobocie, ludzie zaczęli wyjeżdżać, a ceny nieruchomości poszły w dół. Dopiero po kilku latach gmina podniosła się. W dużej mierze dzięki Bengtowi Anderssonowi. To on sprowadził do Nedanås nowych pracodawców i pociąg. Poza tym pomógł Glarei znów stanąć na nogi i wyjść na plus. I teraz wszyscy trzymają kciuki, żeby udało mu się z pociągiem dalekobieżnym.

A jeśli jeszcze dołożysz do tego nowe centrum konferencyjne Marie i Bruna, to sama zobaczysz, że gmina znów przeżywa renesans, prawie tak jak w latach sześćdziesiątych.

Morell odstawia kubek i zdejmuje ze stołu resztki wymaginowanych okruchów. Jego mowa ciała jest teraz inna, jest jakby bardziej odprężony. Tamten mały dysonans, który Anna dostrzegła, znika bezpowrotnie.

– Dlatego też to, że Elisabet Vidje tak mocno uczepiła się swojej przeszłości, jest jeszcze tragiczniejsze – kończy Morell. – Tak jakby cały czas przypominała nam wszystkim o tym trudnym czasie, o którym chcielibyśmy zapomnieć. – Morell dopija kawę i głośno odstawia kubek. – No ale może już wystarczy, co?

Tak naprawdę to Anna chce kontynuować rozmowę. Wie, że tego dnia, kiedy zginął Simon, były tam jeszcze cztery osoby. Alex, Bruno Sordi, Marie Andersson i jeszcze jedna dziewczyna, o której wczoraj wspomniała Elisabet. Zdaje się Catrin, ale o niej, z jakiegoś powodu, Morell nie wspomniał. Anna chce go zapytać dlaczego, dokopać się głębiej, lecz jego ton głosu jasno wskazuje, że o śmierci Simona powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Anna postanawia więc jeszcze z tym poczekać.

Po pracy odbiera Agnes ze stacji i jadą do sklepu z rowerami i skuterami, tak jak wcześniej ustaliły. Anna obiecała Agnes skuter – taka forma łapówki, żeby ją zachęcić do przeprowadzki.

Skup i sprzedaż rowerów i skuterów mieści się na samym skraju miasteczka. To duży plac, na którym stoją dwa przerobione budynki gospodarcze. Teraz, zamiast zwierzętami, pachną świeżą gumą i smarem. Agnes prawie natychmiast wpada w oko biała vespa, podobna do tej, którą jeździła Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach* i która oczywiście jest jednym z najdroższych modeli.

Jak łatwo przewidzieć, Anna ustępuje – cena nie jest tu właściwie żadnym problemem. Willa w Äppelviken poszła za czterokrotnie wyższą cenę, niż ją kiedyś kupili z Håkanem, a poza tym Anna

dostała dużą sumę z polisy ubezpieczeniowej, wynegocjowaną przez związki zawodowe policji.

„Przynajmniej to się do czegoś przydało”, żartuje Håkan z tyłu jej głowy. „Pewnie się zdziwiłaś, że mimo rozvodu to ty jesteś spadkobierczynią. I pewnie wiesz dlaczego. Że to mój sposób na powiedzenie ci...”.

Anna zamyka oczy, kilka razy pociera palcami za uchem. Sztuczka działa – głos Håkana znika.

Do Anny i Agnes podchodzi silnie zbudowany mężczyzna. Jest tysi jak kolano i ma ogromne baki, pod górną wargą trzyma snus. Przedstawia się jako właściciel i sprzedawca. Jest otwarty i gadatliwy, jak to bywa z niektórymi sprzedawcami, więc Anna przez chwilę pozwala mu się wygadać. Daje się namówić na kask, rękawice i zabezpieczenie, choć i tak zamierzała je kupić. Udaje jej się wynegocjować cenę o tysiąc koron niższą, dostawę gratis i pełen bak benzyny. Trzeba przyznać, że już tym mu imponuje.

– Dostarczymy przed weekendem – mówi mężczyzna w dialekcie, tak że Anna musi się nieźle namęczyć, by go zrozumieć. – Gdzie mieszkacie?

Kiedy Anna podaje adres, w odpowiedzi otrzymuje jego pełne zaskoczenia spojrzenie. Po chwili mężczyzna wykrzykuje:

– Aaa, to ty jesteś tą policjantką, która wynajmuje dom od Elisabet Vidje.

– Zgadza się. Znasz ją?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Kiedyś ją znałem, dawno temu. Ale nie rozmawiałem z nią już wiele lat. Za to od czasu do czasu spotykam Kleina. Zajmuje się domem i całą tą posiadłością.

– A Karla-Johana?

– Ten biedak mieszka teraz w domu opieki. Od wielu lat. Słyszałem, że już na dobre poprzestawiało mu się w głowie. – Sprzedawca mlaska współczująco językiem. – Ale Klein na pewno już się dobrze zajął Elisabet Vidje... – Mężczyzna mruga porozumiewawczo, a następnie bierze do ręki bloczek z rachunkami. – No to można

powiedzieć, że wylądowałaś między młotem a kowadłem...

– Jak to?

– Wynajmujesz od Vidje, a pracujesz dla Morella.

– Nie pracuję dla Morella, lecz na jego miejscu. – Anna uświadamia sobie, że jest nieco poirytowana.

– Tak, tak, jasne. Ale na pewno już się zdążyłaś dowiedzieć, jak sprawy wyglądają?

– Masz na myśli wypadek Simona Vidje?

– No właśnie – odpowiada mężczyzna. – Wypadek czy jak to tam było...

– A twoim zdaniem coś innego się tam wydarzyło?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Ja tam wiem tylko tyle, że minęło już dwadzieścia pięć lat, a ludzie wciąż gadają. A to coś chyba znaczy, nie?

– Ale ty nie masz nic przeciwko temu, żeby o tym rozmawiać?

Sprzedawca uśmiecha się tak szeroko, że spod górnej wargi aż mu wystaje snus.

– Jestem tylko prostym sprzedawcą, jak już pewnie zauważyłaś. A tacy raczej nie trzymają jęzora za zębami, choć czasem pewnie by się przydało. – Mężczyzna pochyła się nad bloczkiem z rachunkami.

– Płacisz kartą czy gotówką?

Anna ze zdziwienia unosi brwi.

– Czy ktoś płaci trzydzieści tysięcy gotówką?

Mężczyzna znów w uśmiechu pokazuje snus pod wargą.

– Czy pani policjant pyta prywatnie, czy służbowo?

Anna ściąga usta.

– Kartą – odpowiada.

W drodze do domu zatrzymują się przed sklepem, żeby zrobić zakupy. Przechodzą obok żebraka przed wejściem, który jest obowiązkowym elementem tutejszego krajobrazu. To zawsze wzbudza w Annie poczucie winy. Na parkingu zauważa passata Mów-mi-Lasse, a przy lodówce z nabiątem spotyka go we własnej

osobie z jakimś niewiele starszym od Agnes chłopakiem.

– Hej. Miło cię widzieć, Anno – wita się Mów-mi-Lasse i brzmi, jakby faktycznie tak było. – To jest Erik.

Erik wygląda sympatycznie, odziedziczył po swoim tacie radosny wyraz twarzy i pewność siebie. Wyciąga rękę na powitanie.

– Hej Erik, jestem Anna, a to jest Agnes.

Agnes obrzuca Annę wymownym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć, że matka jest żałosna i że musi się za nią wstydzić. Ale Anna się tym wcale nie przejmuje.

– I jak wam się mieszka w Taborze? – pyta Mów-mi-Lasse trochę zbyt wesoło.

– Dziękuję, bardzo dobrze. – Anna odwraca się do Agnes, żeby ją wciągnąć w rozmowę, ale widzi, że Agnes i Erik ukradkiem rzucają sobie spojrzenia, zostawia ją więc w spokoju.

– Już się tu zadomowiliście?

– Chyba tak. Właśnie przed chwilą kupiliśmy dla Agnes wespę.

– W takim razie już poznaliście Görana od Rowerów? – Anna najwyraźniej nie wie, o co chodzi, więc Mów-mi-Lasse śpieszy z wyjaśnieniem. – Nikt go inaczej nie nazywa.

– Ach tak.

Temat się wyczerpał i zapada krępująca cisza.

– Musimy już... – zaczyna Anna.

– Będziecie na festynie? – przerywa jej Erik.

– Na jakim festynie?

– W parku w sobotę. – I choć pytanie było zadane obu, Erik patrzy tylko na Agnes.

– Na razie nie mamy nic zaplanowanego... – odpowiada Anna.

– Musicie koniecznie przyjść. – Mów-mi-Lasse rozjaśnia się na twarzy. – Będzie mnóstwo ludzi. Jedzenie, picie, tańce, jeśli oczywiście nie ma się dwóch lewych nóg, tak jak ja. – Uśmiecha się dokładnie tak jak wtedy, kiedy się pierwszy raz spotkali. Aż trudno nie odwzajemnić tego uśmiechu.

– Możecie pójść z nami – proponuje Erik.

Anna spogląda na Agnes. Wie, że jej córka ma niezadowoloną

minę, bo musi iść z nią w piątek do Morella. Więc kiedy Anna grzecznie chce odmówić, Agnes ją uprzedza:

– Bardzo chętnie – odpowiada. – Kiedy i gdzie się spotkamy?

W samochodzie sporo rozmawiają. A nawet żartują, zgadując, jaki dress code obowiązuje na festynie w Parku Miejskim. Agnes twierdzi, że dżinsy i koszula. Anna proponuje bluzę polarową, co powoduje u Agnes taki wybuch śmiechu, że Annie aż zaczyna walić serce.

Agnes milknie, patrzy z zakłopotaniem przed siebie, jakby złapała się na tym, że zrobiła coś niestosownego. Anna chce jej powiedzieć, że wszystko w porządku, że bycie wesołym to nie żaden wstyd, nawet jeśli jest się w żałobie. Że Håkan chciałby, by była szczęśliwa, i że ona sama zrobiłaby wszystko, by codziennie słyszeć jej śmiech. Ale, jak zwykle, nie znajduje właściwych słów. Zamiast tego zaczynają rozmawiać o malowidle Karla-Jo i Anna postanawia opowiedzieć Agnes, co Morell i Göran od Rowerów mówili o śmierci Simona. Po chwili wahania dodaje, że kilka dni temu Elisabet Vidje prosiła ją, aby świeżym okiem przyjrzała się tej sprawie. Agnes jest zachwycona.

– Koniecznie musisz to zrobić.

Anna potrząsa głową.

– Ale dlaczego nie?

– Po pierwsze dlatego, że śledztwo już było przeprowadzone, a po drugie, wszystkie ewentualne przestępstwa, oczywiście oprócz morderstwa, ulegają przedawnieniu.

– A jeśli to było morderstwo? Jeśli Elisabet ma rację i ktoś zabił jej syna? A morderca nie został złapany przez dwadzieścia siedem lat?

Oczywiście Anna powinna powiedzieć, jak jest – że ma teraz dużo ważniejsze rzeczy na głowie niż odgrzebywanie starego śledztwa. Jednak problem polega na tym, że do tej pory nie powiedziała Agnes, jaki był prawdziwy powód ich przeprowadzki. „Podejrzewają, że mam coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca”. Taaak, z oczywistych względów jej o tym nie mówi. Za wszelką cenę chce uniknąć oczywistego w tej sytuacji pytania.

Więc utrzymuje maskę i cieszy się, że znów zaczęły ze sobą rozmawiać i że nie musi cały czas się pilnować.

– Zobaczymy. Udało ci się może dowiedzieć, gdzie jest ten kamieniołom?

Agnes kiwa głową.

– Zapytałam jedną dziewczynę z Mörkaby. Mówi, że trzeba skręcić w lewo na trzecim zjeździe za Änglabergą, a potem jechać małą ścieżką aż do szlabanu.

– No to może wybierzemy się tam w weekend?

Kiedy dojeżdżają do Taboru, jest już ciemno, ale pali się latarnia. Z sieni dochodzi powitalne szczekanie Milo, więc Agnes biegnie szybko do wejścia. Jakiś metr przed drzwiami zatrzymuje się, zaskoczona.

– Zobacz – mówi do Anny i pokazuje palcem.

Na schodach leży coś ciemnego.

Martwy królik z nacięciem na wydrążonym brzuchu.

28 sierpnia 1990

Alex pomógł Joemu ustawić motor na skraju skały, tak żeby przednia lampa oświetlała wodę. Reflektor tworzył cienie- duchy wędrujące nad skałami, kiedy Alex i Bruno szli ścieżką w strojach kąpielowych z ręcznikami zarzuconymi na ramiona. Carina dołączyła później i wyglądała na bardziej obrażoną niż zwykle. Alex doskonale wiedział dlaczego. Bo nie była najładniejszą dziewczyną w grupie i bardzo jej to przeszkadzało.

Nocne powietrze okazało się tak chłodne, że nawet Alex drżał. Joe, który namówił ich na nocną kąpiel, wciąż jeszcze był w ubraniu. Stał na skraju wody na płaskiej skale, którą nazywali kamieniem kąpielowym, ze skrzętem zwisającym z ust i świecił latarką. Strumień światła zatrzymał na moment na Carinie. Alex jeszcze do końca nie wiedział, co o nim sądzić. Joe miał trawkę i jeździł motorem, co było cool, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ten facet coś kombinuje. Poza tym nie podobało mu się, w jaki sposób patrzył na Carinę. Teraz jednak nareszcie miał szansę zaimponować jego zgrabnej siostrzyczce. Zwrócił uwagę na Tanję, jak tylko się pojawiła. Przypominała mu jedną z dziewczyn z teledysku Whitesnake. Alex zrobił kilka kroków do przodu i wykonał salto wprost do ciemnej wody. Bruno poszedł w jego ślady.

– No dalej, Joe! – krzyknął Alex.

Joe ukucnął i sprawdził ręką wodę.

– Jasny gwint, ale zimna – stwierdził, patrząc jednocześnie na Marie, która szła na chwiejnych nogach. – A wy się nie będziecie kąpać?

Marie pokiwała głową, zdjęła bluzkę, spodnie i buty. I w samych majtkach i staniku wskoczyła do wody, a kilka chwil za nią Carina.

– Poświeć mi, Joe! – Alex wyłonił się z wody i zaczął się wspinać na najwyższą skałę.

Joe oświetlał mu drogę.

– Daj spokój Alex, to niebezpieczne w tych ciemnościach – krzyknęła Carina, kiedy ona i pozostali wyszli już z wody i szukali ręczników.

Ale Alex wciąż się wspinał. Stał mniej więcej w połowie drogi na skałę, z której skakał w ciągu dnia.

– I co, masz cykora? Nie wejdiesz wyżej? – zapytał Joe.

Alex udał, że go nie słyszy. Kusilo go wprawdzie, żeby zaimponować Tanji, ale przecież, do diabła, nie jest jakimś wariatem.

– Uwaga, bębny proszę!

Alex wspiął się na półkę skalną. Zerknął za siebie, gdzie, jak przypuszczał, stała Tanja. Odczekał chwilę, dopóki się nie upewnił, że patrzy na niego i tylko na niego.

– Geronimo! – krzyknął i skoczył, zginając się jak scyzoryk, tak jak po południu. Jednak tym razem nie udało mu się tak perfekcyjnie. Od lodowatej wody aż mu zaparło dech. Teraz było dużo zimniej niż w ciągu dnia.

Po kilku sekundach wystawił głowę nad powierzchnię wody, strząsnął włosy z oczu i ze wzrokiem pełnym oczekiwania spojrzął w górę. Tanji nie było, a magnetofon przestał grać.

– Co się, do diabła, stało z muzyką? – wydarł się.

– Tanja wyłączyła – odpowiedział sucho Joe. – Przecież mówiłem, że dla niej liczą się tylko gitarzyści. Posłuchaj! – I Joe uniósł palec.

Z płyty skalnej można było usłyszeć Tanję i Simona. I tę samą piosenkę co wcześniej.

– *I'll see you by the waters. The dark and lonely waters.*

Alex zaklął po cichu. Podpłynął szybko do skały i wydostał się z wody. Carina rzuciła mu ręcznik. Marie, szcękając zębami, próbowała się owinąć w swoją bluzkę.

– Za zimno – narzekała. – Wracajmy do ogniska, co?

– *Come on* – powiedział Joe i jednocześnie powolnymi ruchami oświetlał Carinę, przynajmniej trzeci już raz tego wieczoru. – Jeszcze

jedna kąpiel. Przecież się jeszcze nie kąpałem, ta dwójka tam na górze też nie.

Alex zarzucił ręcznik na ramiona. Drżały mu nogi. I to nie tylko z zimna.

– Dobra, chodźcie, w końcu to ostatnia letnia kąpiel – zawołał. – Wszyscy się muszą wykąpać. – Zrobił parę kroków w kierunku płyty skalnej i ryknął: – Simon! Simon!

Gitara przestała grać.

– Co jest? – Simon wyjrzał zza ściany.

– Czas się kąpać.

Simon zrobił grymas niechęci.

– Dzięki, ale nie.

Tuż przy nim pojawiła się Tanja z jointem w dłoni.

– No dalej, do cholery! – powiedział Alex z wściekłością. – Przecież się jeszcze nie kąpałeś. To ostatnia szansa tego lata, tak czy nie!

– Alex spojrzał na resztę.

– No dalej, Simon! – zawołał Bruno.

– Do diabła, Simon – zawtórowała mu Marie – to przecież nasza tradycja. Nie możesz zawieść, do cholery.

Joe skierował światło latarki na Simona i wszyscy zaczęli skandować chórem:

– Simon, Simon, Simon...

Simon najwyraźniej nie miał ochoty. Tanja szeptała mu coś do ucha, a potem włożyła mu skręta do ust. Simon zaciągnął się głęboko. Przez chwilę spoglądali na siebie w sposób, który Alexowi bardzo się nie spodobał.

Na twarzy Simona pojawił się tajemniczy uśmiech. Skierował się do ścieżki. Zdjął koszulkę, ale zachował džinsy. Joe śledził go światłem latarki, jakby Simon był jakąś gwiazdą rocka w drodze na scenę. Chór skandował coraz głośniej:

– Simon, Simon, Simon!

Ale Simon, zamiast iść w stronę kamienia kąpielowego, ku zdziwieniu Alexa zaczął się wspinać na skałę. Chór nie przestawał wołać i nawet Alex włączył się na chwilę. Przerwał, kiedy Simon

wspiął się na tę samą wysokość, z jakiej on skakał przed chwilą, i wspinał się jeszcze wyżej. Głosy osłabły i teraz były pełne niepokoju. Ale Tanja znów zaintonowała imię Simona, co na nowo ożywiło wołanie:

– Simon, Simon, Simon...

A on wciąż wchodził wyżej. Światło latarki podążało za nim jak reflektor. Metr po metrze. Aż w końcu wszedł na najwyższy uskok. Alex nagle poczuł, że za chwilę zwymiotuje. Wołanie odbijało się echem między skałami. Wracało jeszcze silniejsze, aż dudnił cały kamieniołom.

– Simon, Simon...

Simon stanął na skale i spojrzał w dół. Joe cały czas oświetlał go latarką – jego szczupłe, blade ciało stojące na najwyższej skale.

Alex oblizał usta. Powinien coś powiedzieć. Simon nigdy nie skakał z najwyższej półki, więc robić to teraz, po pijaku i w ciemności, to zupełne szaleństwo. Spojrzał na Tanję i zobaczył, jak patrzy na Simona, niemalże nie odrywając od niego wzroku. Gdzieś w ciele poczuł ostre ukłucie. Nieznany mu lodowaty chłód, który przypominał lęk, choć niezupełnie. Simon wciąż się wahał. Rozejrzał się dookoła, jakby nagle wytrzeźwiał. Jakby uświadomił sobie, gdzie jest i że to, co robi, to wcale nie jest taki dobry pomysł.

Alex doskonale znał to uczucie. Tę samotność tam, w górze. Simon stchórzy. Alex poczuł, jak mdłości przechodzą w dziwne uczucie ulgi.

– Nie odważy się, *no way* – krzyknął tak głośno, żeby Tanja go usłyszała.

Simon stał i nadal się wahał. Wołanie osłabło, ale Joe znów je rozpałił i wszyscy zaczęli rytmicznie klaskać i pokrzykiwać:

– Simon, Simon, Simon...

Simon wziął głęboki wdech i ostatni raz spojrzał na Tanję.

Zamknął oczy.

A potem zrobił dwa kroki w przód i skoczył wprost w ciemną taflę wody.

O kurwa, zdążył pomyśleć Alex.

Kurwa mać!

Jesień 2017

Sen powrócił. Klaustrofobiczny szpitalny pokój. Zapach środków dezynfekujących, leków i śmierci. Szum pompy, która wprowadza do krwi Håkana środki przeciwbólowe i powoduje, że to, co nieznośne, staje się odrobinę znośniejsze. Szara skrzynia, w której gładkie gumowe guziki wystarczy tylko wcisnąć w odpowiedniej kolejności, żeby zupełnie swobodnie i bez ograniczeń popłynęła morfina, która ukołysze go i pomoże mu zasnąć na zawsze. Anna ma tę sekwencję w głowie.

Trzy, trzy, siedem, pięć, dziewięć, dwa.

Select.

Tylko tyle.

– Anno, pomóż!

Anna uświadamia sobie, że w jej śnie nagle coś się zmieniło. Głos dobiegający z łóżka nie należy już do Håkana. Zapadnięta twarz na poduszce też jest twarzą kogoś innego. Młodego mężczyzny o blond włosach, rozrzuconych na poduszce niczym aureola. Ze wzrokiem wpatrzonym w sufit, który teraz jest ołowianoszarym porannym niebem. Czarna woda kapie spod kołdry. Najpierw małym strumyczkiem, potem coraz mocniej, aż wreszcie plastikowa podłoga staje się ciemnym jeziorem, które pochłania łóżko. Gipsowe ściany znikają, a na ich miejscu pojawiają się skały i drzewa w jesiennych barwach.

– Pomóż mi!

Anna stoi na brzegu. Woda sięga jej po kolana, kilka kroków do przodu i będzie musiała płynąć. Tuż pod powierzchnią unosi się ciało Simona Vidje, dokładnie tak jak na malowidle ściennym. Ruch wody powoduje, że twarz cały czas się zmienia. Z oblicza bladego młodego

chłopca do twarzy wychudzonego dorosłego mężczyzny, który ostatkiem sił kurczowo chwytą się życia.

– Anno, pomóż mi!

Anna robi krok w jego kierunku. Dno pokrywają ostre kamienie, które stara się omijać, tak żeby nie stracić równowagi. Woda sięga jej już do pasa, z zimna brakuje jej powietrza.

– Mamo!

Ktoś za nią krzyczy, a kiedy się odwraca, widzi Agnes, która wraz z Milo stoi na brzegu jeziora. Pies ma w pysku martwego królika, a Anna już wie, że zwierzę jest w środku puste, wybebeszone. Lekki wiatr kołysze drzewa, ich szum przypomina dźwięk pompy infuzyjnej.

– Czasami trzeba zrobić to, co się uważa za właściwe – mówi Agnes i pokazuje na ciemną wodę, na ciało, które należy jednocześnie i do Håkana, i do Simona Vidje.

– Obiecuj mi, że to zrobisz.

Trzy, trzy, siedem, pięć, dziewięć, dwa.

Select.

Anna czeka, aż zegar wskaże chwilę po piątej, zamyka swój gabinet i idzie do archiwum. Mimo iż minął już cały dzień, jej ostatni sen wciąż nad nią wisi i odmawia jej spokoju, tak potrzebnego jej w pracy.

W gabinecie Morella za szklaną ścianą jest cicho. Nie pali się też światło. Tak samo w całym komisariacie, dokładnie tak jak chciała. Właściwie to nie musi się kryć. Od poniedziałku komisariat będzie należeć do niej, ale już teraz ma pełne prawo sprawdzać, co tylko chce. Wie również, że sprawa Simona Vidje jest bardzo delikatna, i za wszelką cenę chce uniknąć pytań o to, dlaczego się tak tym interesuje. Szczególnie że nie ma na to dobrej odpowiedzi. W każdym razie nie taką, która choćby brzmiała sensownie. Czy naprawdę próbuje wykorzystać trzydziestoletnią sprawę po to, żeby się zbliżyć do własnej córki? Czyżby była aż tak zdesperowana?

Archiwum znajduje się w piwnicy i żeby tam dotrzeć, trzeba przejść przez szatnię. Tam też jest cicho i spokojnie, ktoś wyłączył radio, dlatego odgłosy jej kroków na świeżej plastikowej podłodze słychać jeszcze wyraźniej. Anna uświadamia sobie, jak szybko schodzi po schodach.

Przy drzwiach do archiwum nie ma czytnika karty, ale klucz, który w poniedziałek dostała od Morella, pasuje. Metalowe drzwi otwierają się z niepotrzebnie głośnym zgrzytem. Lampy jarzeniowe na suficie reagują na ruch, więc zapalają się, zanim jeszcze zdąży znaleźć przycisk. Widzi pokój bez okien, bardzo suchy, pachnący starym papierem i tuszem drukarskim. Sześć ściśniętych obok siebie regałów to tutaj jedyne meble. Na każdym z nich przyklejone są etykiety z datą, a pod nimi umieszczona jest wajcha do wysuwania półek. Ta, której szuka Anna, znajduje się w samym środku regału, więc musi się sporo namęczyć, żeby dosięgnąć wajchy i ją wysunąć. Po chwili przed jej oczami pojawia się rząd niebieskich teczek. Anna sprawdza datę na każdej z nich, dopóki nie znajdzie tej z roku 1990. Większość teczek zawiera kilka różnych spraw. Anna wyciąga jedną na chybił trafił. Jazda po pijanemu, z lipca. Druga to włamanie, w tym samym miesiącu. Papier już zdążył pożółknąć, a tekst napisany jest na maszynie. Anna bierze kolejną teczkę. Znajduje pobicie żony, a następnie prowadzenie pojazdu bez prawa jazdy, obie sprawy z sierpnia 1990 roku. Przerzuca kartki, jednak pozostałe trzy sprawy są mniej więcej tego samego kalibru, a przecież nie tego szuka.

Zanim jeszcze zdąży wyciągnąć kolejną teczkę, już wie, że to ta właściwa. Po numerze sprawy napisanym na grzbiecie orientuje się, że ta, w przeciwieństwie do pozostałych, zawiera tylko jedno dochodzenie. I jest lżejsza, niż się spodziewała. Otwiera ją.

29 sierpnia w nocy do kamieniołomu w Mörkaby został wezwany radiowóz 3495 w związku ze zdarzeniem, w którym odnotowano ofiarę śmiertelną.

Bingo! Anna czyta dalej, a jej puls zaczyna przyśpieszać.

Na miejscu zdarzenia znaleziono unoszące się na wodzie ciało Simona Vidje. W pozycji na plecach. Ze zdarzeniem powiązanych jest czworo świadków.

Alexander Morell, Bruno Sordi, Marie Andersson oraz Carina Pedersen, wszyscy w wieku 19 lat, wszyscy bliscy przyjaciele denata.

Carina, nie Catrin. To ona była czwartym uczestnikiem feralnego zdarzenia, albo piątym, zależy, jak się na to spojrzy. Kiedy Anna czyta dalej, gasną jarzeniówki i pokój zanurza się w mroku. Detektor ruchu jest gdzieś przy drzwiach, a ona schowana jest za regałami, urządzenie uznało więc, iż pokój jest pusty. Anna bierze teczkę pod pachę i po omacku przeciska się między regałami. Nagle słyszy nieoczekiwany odgłos i się zatrzymuje. Pocieranie gumową podeszwą o podłogę z linoleum. Anna stoi i nasłuchuje.

Słyszy dźwięk przekręcanego klucza i zgrzyt otwieranych drzwi, do życia znów budzą się lampy jarzeniowe, zanurzając ją w mocnym białym świetle.

– Co ty tu robisz? – pyta zaskoczony Jens Friberg.

– Szukam kilku starych spraw. – Próbuje zabrzmieć nonszalancko. – Zresztą, dobrze, że przyszedłeś. – Czuje, że zaraz się zatnie, czeka więc chwilę i kontynuuje: – Zgasły lampy i nie mogłam znaleźć wyjścia. – Zmusza się do uśmiechu, który i tak nie przynosi efektu.

– Jakich spraw, jeśli mogę zapytać?

Wzrok Friberga zatrzymuje się na teczce, którą Anna trzyma pod pachą. Potem zerka na regał z wysuniętymi półkami, na których wyraźnie widoczne są daty. Anna widzi, jak umysł Friberga próbuje złożyć w całość wszystkie szczegóły, jak jego oczy się zwiężają, kiedy domyśla się, czego szukała. Anna ścisza teczkę jeszcze mocniej pod pachą. Oddycha głęboko.

– Dzięki za pomoc, Jens. Wracam do siebie... – Anna pokazuje głową na wyjście za jego plecami.

Friberg nie ustępuje jej z drogi. Tylko stoi i ją obserwuje. Ich spojrzenia się spotykają. Anna robi duży wysiłek, żeby nie pokazać choćby najmniejszej oznaki zwątpienia. Robi krok do przodu i odległość między nimi kurczy się do granicy komfortu.

– Prze-praszam – mówi, zaledwie kilka centymetrów od jego nosa. Celowo dzieli słowo na dwa, by nie ryzykować, że się zatnie.

Friberg wciąż stoi nieruchomo ze wzrokiem wbitym w Annę. Tlen w tym małym pokoiku wydaje się kończyć. Anna unosi brwi, jakby zastanawiała się, co też on kombinuje. Jego wzrok wędruje tam i z powrotem. Następnie odchrząkuje i usuwa się na bok.

– Miłego... – Anna bierze oddech. – ...wieczoru – rzuca przez ramię, kiedy z udawanym spokojem krok za krokiem idzie korytarzem, ściskając teczkę pod pachą.

Zamyka za sobą drzwi gabinetu i z ulgą opada na krzesło. Poświęca dwie sekundy, żeby przed samą sobą pochwalić się, jak sprytnie poradziła sobie z Fribergiem i całą sytuacją, a następnie rzuca się na teczkę z aktami Simona Vidje. Tak jak się domyślała, teczka zawiera raptem garstkę dokumentów, dokładnie siedem. Zgłoszenie, przyjęte przez nieznanego Annie policjanta, który jako pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia, cztery krótkie przesłuchania świadków, opinię lekarza sądowego i krótką notatkę.

Już po kilku minutach uświadamia sobie, że śledztwo nie mówi jej wiele więcej niż to, co już wie, ale przynajmniej będzie mogła złożyć w całość te kilka luźnych kawałków, których nie rozumie. Simon Vidje i jego czwórka przyjaciół obozują w kamieniołomie w Mörkaby. Alex i Bruno przyjeżdżają jednym samochodem, dziewczyny drugim, a Simon, który mieszka w Änglaberdze, kilka kilometrów dalej, przyjeżdża rowerem. Biwakowanie to najwyraźniej pewnego rodzaju rytuał, coś, co robili od wielu lat, a to oznacza, że bardzo dobrze znają to miejsce. Rozpalają ognisko, jedzą, piją alkohol, a potem rozchodzą się do swoich namiotów. Alex i Bruno śpią w jednym, Marie i Carina w drugim, a Simon sam, w trzecim. W nocy zaczyna

padać, dokładnie tak jak mówił Morell, tłumacząc, że deszcz uderzający o namioty zagłusza wszelkie odgłosy. Mokra skała robią się bardzo śliskie. Następnego dnia, wczesnym rankiem, koledzy znajdują Simona unoszącego się na wodzie, nieżywego.

Raport z sekcji zwłok wskazuje na stłuczenia na ciele, charakterystyczne dla upadku. Najpoważniejsza jest rana z tyłu głowy, która według opinii lekarza sądowego była bezpośrednią przyczyną zgonu. Wnioski potwierdza fakt, że w płucach nie było wody, co oznacza, że oddech ustał tuż przed znalezieniem się w wodzie. Według lekarza lodowata woda uniemożliwia dokładne określenie czasu zgonu, jednak najbliższa jest hipoteza, że zgon nastąpił między pierwszą a trzecią w nocy.

Jak się okazuje, raport zawiera też pewne nowe informacje. Tamtego wieczoru na miejscu zdarzenia znajdowały się jeszcze dwie inne osoby, mężczyzna o imieniu Joe oraz kobieta o imieniu Tanja, oboje kilka lat starsi od pozostałej piątki. Uczestniczyli w imprezie przez kilka godzin, jednak według zgodnych zeznań świadków opuścili kamieniołom na motorze około wpół do dwunastej w nocy, kiedy zaczęła padać deszcz. Krótka notatka na samym końcu zawiera pełne imiona i nazwiska obu osób. Zanotowano tam również, że po pierwszej Joe brał udział w awanturze na stacji benzynowej w Reftinge, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miejsca zdarzenia, i pozostałą część nocy spędził w areszcie, to zaś oznacza, że nie mógł być w kamieniołomie w chwili śmierci Simona. Nic więcej w notatce nie ma. Przesłuchania świadków zajmują pół strony każda i są prawie identyczne. Zaczęło padać, Joe i Tanja odjechali, pozostali tymczasem około wpół do pierwszej rozeszli się do swoich namiotów. Wszyscy twierdzą, że spali bardzo mocno i nic nie słyszeli ani nie widzieli.

Ciało Simona znalazła Marie Andersson, około wpół do piątej rano, i natychmiast zawołała pozostałych. Próbowali wyjąć Simona z wody, ale im się nie udało, więc Bruno wsiadł w samochód Marie i popędził do sklepu w Mörkaby. Z telefonu Gunnel zadzwonił po pomoc. Pierwszy patrol policyjny przyjechał na miejsce zdarzenia

sześć minut przed szóstą, straż pożarna i ambulans krótko potem.

Anna zamyka teczkę i odchyła się z krzesłem do tyłu. Dokładnie tak jak mówił Henry Morell, nie ma tutaj nic dziwnego. Deszcz, mrok i śliskie skały w połączeniu z alkoholem są naturalnym wytłumaczeniem tragicznej śmierci Simona Vidje. Z jakiegoś powodu Anna jest trochę zawiedziona.

28 sierpnia 1990

Bąbelki. Wszędzie wokół niego. Wydobywają się z ubrania, włosów, nosa i ust jak małe srebrne kulki, by po chwili zniknąć w ciemności. Odgłos upadku wciąż jeszcze dźwięczał Simonowi w uszach, wibrował w całym jego ciele. Lodowate zimno atakowało skórę, powodowało, że naczynia krwionośne i płuca skurczyły się, a serce zaczęło walić jak młotem. Mimo to się nie ruszył, unosił się sztywny i bezwładny. Zamknął oczy i poddał się objęciom lodowatej ciemności.

Czy to się czuje, jak się umiera? Zdążył pomyśleć i powoli pod powiekami zaczął widzieć białe plamy.

Otworzył jeszcze oczy, wierzgnął nogami. Raz, dwa, trzy, pomógł sobie rękami. Szybciej, coraz szybciej ku wątltemu światłu tam w górze, w końcu przebił głową taflę wody. Dał radę!

Nabrał głośno powietrza i zawył z radości. Z góry natychmiast usłyszał Tanję, a następnie całą resztę, nieco mniej entuzjastyczną.

Bruno pomógł Simonowi wyjść z wody, a Marie dała mu kuksańca.

– Ty to chyba zdurniałeś. Przecież mogłeś się zabić! – krzyknęła mu prosto w twarz.

– Chcieliście, żebym się wykąpał – powiedział Simon z szerokim uśmiechem. – „Ostatnia kąpiel tego lata”, tak to było, o ile się nie mylę?

Ostatnie zdanie skierowane było do Alexa, który stał trochę dalej z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jeden z ich typowych żartów, którymi się przierzucali, choć Simon pożałował, gdy tylko zamknął usta.

Kiedy Alex nie odpowiadał, Joe skierował na jego twarz światło latarki.

– Ej, ty, samiec alfa, wygląda na to, że ktoś tu jest odważniejszy niż ty!

– Odwal się! – Alex zasłonił się ręką przed światłem i odwrócił głowę.

Kiedy podbiegła Tanja, przeciskając się między Brunem i Marie, Simon natychmiast zapomniał o Alexie i jego kwaśnej minie.

– Zrobicieś to! Ale zajebicie!

Tanja zarzuciła ramiona na szyję Simona i go pocałowała. Miała słodki smak od trawki, ale też od czegoś innego, podniecającego, co spowodowało, że Simon natychmiast ją do siebie przytulił. Był to jego drugi pocałunek w ciągu ostatnich dziesięciu minut, który razem z adrenaliną po skoku sprawił, iż wydawało mu się, że za moment eksploduje.

Kiedy reszta odwróciła wzrok, nastąpiła krótka, krępująca cisza. Jedyne Joe przeniósł światło latarki na tę coraz intensywniej całującą się parę. Tak jakby chciał, żeby inni też to widzieli.

– Brawo dla Simona, bohatera wieczoru! – powiedział głosem ociekającym ironią. – Dziękuję wszystkim za udział i dobrej nocy.

Tanja zdjęła rękę z szyi Simona i pokazała Joemu środkowy palec. Potem dokończyła pocałunek.

– Chodź – rzekła do Simona. – Musisz zdjąć z siebie to mokre ubranie. – Wzięła go za rękę i pociągnęła na skałę. Simon poczuł, jak mu się ściąga twarz, jak usta zaciskają się w grymasie.

– Jest mi bardzo zimno. – Kiedy odchodził z Tanją, usłyszał jeszcze Marie, a jej głos brzmiał słabo.

Doszli do namiotu, ale Tanja pociągnęła go za skałę. Najpierw zaczęła chichotać, a następnie wybuchła śmiechem, którym natychmiast zaraziła Simona. Jego dżinsy były przemoczone, zimne i przyklejały mu się do nóg, kiedy Tanja pociągnęła go dalej do obszczałki, a potem w las. Potykali się o nierówności, Tanja nawet prawie się przewróciła, ale Simon zdążył ją złapać. Cały czas się śmiali. Aż do chwili, kiedy doszli do dużego dębu. Tam znów zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęli się całować. Jego ręce, jakby dostały nowe życie, zaczęły jej szukać. Przywarli do siebie ciałami

i zanim Simon zdążył się zorientować, byli już bez spodni. Nogi Tanji oplótły jego biodra, jej plecy były przyciśnięte do drzewa. Simon poczuł, jak go chwyciła i skierowała w siebie, w coś miękkiego i ciepłego, coś, co oplótło go w podobny sposób jak ciemność wody. Wbiła się paznokciami w jego plecy i mocniej przywarła do niego biodrami. Jęknęła głośno i wciągnęła go w pełen podniecenia rytm, w którym cały świat, a może tylko jego umysł, już sam nie był pewien, rozbijał się na pojedyncze, drobne atomy.

Jesień 2017

Dom Morellów to jednopiętrowa podpiwniczona willa z białej cegły, zbudowana mniej więcej w latach sześćdziesiątych. W wypielęgnowanym ogrodzie nie leży choćby jeden pożółkły liść – ani na rabatach, ani na trawniku, ani nawet między figurkami ogrodowymi. Na przodzie domu Anna dolicza się trzech krasnali, trzech mikołajów i jednej rodziny jeleni. Przed bramą stoi zaparkowane duże granatowe bmw i Anna przez kilka chwil zastanawia się, czy to prywatny samochód Morella. Ale na przedniej szybie jest przyklejony znaczek Glarei, więc domyśla się, że to nie jego auto.

Agnes boczyła się trochę, że też musi jechać, lecz Annę ominęła jej złość i trzaskanie drzwiami, gdyż wciąż jeszcze respektują to kruche zawieszenie broni, które osiągnęły dzięki historii o Simonie Vidje. Żona Morella, Eva-Britt, to elegancka i miła kobieta w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, pewna siebie i z poczuciem humoru. Obejmuje Annę i Agnes, tak jakby się znały od lat, i już po paru minutach udaje jej się udobruchać Agnes, proponując jej takiego samego drinka jak dorosłym.

– Henry zawsze robi za słabe – szepcze Eva-Britt, prowadząc je do pokoju gościnnego.

W domu pachnie prawie tak samo jak u dziadków Anny. Słaby, ale wyraźny zapach wilgoci, która osiada na ubraniach i roznosi się po całym domu.

W pokoju gościnnym jest chłodno, jakby dopiero przed chwilą włączono ogrzewanie. Oprócz Morella siedzą jeszcze dwie inne osoby.

– Ze Sztokholmu wrócili właśnie Bengt i Marie, którzy bardzo

chcieli cię poznać – mówi Morell i kiwa głową w kierunku dwojga niezapowiedzianych gości.

– Bengt Andersson – przedstawia się mężczyzna i wyciąga rękę na powitanie. – Witamy w Nedanås.

Anna wyobrażała go sobie jako typowego przysadzistego skańskiego urzędnika, bez choćby odrobiny uroku osobistego. Tymczasem widzi przed sobą wysokiego, szczupłego niczym długodystansowiec mężczyznę. Wprawdzie łysieje, ale zamiast walczyć z tym, co nieuniknione, zgolił sobie tę resztkę i tak już siwiejących włosów. Zza markowych okularów widać żywe spojrzenie, a i jego garnitur nie jest kupiony w supermarkecie.

– Dziękuję – odpowiada Anna, nie mając nic więcej do powiedzenia.

Ale kobieta obok Bengta śpieszy jej na ratunek.

– Marie Sordi – mówi i mocno ściska rękę Anny. – Bardzo się cieszymy, że będziemy mogli współpracować. Jesteś dla nas przykładem. Kobieta, szef, matka, policjantka.

Marie Sordi jest prawie tego samego wzrostu co jej ojciec i ma taką samą pociągłą twarz. Okulary i ciemna garsonka, którą ma na sobie, jeszcze bardziej ją do niego upodabniają. Ma najwyraźniej naturalnie kręcone włosy, takie same jak nieokiełznana czupryna jej młodszego brata, jednak dzięki modnej krótkiej fryzurze loki Marie leżą dokładnie tam, gdzie trzeba.

– Poznałam Bruna w restauracji – mówi Anna. – Twój mąż przyrządza pyszne jedzenie.

– Miło słyszeć – odpowiada Marie. – Poczekaj tylko, aż będzie miał wolną rękę i nie będzie musiał gotować tych nudnych potraw ojca.

– Co prawda to prawda. – Uśmiecha się Bengt. – Ale czasami dobrze jest skorzystać z doświadczeń starszego pokolenia, czyż nie?

Anna początkowo myśli, że jego komentarz skierowany jest do Marie, lecz kiedy mruga i robi ruch głową w kierunku Morella, szybko się orientuje, że swoje słowa najwyraźniej przeznaczył dla niej.

– Henry bardzo mi pomógł – mówi Anna, a Morell kiwa głową

z zadowoleniem.

Chce powiedzieć coś więcej, ale przypomina jej się wizyta w restauracji oraz spotkanie z Alexem Morellem. Intuicja jej nie myli. I to niby spontaniczne spotkanie też jest zaaranżowane. Marie jest już trzecią osobą z czwórki przyjaciół z kamieniołomu, których spotkała w ciągu zaledwie kilku dni. W głowie wciąż ma słowa Elisabet Vidje. „Henry Morell manipuluje tobą!”.

– A więc byliście w Sztokholmie? – pyta Anna, żeby przestawić się na inne tory.

Marie kiwa głową.

– Mnóstwo różnych spotkań. Tato, mogę chyba powiedzieć?

Bengt Andersson kiwa głową z zadowoleniem.

– To jeszcze niepotwierdzone oficjalnie, ale minister infrastruktury zaakceptował plan rozwoju kolei dla południowej Szwecji – wyznaje Marie egzaltowanym głosem. – Pod koniec przyszłego roku w Nedanås będzie się zatrzymywać pociąg dalekobieżny! Ale to jeszcze nie wszystko... Podpisaliśmy też umowę na budowę centrum logistycznego i mamy nadzieję na dofinansowanie. To oznacza nowe miejsca pracy i nowe możliwości dla gminy.

– W takim razie gratuluję – mówi Anna. – Same dobre wiadomości.

– Znamy się z ministrem infrastruktury jeszcze z dawnych czasów – stwierdza Marie. – Dobrze jest mieć takie kontakty.

– Marie była przez pewien czas w sejmie – przerywa jej ojciec. – Ale trudno to było pogodzić z życiem rodzinnym. – Jego ton głosu jest ugodowy, jedynie ledwo zauważalne, delikatne wrażenie zdradza, że jest trochę zawiedziony.

Anna wyraźnie to widzi i jest pewna, że Marie też to zauważyła.

– Zdążyliśmy też zamienić parę słów z szefową sztokholmskiej policji – dodaje Marie bez cienia skrępowania. – Mówiła o tobie dużo dobrych rzeczy. Brakuje im ciebie w Sztokholmie.

Anna czuje, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Czy właśnie daje jej do zrozumienia, że coś wie? O Håkanie? O śledztwie? Marie sączy drinka i z jej twarzy trudno wyczytać cokolwiek. Anna zerka na Bengta, ale na szczęście nie widzi nic, co by potwierdzało jej obawy.

– To świetnie – odpowiada, jednak wciąż nie może pozbyć się niepokoju.

Po kilkuminutowej rozmowie i zaproszeniu na śniadanie do Rotary Bengt i Marie uprzejmie dziękują i wychodzą.

Tymczasem Eva-Britt najwyraźniej zabawiła Agnes, bo widać, że przypadły sobie do gustu.

– Agnes obiecała, że udzieli Henry’emu kilku lekcji. Na sześćdziesiąte piąte urodziny dostał aparat fotograficzny i choć minęły już dwa lata, jak do tej pory nie zobaczyłam jeszcze ani jednego zdjęcia...

– Coś z nim nie tak – mamrocze Morell pod nosem i zbiera kieliszki.
– Zdjęcia wychodzą jakies rozmyte.

– A próbowałaś nastawić autofokus? – pyta Agnes.

– Nawet kilka razy. Przepraszam, zawołam Alexandra.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że Henry nie przeczytał instrukcji obsługi – szepcze Eva-Britt po wyjściu Morella z pokoju. – Teraz pewnie się trochę wstydzi, ale po kolacji na pewno chętnie skorzysta z twoich eksperckich porad. – Eva-Britt mruga porozumiewawczo do Agnes.

W pokoju pojawia się Alex i jego dwie córki. Jedenastolatka, otwarta i ciekawska, pyta Agnes, dlaczego sobie ufarbowała włosy i czy nie bolało, kiedy robiła sobie dziurki w uszach. Agnes odpowiada, miło i cierpliwie. Czternastolatka natomiast początkowo spogląda zawstydzona spod grzywki, jakby to wszystko było dla niej jedną wielką żenadą. Po chwili jednak wszystkie trzy siedzą na sofie i pochylone oglądają film na telefonie Agnes.

Alex jest rozluźniony bardziej niż wtedy, kiedy spotkali się na komisariacie. Pachnie wodą toaletową Kouros i ma na sobie koszulkę Lacosty ciasno opinającą jego bicepsy. Jego krótko ścięte włosy są jeszcze mokre, a przyklejony do szyi kawałek czerwonego papieru toaletowego świadczy o tym, że golił się w pośpiechu. Nad lekko odstającym uchem Alex ma niewielkie zgrubienie, dość częste u zapaśników. Anna nie może się oprzeć myśli, że dodaje mu to atrakcyjności.

Przy stole Anna siedzi obok Alexa, a Eva-Britt umiejętnie wciąga ich w rozmowę, tak że jeszcze przed podaniem koktajlu krewetkowego mają już za sobą pogawędkę o pogodzie. Jako danie główne Morell podaje polędwicę wołową i zapiekankę z ziemniaków, natomiast Agnes dostaje danie wegańskie. Atmosfera się rozluźnia, wszyscy rozmawiają, a Morell ciągle dolewa wina, tak że Anna kilka razy musi mu przypominać, że prowadzi. To i tak mu nie przeszkadza, aby raz za razem napełnić jej kieliszek.

Alex Morell jest czarującym towarzyszem przy stole. Ma poczucie humoru i zaraźliwy śmiech, więc poprzednie wrażenie z komisariatu, faceta trochę wycofanego, Anna musi teraz nieco zrewidować.

Może wszystko przez wino, ale obydwie z Agnes świetnie się bawią.

Okazuje się, że Morell to zapalony ogrodnik. Po trzeciej anegdocie, oczywiście o tematyce przyrodniczej, Alex spogląda na Annę i przewraca oczami, co budzi w niej jeszcze większą sympatię do niego.

– Wyglądasz, jakbyś sporo trenował – mówi Anna.

– Kiedy tylko mam czas. Gdy nie mam dziewczynek, ćwiczę nawet trzy, cztery razy w tygodniu. – Alex nieświadomie dotyka palcem pustego miejsca po obrączce, a Anna łapie się na tym, że zaczyna sobie poprawiać włosy.

Co ona, do cholery, robi? Siedzi i jakby nigdy nic flirtuje ze świeżo rozwiedzionym synem swojego poprzednika, i to już w pierwszym tygodniu pobytu?

Anna opuszcza rękę, poprawia się na krześle i postanawia, że już nie wypije ani kropli, niezależnie od tego, jak bardzo Morell by ją namawiał.

– Alexander był świetnie zapowiadającym się zapaśnikiem – wtrąca Morell. – Miał nawet jechać z naszą reprezentacją na olimpiadę.

– Naprawdę? – Anna nie może ukryć zdziwienia. – W którym roku?

– W dziewięćdziesiątym drugim. Do Barcelony. Przed samym wyjazdem miał kontuzję kolana i nie mógł jechać.

Alex wzrusza ramionami.

– Za to dostałem pracę w branży budowlanej, co też nie jest złe – dodaje. – Czy słyszałaś kiedykolwiek, żeby zapaśnicy dużo zarabiali?

Jego słowa brzmią szorstko, jakby były wypowiedziane przez kogoś zupełnie innego, a i uśmiech znika gdzieś z jego twarzy.

Czyli w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, dwa lata po wypadku w kamieniołomie, podsumowuje Anna w myślach.

Tak jak przewidziała Eva-Britt, tuż przed kawą Morell przynosi swój aparat. To drogi, elegancki model, podobny do aparatu Agnes. Anna zastanawia się, od kogo dostał tak kosztowny prezent urodzinowy. Odpowiedź brzmi: od Bengta Anderssona. On i Henry są dobrymi przyjaciółmi, dokładnie tak jak twierdziła Elisabet Vidje.

Agnes siada na sofie obok Morella i wprawnym ruchem pokazuje mu różne funkcje i ustawienia. Anna korzysta z okazji i idzie do toalety. Ta jest zajęta, ale Eva-Britt pokazuje jej drugą, w piwnicy.

– Na lewo, za kotarą – instruuje.

Na dole jest pokój telewizyjny, cały obity boazerią. Dwie skórzane sofy, po których widać kilkadziesiątletnią patynę czasu, szklany stolik i barek, a na ścianie obowiązkowo nieco za duży telewizor plazmowy. Anna idzie do łazienki. Zgodnie z instrukcją Evy-Britt odsłania perłową kotarę i wchodzi do wąskiego korytarzyka. Zapach piwnicy miesza się z zapachem środka czyszczącego. Toaleta znajduje się za pierwszymi drzwiami na prawo. Na ścianach są zielone kafelki, w jednym rogu stoi kabina prysznicowa, w której przez mokrą jeszcze szybę widać niebieską butelkę z płynem pod prysznic. W szafce znajduje się krem do stóp, puste opakowanie po ibuprofenie, otwarta torebka golarek jednorazowych i butelka taniej pianki do golenia. Anna trochę się wstydzi swojego wścibstwa, ale przekonuje samą siebie, że to jedna z tych cech, które czynią ją dobrą policjantką. To i umiejętność pielęgnowania w sobie wątpliwości. Coraz bardziej zaczyna się przekonywać, że Elisabet Vidje miała rację. Że być może Morell z pomocą swojego dobrego przyjaciela Bengta Anderssona próbują ją zmylić. Że chcą, by uwierzyła w ich wersję śmierci Simona Vidje. Mogą mieć po temu wiele powodów. Jednym z nich, i zarazem najważniejszym, może być

to, że rany po tej tragedii jeszcze nie do końca się zaleczyły i nie chcą ich na nowo otwierać. Bo to ani dobre dla społeczności w miasteczku, ani dla tej czwórki, która uczestniczyła w wydarzeniach tamtej nocy. Jednocześnie trudno nie wziąć pod uwagę krytyki Elisabet Vidje odnośnie do śledztwa i podejrzenia, że Henry Morell przez te wszystkie lata tak kurczowo trzymał się stołka, by upewnić się, że prawda o śmierci Simona Vidje nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Wracając, Anna zauważa, że drzwi naprzeciwko toalety są lekko uchylone. W świetle z korytarza dostrzega coś, co przypomina gablotę, i nie może się powstrzymać, żeby nie zajrzeć. Pomieszczenie jest dość duże i podobnie jak pokój gościnny ma mozaikowe szyby w oknie tuż pod sufitem. Panuje tu półmrok, ale w świetle z korytarza widać dziesiątki zapakowanych pudeł ustawionych jedno na drugim. Za nimi biurko i wieżę hi-fi, która może mieć już ze trzydzieści lat, adapter i magnetofon kasetowy. W rogu pokoju stoi niezastane łóżko. Zapach wykładziny i wody toaletowej Kouros natychmiast przenosi ją na prywatki z czasów późnej podstawówki. Obłapujące ręce i smak gumy do żucia Hubba Bubba. I płyta *Take My Breath Away*.

Dwie rzeczy wie, jeszcze zanim zapali światło, by to potwierdzić. Po pierwsze, to dawny pokój Alexandra Morella. Po drugie, Alex znów tu mieszka. Gablota wypełniona jest medalami, pucharami i innymi trofeami. Większość z nich w zapasach, ale są tam też nagrody z turniejów szkolnych z lat osiemdziesiątych. Za gablotą wiszą zdjęcia trzech mężczyzn w strojach zapaśniczych. Alexander Morell jest na wszystkich. Anna dochodzi do wniosku, że był bardzo przystojny. Prawie na wszystkich zdjęciach z dużą pewnością siebie patrzy prosto w aparat. Oprócz jednego, na którym wygląda, jakby był nieobecny. Anna sprawdza datę, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Rok po śmierci Simona Vidje. Rok przed kontuzją i wykluczeniem z olimpiady.

Na półce z płytami jest muzyka rockowa z lat osiemdziesiątych. Bon Jovi, Europe, Bryan Adams i kilka mocniejszych zespołów – Iron

Maiden i AC/DC.

W rogu pokoju wisi oszklona rama z kolażem zdjęć. Młodzi chłopcy i dziewczyny w białych ubraniach i czapkach. Tabliczka z napisem „Matura 1990”, powiększone zdjęcia z dzieciństwa, miniaturowe butelki szampana i naszyjniki z kwiatów na szyjach. Czyste, niewinne uśmiechy i błyszczące oczy. Mimo iż zdjęcia mają już blisko trzydzieści lat, wciąż jeszcze słycać tamte młodzieńcze okrzyki: „Zdaliśmy ma-tu-rę! Kurczę, jesteśmy świetni!”.

Jedno zdjęcie jest nieco większe niż pozostałe. Jest na nim Alexander Morell w wypożyczonym smokingu, obejmujący dziewczynę o krągłych kształtach w wydekoltowanej sukience i z kręconymi blond włosami. Anna przypuszcza, że to zdjęcie z balu maturalnego, a ta młoda kobieta to dziewczyna Alexa. Może nawet matka jego córek?

W rogu po prawej stronie pokoju, na tablicy, wisi zdjęcie grupowe. Pięć osób, trzech chłopaków i dwie dziewczyny, wszyscy w białych odświętnych strojach i czapkach z daszkiem. Stoją objęci i krzyczą do aparatu.

„Friends forever” – napisane w nadrukowanej na zdjęciu chmurce, dokładnie takiej, jakie były bardzo popularne w czasach, gdy jeszcze wywoływało się zdjęcia.

Anna natychmiast rozpoznaje, że para na środku fotografii to Alexander Morell i jego blond dziewczyna, a stojący obok niższy chłopak to Bruno Sordi. Po drugiej stronie Bruna stoi wysoka dziewczyna o pociągłej twarzy, z kręconymi włosami. Nie ma okularów i wygląda na dużo radośniejszą niż dzisiaj. Anna nie ma najmniejszych wątpliwości, że to Marie Andersson, obecnie Sordi. Najdalej na lewo widać młodego chłopaka. Jego długie jasne włosy wystające spod czapki maturalnej sięgają aż do ramion. Ma bladą twarz i niemal przezroczystą skórę, ale jego spojrzenie jest radosne i pełne życia. Anna natychmiast go poznaje. To Simon Vidje.

– O, tutaj jesteś!

W drzwiach staje Alex, trzyma drinki. Jego ton głosu, podobnie jak wyraz twarzy, jest radosny i rozbawiony, jednak między brwiami da

się zauważyć małą zmarszczkę niezadowolenia.

– Szłam z łazienki i zauważyłam tę gab... – Anna przerywa i zająknięcie zamienia w pauzę. – ...Gablotę. Imponująca!

Alex czuje ulgę i podaje Annie drinka.

– Mówiłem matce i ojcu chyba ze sto razy, żeby uprzątnęli pokój i używali go jako pokoju gościnnego. Mama nawet chętnie by to zrobiła, ale ojciec się nie zgadza. Chce, żeby wyglądał dokładnie tak jak kiedyś. Wehikuł czasu wprost do lat osiemdziesiątych, prawda?

– Ale teraz tu mieszkasz, tak? – Anna pokazuje na kartony.

Alex robi się czerwony na twarzy, co wydaje się dość urocze.

– Jossan została w naszym starym domu. Uznaliśmy, że dla dziewczynek tak będzie lepiej. Wszystko tam mają: basen, boisko do koszykówki.

Z jego wyrazu twarzy Anna wnioskuje, że rozwód nie był dla niego łatwą sprawą.

– Moja firma buduje teraz cztery bliźniaki na Smedjevången. Jeden będzie dla mnie. Ale budowa się przedłuża, więc muszę prezimować u rodziców, że się tak wyrażę. – Robi przeproszający gest. I wciąż ma rumieńce na twarzy.

– W takim razie za twoje prezimowanie! – I Anna unosi kieliszek. – I za lata osiemdziesiąte.

Po kilku sekundach znów widzi na jego twarzy krzywy uśmiech.

– I za piwnice wszystkich matek i ojców – dodaje Alex.

– Widziałam wasze zdjęcia z matury – mówi Anna, kiedy już opuszczają kieliszki. – Jaki chłopiec, taki mężczyzna.

– Co to znaczy?

– Nic szczególnego. Gdzieś to przeczytałam.

– Okej. – Alex nieśmiało się uśmiecha. – A jaka ty byłaś, kiedy miałaś dziewiętnaście lat?

Anna zaczyna się śmiać.

– Pewnie okropna, ale prawdopodobnie wszyscy tacy byliśmy w tym wieku, prawda?

Alex nie odpowiada na pytanie. Natomiast zadaje jej nowe:

– Czy jesteś taka, jak myślałaś?

– Co masz na myśli?

– Twoje życie, wszystko... Czy tak sobie wyobrażałaś wtedy swoje życie?

– I tak, i nie.

Rozmowa zaczyna ją trochę niepokoić, więc pokazuje na zdjęcie z balu.

– Czy to twoja była żona?

– Nie. – Alex potrząsa głową. – To Carina Pedersen. Byliśmy parą od siódmej klasy. Wszyscy myśleli, że się pobierzemy. Ale zerwaliśmy po... – Pauza jest krótka, ale wyraźnie wyczuwalna, żeby nie powiedzieć bardzo wymowna. – ...Po liceum – kończy Alex, choć nie to miał na myśli.

Anna powinna się była domyślić już przedtem. Carina Pedersen, piąta osoba, która była wtedy w kamieniołomie. Pięcioro przyjaciół na wspólnym zdjęciu, ci sami, którzy byli w kamieniołomie. Anna zrzuca winę na alkohol.

Alex znów się uśmiecha, a Anna czuje lekkie łaskotanie w żołądku. Delikatne wibracje, które się rozptywiają po ciele. Strząsa z siebie to uczucie i próbuje wymyślić jakiś sposób, żeby wykorzystać napięcie między nimi i zapytać o Simona Vidje. Jest jednak zbyt wolna.

– Chciałbym cię o coś zapytać.

– Słucham.

– Jutro w parku jest festyn. Łowcy talentów, wesołe miasteczko, jarmark. Nawet nadmuchiwany zamek, jeśli będziesz chciała. – Anna się uśmiecha, więc mówi dalej: – A wieczorem obiad i potańcówka. Może miałybyś ochotę pójść ze mną?

Anna opuszcza kieliszek. Już chce powiedzieć, że bardzo chce z nim iść, ale przypomina sobie, że już obiecała Mów-mi-Lasse. Tymczasem Alex źle interpretuje jej milczenie.

– Jeśli nie masz ochoty, to nie ma żadnego problemu... – Czuje się zawstydzony.

– Nie, nie – odpowiada Anna. – To nie to. Bardzo chętnie bym z tobą poszła, ale obiecałam już komuś innemu. Mów... – Przerywa i próbuje sobie przypomnieć, jak się nazywa ten prawnik. – Lassemu

Gunnarssonowi. Jego syn i Agnes się znają. – To ostatnie nie do końca jest zgodne z prawdą. Takie małe kłamstewko dla ratowania honoru Alexa. – Ale pewnie się tam spotkamy.

Alex kiwa głową, sący drinka.

W Alexie Morellu jest coś, czego Anna nie może rozgryźć. Flirtuje, ma poczucie humoru i pewność siebie, a po chwili robi się cichy i zalękniony. Powodem może być oczywiście rozwód. Mężczyźni dużo gorzej znoszą rozstanie niż kobiety. Poza tym przeprowadzka do rodziców, do swojego dawnego pokoju, w wieku czterdziestu pięciu lat... raczej nie podbudowuje ego. Jednak to nie tylko to...

Anna jeszcze raz patrzy na zdjęcie. Pięcioro przyjaciół, obejmujących się, z krzykiem radości na ustach, uchwyceni w kilku chwilach życia prawie trzydzieści lat temu.

Friends forever.

28 sierpnia 1990

Kiedy Simon i Tanja zniknęli za wzgórzem, pozostali wciąż stali na ścieżce. Carina popatrzyła pytająco na pozostałą trójkę przyjaciół, lecz w odpowiedzi otrzymała jedynie ostrożne spojrzenia, pełne niedowierzania. Tak jakby nikt z nich nie był pewien, czy to, co widzieli, zdarzyło się naprawdę. Tę chwilę będą wspominać do końca życia. Stanie się ona jeszcze jedną z legend dotyczących kamieniołomu – o Simonie Vidje, który skoczył z najwyższej skały w środku nocy.

Atmosfera wciąż jednak była napięta.

– To wszystko twoja wina – wysyczała Carina do Alexa.

W odpowiedzi wrzucił tylko ramionami.

– Jest mi zimno – powiedziała Marie słabym głosem.

Joe zgasił latarkę.

– I co teraz, dzieciaki?

Nikt mu nie odpowiedział. Marie niespodziewanie odwróciła się i zwymiotowała wprost do czarnej wody.

Po chwili wrócili do obozowiska. Ani Simona, ani Tanji tam nie było, ale nikt tego nie skomentował. Bruno dorzucił drewna do ogniska, a pozostali rozeszli się do namiotów, żeby zmienić mokre ubranie. Chmury prawie zupełnie przestoniły gwiazdy. Płomienie tryskały ku niebu deszczem iskier. Carina wyszła pierwsza z namiotu. Włożyła kasetę do magnetofonu, włączyła i usiadła przy ognisku obok Joego. Muzyka nieco złagodziła tę dziwną atmosferę. Carina wciąż była wściekła na Simona, teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Alex cały wieczór podrywał siostrę Joego, co było do przewidzenia. Ale tego, że Simon wolał tę wypacykowaną lafiryndę, a nie ją... tego nie mogła mu darować. Od momentu, kiedy ją odrzucił, rosta w niej

wściekłość i teraz była jak rozżarzona kula ognia, którą czuła w klatce piersiowej.

– Masz fajkę? – zapytała Joego.

– Jasne! – Wyjął papierosa, złożył dłonie i zapalił jej. Z przenośnej lodówki wyjął dwa piwa.

– Studiujecie? – zapytała Carina. – No ty i twoja siostra?

– Czy studiujemy?! – Joe parsknął śmiechem, tak jakby ta myśl bardzo go rozbawiła.

– To czym się zajmujecie?

– Robimy to, na co mamy ochotę. – Głęboko zaciągnął się papierosem i nosem wypuścił dym.

– A gdzie mieszkacie?

– To jakieś pieprzone przesłuchanie czy jak? – Uśmiechnął się szeroko. – Chcesz się do mnie wprowadzić? Przecież dopiero się poznaliśmy. – Joe znów się zaciągnął. – Mam chałupę ojczyzna. Ale pomieszkujemy tu i tam. Tanja zawsze znajdzie jakieś lokum na wakacje. Jest w tym dobra. A latem ludzie dużo imprezują.

– To twój ojczym, tak? Nie Tanji?

Joe nie odpowiedział, tylko pociągnął łyk piwa. Przysunął się bliżej Cariny, tak że ich ramiona się dotykały. Carina dostrzegła, jak błądzi wzrokiem po jej ciele.

– A co zrobicie, kiedy lato się skończy? Pytam serio.

Joe zrobił taką minę, jakby Carina powiedziała coś śmiesznego.

– Wszystkie jesteście takie same – wybełkotał. – Smarkule, które myślą, że są takie wyjątkowe. Że nikt oprócz was nie czuje i nie myśli. Ale jesteście tylko marnymi statystkami w waszym samolubnym pieprzonym show. Z tymi waszymi cholernie dziecinnymi marzeniami. – Papierosem zatoczył koło w powietrzu. – Spójrz tylko na siebie i tych twoich koleśków. Za trzydzieści lat pewnie będziecie siedzieć na jakimś zjeździe klasowym i pieprzyć dyrdymały, jakie to wszystko było kiedyś proste. Że chcielibyście zacząć wszystko od nowa. – Joe zaciągnął się ostatni raz i wrzucił peta do ogniska. – Tanja i ja robimy to, na co mamy ochotę. W przeciwieństwie do was, na starość nigdy nie będziemy żałować,

że czegoś nie zrobiliśmy.

Na ustach Joego pojawił się grymas uśmiechu, szerokiego uśmiechu. Carina znów nie była pewna, czy mówi poważnie, czy sobie z niej żartuje. Skłaniała się raczej ku temu drugiemu. To wcale nie było dla niej takie znów śmieszne.

Reszta wyszła z namiotów. Marie miała czerwone oczy i stanowczo odmówiła, kiedy Joe poczęstował ją piwem. Alex otworzył puszkę i wypił wszystko duszkiem. Potem beknął, aż Carina z obrzydzeniem odwróciła się do niego plecami.

Bruno, jak zwykle, nie mógł się zdecydować. Dołożył jeszcze drewna do ogniska i usiadł obok Marie, która siedziała pochylona do przodu z twarzą schowaną w kolanach.

– Jak się czujesz? Może wody?

Marie potrząsnęła głową. Przez chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy w milczeniu patrzyli w ogień, a w tle śpiewała Madonna.

– No co, dzieciaki? – zaczął nagle Joe. – Siedzicie, kurwa, jakby uszło z was całe powietrze. – Delikatnie szturchnął Carinę łokciem. – Popatrzcie tylko na waszego samca alfe. – Zachichotał szyderczo i puszką piwa pokazał na Alexa. – Cały jego świat runął. Został strącony z tronu przez małego chudego muzykanta.

– Zamknij się – wymamrotał Alex i splunął w ciemność.

– A ten nieszczęśliwie zakochany kucharz, tam dalej, jest już w zupełnej rozsypce. – Joe pokazał na Bruna. – Ale nie martwcie się, dzieciaki, wujek Joe zaraz wam wytłumaczy, co się stało. A więc słuchajcie... Wasz przyjaciel Simon, ten słodki trubadur, przerósł was. Uświadomił sobie to dopiero parę chwil temu. Pojął, że jest zbyt zdolny, zbyt przystojny i zbyt mądry na tę cholerną dziurę i dla takich luzerów jak wy.

Znowu zapadła cisza, przytłaczająca, nieznośna cisza, która przytłumiła nawet muzykę. Carina poczuła, jak ta rozżarzona kula w jej piersiach jeszcze bardziej rośnie. Właściwie to chciała powiedzieć Joemu, żeby się zamknął i zabierał łapę z jej pleców. Żeby wziął ten swój pieprzony motor i wynosił się do diabła. Ale tego nie zrobiła. W powietrzu czuć było takie napięcie, że i ona,

i pozostali siedzieli jak sparaliżowani. Słowa Joego krążyły jej w mózgu. Jak wąż sylab łączących się w wyrazy – zakazane, a jednocześnie tak cholernie prawdziwe.

Simon zawsze był outsiderem w ich paczce. Powinien być im wdzięczny, że trzymali z nim przez te wszystkie lata, że znosili te jego ciągłe spóźnienia i tę jego beznadziejną muzykę. Poza tym Carinę denerwowało też to, że ludzie, z wyjątkiem jej własnej rodziny, o tym pieprzonym Simonie Vidje zawsze mówili takim miękkim głosem. Tak jakby był kimś wyjątkowym tylko dlatego, że potrafił grać i śpiewać.

Marie wstała nagle, otworzyła usta i palcem wskazującym pokazała na siedzących przy ognisku. Błądziła wzrokiem. Sprawiała wrażenie, jakby trudno jej było się skoncentrować.

– Olał nas – wymamrotała. – On nas po prostu olał...

Chwiała się na nogach i miała minę, jakby chciała powiedzieć coś więcej, lecz popędziła tylko za namioty i znów zwymiotowała. Bruno, niepewnym krokiem, poszedł za nią.

Wciąż grała muzyka. *Black Velvet*, ulubiona piosenka Cariny. Sama nie wiedziała dlaczego, lecz nagle się podniosła, zrobiła głośniej i zaczęła tańczyć. Zamknęła oczy i kiwała głową w takt refrenu.

– *Black velvet and that little boy smile...* – śpiewała z papierosem w jednej ręce i puszką piwa w drugiej.

Po chwili dołączył do niej Joe, objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i przywarł do niej krocem. Po kilku sekundach poczuła, jaki jest twardy.

Spojrzała w stronę Alexa, ale bez wzajemności. Alex patrzył w kierunku obszczałki, jakby wciąż nie rozumiał, dlaczego to nie on jest tam z Tanją. Joe jeszcze mocniej przycisnął Carinę, ocierał się o nią krocem w takt tej sugestywnej pościelówki.

Carina znów spojrzała na Alexa. Chciała, żeby zareagował. Część niej była świadoma tej żalostnej sytuacji. Cofnęła się do tej smarkuli z podstawówki, która żeby wzbudzić zazdrość w swoim chłopaku, tańczy z innym. Ale teraz tego potrzebowała, potrzebowała potwierdzenia, że rozbudza pożądanie. Potrzebowała znaleźć

uczucie, które pomogłoby jej pozbyć się tej wciąż narastającej wściekłości.

Alex podniósł się nagle i przez chwilę Carina była pewna, że będzie awantura. Że zacznie poszturchiwać Joego, który dłonią błędnął po jej pośladkach, i da mu w pysk. Część niej była tym nawet podniecona, wyraźnie zadowolona. Ale Alex wymamrotał tylko, że musi się wysikać, i poszedł ścieżką w dół, gdzie zaparkowali samochody.

Jak tylko zniknął z pola widzenia, Joe zaczął całować Carinę po szyi. Przez kilka sekund pozwalała mu na to, ale potem zaczęła się bronić.

– No co jest... – Joe znów ją chwycił i próbował przyciągnąć do siebie.

– Nie, odwal się! – Carina odepchnęła go, ale on znów ją do siebie przyciągnął i próbował pocałować w usta. – Przestań!

– Już nie bądź taką pieprzoną cnotką. Przez cały wieczór dajesz mi jasne sygnały.

Joe ponownie próbował ją pocałować i tym razem odpowiedziała na jego pocałunek. Chciała zadowolić tę część siebie, która pragnęła być pożądana, kochana.

– Chodźmy do namiotu – wyszeptał Joe. – Mam jeszcze jednego jointa, możemy się podzielić.

21.

Jesień 2017

W sobotę Anna śpi długo. Budzi się dopiero, kiedy Milo szczeka i drapie w drzwi wyjściowe. Wstaje i wkłada stary szlafrok, który właściwie powinna już wyrzucić podczas przeprowadzki. Zaczyna się drzeć, a wyszyta na przedzie nazwa hotelu jest prawie nieczytelna. A jednak trudno się go pozbyć. Tak jakby wspomnienie tamtego weekendu – Paryż, jesienne liście, młodsze i lepsze wersje Håkana i jej – miało zniknąć wraz z tym szlafrokiem. Jakby miało wyblaknąć i się rozmyć, niczym litery na kieszonce na piersi, aż w końcu pozostałyby jedynie maleńkie fragmenty tego, co było.

„Fragmenty nas samych”, szepcze Håkan, kiedy Anna stoi tak w drzwiach i wdycha czyste jesienne powietrze.

Milo pędzi do najbliższego drzewa. Tak mu się chce siku, że ostatnie metry pokonuje na trzech łapach. Annę to strasznie śmieszy. Pies to chyba zauważa, bo spogląda na nią spode łba, przemyka przez podwórze i siada u jej nóg. Anna stoi jeszcze chwilę na schodach. Obserwuje stado gęsi, które szerokim kluczem rozciągają się na niebie. Na szczęście na schodach nie pojawiło się więcej wypatroszonych królików. Agnes uważa, że te króliki są bardziej ekscytujące niż obrzydliwe, co Annie w gruncie rzeczy przynosi pewną ulgę.

Teraz bierze głęboki oddech. Wciąga do płuc zapachy, piękno, jesienne kolory. Ledwo dochodzące odgłosy dzikich gęsi w górze. Próbuje nie czuć awersji do wszystkiego. Ale jej trudno.

„Kochałem cię ponad wszystko inne”, szepcze Håkan. „Ty też mnie kochałaś, prawda?”.

Dzisiejszej nocy nic jej się nie śniło, w każdym razie nic nie pamięta. Mimo to w jej głowie wiruje jakaś męcząca myśl czy też uczucie,

które trudno nazwać. Ma to coś wspólnego z tym malowidłem ściennym i tragicznym losem Simona Vidje. Powinna zająć się czymś innym, zadzwonić do swojego adwokata. Obiecał, że się odezwie, jak tylko dochodzenie dobiegnie końca, ale minął już ponad tydzień, odkąd ostatni raz rozmawiali.

W poniedziałek – przekonuje samą siebie. – Jeśli do poniedziałku się nie odezwie, zadzwonię do niego.

Po śniadaniu pomaga Agnes zapakować do samochodu sprzęt fotograficzny. Agnes jest podekscytowana i kilka razy pokazuje jej w telefonie zdjęcia satelitarne.

– Zobacz. To małe ciemne jezioro w środku lasu to kamieniołom. Kiedy się zrobi zbliżenie, można nawet zobaczyć skały.

Obie wskakują do samochodu, a Milo, jak zwykle, rozsiada się na kolanach Agnes. Czuje się pokrzywdzony, kiedy Agnes rzuca go na podłogę. Obrażony wpatruje się w siedzenie kierowcy, jakby chciał się Annie poskarżyć.

– Pojedziemy prosto, a po jakichś trzech kilometrach skręcimy w boczną drogę.

Anna wypełnia polecenia Agnes. Cieszy się, że zaczęły ze sobą rozmawiać i że w końcu robią coś razem.

Po obu stronach drogi roztacza się dziwny pagórkowaty krajobraz. Jesienne liście, małe pastwiska i szerokie pola. Tuż przy drodze tartak, a za nim otwarty krajobraz.

– Zobacz! – Agnes pokazuje palcem na stado jeleni pod lasem.

Niebo zasnuwają ciemne chmury, ale nie ma mgły, więc tym razem dobrze widać białą werandę domu w Änglaberde. Z bramy na początku alei wyjeżdża samochód. To pick-up Brora Kleina i kiedy się mijają, Agnes macha mu na powitanie.

– Jak daleko stąd do kamieniołomu?

Agnes sprawdza w telefonie.

– Około dwóch kilometrów.

Rowerem można spokojnie dojechać, myśli Anna. Patrzy na świeżo zaorane pola po obu stronach drogi. Próbuje sobie wyobrazić Simona jadącego rowerem.

Nagle zaczyna padać. Kiedy mijają pola i wjeżdżają w las, deszcz zamienia się w ulewę i mimo drzew strugami zalewa im przednią szybę. Anna włącza wycieraczki i zwalnia, ale i tak niemalże gubi nieoczekiwany ostry zakręt.

– Wow! Mamo, spokojnie! – Agnes łapie za uchwyt nad szybą i spogląda na Annę z irytacją.

– Sorry – odpowiada Anna i zwalnia jeszcze bardziej.

Deszcz leje tak mocno, że wycieraczki nie nadążają.

– Tu, boczna droga! – Agnes wskazuje na prawie niewidoczną usypaną żwirem odnogę.

Anna zatrzymuje samochód, upewnia się dwa razy, że nic nie jedzie, i skręca w lewo w dół. Albo, jak się okazuje, w górę, gdyż droga zaraz przechodzi w pagórek. Jest nierówna i wyboista, więc Anna musi lawirować między dziurami. Las robi się coraz rzadszy i za pagórkiem przechodzi w wyręb. Deszcz się nasila, kiedy wyjeżdżają z lasu. Wali o maskę i szyby, co zmusza Annę do bardzo wolnej jazdy.

Agnes pochyla się do przodu, żeby lepiej widzieć.

– Tam! To tamta droga!

Anna skręca bardzo ostrożnie, a mimo to wjeżdża w dziurę, aż zarzuca samochodem. Znajdują się teraz na wąskiej ścieżce, zaledwie na jeden samochód, z pasem trawy pośrodku, tak wysokiej, że aż rysuje podwozie.

– Stop! – krzyczy Agnes, ale Anna już zdążyła zauważyć koniec drogi.

Gruba stalowa barierka z tablicą pośrodku ustawiona jest w poprzek. Kiedyś na tablicy był jakiś tekst, ale pogoda i wiatr zniszczyły ją i teraz widać jedynie jeden wyraz.

„NIEBEZPIECZEŃSTWO!”.

Anna i Agnes czekają w samochodzie, aż przestanie padać. Agnes odłożyła komórkę, Milo siedzi spokojnie na jej kolanach. Dwadzieścia metrów za barierką dawny wyręb porasta gęsty, ciemny las. Sprawia wrażenie, jakby wchłonął i światło, i tę małą drózkę.

Pies zaczyna szczekać, kładzie łapy na desce rozdzielczej i przyciska nos do przedniej szyby, tak jakby coś zauważył.

Deszcz słabnie, aż w końcu zupełnie ustaje.

– To co, idziemy? – pyta Anna, a w odpowiedzi otrzymuje słabe kiwnięcie głową.

Po drugiej stronie barierki droga lekko opada, a po przejściu kilku metrów znajdują się wśród wysokich, gęsto rosnących świerków. Woń jest tu zupełnie inna niż w lesie liściastym. Mieszanina zbutwiałych zapachów w połączeniu ze słabym światłem daje wrażenie grozy.

Po jakimś kilometrze las lekko się przersedza i otwiera się przed nimi na wpół zarośnięta przestrzeń, jakby do zawracania samochodów. Ziemię pokrywa ubita warstwa skalnych odłamków, dzięki czemu las jej jeszcze nie wchłonął. Między drzewami pobłyskuje lustro wody, ale ostry brzeg jest niemal całkowicie zarośnięty, więc trudno cokolwiek zobaczyć. Gdzieś między korzeniami drzew i leżącymi gałęziami potworzyły się małe deszczowe jeziora, na których powierzchni tańczą teraz owady. Agnes zaczyna je fotografować, a Anna próbuje zebrać myśli.

Wie, że płyta skalna, na której wtedy biwakowali, powinna znajdować się gdzieś na lewo nad kamieniołomem.

Po chwili poszukiwań znajduje starą ścieżkę. Woła Agnes i Milo i po kilku minutach walki z ciernistymi krzewami, gałęziami i coraz bardziej spadzistym zboczem wychodzą na otwartą, gładką płytę skalną po lewej stronie kamieniołomu. To tutaj musieli biwakować. Widok jest piękny i jednocześnie jakby znajomy. Pełne liści drzewa wzdłuż brzegu są wprawdzie wyższe, a trawy gęstsze niż na malowidle, ale czarna tafla wody i ostre skały wyglądają tak samo. Anna nie może uwierzyć, jakim wyjątkowo zdolnym artystą musiał być Karl-Jo. Nie tylko uchwycił każdy szczegół i stworzył niezwykle wrażenie optyczne tafli wody, ale również świetnie oddał nastrój tego miejsca. Pewien rodzaj smutku wzmocnionego żółtymi, więdnącymi liśćmi i czarnym lustrem wody. Agnes też to zachwyca.

Obie stoją i patrzą w milczeniu na wodę otoczoną skałami. Anna

wyobraża sobie zarys ciała, które unosi się tuż pod ciemną taflą. Nie potrafi sobie wytłumaczyć, dlaczego powoli wkrada się w nią jakieś nowe, nieznanne wrażenie. Że zdarzyło się tu coś zupełnie innego niż nieszczęśliwy wypadek. Coś tragicznego, a jednocześnie okrutnego, czego nie da się wytłumaczyć na tych siedmiu pożółkłych stronach papieru w starych aktach.

Kiedy wracają do Taboru, czeka na nie ciężarówka. Tylne drzwi samochodu są otwarte. Wystaje z nich mała rampa. A gadatliwy sprzedawca rowerów i skuterów, jakby nigdy nic, wyprowadza nową vespę Agnes. Przerzywa na chwilę, kiedy Milo zaczyna szczekać.

– Jesteście – mówi, kiedy Anna i Agnes podchodzą do niego. – Już myślałem, że coś się stało. Bo umawialiśmy się na dzisiaj, prawda? W każdym razie tak mam zapisane w kalendarzu.

Wyciąga porcję snusa i wkłada ją pod górną wargę, dociskając koniuszkiem języka.

– Sorry, to moja wina – tłumaczy się Anna. – Po prostu całkiem o tym zapomniałam. Miło, że poświęciłeś na to sobotę. Napijesz się kawy?

– Dzięki, że pytasz!

Podczas gdy Anna nastawia kawę, Göran od Rowerów pokazuje Agnes vespę. Wyjaśnia jej, jak się ją zapala, jak się zatrzymuje i który przycisk do czego służy. Kończą, kiedy kawa jest prawie gotowa. Agnes zakłada kask i wyjeżdża na drogę, Milo biegnie za nią z tyłu. Anna zaprasza Görana do kuchni.

– To tak tutaj jest? – Göran rozgląda się z zaciekawieniem. – Nigdy tu nie byłem. Dom widziałem tylko z zewnątrz, i to jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat temu. Widzę, że nie ma już zjeżdżalni.

Anna marszczy czoło i próbuje zgadnąć, co miał na myśli, lecz bezskutecznie.

– Karl-Jo zrobił otwór do zjeżdżalni na ścianie domu – tłumaczy Göran. – Była niebieska, z blachy.

Ręką robi szybujący ruch w powietrzu i Anna dopiero po chwili domyśla się, że ruch ten miał imitować właśnie zjeżdżalnię.

– Wszyscy myśleli, że zrobił to dla dzieciaka, ale to Karl-Johan jej używał. „Bo wchodzenie po schodach jest takie nudne”, mówił. Taak, miał swój własny sposób na życie. – Göran rechocze sam do siebie i wraca do inspekcji kuchni.

– Jak to się stało, że się tu znalazł? – pyta Anna i jednocześnie nalewa mu kawy do kubka.

Kombinacja lej-kawę-i-pytaj zawsze się sprawdza.

– Karl-Johan i Elisabet poznali się, kiedy ona studiowała w Lundzie. – Göran pochyla się przez stół i ścisza głos. – Elisabet zaszła w ciążę, dlatego szybko musieli wziąć ślub. Stary Vidje zmarł nagle niedługo potem. Ludzie gadali, że to szok go zabił... – Göran od Rowerów tak chichocze, że aż widać snus na jego dziąśle. – Elisabet musiała przerwać studia i wrócić do Änglabergi, żeby pomóc matce w gospodarstwie. Karl-Johan przyjechał razem z nią i związał się z tym miejscem. To były lata siedemdziesiąte, zielona fala, pamiętasz? Mnóstwo ludzi przenosiło się z miasta na wieś. Wymyślili sobie, że wsiądą na konia i staną się rolnikami. Że w parę tygodni nauczą się tego, co zajmuje całe pokolenia...

Göran znów zaczyna się śmiać, a potem dyskretnie wyjmując z ust snusa, wrzuca go do kosza na odpadki i bierze tyk kawy.

– Pewnie z Karla-Johana nie był żaden rolnik, co?

– O nie. Na pewno nie. Miał mnóstwo różnych pomysłów, jeden dziwniejszy od drugiego. Próbował uprawiać winogrona i jakieś inne bzdety. Przez jakiś czas hodował nawet lamy, na pastwisku z tyłu domu. Lamy, wyobrażasz to sobie? Tu, w Skanii... Nie wiem po co. Chciał organizować zawody w pluciu czy jak? – Goran tak się śmieje, że aż się krztusi. – Właściwie to dziwne, że Elisabet tak długo mu na to wszystko pozwalała – stwierdza, kiedy opanowuje śmiech. – Po paru latach bank zagroził, że im zabierze Änglabergę. Wtedy Elisabet urządziła Karlowi-Johanowi w Taborze jego własne atelier i dzięki temu znów zaczął malować. Mądre posunięcie. I to nie tylko dlatego, że jego obrazy są dzisiaj warte fortunę. Dzisiaj Elisabet,

dzięki Brorowi Kleinowi, posiada najwięcej ziemi w całej gminie. Klein opiekuje się Änglabergą od wielu lat, tak jakby to była jego własność.

Wygląda na to, że Göran skończył wykład, więc Anna wyjmuje z szafki pudełko ciastek. Chce, żeby mówił dalej.

– Jak dobrze znałeś Karla-Johana? – pyta, kiedy Göran zdąży już przełknąć pierwsze ciastko malinowe.

– Co tu opowiadać... Wpadaliśmy na siebie od czasu do czasu. Pogadaliśmy trochę o pogodzie, to wszystko. Prawie się stąd nie ruszał. Zadawał się tylko z Elisabet i Kleinem. Szczególnie potem, jak jego chłopak... no wiesz... – Göran robi smutny grymas i sięga po następne ciastko. – Okropna historia dla wszystkich, którzy tam byli. – Milknie i chrupie ciastko.

Anna wyobraża sobie piątkę przyjaciół ze zdjęcia. Ich radosne okrzyki do aparatu. „Przyjaciele na zawsze”. A potem ogarnia ją to samo uczucie co w kamieniołomie.

– Z tego Simona to był dobry chłopak – kontynuuje Göran. – Kiedy umarła moja matka, grał i śpiewał do mszy. Nawet ja musiałem wyjąć chustkę z kieszeni... – Znów się uśmiecha, tym razem bardziej sympatycznie. – Zresztą pomogłem mu załatwić pudełka od jajek. Szwagier pracuje na fermie... Można dolewkę?

Anna dolewa mu kawy do kubka, niczym paliwa, i jednocześnie przemyca następne pytanie:

– Pudełka od jajek?

Göran kiwa głową.

– Do wytłumienia hałasu. Simon urządził sobie na strychu nad garażem w Änglaberdze salę muzyczną... czy tam studio, jak to się fachowo nazywa. Przyniosłem mu dwieście pudełek... To było jakieś dwa miesiące przed wypadkiem. I naprawdę ładnie mu to wyszło, magnetofony szpulowe, mikrofony i inny sprzęt, który sam sobie skompletował. A potem to wszystko poszło z dymem...

– Jak to?

– Wszystko spłonęło w pożarze.

Anna unosi brwi.

– Cały garaż się spalił – dodaje Göran. – Noc po śmierci Simona. Chłopak musiał podłączać mnóstwo sprzętu i zrobiło się zwarcie. Przynajmniej tak mówili strażacy.

Göran niemal niewidocznie macha głową, ale wytrenowane oko Anny natychmiast wychwytuje ten gest.

– Ale ty w to nie wierzysz, tak?

Jest zaskoczony, jakby czytała w jego myślach, a przecież właściwie tylko odczytała jego mowę ciała.

– Diabli wiedzą – mamrocze pod nosem Göran i bierze kolejne ciastko. – Ale niektórzy mówią, że ten pożar to sposób na utarcie nosa Elisabet.

Annę zaczyna drążyć ciekawość, bo to coś nowego, a być może ważnego. Jest jednak profesjonalistką, więc nie daje nic po sobie poznać.

– A wielu jest takich, którzy podważają wyniki śledztwa? Że śmierć Simona to wypadek?

Göran wzrusza ramionami.

– Większość w ogóle już o tym nie rozmawia. Przecież prawie każdy tutaj zna kogoś, kto miał z tym coś wspólnego. Alex, Bruno i Marie wciąż tu mieszkają, a Henry Morell i Bengt Andersson wciąż mają tu wiele do powiedzenia.

– Ale ty się ich nie boisz?

Göran znów parska śmiechem.

– Pewnie jestem za głupi, żeby się bać. Albo może jestem bezpieczny, bo mój mały biznes przyciąga ludzi z całej północnej Skanii. Można powiedzieć, że przyczyniam się do tego, że nasze małe Nedanås istnieje na mapie. A Bengtowi Anderssonowi dobre imię gminy bardzo leży na sercu. Można powiedzieć, że ma na tym punkcie fioła.

Anna stoi na schodach i patrzy, jak ciężarówka znika w lesie. Jednocześnie próbuje poskładać w głowie nowe puzzle z tymi, które już ma. Henry Morell nie wspomniał ani słowem o pożarze

w Änglaberdze, mimo że wszystko wskazuje na to, że pożar miał jednak coś wspólnego ze śmiercią Simona. Dlaczego jej o tym nie powiedział? I dlaczego to wydarzenie wciąż budzi tu tak żywe emocje? Przecież minęło już dwadzieścia siedem lat... A może najważniejsze, dlaczego ją to tak interesuje? Wszystko zaczęło się od tego, że obie z Agnes zaczęły się interesować tym malowidłem i jego historią, co je do siebie zbliżyło. Mimo iż Anna już zna cały kontekst sprawy i ma własne przemyślenia, trudno jej przestać drążyć. To malowidło i wycieczka do kamieniołomu zrobiły na niej duże wrażenie. Jest tym wszystkim poruszona w sposób, którego nie potrafi wytłumaczyć.

28 sierpnia 1990

Alex zszedł ścieżką w dół, gdzie zaparkowali samochody. Był pijany i na haju i przy zejściu ze zbocza potknął się, upadając jak długi na ziemię. Poczul tak ostry ból w kolanie, że aż musiał nabrać powietrza. Szybko się podniósł, otrzepał z ziemi i kilka razy ruszył kolaniem. Ból powoli ustępował. Wziął głęboki oddech i z płonącymi policzkami obejrzał się do tyłu, czy nikt tego nie widział. Uświadomił sobie, że cały ich wieczór został zepsuty, choć nawet nie bardzo rozumiał, jak do tego doszło. Carina coś mówiła, że wyjedzie stąd bez niego. Bruno głównie kręcił się w kółko, no i pijana Marie, która wciąż rzygała. Ten wariat Joe tylko im dogryzał, a ta jego supersiostrzyczka z zupełnie niewiadomego powodu nie była Alexem zainteresowana... No i Simon... Simon, który nagle stał się bohaterem tego pieprzonego wieczoru.

Alex zrobił kilka niepewnych kroków między drzewami i zaczął rozpinać rozporek.

Tego dnia kiedy zdali maturę, wieczorem, ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. Bez najmniejszego powodu zaczął płakać. Zamknął się w toalecie, żeby nikt go nie widział. Wtedy, na początku lata, rzucił winę na to, że za dużo wypił i zrobił się sentymentalny. Ale potem zdarzyło mu się to jeszcze kilka razy. A dziś wieczorem to uczucie wróciło, ze zdwojoną siłą. To uczucie, że wszystko wymyka mu się z rąk. Łzy palące pod powiekami. A potem szloch i spazmy. Dobrze to znał i nie chciał, żeby to mu się teraz przytrafiło. Nie dzisiejszego wieczoru.

Wyciągnął penisa z rozporka, zamknął oczy i zaczął sikać szerokim łukiem wprost na krzaki. Dziwne, ale trochę pomogło.

To przecież on, Alex Morell, gwiazda sportu i przyszły medalista

olimpijski, i nikt nie będzie go deptał. Żaden żalosny Joe z tym swoim szyderczym uśmieszkiem i lepkiemi łapami czy ta jego zasmarkana siostrzyczka, która nie ma pojęcia, kto tu jest prawdziwym zwycięzcą. Ani żaden inny skurwysyn. Joe przestawił motor obok roweru Simona. Alex zacisnął pęcherz, zrobił kilka kroków, a następnie skierował strumień na zbiornik paliwa i kierownicę jego czarnej maszyny.

Dobrze ci tak, złamasie, pomyślał zadowolony z siebie i przeniósł strumień tak, by ostatnie krople spadły na rower Simona.

Nagle usłyszał z góry zdenerwowane głosy. Zapiął rozporek. Głosy z góry były coraz donośniejsze. Ktoś wołał jego imię. Alex zacisnął pięści i kulejąc, poszedł ścieżką w górę. Z każdym krokiem bezsilność, którą czuł jeszcze przed chwilą, słabła. Krok po kroku, kawałek po kawałku, aż do momentu, kiedy jedyne, co w nim pozostało, to płonący gniew.

Jesień 2017

Passat Mów-mi-Lasse wjeżdża w podwórze dokładnie o godzinie trzeciej. Tak punktualnie, że Anna zaczyna podejrzewać, że musiał czekać gdzieś za zakrętem. Otwierają się tylne drzwi i z samochodu wyskakuje Erik. Szarmanckim ruchem otwiera tylne drzwi dla Agnes. Anna siada z przodu.

Mów-mi-Lasse jest sympatyczny, jak zwykle. Wygląda na zadowolonego człowieka, ma dobrą pracę i syna. A ten najwyraźniej przypadł Agnes do gustu. Ale Anna po chwili uświadamia sobie, że myśli o Alexandrze Morellu i o tym, co jej powiedział sprzedawca skuterów. Znowu ma przed oczami tamto zdjęcie. Simon Vidje, Alex Morell, Marie Andersson, Bruno Sordi i Carina Pedersen, trochę zbyt ładna dziewczyna Alexa, z którą się nie ożenił. Anna zastanawia się dlaczego, a jednocześnie trochę się z tego nawet cieszy, co, najdelikatniej mówiąc, jest dość dziwne. Carina Pedersen jest jedyną osobą z całej ich czwórki, której Anna jeszcze nie poznała. Nie dlatego, żeby to miało jakieś znaczenie, przecież nie prowadzi żadnego śledztwa.

„Jasne...”, uśmiecha się Håkan, trochę zbyt ironicznie jak na jej ucho. „I co, mam uwierzyć w Świętego Mikołaja?”

Anna mu nie odpowiada. Częściowo dlatego, że ma trochę racji, a częściowo, że się jej odgryza. Ale przede wszystkim dlatego, że nie żyje...

Zjeżdżając w dół, pokonują cztery bardzo wąskie zakręty. Z pozycji pasażera Anna czuje się dużo bardziej komfortowo. Na trzecim zakręcie mijają się z białym pick-upem Glarei, podobnym do tego, z którym kilka dni temu Anna niemalże się zderzyła. I zupełnie tak jak wtedy kierowca ostro ścina zakręt tuż przy nich i zmusza do

zjechania z drogi. Anna słyszy, jak Mów-mi-Lasse przeklina z zaciśniętymi zębami.

– Kilka dni temu miałam taką samą sytuację, tylko jechałam w przeciwnym kierunku. Jeździ jak kompletny idiota – mówi Anna.

Mów-mi-Lasse nie odzywa się przez kilka sekund.

– A kiedy to było?

Anna liczy.

– W środę wieczorem.

– I jesteś pewna, że to był ten sam samochód?

– Nie zdążyłam zobaczyć rejestracji... w każdym razie był podobny i miał na przyczepie dźwig czy coś w tym rodzaju. Dlaczego pytasz?

– Bez jakiegoś szczególnego powodu.

Na kilka sekund zapada cisza, podczas której Anna zastanawia się, dlaczego Mów-mi-Lasse kłamie. Ten samochód musi być dla niego ważny. Z jakiegoś powodu.

– To wiertnica ziemna – rzuca nagle Mów-mi-Lasse. – To na przyczepie. Glarea używa ich do odwiertów.

– Pewnie szukają nowych odkrywek, żeby zastąpić stare – mówi Anna, by pokazać, że już zdążyła się zaangażować w problemy miasteczka.

Mów-mi-Lasse nie odpowiada. Na jego czole Anna widzi teraz małą zmarszczkę zatroskania, której wcześniej nie zauważyła. I choć zmienia temat i przez następne dziesięć minut aż do samego parku rozmawia o błahostkach, zmarszczka na jego czole nie znika.

Takie festyny to kwintesencja miasteczek, jak to opisał Alex Morell. Objazdowa karuzela, strzelnica, koło fortuny i trzy różnego rodzaju kolejki, z których każda wygląda mniej więcej tak samo niebezpiecznie. Związek sportowy Nedanås prowadzi tu loterię fantową, stoisko z kawą i sprzedaż hot dogów. Na końcu placu jest nawet obiecany dmuchany zamek, a w innych jego częściach znajduje się scena, platforma do tańców i zadaszona sala. Na scenie grupa akordeonistów gra skoczne melodie, a nad całym placem rozciąga się słodki zapach waty cukrowej, popcornu i pączków. Przyszło mnóstwo ludzi, pewnie z tysięcy.

Erik i Agnes szybko znikają w tłumie i zostawiają Annę samą z Mów-mi-Lasse. Anna kiwa głową w kierunku dwóch policjantów w mundurach. Jest dumna, że zapamiętała ich imiona.

Kiedy akordeoniści przestają grać, głos spikera wyjaśnia, że to już ostatni uczestnicy konkursu *Mam talent*. Trzy osoby w rogu sceny, które najwyraźniej wchodzi w skład jury, zaczynają ożywioną dyskusję przypominającą obrady. Pierwszym jurorem jest Bengt Andersson, drugim jego córka Marie, ale to trzecia osoba bardzo się wyróżnia. Na odległość wygląda jak jedna z *Żon Hollywoodu*, kacze usta, buty na wysokich obcasach i sztuczne futro. Wygląda, jakby trafiła tu przez przypadek i nie pasuje ani na tę scenę, ani, ogólnie mówiąc, do Nedanås.

– Kto to jest? – pyta Anna Mów-mi-Lasse, bo nie usłyszała imienia.

– Caia Bianca. Myślałem, że ją poznałaś?

Anna potrząsa głową i już wie, że to ta kobieta, której zdjęcie pokazywała jej Agnes.

– Caia zagrała w jednej z pierwszych oper mydlanych na początku lat dziewięćdziesiątych. Wizyty od baru do baru, nagie zdjęcia, coś w tym stylu. Potem wyszła za mąż za jakiegoś finansistę i odziedziczyła po nim sporo pieniędzy, które zainwestowała we własny biznes kosmetyczny. Drugi raz wyszła za mąż za jakąś szychę z branży samochodowej. Teraz często pojawia się w pismach plotkarskich. – Mów-mi-Lasse pytająco unosi brwi.

– Jedyna celebrytka Nedanås – mówi Anna i w duchu dziękuje Agnes za tę informację.

– Zgadza się – Mów-mi-Lasse kiwa głową. – Caia już teraz nie przyjmuje zaproszeń na takie imprezy. To było duże zaskoczenie, że się zgodziła.

Anna odbąkuje coś w odpowiedzi i przygląda się kobiecie na scenie. Po chwili nieco zmienia zdanie o Cai Bianca. Wprawdzie ta blondynka wygląda na stałą bywalczynię barów, ale na tym pachnącym czystą amatorszczyznę wydarzeniu zachowuje się z godnością i pewnością siebie. I to ona pod koniec przejmuje mikrofon i wywołuje trzy młode dziewczyny, finalistki konkursu

talentów, a potem, nie wypychając się na pierwszy plan, przeprowadza całkiem profesjonalny wywiad ze zwyciężczynią.

Mija kilka minut, zanim Anna orientuje się, że jedną z finalistek jest młodsza córka Alexandra Morella. Anna ciągnie Mów-mi-Lasse pod scenę, na samym przedzie widzi Alexa z kamerą. Tuż koło niego stoi Bruno Sordi. Przez ułamek sekundy Anna dostrzega wyraz twarzy Alexa. Duma, oczywiście, ale również coś, co przypomina wyraz jego twarzy z tamtego kolażu.

– Caia Bianca to chyba jej pseudonim artystyczny – mówi Anna i odwraca się do Mów-mi-Lasse. – Jak się kiedyś nazywała?

– Carina, Carina Pedersen.

Mózg Anny wkłada na miejsce ostatni element układanki. Caia Bianca to Carina Pedersen, była dziewczyna Alexa i jego partnerka na balu maturalnym, jak również ostatnia osoba na wspólnym zdjęciu wiszącym na ścianie w piwnicy Morellów. Anna powtarza sobie w myśli jej imię, z lewa na prawo wędruje pamięcią po zdjęciu, a jednocześnie wodzi wzrokiem po tych prawie trzydzieści lat starszych osobach. Marie Andersson, obecnie Sordi, na scenie obok swojego ojca. Bruno Sordi, jej mąż, który czeka pod sceną. Carina Pedersen, alias Caia Bianca, która macha do publiczności i dziękuje za oklaski. A pod samą sceną Alex Morell, niespuszczający wzroku ani z niej, ani z kamery. Wszyscy zebrani razem, w jednym miejscu, tuż przed oczami Anny.

Wszyscy, oprócz Simona Vidje.

28 sierpnia 1990

Simon i Tanja wracali wolno ścieżką, trzymając się za ręce. Mniej więcej w połowie drogi usłyszeli zdenerwowane głosy.

– Ty cholerna świnió! – To był głos Marie.

Simon przyśpieszył kroku, ciągnąc za sobą Tanję.

Carina i Marie stały przy ognisku objęte ramionami, podczas gdy Bruno i Joe byli zajęci czymś, co przypominało zawody na kuksańce. Potem obaj upadli na ziemię. Wydawało się, że Bruno ma przewagę, ale Joe włożył mu palce w oczy i wykorzystał sytuację, żeby chwycić go za gardło. Bruno charczał, próbując złapać powietrze, miał coraz bledszą twarz.

– Alex! – wołały chórem Marie i Carina. – Alex!

Bruno oderwał rękę, która trzymała go za gardło. Joe leżał, owinięty wokół niego rękami i nogami.

Nagle zachrząścił żwir i Alex z pełną siłą doskoczył do nich. Oderwał rękę Joego od szyi Bruna, wykręcił mu nadgarstek i uniósł go od tyłu tak, żeby Bruno mógł się uwolnić. Joe wolną ręką wziął garść żwiru i sypnął nim Alexowi w twarz. Wykorzystał moment zaskoczenia, podniósł się i wymierzył mu kopa, ale nie użył wystarczająco dużo siły i Alex zdążył odskoczyć na bok. Alex chwycił Joego za rękę i szyję i zręcznie przerzucił go przez biodro, tak że chłopak wylądował na plecach.

Joe jęknął głośno, kiedy stracił oddech, a jego ciało zrobiło się zupełnie miękkie. Tanja próbowała się uwolnić z ręki Simona, ale ten nie chciał jej puścić. Odciągnął ją do tyłu.

– Próbował zgwałcić Carinę – krzyczał Bruno i pokazywał na Joego.
– Jeśli ja i Marie byśmy nie przyszli...

Joe próbował protestować, ale jedyny dźwięk, jaki z siebie wydał,

to kałanie.

– Ty pieprzona świnio – zasyczał Alex przez zęby. Zrobił krok do przodu i kopnął Joego w bok. W lewej skroni aż mu pulsowała żyła.

– Przestań! – Tanja w końcu wyrwała się z ręki Simona, podbiegła do Joego i rzuciła się na kolana.

Alex się cofnął. Poczł się niepewnie.

– Odsuń się, ty mała zdiro – wysyczała Marie. – Alex, olej ją. Dowal mu!

Simon, trochę wbrew sobie, doszedł do nich i stanął obok Tanji.

– Co się tu, kurwa, dzieje? – chciał wiedzieć.

– Ten skurwysyn próbował zgwałcić Carinę – odparł Bruno.

– Gówno prawda... – Joe z trudem się podniósł, chwytając się pomocnej ręki Tanji. Po jego brudnej twarzy spływały strużkami łzy. Z zadrapania na policzku kapala krew. – Sama tego chciała. – Joe zakasłał i wciągnął powietrze. – No powiedz, do cholery, jak było... – Pokazał na Carinę, która ukryła twarz w ramionach Marie.

– Ty popaprańcu! – Alex zacisnął dłonie w pięści i zrobił krok w kierunku Joego i Tanji.

– Poczekaj! – Simon stanął między nimi. – Czy ktoś może wytłumaczyć na spokojnie, co się tu właściwie stało?

Marie spojrzała na niego z wściekłością.

– Byłam za krzakami i rzygałam. Kiedy wróciliśmy z Brunem, usłyszeliśmy z namiotu jakieś hałasy, a potem nagle Carina zaczęła krzyżeć.

Simon odwrócił się do Joego, który klęczał i ramieniem podparł się o Tanję.

– A jaka jest twoja wersja?

– Chciała więcej trawy. – Joe splunął na ziemię. – Miałem jeszcze jednego skręta, więc przeciąłem go na pół w jej namiocie. Zaczęliśmy się trochę miętosić i usłyszeliśmy, że ktoś idzie. Wtedy zaczęła krzyżeć. – Joe potrząsnął głową.

Carina wciąż trzymała głowę schowaną w ramieniu Marie i milczała. Simon najpierw popatrzył na nią, następnie na Joego i Tanję. Z magnetofonu, który przez cały czas grał, dobiegała

piosenka Roxette. Żywa muzyka i jasne wysokie głosy czyniły całą tę sytuację dość absurdalną.

– A więc tak... – powiedział wolno Simon. – Wszyscy jesteśmy pijani i zmęczeni...

– Chyba nie myślisz, kurwa, że ona kłamie? – powiedziała Marie.

Simon podniósł ręce do góry.

– Chcę tylko powiedzieć, że po pijaku można się łatwo pomylić.

– Rzucił okiem na Tanję. – Joe i Tanja będą już się stąd zabierać. Ale najpierw Joe przeprosi, prawda, Joe?

Tanja kiwnęła głową.

– Jeśli Joe powiedział albo zrobił coś niewłaściwego, to na pewno przeprosi, tak, Joe? – Tanja popatrzyła na brata.

Joe unikał jej wzroku, poprawił się i oczyścił z piasku.

– Okej, Joe?! – powtórzyła Tanja, tym razem ostrzej.

Joe podniósł głowę i ścisnął wargi. Następnie zmusił się, by pokazać na twarzy, że żałuje.

– Przepraszam. – Zrobił parę kroków w kierunku ogniska, ciągnąc za sobą swoją skórzaną kurtkę. – Przepraszam, że jest z was banda niedojrzałych smarkaczy.

Joe włożył kurtkę i pewnym krokiem zaczął iść w stronę prowadzącej w dół ścieżki.

Tanja stała jeszcze przez kilka sekund.

– Przepraszam, naprawdę – powiedziała odwrócona do Marie i Cariny, ale żadna z nich nawet na nią nie spojrzała. Zrobiła więc kilka kroków, odwróciła się i spojrzała na Simona. – Sorry – rzekła.

Simon stał tam, gdzie poprzednio, podczas gdy ona wolno schodziła ścieżką w dół. Wtedy Simonowi coś przyszło do głowy. Poszedł do swojego namiotu i z futerału gitary wyjął kasetę magnetofonową. Dogonił Tanję i jej to dał.

– Masz – powiedział. – Mówiłaś, że ci się podoba.

Tanja spojrzała na kasetę.

– „Property of Simon Vidje” – przeczytała na głos, a potem schowała ją do kieszeni. – Dzięki – powiedziała, uniósł się na palcach i pocałowała go w usta. – Kiedyś będziesz gwiazdą, Simon

– dodała, a potem odwróciła się i pobiegła ścieżką w dół.

Na dole Joe już zapuścił motor i rozgrzał silnik.

Tanja przerzuciła nogi przez siedzenie i nie zdążyła jeszcze dobrze usiąść, kiedy Joe dodał gazu i ostro ruszył przed siebie. Ostatnie, co po nich widzieli, to uniesioną rękę Joego z wyciągniętym środkowym palcem.

Simon wrócił do reszty. Piosenka Roxette zaczęła się zacinać, co wskazywało na to, że baterie w magnetofonie były na wyczerpaniu. Krople deszczu zaczęły uderzać o namioty. Najpierw pojedyncze, ale z każdą chwilą było ich coraz więcej. Zimny deszcz. Inny od letnich ciepłych deszczy, które szybko gasiły resztki ogniska. Czwórka przyjaciół ustawiła się w półkole i czekała na Simona. Jesienny deszcz padał na nich coraz mocniej i zamieniał świat w ostre proste linie.

– No dobra – powiedział Simon i wzruszył lekko ramionami. – I co, kończymy na dzisiaj czy macie inne plany?

Carina uwolniła się z objęć Marie i podeszła do Simona.

– Zdrajca – wysyczała przez zęby. Jej twarz była czerwona ze złości, a pod oczami miała rozmazany tusz.

– Co takiego?

Carina wymierzyła mu policzek. Z bólu i zaskoczenia Simon aż złapał się za twarz.

– Przecież ja tylko chciałem... – Szukał odpowiednich słów, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Coraz mocniejszy deszcz walił w namioty.

– Jak mogłeś? – powiedziała Marie i stanęła obok Cariny. – Jak mogłeś go bronić? Tego gwałciciela?

– Ja tylko... – Simon uniósł rękę.

– Pieprzyłeś się z nią? – spytała Carina i zrobiła krok do przodu. – Zrobiłeś to. – Odwróciła się do Alexa i Bruna. – Simon pieprzył się z tą małą zdzirą, podczas gdy jej braciszek próbował mnie zgwałcić. To dlatego pozwolił im odejść. – Głos Cariny robił się coraz

głośniejszy, aż w końcu przeszedł w krzyk.

– Ty cholerny zdrajco – wymamrotał Bruno i zrobił krok do przodu.

– Pewnie ci się wydaje, że jesteś lepszy od nas, co? Przydałby ci się porządny łomot.

Simon wciąż stał z uniesionymi rękami.

– Czy możecie się uspokoić? – powiedział, a w swoim głosie usłyszał strach.

Magnetofon nagle się zatrzymał i muzyka ucichła. Deszcz przybrał na sile. Dźwięk kropli zamienił się w głośne dudnienie.

Jesień 2017

Sala jest większa, niż się wydaje z zewnątrz. Wypełnia ją nieświeże powietrze z zamierzchłych czasów. Ma wysoki dach i balkon w kształcie podkowy, ciągnący się na całej długości, aż do sceny, na której teraz grają skoczny jazz. Dym tytoniowy sprzed siedemdziesięciu lat imprezowania wgrzył się w ściany i miesza się z zapachami dochodzącymi z bufetu, z wodą po goleniu i perfumami.

Mów-mi-Lasse wykupił pakiet z kolacją zarówno dla Anny, jak i dla Agnes, i nie chce słyszeć o zwrocie pieniędzy. Erik i Agnes najwyraźniej dobrze się bawią w swoim towarzystwie, przekomarzają się, nakładając sobie kolejne porcje z uginającego się od jedzenia bufetu. Małe karteczki informują, co jest serwowane, a ponieważ prawie połowa dań ma włoskie nazwy, Anna domyśla się, że pochodzą z restauracji rodziny Sordich. Jej domysły się potwierdzają, kiedy widzi, jak Bruno, zestresowany, tłumaczy coś personelowi.

Na honorowych miejscach siedzą Alex Morell z dziewczynkami, jego rodzice, Bengt Andersson i małżeństwo Sordich. Przez krótką chwilę Anna spotyka wzrok Alexa i chce mu pomachać, ale powstrzymuje się i tylko delikatnie się uśmiecha, kiwając głową.

Kiedy Agnes i Erik znikają zaraz po daniu głównym, Anna widzi szansę na szczerą rozmowę z Mów-mi-Lasse.

– Elisabet Vidje – zaczyna.

– Tak... – Mów-mi-Lasse czeka, żeby zobaczyć, dokąd Anna zmierza.

– Dlaczego zdecydowała się wynająć Tabor? Przecież stał pusty przez tyle lat.

– Tak jak ja, pewnie uważała, że najwyższy czas, by coś z tym

zrobić.

– Ale dlaczego właśnie teraz. I dlaczego nam?

– A dlaczego nie? – Mów-mi-Lasse uśmiecha się tym swoim rozczulającym uśmiechem.

Jego taktyka działa bezbłędnie, ale nie na Annę.

– Odpowiedz na moje pytanie, proszę. Dlaczego Tabor tak szybko został wyremontowany i dlaczego wynajęty właśnie nam?

Mów-mi-Lasse robi poważną minę.

– Elisabet zadzwoniła do mnie jakiś miesiąc temu, kiedy było już wiadomo, że dostaniesz tutaj pracę. Poprosiła mnie, żebym do ciebie zadzwonił i opowiedział ci o Taborze.

– I nie zapytałeś dlaczego?

Mów-mi-Lasse potrząsa głową.

– Znam Elisabet dostatecznie długo, by wiedzieć, że nic by to nie dało.

– Ale pewnie domyślasz się, dlaczego jej tak bardzo zależało na tym, żebym to ja tu zamieszkała... Z powodu Simona, prawda?

– Elisabet Vidje jest moją klientką – odpowiada Mów-mi-Lasse po chwili milczenia. – Komu jak komu, ale myślę, że tobie nie muszę tłumaczyć, co to jest tajemnica służbowa...

– Okej. – Anna już wie, że nic więcej nie wskóra. – A jeśli zapytam w ten sposób: dlaczego wybrała ciebie, żebyś się zajął wynajmem tego domu? Zazwyczaj w takiej sytuacji człowiek zwraca się do pośrednika nieruchomości, prawda?

Mów-mi-Lasse przez chwilę się zastanawia nad odpowiedzią.

– Elisabet Vidje zna niewiele osób, którym może zaufać. Ja jestem jedną z nich.

– Ty, Bror Klein. I kto jeszcze?

Mów-mi-Lasse wzrusza ramionami, odchyła się do tyłu i wygląda, jakby się poczuł lekko urażony.

– Wydawało mi się, że jesteśmy tutaj, by się rozerwać, a nie na przesłuchaniu. Więc proponuję, żebyśmy zmienili temat. – Mów-mi-Lasse wysyła Annie swój zwykły uśmiech. – Teraz twoja kolej. Dlaczego zostawiłaś Sztokholm dla tej dziury? Przed czym próbujesz

się ukryć?

Pytanie ją zamurowało.

– My... – Gigantyczna blokada nie pozwala jej dokończyć zdania, więc zaciska usta. Zatrzymuje się na moment, żeby wziąć głęboki wdech, aż do przepony. Czyżby coś wiedział? Jeśli tak, to z kim rozmawiał? A może po prostu zna jej adwokata? – Okej, przyznaję się... – Anna powoli unosi ręce nad głowę. – Agnes i ja ukrywamy się. Tak naprawdę jesteśmy siostrami poszukiwanymi za obrabowanie banku.

Alex Morell zrozumiałby dowcip natychmiast, natomiast Mów-mi-Lasse musi się chwilę zastanowić.

– Ha, ha, wiedziałem, że jest tu coś podejrzanego. Z was to takie Thelma i Louise... – Mów-mi-Lasse odchyła głowę i zaczyna się śmiać.

„Thelma”, szepcze Håkan. „Na litość boską, nie wyprowadzaj go z tego błędu. *Nobody likes a smartass!*”.

– Naprawdę, lubię twoje poczucie humoru, Anno – odpowiada Mów-mi-Lasse. – Jeszcze trochę wina? Przyniosę. I nie próbuj nikogo obrabować, kiedy mnie nie będzie.

Anna wywija wargi w uśmiechu. Czeka, aż Mów-mi-Lasse się odwróci plecami, i bierze głęboki oddech.

Bengt Andersson zaczyna przemawiać. Ten szczupły mężczyzna cieszy się wielkim autorytetem i choć goście zdążyli się już nieco rozluźnić, szybko cichną, kiedy on wchodzi na podium. Mówi o tym, jak Nedanås z małej przemysłowej miejsciny stało się „dynamicznym miejscem spotkań”, jak je nazwał chyba ze trzy razy. Prawdopodobnie jest to pewnego rodzaju chwytliwe hasło, które wymyśliła mu jakaś firma PR. Za nim, na rzutniku, pojawiają się obrazy z przeszłości i te teraźniejsze, które pokazują, jak rozwija się gmina.

– Czy to nie Marie powinna przemawiać? – szepcze Anna przez stół do Mów-mi-Lasse.

– No tak, ale miasto jemu też dużo zawdzięcza. Przez wiele lat nic się tu nie działo, a teraz gmina przoduje, jeśli chodzi o napływ nowych mieszkańców. Z każdym rokiem rośnie ich liczba, a wraz z nią ceny nieruchomości. Więc Marie pozwala tatusiowi na pięć minut w świetle reflektorów. Nieźle to wykombinowali.

Anna przypomina sobie rozmowę przy drinku u Morellów.

– Marie mówiła, że była w sejmie.

– Tak, ale tylko połowę kadencji. – Ton głosu Mów-mi-Lasse sugeruje, że ma w tej kwestii więcej do powiedzenia.

– Dlaczego?

– Bo trudno pogodzić życie rodzinne, własną działalność i jeszcze pracę w Sztokholmie. W każdym razie taki był oficjalny powód. Z tego, co zrozumiałem, to Marie była wypalona. Zmuszona była iść na zwolnienie.

– To przykre.

Annie przypomina się niezadowolony wyraz twarzy Bengta Anderssona, kiedy rozmowa zeszła na sejm. To najwyraźniej jakaś zdra między ojcem a córką, która jeszcze nie do końca się zabiłniła. Jednak dzisiaj tego nie widać.

Pod koniec przemówienia Bengt wywołuje na scenę swoją córkę i razem obwieszczają dobrą wiadomość o pociągach i centrum logistycznym.

– Czy Bengt ma jakiś wpływ na politykę gminy? – pyta Anna podczas oklasków.

– Oficjalnie nie – odpowiada Mów-mi-Lasse i czeka, aż ucichną brawa. – Ale jest w zarządzie Glarej, a to oznacza, że dużo może.

– Więc gdyby chciał, mógłby coś zrobić, by zamknęli kopalnię – mówi Anna. – I skończyć z tym ciągłym hałasem i smrodem w mieście.

– To prawda – odpowiada Mów-mi-Lasse, ociągając się. Zmarszczka zatroskania znów pojawiła się na jego czole i kiedy Bengt i Marie schodzą ze sceny, on też wstaje. – Przepraszam, zaraz jestem z powrotem.

Anna wykorzystuje ten czas i szuka wzrokiem Alexa Morella,

którego już nie ma przy stole. Po chwili zauważa go, jak rozmawia z pulchną kobietą, która może być jakieś pięć lat młodsza od niego. Rozmowa wygląda na niespokojną, a kiedy jedna z dziewczynek podchodzi do nich i kobieta obejmuje ją ramieniem, Anna uświadamia sobie, że to musi być była żona Alexa.

Kelner stuka Annę delikatnie w ramię i przerywa jej obserwację.

– Przepraszam, ale musimy przesunąć stoły, żeby zrobić miejsce do tańca.

Anna podnosi się, bierze torebkę i kieruje się do drzwi. Alex Morell wrócił już na swoje miejsce. Anna widzi, jak coś pije, podczas gdy Bruno kładzie mu rękę na ramieniu i szepcze coś do ucha. Przez chwilę Anna chce do nich podejść, ale szybko rezygnuje z tego pomysłu. Wychodzi z sali i szuka łazienki. Mniej więcej w połowie drogi wpada na grupkę podchmielonych kobiet w zbyt obcisłych sukienkach i skręca w prawo. Dochodzi do rzędu drewnianych filarów ustawionych wzdłuż ściany i niemalże wpada na dwóch stojących do niej tyłem mężczyzn zajętych rozmową.

– Obiecałeś, że nie będziecie tam już więcej szukać. – To głos Mów-mi-Lasse. – Elisabet nigdy nie zgodzi się na żadną odkrywkę w Änglaberdze i wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Anna staje za filarem. Żaden z mężczyzn jej nie zauważył.

– Spokojnie, Lasse – mówi drugi mężczyzna, który okazuje się Bengtem Anderssonem. – Z ciebie jest porządny gość. Lojalny i dokładny, tak jak twój ojciec. Elisabet dużo wam zawdzięcza. Obaj wiemy, że z jej zdrowiem nie jest najlepiej. Nie daj Boże, gdyby nas opuściła... Nie zaszkodzi być przygotowanym. Przecież żaden z nas nie chce, żeby Sydsten, Swerock czy jakieś inne firmy przyszły i zgarnęły dla siebie bogactwo naszej gminy, prawda?

Mów-mi-Lasse odwraca się, ale Anna szybko chowa się za filar, żeby jej nie zauważył. Niestety, nie słyszy, co odpowiada Bengtowi. Trochę się wstydzi, że ich podsłuchuje, postanawia więc odejść. Idzie wolno w kierunku toalet i zastanawia się nad tym, co usłyszała. To musi mieć coś wspólnego z samochodem, który minęli na wzgórzu; samochodem, który wywołał tę zmarszczkę na czole Mów-mi-Lasse.

Glarea musi tu robić jakieś poszukiwania, pewnie chcą zastąpić odkrywkę, którą muszą zamknąć. Sądząc po nerwowej reakcji Mówmi-Lasse, badania odbywają się w Änglaberdze. Anna wie, że to dozwolone, że właściciel ziemi nie jest jednocześnie właścicielem bogactwa naturalnego, które znajduje się na jego terenie. Prawdopodobnie Elisabet Vidje też o tym wie, ale nie zamierza się na to godzić. I pewnie dlatego ma z Bengtem Anderssonem na pieńku.

Po wyjściu z toalety Anna widzi z daleka, jak Alexander Morell kieruje się do wyjścia. Spontanicznie idzie za nim i znajduje go za budynkiem, palącego papierosa.

– Mogę się dołączyć? – pyta.

Alexander podnosi wzrok i spogląda na nią zaskoczony, a jednocześnie zadowolony.

– Hej, Anno. No pewnie. – Wyciąga świeżo otwartą paczkę papierosów.

Anna bierze jednego i wkłada do ust. Alex zwija dłoń i jej podpala.

– Nie wiedziałem, że palisz – mówi.

– Bo nie palę. Palenie jest i drogie, i niezdrowe. Poza tym żółkną zęby. Tylko idioci palą, prawda? – Anna zaciąga się przesadnie i wymusza na Alexie uśmiech.

– Absolutnie. Palenie jest dla głupców. – On również się zaciąga. I znów powraca ta dziwna nić porozumienia między nimi.

– Widziałam, że twoja młodsza córka wygrała – mówi Anna. – Gratuluję!

Zanim Alex zdąży odpowiedzieć, pojawia się grupa rozchichotanych dziewczyn, które Anna widziała już poprzednio. Wydaje się, że znają Alexa. Kilka z nich rzuca mu się na szyję i zasypuje go gradem paplaniny.

– Biedny.

– Jossan sama nie wie, co traci.

– Dobrze, że chociaż dla dzieci staracie się żyć w zgodzie.

Alex gra z nimi w tę ich grę, ale od czasu do czasu zerka w stronę Anny i rzuca jej spojrzenie, które jasno mówi, co o tym wszystkim

sądzi. Jesienny, wilgotny chłód sprawia, że Anna zaczyna się trząść, więc pokazuje głowę na drzwi, w odpowiedzi otrzymując potwierdzające skinienie głową. Alex uwalnia się od grupki dziewczyn i idzie za Anną do sali.

– I jak się udała randka? – pyta Alex, żeby się trochę z nią podrażnić.

– Wspaniale. Lasse Gunnarsson to niezłe ciacho!

Alex zatrzymuje się i przez moment zdaje się nie być pewny, czy Anna żartuje. Wygląda na zbitego z tropu. Anna marszczy czoło i potrząsa głową, a on wybuchą śmiechem. Dopiero teraz widać, że jest nieco podchmielony.

– Ty też jesteś rozwiedziona, prawda? Od dawna?

– Dwa lata – mówi Anna i czeka na komentarz Håkana, ale ten na szczęście się nie odzywa.

– Czy mogę zapytać, które z was chciało rozwodu?

– Ja – odpowiada Anna.

– Ooo...

Smutny ton jego głosu sprawia, że Anna postanawia mówić dalej:

– Z Håkanem poznaliśmy się, kiedy oboje studiowaliśmy w Szkole Policyjnej. Pobraliśmy się w dwa tysiące drugim, a Agnes urodziła się rok później. Håkan był moim najlepszym przyjacielem. Wydawało mi się wtedy, że już zawsze będziemy razem. Ale zdradził mnie z koleżanką z pracy. Co nie jest znów takie rzadkie w tym zawodzie...

– Rozumiem – odpowiada Alex. – Idiota z niego. Nic dziwnego, że go rzuciłaś. Musiałaś być niezłe wkurzona.

Anna potrząsa głową.

– Właściwie to nie chodziło o moją złość. Czy jakiś błąd... – Anna robi przerwę, żeby się nie zaciąć. – Na początku byłam wściekła. A Håkan był szczerze zrozpaczony. Błagał o wybaczenie. – Anna cichnie i nabiera powietrza. Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiła. A teraz nagle stoi tutaj, na tym wietrznym skańskim podwórzu, i zwierza się komuś, kogo jeszcze kilka dni temu zupełnie nie znała. Mimo to mówi dalej: – Próbowałam mu przebaczyć. Ale rana była za głęboka.

Alex milczy, co Anna docenia. Kiwa tylko powoli głową, tak jakby doskonale rozumiał, co musiała wtedy czuć, choć ona sama nie bardzo to rozumie.

Dygocze z zimna.

– A jak było z wami? – pyta Anna.

– Właściwie to nie wiem – odpowiada Alex, ale jego mowa ciała mówi coś innego. – To Jossan chciała rozwodu. – Alex milknie i patrzy przed siebie. – Robimy, co możemy, żeby żyć w zgodzie – dodaje cicho. – Dla dziewczynek. Ale nie jest łatwo. A wy z Håkanem przyjaźnicie się?

– Przyjaźniliśmy. Håkan zmarł rok temu, na ra... ra...

Anna widzi, że Alex ma taką samą minę, jak wiele osób, które zauważają, że się jąka. Jakby nie wiedzieli, czy mają milczeć, czy pomóc jej wymówić kłopotliwe słowo.

Alex dokonuje właściwego wyboru, daje jej czas na oddech i zmianę słowa.

– Na nowotwór wątroby – kończy Anna.

– Tak mi przykro – odpowiada cicho.

Stoją w milczeniu przez kilka sekund, około dziesięciu metrów od wejścia do sali.

– Tęsknisz do tamtych czasów? – pyta Annę.

– Do czasów, kiedy byliśmy małżeństwem? Tak, zdarza mi się.

Alex kiwa głową.

– Ja do czasów jeszcze wcześniejszych, sprzed małżeństwa, domu i wszystkiego innego. Przedtem wszystko było tak cholernie proste.

Anna domyśla się, dokąd Alex zmierza, i pozwala mu mówić dalej.

– Pewnie wszystkich to dotyczy. Tak mniej więcej do dwudziestki życie jest dużo prostsze. Wtedy wszystko wydaje się możliwe.

– To prawda.

Alex milczy, patrząc w ziemię, a potem znów się odzywa:

– Oddałbym wszystko, żeby znów to poczuć – mówi cicho. – Żeby...
– Nie kończy jednak zdania.

Pod samą salę podjeżdża lśniący drogi džip. Otwierają się przednie drzwi samochodu i wychodzi Caia Bianca. W wejściu już czeka na nią

grupka osób, które chcą sobie zrobić z nią selfie. Alex Morell prostuje się i przybiera zupełnie inny wyraz twarzy. Odprowadza Caię wzrokiem, dopóki ta nie znika za drzwiami, a potem uśmiecha się głupkowato, tak jakby zupełnie zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali.

– Może wejdziemy do środka – mówi Anna suchym tonem.

Alex kiwa głową i tak się śpieszy, że Anna zostaje parę metrów w tyle. Zastanawia się, czy go nie dogonić, ale uświadamia sobie, że chyba głupio by to wyglądało. Więc czeka chwilę, zanim wejdzie do środka. W sali widzi Caię Biancę, która obejmuje na powitanie Marie i Bruna Sordich, Alex stoi nieco z boku i wygląda, jakby czekał na swoją kolej. Caia zdjęła swoje sztuczne futro. Ma na sobie białą obcisłą sukienkę, która pokazuje, że wiele godzin spędza w fitness clubie i że jej biust jest o wiele młodszy niż reszta ciała.

Anna stoi pośrodku sali i nie bardzo wie, co ma ze sobą zrobić. Jej stół został sprzątnięty, a Mów-mi-Lasse gdzieś znikł. Ludzie kręcą się po sali, część osób wychodzi, inni wchodzi, a kelnerzy szybko i sprawnie sprzątaj, zanim zaczną się tańce.

Obok drzwi wejściowych stoi mężczyzna oparty o ścianę. Ma wychudzoną, pokrytą zarostem twarz i przyciemnione okulary. W Annie włącza się instynkt policyjny i choć widzi go zaledwie kilka sekund, jest prawie pewna, że to jakiś chuligan. Nie włamywacz, jest na to zbyt drobny, raczej jakiś drobny złodziejaszek, który czeka na nadarzącą się okazję.

Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat, stoi nonszalancko z nogą opartą o ścianę i puszką piwa w ręku. Jego wzrok wbity jest w stoły, których jeszcze nie uprzątnięto, ale przez to, że ma ciemne okulary, nie widać, na co konkretnie patrzy. Prawdopodobnie na zostawioną bez opieki torebkę albo marynarkę z telefonem komórkowym w kieszeni. Anna staje bliżej niego, żeby w razie czego zająć mu drogę. Mężczyzna wciąż stoi, pije spokojnie piwo i cały czas coś obserwuje. Na ręce, która trzyma puszkę, ma brzydki tatuaż. To tylko utwierdza Annę w przekonaniu, że nie pomyliła się co do niego.

Anna jest pięć, sześć metrów od niego, kiedy ją zauważa. W przelocie ich spojrzenia się spotykają, i jeśli nawet jego oczy schowane są za przyciemnianymi okularami, Anna dobrze wie, że natychmiast się zorientował, iż jest policjantką. Uśmiecha się krzywo, jedną nogą odpycha się od ściany i szybko wychodzi z sali. Kiedy Anna wchodzi do holu, jego już nie ma, prawdopodobnie wyszedł głównymi drzwiami. Przez krótki moment waha się, czy nie iść za nim, ale stwierdza, że przecież nie robi nic niezgodnego z prawem, a poza tym ona nie jest tu na służbie. Stara się jednak zapamiętać jego twarz.

Ktoś ją woła. Kawałek dalej widzi Mów-mi-Lasse, Agnes i Erika pogrążonych w dyskusji o Cai Biance, którą najwyraźniej wszyscy oprócz niej znają.

Po kilku minutach didżej puszcza muzykę do tańca, Agnes i Erik, którzy przypadli sobie do gustu, natychmiast gdzieś znikają.

– Zatańczysz? – pyta Mów-mi-Lasse.

Najchętniej by odmówiła i poszukała jakiegoś cichego kąta, żeby mogli dokończyć rozmowę. Niestety, uprzejmość jej na to nie pozwala.

Anna prowadzi w tańcu, jednak ma problem z tym, żeby zacząć w odpowiednim momencie. W każdym razie tak było, kiedy tańczyła z Håkanem, co go bardzo denerwowało. Jednak Mów-mi-Lasse najwyraźniej to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, jest jej nawet wdzięczny, że nie musi tego robić.

– Trzymałeś się z nimi w młodości? – pyta Anna i pokazuje na stół, przy którym pojawienie się Cai Bianki ożywiło atmosferę.

Anna macha do Henry'ego i Ewy-Britt, jednak oboje są zbyt zajęci, żeby ją zauważyć. Naprzeciwko małżeństwa Morellów cała czwórka ze zdjęcia wznosi toast. Alex promienieje i ani przez moment nie spuszcza wzroku z Cai Bianki.

– Nie – odpowiada Mów-mi-Lasse. – Trzymali się razem i nie dopuszczali do siebie innych.

– I wygląda na to, że w dalszym ciągu tak jest.

– Alex, Bruno i Marie wciąż się trzymają razem. Cai nie ma tu tak

często.

– Nie?

Mów-mi-Lasse potrząsa głową.

– Kilka lat temu ze swoim drugim mężem wybudowali sobie wielki dom nad morzem, pod Helsingborgiem. Trochę ludzie o tym gadali. Nie wszyscy sąsiedzi byli zachwyceni. Nowy pieniądz wypiera stary pieniądz, wiesz, jak to jest.

– Mówiłeś, że jej pierwszy mąż zmarł, tak? Był dużo starszy od niej?

– Kilka lat. Zdaje się, że znaleźli go nieżywego w ich letnim domu we Francji. Było to w samym środku kryzysu finansowego, więc trochę się o tym pisało. Ale Caia dobrze zainwestowała jego pieniądze, trzeba jej to przyznać.

Ktoś przy stole musiał powiedzieć coś śmiesznego, bo teraz wszyscy wybuchli tak głośnym śmiechem, że aż zagłuszyli muzykę. Didżej nastawia głośniej muzykę i po chwili na parkiecie robi się tak ciasno, że Anna i Mów-mi-Lasse nie mają już szansy rozmawiać. Kiedy Mów-mi-Lasse przyciska ją do siebie, Anna czuje zapach jego wody po goleniu. Przysuwa policzek do jej policzka, a ona nie wie, co zrobić. Pozwala mu na to, a jednocześnie prowadzi go bliżej stołu, przy którym wciąż panuje wesoła atmosfera.

Kiedy są tuż-tuż, Anna widzi, że coś jednak jest nie tak. Ich głosy, mimika i śmiech sprawiały wrażenie wymuszonych, jakby wszyscy chcieli pokazać, jak cholernie dobrze się bawią. Gdy Anna mija stół, Alex wstaje i bierze do tańca Caię Biancę. Anna obserwuje ich przez ramię Mów-mi-Lasse. Widzi, jak Alex prawie niezauważalnie przysuwa Caię bliżej siebie, jak jej ręka błędzi w kierunku jego szyi, jak ich policzki się spotykają. Annie trochę to przeszkadza.

„Opanuj się, Anno”, szepcze Håkan. „Przecież nie masz, do cholery, piętnastu lat”.

– Zamknij się – syczy Anna przez zęby, aż Mów-mi-Lasse reaguje.

– Mówiłaś coś?

Anna potrząsa tylko głową, ale nie spuszcza wzroku z Alexa Morella.

– A teraz piosenka, którą na pewno wszyscy znacie – zapowiada didżej stojący w boksie na środku sceny, mężczyzna trzydziestopięcioletni, w okularach i z kolczykiem w nosie.

Muzyka do tańca się kończy i zaczyna się spokojniejszy kawałek. Miękka ballada na gitarę jako jedyny instrument. Śpiewa młody mężczyzna, autor muzyki i tekstu.

– *I saw a friend today, someone I knew long ago. But I still recalled her name...*

Jego głos jest czysty i piękny. Dźwięk gitary miękki. Anna zaczyna tańczyć z Mów-mi-Lasse i widzi, jak atmosfera na sali powoli się zmienia. Alex Morell reaguje jako pierwszy. Anna dostrzega, że sztywnieje, podnosi głowę do góry, jakby nie był pewien, co to jest. Po chwili pozostali robią to samo.

– *And she told me this. My friend from long ago. And things will never be the same* – rozbrzmiewa jasny głos, a szmer w sali robi się coraz głośniejszy.

Alex Morell przestaje tańczyć. Stoi nieruchomo i jest błąd jak trup. Caia Bianca przez moment wygląda, jakby była zakłopotana, po chwili jednak i ona sztywnieje. Nagle zza stołu słychać donośny śmiech. Jedna z kobiet, prawdopodobnie Marie Sordi, śmieje się głośniejsz niż pozostali. W jej śmiechu jest jakiś dysonans, coś, co sprawia, że ten dźwięk brzmi bardziej jak krzyk.

– *I'll see you by the waters* – rozbrzmiewa w głośnikach – *The dark and lonely waters.*

Na sali wybucha totalny chaos.

28 sierpnia 1990

Simon nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Jeszcze parę minut temu był w euforii... Sztokholm, tournée, skok ze skały, Tanja.

I nagle, nie wiedzieć czemu, znalazł się w środku jakiegoś kręgu, otoczony swoimi najlepszymi przyjaciółmi. Jednak nie zachowywali się jak przyjaciele.

Marie wciąż jeszcze była pijana i czerwona na twarzy, Bruno stał obok niej z pięściami wymierzonymi w Simona, coś mrocznego we wzroku Alexa oznaczało, że zaraz ktoś oberwie, a usta Cariny były aż białe z wściekłości.

I te słowa, którymi w niego rzucali ze wszystkich stron. Które wypryskiwały z ich ust w takt deszczu. Przedzierały się przez skórę i wwiercały głęboko w ciało.

– Zdrajca!

– Czy ty w ogóle ogarniasz, co on zrobił?

– Bronisz tego pieprzonego gwałciciela!

– Jak, kurwa, mogłeś?

– Z tą dziwką?

– Myślisz, że kim jesteś, ty popieprzeńcu?

Simon podniósł wyżej ręce, chciałby stamtąd uciec. Spojrzał przez ramię w dół, tam, gdzie stał jego rower. Deszcz padał coraz mocniej.

– Chyba wrócę do domu...

Już chciał się odwrócić i odejść, zdążył już nawet zrobić krok...

– Simon próbował mnie pocałować – powiedziała Carina głośno.

Nagle zapadła kompletna cisza. A jedyne, co było słychać, to deszcz.

– Co? – ryknęli Alex i Bruno, prawie jednocześnie.

– Wcześniej, na obszcza!ce!

Simon stanął i się obejrzał. Oczy Cariny świeciły w ciemności.

– To nie tak... – zaczął i zauważył, że zaczyna mu drżeć głos. Zobaczył mroczne spojrzenie Alexa i znów poczuł strach. Przed Alexem, przed pozostałymi i przed tym, co się mogło stać.

– Całowałaś moją dziewczynę? – wymamrotał Alex i zrobił krok w kierunku Simona.

– To ona sama...

Simon nie bardzo wiedział, jak to się stało, jakby jego mózg stracił kilka sekund z tego, co się działo. Nagle poczuł, jak jego ciało zwinęte w łuk wyleciało w powietrze. Przerażony, wyciągnął ręce, żeby się zastronić, ale nie zdążył. Pędził wprost na ścianę skalną.

Jesień 2017

Anna doświadczyła tego już wiele razy, szczególnie na służbie. Jak w pewnych krytycznych momentach czas zwalnia w jakiś przedziwny sposób i pozwala zrozumieć nawet najmniejszy szczegół.

Alex Morell rusza w stronę boksu didżeja. Rzuca się naprzód, jak amerykański futbolista, i po drodze na scenę przewraca kilka osób. Bruno Sordi wstaje od stołu i też biegnie w tamtą stronę. Jego żona także wstaje, a krzesło za nią upada na podłogę. Małżeństwo Morellów i Bengt Andersson patrzą na Marie, która stoi ze ściśniętymi wargami i miną pełną odrazy i przerażenia jednocześnie. Caia Bianca stoi na środku sali, zostawiona sama sobie. Wokół niej powstaje pustka, jakby ci wszyscy, którzy jeszcze przed chwilą chcieli być jak najbliżej niej, teraz ją zostawili. Jeden z reflektorów oświetla jej białą suknię na kolor krwistoczerwony, a blask światła łapie ją z półotwartymi ustami, jakby wydobywał się z niej niemy krzyk.

– *The dark and lonely waters* – dochodzi z głośników piękny głos i przez krótki moment usta Cai układają się tak, jakby ona też śpiewała.

Anna widzi to wszystko, zanim jeszcze Alex dobiega do boksu didżeja. Potem słychać łomot i muzyka nagle cichnie. Jednocześnie czas wraca do swojego normalnego rytmu i wyzwała kakofonię głosów.

Anna puszcza Mów-mi-Lasse i również biegnie w kierunku sceny. Przepycha się w tłumie, który skupił się wokół tego, co jeszcze przed chwilą było boksem didżeja, a teraz jest kupą płyt, kabli i sprzętu. Alex Morell przyciska didżeja mocno ciałem i chwytem zapaśniczym trzyma go za gardło i szyję. Jego twarz jest czerwona, spojrzenie mroczne, a usta ściągnięte w grymas. Wszystko to sprawia, że

wygląda jak dzikie zwierzę. Bruno Sordi stoi nad nimi z rozstawionymi nogami i dłońmi zwiniętymi w pięści, ale zamiast odciągnąć Alexa, pochyla się i z wściekłością ryczy coś didżejowi prosto w twarz. Te same słowa, raz za razem, ale ściana dźwięków wokół Anny jest za duża, żeby mogła słyszeć, co mówi Bruno.

Didżej nie broni się, jego twarz staje się niebieska, a usta szukają powietrza. Oczy niemalże wychodzą mu z orbit. Anna wskakuje na scenę.

– Puść go, Alex!

Bruno Sordi staje jej na drodze.

– Nie, zanim się nie przyzna.

Bruno jest mniej więcej tego samego wzrostu co Anna i sądząc po wyrazie twarzy i ruchach ciała, jest pijany. Anna idzie wprost na niego, chwyta go w okolicy szczęki i przytrzymuje za ramię, a kiedy on próbuje odwrócić twarz, podcina mu nogi. Bruno pada na scenę, a Anna, nie czekając, rzuca się na Alexa Morella. Mimo iż ciało didżeja leży bezwładnie, Alex w dalszym ciągu trzyma go za szyję. Anna chwyta go za włosy i twarz i odciąga do tyłu. Alex puszcza didżeja, ale zamiast się poddać, okręca się wokół własnej osi, chwyta Annę za ramię i powala na podłogę. Alex Morell ma prawie dwa metry wzrostu i waży niemal sto kilo. Poza tym był zapaśnikiem, więc Anna nie ma z nim szansy. Kolanami uderza o podłogę, a jej twarz wykrzywia się z bólu. Jej ciało już się chce poddać, ale ostatkiem sił próbuje walczyć i słyszy, jak Alex dyszy ciężko nad jej głową. Mieszanka dźwięków, głosów i ruchów wiruje jej przed oczami.

„Drań”, syczy Håkan w jej głowie. „Załatw drania. Musisz!”.

Anna odchyła głowę do tyłu i trafia Alexa prosto w nos. Alex jęczy z bólu i puszcza ją na tyle, że teraz może zebrać siły, przekręcić się i dać mu kolanem w krocze. Alex wydaje z siebie jęk, jego kolana uginają się i pada na podłogę, trzymając się rękami za swoje klejnoty.

– Ty cholerna cipo! – Bruno Sordi już wstał. Jego twarz jest niebiesko-czerwona, ręce ściśnięte w pięści, oczy jak dwie wąskie

szparki. Robi krok do przodu, unosi pięść, a Anna odruchowo podnosi rękę, żeby się zastonić.

Ale nie pada żaden cios. Za Brunem w pełnym rynsztunku pojawia się Jens Friberg. Anna widzi, że w powietrzu przemyka coś czarnego, słyszy świst, a potem głucho uderzenie. Pałka Jensa trafia Bruna pod kolanami i mężczyzna po raz drugi zostaje powalony na podłogę.

Zapalają się lampy i sala tonie w mocnym białym świetle. Cichną nieco głosy i dźwięki.

– Tutaj! – Friberg rzuca Annie kajdanki, prawdopodobnie jest to dodatkowa para, którą nosi, kiedy jest w pełnym umundurowaniu.

Annę bardzo to rozbawiło, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy kilka dni temu. Friberg pochyła się i zakuwa Bruna w swoje kajdanki. Alex Morell zwinął się w kłębek, z nosa leci mu krew. Nie stawia już oporu, kiedy Anna wykręca mu rękę do tyłu. Poprawia ubranie, strzepuje kurz ze spodni i spogląda na didżeja.

Mężczyzna leży na plecach wśród zniszczonego sprzętu. Na jego twarz powraca kolor. Wciąż rzezi, chwytą się delikatnie za gardło i próbuje usiąść.

– Wszystko w porządku? – chce wiedzieć Anna.

W odpowiedzi otrzymuje powolne skinienie głową.

– Co robimy? – pyta Jens Friberg i znacząco pokazuje głową na salę, gdzie setki par oczu śledzą każdy ich ruch.

Henry Morell stoi obok Evy-Britt. Z zaciętą twarzą szuka wzroku Anny. Obok stoją również Marie Sordi i jej ojciec.

Anna odwraca się do Jensa Friberga.

– Obaj do aresztu – mówi sucho. – Alex Morell, pobicie i przemoc wobec urzędnika państwowego. Sordi... – Anna zastanawia się, jak zakwalifikować występki Bruna. Decyduje się na mały wybieg, żeby to jeszcze przemyśleć. – Do izby wytrzeźwień z nim – mówi.

Jens Friberg stoi w milczeniu i spogląda na scenę. Po chwili kiwa głową. Robi gest w kierunku policjantów, którzy się przy nim pojawili.

– Obaj za kratki.

Policjanci prowadzą Alexa i Bruna, a Anna pomaga didżejowi

wstać. Pyta, czy nie wezwać ambulansu, ale didżej potrząsa tylko głową.

– Muszę cię zabrać na komisariat – tłumaczy mężczyźnie, a on kiwa głową.

Pomaga mu znaleźć okulary i schodzi z nim ze sceny. Kątem oka widzi Henry'ego Morella, który zdecydowanym krokiem wychodzi z sali. Nie patrzy w jej stronę. Natomiast inni wprost przeciwnie. Caia Bianca, Marie Sordi, Bengt Andersson, Mów-mi-Lasse i pozostali goście, którym najwyraźniej trudno spuścić z niej oczy.

Anna szuka wzrokiem Agnes, ale nigdzie jej nie dostrzega. Prawdopodobnie Agnes nie widziała, co się stało, i Anna czuje z tego powodu ulgę.

Kiedy Anna i didżej zbliżają się do drzwi wyjściowych, w sali rozlega się cichy pomruk, który po chwili przechodzi w głośniejszy szmer. Na ostatnich metrach słyszy tylko strzępy zdań.

– ...rozłożyła na łopatki Alexa Morella.

– Bruna też...

– Jaka odważna.

– Co w nich, do cholery, wstąpiło?

– Nie słyszałaś?

Przy samych drzwiach Anna znów spotyka tego chudego brodacza z tatuażem na ręku. Stoi tak jak przedtem, arogancko oparty o ścianę, z uśmiezkami na ustach, i mimo jego ciemnych okularów Anna jest pewna, że na nią patrzy, kiedy go mija.

Mów-mi-Lasse podrzuca ją i didżeja, który ma na imię Kristian, na komisariat. Potem Anna prosi go, aby wrócił i poszukał Agnes.

Kristian okazuje się zwykłym chłopakiem, który ma normalną pracę, a po godzinach dorabia sobie jako didżej. Twierdzi, że nie ma pojęcia, dlaczego Alex i Bruno napadli na niego; mówi, że ich w ogóle nie zna. Ani w jego tonie głosu, ani w zachowaniu nic nie wskazuje na to, by kłamał. Anna prosi go, żeby poczekał w recepcji, a sama idzie do aresztu.

Tak jak się spodziewała, zastaje tam Henry'ego Morella. Morell i Friberg wyglądają na pogrążonych w poważnej rozmowie, którą przerywają, gdy tylko nadchodzi Anna. Bruna Sordiego nie widać, ale Alex Morell siedzi w miejscu, przez które muszą przejść wszyscy, zanim zostaną aresztowani. Jedną ręką przyciska do nosa torebkę z lodem, a drugą trzyma się za krocze. Pochylony, bez kajdanków, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Anna, jak dobrze, że jesteś – mówi Morell z przesadną życzliwością. – Muszę ci podziękować za szybką reakcję i jednocześnie przeprosić za zachowanie Alexandra. Zupełnie nie do przyjęcia.

– Dlaczego nie jest w areszcie? – Pytanie skierowane jest do obu, ale tylko Jens Friberg odwraca wzrok.

Henry Morell bierze Annę na bok.

– Tak między nami to Alexander ma teraz bardzo trudny czas – mówi cicho. – Ten rozwód wiele go kosztował... Włożył mnóstwo pieniędzy i czasu w dom, żeby żyło im się dobrze i wygodnie, a teraz musi mieszkać kątem u rodziców, no i dziewczynki może spotykać tylko w weekendy. – Morell robi przygnębioną minę i jeszcze bardziej ścisza głos. – Alexander miał kiedyś pewne problemy. Jeszcze zanim urodziły się dziewczynki, zanim w ogóle poznał Jossan. Kilka razy leczył się w szpitalu psychiatrycznym. – Morell pokazuje na głowę. – Aresztowanie go mogłoby to wszystko w nim znowu obudzić, rozumiesz?

Pełne zaskoczenia milczenie Anny Morell interpretuje jako zgodę.

– Zróbmy tak. Niech Bruno wytrzeźwieje w areszcie. Za jakieś pół godziny anuluję Alexandrowi areszt i zabiorę go do domu. Tymczasem porozmawiamy z tym didżejem. Rozumiem, że Alexander pokazał się w bardzo złym świetle, ale pewnie widziałaś już gorsze rzeczy. Poza tym wszystko świetnie załatwiłaś. Szczerze mówiąc, Alexander ma to, na co zasłużył. Zresztą całe miasto widziało, jak doskonale opanowałaś sytuację. – Morell uśmiecha się z ojcowską miną, przed którą Annie trudno się obronić.

– A w-więc chcesz, żebym przekonała poszkodowanego, żeby nie

składał zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, mimo iż było wielu świadków? – Anna próbuje brzmieć spokojnie, ale niezupełnie jej się to udaje.

Morell wciąż utrzymuje swoją ojcowską minę.

– Nie, nie, nigdy bym się nie ośmielił prosić cię o to. Papierkową robotą zajmie się Jens. Ciebie tylko proszę, abyś anulowała zgłoszenie o użyciu siły wobec urzędnika państwowego. Potraktuj to jako osobistą przysługę dla mnie. I jako prezent pożegnalny.

Anna się waha, czeka, aż Håkan jej coś podpowie. Doradzi. Ale Morell jest pierwszy.

– Poza tym formalnie to ja tu wciąż jeszcze dowodzę – dodaje już nie tak życzliwym głosem. – Do poniedziałku rano to jeszcze jest mój posterunek i policjanci, którzy tu pracują, jeszcze mnie podlegają. Łącznie z tobą, Anno. – Jego twarz sztywnieje, by po chwili znów się rozpuścić w ojcowskim uśmiechu. – Ale, oczywiście, mam nadzieję, że uda nam się to rozwiązać po przyjacielsku.

Anna poprawia się. Z wielu powodów żal jej Alexa Morella, szczególnie po tym, co przed chwilą powiedział jej Henry. Poza tym po prostu go lubi. Albo raczej lubiła, jeszcze jakieś pół godziny temu. Ale popełnił przestępstwo z użyciem siły przeciwko temu biednemu didżejowi i przeciwko niej.

– No i co ty na to, Anno? Zgoda? – Morell próbuje się uśmiechać, lecz w jego wzroku widać pewną ostrość. Odmowa definitywnie zakończyłaby ich przyjaźń i znacznie pogorszyła jej sytuację.

Håkan się obudził. Anna już wie, co jej powie, i marzy tylko o tym, żeby milczał. Ale on, oczywiście, jej nie słucha, bo nawet śmierć nie jest w stanie mu zamknąć gęby.

„Czasami, kochana Anno”, szepcze. „Czasami trzeba po prostu zaakceptować sytuację”.

Anna usuwa się z drogi, żeby nie musieć patrzeć didżejowi w oczy. Mów-mi-Lasse, Erik i Agnes czekają na parkingu. Tych dwoje młodych jest bardzo podekscytowanych, już słyszeli, co się stało, i chcą, żeby Anna opowiedziała im w szczegółach, jak dała radę dwóm dorosłym mężczyznom. Ale ona zdecydowanie nie ma na to

ochoty. Mów-mi-Lasse chyba ją rozumie i sam krótko im wszystko referuje, bez wchodzenia w szczegóły. Anna z wdzięcznością spogląda w jego stronę i obiecuje sobie, że będzie dla niego miłsza.

Kiedy wjeżdżają na podwórze Taboru, światła oświetlają przednią część domu. Na schodach coś leży.

To dwa króliki z martwymi oczami i wypatroszonymi brzuchami.

Jesień 2017

Anna źle śpi. Sen o malowidle, kamieniołomie i martwym ciele powraca, jednak tym razem to nie Simon Vidje czy Håkan unoszą się na wodzie. Tym razem to Alexander Morell.

– Pomóż mi, Anno!

Jesienny deszcz pada coraz mocniej i zamienia cały obraz w mętną, śmierdzącą mgłę, która pali nozdrza. I nagle, w ciągu jednej sekundy, wszystko się zmienia. Pojawia się nowa scena, jaka może wystąpić tylko w snach. Anna jest w małym pokoju przesłuchań, po lewej stronie siedzi jej adwokat, a naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, dwóch przesłuchujących. Jeden z nich wyjmuje zdjęcie.

– Czy wiesz, co to jest?

Anna nie musi nawet na nie patrzeć, ale robi to mimo wszystko. Fotografia przedstawia szarą, płaską skrzynkę z podłączonymi z tyłu kablami i włącznikami, i z wyświetlaczem z przodu. To pompa infuzyjna pełna gumowych guzików, które wystarczy odpowiednio zaprogramować i popłynie morfina, a Håkan nie będzie już czuł bólu.

Trzy, trzy, siedem, pięć, dziewięć, dwa.

Select.

– Czy zrobiłaś to? – pyta przesłuchujący. – Zabiłaś swojego męża?

Anna budzi się, kiedy właśnie ma wziąć głęboki wdech. Jest wczesny ranek, na dworze wieje wiatr i pada deszcz. Wkłada płaszcz nieprzemakalny i wychodzi na dwór, żeby pozbyć się tego, co Agnes nazywa „tajemniczymi królikami”. Wczoraj była zbyt zmęczona, by się tym zająć. Anna cieszy się, że Agnes traktuje to trochę jako pewien rodzaj żartu, jednak jej samej daleko jest do śmiechu. Bierze wypatroszone króliki i idzie do śmietnika. Kiedy już dochodzi, widzi za budynkiem gospodarczym zaparkowany samochód, którego nie

dostrzegła z werandy. To pick-up Brora Kleina.

Przez uchylone drzwi słysząc jakieś odgłosy.

– Halo – woła Anna i wchodzi do środka.

To, co teraz jest szopą, składowiskiem rupieci, kiedyś musiało być garażem. W środku jest ciemno, pachnie wilgocią i rdzą, na podłodze leżą śmieci, a na metalowych półkach pełno jest puszek z farbami, butelek i kartonów. Trochę dalej znajduje się małe ciemne przejście, i to stamtąd dochodzi hałas.

– Halo! – woła Anna ponownie.

Hałas cichnie, a w wejściu pojawia się Bror Klein.

– O – mówi zakłopotany. – Chcę tylko zabrać stąd parę rzeczy. Nie chciałem wam przeszkadzać.

– Nie ma problemu – odpowiada Anna.

Oboje stoją w milczeniu.

– I co, dobrze wam się tu mieszka?

Jego próba zagajenia rozmowy zaskakuje Annę.

– Oczywiście. Bardzo tu ładnie i spokojnie. Dokładnie to, czego potrzebujemy.

Klein odmrukuje potakująco.

– A w pracy? Jak tam z Henrym Morellem? Już popuścił lejce?

– O tak i myślę, że nawet dość łatwo poszło. Zaczynam od jutra. – Pierwsze zdanie parzy ją trochę w ustach z uwagi na to, co się wydarzyło dzień wcześniej.

Klein kiwa głową i wygląda, jakby już wyczerpał temat. Wzrok Anny powoli się przyzwyczaja do ciemności i dopiero teraz może zobaczyć, co jeszcze jest w szopie. Wpada jej w oko coś dużego i niebieskiego.

– Czy to zjeżdżalnia Karla-Johana? – pyta i pokazuje palcem.

Klein kiwa głową, nieznacznie, ale wystarczająco, aby jej wprawne oko to zauważyło.

– Skąd o niej wiesz?

– Od Görana od Rowerów – odpowiada Anna.

– Straszny plotkarz. Największy w okolicy.

Znowu zapada cisza i jedyne, co słysząc, to krople deszczu uderzające o dach.

– To malowidło... – mówi Anna bez namysłu. – Już wiem, co przedstawia.

Tym razem Klein lepiej utrzymuje maskę na twarzy. Bez najmniejszego choćby gestu, który mógłby go zdemaskować. Mimo to Anna czuje, co się musi dziać pod tą jego sztywną skorupą. Coś ją fascynuje w Kleinie. Aż ma ochotę rozbić tę kamienną twarz i zobaczyć, co się pod nią kryje.

– Karl-Johan też nie wierzył, że to był wypadek – mówi Anna. – To dlatego pracował nad tym malowidłem aż dziesięć lat, choć pod koniec był już prawie całkiem niewidomy.

– To nie twoja sprawa – odpowiada głucho Klein. Wcześniej wywalczona życzliwość nagle znika. – Nie znałaś go, więc nie masz zielonego pojęcia o... – Klein zatrzymuje się w środku zdania, wyciera ślinę, która wylądowała na jego brodzie wraz z kolejnymi wypływającymi słowami. – Przepraszam – mruczy i znacząco spogląda na zegarek – ale muszę już jechać.

Anna odprowadza go do wyjścia i czeka, aż zamknie na kłódkę drzwi szopy. Wyraźnie widać zakłopotanie na jego twarzy, nawet jeśli stoi odwrócony do niej plecami. Kiwa jej głową na pożegnanie, wskazuje do samochodu i znika w deszczu.

Anna nie może się oprzeć ciekawości, czego szukał w szopie. Obchodzi budynek dookoła. Z przodu, w odstępie kilku metrów od siebie, znajdują się dwa wejścia, oba zamknięte na kłódkę. Lewe musi prowadzić do pomieszczenia ze zjeżdżalnią i innymi rupieciami, prawe zaś do pomieszczenia, w którym był Klein. A ponieważ oba wejścia są tak samo duże, to zapewne i pomieszczenia są tej samej wielkości. Anna szuka jakiejś szpary, żeby zajrzeć do środka, i w tylnej ścianie znajduje luźną deskę. Odgina ją tak, żeby powstał otwór na tyle duży, by mogła włożyć do niego rękę.

W środku pachnie jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż w pierwszym pomieszczeniu. Wilgocią, grzybem i jeszcze czymś. Spaleniżną... Szpara wpuszcza niewiele światła, ale Anna włącza latarkę w komórce i świeci najdalej, jak może. Oświetla kawałek betonowej podłogi i jakiś ciemny zarys. Mija kilka sekund, zanim uświadomi

sobie, na co patrzy. To zwęglone szczątki tego, co kiedyś było samochodem sportowym.

Jesień 2017

W poniedziałek rano Anna jedzie do pracy bardzo wcześnie. Korytarz na piętrze jest pusty i cichy. Anna siada przy komputerze, wciska sobotnią datę i szuka meldunków. Znajduje kilka, ale ani jednego o pobiciu w parku. Szuka Alexandra Morella, lecz nie znajduje ani jednego trafienia. O Brunie Sordim też nic. Jens Friberg wypełnił swoje zadanie wzorowo.

Anna siedzi w ciszy przed ekranem komputera, następnie wpisuje własny numer personalny. Wie, że nie wolno szukać siebie samego, ale w związku z tym, co się zdarzyło w ostatni weekend, zawsze może się wytłumaczyć, że chciała skontrolować, czy nie została podana jako osoba zgłaszająca zajście. Doskonale wie, co się pojawi, i choć swój numer referencyjny zna na pamięć, i tak czuje napięcie, kiedy na ekranie wyświetla się sygnatura sprawy. Nawet nie próbuje w nią wejść, bo doskonale wie, że dostęp jest zablokowany. Nikt poza Wydziałem Dochodzenia Wewnętrzznego nie ma wglądu w toczące się przeciwko niej śledztwo.

Ale jednej rzeczy może się dowiedzieć, co powoduje, że jej żołądek jeszcze bardziej się kurczy z nerwów. W tabeli dotyczącej statusu sprawy, mimo zapewnień jej adwokata, że wszystko jest na dobrej drodze, w dalszym ciągu nie ma żadnej informacji o umorzeniu dochodzenia.

Dyskretne pukanie wyrывa ją z zamyślenia. W drzwiach stoi Jens Friberg. Anna szybko zamyka komputer.

– Masz kilka minut? – pyta, a potem czeka, aż Anna powie, że tak, i dopiero wtedy zamyka za sobą drzwi.

Anna pokazuje, żeby usiadł, ale nie traci czasu na uprzejmości. Od dzisiaj jest jego szefową i przy najbliższej okazji planuje utrzyć mu

nosa i pokazać, kto tu rządzi. Tymczasem Friberg ją zaskakuje.

– Przyszedłem, żeby ci pogratulować twojego sobotniego występu – mówi. – Tego, jak poradziłaś sobie z Alexandrem Morellem i Sordim, i... – Friberg milknie i szuka właściwego słowa. – Imponujące – rzuca tak, że brzmi to jak westchnienie.

– Dziękuję – odpowiada Anna i zupełnie nie wie, co jeszcze mogłaby dodać.

Cała ta sytuacja jest dla niej zaskakująca i trudna do rozszyfrowania. Czy to jakiś wybieg z jego strony? Przemyślany sposób, żeby znów podważyć jej autorytet? Ale ton głosu Friberga wcale nie brzmi pochlebnie czy fałszywie, jego mowa ciała też na to nie wskazuje. Raczej wygląda, jakby ta pochwała wiele go kosztowała. A jednak...

– Na szczęście bardzo szybko przyjechaliście – mówi Anna, jakby na próbę.

– Byliśmy już na dziedzińcu. Wtedy ktoś krzyknął, że w środku jest jakaś bójka.

– A co z poszkodowanym? – pyta Anna, choć już zna odpowiedź.

– Po... przemyśleniu obiecał, że wycofa zgłoszenie – odpowiada Friberg.

Anna już chce mu powiedzieć, co o tym sądzi, ale widzi, jak Friberg kręci się zakłopotany. I postanawia, że nie będzie tego komentować.

– A więc... – kontynuuje Friberg i zagryza górną wargę, tak jakby nie chciał dokończyć zdania. – Bardzo szanuję Henry’ego Morella. Uważam go za swojego mentora...

Ale..., myśli Anna, bo doskonale wie, że jakieś „ale” zaraz padnie. Jednocześnie próbuje ukryć swoje zaskoczenie całą tą rozmową.

– Ale to, o co nas prosił, nie było w porządku. Już wiele razy sprzątałem po Alexandrze, lecz to były drobne rzeczy. A to tu... mogło się skończyć naprawdę źle. Poza tym napadł na policjanta.

Anna siedzi w milczeniu i zastanawia się, czy to czasem nie jest jednak jakiś wybieg z jego strony.

– Czy byłeś przy tym, jak Bruno Sordi opuszczał areszt dziś rano? – pyta Anna.

Friberg kiwa głową.

– Ile czasu tam spędził?

– Cztery godziny. Przyjechała po niego żona i teść. Nie byli zachwyceni.

– Rozmawiałeś z nim?

Anna domyśla się odpowiedzi, jeszcze zanim Friberg potwierdzi skinieniem głowy. Friberg to porządny policjant, który nienawidzi przypadkowości i nie zostawia niedokończonych spraw.

– I co powiedział?

– Że był pijany i że to jakieś nieporozumienie.

– Nieporozumienie?

Friberg poprawia się i rzuca okiem na zamknięte drzwi.

– Sordi twierdził, że ten didżej puścił jakiś stary kawałek. Że myśleli, że zrobił to celowo, że chciał im zagrać na nerwach. Dlatego się na niego rzucili.

– W jaki sposób? Jak mógł ich zdenerwować jedną piosenką?

– Osobą, która ją śpiewała, był Simon Vidje.

Anna wstrzymuje oddech, a jednocześnie próbuje sobie przypomnieć piosenkę. Jego jasny głos, melodię, tekst. O ciemnej samotnej wodzie. Nagle trudno jej ukryć dreszcz.

– Rozmawiałeś z pokrzywdzonym?

Friberg potrząsa głową.

– Pojechał już do domu. Nie chciałem dzwonić i go budzić w niedzielę rano. Poza tym po naszej wcześniejszej rozmowie jestem pewien, że wysłałby mnie do diabła. Ale byłoby ciekawie usłyszeć jego wersję.

Friberg wyjmuje z kieszeni zwiniętą kartkę papieru i kładzie ją na biurku. Potem wstaje, żegna się i wychodzi. Anna odwiją kartkę. Jest na niej numer telefonu.

Anna siedzi z kartką w ręku i po raz trzeci próbuje zgadnąć, czy to jakiś wybieg z jego strony. Po chwili się poddaje.

Didżej Kristian odpowiada po trzecim dzwonku i, najdelikatniej mówiąc, nie jest zadowolony z jej telefonu.

– Już rozumiem – mówi, jak tylko Anna się przedstawia. – Ten twój

kolega-faszysta już w sobotę dał mi jasno do zrozumienia, że zgłaszanie Alexandra Morella to nie najlepszy pomysł. Mogłaś mi to powiedzieć już w parku, zamiast wieźć mnie na komisariat. I wolałbym, żebyś już nie dzwoniła...

Anna przerywa mu, czuje jednak, że jej policzki płoną ze wstydu.

– Nie dlatego dzwonię. Chcę cię zapytać o tę piosenkę, którą puściłeś, tuż przed całym zajściem.

Przez kilka sekund w słuchawce panuje cisza.

– Chodzi ci o to nagranie demo? – Już nie jest tak zdenerwowany, raczej zdziwiony.

– Tak. Jak to się stało, że to puściłeś?

– Jakiś koleś dał mi wcześniej pendrive z tym kawałkiem. Czasami to się zdarza. Nowa wersja piosenki na życzenie. Zazwyczaj odmawiam, nie lubię wkładać do mojego komputera obcych urządzeń, ale nalegał. Dał mi pięćset koron, żeby to puścić, kiedy Caia Bianca będzie na parkiecie, i obiecał drugie tyle potem. Ta chałtura nie jest szczególnie dobrze płatna, więc pomyślałem sobie, że co mi szkodzi. Tysiąc za jeden kawałek piechotę nie chodzi.

– Kim był ten koleś?

– Nie mam pojęcia. Raczej nietutejszy.

– A jak wyglądał?

Przez kilka sekund didżej się zastanawia.

– Trochę zniszczone. Koło pięćdziesiątki. Szczupły, z brodą, tatuaże na rękach.

– Czy miał okulary? – Anna domyśla się odpowiedzi.

– Tak, ciemne, ledwo mu było widać oczy.

Anna już wie, o kogo chodzi.

– Pamiętasz coś więcej? Czy może coś powiedział, coś zrobił?

Znów cisza.

– Nie, powiedział tylko, że to stary kawałek, który poprawi atmosferę. I że Caia i jej znajomi natychmiast to rozpoznają.

No i rozpoznali, myśli Anna. Aż za dobrze.

Jesień 2017

Anna ledwo wchodzi do domu, a już dzwoni jej nowa komórka służbowa. Agnes wysłała wiadomość, że pojechała do Erika, a Milo jakoś nie szaleje z radości na jej widok.

– Hej, tu Olsson, dzwonię z radiowozu – mówi głos w słuchawce.

– Hej.

– Jesteśmy w Glarei. Zadzwoił ktoś z pracowników, że znaleźli ciało mężczyzny.

– Co takiego?

– Skoczył – precyzuje policjant. – Po północnej stronie kopalni jest stromizna. Już mieliśmy jednego takiego parę lat temu.

– Okej, już jadę – mówi Anna. – Możesz mi wytłumaczyć, gdzie dokładnie jesteście?

Kiedy Anna dociera do Glarei, już się ściemnia. Przy bramie głównej czeka na nią biały džip z logo firmy.

– Jedź za mną, bo trochę trudno tam trafić – mówi kierowca.

Jego stwierdzenie tylko w niewielkiej części odzwierciedla rzeczywistość. Za bramami i budynkami biurowymi droga opada stromo w dół. Po chwili znika i pojawia się jeszcze bardziej strome żwirowe zbocze, które prowadzi na gigantyczne dno kopalni. Zapach spalenizny jest tak silny, że Anna zamyka nawiew w samochodzie.

Droga kończy się na żwirowym placu, ogromnym jak cztery, pięć boisk piłkarskich. Mijają kilka dużych budynków, wysoką metalową wieżę oraz rząd ciężkich maszyn i zaparkowanych na noc piaskarek. Cały teren oświetlają reflektory, których zimne światło jeszcze bardziej wzmacnia wrażenie krajobrazu księżycowego.

Samochód firmowy skręca w prawo, między dwiema górami żwiru, przejeżdża przez ogromną kałużę, a następnie skręca w lewo i dojeżdża do rozdroża. Anna uświadamia sobie, że kamieniołom to nie jeden gigantyczny prostokąt, tak jak to sobie wyobrażała. Przypomina raczej koło, gdzie ogromny plac, który przed chwilą minęli, to piasta, a wąwozy, które rozciągają się we wszystkich kierunkach, to szprychy. Ale kiedy wąwóz, którym jadą, dzieli się na nowe, mniejsze odgałęzienia, Anna konstatuje, że i to porównanie tu nie pasuje. Przy piątym rozgałęzieniu uświadamia sobie, że sama nigdy by tu nie trafiła, i cieszy się w duchu, że prowadzą ją światła samochodu przed nią.

Prawie zupełnie traci orientację, kiedy wąwóz otwiera się na ogromny plac, którego jedna strona tworzy wysoką, stromą ścianę skalną. Przy wjeździe stoją trzy pojazdy ustawione w półokrąg, z reflektorami skierowanymi na samotnie stojącą brzozę. W powietrzu czuć deszcz. W snopie światła rozproszone krople już zarysowują pionowe linie.

Anna parkuje trochę dalej i resztę drogi idzie pieszo. Jeden z pojazdów to radiowóz, którego kierowca zadzwonił do niej, drugi to ogromna koparka, trzeci zaś to samochód Henry'ego Morella. Rozmawia z patrolem i z mężczyzną, którego kamizelka odbłaskowa sugeruje, że to pracownik Glarei.

– Hej, Anno – mówi Morell, kiedy ją zauważa. – Obawiam się, że to żaden przyjemny widok.

Zapala latarkę i kieruje ją na sam szczyt brzozy, gdzie nie sięgają reflektory. Widok faktycznie jest okropny, i wręcz nierzeczywisty. Długa rana połamanych gałęzi rozciąga się od samej góry, a kończy około czterech metrów nad ziemią, gdzie zaklinowane leży coś, co przypomina szmacianą lalkę. Członki denata powyginane są w nienaturalnych pozach, a ubranie poszarpane. Duży konar przeszył klatkę piersiową i wyszedł w okolicach łopatki. Liście, pień drzewa i ziemia są ciemne od krwi.

– Mieliśmy już jednego takiego samobójcę dziesięć lat temu – mówi Morell. – Przedsiębiorca z miasta, zrujnował i rodzinę,

i przyjaciół. Spadł prosto na plecy. Z tym nieszczęśnikiem nie pójdzie nam tak łatwo.

Morell oświetla skałę za drzewem. Ściana ma co najmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów wysokości, więc i snop światła nie sięga do samej góry.

– Na górze jest miejsce z pięknym widokiem. Latem ludzie robią sobie tam pikniki i obserwują zachód słońca. Właściwie nie wolno tam wchodzić, ale i tak nikt tego nie przestrzega.

Deszcz się nieco nasila i Anna zapina kurtkę. Cieszy się, że sprawiła sobie porządną klasyczną kurtkę przeciwdeszczową, która nie przepuszcza wilgoci. Morell gasi latarkę.

– Rozmawiałem z oficerem dyżurnym. Ze sprowadzeniem techników jeszcze zaczekamy. Przecież ten nieszczęśnik nie zejdzie z drzewa i nie ucieknie, a nie ma sensu ściągać ludzi po godzinach. Budżet i tak już się dostatecznie skurczył. Glarea obiecała, że popilnują ciała do jutra, chociaż nie ma żadnego ryzyka, że ktoś je tam znajdzie. A my może byśmy podjechali po drodze i poszukali jego samochodu? Mniej więcej wiem, gdzie powinien stać.

Anna nie ma pojęcia, co mu odpowiedzieć. Morell zachowuje się tak, jakby to on wciąż dowodził, i robi to z taką pewnością w głosie, że Annę to zbija z tropu i irytuje. Morell doskonale zdaje sobie z tego sprawę, co jest jednak dla niej jakimś pocieszeniem.

– Przepraszam, że się tak wtrącam. Ale Olsson zadzwonił najpierw do mnie, pewnie z przyzwyczajenia... A mam tu niedaleko, więc pomyślałem...

– Kto znalazł ciało? – przerywa mu Anna, niepotrzebnie tak szorstko.

– Operator sprzętu. To jedna z najstarszych części kamieniołomu, od wielu lat nieczynna. – Morell pokazuje na ścianę skalną i wzgórze.

– Operator poszedł za brzozę, żeby się wysikać, skurczybyk.

– Wciąż tu jest?

Morell potrząsa głową.

– Olsson szybko go przesłuchał i odesłał do domu, do rodziny. Był nieźle przerażony. I wcale mu się nie dziwię!

Morell znów zapala latarkę, snop światła kieruje na ciało zwisające z drzewa. Coś błyszczącego przykuwa wzrok Anny.

– Poświeć tam – mówi do Morella. – Tuż koło pnia.

Anna wyjmuje niebieskie ochraniacze, które włożyła do kieszeni, zanim tu przyjechała, i zakłada na buty. Następnie zapala własną, znacznie mniejszą, ale mocniejszą latarkę i ostrożnie podchodzi do drzewa. Deszcz bębni o plastik jej płaszcz przeciwdeszczowego. Coraz mocniej czuć metaliczny zapach krwi, który przyćmiewa woń wypalanej gliny.

Anna zatrzymuje się pół metra przed drzewem, tuż przy zakrwawionych liściach. Kieruje światło w miejsce, w którym zauważyła coś błyszczącego. Między korzeniami, pod samym ciałem, leży jakiś przedmiot. Prawdopodobnie wypadł z kieszeni denata przy upadku. Jest to kawałek plastiku i Anna już się domyśla, co znalazła.

Z jednej kieszeni kurtki wyjmuje gumowe rękawiczki, które od razu wkłada, z drugiej długopis. Przy jego użyciu wyciąga leżący przedmiot. Tak jak się domyślała, są to stare zniszczone okulary. Zauszniki są powyginane i brakuje jednego szkła. Podnosi je i oświetla latarką. Szkło, które pozostało, jest przyciemnione. Nagle drętwieje, unosi głowę i oświetla górną część drzewa. Ciało wisi na brzuchu, więc łatwo zlokalizować twarz. Jest zniekształcona. Jeden oczodół pusty. Mimo to Anna natychmiast go rozpoznaje. To brodac z sobotniego festynu.

Odkłada okulary na miejsce i wraca po swoich śladach. Zdejmuje rękawice, nie patrząc na Morella. Następnie woła policjanta, który do niej dzwonił.

– Olsson, dopilnuj, żeby zabrać stąd samochody, i zabezpiecz teren. Minimum pięćdziesiąt metrów na pięćdziesiąt wokół drzewa i żeby nikt tam nie łąził do przyjazdu techników.

Policjant wygląda na zdezorientowanego.

– Ale przecież on sam skoczył... – mówi trochę za głośno i spogląda jej przez ramię.

Anna nie musi się odwracać, by wiedzieć, że Olsson szuka wzrokiem Morella.

– Dopóki nie znajdziemy dowodów przeczących tej teorii, traktujemy sprawę jako podejrzenie morderstwa. Niech więc znikną stąd samochody i zabezpieczyć teren. Zrozumiano?

Bez zająknięcia, bez najmniejszych wątpliwości. Bardzo dobrze!

Olsson się waha, znów zerka na Morella.

– Zrozumiano, Olsson? – pyta Anna, tym razem trochę ostrzejszym tonem.

– Oczywiście – mruczy pod nosem policjant i idzie niechętnie do radiowozu.

Morell przysunął się bliżej Anny. Prawdopodobnie wszystko słyszał.

– A więc, Anno... – Buja się na palcach. – Tak jak powiedziałem, teraz to twój dystrykt i twój budżet. Ale czy to naprawdę priorytet, jeśli chodzi o...

– Niestety, Henry, muszę cię prosić o opuszczenie tego miejsca – przerywa mu Anna. Próbuje być miłą, a jednocześnie stanowczą. Przed ostatnim zdaniem bierze głęboki wdech. – I to już, natychmiast.

Jesień 2017

Pierwsze dochodzenie Anny nie było raczej skomplikowane. Typowe szwedzkie zabójstwo sklasyfikowane jako IA, z udziałem dwóch pijaczków imprezujących w mieszkaniu. Na początku wieczoru byli najlepszymi kumplami, jedli kiełbasę, pili wódkę z tonikiem – Explorer i Grape Tonic. Przed północą wszystko szlag trafił. Wódka skończyła się wcześniej, niż myśleli, i jeden z nich ugodził nożem w brzuch drugiego, zanim sam, pijany w sztok, padł na sofę obok swojej ofiary. Odciski palców, DNA i podejrzany, który leżał pół metra od denata. *An open and shut case*, jak mawiają w serialach kryminalnych.

Z tego śledztwa Anna wyniosła jedną naukę: że motywem nawet najcięższego przestępstwa może być na przykład to, że ktoś sobie zrobił trochę mocniejszego drinka niż kompanowi. To doświadczenie nauczyło ją wiele na przyszłość. Że nie należy wykluczać żadnego motywu, choćby był najbardziej nieprawdopodobny.

Jens Friberg pojawia się trzydzieści minut po telefonie Anny. Ma ze sobą trzech umundurowanych funkcjonariuszy, którzy przyjechali furgonetką policyjną, i dwóch siedzących w jego samochodzie. Henry Morell zdążył już odjechać z rykiem opon jakiś czas temu. Deszcz z drobnych kropli zamienił się w ulewę. Friberg nie robi nic głupiego, nie unosi taśmy zabezpieczającej teren, żeby podejść do brzozy i obejrzeć ciało. Ma za to plus u Anny. Podjeżdża policyjną furgonetką do przodu i parkuje za jej samochodem. Otwiera bagażnik, żeby tam się schować przed deszczem, i wyjmuje dużą mapę.

– Pomyślałem, że może ci się przyda – mówi i pokazuje miejsce, w którym się teraz znajdują, a potem przesuwa palcem kilka

centymetrów dalej, na wyniesienie terenu. – Jest tam droga leśna, którą ludzie często wybierają, żeby dojść do miejsca widokowego. Jeśli denat przyjechał samochodem, to musiał go tam zostawić. Innego wyjścia nie ma. Jeśli nie masz nic przeciwko temu... – kontynuuje Friberg – może wezmę dwóch ludzi i pójdziemy poszukać tego samochodu. Poza tym miejsce widokowe też trzeba ogrodzić i zabezpieczyć przed deszczem. Przywieźliśmy ze sobą plandeki.

– Dobrze pomyślane. Technicy są już w drodze z Helsingborga, ale pewnie trochę jeszcze potrwa, zanim dojadą.

– Zrozumiano.

– Jeszcze jedno – mówi Anna, kiedy Friberg już odchodzi. – To denat sprowokował sobotnią awanturę. Dał didżejowi pendrive z piosenką Simona Vidje i zapłacił mu, żeby ją puścił, kiedy Caia Bianca będzie na parkiecie. Od tego się wszystko zaczęło.

– O jasna cholera! – Friberg zaczyna rozumieć, o co chodzi. – Powiedziałaś o tym Henry’emu?

Anna potrząsa głową. Friberg zagryza górną wargę i nic na to nie odpowiada.

Anna wciąż jeszcze nie jest pewna, co o nim sądzić. Jeszcze kilka dni temu traktowała go jak rywala, a nawet wroga. Tymczasem teraz jest dla niej jedynym oparciem. Czasami trzeba po prostu zaakceptować to, co jest, myśli, zanim Håkan zdąży powiedzieć jej to samo.

– Widziałam go w parku w sobotę – dodaje Anna. – Przyglądał się tamtej bójce, tak jakby uważał, że to nawet dość zabawne. Dlatego coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu... – Anna milknie i próbuje wyczytać coś z twarzy Friberga, jednak bezskutecznie. Mimo to postanawia iść dalej. – Że to wszystko było zaplanowane. Że pojawił się w parku, by sprowokować całą awanturę.

Friberg wolno kiwa głową i zerka na brzozę.

– No i udało mu się, prawda?

Po około czterdziestu minutach Friberg dzwoni do Anny i melduje, że znaleźli starego wystuzonego saaba 900 zaledwie sto metrów od

miejsca widokowego.

– W dwa tysiące piątym roku samochód przejęła firma zajmująca się skupem złomu w Klippan. Nie jest ubezpieczony, ale też nie ma żadnego zgłoszenia o kradzieży, co oczywiście o niczym jeszcze nie świadczy. Firmy handlujące złomem rzadko mają kontrolę nad tym, jakie samochody skupują. Na razie nie wiadomo, czy samochód jest kradziony, ale oczywiście trzeba to jeszcze sprawdzić. Musimy też pamiętać, że mowa o trzydziestoletnim samochodzie, a ten model, jak może wiesz, można odpalić nawet na zapałkę.

Anna się domyśla, że Friberg nie otworzył samochodu, i za to ma u niej kolejny plus. I jeszcze jeden, spóźniony, za pomysł z plandeką. Niezależnie od tego, co Anna sądzi o nim jako osobie, Morell w jednym miał rację: to dobry policjant.

– A jak z grubsza wygląda samochód? – pyta Anna.

– Jak typowy samochód tego modelu. Wyślę ci zdjęcia, to zobaczysz.

– A miejsce widokowe? Coś szczególnego?

– Jeśli chodzi o ślady, to nie za dobrze. Ziemia pokryta jest mokrymi liśćmi i błotem, a deszcz jeszcze wszystko pogarsza. Ale zabezpieczymy teren i okryjemy plandeką, żeby technicy mogli cokolwiek zdziałać, jak się zrobi widno. Odezwę się, jeśli znajdziemy coś interesującego.

Gdy tylko kończą rozmowę, telefon Anny znów dzwoni. Kiepski zasięg utrudnia wysłanie zdjęć. Anna przesuwa się więc trochę dalej i jednocześnie patrzy w górę, skąd widać migoczące światła latarek między drzewami.

Pierwsze zdjęcie przedstawia białego saaba 900 z przerdzewiałą karoserią, zaparkowanego nad samym rowem. Drugie pokazuje miejsce kierowcy od strony bocznej szyby: tapicerka jest brudna i zniszczona, pod lusterkiem wstecznym wiszą dwie wyblakłe od słońca kostki zapachowe. Torebka z McDonalda zasłania stacyjkę, więc nie widać, czy tkwi w niej śrubokręt. Trzecie zdjęcie pokazuje tylne siedzenia. Światło odbija się w szybach, ale Anna widzi dwie duże torby plastikowe z Ikea i jakieś ubrania. Najchętniej sama by

tam pojechała, żeby wszystko zobaczyć. Techników jeszcze nie widać, co ją niepokoi. Jednocześnie w jakiś dziwny sposób czuje się ożywiona. Nie wie dlaczego, a może nie chce się do tego przyznać... I teraz też, jak zwykle, Håkan dobrze wie dlaczego.

„Bo to kochasz, Anno. Kochasz wyzwania, pogoń, emocje. Kochasz to, bo jesteś w tym dobra. Dlatego nigdy się nie zacinasz, kiedy mówisz o pracy”.

Anna bierze głęboki wdech, zamyka oczy i wyobraża sobie, że trzyma w ręku pilot. Ścisza albo najlepiej całkiem wyłączy głos. Sztuczka działa i Håkan znika, w każdym razie chwilowo. Anna postanawia wykonać telefon, który przez ostatnie pół godziny od siebie odsuwała. Musi powiedzieć Agnes, że nie wróci dzisiaj na noc.

Jesień 2017

Okolo siódmej rano Anna jedzie do domu, żeby się przebrać i podzucić Agnes do pociągu. Wita ją nadąsana mina Milo, który najpierw ociera się o jej nogi, a potem biegnie do lasu. Na stole w kuchni leży kartka.

„Nocuję dzisiaj u Erika”.

Cztery słowa, nie licząc podpisu. Dokładnie taka informacja, jaka jest potrzebna, żeby Anna zaczęła się zamartwiać. Ta wyrwana z zeszytu kartka mówi Annie coś jeszcze: tamto kruche zawieszenie broni między nimi definitywnie się skończyło. I to wina Anny, obiecała Agnes, że nie będzie pracować w nocy i nie będzie jej zostawiać samej.

W samochodzie, w drodze na posterunek, Anna jest bardzo zdenerwowana. Już kilka razy chce dzwonić do Agnes i powiedzieć jej, że nie powinna spać poza domem bez jej wiedzy. Ale kiedy chwytą za telefon, Håkan jej przerywa.

„Są na świecie ważniejsze rzeczy. I to o nich powinnaś jej powiedzieć, zanim usłyszysz to od innych. Śledztwo wciąż trwa...”.

Anna próbuje go uciszyć, wytłumaczyć mu, że puste miejsce w rubryce „status sprawy” wcale nie musi oznaczać tego, co on jej sugeruje. Prokurator może być zajęty i nie zdążył podjąć decyzji o umorzeniu dochodzenia. Ale to się może stać lada dzień, nie ma więc powodu do niepokoju. I niech ją zostawi w spokoju i zajmie się swoim byciem martwym na cały etat.

Swój wewnętrzny dialog z Håkanem prowadzi przez całą drogę na komisariat. Przed wejściem stoi kilka samochodów, które Anna poznaje z poprzedniej nocy. Samochód techników kryminalnych, posiłki z Centralnego Biura Śledczego, furgonetka policyjna Friberga

i kilka innych. Idąc za zapachem mokrych ubrań, Anna znajduje całą grupę w pokoju wypoczynkowym, gdzie siedzą i rozmawiają z Henrym Morellem. Pokój jest wypełniony po brzegi, atmosfera wesoła. Kiedy Anna wchodzi, cichnie śmiech.

– O, Anna – mówi Morell. – Wspominamy stare dzieje, nic o aktualnych sprawach. – Morell się uśmiecha, jego głos brzmi przesadnie miło, co jest jeszcze jednym jego sposobem na okazanie niezadowolenia z tego, jak został przez nią potraktowany poprzedniego wieczoru.

Anna to ignoruje, stoi w milczeniu i czeka na ciąg dalszy. Jednocześnie widzi, że Morell wciąż nosi mundur policyjny, mimo iż przeszedł już na emeryturę. Po kilku minutach kłopotliwej ciszy Morell się poddaje, zabiera swoją kawę i wstaje od stołu.

– No, już najwyższy czas zabrać się do tego, co obiecałem Wyższej Szkole Policyjnej. Dostałem już nawet zaliczkę. Powodzenia wszystkim! – Morell unosi kubek w toaście i wraca do swojego gabinetu.

Anna czeka, aż usłyszy trzask zamykanych drzwi.

– Doskonale wiem, że większość z was zna Henry’ego Morella – mówi Anna powoli. – Henry przepracował tu wiele lat i policja... – Anna robi pauzę, bierze oddech – ...wiele mu zawdzięcza. Jednak od wczoraj nie jest on już na służbie i nie będzie miał wglądu do informacji objętych tajemnicą służbową. To dotyczy również obecnego śledztwa, zrozumiano?

Policjanci z Centralnego Biura Śledczego i technicy kryminalni nie mają nic przeciwko temu, ale kilkoro lokalnych policjantów patrzy na siebie znacząco. Natomiast Jens Friberg siedzi nieruchomo.

– Więć weźcie kawę i spotykamy się na odprawie.

Anna czeka, aż zamkną się drzwi, a potem rozpoczyna spotkanie. Bez najmniejszych obaw, że się zatnie, zaczyna od okoliczności, w jakich znaleziono ciało, a następnie przekazuje głos głównemu technikowi kryminalnemu, Grönwallowi, który właśnie podłączył swój laptop do projektora.

– Ofiara to mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat – mówi

i pokazuje pierwsze zdjęcie przedstawiające zmasakrowaną twarz brodacza. – Ma sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i w momencie śmierci ważył siedemdziesiąt kilo. Po wstępnych oględzinach lekarz sądowy stwierdził, iż śmierć nastąpiła jakieś dwanaście do siedemnastu godzin przed znalezieniem zwłok. Ta duża rozpiętość spowodowana jest chłodem i deszczem, ale na pewno stało się to w nocy z niedzieli na poniedziałek, najprawdopodobniej po północy. Więcej dowiemy się po sekcji zwłok. – Grönwall bierze łyk kawy i kontynuuje: – Wstępnie za przyczynę śmierci, co już pewnie wiecie, można uznać uraz wielonarządowy spowodowany upadkiem z dużej wysokości. Po więcej szczegółów odsyłam do protokołu po sekcji zwłok. Znaleźliśmy więcej urazów, którym trzeba się bliżej przyjrzeć.

Grönwall zmienia zdjęcie, pokazuje teraz mężczyznę leżącego na plecach na plandece. Zmieniono ułożenie rąk i nóg, a mimo to nadal ułożone są one w nienaturalnej pozycji. Gałąź, która wbiła mu się w ciało, została odpiłowana i wciąż tkwi w klatce piersiowej, co w połączeniu z nienaturalnym wygięciem kończyn i pustym oczodołem upodabnia go do jakiejś makabrycznej kukły. Widok jest tak odpychający, i jednocześnie zadziwiający, że Annie zajmuje dobrą chwilę, zanim się zorientuje, że czegoś jej tu brakuje.

– Nie miał na sobie butów? – pyta.

– Nie, leżały w samochodzie. Dość dziwna okoliczność, nawet jeśli przypomnimy sobie skoczek z Kullabergu, który w zeszłym roku skoczył na golasa, mając na sobie jedynie czapkę mikołaja na głowie. – Grönwall czeka na śmiech. – Jak na razie – kontynuuje – nie wiemy, kim była ofiara. Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów potwierdzających jego tożsamość ani przy nim, ani w samochodzie. Natomiast mamy inne poszlaki, które powinny nam w tym pomóc.

Grönwall pokazuje następne zdjęcie. Przedstawia tatuaże rozsiane na rękach, ramionach i klatce piersiowej brodacza. Na grzbiecie jego dłoni Anna poznaje tatuaż przedstawiający grób marynarza. Technik przechodzi do następnego zdjęcia, pokazującego wewnętrzną stronę dłoni, gdzie małe białe blizny tworzą znajomy wzór.

– Na ciele ofiara ma tatuaże więzienne i blizny po strzykawkach, co pozwala przypuszczać, że osobę tę mamy już w naszej bazie danych. Na początek pobierzemy jego odciski palców, bo to najszybsza droga. Testy DNA, jak zapewne wiecie, muszą iść do laboratorium. – Grönwall robi pauzę i wzdycha. – Myślę tu oczywiście o Krajowym Laboratorium Kryminalistyki, jak to nasi przyjaciele z Linköpingu obecnie się nazywają. Bystrzak, który wymyślił tę nazwę, powinien za to dostać dożywocie. – Grönwall czeka na wybuch śmiechu numer dwa, zanim będzie kontynuować. – Tak więc jeśli nasz denat jest już notowany, to mam nadzieję, że do popołudnia znajdziemy go w bazie danych. Niestety, nie idzie to tak szybko jak w telewizji.

Jeszcze jedna rundka śmiechu, jak można było przewidzieć.

– Czy miał przy sobie komórkę? – Anna przerywa show Grönwalla.

– Nie. Przeszukaliśmy detektorem teren wokół ciała i miejsce widokowe, ale bez rezultatu. Do zapalniczki w samochodzie podłączony jest kabel, jednak bez telefonu, co w dzisiejszych czasach można potraktować jako pewnego rodzaju dziwactwo. A tutaj – Grönwall zmienia zdjęcie – macie to właśnie miejsce widokowe.

Widzą niskie ogrodzenie z drutu kolczastego ciągnące się wzdłuż brzegu ściany skalnej. Za nim wielokilometrowy pejzaż. Zardzewiała tablica z napisem „NIEBEZPIECZEŃSTWO!”, wisząca na ogrodzeniu, przypomina Annie tę, którą widziały z Agnes przy szlabanie do kamieniołomu. Następne zdjęcia pokazują część lasu. Ziemia pod drzewami pokryta jest przegniłymi liśćmi, gdzieniegdzie tworzącymi małe kopczyki, które mogą być dziełem człowieka, ale równie dobrze dzikich zwierząt.

– Jak widzicie, bardzo trudno znaleźć jakieś ślady w takim terenie. Ale musimy dokładniej przyjrzeć się ogrodzeniu. Żeby dostać się na skałę, trzeba je przeskoczyć. Dlatego bardzo prawdopodobne, że znajdziemy tam resztki włókien z ubrania. Moi ludzie już nad tym pracują. Poza tym złoty medal dla tych, którzy zabezpieczyli miejsce plandekami. – Grönwall z uznaniem kiwa głową w kierunku Friberga.

Następne zdjęcie to biały saab. Grönwall opowiada to, co Anna już wie. Model, rocznik, numery rejestracyjne. Nazwa firmy, która jest

właścicielem samochodu, i że samochód nie jest notowany jako skradziony.

– Na razie nie możemy jeszcze powiązać ofiary z samochodem, ale z uwagi na to, gdzie został znaleziony, można wysnuć hipotezę, że saab należał do niego. Samochód odprowadzimy do garażu i, jak tylko skończymy tutaj, dokładnie go przejrzymy. I to by było na tyle, jeśli chodzi o sprawy techniczne – kończy Grönwall. – I jeszcze na zakończenie, na razie nie mamy żadnych dowodów, które wskazywałyby, że to samobójstwo albo morderstwo. Musimy poczekać na odciski palców, na protokół z sekcji zwłok i na oględziny samochodu.

Rozmowa trwa dalej, jednak teraz idzie dużo szybciej. Oprócz operatora dźwigu nie ma żadnych świadków, a wzdłuż drogi do miejsca widokowego nie stoi ani jeden dom. Anna dziękuje za ciężką pracę ostatniej nocy i odsyła wszystkich do domu, żeby się wyspali. Ona sama ma zupełnie inne plany. Schodzi do garażu i znajduje białego saaba, który otoczony jest taśmą zabezpieczającą. Tak jak się spodziewała, technicy jeszcze nie zdążyli go opróżnić ani zdjąć odcisków palców.

Anna wkłada gumowe rękawiczki i ostrożnie otwiera drzwi od strony kierowcy. Bucha na nią smród papierosów, starej tapicerki, benzyny, wyschniętej kostki zapachowej i innych mniej lub bardziej przyjemnych woni, jakie może wydzielać stary samochód. Stoi przez chwilę i próbuje sobie wyobrazić brodacza siedzącego za kierownicą. Nie dotykając siedzenia, wkłada głowę do środka i ostrożnie podnosi torebkę z McDonalada, która zakrywa stacyjkę. Friberg miał rację. W stacyjce tkwi kawałek czegoś, co przypomina piłkę do metalu i najwyraźniej posłużyło do odpalenia samochodu. Zgodnie z tym, co mówił Grönwall, do samochodowej zapalniczki podłączony jest kabel, a na podłodze po stronie pasażera leżą zniszczone buty sportowe, tak zabłocone, że trudno zobaczyć, jakiego są koloru. Dlaczego brodacze je zdjął?

Anna kieruje wzrok na tylne siedzenie. W dużej torbie z Ikei schowany jest zniszczony neseser, a pod nim zmięte ubranie.

W drugiej torbie leży śpiwór i poduszka. Tutaj wyraźnie czuć zapach niemytego ludzkiego ciała. Latarka zamocowana między sufitem a uchwytem po stronie pasażera utwierdza Annę w przekonaniu, że brodacze mieszkał w samochodzie.

W bagażniku leżą zardzewiałe narzędzia ogrodowe i plastikowy kanister. Dwie ostatnie rzeczy, sądząc po zapachu, służyły prawdopodobnie do ściągania benzyny z zaparkowanych samochodów.

Anna robi kilka kroków w tył i jeszcze raz ogląda samochód. Próbuje zebrać wszystko razem, to, co zobaczyła teraz, połączyć z tym, co mówił technik i co wie o ofierze. Po dziesięciu sekundach jest pewna, że coś tu się nie zgadza. Po następnych dwudziestu już wie, co to takiego.

Brodacz ma, a raczej miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, czyli był odrobinę wyższy niż ona. Jak na Szweda to raczej średni wzrost. Poza tym był szczupły, prawie chudy. A fotel kierowcy jest maksymalnie wysunięty do tyłu.

Anna spogląda na lusterko wsteczne i próbuje obliczyć kąt nachylenia. Robi, co może, żeby odsunąć od siebie wątpliwości, ale nie znajduje nic, co by jej w tym pomogło. Jeśli brodacze siedział w fotelu wysuniętym tak jak teraz, to z trudem dosięgał do pedałów i nie mógł nic widzieć w lusterku wstecznym. Na takie ustawienie fotela są tylko dwa sensowne wytłumaczenia. Pierwsze to takie, że samochód nie należał do brodacza. Wprawdzie nie pasuje do ich hipotezy, ale może warto by to jeszcze raz rozważyć. Drugie wytłumaczenie wydaje się bardziej prawdopodobne – samochód należał do brodacza, ale to nie on, tylko ktoś inny siedział za kierownicą na ostatnim odcinku do miejsca widokowego. Ktoś dużo wyższy, kto zapewne zabrał też telefon komórkowy ofiary, żeby zatrzeć ślady.

Mimo iż Anna nie dopuszcza do siebie tej myśli, w jej głowie natychmiast pojawia się obraz Alexa Morella i nie chce zniknąć, niezależnie od tego, jak bardzo Anna się wysila.

Jesień 2017

Tuż przed opuszczeniem komisariatu i powrotem do domu Anna postanawia naprawić tę niekomfortową sytuację z Henrym Morellem. Zatrzymuje się przy na wpół otwartych drzwiach jego gabinetu i puka.

– Wejść!

Morell siedzi za biurkiem. Na nosie ma okulary.

– O, Anno, dobrze, że przyszedłaś. Ta cholerna myszka zatrzymuje się nie tam, gdzie trzeba. Próbowałem już tyle razy... – Morell zrezygnowanym gestem pokazuje na monitor komputera.

– Rozumiem – odpowiada Anna i próbuje nie dać poznać po sobie zdziwienia.

Obchodzi biurko, pochyla się nad jego ramieniem i próbuje mu pomóc. Morell, tak jak zwykle, pachnie wodą po goleniu i wilgocią swego domu.

– O, teraz już dobrze. – Anna się prostuje.

– Wielkie dzięki, uratowałaś mnie.

Anna wciąż stoi pochylona nad Morellem. Okulary na czubku nosa przydają mu życzliwości i zamyślenia. Anna żałuje, że była dla niego tak ostra w kamieniołomie, i postanawia, że mu o tym powie.

– Henry, bardzo cię przepraszam, że... – zaczyna, ale Morell ją powstrzymuje.

– Nic nie mów, Anno. To ja jestem ci winien przeprosiny. – Morell powoli zdejmuje okulary i się odwraca. – Spędziłem na tym komisariacie całe życie zawodowe. Nedańś i jego mieszkańcy to dla mnie jak rodzina. Zostać tak nagle odciętym, to... – Anna chce coś powiedzieć, ale on macha tylko ręką. – Nie, nie trzeba. Zrobiłaś to, co do ciebie należało. Teraz to twój rewir, twój komisariat, twoi

pracownicy, a przede wszystkim twoje decyzje. Jestem przekonany, że dasz sobie radę, i wybaczyć staremu dinozaurowi, któremu tak trudno wypuścić cugle z ręki. Pozostanie tutaj to chyba jednak, cytując moją mądrą żonę, „nie do końca przemyślana decyzja”.

Anna nie wie, co powiedzieć. Część niej cieszy się z jego nagłego instynktu zachowawczego. A część trochę go żałuje.

– Nic się nie stało – odzywa się, chyba jednak nieco zbyt delikatnym tonem. – Bardzo doceniam, że pomogłeś mi poczuć się tu jak u siebie, i cieszę się, że jesteś pod ręką, kiedy będę potrzebować... – Anna robi pauzę, kiedy czuje, że zaraz się zatnie przy słowie „pomocy”, a jednocześnie uświadamia sobie, że to może nie najwłaściwsze słowo. Zastanawia się nad sformułowaniem „wsparcie”, ale i z tego rezygnuje. – Rady – mówi w końcu.

Morell się rozpromienia.

– Anno, pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dzięki, Henry.

Na chwilę zapada cisza i żadne z nich nie wie, jak zakończyć tę rozmowę.

– Chyba jednak pojedę do domu, żeby trochę się przespać. Miałam długą noc – wyrzuca z siebie Anna.

Morell kiwa głową.

– Oczywiście, rozumiem. Cała ekipa była wykończona. Ale to dobrzy policjanci, co do jednego. Na pewno sobie ze wszystkim poradzicie. – Morell się zatrzymuje, jakby się zastanawiał, co jeszcze powiedzieć. – Anno, tylko jedno pytanie, tak z ciekawości, mogę?

– Oczywiście!

– Czy znaleźliście coś, co by wskazywało, że to nie było samobójstwo?

Anna przypomina sobie o siedzeniu kierowcy, ale postanawia zatrzymać to dla siebie.

– Na razie nie – odpowiada przesadnie wolno.

Morell kiwa głową i wygląda jak miły, stary niedźwiedź. Anna ma wrażenie, że na jego twarzy dostrzega coś w rodzaju ulgi.

W drodze do domu włącza GPS w komórce, żeby znaleźć miejsce

widokowe, ale kiedy dojeżdża do wzgórza, łączność ciągle zanika. GPS doprowadza ją do miejsca, gdzie stoją dwa szylidy: jeden stary, z napisem „Kotorp”, drugi nieco nowszy, z napisem „Norrblicka Bed & Breakfast”. Po chwili GPS znów się gubi. Anna nie wie, którą drogę wybrać, żeby dotrzeć do celu. Dojeżdża do drogowskazu na miejscowość Vargadalen, ale pamięta, że na mapie Friberga widziała inną, bardzo charakterystyczną nazwę, więc nie skręca, tylko jedzie prosto. Po drodze spotyka furgonetkę techników kryminalnych. W samochodzie siedzi dwóch starszych mężczyzn, których pamięta z wczorajszej nocy.

– Znaleźliście coś? – pyta.

Kierowca, który wygląda na zmęczonego, kiwa głową.

– Resztki włókien, które zostały na ogrodzeniu, i ślady stóp.

– Coś jeszcze?

Mężczyźni patrzą po sobie.

– Nic szczególnego – odpowiada ten siedzący na miejscu pasażera.

– Padało przez kilka dni i ziemia rozmiękła, więc trudno cokolwiek znaleźć. Jedyne, co zostało, to kupki liści, jakby ktoś zrobił je nogą. Ale to tylko spekulacje... – Mężczyźni znów patrzą na siebie. – Ale i mnie, i Börjemu przyszło do głowy, a mamy już w tym jakieś doświadczenie, że to wszystko musiało pójść bardzo szybko.

– Nie rozumiem... – Anna zwraca się do kierowcy, który najwyraźniej ma na imię Börje.

– Chodzi o to, że on musiał biec. Zaczął gdzieś w lesie, przeskoczył ogrodzenie, a potem to już tylko w dół... Ślady stóp na skale też na to wskazują.

– Odcisnęła się tylko przednia część stopy – uzupełnia mężczyzna siedzący na miejscu pasażera. – Tak jakby biegł co sił w nogach.

Anna pyta jeszcze o drogę do miejsca widokowego, potem dziękuje i odjeżdża.

Znajduje leśną drogę, wymija dużą dziurę i parkuje przed miejscem, w którym stał saab.

Las rośnie po obu stronach ścieżki. Jest gęsty, o wysokich prostych pniach, tak jak w Taborze. Ziemię pokrywa gruba warstwa mokrych

liści. Na wierzchu tegoroczne, pod spodem te z poprzedniego roku i starsze, już przegniłe. Między drzewami Anna zauważa światło i schodzi w dół. Po około stu metrach dochodzi do miejsca widokowego. Ściana skalna ma zaledwie trzy, może cztery metry szerokości. Pojawia się niespodziewanie i jedyne, co ją zapowiada, to odsłonięte niebo. Widok jest imponujący, nawet piękniejszy niż z Taboru. Poniżej skały rozciąga się księżycowy krajobraz Glarei. Brzydka, brązowo-szara rana z ostrymi krawędziami, która wgrza się w skorupę ziemi i ciągnie aż do przedmieścia Nedanås. W dali pracują maszyny, a znad wąwozu unosi się dym. Mimo wysokości i wiatru czuć zapach wypalanej gliny. Domy stojące najbliżej kamieniołomu mają te zapachy i wybuchy na co dzień. Nic dziwnego, że chcą zamknięcia kopalni.

Ogrodzenie wygląda jeszcze gorzej niż na zdjęciach, które prezentował technik kryminalny. Ma nie więcej niż metr wysokości i w wielu miejscach jest dziurawe, ze zwisającymi drutami. Jeśli dorosły człowiek biegłby tędy w deszczu i w ciemności, to takie ogrodzenie na pewno by go nie zatrzymało. Anna ostrożnie wychyla się i patrzy w dół. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów niżej widzi pień uszkodzonej brzozy, na którym wyraźnie odznacza się jasna rana po odłamanej konarze.

Czy tak rzeczywiście było? Raczej wypadek niż morderstwo? To nowa hipoteza i, oczywiście, nie można tego wykluczyć, ale nie tłumaczy to faktu, co tu robił i dlaczego biegł, i to bez butów. No i jeszcze to dziwne ustawienie fotela w samochodzie, brak telefonu komórkowego... Summa summarum, miejsce zdarzenia nie wskazuje jednoznacznie na którąś z teorii. Wszystkie drzwi wciąż są otwarte.

Anna wskakuje do samochodu i jedzie do domu. Zatopiona w myślach skręca w złą drogę i zauważa to dopiero, kiedy wjeżdża na jakiś dziedziniec. Dom jest stary i piękny, choć nie wygląda na specjalnie gościnny. Przed wejściem wykopany jest duży rów. Paleta ładunkowa zastępuje kładkę, a materiały budowlane zajmują całe podwórze. Betonowe rury, stosy desek, cegły i dachówki. Dalej stoi koparka, a obok niej duży silnik diesla. Anna poznaje logotyp firmy

z piwnicy Morellów. To tutaj buduje firma Alexandra Morella. Przez moment Anna się zastanawia, czy go tu spotka. Ale choć jest wtorkowe popołudnie, wydaje się, że nikt nie pracuje, a biuro zamknięte jest na cztery spusty.

Wyjeżdżając z dziedzińca po mokrych śladach, Anna tylnym kołem wpada w głęboką kałużę, dużo głębszą, niż się spodziewała. Słyszy jęk resorów. Kiedy zmienia bieg i naciska sprzęgło, żeby wyjechać, z domu wychodzi wysoka szczupła postać w czapce z daszkiem oraz kombinezonie w towarzystwie dwóch owczarków na smyczy. Oba psy są w pogotowiu, mają podniesione uszy i wzrok wbity w samochód Anny.

Ubranie sprawia, że dopiero po paru sekundach Anna poznaje, że to Marie Sordi, która zatrzymuje się i patrzy na nią wyczekująco.

Anna opuszcza szybę i wychyla głowę.

– Hej, Marie, to tylko ja, Anna Vesper.

– O, witaj. – Wyraz twarzy Marie mięknie odrobinę, jednak nie do końca. Nic dziwnego po sobotnim zdarzeniu. Marie podchodzi do samochodu i zatrzymuje się, a psy siadają po obu jej stronach. – Przepraszam, ale nie poznałam samochodu. Na budowie codziennie kręcą się różne typy. – Marie pokazuje na budynek za sobą.

– Czy to jest Kotorp? – pyta Anna.

– Teraz nazywa się Norrblicka – mówi Marie z małym, ale bardzo widocznym grymasem na twarzy. – Szukasz Bruna? W związku z tą sobotą? – pyta z niepokojem w głosie.

Anna potrząsa głową.

– Nie. Po prostu źle pojechałam.

– Rozumiem. – Na twarzy Marie widać ulgę. – Łatwo się zgubić. Jest tu dużo bocznych dróg.

Jeden z owczarków zaczyna warczeć, ale cichnie, kiedy Marie go uspokaja.

– Może wejdiesz? – pyta. – Trochę tu bałaganu. Ale na razie mieszkamy na placu budowy, jak widzisz.

Anna kiwa głową. Po tej nocy pełnej wydarzeń niespecjalnie ma

ochotę na towarzystwo, marzy jedynie o tym, by już być w domu, wziąć ciepły prysznic i się przespać.

– Dziękuję, ale nie dzisiaj. Następnym razem chętnie. Ambitny projekt. – Anna pokazuje głową na budynek. – Słyszałam, że ma tu powstać centrum konferencyjne.

Marie ma zmęczony uśmiech.

– W każdym razie tak planujemy. Teraz mamy małe komplikacje. Woda i prąd są na razie tylko w połowie budynku, bo Bruno z architektem ciągle coś zmieniają.

– Na pewno będzie ładnie, jak skończycie. – Anna sama nie wie, dlaczego to mówi, ale trochę jej żal Marie, że musi mieszkać w takim bałaganie.

Marie kiwa głową.

– To samo mówię do Bruna. A tak między nami, to marudzi bardziej niż dzieci, że musi brać prysznic w piwnicy.

Anna i Marie wymieniają uśmiechy.

– Jeszcze jedno, skoro już tu jesteś. – Marie przechyla głowę na bok. – Chciałabym cię przeprosić za zachowanie Bruna w sobotę. Ma tyle na głowie... Budowa, restauracja ojca... Fabbe uważa, że za dużo czasu tutaj poświęca, zamiast zająć się pracą. – Marie potrząsa głową. – Bruno i Alex wypili parę kieliszków za dużo, a w połączeniu ze stresem i z wszystkim innym to... – Marie wykonuje ręką przepaszający gest. Czuje psy natychmiast się podrywają. – Oczywiście wiem, że to żadne usprawiedliwienie. Niezależnie od wszystkiego, przepraszam i dziękuję za pomoc. Wysłałiśmy już temu didżejowi kosz prezentowy, w ramach przeprosin, i oczywiście pokryjemy wszystkie koszty związane z naprawą sprzętu. – Marie uśmiecha się.

– Według słów Bruna wszystko to przez tę piosenkę – mówi Anna. – Ten stary kawałek Simona Vidje, który puścił ten didżej, czy tak?

Marie wciąż się uśmiecha, jednak na jej twarzy wyraźnie widać zmianę, którą wywołuje to imię. Niepokój, dyskomfort, a nawet strach.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Była tam taka wrzawa, że ledwo

słyszałam własne myśli.

Kłamstwo, jawne kłamstwo, które widać po mowie ciała i głosie Marie. Podobnie jak jej przyjaciele doskonale zna tę piosenkę. Więc dlaczego kłamie? Anna wie dlaczego, już kiedyś się zetknęła z tym fenomenem. I wie, że te niepotrzebne małe kłamstewka to mechanizm obronny, sposób, żeby się zdystansować od tego, co nieprzyjemne i z czym w żaden sposób nie chcemy być kojarzeni.

– Byliście kuzynami, Simon i ty, prawda? – pyta Anna.

Marie zaczyna się wiercić niespokojnie.

– Tak. Elisabet Vidje to moja ciotka.

– A więc dobrze się znaliście z Simonem.

Jeden z psów zaczyna warczeć, jakby wyczuł niepokój swojej pani.

– Byliśmy jak brat i siostra – mówi Marie głucho.

Znów zaczyna padać deszcz, tworząc na kałużach małe pierścienie. Z daleka dochodzi krakanie ptaka, ochrypte i monotonne. Roznosi się echem nad czubkami drzew.

– Czas wracać do obowiązków. – Marie odzyskuje dawny wyraz twarzy, poprawia się, czym natychmiast stawia na nogi oba psy. – Jak już mówiłam, ja i tata jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że tak dyskretnie to załatwiłaś. I jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, zawsze możesz na nas liczyć.

Jesień 2017

W domu, w Taborze, Anna wypuszcza Milo na dwór, a sama bierze szybki prysznic. Nareszcie może sobie uciąć drzemkę, ale w głowie ma zbyt duży mętlik. Rozsmarowuje pasztet na kanapce, siada na sofie w kuchni i jeszcze raz wraca do sobotniej nocy. Próbuje odtworzyć to, co się wtedy wydarzyło. Pamięta, że krzyczała na Alexa, by puścił didżeja, i że Bruno Sordi coś powiedział i zagroził jej drogę. Coś o przyznaniu się. Anna zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić Bruna przed sobą. Jego czerwona twarz, wściekłość w oczach, ruch warg. „Nie, dopóki się nie przyzna”, mniej więcej coś takiego. Ale do czego miał się przyznać? Że puścił tę piosenkę? Co do tego nie ma przecież wątpliwości. W takim razie co Bruno miał na myśli? Jego żona nie dała jej żadnych wskazówek, natomiast wyraźnie było widać, że nie chce mówić o Simonie Vidje.

Wcześniej czy później, Anna musi porozmawiać z Brunem i Alexem. Na razie tylko ona i Jens Friberg wiedzą, że denat to ta sama osoba, która sprowokowała awanturę na festynie, i chwilowo niech tak zostanie. W każdym razie do czasu, aż dowie się, kim naprawdę był, i choć trochę pozna jego motywy. Najlepiej będzie jeszcze trochę poczekać z przesłuchaniem. Dzięki temu będzie miała czas na zastanowienie się, co zrobić z Henrym Morellem.

Zmęczenie spada na nią jak obuch. Opiera się na sofie, odchyła głowę do tyłu, zamyka oczy i obiecuje sobie, że zdrzemnie się tylko na kilka minut.

Z drzemki wyrывa ją dźwięk telefonu komórkowego. Skacze po stole kuchennym jak wściekły owad.

– Halo?

– Hej, tu Grönwall z technicznego. Zidentyfikowaliśmy ofiarę.

Pomyślałem, że będziesz chciała od razu wiedzieć.

– Świetnie. W jaki sposób? – Anna sięga po kartkę i długopis.

– Na podstawie odcisków palców, tak jak myśleliśmy.

– Jak się nazywa?

– Kent Joakim Rylander, urodzony szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Ma mnóstwo ksywek. Jego lista przestępstw jest długa jak rachunek z supermarketu. Narkotyki, kradzieże, włamania, prowadzenie bez zezwolenia. Ostatnio drobne oszustwa i sprzeniewierzenia.

– Adres?

– Zameldowany pod tym samym adresem w Klippan co firma samochodowa, do której należy saab. Możemy więc przypuszczać, że samochód był jego. Zresztą sprawdzamy to na podstawie odcisków palców i DNA. Czekamy na wyniki, ale to tylko formalność.

– Świetnie. – Anna zastanawia się przez chwilę. – Nadal nic, jeśli chodzi o telefon komórkowy i dokumenty?

– Niestety. Nie ma jego prawa jazdy, nie wiemy też, czy w ogóle miał jakiś portfel. W jego kieszeni znaleźliśmy tylko zwitek stukoronówek.

– Okej. – Anna tłumii ziewnięcie. – Musimy przeszukać jego mieszkanie w Klippan. Masz kogoś do pomocy?

– Dopiero jutro rano. Moi ludzie pracowali do późna, muszę ich wysłać do domu, kiedy będą gotowi z samochodem. Zresztą, siebie też.

Anna spogląda na zegarek, zbliża się wpół do trzeciej. Na schodach przed wejściem do domu słyszy, jak Milo wściekle ujada. Biegał w deszczu prawie półtorej godziny i teraz jest przemoczony i zmarznięty.

– Oczywiście – mówi Anna do szefa techników. – W takim razie spotykamy się jutro rano, punkt ósma, na komisariacie. Pojedziemy razem.

Anna kończy rozmowę i idzie wpuścić psa, który nie przestaje szczeleć. Przed drzwiami siedzi w kucki Mats Andersson i bawi się z psem.

– H-hej – mówi Anna zdziwiona.

Olbrzym spogląda na nią i marszczy czoło, trzymając jednocześnie psa, który próbuje na niego wchodzić.

– Jest Agnes?

– Nie, w szkole.

– Aha. – Mats jest zawiedziony.

Milo obwąchuje jego zniszczony skórzany plecak i próbuje włożyć do niego nos.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie. – Mats potrząsa głową, odsuwa psa i podnosi się. – Mam coś dla niej. Prezent.

– Może napijesz się kawy?

Anna wie, dlaczego właściwie go pyta. Jest w nim coś, co ją ciekawi. To, że jest młodszym bratem Marie Andersson-Sordi i jest zaledwie kilka lat młodszy od Simona Vidje, to tylko część wytłumaczenia. Anna odsuwa się na bok i gestem ręki zaprasza go do kuchni.

Mats najpierw się cieszy, ale po chwili nie jest pewien, tak jakby pociągająca myśl o kawie walczyła z czymś jeszcze.

– Nie wiem. Ciocia powiedziała, że nie wolno chodzić do Taboru...

– Mats wierci się niespokojnie.

Milo cały czas biega wokół jego nóg ze wzrokiem utkwionym w plecaku.

– A jeśli wyniosę kubki z kawą na dwór?

Mats najpierw myśli chwilę, a potem kiwa głową. Anna wchodzi do środka i przygotowuje na tacy dwa kubki z Höganäs, cukier, mleko i herbatniki, które znajduje w szafce. Wkłada kurtkę i wraca na dwór. W powietrzu wciąż wisi deszcz, ale Matsowi najwyraźniej to nie przeszkadza. Bierze kubek, grzecznie dziękuje, dolewa mleka i słodzi, a potem tak dokładnie miesza kawę, że Anna zastanawia się, czy on przypadkiem nie liczy, ile razy już zamieszał. Tyle samo ruchów w prawo, i tyle samo w lewo.

– Twoja ciocia była u nas przedwczoraj – mówi Anna, głównie po to, żeby coś powiedzieć.

– Słyszałem. Klein nie był z tego zadowolony. – Mats siorbie powoli kawę.

– Naprawdę?

Mats potrząsa głową.

– Ciocia jest chora. Nie powinna wychodzić z domu.

– Czy to Klein rządzi w Änglaberdze?

Mats robi grymas, ale Anna nie wie, czy z powodu kawy, czy pytania. W każdym razie nie dostaje też żadnej odpowiedzi. Spróbuje innym razem.

– Przed chwilą widziałam się z twoją siostrą. Spotkałyśmy się też w ubiegłą sobotę.

– Na festynie – dodaje Mats i strzepuje z brody kroplę kawy.

– Ojciec pewnie wygłosił mowę... Lubi to.

– Ale ciebie tam nie widziałam.

Mats potrząsa głową.

– Najlepiej czuję się tutaj, w lesie.

Milo usiadł, ale cały czas łasi się do Matsa. Przechyla na bok głowę i popiskuje, a z pyska cieknie mu ślina. Anna rzuca mu ciastko, on jednak patrzy na nią takim wzrokiem, jakby nie o ciastko mu chodziło. W końcu je zjada.

– Mats, powiedz mi, dlaczego mieszkasz u swojej ciotki w Änglaberdze? – podpytuje go Anna.

– Kiedy zmarł dziadek, ciocia musiała zająć się Änglabergą. Kiedy mama i tata się pobrali, dostali w spadku Kotorp. Ale w latach osiemdziesiątych ojciec prawie całą ziemię odsprzedał Glarei. Byłaś tam, w kamieniołomie?

– Tak.

– Duża część to ziemia, która kiedyś należała do Kotorp. Wygląda niesamowicie.

– Prawie jak na Księżycu – dodaje Anna i w odpowiedzi otrzymuje twierdzące skinienie głową. – A więc ty i Marie wychowaliście się w Kotorp?

– Mhm, ale mama ciągle chorowała i większość czasu spędzaliśmy u ciotki w Änglaberdze. Zresztą Marie nie lubi, jak się mówi Kotorp.

– Dlaczego?

– Z Brunem zmienili nazwę na Norrblicka. – Mats sceptycznie potrząsa głową. – Kiedy tata sprzedał Marie Kotorp i przeniósł się do miasta, ustaliły z ciotką, że ja zamieszkam w Änglaberdze. Zresztą miałem tam swoje zbiory.

Mats bierze następne ciastko i ostrożnie zaczyna chrupać, nie tłumacząc Annie, co miał na myśli.

– Kiedy to było?

Mats zastanawia się przez chwilę.

– Mama zmarła w dwa tysiące siódmym, czyli będzie już z dziesięć lat, jak mieszkam u ciotki.

– Twój tata, Bengt... czy on nie jest czasem z Elisabet ciągle pogniewany?

Mats kiwa głową.

– Ciotka i tata nie mogą przebywać w jednym pokoju. Zawsze tak było. Ciotka ma do niego żal, że sprzedał ziemię Glarei.

– A Henry Morell?

– To samo. Ciotka jest humorzasta. Właściwie tylko Klein potrafi z nią rozmawiać.

– To pewnie przez Simona, co?

Mats patrzy na kubek.

Anna postanawia poczekać z pytaniami. Mats nic nie mówi, tylko gryzie ciastko. Więc Anna próbuje z innej strony.

– Simon zbudował własne studio nagrań nad garażem w Änglaberdze. Dowiedziałam się o tym kilka dni temu od sprzedawcy rowerów. Widziałeś je?

Mats podnosi wzrok i wykrzywia nieco usta.

– To ja je zbudowałem, nie Simon. On miał dwie lewe ręce. Zbudowałem boks, który wyciszyliśmy pudełkami po jajkach, i nawet okno, żeby można było zajrzeć do środka. Nieźle to wyszło. – Mats uśmiecha się, jakby to wspomnienie go rozbawiło.

– Byłeś tam, kiedy nagrywał muzykę?

Mats kiwa głową.

– Simon nagrywał na prawdziwy magnetofon szpulowy. Czasami

naciskałem guziki, kiedy on był w studiu. Bardzo ładnie śpiewał. Wszyscy tak uważali. I wszyscy go lubili. – Mats cichnie, wzrok kieruje na kubek z kawą.

– A czy znajomi Simona odwiedzali go w studiu? Twoja siostra, Alex, Bruno, Carina?

Mats wzrusza ramionami.

– Chyba nie. Simon nie chciał, żeby ktoś tam przychodził. Tylko ja i Karl-Johan mieliśmy tam wstęp.

– Twoja ciotka i Klein też nie? Dlaczego?

Mats potrząsa głową.

Simon mówi, że mu to przeszkadza.

– Czy Karl-Johan często tam przychodził?

– Czasami. Miał na dole w garażu swój samochód letni.

– Samochód letni?

– Tak go nazywał. Czerwony kabriolet z kierownicą po złej stronie. Ładny, ale dużo z nim było roboty. Karl-Johan otwierał zawsze drzwi na piętro, kiedy przy nim dłubał, żeby posłuchać Simona. A Simon krzyczał, żeby zamknął drzwi. Wtedy Karl-Johan odpowiadał „okej”, a drzwi i tak zostawiał otwarte. – Mats nabiera powietrza, jakby ta wypowiedź sprawiła, że zabrakło mu tchu. Dopija kawę i spogląda na drogę. – Myślisz, że zaraz przyjedzie?

– Kto? Agnes? Naprawdę nie wiem. – Anna próbuje sobie przypomnieć rozkład zajęć Agnes i natychmiast czuje się złym rodzicem. – Jeśli chcesz, to pójde i sprawdzę.

Mats potrząsa głową.

– Muszę już iść. Przyjdę innym razem.

Mats odstawia kubek na tacę i bierze plecak.

– Studio spłonęło, prawda? – pyta Anna.

Mats zatrzymuje się.

– Tak – odpowiada bezgłośnie. – Studio, magnetofon, samochód. Wszystko. Nic nie zostało.

– Zupełnie nic? – Anna myśli o czarnym szkielecie samochodu, który widziała w budynku gospodarczym, i nie może się powstrzymać, żeby nie spojrzeć w tamtym kierunku. Mats śledzi ją

wzrokiem.

– Prawie nic – odpowiada Mats.

– Karl-Johan zachował samochód, to znaczy to, co po nim zostało, prawda?

Mats kiwa głową.

– Chciał go pewnie wyremontować. Ale jakoś tego nie zrobił. Był zajęty... – Mats unosi rękę: albo w kierunku sali kazań, albo w stronę głowy.

– Malowidłem – kończy Anna. – Widziałeś je?

– Nie. – Odpowiedź przychodzi zbyt szybko i Anna widzi, jak jego usta schowane w gęstej brodzie lekko się wykrzywiają z niepokoju.

– Ale wiesz, co przedstawia?

Mats nie odpowiada.

– Twoja siostra była wtedy w kamieniołomie. Czy kiedykolwiek mówiła, co się tam stało? O Simonie?

Mats kręci głową.

– Nikt nie mówi o Simonie. Ani ojciec, ani Marie, ani Bruno, ani Alex. Nikt inny też nie, w każdym razie nie głośno. Tak jakby nigdy nie istniał. Ale on istniał. Lubilem go. – Mats milknie i patrzy w dół.

Milo zaczyna skomleć, przysuwa się bliżej Matsa i przekrzywia głowę, tak jakby wyczuł smutek w tym rosnym mężczyźnie.

– Nie rozumiem w tym wszystkim jednej rzeczy – mówi Anna cicho.

– Elisabet, twoja ciotka... jest zła na twojego ojca, na Henry'ego Morella, na Alexa, na Bruna i na Carinę, bo uważa, że nie mówią jej prawdy o tym, co się stało z Simonem. Ale rozmawia z twoją siostrą, mimo że Marie też wtedy była w kamieniołomie. Powiedz mi, dlaczego?

– Ubrania – mamrocze Mats.

– Ubrania? Co masz na myśli?

Mats spogląda na las, jakby chciał jak najszybciej stąd odejść.

– Kiedy rano zobaczyli Simona w wodzie, Marie wskoczyła, żeby go wyciągnąć. Tylko ona, nikt więcej. Reszta czekała na brzegu. Marie była mokra, a ich ubrania były suche.

Anna zastanawia się przez chwilę.

– A więc twoja ciotka tłumaczy to tak, że pozostali uważali, że nie warto skakać do wody. Że Simon i tak już wtedy nie żył.

Mats wzrusza ramionami.

– Woda w kamieniołomie jest lodowata. Wszyscy byli przemarznięci już wieczorem. Carinie aż zsiniały usta. – Mats zaczyna się wiercić. – Muszę już iść. Dzięki za kawę.

Mats głaszcze Milo na pożegnanie i rusza przez podwórze w kierunku lasu. Jeszcze nie zdążył zniknąć za drzewami, kiedy Anna uświadamia sobie, że w jego opowiadaniu jest jakiś fałsz.

Wieczorem Anna nie może zasnąć. Niemalże nie rozmawiają z Agnes, a poza tym z tego wszystkiego zapomniała zadzwonić do swojego adwokata, żeby go zapytać, co z dochodzeniem. Co innego zajmuje jej myśli.

Jak do tego wszystkiego ma się Rylander? Dlaczego pojawił się w Nedanås i to tylko na festynie? Skąd miał piosenkę Simona Vidje i dlaczego chciał, żeby ją usłyszała Caia Bianca i pozostała trójka? Co się stało z jego telefonem komórkowym, dlaczego nie miał na sobie butów i, najważniejsze, kto go zabił? Mimo iż Anna nie ma nic, na czym mogłaby oprzeć swoją hipotezę, jest głęboko przekonana, że śmierć Rylandera nie jest ani samobójstwem, ani wypadkiem. Brakuje jej tu czegoś, co by wszystko ze sobą związało w jedną całość. I zrobi wszystko, żeby to znaleźć.

Zmęczenie bierze górę i zaczynają jej się plątać myśli. Myśli o Matsie i o tym, co jej powiedział. Że Carina Pedersen tak przemarzła, że aż miała sine usta. Skąd on to wie? Może od siostry, ale jakoś jej to nie pasuje... Marie i Mats nie są ze sobą tak blisko.

Myśli zaczynają się rozplątywać i Anna zapada w stan gdzieś między jawą a snem. Tuż przed zaśnięciem wydaje jej się, że z sali kazań dochodzi skrzyknięcie podłogi.

Jesień 2017

Następnego dnia Anna jest w biurze już o siódmej rano. Agnes jedzie na pociąg swoją nową vespą, więc rano się nie spotykają, nie mówiąc już o jakiegokolwiek rozmowie.

Główny technik kryminalny, czy któryś z jej śledczych, wydrukował kartotekę Rylandera, jego odciski palców i zdjęcie, i zostawił jej na biurku. Nawet jeśli docenia pomoc, to na przyszłość postanawia zamykać gabinet na klucz. Zdjęcie ma osiem lat. Rylander ma na nim trochę krótszą brodę, nosi zwyczajne okulary, ale bez wątpienia denat na drzewie i Kent Joakim Rylander to ta sama osoba.

Anna przegląda jego kartotekę. Rylander zaczynał od drobnych kradzieży i narkotyków, miał wtedy kilkanaście lat. Następnie awansował na złodzieja samochodów, włamywacza i pasera. Potem zaczyna się handel narkotykami, za który ląduje w więzieniu na kilka lat. Jak tylko zostaje wypuszczony na wolność, wszystko zaczyna się od nowa. Włóczy się po południowej i środkowej Szwecji, co roku zmienia adres. Przepęstwa narkotykowe zastępują oszustwa, podrabianie dokumentów i malwersacje, a więc czyny zabronione, za które dostaje się krótsze więzienie, ale które wymagają większej przebiegłości i sprytu, co świadczy o tym, że Rylander to nie żaden półgłówek. Jak większość przestępców miał wiele ksywek. Kenta, Kekke, Jocke i wiele innych wariantów swoich obu imion. Trzy razy zmieniał również nazwisko, zanim został Rylanderem. Anna szuka jego krewnych i konstatuje, że oboje rodzice nie żyją, a on nigdy nie był żonaty. Jednak po dłuższych poszukiwaniach znajduje troje dzieci, każde z inną kobietą. Pierwsze dziecko, córka, rodzi się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Rylander ma zaledwie dwadzieścia kilka lat. Pozostała dwójka przychodzi na świat, kiedy

jest już dobrze po trzydziestce, nie są więc jeszcze pełnoletnie. Anna poleca swojemu śledczemu, aby poinformował najstarszą córkę o jego śmierci i dowiedział się, co zamierza zrobić z ciałem po sekcji zwłok.

Anna zamyka teczkę z dokumentami. Kent Joakim Rylander żył jak pasożyt i unikał odpowiedzialności, trójki swoich dzieci także, nie ma żadnej rodziny. Umarł tak, jak żył. W samotności. Anna zaczyna myśleć o Agnes. Ich relację znów ocenia na jeden i musi znaleźć sposób, żeby to zmienić. Spróbować odnaleźć to porozumienie, które miały w ostatni weekend.

„Powiedz jej”, szepcze Håkan. „Przecież wiesz, że musisz to zrobić”.

Anna wyrzuca go z myśli, telefonem komórkowym robi zdjęcie fotografii paszportowej Rylandera i wysyła je do didżeja Kristiana. Potem dzwoni do niego i bez owijania w bawełnę pyta o wszystko, co ją interesuje.

– Tak. To on dał mi pendrive z piosenką.

– Jesteś pewny?

– Bardziej już nie można. Zdjęcie nie jest najnowsze. A zresztą, dlaczego tak cię to interesuje? Przecież umorzyliście sprawę?

– Czy znane jest ci nazwisko Kent Joakim Rylander?

– Nie przypominam sobie. Tak się nazywa?

– Tak.

– Jak już mówiłem, widziałem go wtedy pierwszy raz na oczy. Dlaczego to takie ważne?

– Rylander został znaleziony martwy wczoraj przy kopalni odkrywkowej Glarea.

– *O fuck!* – Jego obrażony ton głosu przechodzi w ciekawość. – Co się stało?

– Próbujemy się tego dowiedzieć – mówi Anna. – Na tę chwilę wydaje się, że to ty go widziałeś jako ostatni, więc spróbuj sobie przypomnieć, co ci powiedział i jak brzmiał.

W słuchawce na kilka sekund zapada cisza.

– O ile dobrze pamiętam, to pojawił się nagle. Podał mi pendrive i pięć stów, i poprosił, żebym puścił kawalek, kiedy Caia Bianca

będzie na scenie. I że później zapłaci mi więcej. Było to trochę dziwne, ale nie takie rzeczy się widziało. Kiedyś pracowałem na lbizie...

– Co się stało z pendrivem? – przerywa mu Anna, zanim zdąży dokończyć swoją anegdotę.

– Nie mam pojęcia. W niedzielę pojechałem do parku, żeby zabrać sprzęt, ale go tam nie było.

– I już nic więcej nie pamiętasz? Może o czymś zapomniałeś?

W słuchawce zapada cisza.

– Właściwie to jest jedna rzecz, nad którą się zastanawiam.

– Co takiego? – Anna przyciska słuchawkę do ucha.

– Kiedy Alex Morell mnie trzymał, to ten drugi krzyczał mi coś do ucha. Ten kucharz... jak mu tam?

– Bruno Sordi?

– Właśnie. Kilka razy krzyczał, żebym się do czegoś przyznał.

– Do czego? – Anna pamięta, że Bruno powiedział jej to samo.

– Też chciałem się dowiedzieć, ale byłem zbyt zajęty ratowaniem tyłka. Teraz jestem prawie pewien, że chodziło im o jakiś mail.

– Mail? Jaki mail?

– Nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że coś takiego powiedział. „Przyznaj się, że to ty wysłałeś ten mail” czy coś w tym rodzaju.

Anna próbuje znaleźć w myślach związek maila z całością.

– Dzięki, że poświęciłeś mi czas – mówi po chwili. – Jeden z moich współpracowników zadzwoni do ciebie, żeby cię formalnie przesłuchać, ale jeśli coś sobie jeszcze przypomnisz, to zadzwoń, proszę. – Anna podaje mu swój numer i odkłada słuchawkę.

Jeszcze raz przegląda kartotekę Kenta Joakima Rylandera, zwracając szczególną uwagę na ostatni rok jego życia. Rylander został zwolniony z więzienia w listopadzie 2016 roku. Od tej pory aż do momentu śmierci był podejrzany w siedmiu sprawach dotyczących oszustw, namawiał ludzi przez internet na inwestowanie w towary, które nie istniały. Do tego typu przestępstw potrzeba jedynie komputera, iPada albo smartfona. Rylander mógł podłączyć je do prądu w swoim przerdzewiałym saabie.

Anna robi notatki w zeszycie, żeby w czasie rewizji poszukać sprzętu komputerowego. Słowo „MAIL” zapisuje wielkimi literami, a następnie szuka w Google Maps adresu firmy samochodowej. Zdjęcie satelitarne pokazuje leżący na uboczu teren w pobliżu jeziora. Trzy budynki ustawione w podkowę i nieopodal coś, co przypomina mały domek letni. Wszędzie – wzdłuż dróżki wjazdowej i z tyłu domu – widać jasne i ciemne prostokąty. Kiedy Anna robi zbliżenie, okazuje się, że to wraki samochodów. Zdjęcia satelitarne są tak wyraźne, że widać nawet ślady opon i kałuże błota. Anna robi jeszcze większe zbliżenie. Najbliższa miejscowość to Klippan, leżąca dwadzieścia kilometrów dalej. Przy większym zbliżeniu w przeciwnym kierunku widać Reftinge, dwadzieścia kilometrów dalej. Nazwa brzmi znajomo, gdzieś już o tym musiała słyszeć albo przeczytać.

Anna głośno powtarza nazwę kilka razy, a nawet próbuje z tylnojęzykowym charczącym „r”, żeby brzmiało bardziej skańsko, ale zdaje się w tym trochę śmieszna. Poddaje się i wystukuje na klawiaturze swój numer personalny. Wyskakuje sygnatura sprawy – w rubryce „status” znowu nic. Szlag by to trafił!

Anna dzwoni do swojego adwokata.

– Dobrze, że się odzywasz. Właśnie miałem do ciebie dzwonić, tylko trochę później.

Anna zbiera się w sobie.

– Dobrze czy złe wiadomości?

Krótką cisza wystarcza za odpowiedź.

– Chcą cię znowu przesłuchać. Najwyraźniej zmienili prokuratora, a ten nie chce umorzyć śledztwa.

Anna nabiera powietrza.

– Mówiłeś, że wszystko się rozejdzie po kościach, jeśli trochę poczekamy. Jeśli będziemy siedzieć cicho...

– Ale powiedziałem też, że nie mogę ci niczego zagwarantować.

Anna wzdycha.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Kiedy możesz przyjechać do Sztokholmu?

– Jesteśmy w trakcie dużego dochodzenia... – Anna zwleka trochę z odpowiedzią, żeby mieć czas na zastanowienie. – A czy mogą mnie przesłuchać telefonicznie?

– Niestety nie. Musisz się stawić osobiście. Byli w tym bardzo rygorystyczni.

– Rozumiem... – Jej puls przyśpiesza.

– Napisz mi wiadomość i zaproponuj kilka dat, to im podam. Zrób to jeszcze dzisiaj. Niech nie myślą, że grasz na zwłokę, okej?

Anna próbuje brzmieć pewnie.

– To aż tak poważne?

– Trudno wyczuć. Zadzwoń do tego nowego prokuratora i zbadam sprawę. Najważniejsze, by mieli poczucie, że chcemy z nimi współpracować, tak?

– Okej. – Anna odkłada słuchawkę, zamyka oczy i odchyła się do tyłu. Przez krótką chwilę pali ją pod powiekami.

„Myślałaś, że jesteśmy bezpieczni”, mamrocze Håkan. „Że wystarczy zniknąć z policyjnych korytarzy i o tobie zapomną. Że znajdą sobie inną, atrakcyjniejszą zdobycz. Tak myślałaś, prawda?”

Anna odgania Håkana ze swoich myśli, naciska palcami na powieki, dopóki poczucie beznadziei nie minie. Musi być zwarda, trzymać prosty kręgosłup i skupić się na pracy. Dla siebie i dla Agnes.

Jens Friberg pojawia się za dziesięć ósma, wkłada głowę przez drzwi i pyta, czy Anna napije się kawy. Jeszcze trudno jej się przyzwyczaić do tej jego sympatyczniejszej wersji, ale mimo to dotrzymuje mu towarzystwa. Drzwi do gabinetu Morella są zamknięte, a w środku panuje ciemność, co sprawia jej ulgę.

Pogaduszki o niczym to nie jest najmocniejsza strona Friberga, siedzą więc w ciszy przez chwilę, zanim Anna postanowi go przetestować.

– Wiem, że to było, zanim nastaly twoje czasy... – zaczyna. – Ale pewnie słyszałaś o śmierci Simona Vidje w kamieniołomie.

Friberg kiwa głową i pije kawę, nie pozwalając się złapać na przynętę.

– Czy to był wypadek?

Friberg spogląda na nią znad kubka, a potem wolno go odstawia.

– Tak jak mówisz, to nie były moje czasy. Nigdy nie miałem żadnego powodu, by wątpić w to, co mówił Henry.

– A co takiego mówił?

Friberg robi mały grymas.

– Anno, nie lubię wtykać nosa w nie swoje sprawy. Pogadaj z Henrym albo zapoznaj się ze sprawą.

– Już to zrobiłam.

Friberg powoli kiwa głową, jakby już się tego domyślał.

– I co, znalazłaś coś, co ci się nie zgadza?

Anna uświadamia sobie, że Friberg tak odwrócił rozmowę, że to on teraz ją testuje.

– Jeszcze kawy? – Anna przynosi termos i dolewa im do kubków.

– Jedna rzecz wydaje mi się trochę dziwna – mówi, kiedy odstawwszy termos, znów siada.

– Co takiego? – Friberg udaje, że go to za bardzo nie interesuje, ale Anna ma zbyt duże doświadczenie, żeby dać się oszukać.

– To, że Marie Andersson była jedyną osobą, która wskoczyła do wody. Że tylko ona próbowała wyciągnąć Simona.

Friberg kiwa głową.

– Jest na to proste wytłumaczenie – odpowiada jej, a tym samym zdradza się, że dokładnie wie, o co chodzi, i że cała sprawa jest mu doskonale znana.

– Jakże? – pyta Anna i w ten sposób niezauważenie przejmuje pałeczkę.

– Jak by ci to powiedzieć... takie, że Marie pierwsza znalazła Simona i zanim pozostali zdążyli wskoczyć do wody, ona już wyciągnęła ciało na brzeg.

Anna potrząsa głową.

– Nie ma nic o tym w raporcie z przesłuchania.

– Naprawdę? – Friberg udaje, że nie wie, ale Anna już go przejrzała.

– Poza tym to strażacy wyłowili ciało z wody. I mieli z tym niemały problem.

– No właśnie, masz wytłumaczenie. Marie uświadomiła sobie, że Simon nie żyje, że nic już nie może zrobić. Że nie da rady go wyciągnąć z wody.

– Może. – Anna nie spuszcza wzroku z Friberga.

Na schodach słychać kroki i po chwili w drzwiach staje główny technik kryminalny z jednym ze swoich współpracowników.

– Witajcie, drodzy koledzy. I co, gotowi na rewizję?

Friberg pochyła się do Anny przez biurko.

– Właśnie chciałem cię zapytać, Anno... – Milknie i czeka, aż technik podejdzie bliżej. – Czy będzie okej, jeśli ja też z wami pojedę?

Anna zastanawia się przez kilka sekund. Najprościej byłoby powiedzieć nie. Ale Friberg to dobry policjant, był chwalony za inicjatywę przy przeszukaniach miejsc przestępstwa. Niewyrażenie zgody przed technikiem i jego człowiekiem spowodowałoby niechybne uniesienie brwi ze zdziwienia, więc nie ma specjalnego wyboru.

– Jasne, mamy jeszcze jedno wolne miejsce w samochodzie, prawda Grönwall?

– Oczywiście – mówi technik. – Im więcej, tym przyjemniej. Po drodze musimy jeszcze zatankować. Klippan leży kawałek stąd. Czy może ktoś się orientuje, gdzie jest najbliższa stacja?

– W kierunku na Reftinge – odpowiada Friberg.

I w tej samej sekundzie Anna doznaje olśnienia.

Reftinge.

Stacja benzynowa.

Klippan.

Anna wstaje bez słowa i szybkim krokiem wraca do swojego gabinetu. Otwiera dolną szufladę biurka, wyciąga raport ze śledztwa dotyczącego śmierci Simona Vidje i przegląda poźółtkę kartki. Klnie przez zęby, że wcześniej na to nie wpadła. Po kilku sekundach znajduje właściwą kartkę – notatki, które dwadzieścia siedem lat

temu sporządził Henry Morell.

Na miejscu zdarzenia znajdowały się jeszcze dwie osoby, Joakim Jonsson, zwany Joe, i Tanja Savic, oboje po 20 lat, zamieszkali w Klippan.

Według zgodnych zeznań czworga naocznych świadków Jonsson i Savic opuścili miejsce zdarzenia tuż przed północą, z powodu deszczu. O 1:36 tej samej nocy, po bójce przy stacji benzynowej w okolicy Reftinge, Jonsson i Savic zostali odnotowani przez patrol policyjny. Za posiadanie narkotyków, napad na środek komunikacji miejskiej i prowadzenie pojazdu bez ważnego prawa jazdy Jonsson został osadzony w areszcie, gdzie spędził resztę nocy. Tak więc w chwili zdarzenia żadnego z nich nie było w kamieniołomie.

Anna niecierpliwym ruchem wyjmuje kartotekę Rylandera i kładzie ją obok notatki Morella. Na pierwszej stronie zaznacza dwa rzędy od góry. Puzzle, których brakuje.

Kent Joakim Rylander, urodzony jako Kent Joakim Jonsson. Pozostałe przezwiska: Kenta, Kekke, Jocke oraz... Joe.

Joakim „Joe” Jonsson.

Anna oddycha powoli.

Ten brodacz Rylander i jego przyjaciółka byli w kamieniołomie tego wieczoru, kiedy zginął Simon Vidje. Dwadzieścia siedem lat później mężczyzna wykorzystuje muzykę Simona, żeby sprowokować do czegoś pozostałą czwórkę. Ponad dobę później nie żyje. Zmasakrowany przez drzewo po tym, jak spadł ze skały, tej samej, na której Simon Vidje stracił życie tamtego jesiennego wieczoru.

To nie może być przypadek.

Jesień 2017

Dokładnie tak jak pokazały Google Maps, firma samochodowa była niegdyś gospodarstwem rolnym w kształcie podkowy. Obecnie to budynki i setki samochodów w różnym stadium rozpadu, z czego większość to po prostu złom. Jesienne powietrze wypełnione małymi cząsteczkami wody, coś między deszczem a mgłą, wzmocnione zapachem oleju, rdzy i brudu, w połączeniu z jesiennym wiatrem przenika przez ubrania.

Błotnisty wjazd zamknięty jest szlabanem z tablicą, która ostrzega przed złymi psami. I faktycznie, kiedy idą do głównego budynku, słychać ujadanie. Dwaj technicy i jeden śledczy, którego Anna wzięła do pomocy, spoglądają na siebie z niepokojem. Anna dobrze wie, co czują, bo też się boi psów, mimo że jednego ma w domu. Podczas jazdy samochodem było dość czasu, żeby im opowiedzieć o związku między śmiercią Rylandera a wydarzeniami w kamieniołomie dwadzieścia siedem lat wcześniej, jednak po chwili namysłu postanowiła się wstrzymać, w każdym razie do końca przeszukania. Głównie z powodu Jensa Friberga. Wciąż jeszcze nie jest pewna, co o nim sądzić, a dopóki się tego nie dowie, nie ma powodu wtajemniczać go we wszystkie szczegóły. Ale teraz, choć ją irytuje, dobrze go mieć ze sobą, szczególnie kiedy ujadanie psów przybiera na sile, a ogromny rottweiler zagradza im drogę.

Anna, śledczy i technicy natychmiast się zatrzymują. Natomiast Friberg, bez chwili wahania, idzie dalej. Głuche szczekanie rottweilera wydobywa się z samych jego wnętrzości. Ma najeżoną sierść i wyszczerzone kły.

Kiedy Friberg zbliża się do budynku, pies odskakuje metr dalej, kąsa w powietrzu i znów odskakuje, jakby w takt zmniejszającej się

między nimi odległości. Friberg cały czas idzie, nie patrząc na zwierzę. Kiedy jest jakieś trzy metry od budynku, rottweiler dopada do jego nogi. Friberg bez zatrzymywania się kopie go prosto w bok. Pies skowyczy, zatacza się do tyłu i wydając parę szczeknięć, kuśtyka za budynek. Friberg imponuje im swoją zimną krwią, ale nie czeka na pochwały, tylko idzie dalej.

Wrażenie zaniedbania potęguje się jeszcze bardziej, kiedy idą za róg głównego budynku. Podwórce pełne jest błotnistych kałuż, połyskujących ciemnymi kolorami tęczy. Wraki samochodów, ustawione jeden na drugim, pochylają się w kierunku ściany domu. Prawdopodobnie umieścił je tam żółty dźwig marki Volvo bez przednich drzwi, zaparkowany w poprzek tuż przed drzwiami z napisem „biuro”.

Kiedy chcą już wejść, drzwi otwierają się i wychodzi z nich mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat. Ma na sobie zielone poplamione spodnie i flanelową koszulę, która kiedyś musiała być w kratkę, a teraz to tylko bezkształtny łach. Mężczyzna ma długie przetłuszczone włosy, tygodniowy zarost i choć stoi od niech w pewnej odległości, nos Anna szybko odgaduje, że z pewnością równie długo nie brał prysznica.

– Czego chcecie? – mówi, zlepiając oba słowa w jedno.

– Kent Joakim Rylander – odpowiada Anna.

– Jocke? Co znowu przeskrobał?

– Możemy wejść? – Anna pokazuje na drzwi.

Po chwili mężczyzna niechętnie odsuwa się na bok i wpuszcza ich do małego, ciasnego pomieszczenia, w którym sterty papierów i stare części samochodów zajęły prawie całą wolną powierzchnię.

Smród w środku jest tak intensywny, że Anna musi oddychać przez usta. W kącie, na ohydny brudny kocu, leży rottweiler – zwierzę musiało wślizgnąć się do środka przez specjalny otwór w drzwiach. Pies zaczyna na nich warczeć, ale spuszcza głowę i milknie, kiedy Friberg robi krok do przodu.

– Skąd znasz Rylandera? – pyta Anna, kiedy mężczyzna siada za zaśmieconym biurkiem. Nie proponuje im tego samego,

prawdopodobnie z tego prostego powodu, że wszystkie krzesła są po prostu zajęte.

– Kiedyś, jeszcze w latach osiemdziesiątych, byłem jakiś czas z jego matką – mamrocze mężczyzna. – Można więc powiedzieć, że jestem jego ojczymem. Czy raczej byłem. Ale mówię wam to samo, co zawsze mówię policji, że niezależnie od tego, co Jocke zmalował, nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale wciąż tu mieszka, prawda?

– Jocke ma tu mały domek. Przyjeżdża i wyjeżdża, kiedy chce. Właściwie to już dawno chciałem wyrzucić jego graty, ale jakoś się nie złożyło. Dopóki nie zaczęła przychodzić jego poczta, nawet nie wiedziałem, że się tu zameldował. – Mężczyzna ruchem ręki pokazuje na zagracony pokój. – Powiedziałem mu, że mam dosyć swoich gratów. I żeby zajął się swoimi sprawami. Ale, jak zwykle, ma to w dupie.

Anna wyjmuje telefon i pokazuje mu zdjęcie Rylandera. Wybiera najnowsze, zrobione już po śmierci. Ma siną twarz, ale zdjęcie pokazuje go z profilu, więc nie widać pustego oczodołu. Stary wyciąga okulary, wkłada na nos i patrzy w telefon. Ręce ma brudne od oleju, paznokcie długie i pożółkłe. Anna zmusza się, żeby nie patrzeć w bok, trzyma telefon trochę dalej od niego, żeby nie było widać szczegółów. O zmarłych nie mówi się źle, więc Anna czeka na odpowiedni moment, żeby powiedzieć, co się stało Rylanderowi.

– No tak, to Jocke. Wygląda, jakby nieźle dostał. Pewnie sobie zasłużył.

– Dlaczego tak mówisz?

Mężczyzna parska i zdejmuje okulary.

– To, że Jocke kantuje ludzi, to jedno. Ale lubi też awantury, lubi prowokować bez powodu. Robił to od małego. Znasz historyjkę o skorpionie, którego żaba miała przenieść przez jezioro? Obiecał, że jej nie ugryzie, bo oboje utoną, ale i tak to zrobił. Taki właśnie jest Jocke. Wie, że narobi sobie gówna, ale nie może się powstrzymać. To nie pierwszy raz, kiedy kręci na siebie bata, i nie ostatni. – Przy tych słowach z ust płynie mu ślina.

- Mówisz to z własnego doświadczenia, bo tak to brzmi?
Mężczyzna chichocze.
- Znam Jockego od smarkacza. Już się uodporniłem na te jego sztuczki.
- I mimo to pozwalasz mu tu mieszkać?
Mężczyzna wzrusza ramionami.
- Przecież żyłem z jego matką. Był miłym chłopakiem, kiedy był mały. Wtedy było tu więcej życia... – Mężczyzna milknie.
- A ten jego dom... gdzie się znajduje?

Na końcu ścieżki usypanej żwirem, trzysta metrów za podwórzem, stoi coś, co bardziej przypomina szopę niż dom. Błotnista ziemia usiana jest kałużami i śladami kół, a połowa niskiego dachu przykryta jest plandeką. Filar podtrzymujący ścianę jest tak przegniły i pokryty pleśnią, że aż trudno się zorientować, jakiego kiedyś był koloru. Drzwi są zamknięte na kłódkę, ale mężczyzna ma klucz.

– Nie mówcie nic Jockemu – mamrocze pod nosem. – Nie lubi, jak się węszy w jego manelach.

W końcu Anna wyznaje mu prawdę. Mężczyzna jakoś to przyjmuje, kiwa głową z zaciśniętymi zębami.

– Od dawna wiedziałem, że to się tak skończy. Biedny skurczybyk.
– Mężczyzna odchrząkuje i pluje na pokrzywy za rogiem domu. Odwraca głowę, żeby Anna nie widziała jego zaszklonych oczu.

Dom to właściwie pojedyncze pomieszczenie. Na jednej ścianie znajduje się zlew i kuchenka elektryczna, na drugiej, za zniszczonymi rozsuwanymi drzwiami, widać sedes. Pod stertą gazet, kartonów i ubrań, gdzieś tam prześwituje zniszczone linoleum, a dosłownie wszędzie wala się stereo do samochodów, rozbite telefony komórkowe i inna elektronika – wszystko wygląda na kradzione.

Na środku pokoju stoi duża sofa, sądząc po leżących tam kocach i poduszkach, służąca za łóżko. Na stoliku walają się popielniczki, pudełka po pizzy i puste puszki. Na ścianie naprzeciwko sofy wisi płaski telewizor, zdecydowanie za duży i za drogi do tego lokum.

Zapach jest taki, jak się było można spodziewać. Czuć wilgocia, dymem papierosowym, brudem, śmieciami, a przede wszystkim samotnością.

Anna kiwa głową do technika kryminalnego, że mogą zaczynać, i odwraca się do mężczyzny.

– Czy Jocke miał jakiś telefon komórkowy?

– Niejeden. – Mężczyzna pokazuje na zlew, w którym leżą części przynajmniej trzech aparatów.

– Masz jego numer?

Mężczyzna potrząsa głową.

– Nowego numeru nie mam. Cały czas zmieniał. Ostatni, jaki mam, nie działa od miesiąca.

– Ale wiesz, że miał telefon?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Co miał nie mieć, teraz wszyscy mają.

Anna dziękuje za pomoc i odsyła go do domu. Przez chwilę wygląda, jakby nie chciał odejść, ale w końcu odwraca się i ze spuszczoną głową wlecze się do wyjścia.

– Anno! – woła ją Friberg.

Pod kartonem od pizzy leży laptop, a na nim kartka z tekstem „Własność Szkoły Västervång”. Pod ścianą na całej długości ciągną się dwa kable. Jeden prowadzi do gniazdka, drugi do starego podwójnego magnetofonu kasetowego z lat osiemdziesiątych, zanim jeszcze powstały urządzenia CD. Anna wkłada gumowe rękawiczki i po chwili poszukiwania znajduje przycisk eject. Wieczko jednego z okienek wolno się otwiera. Anna ostrożnie wyjmie kasetę. Na małej etykietce widzi okrągłe litery napisane tuszem. Jakby ktoś się bardzo namęczył, żeby wyszło ładnie.

„Property of Simon Vidje”.

– Rylander użył programu Audacity do skopiowania piosenki z kasy na pendrive – mówi Friberg, uruchamiając laptop. – Używam tego samego programu do płyt winylowych. – Friberg milknie i wygląda na zakłopotanego, jakby przez nieostrożność uchylił drzwi do własnej prywatności. Ale szybko wraca do swojej

roli. – Folder był aktualizowany jakiś tydzień temu.

Friberg wraca do stukania w klawisze.

Technik kryminalny i jego grupa metodycznie przeszukują pokój. W tym samym czasie Anna rozgląda się wkoło. Sofa i stolik to zapewne centrum życia, ale jest jeszcze jedno pomieszczenie, które czasami może być bardzo interesujące.

Anna przeciska się między technikami i rozsuwa zniszczone drzwi do toalety. Ciasne pomieszczenie jest tak nieprzyjemne, jak sobie to wyobrażała. Do kabiny prysznicowej brakuje drzwi, ze ściany zwisa odklejona tapeta, odstaniając powierzchnię pokrytą pleśnią i wilgocią.

Po szafce, która najbardziej by ją interesowała, zostały jedynie dwie dziury w ścianie. Oderwany pływak sprawia, że w sedesie nieustannie leci woda. Anna uchyla pokrywę i znajduje torebkę z czymś, co najprawdopodobniej jest marihuaną.

Kiedy ją próbuje wyciągnąć, znajduje koszyk wciśnięty między sedes a ścianę. Są w nim gazetki z Kaczorem Donaldem i pisemka pornograficzne. Między nimi wystaje biała koperta. Anna pochyla się i ją wyjmuje. Koperta jest gruba i zaadresowana do Rylandera. Widać, że otwierał ją palcem, bo jest niezgrabnie rozerwana. Dlatego trudno odczytać imię i nazwisko nadawcy w lewym górnym rogu. Jednak po chwili udaje jej się.

„Kancelaria prawnicza Gunnarsson i Syn”.

Annę przechodzi dreszcz. Dlaczego Mów-mi-Lasse kontaktował się z Rylanderem?

Ostrożnie otwiera kopertę i wyjmuje z niej starannie złożoną kartkę. Rozkłada i zaczyna czytać.

Drogi Joakimie,

minęło już dwadzieścia siedem lat, odkąd Simon Vidje nas opuścił. Był wspaniałym synem, oddanym przyjacielem i niezwykle utalentowanym muzykiem, który nikogo nie zostawiał obojętnym. Nawet jeśli jego śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek, to jesteśmy przekonani, że prawda w końcu wyjdzie na jaw. Dlatego

też zwracamy się do Ciebie i innych, którzy tamtego wieczoru byli w kamieniołomie, z apelem.

Jeśli jest coś, o czym chciałbyś opowiedzieć, jakiś szczegół, wspomnienie, które Ci utkwiło w pamięci, albo jeśli chciałbyś po prostu ulżyć swojemu sercu, skontaktuj się z szefową policji w Nedanås, Anną Vesper. Anna obejmuje to stanowisko 9 października. Nie ma żadnych powiązań z nikim w Nedanås, a poza tym jest zdolnym śledczym z wieloletnim doświadczeniem. Mamy nadzieję, że w końcu zdoła wyjaśnić, co się właściwie stało się Simonowi Vidje, a tym samym da nam, jego rodzicom, spóźniony wiele lat spokój duszy.

Twoja pomoc będzie bezcenna.

*Z szacunkiem
Elisabet i Karl-Johan Vidje
Änglaberga*

Koperta ma pieczętkę z 17 września. Kilka dni wcześniej Anna podpisała umowę wynajmu Taboru. Wyremontowanego Taboru, który nigdy wcześniej nie był wynajmowany. Atelier z malowidłem Karla-Jo, które było jego ostatnim i zapewne najważniejszym dziełem. Anna podejrzewała to od dawna, ale teraz ma to czarno na białym. Została zmanipulowana, i to nie tylko przez Henry'ego Morella, ale i przez Elisabet Vidje.

– Anno – mówi Friberg. – Pewnie będziesz chciała to zobaczyć.

Coś w jego głosie powoduje, że chowa kopertę do kieszeni i podchodzi do sofy.

– Zobacz. – Friberg odwraca ekran komputera, żeby lepiej widziała.

Poczta mailowa jest otwarta. Friberg przesuwając myszką na ostatnią wysłaną wiadomość.

– Dwudziestego piątego września Rylander wysłał mail do Alexandra Morella, Bruna i Marie Sordich i Cai Bianki. – Friberg otwiera wiadomość. – Konto mailowe zostało założone tego samego dnia. Zobacz, jakiego loginu użył...

– Simon Vidje – czyta Anna na głos. – Co do nich pisze?

Friberg znów klika i otwiera całą stronę ekranu. Wiadomość ma tylko jedno zdanie. Sześć wyrazów, jedenaście sylab i wystarczająco dużo informacji, żeby ustalić motyw morderstwa.

Czas zapłacić za to, co zrobiliście.

Jesień 2017

W drodze powrotnej Anna milczy. Przeszukiwanie zapuszczonego domu Joego Rylandera zajęło większość dnia. W bagażniku mają kilka zarekwirowanych torebek. Większość to prawdopodobnie rzeczy z kradzieży i narkotyki, ale jest też laptop i magnetofon kasetowy, które leżą w oddzielnej torbie. Anna poprosiła Friberga, aby zachował wszystko do rana następnego dnia, gdyż potrzebuje czasu na przemyślenie odpowiedniej strategii, co zresztą jest prawdą. Z tego samego powodu nie wspomniała też o liście ani jemu, ani nikomu innemu, tylko schowała go głęboko w kieszeni. Podróż samochodem daje jej szansę na poukładanie sobie wszystkiego w głowie i przeanalizowanie całego łańcucha zdarzeń, pełnego wszelkich możliwych wątpliwości.

Anna wie, że musi przysłuchać całą czwórkę przyjaciół i zapytać nie tylko o Rylandera, ale również o to, co się zdarzyło tamtej jesiennej nocy w 1990 roku. Jednak przedtem musi wyjaśnić kilka innych spraw i porozmawiać z kimś, kogo duch wciąż się nad nią unosi.

– Dopilnuj, żeby dopisać laptop i komputer i zamknąć je z innymi dowodami – mówi Anna do technika kryminalnego.

– Ja to mogę zrobić – odpowiada Friberg. – Jeśli chcesz, mogę też zrobić kopię tej piosenki i wysłać ci plik.

Anna przez chwilę ma wątpliwości i dostrzega, że Friberg to zauważył.

– Dobrze – odpowiada, ale mleko się już rozlało.

Jadąc bardzo szybko po mocno krętej drodze w górę zbocza, Anna przypomina sobie o przedwczorajszym spotkaniu z samochodem

Glarei. Mimo to zwiększa prędkość, kiedy zbliża się do celu. Pogoda się poprawia, gdzieś przez szare gęste chmury przeciskają się promienie słońca, od których droga tak się mieni, że Anna musi opuścić osłonki przeciwsłoneczne.

Aleja wierzb od strony domu wydaje się dłuższa niż z drogi. Pnie i korony drzew kołyszają się delikatnie wraz z kierunkiem wiatru.

Stara część Änglabergi składa się z czterech budynków z białymi fasadami. Na wprost znajduje się okazały dwupiętrowy dom z wieloma kominami, do którego prowadzą szerokie schody. Na lewo stoją dwa szeregowce z pięknymi oknami szprosowymi z kutego żelaza. Anna zgaduje, że to stajnie. Na prawo, jak w lustrzanym odbiciu, znajduje się identyczny biały budynek, a sądząc po ogromnych drzwiach, jest to stodoła. Dalej, tam gdzie aż się prosi, by stanął piąty budynek, znajduje się duża przestrzeń wysypana żwirem i starannie zagrabiona. Na tej zadbanej posesji stwarza ona wrażenie pewnej dysharmonii. Tak jakby czegoś tu brakowało. Po kilku minutach do Anny dociera, że to tu musiał stać garaż. Budynek, w którym na piętrze Simon zrobił sobie studio nagraniowe, a Karl-Jo trzymał swój letni samochód.

Anna zwalnia, patrzy na otwarte wrota stodoły, ale nie widzi śladów ognia. Być może nie ma w tym nic dziwnego, w końcu mieli aż dwadzieścia siedem lat na naprawienie szkód.

Na dziedzińcu nie stoi ani jeden samochód, jednak Anna postanawia zaparkować przed domem. Między głównym budynkiem a lewą stajnią odkrywa wąską drogę, która prowadzi na położony niżej dziedziniec, otoczony kilkoma nowszymi stajniami z halą ze sprzętem rolniczym na tyłach. Przez otwarte na oścież duże rozsuwane drzwi Anna widzi dwie osoby zajęte myciem traktorów. Rozpoznaje mężczyznę stojącego bliżej wyjścia – to jeden z Polaków, którzy pomagali jej i Agnes w przeprowadzce do Taboru. Macha do niego z samochodu, ale bez reakcji. Dziedziniec zamyka niski budynek przypominający barak szkolny. Na zewnątrz stoi kilka samochodów na zagranicznych numerach rejestracyjnych. Anna domyśla się, że znajdują się tu pomieszczenia mieszkalne. Na tyłach

głównego budynku widzi blaszane zadaszenie dla samochodu. W środku stoi pick-up Kleina i zielony land rover Elisabet Vidje. Anna parkuje swój samochód, wysiada i żwirową ścieżką kieruje się do budynku. Powietrze pachnie ziemią, zwierzętami i delikatną nutą dojrzałych jabłek.

W gęstym żywopłocie znajduje się przejście prowadzące do ślicznej przydomowej altanki, przed którą stoi fontanna z aniołem w środku. Szczytowe okno budynku jest uchylone. Kiedy Anna kieruje się do wejścia, wpada na Brora Kleina zapinającego w biegu swój nieprzemakalny płaszcz.

– Co ty tu robisz, do cholery? – To niespodziewane przekleństwo zupełnie nie pasuje do Kleina. Jego zalękniony wzrok również.

– Chcę porozmawiać z Elisabet Vidje.

– Nie sądzę, żeby chciała cię zobaczyć.

Jego ostry ton zaskakuje Annę. Wygląda na to, że jego samego także.

– To znaczy... Elisabet nie czuje się najlepiej. Nie chce żadnych wizyt. – Klein zapina ostatni guzik i odzyskuje typowy dla siebie spokój. – Najlepiej, żebyś przyszła kiedy indziej.

– Chodzi o Simona – mówi Anna. – O tamto śledztwo.

Mimo iż Klein przybiera kamienną twarz, Anna widzi błysk niepokoju w jego spojrzeniu.

– Elisabet... – Klein milknie i szuka odpowiedniego słowa. – Jest chora. Bardzo chora. Ostatnie, czego teraz potrzebuje, to rozgrzebywanie...

– Klein! – Okno, które przed chwilą było uchylone, otwiera się na oścież. Staje w nim Elisabet Vidje, w białej koszuli nocnej, bardzo blada. – Poproś Annę, żeby zaczekała w pokoju gościnnym. Zejdź za kilka minut.

Okno się zamyka, zanim Klein zdąży odpowiedzieć. Mamrocze coś pod nosem, unikając wzroku Anny. Po chwili odwraca się tyłem i ręką pokazuje, żeby szła za nim.

Główne wejście znajduje się na wysokości półpiętra. Duże, ciemne dębowe drzwi sprawiają nieco pompatyczne wrażenie. Klein

wpuszcza Annę do wysokiego holu. Następnie idzie wąskim korytarzem i otwiera drzwi do pokoju z kominkiem, wokół którego stoją cztery duże fotele. Pod ścianą Anna widzi biurko, a na nim telefon z ogromnymi przyciskami, który przyciąga wzrok. Małe papierowe paski z numerami informują, który numer jest do kogo. „1 – Klein”, „2 – Marie”, „3 – Mats”. Ściany i sufit są lekko pożółkłe od dymu tytoniowego. Z okna rozciąga się widok na duży zadbane trawnik otoczony wysokim żywopłotem.

– Poczekaj tutaj. – Klein pokazuje głową na fotele i wychodzi.

Anna zastanawia się przez moment, siada w miękkim fotelu i nasłuchuje. Jedyne, co do niej dochodzi, to tykanie pozłacanej wskazówki zegara obok kominka. Po chwili czuje, że ten stary dom emanuje specyficzną energią. Może to tylko jej wrażenie, które sobie stworzyła na podstawie tego, co już wie o rodzinie Vidje. Jednak nie opuszcza jej myśl, że ten dom, mimo całej swojej dostojności, jest po prostu smutny.

Na kominku stoi rząd fotografii. Na lewo zdjęcia czarno-białe. Na jednym z nich widzi mężczyznę i kobietę w wieku około czterdziestu lat. Oboje mają tę samą groźną minę co Elisabet Vidje, pewnie to jej rodzice. Obok znajduje się fotografia tej samej kobiety między dwiema elegancko ubranymi dziewczynkami. Anna domyśla się, że to Elisabet i jej siostra. Trzecie zdjęcie jest również czarno-białe, jednak odrobinę większe. Przedstawia młodą Elisabet Vidje obok mężczyzny, którego Anna już widziała w internecie. To Karl-Johan. Są atrakcyjną parą. Elisabet, w prostej eleganckiej białej sukni, trzyma w ręku bukiet kwiatów. Karl-Jo w czarnym, dobrze skrojonym garniturze wygląda bardzo elegancko. Oboje się uśmiechają. Wyglądają na szczęśliwych i pełnych nadziei.

Anna wstaje i podchodzi do kominka, żeby popatrzeć na fotografię z bliska. Elisabet i Karl-Johan stoją na okazałych kamiennych schodach. To pewnie ratusz w Lundzie, a fotografia to ich zdjęcie ślubne. Jeśli się przyjrzeć dokładniej, to na prawą stronę schodów pada cień fotografa. Młodziutka Elisabet Vidje jest bardzo piękna, jednak wzrok Anny przyciąga Karl-Johan, który emanuje czymś

niezwykłym, czego czarno-białe zdjęcie z lat siedemdziesiątych nie jest w stanie oddać. Oczy, uśmiech, sposób, w jaki opadają na czoło jego długie blond włosy...

Obok zdjęcia ślubnego stoi kolorowe zdjęcie przedstawiające dwuletniego chłopca o lnianych włosach u taty na kolanach. Jest lato, siedzą na kocu. Za nimi rozciąga się zielona łąka. Chłopiec obejmuje ojca ramieniem, słońce oświetla im twarze, a oni mrużą oczy do kamery. Następne zdjęcie zrobione jest w tym samym miejscu, tym razem jednak jest na nim również Elisabet Vidje. Simon siedzi teraz między rodzicami i swoją pulchną rączką trzyma oboje za szyję. W rogu koca widać cień fotografa.

Ostatnie zdjęcie, najdalej na prawo, przedstawia młodego Simona Vidje w białej marynarce i czapce maturalnej. Ma długie jasne włosy. Patrzy prosto w kamerę tym samym lekko rozbawionym wzrokiem co jego ojciec na zdjęciu ślubnym dwadzieścia lat wcześniej. Anna bierze fotografię do ręki i próbuje porównać twarz z postacią unoszącą się na wodzie na malowidle Karla-Johana. Zegar tyka, jego dźwięk przypomina mieszankę szkła i metalu. Nagle otwierają się drzwi.

– Ma oczy swojego ojca, prawda?

Elisabet Vidje ma na sobie jasny szlafrok, zarzucony na koszulę nocną, a na nogach kapcie z owczej skóry. Wygląda na zmęczoną, z poszarzałą twarzą i sińcami pod oczami. Jednak jej spojrzenie jest wciąż równie ostre i żywe.

Mimo iż Kleina nie widać, Anny nie opuszcza wrażenie, że jest gdzieś blisko.

Odstawia zdjęcie.

– Jak się poznaliście, ty i Karl-Johan? – pyta.

Elisabet Vidje ściąga usta.

– W cukierni w Lundzie. Byłam tam z przyjaciółmi, a on siedział sam przy stoliku. Kiedy miał płacić, okazało się, że zapomniał portfela. Był tak zakłopotany, że aż zrobiło mi się go żal. Najpierw nie chciał, żebym za niego zapłaciła, i nie poddawał się, dopóki mu nie obiecałam, że dam się zaprosić do kina. Obejrzeliśmy *Paragraf*

22, pamiętam to jak dziś. Okazało się, że oboje znaleźliśmy książkę. Karl-Johan zaprosił mnie do swojego małego mieszkania i całą noc przegadaliśmy o książkach. Usiądziemy? – Elisabet wskazuje na jeden z foteli, a potem siada. Wygląda, jakby odczuła ulgę, że już nie musi stać.

– Jak się czujesz, Elisabet?

Właściwie to Anna przyszła tutaj, żeby zadać Elisabet kilka innych pytań, ale kobieta wygląda tak krucho, że teraz Anna nie może się zmusić, by to zrobić.

Zirytowanym gestem Elisabet odrzuca od siebie to pytanie.

– Nie słuchaj Kleina, jest jak kwoka. Jestem po prostu zmęczona. Ale powiedz lepiej, co cię tu sprowadza.

Anna wyjmuje list i kładzie go na stole.

– Lasse Gunnarsson wysłał ten list na twoje polecenie.

Elisabet przytakuje, bez cienia wstydu czy zakłopotania.

– Odsyłasz w nim adresata do mnie i sugerujesz, że jestem gotowa wznowić śledztwo w sprawie śmierci Simona.

– Niczego nie sugeruję. – Elisabet ściąga usta. – Po prostu proszę zainteresowanych, aby przemyśleli sprawę i oczyścili sumienie. A to chyba nie jest zabronione, prawda?

– Ale zależy ci na tym, żeby śledztwo zostało wznowione. Walczysz o to od wielu lat, a Henry Morell konsekwentnie ci odmawia.

– Henry Morell od samego początku nie powinien był się tym zajmować. Nie jest bezstronny. – Jej głos jest spokojny, jednak wyraźnie podszyty irytacją.

– Próboweś go od tego odsunąć, a kiedy ci się nie udało, postanowiłaś przeczekać. Tyle lat...

Elisabet Vidje parska.

– Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że Henry na tak długo przyklei się do stołka. A to tylko potwierdza moje przekonanie, że ma coś do ukrycia.

– A więc to dlatego w ekspresowym tempie wyremontowałaś Tabor i poleciłaś Lassemu Gunnarssonowi, żeby się ze mną skontaktował. Żeby zaproponował mi fantastyczny dom za niską

cenę... tak dla pewności, że zostanę w to wszystko wciągnięta... I żebym zobaczyła to mal-lo... – Anna trochę za późno robi pauzę i brwi Elisabet unoszą się – ...w-widło.

– Jąkasz się. – To stwierdzenie, nie pytanie.

– Czasami.

– Czy to ci przeszkadza?

– Niekoniecznie. Już się przyzwyczaiłam.

Elisabet Vidje kiwa powoli głową.

– Karl-Johan też się jąkał. Ale bardziej niż ty. Wyśmiewali się z niego, kiedy był dzieckiem. Z ciebie też się wyśmiewali?

Anna potrząsa głową. Przez Elisabet straciła wątek, więc próbuje tak naprowadzić rozmowę, żeby wrócić do tematu.

– Miałaś szczęście – kontynuuje swoją myśl Elisabet. – Dzieci potrafią być okrutne. Bardzo okrutne. Karl-Johan bał się, że jąkanie jest dziedziczne i że Simon też będzie się z nim zmagał. Niepotrzebnie się martwił. – Elisabet uśmiecha się na to wspomnienie, ale po chwili znów poważnieje. – Karl-Johan pracował nad malowidłem prawie dziesięć lat – opowiada. – Pod koniec prawie już nic nie widział. Klein przywoził go i odwoził z Taboru. Pomyślałam, że jak je zobaczysz, to zrozumiesz, jak głęboki smutek w nim tkwił.

– Zmanipulowałaś mnie – stwierdza Anna bardzo spokojnie. – Użyłaś mnie, a nawet Agnes jako aktorów w swojej sztuce... Nie pomyślałaś o tym?

– Oczywiście, że pomyślałam – odpowiada Elisabet. – I wcale nie sprawiło mi to przyjemności. Ale mój ojciec zawsze mawiał, że czasami trzeba upaść nisko, by się wznieść wysoko. Coś w tym jest. – Elisabet robi przerwę i zamyśla się. Po chwili wstaje, choć z dużym wysiłkiem. – Chodź, coś ci pokażę.

Idą powoli w kierunku ogrodu. To stumetrowy spacer i Elisabet bardzo się stara, żeby nie pokazać po sobie, jakie to dla niej męczące. Klein, który zaopatrzył ją w kurtkę i kalosze, idzie za nimi

niespokojnym krokiem, ale trzyma się z daleka. Słońce, nieśmiało wyglądające zza chmur, chyli się ku zachodowi.

Za dużym świerkiem jest przejście w żywopłocie prowadzące do żelaznej bramy. Elisabet prosi Annę, żeby otworzyła. Wychodzą na zewnątrz na coś w rodzaju wysokiego występu. Przed nimi rozciąga się bajkowy krajobraz małych zielonych pagórków i dolin, karłowatych drzew i krzewów, które ciągną się aż pod las, jakiś kilometr dalej. W dolinie rozłożyło się stado białych krów. Wysoko w powietrzu krążą ptaki drapieżne, wznoszą się aż do chmur pobłyskujących na różowo od zachodzącego słońca. Anna poznaje to obezwładniająco piękne miejsce. To jeden z ulubionych motywów Karla-Jo.

– Zobacz tam. – Elisabet Vidje pokazuje na lewo na stary dąb. Pod drzewem stoi drewniana ławka. – Usiądźmy.

Anna jest tak pochłonięta pomocą Elisabet, że dopiero gdy już siedzą, spostrzega obok dębu kamienną tablicę.

W jasnym marmurze złożonymi literami wyryty jest napis:

Simon Karl-Johan Vidje 22.12.1971–29.08.1990.

Ukochany. Zostawił po sobie wielką pustkę.

W tym małym pięknym kamieniu jest coś, co sprawia, że Anna czuje gulę w gardle.

– W letnie wieczory siadaliśmy tu z Karlem-Johanem. Simon też, kiedy był starszy. To było nasze miejsce. – Elisabet Vidje pokazuje na piękną małą dolinkę. – Pod koniec lat czterdziestych mój ojciec otworzył ten kamieniołom. Po wojnie potrzebny był żwir i makadam do budowy domów. Kiedy byłam mała, wyglądało to okropnie. Wszędzie szaro i czarno. Kurz, dym i hałas miażdżonych kamieni. Jednak nie tak okropnie jak teraz, kiedy Glarea przejęła ziemię w Kotorp. Ojcu już wtedy się to bardzo nie podobało. Jak tylko zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, odkupił ziemię i zamknął kamieniołom. Najgłębsze doły zakopał i posadził trawę. Ludzie mówili, że ma nie po kolei w głowie, zamykając tak dochodowy

interes. Ale on kochał to miejsce i nie mógł znieść myśli, że jest tak niszczone. – Elisabet nabiera powietrza, i mimo swojej grubej kurtki drży. – Karl-Johan kochał to miejsce tak samo jak mój ojciec. Obiecałam mu, że i on, i ja również tu spoczniemy, kiedy nadejdzie nasz czas. Że znów będziemy razem, we troje. Ale zanim to nastąpi, muszę zdecydować, co się stanie z Änglabergą.

Elisabet Vidje cichnie, jakby ta wypowiedź pozbawiła ją wszystkich sił.

– A nie możesz tego zrobić, dopóki nie dowiesz się prawdy, tak?

Elisabet nie odpowiada, przez chwilę siedzi w milczeniu, a potem kontynuuje:

– Doktor powiedział, że choroba Karla-Jo zaczęła się, jeszcze zanim zmarł Simon, ale to bzdury. Jestem pewna, że przyczyniły się do tego jego smutek i cierpienie. Karl-Johan wiedział, że w końcu oślepie, a mimo to poświęcił temu malowidłu wszystkie swoje siły. Widziałaś, co kryje, prawda?

Anna kiwa głową.

– To malowidło to najlepsze dzieło Karla-Johana. Zmieniał je setki razy, pracował dzień i noc, żeby było perfekcyjne. To wszystko po to, żeby zadośćuczynić naszemu synowi. – Elisabet milknie i szuka wzroku Anny. – Powiedz mi, Anno... – jej ostry głos łagodnieje, przebija przez niego smutek – ...czy mogę zrobić coś więcej?

Jesień 2017

Kiedy wracają do domu, zaczyna się już ściemniać. Tak jak poprzednio, Anna trzyma Elisabet Vidje pod rękę, jednak tym razem coś się zmieniło. Chwył Elisabet jest mocniejszy, a jednocześnie delikatniejszy, zmniejszyła się też odległość między nimi. Anna opowiada Elisabet o awanturze na festynie i o śmierci Rylandera, jednak nie wspomina o mailu, który Rylander wysłał do czwórki przyjaciół. Elisabet dochodzi do podobnych wniosków co ona.

– Uważasz, że został zamordowany, prawda?

– Jeszcze nie wiemy, jak zmarł Rylander... – Anna próbuje się asekurować, ale Elisabet macha ręką, żeby dała sobie z tym spokój.

– Uważasz, że ten Rylander wiedział coś o śmierci Simona i winnych czy też winnego próbował szantażować... tak? I że dlatego go zabili.

– To tylko przypuszczenie, ale nie wykluczamy żadnej możliwości.

– Bzdury – obrusza się Elisabet, lecz już w następnej sekundzie jej kwaśna mina przechodzi w uśmiech zadowolenia. – A więc teraz będziesz musiała wznowić śledztwo. Przestłuchać Alexandra Morella i pozostałych. Henry Morell będzie chodził po ścianach. Bengt Andersson też. – Jej uśmiech jest nad wyraz szerszy.

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiem – mówi Anna. – Wydaje się, że ty i Marie macie ze sobą dobry kontakt, a przecież ona też była wtedy w kamieniołomie, poza tym zarzucasz jej ojcu, że razem z Morellem ukryli prawdę.

Elisabet myśli przez chwilę.

– Marie jest moją siostrzenicą, znam ją od małego. Simon i ona byli jak rodzeństwo. Mieli nawet razem zamieszkać w Lundzie. Nie mogą sobie wyobrazić, żeby chciała go skrzywdzić. – Elisabet uśmiecha się

smutno. – Przez te wszystkie lata Marie była dla nas dużym wsparciem. Odwiedza Karla-Johana w zakładzie raz w miesiącu. Natomiast nie ufam jej mężowi, nie mówiąc już o pozostałej dwójce. – Uśmiech zamienia się w kreskę zaciśniętych ust. – Kalle Pedersen był alkoholikiem i złodziejaszkiem, bezlitośnie lał i dzieci, i żonę. A Carina, jego córka, zawsze była zbyt wyrachowana jak na mój gust. Pewnie wiesz, że jej pierwszy mąż zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach... No i został jeszcze Alexander Morell... Żona wyrzuciła go na zbity łeb, nie mogła z nim wytrzymać. – Elisabet potrząsa głową. – Jeśli chodzi o Bengta Anderssona, to próbuje ukrywać prawdę, bo bardziej mu chodzi o reputację Nedanås niż o Marie. Zawsze stawiał pracę na pierwszym miejscu. Nawet przed własną rodziną. Moja siostra wybrała nieodpowiedniego mężczyznę na męża, ale dlaczego dzieci mają cierpieć z tego powodu?

– To dlatego przygarnęłaś Matsa Anderssona, tak?

Elisabet Vidje znów ściąga usta.

– Biedny Mats... Jak pewnie zdążyłaś zauważyć, jest trochę... dziwny. Spodobał mi się pomysł, że Marie odkupiła Kotorp od Bengta, ale nie podoba mi się zmiana nazwy. Norrblicka brzmi trochę zbyt pretensjonalnie, mówiłam jej to. No i w tym wszystkim ten biedak, Mats, stał się niepotrzebny, więc ustaliliśmy, że zamieszka tutaj. Mamy dużo miejsca, a Bengt zupełnie się nim nie zajmował.

Dochodzą do domu, gdzie już czeka zaniepokojony Klein. Elisabet poklepuje go uspokajająco po ramieniu.

– Nie musisz się martwić, wariacie. Miło sobie z Anną gawędziłyśmy i myślę, że się dobrze rozumiemy. Ale teraz muszę odpocząć.

Żegnają się i Anna powoli idzie do samochodu. Rozmowa potoczyła się niezupełnie tak, jak się spodziewała. Czy to oznacza, że wzięta jej stronę? Że podobnie jak Elisabet Vidje uważa, że sprawa została zatuszowana? Chce powiedzieć, że nie, że niczego nie wyklucza i ma wiele wątpliwości, ale już sama nie jest pewna, czy to prawda.

Anna wolno wyjeżdża z dziedzińca. Mija stare budynki stajni. Przy

wejściu do stodoły stoi zaparkowany stary zabłocony pick-up. Na przyczepie pod plandeką leży coś białego. Dopiero kiedy wjeżdża w aleję, domyśla się co to takiego. Natychmiast hamuje i wrzuca wsteczny. Parkuje za pick-upem, wyskakuje z samochodu i unosi plandekę. Na przyczepie leży biała vespa Agnes. Jej pierwsza myśl: zdarzył się wypadek i Agnes leży gdzieś ranna. Serce zaczyna jej walić jak młotem, ale okazuje się, że vespa jest cała. Niepokój nie chce jednak zniknąć.

Anna rozgląda się dookoła, ale nikogo nie ma w pobliżu. Silnik w pick-upie jeszcze nie zdążył wystygnąć, więc pojazd nie stoi tu długo. Anna wyjmuje komórkę. Dzwoni do Agnes, ale od razu włącza się poczta głosowa.

Szlag by to trafił!

Obchodzi stodołę. Z tyłu cztery rzędy jabłoni tworzą sad, za nim, na końcu zwirowej drogi, stoi barak podobny do budynków, w którym znajdują się stajnie. W oknie pali się światło, więc Anna idzie tam.

Ścieżka delikatnie opada w dół. Budynek z cegły leży w lekkim zagłębieniu, przez co wygląda, jakby przykucnął za pozostałymi budynkami. Niepokój Anny rośnie z każdym krokiem.

Anna wchodzi na ganek i próbuje zajrzeć przez okno, ale nic nie widzi. Wydaje jej się, że słyszy walenie młotka, a kiedy puka, odgłosy cichną. Ktoś zbliża się do drzwi, ale jakby się zawahał na moment. Słychać szcęk zamka i drzwi otwiera Mats Andersson. Ten rosty mężczyzna nie mówi nic, tylko ze zdziwieniem patrzy na Annę. Ma na sobie skórzany fartuch poplamiony gdzieniegdzie na rdzawo, najprawdopodobniej krwią.

Z głębi ciemnego korytarza dobiegają jakieś odgłosy i pojawia się coś białego. To Milo. Niesie w pysku królika, na brzuchu zwierzęcia wyraźnie widać nacięcie.

– Gg-gdzie jest Agnes? – pyta Anna, zdenerwowana, nie zważając na jąkanie.

Robi krok do przodu i zmusza Matsa, aby się odsunął na bok.

– Gdzie ona jest! – Troszeczkę śliny trafia Matsa w koszulę, więc robi krok do tyłu.

Mimo iż jest ze trzydzieści centymetrów wyższy i pięćdziesiąt kilo cięższy, wygląda, jakby się jej przestraszył. Zwiją się w sobie i unika jej wzroku.

– P-przepraszam...

Anna wchodzi do środka. Jej niepokój zamienia się we wściekłość, która sprawia, że traci resztki ostrożności.

– Co zrobiłeś z moją córką?

Mats podnosi ręce do góry, w jego oczach wyraźnie widać strach.

– To nie tak.

Mats opiera się o ścianę, Anna unosi rękę do jego twarzy i widzi, jak się cały trzęsie. Krew pulsuje mu w skroniach.

– Mamo! – Nagle w korytarzu pojawia się Agnes, a obok niej Milo. Jest zszokowana i wściekła. – Co ty wyprawiasz?

Anna opuszcza rękę. Znika złość i zastępuje ją poczucie ulgi. Mats wciąż stoi przyparty do ściany, z rękami uniesionymi w geście obronnym, jakby czekał na cios. Annę ogarnia wstyd za swoje zachowanie.

– Przepraszam – mamrocze i robi krok do tyłu. – Myślałam... nie wiedziałam...

Agnes podchodzi do Matsa i delikatnie głaszcząc go po ramieniu, a on opuszcza rękę. Annę obrzuca groźnym spojrzeniem.

– Zobaczyłam twoją ves-spę... Nie odb-bierałaś telefonu...

Anna z trudem łapie oddech, próbuje dojść do siebie. I zaistniałą sytuację zamienić w logiczny ciąg zdarzeń. Wypełnia płuca powietrzem, robi wdech ustami, wydech nosem. Wykonuje tę sztuczkę jeszcze kilka razy, a potem zwraca się do Matsa:

– Przepraszam – mówi przesadnie wolno. – Zobaczyłam vespę Agnes na twojej przyczepie i pomyślałam, że coś się stało... Nie odbierała telefonu, a kiedy potem zobaczyłam Milo z tym... – Anna pokazuje na psa, który siedzi na podłodze z królikiem w pysku.

Mats patrzy na nią, jakby nie był pewien, czy Anna mówi prawdę. Potem spogląda na Agnes, następnie na Milo i znów na Annę.

– Przepraszam, Mats – mówi powtórnie Anna. – Ale jestem taką matką-kwoką.

Mats kiwa głową i uśmiecha się niezdarnie.

– Kwoki nie są groźne. Lochy są groźniejsze. Nie radzę znaleźć się w pobliżu, kiedy taka ma młode.

– Naprawdę? – Anna odwzajemnia uśmiech.

– To może być niebezpieczne. – Mats nieco zarozumiale kiwa głową.

Anna spogląda na Agnes.

– Sorry – mówi. – Dlaczego nie masz włączonego telefonu?

Agnes podnosi komórkę, na ekranie widać pęknięcie.

– Milo był tak zniecierpliwiony, kiedy wróciłam do domu, że wybiegając na dwór, podciął mnie, zachwiałam się i na schody wypadła mi komórka. A potem przyjechał Mats. To on na progu zostawiał te króliki... dla Milo...

Olbrzym zaczyna chichotać.

– Z tyłu mam wędzarnię. Psy mojej siostry uwielbiają wędzone króliki. Lubią mieć coś na ząb.

– Ach tak – odpowiada Anna i sama słyszy, jak durnowato to brzmi.

– No to tajemnica królików rozwiązana. – Uśmiecha się delikatnie do Agnes, jednak bez reakcji z jej strony. – Ale co ty tu robisz? – dodaje szybko.

– Mats zapytał, czy chcę sfotografować jego zbiory. Zresztą nie miałam nic innego do roboty.

– Jakie zbiory?

Agnes nie chce się rozwijać tematu, ale Mats robi krok w przód i otwiera drzwi.

– Tam. Możesz zobaczyć.

Piwnica składa się z jednego długiego pomieszczenia i wygląda, jakby miała z kilkaset lat. Prawdopodobnie była kiedyś używana jako magazyn. Podłoga jest z tego samego czerwonego kamienia co ściany. Mats może się wyprostować jedynie na środku pomieszczenia. Natomiast nie czuć tu wcale wilgoci, jak by się można było spodziewać. Jedynie chłód. Jest tu również sucho. Duży

prostokątny osuszacz powietrza tłumaczy dlaczego. W piwnicy pachnie czymś chemicznym, Anna skądś zna ten zapach, ale nie potrafi go zidentyfikować.

Na środku pomieszczenia dostrzega przejście, wzdłuż którego po obu stronach znajduje się coś, co przypomina schowki. Okazuje się, że to własnoręcznie zbudowane gabloty. Na bokach i w środku namalowane są jakieś motywy przyrodnicze, a w środku każdej gabloty stoją wypchane zwierzęta. Zajęcie, borsuki, a nieco dalej większe okazy, takie jak sarny, a nawet jelenie. Wszystkie w zastygłych pozycjach, jakby były żywe. Lis w wysokim wysoku, ptak drapieżny z rozpostartymi skrzydłami, gotowy do wbicia szponów w królika. Stado pasących się gęsi, niespokojnie spoglądających na niebo.

W każdej gablocie zainstalowane jest staranne oświetlenie, co dodatkowo potęguje wrażenie, że zwierzęta są żywe. Światło sprawia, że ich szklane oczy połyskują, a futro i pierze wydaje się jeszcze czystsze. Wszystko to przypomina Annie wycieczkę szkolną wiele lat temu, na której coś takiego oglądała.

Mats gasi lampę jarzeniową na suficie, żeby to muzealne wrażenie jeszcze wzmocnić. Następnie pokazuje Annie przejście między gablotami. Agnes i Milo przemykają przed nimi.

– Zacząłem, jak byłem jeszcze smarkaczem – mówi Mats.
– Pierwsze były ptaki. Karl-Johan mi pomógł. To on namówił mnie, żebym to robił tutaj, w piwnicy.

Mijają borsuka z wyszczerzonymi zębami, który wybiera jajka z ptasiego gniazda.

– Sam je zabijasz? – pyta Anna, głównie z grzeczności. W tych jego zbiorach jest coś okropnego. Zabijać zwierzęta, żeby je jeść, to coś innego, ale wypychać je, tracić czas i energię, żeby wyglądały jak żywe, to wręcz ohydne.

– Parę sztuk – odpowiada Mats. – Chociaż większość łapię w sidła, jak na przykład tamtego rysia. Jestem w tym dobry.

Mats wskazuje na duże zwierzę, które wspina się po martwym pniaku. Tylną łapę ściskają sidła przymocowane do drzewa grubym

łańcuchem. Igły siodła wpiły się tak głęboko w łapę tego nieszczęsnego zwierzęcia, że aż widać połamane kości. Mimo iż ryś od wielu lat nie żyje, do tej pory na jego pysku maluje się cierpienie.

– Ten ryś to największe, co upolowałem – mówi Mats z pewną czułością w głosie. – Ale chciałbym mieć wilka.

Anna unosi brwi w powątpiewającym geście, który Mats natychmiast wychwytuje.

– Czasami zdarza się, że przybłąka się tu jakiś wilk. Na przykład w zeszłym roku jeden doszedł aż do Osterlen, a trzy tygodnie temu jakiś kierowca ciężarówki widział wilka w okolicy Perstorp. Zastawiłem już sidła w kilku miejscach. Takie same, na jakie złapałem rysia. – Mats znów pokazuje na gablotę z tym nieszczęsnym zwierzęciem.

Annę aż przechodzi dreszcz. Trudno jej zrozumieć, dlaczego Agnes tak fascynuje ta okropna piwnica.

– A czy to nie jest niebezpieczne? Pomyśl tylko... co jeśli ktoś przypadkowy wpadnie w sidła? Pies albo dziecko?

– Zastawiam sidła tylko w tych miejscach, gdzie nikt nie chodzi – mamrocze Mats. – A poza tym stawiam też tablicę. To nie moja wina, że ludzie nie czytają.

Idą dalej i dochodzą do najdalszej gabloty, przy której stoi przygotowany sprzęt fotograficzny Agnes, statyw, aparat i lampa błyskowa. Są tam trzy białe gołębie. Siedzą na gałęzi, jeden przy drugim, tyłem do obserwatora. Bajkowy krajobraz na ścianie, na który patrzą, jest Annie dobrze znany. Małe zielone pagórki i doliny, niskie drzewa i krzaki, rozciągające się aż po sam las. Nad lasem zachód słońca zabarwia niebo na różowo. To widok z ławki, na której nie tak dawno siedziała razem z Elisabet Vidje.

– Czy to malował Karl-Johan? – pyta Anna.

Mats kiwa głową i pokazuje ręką.

– Ten i tamte dwa. Pozostałe zrobiłem sam.

Anna stoi przez kilka sekund i przygląda się aranżacji. Jest coś pięknego w tych gołębiach, które siedzą i razem obserwują zachód słońca. Uroda tego obrazka choć na chwilę przestania obrzydliwość

całego miejsca.

Jeden z gołębi jest troszkę mniejszy niż dwa pozostałe, to zapewne młody. Elisabet, Karl-Jo i Simon, może tak to trzeba widzieć?

– To bardzo piękne – zachwyca się szczerze Anna i otrzymuje od Matsa kiwnięcie głową.

Agnes przygotowuje swój sprzęt fotograficzny, poprawia nieco lampę błyskową i zaczyna robić zdjęcia. Lampa błyskowa dźwięczy w takt pstryknięć aparatu. Oświetla gołębie i namalowany zachód słońca.

Pstryk, pstryk.

Dźwięk po kilku sekundach zaczyna hipnotyzować.

Pstryk, pstryk.

– Te gołębie wyszły mi najlepiej – mamrocze Mats pod nosem.
– Na nich głównie ćwiczyłem.

Pstryk.

– Kiedyś podobała mi się jedna dziewczyna. Lubiła gołębie i zrobiłem je dla niej.

Pstryk.

– Była piękna. Wszyscy tak uważali. – Jego głos staje się miękki.

Pstryk.

– Prawie jak biała gołąbka.

Pstryk.

„Biała gołąbka”, szepcze Håkan w głowie Anny i zaczyna nucić ironicznie *Una paloma blanca*.

I nagle Anna rozumie, o kim mówi Mats.

Biała gołąbka.

Biała. Blanca – Bianca.

– Carina Pedersen – stwierdza Anna. – To o niej mówisz, prawda?
Mats nie odpowiada, ale jego milczenie oznacza, że się nie myli.

Jesień 2017

Następnego ranka Anna robi na śniadanie sałatkę owocową. Jednak ten gest pojednawczy wypada blado. Wprawdzie Agnes je, ale wciąż jest zła na Annę za jej zachowanie u Matsa, popsuty telefon też nie poprawia sytuacji. Cisza między nimi jest przytłaczająca. Po chwili Anna czuje, jak jej irytacja rośnie, więc żeby uniknąć kłótni, pozwala Agnes wziąć swoją gorącą wegańską czekoladę do pokoju przed komputer.

Na pewno Håkan ma sporo do powiedzenia na temat zaistniałej sytuacji, ale Anna nie ma ochoty go dzisiaj słuchać. Wysadza Agnes na stacji i w odpowiedzi na swoje ożywione cześć otrzymuje ledwie mruknięcie pod nosem, co jeszcze bardziej psuje jej już i tak zły humor. Kiedy więc wchodzi do dusznego biura Mów-mi-Lasse Gunnarssona, wszystko się w niej aż gotuje.

– Anna, jak miło, że przyszłaś! – Mów-mi-Lasse ma na nosie okulary do czytania, które szybko chowa do szuflady biurka.

Jego gabinet jest mały i urządzony trochę staroświecko. Tak jakby należał do kogoś z poprzedniego wieku. Pożółkłe fotografie i dyplomy na ścianach jeszcze wzmacniają to wrażenie.

– Usiądź, proszę. – Mów-mi-Lasse pokazuje na krzesło, na którym Anna już i tak siedzi.

Anna nie traci czasu na pogaduszki, tylko kładzie na biurku list znaleziony u Joego Rylandera. Mów-mi-Lasse robi grymas, ale nie wygląda na zaskoczonego. Prawdopodobnie rozmawiał już z Elisabet Vidje lub Kleinem.

– Ach tak... – Pochyla się do przodu, ale nie jest tak odprężony jak zwykle. Jego ruch powoduje skrzywienie biurka. – Jestem ci winien przeprosiny, Anno. – Czerwienieje na twarzy. – Elisabet Vidje jest

moją klientką. Obowiązuje mnie tajemnica służbowa. Niestety, znalazłem się w dość niekomfortowej sytuacji, bo ty i ja...

Mów-mi-Lasse spogląda na Annę w sposób, którego ona nie lubi. Jakby sugerował, że między nimi do czegoś doszło, i jakby czekał, aż ona to potwierdzi.

– Ty i Elisabet Vidje wykorzystaliście mnie – syczy Anna przez zęby, mimo iż obiecała sobie, że będzie milczeć. – Wciągnęliście mnie w tę historię i wysłaliście list, który z całym prawdopodobieństwem przyczynił się do śmierci człowieka.

Mów-mi-Lasse sztywnieje.

– Jedyne, o co nam chodziło, to żeby osoby, które były wtedy w kamieniołomie, miały szansę oczyścić swoje sumienie...

– Najwyraźniej nie chcieli. Zamiast tego zabili osobę, która prawdopodobnie coś wiedziała.

Mów-mi-Lasse wygląda, jakby poczuł się dotknięty.

– Jeśli to prawda, to ani ja, ani Elisabet Vidje nie czujemy się winni.

– Czyżby? A iluż to było martwych świadków, zanim list został wysłany?

Anna uświadamia sobie, że jej komentarz jest nieco śmieszny. Ale najwyraźniej podziałał, bo twarz Mów-mi-Lasse przybiera udręczoną minę.

– Tak między nami, Anno, to... – Mów-mi-Lasse zaczyna się wiercić.

– Elisabet Vidje jest poważnie chora. Nie zostało jej już zbyt wiele czasu. Więc kiedy mój dawny kolega, który pracuje w Komendzie Głównej Policji, powiedział mi, że dostałaś tu pracę, Elisabet uznała, że to dobry znak. Że to ostatnia szansa na ujawnienie prawdy.

– Mów-mi-Lasse spogląda na zamknięte drzwi, jakby się obawiał, że ktoś może wejść. – Änglaberga i ziemia, na której stoi, warte są ogromne pieniądze, i Elisabet już teraz martwi się, co się stanie z domem po jej śmierci. Nie ma żadnych spadkobierców, więc najbliższe jej osoby to Marie i Mats Anderssonowie. Elisabet traktuje ich jak własne dzieci. Natomiast ich ojca Bengta...

Anna wchodzi mu w słowo. – Tak, Elisabet mówiła mi to wczoraj. Powiedziała, że ma zaufanie do Marie.

– Faktycznie. Ale jest też przekonana, że nie cała prawda wyszła na jaw i że są osoby, którym bardzo zależy, by już tak zostało. Elisabet uświadomiła to sobie już dzień po śmierci Simona.

– Masz na myśli pożar garażu?

Mów-mi-Lasse kiwa głową.

– To było jeszcze zanim zostałem prawnikiem, ale ojciec opowiadał o tym wiele razy. Elisabet namawiała dawnego szefa policji, Greena, aby odsunął Morella od śledztwa i wziął policjantów z zewnątrz, którzy nie mieliby żadnych związków z nikim tutaj. Najpierw Green na to przystał, ale już po południu nagle zmienił zdanie. Było oczywiste, że ktoś musiał wywierać na niego presję. Więc Elisabet wzięła ojca i pojechali na komisariat, żeby porozmawiać z Greenem. Byli tam też Henry Morell i Bengt Andersson. Wszystko skończyło się tak, że Elisabet i jej ojciec zostali wyrzuceni z komisariatu. Tej samej nocy doszczętnie spłonął garaż w Änglaberdze. – Mów-mi-Lasse milknie i odzyskuje swój dawny wyraz twarzy. – Jeśli spojrzeć na to z innej strony, to rozumiałe, że Elisabet chwyciła się ostatniej deski ratunku. Oczywiście, powinniśmy poinformować cię już na samym początku, nawet zaproponowałem to Elisabet, lecz nie chciała o niczym słyszeć. Uważała, że powinnaś wyrobić sobie własne zdanie, a my tylko ci to umożliwimy.

– Sprowadzając mnie i Agnes do Taboru i wysyłając list do sześciu osób, które miały z tym coś wspólnego, tak?

Mów-mi-Lasse wzdycha.

– Tak, mniej więcej by się zgadzało. Zresztą, jak się potem okazało, tylko pięcioro z nich żyje. Tanja Savic zmarła już w dwa tysiące drugim roku.

Anna zamierzała znaleźć jakieś informacje o Tanji, jak tylko pojawi się w biurze, ale, jak się okazuje, nie musi już tego robić. Czyli Tanja zmarła, jeszcze zanim skończyła trzydzieści pięć lat. Mów-mi-Lasse domyśla się jej następnego pytania.

– Dzwoniłem do jej córki. Śmierć z przedawkowania. Tanja właśnie wróciła z odwyku. Jeździła tam wiele razy, przez wiele lat miała problem z narkotykami, więc nie było to takie zaskoczenie.

Kiedy Anna otwiera drzwi do swojego biura, natychmiast wyczuwa, że coś jest nie tak. Jest zupełnie pewna, że fotel wsunęła tak głęboko, że oparcie aż uderzyło o biurko. A teraz fotel wysunięty jest nawet o kilkanaście centymetrów. To samo z papierami na biurku. Niby wszystko leży tak, jak zostawiła, ale coś tu nie gra. Sprawdza dolną szufladę, w której trzyma dokumenty ze śledztwa Simona Vidje. Szuflada jest zamknięta, więc Anna bierze klucz i otwiera. Szybko przekartkowuje teczkę ze śledztwem, lecz okazuje się, że niczego nie brakuje. Zastanawia się przez chwilę i postanawia sprawdzić kosz na śmieci. Jest pusty, a więc sprzątaczką ma klucz do gabinetu, a to z kolei oznacza, że to ona musiała przełożyć papiery na biurku. Tyle że Anna wcale nie czuje się uspokojona. Bierze kubek z kawą i idzie do pokoju wypoczynkowego. Drzwi do gabinetu Morella są otwarte, a on siedzi w fotelu wpatrzony w ekran komputera.

– Cześć, Henry – wita go Anna.

– O, cześć, Anno.

Anna wchodzi do pokoju wypoczynkowego i nalewa sobie kawy, chociaż wcale nie ma na nią ochoty. Morell połyka przynętę, tak jak myślała. Pojawia się w pokoju już po kilku sekundach.

– I jak poszło wczoraj? Znaleźliście coś u tego Rylandera? – Jego głos brzmi jak zwykle.

Anna wzrusza ramionami i nie daje po sobie poznać, że go bacznie obserwuje.

– Musimy jeszcze trochę poczekać z wnioskami.

– No tak, wybacz moją ciekawość, ale od wielu lat nie mieliśmy tu w Nedanås żadnego morderstwa. A tak na marginesie, to czy już wiadomo, jaka była przyczyna śmierci?

– Jeszcze nie.

Anna próbuje dopasować jego mowę ciała i mimikę do tonu i słów, jakie wypowiada. Czyżby wiedział, kim był Joe Rylander? Wie coś też o tym mailu z szantażem? I o tym, że przyniosła do swojego

gabinetu dokumenty ze śledztwa w sprawie śmierci Simona Vidje? Jeśli tak, znaczy to, że są jakieś przecieki, i to najprawdopodobniej ten książę udzielił Jens Friberg.

Mimo iż Anna uważnie obserwuje Morella, on nie zdradza się nawet miną. Kamienny wyraz twarzy, żadnego tiku czy nieświadomego grymasu, który wskazywałby, że coś ukrywa. Uśmiecha się jedynie tym swoim ojcowskim uśmiechem, któremu trudno się oprzeć, i drapie po brodzie.

Kiedy wraca do pokoju, zamyka za sobą drzwi i otwiera teczkę ze sprawą Rylandera. Następny krok jest oczywisty: trzeba koniecznie przesłuchać cztery osoby, które Rylander prawdopodobnie próbował szantażować. Ale zanim skonfrontuje podejrzanych, musi odrobić zadanie domowe i zgodnie z podstawową zasadą najpierw uporządkować sobie to, co już wie. Brakuje jej jeszcze kilku szczegółów do ułożenia tej układanki. Lekarz sądowy nie wykonał jeszcze sekcji zwłok, więc nawet jeśli przyczyna śmierci jest już wiadoma, to i tak może się pojawić jakiś nowy szczegół. Informacje kluczowe dla śledztwa. To samo dotyczy samochodu oraz miejsca zamieszkania. Więc jeśli nawet instykt policyjny podpowiada jej, żeby natychmiast przesłuchać całą czwórkę i sprawdzić ich alibi na tamtą niedzielną noc, to doświadczenie mówi, żeby jeszcze poczekać.

Zanim zdąży pozbierać myśli, dzwoni komórka. To jej adwokat, który jak zwykle nie traci czasu na czcze gadanie, co dzisiaj Anna szczególnie docenia.

– Właśnie jestem po rozmowie z prokuratorem głównym Tordem Santessonem, który postanowił przejąć śledztwo.

– Ale dlaczego?

– Nie dostałem jasnej odpowiedzi. Twierdzi, że wyłynęły nowe informacje i że musi cię jeszcze raz przesłuchać. To oczywiście może być tylko próba zastraszenia. Przepraszam za określenie, ale Santesson to przebiegły lis i to do niego bardzo podobne. Jednak wydaje mi się, że tym razem nie żartuje.

– Co to oznacza w praktyce?

– Że jeśli natychmiast nie stawisz się na przesłuchaniu, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że cię doprowadzi siłą. A jeśli tak by się stało, to możesz być pewna, że prasa natychmiast się o tym dowie. Komisarz śledcza podejrzana o morderstwo, tytuły w gazetach... Osobiście jestem przekonany, że Santesson nie miałby nic przeciwko temu.

Adwokat milknie na kilka sekund, a Anna słyszy w słuchawce bicie własnego serca.

– Dobrze ci radzę, Anno, rzuć wszystko i wsiadaj w najbliższy samolot do Sztokholmu.

Przez resztę dnia Anna zostaje w biurze. Swoim współpracownikom mailem przekazuje instrukcje. Następnie kupuje bilet do Sztokholmu na następnny dzień wcześniej rano.

Próbuje być spokojna, wmawia sobie, że ten nowy prokurator jest po prostu głodny sukcesu. Że tak naprawdę nic nowego na nią nie mają. Że ona ma to wszystko pod kontrolą.

„A co, jeśli się mylisz”, szepcze Håkan. „Jeśli coś wiedzą? I cię aresztują, a Agnes dowie się o tym z prasy, i jeśli...”.

Anna próbuje go uciszyć, powiedzieć mu, że dobrze wie, do czego zmierza, i że tym razem mu się nie uda. Ale on się nie poddaje. I wciąż powtarza jej to samo.

„Ona ma prawo wiedzieć, Anno. Musi poznać prawdę. Jest wystarczająco silna. Ty też jesteś wystarczająco silna”.

Anna już dłużej nie może tego znieść.

Pakuje do teczki dokumenty ze śledztwa Simona Vidje i Rylandera, zamyka drzwi do gabinetu i wsiada do samochodu. Wyziewy z palarni gliny mającą nad dachami domów jak ledwo widoczny dym. Anna nie włącza silnika, siedzi kilka minut nieruchomo.

„I co?”, pyta Håkan. „Co z tobą? Chcesz, żeby Henry Morell pojechał do Agnes i powiedział jej, że zostałeś aresztowana? Albo Jens Friberg. Chcesz, żeby...”.

– Już dobrze, dobrze! – krzyczy Anna i chwytą za kierownicę. – Będzie, jak zechcesz, tylko zamknij się wreszcie. Daj mi szansę pomyśleć w spokoju.

Håkan natychmiast milknie. Anna siedzi w samochodzie jeszcze kilka minut i zbiera myśli, potem zapala silnik, wrzuca bieg i wolno rusza. Po tamtym spotkaniu z Matsem jej stosunki z Agnes znów są na minusie. Jeśli w ogóle mają ze sobą porozmawiać, ze szczególnym naciskiem na „jeśli”, powinna zacząć od jakiejś gałązki oliwnej. Jedzie więc trzydzieści kilometrów do najbliższego centrum handlowego, znajduje sklep z elektroniką, obowiązkowo, i kupuje najnowszą, cholernie drogą wersję iPhone’a w ulubionym kolorze Agnes.

Z dwiema porcjami sushi na kolację wraca do Nedanås i zdąża jeszcze odebrać Agnes ze stacji.

Agnes wciąż jest obrażona, ale prezent przyjmuje. Ze swojej starej komórki wyjmuje kartę SIM, przekłada do nowiutkiego iPhone’a i mruczy coś pod nosem, co z odrobiną dobrej woli można zinterpretować jako podziękowanie.

Jadą do domu, a kiedy Agnes wychodzi z Milo, Anna nakrywa do stołu. Podczas ich milczącej kolacji próbuje zebrać się na odwagę.

Czy da sobie radę?

„Oczywiście, że dasz sobie radę. Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam”, szepcze Håkan. „Zrób to teraz. Dla mnie”.

Kiedy na niebie pojawia się księżyc, Anna idzie do pokoju Agnes i czeka cierpliwie, aż córka odłoży telefon i spojrzy na nią łaskawie tym swoim wzrokiem i-co-znowu.

– Ten mężczyzna, który wszczął awanturę w parku, nie żyje – mówi. – Okazuje się, że był w kamieniołomie, kiedy zginął Simon.

Anna widzi, że Agnes zaczyna słuchać z zainteresowaniem.

– Ooo! – Z jej twarzy znika naburmuszenie. – I co dalej?

Anna kiwa głową.

Ale najpierw powiem ci coś o tacie. O tym, jak zmarł.

Tak właśnie chciała zacząć. Przecież obiecała to Håkanowi. Słyszy, jak niecierpliwie czeka, że wreszcie to powie. W ostatniej chwili opuszcza ją jednak odwaga.

Zamiast tego opowiada Agnes o konflikcie po śmierci Simona między Elisabet Vidje a Henrym Morellem i Bengtem Anderssonem.

O liście i o tym, jak śmierć Joakima Rylandera obudziła w mieście wszystkie demony.

Anna zdaje sobie sprawę, że nie powinna, że wiele z tego, co powiedziała Agnes, objęte jest tajemnicą śledztwa. Mimo to mówi dalej, częściowo dlatego, że wie, iż jest to fascynujące dla Agnes, częściowo żeby zabić ciszę. Nie chce słyszeć wyrzutów Håkana.

„Wybacz mi”, mówi do niego w myślach, kiedy kończy swoją opowieść. „Nie dałam rady. Potrzebuję więcej czasu. Proszę, nie bądź na mnie zły”.

Ale Håkan nie odpowiada.

Jesień 2017

Dochodzenie wewnętrzne nie leży w gestii policji, dlatego też nie odbywa się w głównym budynku na Kungsholmen, tylko w zupełnie innym miejscu. Anna ostatni raz była tu w czerwcu. Wtedy adwokat zapewniał, że to już ostatnie przesłuchanie w jej sprawie. Doskonale pamięta o swojej obietnicy, widać to wyraźnie po jego zawstydzonej minie, kiedy punktualnie za pięć dziesiąta wita się z Anną. Świeżo wyprasowana koszula, lśniące białe zęby i cholernie drogi garnitur, co specjalnie nie dziwi, zważywszy na jego zarobki. Tyle że Anna nie może pozwolić sobie na to, by reprezentował ją jakiś niedoświadczony żółtodziób, poza tym stać ją na niego. Chrzącić to, jeśli pomyślą, że ma coś do ukrycia.

Równo o dziesiątej otwierają się drzwi i wychodzi jeden ze śledczych, którego Anna spotkała już poprzednio. To niewysoki mężczyzna, którego dolna szczęka upodabnia go do buldoga. Anna nie próbuje nawet zapamiętać jego imienia. Buldog podaje im rękę i przez kilkoro drzwi z zabezpieczeniem prowadzi do tego samego pokoju przesłuchań bez okna, w którym przesłuchiwali ją poprzednim razem. W dwóch rogach pokoju zainstalowane są kamery, dlatego też postanawia nie rozmawiać ze swoim adwokatem. Spięci, porozumiewają się tylko skinieniem głowy. Przez następne piętnaście minut siedzą w milczeniu, wymieniając jedynie znaczące spojrzenia. Czas mija. To, że Santesson w czwartek przed dziesiątą rano zaplanował jakieś inne spotkanie czy przesłuchanie, jest raczej mało prawdopodobne, w takim razie to jedynie próba usadzenia jej. Taka sztuczka psychologiczna, żeby ją wyprowadzić z równowagi. Sama używała podobnych trików wiele razy, a mimo to wciąż ją dziwi, jakie to skuteczne. Nieprzespana noc i poranny lot

wybiły ją z rytmu. Jest spięta i czujna.

„Spokojnie”, powiedziała by Håkan. Ale po wczorajszym zawodzie już z nią nie rozmawia. Teraz jest zupełnie sama.

Nagle otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi buldog, a za nim niski, lekko otyły mężczyzna w garniturze, z grubą teczką pod pachą.

– Prokurator Tord Santesson – przedstawia się.

Ma trochę ponad pięćdziesiąt lat i, podobnie jak Bengt Andersson, goli swoją łysinę z resztek włosów. Uścisk ręki jest mocny i trochę zbyt długi.

– A więc tak, Anno... – Santesson siada naprzeciwko niej i rozkłada teczkę z dokumentami. Grubymi paluchami bębni po teście i obserwuje jej reakcję. Ma ciemnozielone oczy i inteligentne spojrzenie. – Wiem, że już przechodziłaś przez to wcześniej. – Santesson wykonuje krótki ruch głową w kierunku buldoga, który usiadł koło niego. Palce cały czas bębnią w teczkę. – Otóż poprzedni prokurator był gotowy umorzyć sprawę, ale ja postanowiłem, że jeszcze raz się jej przyjrzymy. Każdemu jej szczegółowi. I dobrze się stało. – Palce zatrzymują się.

Anna czuje, jak do ust napływa ślina, ale powstrzymuje się przed przełknięciem.

– Udało nam się zgromadzić trochę nowych informacji, które nie są dla ciebie zbyt obiecujące... – Palcem wskazującym stuka kilka razy w teczkę. – Zacznę od tego, że mamy nowego świadka. Pielęgniarkę... – Santesson robi przerwę, ścisza głos. – Zmieniła oddział tuż przed śmiercią twojego byłego męża, dlatego nie była wcześniej przesłuchiwana.

Palce znów zaczynają swoje bębnienie. Anna czuje na sobie jego spojrzenie i bardzo wiele ją kosztuje, żeby na niego spojrzeć.

– Pielęgniarka twierdzi, że zadawałaś jej dość szczegółowe pytania odnośnie do pompy infuzyjnej. Tak szczegółowe, że pamięta je do tej pory. – Santesson milknie i uśmiecha się krzywo. – Moi współpracownicy sprawdzili już twój komputer służbowy i prywatny laptop, nic nie znaleźli, ale wydałem polecenie, żeby przeszukali wszystkie komputery w twoim poprzednim miejscu pracy. I oto co

mamy...

Na środku stołu kładzie przed Anną kartkę, tak że i ona, i adwokat muszą się pochylić, by ją zobaczyć.

– W komputerze jednego z twoich kolegów z pracy znaleźliśmy instrukcję manualnej obsługi pompy infuzyjnej, dokładnie takiego samego typu jak ta, która była podłączona do twojego byłego męża. Wyszukiwanie było robione tuż po dwunastej, twój kolega wyjaśnił nam, że często, kiedy wychodzi na lunch, nie wylogowuje się z systemu. Powiedział też, że ponieważ byłaś szefem ich grupy dochodzeniowej, często bywałaś w jego pokoju. – Santesson znów robi przerwę, wymienia z adwokatem Anny krótkie spojrzenie i uśmiechając się z zadowoleniem, szykuje się do decydującego ataku. – I ostatnia rzecz. A mianowicie pompa infuzyjna, która przedawkowała lek i zabiła twojego byłego męża... – Jego odpychające paluchy znów są na teczce. – Jeszcze raz ją zbadaliśmy. Czy jesteś w stanie podać nam choć jeden powód, dla którego mogłyby się na niej znaleźć twoje odciski palców?

Palec wskazujący wykonuje mały zwycięski ruch. Anna zauważa, jak adwokat poprawia się na krześle, ale zanim zdąży coś powiedzieć, Santesson pochyla się do przodu.

– Håkanowi nie zostałooby wiele czasu, Anno. – Jego głos robi się miękki. – Może tydzień, nie więcej. Ulżyć komuś w cierpieniu nie jest morderstwem ani przestępstwem. To raczej czyn miłosierdzia i współczucia. A nawet dowód miłości.

Santesson uśmiecha się smutno. I tym razem Annie nie udaje się powstrzymać odruchu przełknięcia.

– Chyba będę mówił w imieniu nas wszystkich znajdujących się w tym pokoju, jeśli powiem, że z łatwością możemy postawić się w twojej sytuacji. A nawet więcej, być może wielu z nas zareagowałoby podobnie. – Santesson przechyla głowę. – Prawda, Anno? Czyn miłosierdzia?

W pokoju panuje milczenie, a napięcie jest tak duże, że Annie aż trudno złapać oddech.

– Ach-ch-ch tak...

Jąkanie nadchodzi w najmniej odpowiednim momencie. Jedno z tych silniejszych, które pojawiają się tylko kilka razy w roku. Anna próbuje łąpać powietrze, próbuje swoich zwykłych sztuczek, żeby tylko opanować jąkanie. Na próżno. Jej struny głosowe są ściśnięte i nie chcą puścić, mimo iż składa dłonie i patrzy w podłogę. Brak tlenu powoduje, że pulsuje jej w skroniach.

Czuje na ramieniu dłoń adwokata, unosi jego rękę, zanim on jeszcze zdąży zaproponować przerwę.

– Po-oo-czekaj! – wydobywa w końcu z siebie.

Z trudnością przełyka ślinę i nareszcie czuje, że skurcz krtani mija. Wypełnia płuca powietrzem. Raz, drugi. Pulsowanie skroni też powoli ustaje. Podnosi głowę, najpierw napotyka zmieszany wzrok adwokata, potem Santessona, który wciąż przechyla głowę i uśmiecha się fałszywie. Buldog pochyla się do przodu, jakby zwęszył krew. Anna zamyka oczy i wciąga powietrze.

– Pomyśl o swojej córce – mówi Santesson miękkim głosem. – Czy Agnes nie zasługuje na to, żeby poznać prawdę na temat śmierci swojego taty?

Przed oczami Anny pojawia się twarz Agnes. Santesson z taką łatwością używa imienia jej córki, jej małej dziewczynki, jakby ją znał. Anna otwiera oczy i oblizuje wargi. Oczy kamer w obu rogach pokoju obserwują ją. Santesson pochyla się jeszcze bliżej, tak jakby chciał ją lepiej słyszeć. – W którym roku kończyłeś kurs? – pyta Anna przesadnie spokojnym głosem.

– Co takiego? – Udawane współczucie Santessona blednie. Zaczyna mu drgać powieka.

– Kurs FBI, techniki przesłuchań. W którym roku go kończyłeś? Bo ja w dwa tysiące dziesiątym w Nowym Jorku. – Anna czuje, jak wściekłość ściska jej gardło, ale po chwili odpuszcza.

Powieka Santessona drga odrobinę szybciej i nie przestaje, mimo iż mężczyzna mruży oczy.

– Niezły jesteś – kontynuuje Anna. – Najpierw ta teczka, którą wypełniłeś jakimiś papierami, żeby wyglądała, że coś na mnie masz. Poprzednim razem, kiedy tu byłam, nie była tak gruba nawet

w jednej czwartej. – Anna palcami pokazuje grubość teczki. – A potem to bębnienie w nią od czasu do czasu, żebym cały czas się zastanawiała, co to w niej takiego na mnie masz. Wszystkie dowody przeciwko mnie ułożone w kupkę. Nieźle to wymyśliłeś.

Usta Santessona zmieniają się w wąską kreskę, prawie tak samo jak wargi Elisabet Vidje.

– To posunięcie z odciskami na pompie też było sprytne – kontynuuje Anna. – Słowem nie wspomniłeś, że na pompie infuzyjnej znaleźliście moje odciski palców. Zapytałeś po prostu, czy jestem w stanie podać choć jeden powód, dla którego mogłyby one się tam znaleźć... Brzmi podobnie, ale znaczy coś innego. Jak człowiek jest zestresowany, nie widzi różnicy, nie?

Wyraz twarzy Santessona nie zmienia się, ale buldog siedzący obok nie ma już takiej pokerowej miny jak przed chwilą. Jego wzrok wędruje niespokojnie, unika jej spojrzenia i zatrzymuje się pytająco na swoim szefie.

– A już kropką nad i jest samo zakończenie – kontynuuje Anna. – Kiedy to umniejszasz cały ten czyn, żeby brzmiał bardziej akceptowalnie. Nie jak morderstwo, tylko czyn miłosierdzia. Nie jak przestępstwo, tylko jako akt współczucia i miłości. Bo akt miłości powoduje, że dużo łatwiej się przyznać. Wtedy jest się dobrym człowiekiem, a nie prawdziwym przestępcą, prawda?

Santesson poprawia się na krześle, ściąga usta tak mocno, że niemal znikają. Na jego skroni pojawia się mała, ledwie widoczna kropla potu, którą wyciera nerwowym ruchem.

– Coś ci powiem, Santesson – mówi Anna z wymuszonym spokojem. – Tak, rzeczywiście zapytałam jedną z pielęgniarek, jak funkcjonuje pompa infuzyjna. Nie ma w tym nic dziwnego. Morfina była jedynym lekarstwem, które pomagało mu w tych ostatnich tygodniach, więc zapytałam, jak funkcjonuje pompa i jak dużą dawkę dostaje. – Anna milknie. Uświadamia sobie, że ani razu się nie zacięła. Wypełnia płuca powietrzem i zwalnia nieco tempo, żeby się zabezpieczyć przed ewentualnym zająknięciem. – Natomiast jeśli chodzi o wyszukiwania w komputerze, to nie mam na to żadnego

wyjaśnienia. I wcale nie muszę. To do ciebie należy udowodnić, że to ja. Jesteś w stanie? Czy w tym swoim opasłym tomie masz coś, co łączy mnie z komputerem mojego kolegi z pracy?

Anna pochyła się do przodu i w taki sam sposób jak Santesson stuka palcem w jego grubą teczkę. Mężczyzna o twarzy buldoga kręci się nerwowo, niemalże niewidocznie odsuwa się od swojego szefa, jakby chciał się zdystansować od tego, co się tutaj dzieje.

Santesson wpatruje się w Annę i już nie próbuje ukryć swojej wściekłości. Ona też świdruje go wzrokiem przez kilka sekund, po czym odchyła się na krześle. Teoretycznie Santesson może ją zatrzymać bez żadnych dowodów i zamknąć na czterdzieści osiem godzin, chociażby po to, żeby się zemścić. Dlatego najlepiej, żeby tego chuja już bardziej nie prowokować. Lepiej dać mu szansę odwrotu, niż go jeszcze bardziej upokorzyć.

– Fakty są takie... – Anna bierze oddech – ...że nie mam zielonego pojęcia, w jaki sposób Håkan dostał tę ostatnią dawkę morfiny. Może to ktoś z personelu się nad nim zlitował albo coś nie tak było z pompą. Może zepsuł się wskaźnik albo po prostu zadziałała siła wyższa. Niezależnie od wszystkiego, jestem wdzięczna. – Anna lekko pochyła głowę, na jej twarzy pojawia się delikatny smutek. Poszło łatwiej, niż przypuszczała. – Håkan był niesamowicie silny – mówi cicho. – Bardzo walczył, żył dłużej niż większość ludzi z tak zaawansowanym nowotworem. I w końcu się poddał.

Santesson wciąż się w nią wpatruje, a adwokat i buldog siedzą w idealnej ciszy. W powietrzu czuć napięcie. Anna nadal patrzy na Santessona i wydaje jej się, że gdzieś głęboko w jego spojrzeniu dostrzega odrobinę szczerego współczucia. Pod tą szorstką skorupą on też jest człowiekiem, który czuje, który ma rodzinę, empatię.

– Håkan był ojcem mojego dziecka – mówi Anna cicho. – I choć się z nim rozwiodłam, był miłością mojego życia i moim najlepszym przyjacielem. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. Żebym z nim nie rozmawiała, żebym nie tęskniła. – Anna przetyka ślinę. – Chciałam, żeby umarł. Bardzo chciałam, żeby umarł. – Anna łapie powietrze. – Ale go nie zabiłam.

Jesień 2017

Anna i jej adwokat czekają w recepcji, podczas gdy Santesson naradza się ze swoimi współpracownikami. Kiedy tylko znikają im z pola widzenia i słuchu, odzywa się adwokat:

– To była albo najgłupsza, albo najsprytniejsza rzecz, jaką zrobiłaś.

Anna potrząsa głową.

– Chyba posunęłam się trochę za daleko. Ale kiedy próbował wciągnąć w to Agnes... – Mdłości przychodzą nagle i bez ostrzeżenia, zaczynają się głęboko w trzewiach i przesuwiają się w górę.

– Przepraszam, ale muszę...

Anna idzie do toalety, spokojnie, najspokojniej, jak tylko potrafi. Zaczyna biec, dopiero kiedy ma dwa metry do kabiny. Rzuca się na kolana i rzyga jak kot.

Przesypia całą drogę, na lotnisku Sturup ląduje dopiero późnym popołudniem. Natłok myśli opuszcza ją, gdy wychodzi z samochodu. Zrobiła, co mogła, uchroniła się przed zatrzymaniem, co oczywiście liczy się na plus. Jednak śledztwo wciąż trwa, poza tym przeczołganie Santessona na oczach jego współpracownika na pewno nie było dobrym pomysłem. Prokurator generalny nie należy do ludzi, po których to sływa, Santesson skorzysta z pierwszej lepszej okazji, żeby się na niej zemścić. Ma to jak w banku. Pytanie tylko kiedy i gdzie. Teraz jednak nie ma już siły o tym myśleć. Chce jak najszybciej znaleźć się w domu.

Bo tak już zaczęła myśleć o Nedanås i Taborze. Mimo iż mieszkają tu dopiero kilka tygodni, to i ona, i Agnes traktują to miejsce jak swój dom.

W komórce ma dwie nagrane wiadomości. Jedna od ojczyma Rylandera. Ten okropny handlarz złomem narzeka na pocztę Rylandera i odgraża się, że „odeślę to całe gówna na policję”. Druga wiadomość jest dużo przyjemniejsza. Kobięcy głos przedstawia się jako Liza Savic i mówi, że jest najstarszą córką Joakima Rylandera. Informuje również, że kiedy w następnym tygodniu będzie w Nedanås po jego rzeczy, to zadzwoni.

Anna ma mętlik w głowie i musi minąć kilka minut, zanim ta nowa informacja do niej trafi. Przecież to jest to samo nazwisko, które nosiła towarzyszką Rylandera w kamieniołomie, a potem na stacji benzynowej. Tanja Savic, zmarła z przedawkowania na początku dwa tysiące drugiego roku. Mów-mi-Lasse wspominał, że rozmawiał z jej córką, ale do Anny dopiero teraz to dotarło. Joakim Rylander i Tanja Savic mieli dziecko. Córkę o imieniu Liza. Czy to ma jakieś znaczenie dla śledztwa? Po chwili namysłu decyduje, że odpowiedź brzmi nie.

Anna jedzie główną drogą i mija znak pokazujący miejscowość Reftinge. Chwilę później dojeżdża do małej stacji benzynowej. Jest ciekawa, czy to na tej stacji Rylander został zatrzymany tej nocy, kiedy zginął Simon Vidje. Postanawia to sprawdzić. Pracownikiem stacji jest dziewczyna w wieku dwudziestu pięciu lat, która okazuje się córką właściciela. Kiedy Anna pokazuje legitymację policyjną i tłumaczy, o co chodzi, dziewczyna dzwoni do ojca z pytaniem, czy pamięta tamto wydarzenie. Ma szczęście, okazuje się bowiem, że to właściwa stacja i właściwa osoba. Dziewczyna podaje jej słuchawkę.

– Parę minut po pierwszej w nocy podjechała na stację jakaś para na motorze – opowiada mężczyzna po drugiej stronie słuchawki. – Chłopak i dziewczyna. Już z daleka było widać, że będą kłopoty. Chłopak był pijany i agresywny. Kilka razy nią potrząsnął, a nawet wydawało mi się, że ją spoliczkował. Od razu zadzwoniłem na policję w Reftinge. Kiedy zatankował i przyszło do płacenia, próbował ukraść zapalniczkę... jakieś tanie gówna, które trzymamy przy kasie. Kiedy powiedziałem, że musi za to zapłacić, skurczybyk bardzo się zdziwił. Popchnął mnie i rzucił rzeczy z lady, tak jakby szukał

zaczepki. Dziewczyna próbowała go uspokoić, ale na próżno. Wtedy pojawiła się policja i go zabrali.

– A co z dziewczyną?

– Zrobiło mi się jej żal, więc podrzuciłem ją na autobus do Klippan, który odchodzi o drugiej. Wydawało się, że to dobra dziewczyna, która wpadła w złe towarzystwo.

Anna kupuje napój energetyzujący i pije przy samochodzie. Już po kilku minutach czuje się ożywiona i w lepszym nastroju. Wiatr z równin smaga ją po policzkach, a w jej ciało wstępuje nowe życie. Przez ostatni odcinek drogi zrzuca z siebie wydarzenia ze Sztokholmu. Dlatego kieruje myśli na Joakima „Joe” Rylandera. Ani jego, ani Tanji Savic nie było w kamieniołomie w chwili śmierci Simona Vidje, w każdym razie tak twierdzi czterech pozostałych świadków. A jednak w swoim mailu Rylander sugeruje, że coś wie o śmierci Simona i że chce pieniędzy za milczenie. To z kolei, z dużym prawdopodobieństwem, wskazuje na motyw zabójstwa.

Co zatem wiedział Rylander? Mail z szantażem został wysłany do całej czwórki, a więc sprawa dotyczyła ich wszystkich. A jeśli to był tylko podstęp? Wybieg, żeby wyrzucić nacisk na tego, kto ma coś do ukrycia? A może na całą czwórkę? Następne pytanie brzmi: w jaki sposób Rylander zdobył kasetę z nagraniem Simona? Przecież całe studio razem z wszystkimi jego rzeczami spłonęło dzień po jego śmierci. Czyżby Rylander miał coś wspólnego z pożarem, a może zdobył kasetę w innych okolicznościach?

Kiedy Anna wraca do domu, jest pusto, nie ma też vespy Agnes. W pierwszym odruchu chce zadzwonić do niej i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zamiast tego pisze wiadomość z pytaniem, co by chciała zjeść na kolację. Czeka kilka minut z telefonem w ręku, ale odpowiedź nie przychodzi.

Wypuszcza Milo na dwór, a ten głupi pies, jak zwykle, traktuje ją niczym powietrze. Kiedy Milo jest na dworze, Anna bierze prysznic, żeby zmyć z siebie Sztokholm, Santessona i przesłuchanie. Przekonuje samą siebie, że zrobiła, co mogła, że nie warto przejmować się na zapas, i czeka, aż odezwie się Håkan. Ale jakoś się

nie pojawia. Jego nieobecność powoduje, że Anna czuje przeraźliwą pustkę. Ciepła woda spływa jej po włosach i po twarzy, dopóki się nie skończy.

Odpowiedź Agnes jest krótka: „Nie ma znaczenia”. Wprawdzie nie takiej Anna oczekiwała, ale musi jej to wystarczyć. Ich relacje się nadwyrężyły – krok w przód, krok w tył – mimo to Anna wmawia sobie, że są na dobrej drodze. Że wszystko się ułoży. Dziś wieczorem jest jej trudniej niż zwykle.

Wkłada podkoszulek i spodnie od dresu, zarzuca na siebie bawełniany szlafrok i wzuwa kaptcie. Na dworze zaczyna się już ściemniać i kiedy wychodzi na schody, żeby wpuścić Milo, zauważa migoczące światło między drzewami. Najpierw jest przekonana, że to vespa Agnes, ale okazuje się, że to samochód. Anna stoi na schodach i czeka. Kiedy pod drzwiami podjeżdża pick-up Kleina, Anna widzi, że na miejscu pasażera siedzi Agnes.

– Cześć, mamó – mówi, a jej głos nie jest ani miły, ani niemiły, choć na powitanie nie przytula się, tylko posyła jej krzywy uśmiech. – Byłam w Änglaberdze, żeby zrobić zdjęcia obrazów Karla-Jo w piwnicy Matsa. Ciocia Elisabet poprosiła Kleina, żeby mnie odwiózł do domu. Dostałyśmy jabłka.

Zanim do Anny dociera, że Agnes zaczęła nazywać Elisabet Vidje „ciocią”, z samochodu wychodzi Klein i niesie skrzynkę pełną jabłek.

– Odmiana Cox Orange – mówi. – Mamy ich mnóstwo.

– Oj, dziękuję. – Anna przesuwając się na bok i wpuszcza ich do kuchni.

Klein stawia skrzynkę na stole, a Agnes idzie do swojego pokoju. Milo stoi nieruchomo i na widok Kleina znów wygląda, jakby był zahipnotyzowany. Nie idzie za Agnes, dopóki ta go nie zawoła.

Klein zaczyna się wiercić niespokojnie i spogląda na drzwi do pokoju Agnes.

– Właściwie to chciałbym z tobą zamienić kilka słów, Anno. Może wyjdziemy na dwór?

Anna wychodzi z nim i odprowadza go do samochodu. Wieczorne powietrze jest wilgotne, chłodne i pachnie wilgocią.

Dopiero teraz Anna widzi, że vespa Agnes stoi na przyczepie, przymocowana gumowymi linami.

– Poczekaj, pomogę ci.

Klein potrząsa głową, spoglądając znacząco na jej kapcie i szlafrok.

– Sam zdejmę. Ty raczej nie masz odpowiedniego ubrania.

Opuszcza tylne drzwi przyczepy, wyciąga grubą deskę, którą układa na brzegu przyczepy, tworząc prowizoryczną rampę, i zdejmuje vespę. Wydaje się, że to prosta sprawa, ale Klein wzdycha ciężko kilka razy, co przypomina Annie, że jest dużo starszy, niż na to wygląda.

– No dobrze. – Klein stawia vespę koło domu, podnosi czapkę z daszkiem, która ma taki sam kolor jak jego płaszcz przeciwdeszczowy, i grzbietem dłoni wyciera pot z czoła. Z kuchni słychać Agnes. Odgłosy brzmią tak, jakby przygotowywała kolację.

– A więc... – Klein podchodzi nieco bliżej. Na jego zazwyczaj sztywnej twarzy rysuje się teraz lekkie zakłopotanie. – Elisabet mi powiedziała, że ten zabity mężczyzna, którego znaleźliście w poniedziałek niedaleko Glarei, ma coś wspólnego ze śmiercią Simona.

Anna wolno kiwa głową i czeka na dalszy ciąg. Klein wstrzymuje oddech, tak jakby szukał odpowiednich słów.

– Przez ostatnie dwadzieścia siedem lat Elisabet żyła właściwie w nadziei na jedną jedyną rzecz: wznowienie śledztwa w sprawie śmierci Simona. – Poprawia czapkę na głowie. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że dzięki tobie Elisabet odżyła, za co ci jestem wdzięczny. Jednocześnie... – Klein milknie, spoglądając na otwarte drzwi. – Jednocześnie muszę cię ostrzec – ścisza głos. – Są ludzie, którzy nie chcą, by to odgrzebywać. I są gotowi zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

– Masz na myśli ten spalony garaż? Studio Simona i samochód Karla-Jo? – Anna pokazuje ręką na budynek gospodarczy, w którym stoi wrak samochodu.

Na twarzy Kleina widać zaskoczenie, przez krótki moment może nawet strach.

– Skąd ty... – zaczyna, ale przerywa, żeby odzyskać równowagę. Jego głos staje się głębszy. – Chcę cię tylko ostrzec, żebyś dobrze się zastanowiła, zanim zaczniesz działać. – Mężczyzna pochyla się do przodu, tak że ich twarze są teraz bardzo blisko siebie. – Elisabet to najważniejsza osoba w moim życiu. Jeśli coś jej się stanie...

Klein nie kończy zdania, zmienia pozycję i naciąga czapkę na czoło. Następnie wskakuje do samochodu i odjeżdża z piskiem opon.

Agnes na dobre zaczęła przygotowywać kolację, kończą ją wspólnie z Anną, potem jedzą i miło rozmawiają. Po chwili rozmowa kieruje się na Simona Vidje. Agnes jest bardzo zainteresowana malowidłem i historią, jaka się za nim kryje. Zadaje szczegółowe pytania, o obraz i o osoby związane z tą tragedią. Anna stara się na wszystkie odpowiedzieć, nie naruszając jednocześnie tajemnicy służbowej, jednak w tej sytuacji jest to prawie niemożliwe.

Po kolacji Agnes przynosi aparat, przerzuca kartę pamięci do komputera i pokazuje Annie zdjęcia, które zrobiła u Matsa w jego dziwnej piwnicy.

– Te też namalował Karl-Jo. – Agnes pokazuje zdjęcia z niedużej gabloty.

Motyw leśny. Wysokie szare drzewa, jakby znikające we mgle, i ledwie zarysowane sylwetki, w połowie drzewo, w połowie jakieś leśne stworzenie. Wewnątrz gabloty Mats zbudował z kamienia kawałek pola. Musiało mu to zabrać sporo czasu. Na jednym z większych kamieni siedzi żmija zygzakowata i coś pożera, przypuszczalnie mysz. Z paszczy wystają jedynie tylne łapy i ogon. Przez soczewkę aparatu wygląda to bardzo prawdziwie. Aż trudno to odróżnić od rzeczywistości.

– Czy Mats mówił, co Karl-Johan sądzi o jego zbiorach?

– Karl-Johan malował w Taborze widoczki i Mats dostał kilka od niego. Swoje zbiory trzyma w piwnicy już od połowy lat osiemdziesiątych, ale Karl-Johan nigdy ich nie widział. Mats mówił, że nie lubi martwych zwierząt. Szkoda, że nie wszyscy tak myślą...

– Agnes ściąga nieco usta.

Anna przypomina sobie opowieść Morella o rannym jeleniu, który przybłąkał się do Taboru, i zastanawia się, czy nie powiedzieć o tym Agnes.

Córka pochyla się na krześle do przodu i nieświadomie zakłada za ucho kosmyk włosów. Ten gest tak bardzo przypomina Annie Håkana, że aż rani jej serce.

– Pytałam Matsa o Simona – mówi Agnes. – Najpierw chętnie zaczął opowiadać o jego studiu nagraniowym, o muzyce. Że potrafił grać na pięciu instrumentach i że był przez wszystkich lubiany. Ale jak temat zszedł na ten wypadek, od razu posmutniał i nie chciał wcale o tym mówić. Powiedział tylko, że wraz z Simonem zniknęła z Änglabergi cała radość. I że już nigdy nie wróciła. Potem poszedł do siebie i zamknął drzwi. Sama musiałam się stamtąd wydostać. Ciocia Elisabet zobaczyła mnie, jak uruchamiałam vespę, i zaprosiła na herbatę. Mats miał rację, cała Änglaberga jest jakaś taka ponura, prawda?

– Mhm.

Obie siedzą w milczeniu przez kilka sekund.

– Czy wierzysz w to, że od smutku można oślepnąć? – pyta Agnes.

– Naprawdę nie wiem. Niektóre choroby mogą być wywołane jakimiś traumatycznymi wydarzeniami. Ale jak to jest z...

– *Retinitis pigmentosa* – uzupełnia Agnes. – Sprawdziłam w Googlach. Najpierw jest pogorszenie widzenia w ciemności, a potem znikają wyraźne kształty i kolory, zmniejsza się pole widzenia, aż do wąskiego czarno-białego paska. – Agnes smutno potrząsa głową. – To musiało być straszne, szczególnie dla kogoś takiego jak Karl-Johan, który żył kolorami i obrazami. Okropność.

– Niektóre choroby są lepsze, niektóre gorsze.

Anna uświadamia sobie, co powiedziała, dopiero kiedy jej słowa wybrzmiewają. Agnes sztywnieje, jej oczy zaczynają błyszczeć, a Anna klnie w duchu.

– Chciałabym, żebyś czegoś posłuchała – mówi, żeby przełamać napięcie. – To nagranie Simona Vidje.

Anna przynosi swój telefon i uruchamia filmik, który przysłał jej Friberg. Z małego głośnika dochodzi głos Simona.

Agnes poprawia się na krześle, już jest mniej spięta. Kiedy słucha, przechyla głowę lekko na bok. Tak samo jak to robił Håkan. I ten ruch też Annę rani.

– Możesz mi to przesłać na telefon? – pyta Agnes. – Postucham w swoim pokoju.

Jesień 2017

Na stację Agnes jedzie vespą, więc Anna ucina sobie jeszcze półgodzinną drzemkę. Nagle przypomina jej się, że Morell ma dzisiaj uroczystość pożegnalną, więc szybko prasuje bluzkę i rusza do pracy. W biurze wyjmuje akta ze śledztwa Simona Vidje i jeszcze raz je przegląda. Rysuje ós czasu.

Bruno i Alex przyjeżdżają do kamieniołomu samochodem Alexa o trzeciej po południu.

Simon przyjeżdża na rowerze jakieś pół godziny później, a niecałą godzinę po nim pojawiają się Marie i Carina, też samochodem.

Oba auta są zaparkowane przy barierkach, które znajdują się około kilometra od kamieniołomu – Anna sprawdziła odległość, gdy tam była. Simon swoim rowerem może dojechać jeszcze dalej.

Około siódmej rozpalają ognisko, a po ósmej pojawiają się Joe i Tanja na motorze, którym z pewnością można się przecisnąć przez barierki.

Tuż przed północą, według Bruna o 23:40, a według Marie o 23:50, Joe i Tanja opuszczają kamieniołom. Wtedy zaczyna lać deszcz.

O 1:36 Joe Rylander zostaje zatrzymany na stacji benzynowej pod Reftinge. Joe i Tanja są tam już od około kwadransa.

Według raportu z obdukcji Simon Vidje umiera między pierwszą a drugą w nocy.

Około piątej nad ranem przestaje padać. Marie Sordi wychodzi z namiotu, który dzieli z Cariną Pedersen, i odkrywa leżące w wodzie ciało Simona Vidje.

Gdy orientują się, że Simon nie żyje, Bruno Sordi bierze samochód Marie i jedzie zadzwonić na policję i po ambulans. Änglaberga nie leży daleko od kamieniołomu, jednak Bruno jedzie aż do Mörkaby.

Patrol policyjny jest na miejscu o 5:54. Ambulans i straż pożarna przyjeżdżają chwilę później.

Anna czyta kilka razy to, co zanotowała, ale nie znajduje w tym żadnej luki. To, że Bruno pojechał po pomoc aż do Mörkaby, a nie do Änglabergi, jest może trochę dziwne, ale z drugiej strony w pełni zrozumiałe. Prawdopodobnie nie chciał być tym, który zawiadomi Karla-Johana i Elisabet o śmierci ich syna.

W przerwie na lunch Anna znów idzie do archiwum. Znalezienie meldunku o pożarze w Änglaberdze i zabranie go do gabinetu zajmuje jej dosłownie kilka minut. Całe dochodzenie to zaledwie dwie strony A4. Najpierw meldunek, spisany przez policjanta, którego nazwiska Anna nie zna.

30 sierpnia o godz. 2:23 w nocy radiowóz 3485 przyjął z Änglabergi zgłoszenie o pożarze garażu. Na miejscu znajdowali się właściciele posiadłości, Karl-Johan i Elisabet Vidje, oraz ich zarządca, Bror Klein. Klein, który mieszka w pobliżu, twierdzi, że z okna swojego domu zauważył płomienie. Zaalarmował straż pożarną, a następnie udał się do posiadłości, żeby samemu spróbować ugasić pożar.

Po przybyciu patrolu policyjnego budynek garażu był cały zajęty ogniem. Straż pożarna, która wkrótce przybyła, skupiła się głównie na ratowaniu znajdujących się w pobliżu budynków stajni. Poza kilkoma mniejszymi poparzeniami rąk Kleina nie zanotowano większych obrażeń. Nie zanotowano również ryzyka takowych, gdyż na terenie budynku nie było ludzi.

Druga kartka to krótka notatka sporządzona przez Henry'ego Morella.

Podczas rozmowy z właścicielami posiadłości stwierdza się, iż strych budynku służył za studio muzyczne. W związku z powyższym znajdowały się tam instalacje elektryczne zainstalowane domowym sposobem. Pożar, według kapitana straży Einarssona, najprawdopodobniej wybuchł na strychu w wyniku zwarcia

elektrycznego. Materiał izolacyjny użyty w studiu pomógł w szybkim rozprzestrzenieniu się ognia. Wkrótce ogień zajął łatwopalne substancje przechowywane w garażu na parterze budynku. Płomienie zajęły również zaparkowany tam samochód. Zatankowany do pełna zbiornik jeszcze wzmógł pożar.

Anna wkłada oba arkusze do akt śledztwa Simona Vidje. Zgon, a następnie, zaledwie dobę później, pożar... I oba dotyczą rodziny Vidje. Dwa zdarzenia w odstępie dwudziestu czterech godzin i oba zakwalifikowane jako nieszczęśliwy wypadek...

Osobą niewątpliwie zamieszaną w obie te sprawy jest Henry Morell.

Uroczystość pożegnalna Morella w urzędzie gminy to ceremonia jak każda inna. Papierowe talerzyki, tort i plastikowe kubki z tanim winem. Obecni są wszyscy pracownicy policji, urzędnicy gminy oraz lokalni przedsiębiorcy. Atmosferę umiła miejski kwartet instrumentów dętych z Nedanås. W powietrzu czuć zapach piwa, kawy i piątku.

Anna wita się najpierw z Evą-Britt, a następnie z Fabbem Sordim, oni zaś odwzajemniają powitanie przyjaznym skinieniem głowy, jednak żadne z nich nie podchodzi do niej, żeby porozmawiać. Anna podejrzewa, że ma to związek z awanturą w Parku Miejskim. Bruno też jest obecny, jednak celowo unika Anny, tak przynajmniej jej się wydaje. Nie widać natomiast Alexa Morella, co sprawia jej ulgę, a jednocześnie lekki zawód.

Najpierw przemawia Marie Sordi. Opowiada o tym, że zna Morella jeszcze z czasów dzieciństwa. O tym jak ona, Alex, Bruno i Carina zawsze byli bardzo blisko rodziny Morellów. Oczywiście Simon w jej opowieści zostaje pominięty. Z drzeniem w głosie nazywa Morella „wujkiem Henrym”, mówi, że zasłużył na odpoczynek, i go przytula.

Następnie głos zabiera ojciec Marie. Bengt Andersson długo rozwodzi się na temat swojej współpracy z Morellem i tego, jak to wspólnie pomogli Nedanås przejść przez trudne lata i wprowadzić miasto w złote czasy, które z pewnością teraz nadchodzą. Bengt

i Marie wręczają Morellowi plaketkę z herbem gminy i jego nazwiskiem.

A jednak w tym wszystkim dzieje się coś nieoczekiwanego. Morellowi zostaje wręczona ogromna paczka, na którą według przedmówców złożyła się cała gmina. To automatyczna kosiarka do trawy. Widząc ten podarunek, Morell rozjaśnia się jak dziecko na widok prezentu gwiazdkowego.

– Raczej niezgodnie z przepisami – szepcze Jens Friberg stojący obok Anny. – Ale, oczywiście, zasłużenie – dodaje bez zauważalnej ironii.

Następnym mówcą jest naczelnik policji całego regionu, niski poważny mężczyzna, którego Anna spotkała tylko raz, podczas rozmowy w sprawie objęcia stanowiska po Morellu. Teraz, jeszcze przed uroczystością, zdążyli zamienić zaledwie kilka słów. Jedyne, czego Anna nauczyła się o swoim szefie, to to, że zgodnie z ogólnie panującą opinią jest nudnym biurokratą. Anna wie, że jest prawnikiem i nie ma wykształcenia policyjnego, jednak podobno jest dobry w planowaniu budżetu, co czyni go popularnym we władzach gminy. I podobnie jak większość nie-policjantów w zarządzie jest zachwycony i dumny ze swojego munduru. Buty wypastowane na błysk i marynarka. Guziki i pagony lśnią, aż oczy bolą. Prawdopodobnie kilka razy w miesiącu je czyści, tak jak i znaczek na czapce, którą uparcie nosi pod pachą, jak jakiś amerykański oficer marynarki wojennej. Swoim mrukliwym głosem naczelnik wychwala Morella za wkład oraz zaufanie, jakie sobie zaskarbił wśród społeczności. Gratuluje mu również ukończenia różnych kursów i szkoleń, które przez wszystkie te lata podnosiły kompetencje nie tylko jego, ale i całego zespołu.

Ostatnim z mówców jest pani wojewoda, uprzejma kobieta tuż po sześćdziesiątce, która w mig odczytuje intencje słuchaczy i swoje przemówienie kończy bardzo szybko. Chwali Morella, zwraca się również do Evy-Britt, która od teraz będzie go miała w domu na cały etat, a następnie kończy mowę słowami, że ma nadzieję, iż policjanci tacy jak Morell to nie żaden wymierający gatunek i po nim przyjdą

kolejni. Potem proponuje, aby wszyscy zgromadzeni uczcili Morella tak zwanym skańskim hura, co w praktyce oznacza, że to „hura” wykrzykuje się trzy, nie cztery razy.

Na końcu głos zabiera sam Morell. Jest najwyraźniej wzruszony, dziękuje za prezenty i życzenia, dziękuje również swoim przełożonym, a następnie żonie. Potem nieoczekiwanie zwraca się do Anny, życząc jej szczęścia i dobrego początku. Podnosi kieliszek i wznosi toast:

– Na zdrowie, Anno. Mam nadzieję, że łatwo wejdiesz w naszą społeczność tu, w Nedanås. – Jego głos jest wesoły, oczy roześmiane.

A jednak gdy tylko spuszcza z niej wzrok, Anna widzi w jego oczach również coś twardego.

Jesień 2017

W poniedziałek rano Anna budzi się wypoczęta. Zdąza jeszcze przeczytać nocne wydanie lokalnej gazety i na czas podrzucić Agnes na pociąg. W samochodzie słuchają radia i uprzejmie rozmawiają. Mimo czwartkowego starcia ich relacja systematycznie się polepsza, tak jak w miniony weekend. Nawet Milo jakby zauważył tę zmianę i od czasu do czasu potwierdza swoją obecność, zamiast ignorować Annę, jak to ma w zwyczaju.

W biurze Anna miło się wita z Morellem, dziękuje za życzenia i w otwartych drzwiach jego gabinetu ucinają sobie krótką pogawędkę. Morell jest zadowolony, odznaka z herbem gminy zdążyła już znaleźć miejsce wśród fotografii i dyplomów pokrywających ściany jego biura.

– Co słysząc w sprawie Rylandera? Już coś macie?

Anna potrząsa głową.

– Wciąż czekamy na raport z sekcji zwłok i protokół techniczny.

Pół godziny później ni stąd, ni zowąd w jej pokoju pojawia się Jens Friberg. Jego mundur jest jak zawsze starannie wyprasowany, a z jego zaczesanej na bok grzywki nie wystaje nawet jeden kosmyk. Anna chce coś powiedzieć Håkanowi, ale przypomina sobie, że ostatnio się nie odzywa. Co za ironia, bo ona i Agnes nareszcie zaczęły ze sobą rozmawiać.

Jej stosunki z Fribergiem też się polepszyły. Pyta ją o dochodzenie, a ona odpowiada mu to samo co Morellowi.

– Co robimy dalej, jak już dostaniesz raporty? Jaki następny krok? – chce wiedzieć Friberg.

Pytanie jest uzasadnione, a ona miała wystarczająco dużo czasu, żeby się na nie przygotować.

– Jeśli nie pojawi się żaden nowy trop, będziemy musieli przesłuchać Alexa, Bruna, Marie i Caię Biancę.

Friberg robi grymas.

– Pewnie jesteś świadoma, że rozpętasz aferę? Radna gminy, celebrytka, restaurator i syn szefa policji przesłuchiwani w związku ze sprawą sprzed dwudziestu siedmiu lat, o której większość najchętniej by zapomniała... W dodatku zaledwie kilka dni po wizycie pani wojewody i naczelnika...

Anna kiwa głową.

– Tak, tak, wiem, ale to dochodzenie w sprawie o morderstwo. Nie możemy dzielić ludzi na lepszych i gorszych. Poza tym śledztwo dotyczy Joakima Rylandera, a nie Simona Vidje.

Friberg parska.

– Chyba musisz trochę jeszcze poćwiczyć ostatnie zdanie, jeśli chcesz, żeby brzmiało wiarygodnie. – Friberg wstaje. – Mam dzisiaj robotę poza biurem i muszę wziąć radiowóz, ale daj znać, jak będziesz potrzebowała pomocy.

– Dzięki. Jest jedna rzecz, o którą chciałabym cię poprosić, Jens. Właściwie chodzi o radę, jeśli można tak to nazwać...

Friberg uśmiecha się krzywo, wydaje się, że jest bardziej zakłopotany niż zadowolony.

– Chcesz pewnie wiedzieć, czy masz powiedzieć Morellowi o swoich planach. – Friberg potrząsa głową. – Sorry, ale pozwól, że nie odpowiem na to pytanie.

Oba raporty przychodzą tuż po lunchu. Raport techniczny odnośnie do białego saaba nie wnosi nic nowego, więc Anna tylko szybko przerzuca strony. W całym samochodzie są odciski palców Joego Rylandera, a jego DNA na niedopałkach papierosów leżących na podłodze. Poza tym mnóstwo innych odcisków palców, z czego większość w tak kiepskim stanie, że najprawdopodobniej są tam od bardzo dawna. W miejscach najbardziej dla nich interesujących, a więc na kierownicy, na sprzęgle czy na lusterku wstecznym,

znajdują się odciski Rylandera, co wyklucza możliwość, że to kto inny prowadził samochód. Jeśli chodzi o resztki włókien, to tu również nie pojawiło się nic nowego. Stare zużyte siedzenia zawierają z pewnością resztki włókien i włosów zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych, a że saab ma już trzydzieści lat, tym bardziej to nie dziwi. Z tego też powodu trudno stwierdzić, czy znajdujące się tam włókna wniosą coś do śledztwa. Wprawdzie na ogrodzeniu przy miejscu widokowym znajdowało się kilka włókien ze spodni Rylandera, ale i ta informacja niczego nie wniosła.

Raport z sekcji zwłok sporządzony jest wzorcowo. Lekarz sądowy podzielił rany Rylandera na dwie grupy. Pierwszą stanowią obrażenia nabyte w wyniku upadku z dużej wysokości. Zmiażdżenia, złamania, oko, które wypadło z oczodołu, wszystko to opisane jest w porządku alfabetycznym i opatrzone odpowiednimi zdjęciami. Tymczasem druga grupa to lista różnego rodzaju ran otwartych, od małych otarć i zadrapań na czole po dziurę w klatce piersiowej od gałęzi, która przeszła ofiarę na wylot. Lekarz sądowy skonstatował sucho, że jeśli nawet tego typu obrażenia nie są typowe dla upadku, to jednak można je wytłumaczyć upadkiem na drzewo.

Na końcu raportu pojawiają się zdjęcia, które Annę interesują. Przedstawiają zakrwawiony bandaż zawiązany niedbale na łydce Rylandera.

Na łydce prawej kończyny stwierdzono obecność bandaża opatrunkowego z tkaniny gazowej, pod którym znajdowała się świeża rana otwarta. Po dokładnych oględzinach stwierdzono złamanie *fibula* (kość strzałkowa) oraz rany na *tibia* (kość piszczelowa). Ponadto na dżinsach denata odkryto ślady krwi i dziury charakterystyczne dla ran tego typu. Reasumując, stwierdza się, iż w wyniku powyższych ran zdolność poruszania się denata była w wysokim stopniu ograniczona.

Następne dwa zdjęcia przedstawiają otwartą ranę szarpaną.

Anna cofa się pamięcią do krótkiego spotkania z Rylanderem

w Parku Miejskim. Jak ruszył spod ściany w kierunku drzwi, kiedy ją zauważył. Anna nie widziała, żeby wtedy utykał. Tak więc rana oraz złamanie musiało nastąpić jeszcze przed jego śmiercią.

Anna przegląda raport techniczny, dopóki nie znajduje tego, co ją interesuje najbardziej. Trzy zdjęcia brudnych butów Rylandera opatrzone tekstem:

Obuwie sportowe, czarne, Nike. Pokryte grubą warstwą gliny wymieszanej z martwym listowiem buku i brzozy oraz igliwem świerkowym i drobnymi gałązkami. W prawym bucie stwierdzono dużą, nie do końca zakrzepłą plamę krwi. Z badania wynika, iż krew należała do Rylandera.

Anna siedzi, zamyślona, próbując dopasować nową informację do tego, co już wie. Rylander w nocy z soboty na niedzielę zranił się tak mocno, że najwyraźniej miał problem z chodzeniem. A ponieważ rana była zabandażowana, nie mogła mieć bezpośredniego związku ze śmiercią. I to raczej wyklucza samobójstwo. Bo kto opatruje sobie ranę na krótko przed popełnieniem samobójstwa? A więc w jaki sposób powstała rana? Gdzie Rylander spędził ostatnie godziny życia i, co ważniejsze, z kim? Najwyższy czas, żeby się tego dowiedzieć. Ale najpierw Anna musi zdradzić swoje plany Henry'emu Morellowi.

Anna puka do gabinetu Morella, a następnie wchodzi i zamyka za sobą drzwi. Morell spogląda na nią znad ekranu komputera, unosi lekko brwi i zdejmuje okulary.

– Już widzę, że to coś poważnego.

Anna kiwa głową.

– Niestety tak. – Bierze głęboki wdech. – Rylander, ten, którego znaleźliśmy w Glarei, to Joakim Jonsson, który razem ze swoją dziewczyną Tanją Savic był w kamieniołomie tego wieczoru, kiedy zginął Simon Vidje. Rylander sprowokował awanturę w parku i prawdopodobnie próbował szantażować Alexa, Bruna, Marie i Caię

Biancę. – Anna milknie, głównie po to, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła ta informacja na Morellu.

Mężczyzna wykrzywia twarz w grymasie.

– Do diabła... – Drapie się w podbródek i zastanawia się nad czymś.
– A ty uważasz, że któreś z nich ma coś wspólnego ze śmiercią Rylandera, tak w każdym razie interpretuję twoją wizytę tutaj.
– Jego głos robi się twardszy, jedynie odrobinę, ale Anna i tak tego nie lubi.

– Na tę chwilę nie wykluczamy żadnej możliwości... – zaczyna, ale nagle milknie, gdy Morell robi ręką negujący gest.

– Anno, zbyt długo byłem policjantem, żeby wierzyć w takie brednie. Masz przypadek śmiertelny i mimo braku dowodów traktujesz go jako morderstwo. Poza tym uczepliłaś się myśli, że ma on coś wspólnego ze sprawą sprzed dwudziestu siedmiu lat, która została zakwalifikowana jako nieszczęśliwy wypadek, i chcesz teraz poruszyć niebo i ziemię. Mam rację, prawda? – Morell potrząsa głową z dezaprobatą. – Muszę przyznać, że się na tobie zawiodłem, Anno.

Coś w jego głosie powoduje, że Anna czuje ucisk w ciele. Ze złością radzi sobie świetnie, gorzej z zawodem. Jej ojciec używał dokładnie tych samych metod. Nigdy nie podnosił na nią głosu, dawał jej jedynie do zrozumienia, że „zawiódł się na niej”.

– Ostrzegłem cię przed Elisabet Vidje – mówi Morell. – Jest stara i schorowana, ale za tą fasadą kryje się przebiegłość, manipulacja i pamiętliwość. Wydawało mi się, że taka doświadczona policjantka jak ty natychmiast ją rozgryzie. – Morell znów potrząsa głową, tym razem ma ponurą minę. – Mówiłem ci na początku, kiedy się poznaliśmy, że w takiej małej miejscinie jak Nedanås praca policjanta polega na budowaniu relacji z ludźmi. Myślałem, że oboje jesteśmy w tym zgodni. Że pewne sprawy widzimy tak samo. Otworzyłem przed tobą swój dom, poręczyłem za ciebie przed ludźmi, którzy wątpili, czy będziesz odpowiednią osobą na to miejsce. – Morell ściska usta w zbolonym grymasie. – To, że jesteś na usługach Elisabet Vidje, jasno pokazuje, że myliłem się co do twojej osoby.

Anna szuka w myślach dobrej odpowiedzi, ale nic jej nie przychodzi do głowy. Nie oczekiwała, że Morell będzie zachwycony jej planami, ale miała cichą nadzieję chociaż na cień zrozumienia.

Morell zakłada okulary. Jego twarz jest sztywna.

– Ale to przecież już teraz twój posterunek, więc, oczywiście, nie będę ci przeszkadzał. Nie musisz mieć mojej zgody, żeby znowu rozgrzebywać rany po prawie trzydziestu latach, ale nie licz na moje błogosławieństwo, jeśli to tego szukasz.

Morell unosi wzrok znad komputera i skinieniem głowy pokazuje Annie drzwi, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Anna nie ma nic więcej do powiedzenia, wstaje więc z krzesła i kieruje się w stronę wyjścia.

– A tak na marginesie... – mówi Morell surowym głosem, kiedy ona już kładzie dłoń na klamce – ...żeby ci oszczędzić czasu... w poprzednią niedzielę Alexander był w domu. Nie opuszczał swojej piwnicy ani wieczorem, ani w nocy. I możemy to oboje z Evą-Britt potwierdzić. – Morell znów patrzy na komputer i stwarza wrażenie, jakby był zajęty.

– Okej, dzięki za informację. – Anna stoi przez chwilę z ręką na klamce i patrzy na Morella, ale on zachowuje się tak, jakby jej już tam nie było.

Jesień 2017

Anna wie, że ani nie może, ani nie powinna prowadzić przesłuchań na własną rękę. Ze względów czysto praktycznych zawsze lepiej jest to robić we dwójkę. Dwie pary oczu i uszu zapamiętają więcej niż jedna. A ponieważ sprawa jest bardzo delikatna, przydałaby jej się jakaś przeciwwaga. Ktoś, kto w odróżnieniu od tego, co jej zarzuca Morell, nie będzie podejrzany o to, że chodzi na sznurku Elisabet Vidje. Naturalną rzeczą byłoby wybranie sobie kogoś ze śledczych, ale, po pierwsze, Anna ich nie zna, a po drugie, nie wie, czy może im ufać, czy nie pójdą natychmiast do Morella, żeby go o wszystkim poinformować. Po długich rozważaniach w poniedziałkowy wieczór wybór pada na Jensa Friberga. Nie jest wprawdzie z policji kryminalnej, ale budzi ogólny szacunek i na samym komisariacie, i w miasteczku. Poza tym wcześniej nie zawsze żyli w zgodzie, więc nie będzie podejrzewany o stronniczość. Trzeci i najważniejszy powód jest taki, że po prostu zaczęła mu ufać.

I kiedy we wtorek rano pyta go o to, Friberg nie ma z tym żadnego problemu, dokładnie tak jak przypuszczała. Z własnej inicjatywy proponuje, że się przebierze. Już po dziesięciu minutach zjawia się w jej gabinecie w skórzanej kurtce, flanelowej koszuli, w spodniach Fjällräven koloru khaki i w butach marki Meindl. Anna nic nie mówi, czeka na zabawny komentarz Håkana, że Friberg należy do tego typu policjantów, którzy paradują w uniformie, nawet jeśli nie pracują. Ale Håkan wciąż karze ją milczeniem.

– A więc od czego zaczynamy? – pyta Friberg, ruszając z parkingu.
– A raczej od kogo, powinienem być zapytać.

– Od Kotorp – odpowiada Anna. – I Marie, i Bruno są w domu. Dzwoniłam i sprawdzałam.

Friberg prowadzi płynnie, ale nieco agresywnie, tak jak większość policjantów. Wystarczająco dobrze zna drogę na wzgórze, żeby nie wykonywać gwałtownych manewrów. Niedzielny wiatr zrzucił z drzew większość liści i teraz z daleka można dostrzec połyskującą w dole wąwozu rzekę.

W posiadłości Sordich widać, że budowa znów ruszyła. Kilku robotników w żółtych kaskach i brudnych kamizelkach odbłaskowych wyładowuje nieśpiesznie sprzęt na błotniste podwórze.

Anna i Friberg przechodzą przez kładkę nad rowem i kierują się do wejścia. Pukają do drzwi. W środku słychać szczekanie psa, a potem jakiś krzyk. Zapada cisza. Drzwi otwiera Marie Sordi.

– Wejdźcie, proszę – mówi sucho. – Nie musicie zdejmować butów.

Marie wprowadza ich do kuchni, gdzie siedzi już Bruno. Kiwa głową, ale nie zadaje sobie trudu, żeby wstać i się przywitać. Patrzy przed siebie zawstydzony, co wcale nie dziwi. Stół kuchenny zavalony jest szkicami i stertą papierów. Sądząc po firmowych nagłówkach, są to dokumenty z gminy, pozostałe to jakieś faktury.

– W jakiej sprawie przyjechaliście? – pyta Marie, nie proponując nawet, by usiedli, ani nic do picia. Pytanie jest zupełnie niepotrzebne. Jej ton głosu i wyraz twarzy zdradzają, że doskonale wie, o co chodzi.

Anna wyjmuje zdjęcie Joego Rylandera i kładzie na stole na czymś, co przypomina fakturę z biura architektonicznego. Zanim Bruno zdąży ją sprzątnąć, zauważa słowo „upomnienie”.

– To Kent Joakim Rylander. Jego ciało zostało znalezione w Glarei przy kopalni równo tydzień temu.

Robi przerwę i daje im czas, żeby się przyjrzeni zdjęciu. Najchętniej pokazałaby im zdjęcie martwego Rylandera, tak jak to zrobiła z jego ojczymem, ale dochodzi do wniosku, że tutaj musi być niezwykle ostrożna, by nie narażać się na niepotrzebną krytykę.

– Okej – mówi Marie po kilku sekundach. – Ale co to ma wspólnego z nami?

– Czy spotkałaś go już przedtem? – pyta Friberg i przejmuje

pałeczkę, tak jak ustalili w samochodzie.

Marie potrząsa głową.

– Nie, nigdy.

– A ty, Bruno?

Bruno wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć.

Anna uważnie ich obserwuje i widzi, jak Marie obrzuca Bruna wściekłym spojrzeniem. Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– To znaczy... – Bruno gryzie się w język. – W restauracji spotykam tylu ludzi, że nie sposób wszystkich zapamiętać. – Uśmiecha się lekko zakłopotany.

– Oboje go już spotkaliście – odpowiada Friberg. – Dwadzieścia siedem lat temu w kamieniołomie. Wtedy nazywał się Joe i był w towarzystwie dziewczyny o imieniu Tanja.

Żadne z nich się nie odzywa, a sądząc po ich obojętnym wyrazie twarzy i mowie ciała, ta informacja nie jest dla nich żadnym zaskoczeniem. Bruno i Marie zostali ostrzeżeni nie tylko o tej wizycie, ale również o szczegółach dotyczących sprawy.

– To Rylander chciał, żeby puścić piosenkę Simona Vidje w parku w zeszłą sobotę. Więc ta napaść na didżeja była niepotrzebna. To sprawka Joego.

Marie i Bruno patrzą na siebie. Bruno odchrząkuje.

– Dzień przed festynem dostaliśmy mail, ja i Marie – mówi Bruno, nie spuszczając wzroku ze swojej żony. – Od nadawcy, który tytułował się „Simon Vidje”. Alex też go dostał. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że to jakiś szaleniec. I kiedy didżej puścił piosenkę Simona... – Bruno robi przeproszający gest. – Za dużo wypiliśmy i wszystko wymknęło się spod kontroli. Przecież nie chcieliśmy nikomu nic zrobić.

Bruno próbuje brzmieć spontanicznie, ale słowa są wcześniej wyćwiczone. Nazwać Rylandera szaleńcem to delikatny sposób na umniejszenie go jako ofiary. Anna stara się wszystko zapamiętać, chłonie wszystko całym ciałem.

– Bruno i ja byliśmy w domu przez całą niedzielę i wieczorem, i w nocy – odpowiada Marie niepytana. – Chcieliśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło w parku, więc dzieci spały u rodziców Bruna.

Bruno kiwa głową z nieco przesadną aprobatą, co najwyraźniej irytuje jego żonę. Anna widzi, że jak dotąd Marie nie jest zadowolona z zachowania Bruna.

– Czy widzieliście albo słyszeliście coś dziwnego tamtego wieczoru albo w nocy? Jakiś nieznany samochód czy coś takiego? – Friberg wskazuje na okno. – Miejsce widokowe leży zaledwie kilometr od Kotorp.

– To się teraz nazywa Norrblicka – mówi ostro Marie. – Chyba nie, o ile dobrze pamiętam. Mocno wtedy padało, prawda kochanie?

Bruno kiwa głową.

– Łało jak z cebra. Zalało nam rów. Musiałem go odkopywać. – Bruno próbuje budować swoją opowieść, ale zatrzymuje się, kiedy napotyka spojrzenie Marie. Niewielkim skinieniem głowy otrzymuje od niej pochwałę.

Marie uśmiecha się do Friberga.

– Jak już mówiłam, nie widzieliśmy tego mężczyzny, Rylandera czy jak mu tam, od dwudziestu siedmiu lat. A w niedzielę wieczór i w nocy oboje byliśmy w domu. – Po chwili Marie zwraca się do Anny: – Może byś to zanotowała, żeby potem nie było żadnych nieporozumień. – Ostatnie zdanie jest wypowiedziane złośliwie i pozbawione tej fałszywej uprzejmości, jaka towarzyszyła ich poprzedniej rozmowie.

– Simon Vidje – mówi spokojnie Anna i choć to imię pojawiało się już w ich rozmowie, widzi, że Bruno reaguje, kiedy wypowiada je głośno. – Byliście razem tej nocy, kiedy zmarł. W mailu, który dostaliście, Rylander pisze, że zna prawdę o tym, co się wtedy stało. I że chce, żebyście mu zapłacili za milczenie.

Anna obserwuje Sordich, Friberg robi to samo.

Marie ściąga usta i mruży oczy. Bruno wygląda na zaniepokojonego.

– Śmierć mojego kuzyna to nieszczęśliwy wypadek – mówi Marie. –

Dochodzenie już to wykazało. – Jej głos staje się odrobinę ostrzejszy. – Dokładnie tak jak powiedzieliśmy na przesłuchaniu, położyliśmy się spać tuż po dwunastej, kiedy odjechał Rylander i ta dziewczyna. – Pokazuje głową na zdjęcie Rylandera. – Zaczynało padać, więc rozeszliśmy się do swoich namiotów. Ja i Carina... – Marie milknie i poprawia się. – Ja i Caia spałyśmy w jednym namiocie, Bruno i Alex w drugim. Simon zawsze spał sam.

– Dlaczego? – pyta Friberg.

Bruno wzrusza ramionami.

– Po prostu tak wołał. Przez pierwsze lata mieliśmy namiot czteroosobowy, ale Simon tego nie lubił. Wołał wieczorem wrócić na rowerze do domu, niż spać w namiocie.

– Dlaczego Alex i Carina nie spali w jednym namiocie? Przecież byli wtedy parą? – pyta Anna.

Bruno i Marie patrzą na siebie. To pytanie ich zaskakuje.

– W ostatniej klasie liceum trochę się między nimi popsulo – mówi Marie po chwili wahania. – Na dobre zerwali jakiś miesiąc później, kiedy Carina wyjechała z Nedanås. To znaczy Caia... – znów się poprawia.

– Jak Alex to przyjął? – pyta Anna i czuje na sobie zdziwione spojrzenie Friberga.

Marie i Bruno znów na siebie spoglądają.

– Nieszczęśliwie dobrze – mamrocze Bruno.

– Czy to wtedy wylądował w psychiatryku?

Zapada cisza. Zarówno Marie, jak i Bruno wiercą się niespokojnie.

– Nic nam o tym nie wiadomo – odpowiada Marie. Głos ją nieco zawodzi, a spojrzenie i ściągnięte usta zdradzają, że najwyczejniej kłamie.

Anna milczy jeszcze przez chwilę, a potem skinieniem głowy daje znak Fribergowi, żeby kontynuował przesłuchanie.

– W jakim nastroju był Simon, kiedy kładł się spać?

– W normalnym. – Marie próbuje utrzymać maskę, ale pytania o Alexa nie dają jej spokoju. – Powiedzieliśmy sobie dobranoc i potem... – Marie patrzy przed siebie i zagryza górną wargę.

– Potem... – Łamie jej się głos.

Bruno podnosi się, obejmuje żonę ramieniem i pochyla nad nią głowę w zaskakująco czułym geście. Marie stoi trochę dalej niż mąż i gdyby nie smutek na ich twarzach, cała ta sytuacja wyglądałaby dość zabawnie.

– Potem już go żywego nie widzieliśmy – dodaje cicho Bruno.

– I ani ty, ani Alex nie opuszczaliście namiotu?

Bruno potrząsa głową.

– Ani razu przez całą noc.

– Jesteś pewien? – pyta Friberg.

Bruno wygląda na poirytowanego.

– Czy spałeś kiedykolwiek w dwuosobowym namiocie? – Friberg kiwa głową, więc Bruno mówi dalej: – A więc wiesz, jak to jest. Leżysz ściśnięty jak sardynka. Dwa zamki, żeby otworzyć i zamknąć namiot. Nie da się wyjść, a już na pewno potem wejść. Zwłaszcza jeśli jest się przemokniętym, a przecież wtedy padał deszcz. Nikt z nas nie wychodził z namiotu tamtej nocy. Ani ja, ani Alex, ani Carina, ani Marie. Simon wszedł na skałę i poślizgnął się, kiedy my wszyscy spaliśmy zaledwie parę metrów dalej. Jak ci się wydaje, co możemy czuć? – Bruno czule głaszcze żonę po plecach.

Friberg kiwa głową i spogląda ukradkiem w stronę Anny, która nie ma zamiaru się poddawać, w każdym razie nie teraz. Jest jeszcze co najmniej jedno pytanie, które wymaga odpowiedzi.

– Dlaczego nie wskoczyłeś do wody, żeby wyciągnąć Simona, Bruno? – pyta Anna. – Marie to zrobiła.

Bruno nagle się wścieka i otwiera usta, jakby chciał się jej odciąć, a jednak w ostatniej chwili się hamuje.

– Obudził mnie dopiero krzyk Marie – mówi z zaciętką miną. – Minęło trochę czasu, zanim z Alexem włożyliśmy buty i wydostaliśmy się z namiotu. Carina też była zaspana, więc zanim dotarło do nas, kto tak krzyczy, i zanim doszliśmy do kąpieliska, Marie była przemarznięta do szpiku kości i nie mogła już dłużej utrzymać Simona. Musieliśmy jej pomóc wydostać się z wody. Było zimno jak cholera. W tak lodowatej wodzie nie da się wytrzymać

dłużej niż trzy, cztery minuty, nawet w środku lata, a Marie była dłużej. – Bruno cichnie na moment. – Poza tym... – mruczy pod nosem. – Poza tym wyraźnie było widać, że Simon nie żyje. I to już od jakiegoś czasu. A my... trudno mi to wyjaśnić... czuliśmy się, jakby opuściły nas wszystkie siły... Oczywiście, mogliśmy wskoczyć do wody i wyciągnąć ciało, ale nie daliśmy rady. Mieliśmy po dziewiętnaście lat, a nasz przyjaciel był martwy...

– I co uważasz? – pyta Friberg Annę, kiedy idą do samochodu.
– Mówią prawdę?

Zanim Anna zdąży odpowiedzieć, dostrzega dobrze jej znaną sylwetkę. To Alexander Morell.

W zasadzie zaplanowała, że przesłucha go jako ostatniego, ale kiedy nieoczekiwanie pojawia się taka możliwość, postanawia zrobić to od razu.

– Alex.

Alexander się odwraca. Wygląda na zaskoczonego, ale szybko zmienia minę na pełną zakłopotania.

– O, cześć, Anno. Miałem do ciebie zadzwonić w zeszłym tygodniu... – Nie kończy zdania, tylko patrzy na swoje zabłocone buty.

Anna czeka.

– Jeśli chodzi o to, co się stało w parku... Nie wiem, jak to się stało. Miałem po prostu jakieś zamroczenie. Przykro mi, że... że...

– Wygląda na udręczonego. – Wiem, że nie powinienem. Wiem, że tak się po prostu nie robi...

Anna kiwa głową i jednocześnie dyskretnie daje Fribergowi znak, żeby był w polu widzenia. Friberg natychmiast chwytą, o co chodzi. Kolejny plus dla niego.

– Ojciec dzwonił do ciebie, prawda? – mówi Anna do Alexa.
– I powiedział o Rylanderze?

Alex wciąga powietrze i wzdycha ciężko.

– Tak, wczoraj wieczorem. Co za cholerna sprawa. Nie myślałem

o Joem przez dwadzieścia siedem lat...

– Pamiętasz go z tamtego wieczoru w kamieniołomie?

– Coś tam pamiętam, ale niewiele. Poczęstował nas trawką i wypił nasze piwo. Był kilka lat starszy od nas i na początku nam się wydawało, że jest cool. No i pochodził z Klippan. A w tamtych czasach tylko szpanerzy stamtąd pochodzili. – Alex ściąga nieco usta.

– A ta dziewczyna, która z nim była?

– Pamiętam tylko, że wyglądała jak z klipu Whitesnake.

– To dobrze?

Alexander kiwa głową.

– W każdym razie wtedy.

Znów się uśmiecha i Anna musi się naprawdę wysilić, żeby nie odwzajemnić tego uśmiechu. Mimo jego wybuchu złości i bójki w parku uświadamia sobie, że wciąż lubi Alexa Morella.

– Simon Vidje...? – Anna unosi brwi i pozwala, żeby sam dokończył pytanie.

Alex niemal natychmiast posępnieje.

– Simon był jednym z moich najlepszych przyjaciół – mówi cicho, ale nie rozwija zdania.

– Dlaczego nie wskoczyłeś do wody, kiedy go znaleźliście?

Alex wzdycha.

– Zadaję sobie to pytanie od dwudziestu siedmiu lat. Może jakbym to zrobił, to nie... – Ręką pokazuje na rozgrzebaną budowę, ale trudno zinterpretować ten gest.

– Henry powiedział, że byłeś w domu w ubiegłą niedzielę. Cały wieczór i noc. Czy to prawda?

Alex kiwa głową, znów wygląda, jakby był zakłopotany.

– Głównie z powodu kaca. Ale częściowo i przez ciebie.

– Przeze mnie?

Pokazuje ręką na krocze.

– Po twoim nokaucie przez dwa dni nie mogłem chodzić. Musiałem spać z torebką lodu. Ale zasłużyłem sobie po tym, co zrobiłem tobie, no i temu biednemu didżejowi też. – Znów ściąga nieco usta w tym swoim nieco krzywym, a zarazem smutnym uśmieszku, któremu tak

trudno się oprzeć. – I, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy matka i ojciec wypuściliby mnie z domu, nawet gdybym chciał. Szlaban na wyjście w wieku czterdziestu sześciu lat... Rozumiesz?

Tym razem Anna już nie może powstrzymać uśmiechu.

– Alex! – Marie pojawia się na podwórzu z dwoma owczarkami.
– Musimy pogadać – mówi, nie patrząc na Annę. – Bruno chce zmienić parę rzeczy i chciałby to z tobą przedyskutować.

– Jasne! – Alex wzrusza ramionami, jakby chciał pokazać Annie, że chętnie by z nią jeszcze porozmawiał, ale, niestety, robota czeka.

Friberg podchodzi do Anny i stoi, nic nie mówiąc, dopóki Marie i Alex nie znikną w budynku i z trzaskiem nie zamkną za sobą drzwi.

Jesień 2017

Carina Pedersen, obecnie Caia Bianca, mieszka na północ od Helsingborga, w miejscu, które Friberg nazywa Żłotym Wybrzeżem. Osiedle położone jest na zboczu wzgórza, które ciągnie się aż do morza. W przeważającej części są to duże, otoczone betonowymi lub drewnianymi ogrodzeniami wille, niewidoczne z ulicy.

Anna i Friberg nie rozmawiali za wiele podczas drogi, umówili się jedynie, że będą ją przesłuchiwać według takiego samego schematu jak w Kotorp. On stawia większość pytań, a ona słucha i obserwuje.

Friberg naciska dzwonek domofonu, pokazuje legitymację do kamery i wyjaśnia powód ich wizyty. Po chwili rozsuwają się wysokie metalowe drzwi i policjanci zostają wpuszczeni do środka. Idą stromym podjazdem dla samochodów przez teren przypominający park i kierują się w stronę domu. Choć dom to raczej niewłaściwie słowo. Główny budynek przypominający architektoniczne pudło ze szkła i betonu ma na pewno ponad pięćset metrów kwadratowych powierzchni. I to nie jedyny budynek leżący na tej gigantycznej działce. Po drodze mijają garaż z miejscem dla co najmniej czterech samochodów i duży basen. Annie przypomina się, co Mów-mi-Lasse opowiadał jej o posiadłości i o skargach sąsiadów.

Kobieta, która przedstawia się jako asystentka Cai Bianki, zaprasza ich do salonu z fantastycznym widokiem na cieśninę Sund i wybrzeże Danii. Na dworze dość mocno wieje i widać białe fale tworzące się na szarej powierzchni wody. Duży prom właśnie wypłynął z Danii i podczas gdy przyglądają się, jak wpływa do zatoki, pojawia się Caia Bianca. Ma na sobie czarne spodnie i białą koszulową bluzkę, i jest znacznie mniej wyzywająca niż na festynie w parku. Siada na sofie, obok kładzie torebkę i wyjmuje duży różowo-żółty telefon

komórkowy. Zerka na jego ekran, żeby sprawdzić wiadomości, i kładzie go przed sobą na szklanym blacie stołu.

– Słyszałam, że w Glarei zginął Joe – mówi Caia, zanim jeszcze któraś z nich zdąży powiedzieć, czego dotyczy sprawa. – Ja też dostałam ten mail. Ale, szczerze mówiąc, nie przywiązuję do niego żadnej wagi. Dla kobiety w mojej branży to nic nowego. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile zdjęć gołych chujów dostaję w ciągu tygodnia. Mogłabym z nich zrobić wystawę.

Caia lekko przesuwa palcem po telefonie, uśmiecha się i swoimi długimi rękami mruga do Friberga, który nie bardzo wie, jak na to odpowiedzieć.

– Czy miałaś jakiś kontakt z Joe Rylanderem przed jego śmiercią?
– pyta Anna, żeby pomóc Fribergowi wybrnąć z sytuacji.

Caia Bianca potrząsa głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Widzieliśmy się tylko wtedy w kamieniołomie. Jestem dość dobra w zapamiętywaniu twarzy, ale wątpię, żebym go teraz poznała. Macie jego zdjęcie?

Friberg kładzie na stole zdjęcie Rylandera. Caia Bianca wyjmuje z wzorzystego etui eleganckie okulary i dokładnie przygląda się fotografii.

– Nie – odpowiada po chwili. – Jestem nawet pewna, że go nigdy przedtem nie widziałam, to znaczy... spotkaliśmy się tylko raz, wtedy, ale już nigdy potem, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.
– Znowu kieruje uśmiech w stronę Friberga. Różowa szminka podkreśla jej perfekcyjnie wyrzeźbione usta.

– Jakie masz wspomnienia o Joe Rylanderze z tamtego spotkania w kamieniołomie? – pyta Friberg.

– Że to kawał skurwysyna. – Caia Bianca wyjmuje z torebki e-papierosa, zapala i wypuszcza z ust kłąb dymu. Jednocześnie drugą ręką podnosi telefon i sprawdza wiadomości. Jej gest nie jest nieuprzejmy, raczej nieświadomy. Ma długie palce i elegancki lakier na paznokciach. – To już teraz pewnie uległo przedawnieniu, ale pamiętam, że Joe i ta jego... – Caia gestykułuje z papierosem w rękę – ...ta jego dziwka poczęstowali nas trawką. – Caia robi pauzę i znowu

się zaciąga. – Wiem, wiem, nie powinno się tak mówić o kobietach. – Przewraca oczami. – Nawet wolę nie wiedzieć, jak na mnie mówili. A więc ta jego Tina, czy jak jej tam było, wyglądała jak jakaś kiczowata grupie, podarte dżinsy, nastroszone włosy. W latach osiemdziesiątych na taki widok wszyscy faceci się ślinili.

– Dlaczego Joe był „skurwysynem”? – rzuca pytanie Friberg.

I znów w odpowiedzi otrzymuje uśmiech.

– Bo mnie upił, naćpał i próbował wykorzystać. Ale Alex się nim zajął. Wykopał na pysk i Joego, i tę jego... – Caia znów się zaciąga – ... siostrę.

– Joe i Tanja nie byli rodzeństwem – mówi Anna.

– Nie? – Caia Bianca unosi idealnie wyregulowane brwi.

– Nie, mieli nawet razem dziecko.

– No popatrz, popatrz. Właściwie to mnie wcale nie dziwi. To tylko dowód na to, jacy byli szurnięci, i to oboje. Udawali rodzeństwo, żeby podrywać na boku. Zupełnie *fucked up!* – Caia wciąga nową porcję dymu z e-papierosa. Drugą ręką grzebie w telefonie, jakby już nadeszła pora, żeby sprawdzić wiadomości.

– Ty nie masz dzieci – konstatuje Anna, nie bardzo wiedząc po co. Może jej uzależnienie od telefonu przypomina jej Agnes.

Caia potrząsa głową.

– Nie, bachory to nie moja działka. Już niańczyłam moje rodzeństwo, jak byłam młodsza. I wystarczy.

– A potem? – pyta Friberg, najwyraźniej nie mogąc się doczekać powrotu do tematu. – Kiedy Joe i Tanja odjechali, co się wtedy wydarzyło?

– Potem, o ile dobrze pamiętam, zaczęło lać jak z cebra. Ognisko szybko wygasło, więc rozeszliśmy się do namiotów. Ja dzieliłam namiot z Marie. Rano, kiedy wychodziła, żeby się wysikać, obudziłam się, a parę minut potem usłyszałam jej krzyk. Wybiegłam z namiotu i prawie że wpadłam na Bruna i Alexa. Potem zobaczyliśmy Simona w wodzie. – Caia gasi papierosa, jej oczy smutnieją. – Nigdy tego nie zapomnę... Nikt z nas tego nie zapomni.

Na kilka minut zapada cisza.

– Co robiłaś w ubiegłą niedzielę? – pyta Friberg.

– Byłam na koncercie w domu kultury Dunker – odpowiada Caia bez namysłu. – Jestem w zarządzie fundacji, więc staram się tam chodzić tak często, jak to możliwe.

– Byłaś sama?

Caia zaciąga się po raz ostatni i odkłada e-papierosa. Palcami nieświadomie poszukuje komórki.

– Z Martinem, moim mężem. Takie wydarzenia to nie jego bajka, dlatego muszę go ciągnąć ze sobą na siłę. W każdym razie do domu wróciliśmy gdzieś około jedenastej, oglądaliśmy trochę telewizji w sypialni i zasnęliśmy. Netflix nie służy życiu seksualnemu, co...?

Caia posyła Fribergowi jeszcze jedno spojrzenie, ale on już się zdążył przyzwyczać i nie reaguje.

– Widziałam cię w Parku Miejskim z Alexem, Brunem i Marie. Wydaje się, że wciąż się przyjaźnicie. Często bywasz w Nedanås? – pyta Anna.

– Nie. Prawie wcale. – Głos Cai staje się coraz ostrzejszy. – Niełatwo jest się wychować w takiej dziurze jak Nedanås. Wiecie, jak to jest, wszyscy się znają i jak się coś osiągnie, zaraz zaczynają gadać... – Caia patrzy, jakby czekała na poparcie. – Mój ojciec nie był posłusznym dzieckiem Boga, jeśli tak mogę powiedzieć. Pił i bił, mamę i nas wszystkich. Cała okolica o tym wiedziała, ale jakoś nikt nie reagował. Oczywiście, zamknęli go kilka razy, ale za coś zupełnie innego. Mama nigdy nie zgłosiła sprawy na policję, bo doskonale wiedziała, że to tylko wszystko pogorszy. Ojciec miał zszarganą opinię i jakimś dziwnym trafem ta opinia przykleiła się do całej naszej rodziny. Ludzie nazywali nas „Pedersenowe brudasy”... Mój młodszy brat często wszczynał bójkę z tego powodu. Więc chyba rozumiecie, że jak najszybciej chciałam stamtąd uciec.

– Ale na festyn do parku przyjechałaś – mówi Friberg sucho.

Caie Biancę przechodzi dreszcz, tak jakby się nie spodziewała tego typu komentarza.

– Marie Sordi mnie zaprosiła – mówi. – Poza tym... – Robi przerwę na kilka sekund, waży telefon w dłoni. – Miło jest czasami się tam

pojawić. – Zaczyna się śmiać, pokazując swoje białe jak kreda równiutkie porcelanowe zęby. – Pewnie myślicie, że to wszystko dzięki Martinowi... – Wolną ręką zatacza krąg wokół. – Działka, dom, samochody... Ale prawda jest taka, że zarabiam dużo więcej niż on. Pewnie słyszeliście, że mój pierwszy mąż zostawił mi mnóstwo pieniędzy, co? Nieprawda, był zadłużony po uszy. Wszystko, co tu widzicie, to moja zasługa... małej głupiutkiej Cariny Pedersen z Nedanås, na którą wszyscy patrzyli z góry. Ale żeby to osiągnąć, tyrałam jak dziki osioł, dużo więcej niż inni. I czasami... – Przerzywa, a na jej twarzy pojawia się smutny uśmiech. – I czasami ta mała głupiutka Carina ma ochotę pojechać do Nedanås i swój sukces rzucić im prosto w twarz. Na przykład Henry’emu Morellowi, który uważał, że jestem niewystarczająco dobra dla jego wspaniałego Alexandra. Bengtowi Anderssonowi, który uważał, że moja rodzina przynosi gminie wstyd. A teraz stoją z wytrzeszczonymi gałami i się głupio uśmiechają za każdym razem, kiedy się tam pojawię. Są taacy dumni, że swoją obecnością uświetniam te ich nudne, nędzne imprezki. – Caia trzyma komórkę w górze tak, że Anna i Friberg mogą zobaczyć na ekranie nowe wiadomości. – Jeśli to już wszystko, to muszę...

– Alex Morell – mówi Anna. – Jakie macie stosunki?

Caia odkłada telefon.

– Alex i ja chodziliśmy ze sobą w liceum. Ale to już przeszłość. Zerwaliśmy tej samej jesień, kiedy zmarł Simon.

Caia robi smutny grymas.

– Czy to miało związek z jego temperamentem?

Caia Bianca bada Annę wzrokiem, tak jakby chciała się dowiedzieć, do czego zmierza.

– To ty go tak załatwiłaś na scenie, prawda? Kopnęłaś go w krocze?

– Anna kiwa głową, a Caia Bianca robi taką minę, jakby jej to zaimponowało. – Alex był strasznym nerwusem. Do tej pory taki jest, jak zdążyłaś zauważyć. Ale nie dlatego zerwaliśmy. I nie dlatego, że jego rodzice uważali, że jestem jakimś społecznym śmieciem. Nie. W szkole Alex był na samym topie.

– W jakim sensie? – pyta Friberg.

Caia Bianca uśmiecha się i odkłada telefon.

– Był wtedy takim jakby celebrytą... wiesz, o czym mówię... kolesiem, który świetnie gra w piłkę, robi podwójne salto na trampolinie, wszystkie popularne laski ma na wyciągnięcie ręki. – Caia przeciąga palcem po górnej wardze, jakby się obawiała, że ma tam jakieś okruszki. – Wszyscy się tak śpieszą do tej dorosłości... żeby jak najszybciej zrobić prawo jazdy i uciec ze swojej dziury do szkoły w mieście. – Caia potrząsa głową. – Ale wtedy wszystko się zmienia. Inni zajmują twoje miejsce. Ci, którzy wcześniej byli tacy silni, szybcy i przystojni, jak na przykład Alex, nagle, nie wiadomo kiedy, już nie są takimi kogutami. Przychodzą inni, a oni wypadają z gry.

– Masz na myśli takich jak Simon Vidje? – pyta Anna i zawieszka na Biance wzrok. Jej spojrzenie jest żywe i inteligentne.

– Mam na myśli dokładnie takich jak Simon Vidje – mówi Caia.

– To musiało być bardzo trudne dla Alexa – dodaje Anna.

– Nie, nie wydaje mi się. – Caia odsuwa się nieco dalej, a potem odwraca. Dla niewytrenowanego oka wygląda to tak, jakby chciała tylko zmienić pozycję.

– Kiedy sobie to uświadomił?

– Uświadomił sobie co? – Caia udaje, że nie wie, o czym mowa, najprawdopodobniej próbuje grać na czas.

– Kiedy Alex Morell uświadomił sobie, że Simon Vidje go zdeklasował? Czy to było wtedy w kamieniołomie?

Caia potrząsa głową.

– Miałam na myśli tak ogólnie. Nie to, że Alex i Simon... – Zatrzymuje się, jej oczy robią się lodowate. – Myślę, że już sobie wszystko wyjaśniliśmy – ucina i wstaje.

Mimo dużego wiatru Caia Bianca odprowadza ich do samochodu. Kiedy Anna wsiada, Caia chwytą ją za ramię.

– Nie myśl, że jestem jakąś jędzą – mówi. – To dobry facet, który

nie miał najłatwiej w życiu, i trudno mi sobie wyobrazić, by miał coś wspólnego ze śmiercią Joego.

Jej blond kosmyk powiewa na wietrze i w ten sam sposób co Agnes zakłada go za ucho.

– Macie ze sobą kontakt? – pyta Anna, domyślając się odpowiedzi.

– Zaczął do mnie wydzwaniać po rozwodzie. Żeby pogadać o starych dobrych czasach. Ale mnie już nie interesuje przeszłość. Mamy wpływ tylko na teraźniejszość i przyszłość. Próbuję mu to uświadomić. W ostatnim czasie rozmawiał głównie o Kotorp. On, Bruno i Marie dużo tam zainwestowali. Chcieli, żebym ja też się dołączyła.

– I przyjął ich propozycję?

Caia kręci głową.

– Jedną z wielu rzeczy, jakich się nauczyłam przez te wszystkie lata, to żeby nie robić interesów z przyjaciółmi. To się zawsze źle kończy.

– Caia cofa się parę kroków i unosi rękę. – Pozdrów ode mnie Nedanås – mówi i uśmiecha się delikatnie. – Raczej nie zawitam tam w najbliższym czasie.

Caia stoi na schodach swojego ogromnego domu z rękami nonszalancko skrzyżowanymi na piersiach i patrzy, jak odjeżdżają. We wstecznym lusterku jej postać szybko się kurczy, a po chwili zupełnie znika.

– I co o tym myślisz? – pyta Friberg.

– Kłamię – mówi Anna.

Friberg unosi brwi.

– Kto konkretnie?

– Wszyscy – odpowiada Anna.

Jesień 2017

W środę rano Anna przez pomyłkę naciska niewłaściwy guzik w swojej komórce i zamiast włączyć drzemkę, wyłącza budzik. Już potem w biegu wrzuca w siebie śniadanie, wsiada w samochód i pędzi po stromej i krętej drodze w dół zbrocza. Kiedy wchodzi do budynku komisariatu, wciąż jeszcze jest w pędzie i musi minąć kilka minut, zanim zrzuci z siebie całe to poranne napięcie. Otwiera drzwi do gabinetu i zanim jeszcze zdąży usiąść, pojawia się Friberg. Ma na sobie mundur, co Annę trochę dziwi.

– Cześć – mówi Anna i przez chwilę wydaje jej się, że Friberg przyszedł, żeby porozmawiać o wczorajszym dniu. Wtedy dostrzega jego sztywny wyraz twarzy.

– Chciałbym cię poinformować, że przez jakiś czas skupię się na swojej działce – mówi krótko. – Tak chyba będzie najlepiej.

Zanim Anna zdąży cokolwiek powiedzieć, on już jest za drzwiami. Nic z tego nie rozumie i chce go dogonić, dowiedzieć się, o co chodzi, ale zanim zdąży wstać z krzesła, dzwoni jej komórka. To adwokat.

– Widziałaś artykuł?

– Jaki artykuł?

– W „Expressen”. Trzeci nagłówek od góry.

Adwokat daje jej kilka sekund na włączenie komputera i znalezienie odpowiedniej strony.

SZEFOWA POLICJI PRZESŁUCHIWANA W SPRAWIE ŚMIERCI BYŁEGO MĘŻA

Ten tytuł zamienia żołądek Anny w lodowatą dziurę, która

z każdym przeczytanym słowem staje się coraz większa. Wprawdzie Anna nie jest wymieniona z imienia i nazwiska, ale ponieważ gazeta nazywa ją nowo powołaną szefową policji w Skanii, to i tak wiadomo, o kogo chodzi.

– To jeszcze nie wszystko – dodaje adwokat. – Rozmawiałem niedawno z prokuratorem Santessonem i on, oczywiście, zaprzecza, że to z jego pionu wyciekły informacje do gazety. Wygłosił mi całe przemówienie, jak to fatalnie się stało, że prasa weszła w posiadanie tych informacji. Istny *bullshit*. Jak widzisz, nawet mu się nie śni, żeby umorzyć dochodzenie. Co więcej, zlecił kolejne zbadanie pompy infuzyjnej. Tym razem nie wystarczają mu miejscowi technicy, więc wysłał pompę do Linköpingu, z poleceniem „pilne”. – Adwokat milknie, jakby czekał, aż Anna coś odpowie. – Mamy jakiś tydzień, zanim dostanie odpowiedź – kontynuuje, kiedy Anna wciąż milczy. – Zasugerował, że możliwa byłaby zmiana kwalifikacji czynu w zamian za przyznanie się. Wprawdzie w Szwecji trochę inaczej to funkcjonuje, ale w tym wypadku okoliczności są „w pewnym stopniu łagodzące”, jak się wyraził.

Anna w dalszym ciągu milczy. Jedyne, o czym teraz myśli, to Agnes... Że ona lub ktoś z jej przyjaciół zobaczy artykuł na swoim smartfonie. I że najpierw musi z nią sama porozmawiać, że musi...

– Proponuję, abyś jeszcze raz to wszystko przemyślała i dała mi znać, co zamierzasz – dodaje adwokat. – Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiesz, oczywiście zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Dam ci znać – mówi Anna i kończy rozmowę.

Palce jej tak drżą, że ledwo może wystukać numer do Agnes. Od razu włącza się poczta głosowa. Anna próbuje jeszcze raz, ale bez rezultatu. Wysyła esemes o treści „ZADZWOŃ DO MNIE”, napisany wielkimi literami.

Kiedy naciska przycisk wyślij, telefon nagle dzwoni. Najpierw Anna myśli, że to Agnes, ale kiedy w słuchawce słyszy mrukiwy głos, od razu wie, że to naczelnik policji. Myślami wciąż jeszcze jest gdzie indziej, więc na jego irytujące kazanie o tym, że ukrywa przed nim ważne informacje i że nie podoba mu się, iż o wszystkim dowiaduje

się prasy, Anna odpowiada krótkim burknięciem.

– Poza tym rozmawiałem z Henrym Morellem – mówi. – Twierdzi, że samobójstwo Rylandera wykorzystujesz jako pretekst, by wznowić dochodzenie sprzed dwudziestu siedmiu lat. Szczerze mówiąc, trudno było mi uwierzyć, że tak doświadczona policjantka jak ty mogłaby wykorzystywać bądź co bądź ograniczone zasoby policji do badania blisko trzydziestoletniego wypadku, ale, niestety, Henry był bardzo przekonujący...

– Aa-ale... – To cholerne jąkanie pojawia się w najbardziej nieodpowiednim momencie i powoduje, że Anna brzmi bełkotliwie i niepewnie.

– Morell twierdzi również, że miałaś jakieś spięcie z jego synem i że to wszystko wygląda na jakąś osobistą wendetę... Czy to prawda?

– Alexander Morell i jego koledzy zaatakowali mężczyznę w Parku Miejskim i byli bliscy zzz-zabicia go. – Cholera, myśli Anna i robi przerwę, oddycha głęboko. – Kiedy zainterweniowałam, zaatakowali również mnie, i gdyby nie patrol, który wkroczył do akcji, to wszystko mogłoby się naprawdę źle skończyć.

– Czy możesz mi podać numer zgłoszenia?

Anna milknie i uświadamia sobie, że wpadła w pułapkę.

– Nie.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego?

– Bo żadnego zgłoszenia nie było. Henry Morell poprosił mnie i kolegów, którzy wtedy byli na służbie, żeby tego nie spisywać.

– Anna zastanawia się, czy powiedzieć, że Friberg mógłby zaświadczyć, ale dobrze wie, że prawdopodobnie jej w tym nie pomoże, więc rezygnuje.

– Rozumiem...

Na kilka sekund zapada cisza i Annie wydaje się, że słyszy, jak naczelnik stuka w biurko dokładnie w taki sam sposób, jak robił to Santesson, kiedy ją przesłuchiwał. Może nawet sobie wyobrazić jego chude palce na błyszczącej powierzchni biurka.

– A więc tak, Anno... – Jego głos jest nieco przyjemniejszy. – Henry Morell był szefem w Nedanås przez ostatnie dwadzieścia pięć lat

i w tym czasie nie mieliśmy ani jednej skargi od jego współpracowników. Ty natomiast jesteś tu dopiero od tygodnia... – Naczelnik nie kończy zdania. – Henry Morell jest dobrym przyjacielem. Ma wśród pracowników niezwykle dobrą opinię i mnóstwo kontaktów zarówno tu na miejscu, jak i w centrali. Moja rada więc jest taka, żebyś jak najprędzej zawarła z nim pokój. A kiedy już to zrobisz... – Naczelnik milknie i znów słychać bębnienie palców o biurko. – Kiedy już to zrobisz, chcę, żebyś przesała mi wszystkie dokumenty związane z wypadkiem, który badasz. Mam duży szacunek do twojego doświadczenia jako oficera śledczego i chcę, żebyś przedstawiła mi dowody przemawiające za tym, że to nie samobójstwo. Jeśli po zapoznaniu się z nimi będę miał inne zdanie, natychmiast umorzę śledztwo. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, Anno?

Kiedy rozmowa się kończy, Anna ponownie próbuje się dodzwonić do Agnes. Raz za razem naciska przycisk, aż w końcu nagrywa się na sekretarkę, choć Agnes bardzo tego nie lubi. „Tu mama, zadzwoń do mnie. To ważne”.

Siedzi w ciszy i próbuje zebrać myśli. Najpierw ten artykuł w gazecie, potem informacja, że Santesson nie zamierza umorzyć śledztwa, w końcu reprimenda od naczelnika. Totalna klęska! A jeśli jeszcze Agnes się nie odezwie, będzie już zupełnie fatalnie. Natłok myśli przerywa jej dzwonek telefonu.

– Tu recepcja, masz wizytę.

Recepcjonistka odkłada słuchawkę, zanim Anna zdąży zapytać, kto to i czego dotyczy sprawa. Nie pozostaje jej więc nic innego, jak zejść na dół. Po drodze mija gabinet Henry’ego Morella. Morell ze wzrokiem utkwionym w ekranie komputera udaje, że jej nie zauważa.

Osoba, która do niej przyszła, to kobieta tuż po trzydziestce, z krótko ściętymi blond włosami. Ma na sobie dżinsy, sznurowane buty do kostek i dziergany sweter.

– Dzień dobry, nazywam się Liza Savic. Dzwoniłam przedwczoraj w sprawie ojca.

Na kilka sekund mózg Anny jakby przestał pracować.

– Joakima Rylandera – dodaje kobieta.

– Ach tak, już sobie przypominam, przyjechałaś po jego rzeczy – odpowiada Anna, kiedy informacja w końcu dociera do jej mózgu.

– Obawiam się, że to nic cennego, głównie jakieś drobiazgi.

Kobieta potakuje głową.

– Jeszcze jedno. – Anna rzuca znaczące spojrzenie w stronę recepcjonistek, które nawet nie próbują udawać, że pracują. Anna zerka na swoją komórkę. Wciąż nic od Agnes. Do diabła! – Jestem teraz trochę zajęta – mówi Anna – ale czy możemy spotkać się jutro? Mieszkasz tutaj, na miejscu?

Kobieta potrząsa głową.

– Przez najbliższy tydzień będę zameldowana w hotelu. Może jutro o dziewiątej?

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia.

Kiedy się żegnają, Anna rzuca wściekłe spojrzenie na obie recepcjonistki podsłuchiawczki. A one tylko odwzajemniają się aroganckim spojrzeniem.

– Zaczynasz tracić kontrolę nad tym, co się tutaj dzieje – mruczy pod nosem i doskonale wie, że Håkan powiedziałby to samo, gdyby wciąż jeszcze z nią rozmawiał.

Anna wraca do swojego gabinetu. Znów sprawdza komórkę. Wciąż nic od Agnes. Zastanawia się, czy nie zadzwonić do szkoły i nie poprosić kogoś z sekretariatu, żeby ją znaleźli, ale dochodzi do wniosku, że to chyba nie najlepszy pomysł. Będzie lepiej, jak sama tam pojedzie. Najpierw jednak musi zrobić to, co obiecała naczelnikowi.

Zatrzymuje się pod drzwiami Morella. Przez szklaną ścianę widzi, że siedzi za biurkiem, lekko pochylony nad komputerem. Anna puka do drzwi.

– Wejdz! – mówi Morell przesadnie władczym tonem.

Anna bierze głęboki wdech. Raz kozie śmierć.

Morell nie patrzy, jak Anna wchodzi do pokoju, i cały czas udaje, że ślęczy nad komputerem. Pisząc coś opuszką palca wskazującego, wygląda, jakby się w ogóle nie śpieszył. Musi minąć kilka sekund, zanim Anna uświadomi sobie, że to nie przypadek. Ma tu stać i wstydzić się, zanim on łaskawie będzie raczył z nią porozmawiać. Przez szklaną ścianę na korytarzu widać ruch. W połowie schodów na górę stoją obie recepcjonistki razem z tą wścibską policjantką, która wyśmiewała się z jąkania Anny. A korytarzem nieśpiesznie przechadza się dwóch śledczych w sandałach. W rękach trzymają kubki z kawą, żeby zamaskować właściwy cel swojego spaceru. Są tutaj, żeby zobaczyć, jak Morell pokazuje Annie, gdzie jest jej miejsce. Anna słyszy, jak szepczą, i odwraca się, żeby zamknąć drzwi.

– Niech zostaną otwarte – mówi Morell i rozwiewa wszelkie wątpliwości co do tego, co się ma wydarzyć.

Anna czuje narastającą złość i pulsowanie w prawej skroni. Ale musi się opanować, musi słuchać rozkazów. Morell wciąż nie podnosi głowy.

– Henry... – zaczyna. – Pomyślałam, że powinniśmy oczyścić atmosferę między nami.

Zerka na otwarte drzwi i słyszy, jak cichną dochodzące stamtąd szmery. Upokorzenie pali ją w policzki i kark. Morell podnosi głowę i ściąga okulary.

– A konkretnie to o czym chciałybyś ze mną porozmawiać?

– Wydaje mi się, że oboje nadepnęliśmy sobie na odcisk i chchchciałam... – Anna milknie i bierze haust powietrza, żeby zwalczyć jąkanie, ale jest jeszcze gorzej. Ze schodów dochodzą ją szydercze chichoty.

Morell pochyla się do przodu, kiwa głową i patrzy na nią tym swoim ojcowskim spojrzeniem, które już nie jest takie dobrotliwe.

– Jj...jj... – Jąkanie nie ustaje, struny głosowe zmieniają jej oddech w posapywanie.

Anna próbuje przenieść wzrok z Morella na jedną z wielu fotografii wiszących na ścianie. To taka jej sztuczka, żeby mózg znalazł nowe, lepiej działające połączenie między myślą a mową.

Jej wzrok pada na zdjęcie grupowe. Trzech mężczyzn w garniturach i jeden w mundurze. Mężczyzna w środku to Morell. Obok niego stoi dobrze jej znany prawie łysy mężczyzna, który pokazuje na odznakę, prawdopodobnie tę, która wisi obok fotografii. Pod emblematem Prokuratury Okręgowej złotymi literami wygrawerowany jest tekst: „Za wzorową pracę w służbie sprawiedliwości”. Mężczyzna na zdjęciu obok Morella to prokurator Tord Santesson...

I nagle wszystko zaczyna się składać w jedną całość. Wznowione śledztwo, artykuł w gazecie, reprimenda naczelnika. To nie pech, nie przypadek czy jakiś zbieg okoliczności. To trzy skoordynowane wydarzenia zaplanowane przez kogoś, kto chce jej zaszkodzić. Pulsowanie w skroni rozprzestrzenia się na całą głowę i zamienia w szum.

– A więc – mówi Morell i rzuca szybkie spojrzenie na szklaną ścianę. – O czym to chciałaś ze mną porozmawiać, Anno? – Kąciki jego ust unoszą się do góry i zamieniają w tryumfujący uśmiech, który natychmiast zastyga, kiedy spotykają się wzrokiem.

– Henry, daję ci dokładnie dziesięć minut na spakowanie swoich rzeczy i opuszczenie komisariatu – mówi Anna tak spokojnie, jak tylko potrafi. – Jeśli nie wyjdiesz, osobiście przyjdę i cię wyrzucę.

Anna nie czeka na odpowiedź, tylko odwraca się na pięcie i wychodzi. Zatrzymuje się przy drzwiach i świdruje wzrokiem stojące na schodach policjantki o twarzach jak ptasie gniazda.

– Ty, zdaje się, masz na imię Frida, tak? – Anna wskazuje dłonią na policjantkę, która wyśmiewała się z jej jąkania. – Ty i ten twój gang sępów macie trzydzieści sekund na to, żeby wrócić do pracy, jeśli nie chcecie wylecieć w trybie natychmiastowym. Zrozumiano?

Policjantka mamrocze pod nosem coś niezrozumiałego.

– Zrozumiano? – powtarza Anna i aż sama jest zdziwiona mocą swojego głosu.

– Tak – mamrocze Frida trochę głośniej i jednocześnie patrzy w podłogę.

Piętnaście sekund później na schodach jest pusto.

Jesień 2017

Anna o niczym bardziej nie marzy, jak o tym, żeby wsiąść do samochodu i odszukać Agnes, ale przez tę kłótnię z Henrym Morellem musi zostać na komisariacie do końca dnia i co pewien czas pokazywać się, żeby nikt nie miał wątpliwości, kto tu rządzi.

Rozmawiała już z policjantem, który odpowiada za system bezpieczeństwa, żeby zablokował mu kartę wstępu. Następnie poleciła recepcjonistkom, już znacznie mniej aroganckim, żeby sprawdziły gabinet Morella i odesłały mu rzeczy, których nie zdążył zabrać. Ostatnie, co po nim widziała, to jego plecy, kiedy z wściekłością wsiadał do samochodu z kartonem pełnym papierów.

Przez resztę popołudnia Anna kompletuje wnioski ze śledztwa dotyczącego śmierci Rylandera i, tak jak obiecała, wysyła je naczelnikowi. Szczególny nacisk kładzie na maile z szantażem, na dziwnie ustawione siedzenie w samochodzie, na zaginiony telefon komórkowy oraz na powtórnie zabandażowaną ranę na nodze, czyli dowody na to, że śmierć Rylandera nie powinna być postrzegana jako samobójstwo. Morell z pewnością zadzwonił do naczelnika jeszcze z samochodu, więc Anna całe popołudnie czeka na telefon z nową reprimendą, ale nic takiego się nie dzieje.

Dokładnie o piątej Anna wsiada do samochodu i jedzie na dworzec, żeby złapać Agnes. Ale nigdzie nie widzi jej vespy i uświadamia sobie, że pewnie się spóźniła. Dojeżdża do Taboru, lecz i tutaj vespy nie ma, a ponieważ Milo niecierpliwie domaga się wyjścia na dwór, znaczy to, że po raz ostatni Agnes była w domu rano. Gdzie więc jest?

Anna znów próbuje dzwonić, ale, tak jak poprzednio, włącza się automatyczna sekretarka. Aplikacja znajdź mój iPhone także

niewiele pomaga, bo Agnes najwyraźniej ją wyłączyła.

Kiedy mija szósta i zaczyna się ściemniać, do paniki jest już niedaleko. Nawet Milo wyczuwa, że coś jest nie tak, i nerwowo biega po przedpokoju. Anna rozważa, czy nie zadzwonić po radiowóz, który ma teraz dyżur, i nie sprawdzić, czy nie było jakiegoś wypadku. Zabiera jednak Milo do samochodu i sama jedzie szukać Agnes. Kiedy dojeżdża do głównej drogi, dzwoni telefon. Hamuje i nerwowo odbiera. To numer stacjonarny, którego nie zna.

– Halo?!

– Halo, czy to ty, Anno? Tu Elisabet Vidje.

– O, witaj. – Anna śledzi niespokojnie, czy gdzieś na drodze nie ma vespy Agnes.

– Agnes jest u mnie. W Änglaberdze.

Mija kilka sekund, zanim Anna jest w stanie coś odpowiedzieć.

– U ciebie?

– Tak, siedzimy w kuchni. Biedaczka jest roztrzęsiona. Czytała o tobie w gazecie. O swoim tacie...

Anna znów czuje, że zamiast żołądka ma dziurę w brzuchu.

– W każdym razie wypiliśmy herbatę i pogadałyśmy. Trochę się uspokoiła, więc pomyślałam, że zadzwonię. Może dobrze, żebyś po nią przyjechała.

Anna parkuje samochód w tym samym miejscu co poprzednio. Zostawia Milo i biegnie ścieżką wysypaną żwirem. Elisabet Vidje czeka na nią przy altance z fontanną-aniółkiem. Ma chustkę na głowie i grubą jesionkę, w której wygląda jeszcze szczuplej niż zwykle.

– Agnes przyjechała do mnie po piątej – mówi Elisabet głosem bardziej miękkim niż zazwyczaj. – Najpierw poszła do Matsa, ale on ostatnio jest w nie najlepszym nastroju, więc pewnie jej nie otworzył. Czasami wpada w takie stany. W każdym razie zauważyłam, że coś z nią nie tak, więc zaprosiłam ją do siebie. Klein pokazał mi artykuł w gazecie. O tobie...

Elisabet Vidje milknie, a Anna czeka na pytania. Ale żadne nie pada.

– Dużo rozmawialiśmy, Agnes i ja – mówi dalej Elisabet. – O smutku, o tęsknocie. Jak wiesz, mam w tej dziedzinie trochę doświadczenia... – Elisabet wykrzywia usta w smutnym uśmiechu i pokazuje głową na tylne wejście. – Czy mogę cię wziąć pod ramię, jak ostatnio? Czuję się trochę niepewnie.

Anna kiwa głową i podaje jej ramię. Kierują się w stronę domu.

– Karl-Johan kochał Änglabergę. – Elisabet pokazuje na ogród i dolinę w oddali. – Ale zrobił się zbyt chory, żeby tu mieszkać. Prawie zupełnie ośleplł i był coraz bardziej zdezorientowany. Po nocach snuł się po ogrodzie, po lesie, szukając Simona... Nie miałam wyboru i musiałam go umieścić w domu opieki. – Elisabet wolno potrząsa głową. – Jest mu tam dobrze, jestem tego pewna. Nigdy się nie skarży. Za każdym razem, kiedy go odwiedzamy, jest uśmiechnięty i zadowolony.

Elisabet milknie, kiedy mijają dużą werandę i kierują się do małych schodów z tyłu domu, przy których stoi taka sama ławka jak przy grobie Simona.

– Rozmawiałam o tym z Agnes. Próbowалаm jej wytłumaczyć, że czasami zmuszeni jesteśmy robić pewne rzeczy osobom, na którym nam bardzo zależy. Bardzo trudne rzeczy, a nawet takie, które nam łamią serce. A mimo wszystko je robimy. Z miłości.

Elisabet zatrzymuje się i pokazuje na schody.

– Agnes jest w kuchni. Pewnie chcecie побыć same przez chwilę. Ja tu poczekam. – I siada na ławce. Popycha Annę lekko do przodu, widząc, że ta nie reaguje dostatecznie szybko. – No dalej, idź. Ja sobie poradzę.

Anna odwraca się, wchodzi po schodkach i kładzie rękę na klamce drzwi do kuchni. Agnes siedzi odwrócona plecami do okna. Założone za uszy włosy uwydatniają zarys jej szczęki, która jest taka sama jak u Håkana.

„Powiedz jej”, szepcze Håkan bez uprzedzenia, a jej serce aż podskakuje z radości. „Zrób to teraz. Powiedz jej prawdę. Całą

prawdę”.

Anna mu nie odpowiada, tylko stoi przez kilka sekund i patrzy na ich piękną córkę. Agnes to wyczuwa i powoli się odwraca.

Widać, że płakała, ale już jest spokojna. Jej spojrzenie nie jest ani pełne złości, ani pogardliwe, jedynie smutne. Anna staje w drzwiach i nie potrafi zrobić kroku.

– Czy ty to zrobiłaś, mamó? – pyta Agnes. – Zabiłaś tatę?

Anna bierze głęboki wdech i zamyka oczy.

– Nie – odpowiada i odpycha Håkana głębiej, na sam tył głowy.

– Nie zrobiłam tego.

W samochodzie nie rozmawiają dużo. Agnes trzyma na kolanach Milo, który jak zwykle wyczuwa jej nastrój i robi, co może, żeby ją rozweselić. Wpycha jej głowę pod brodę, poszczekuje i liże ją po szyi i po buzi. Agnes go nie odtrąca, tylko przytula tak mocno i długo, aż w końcu pies sam próbuje się uwolnić. Już w domu Agnes natychmiast znika w swoim pokoju. Anna słyszy pierwsze akordy piosenki Simona Vidje, dopóki Agnes nie założy słuchawek.

Klein, podobnie jak ostatnio, załadował vespę na przyczepę i przywiózł ją do Taboru. A teraz bez słowa rozładowuje skuter i parkuje przed domem.

– Dziękuję – mówi Anna, ale w odpowiedzi otrzymuje tylko krótkie skinienie głową. – Dzisiaj... – Waha się przez chwilę. – Dzisiaj wyrzuciłam Morella z komisariatu. – Właściwie to nie wie, dlaczego mu to mówi. Może nie chce, żeby odjeżdżał i zostawiał je same.

– O, to coś nowego. – Jego głos jest cierpki, ale w oczach widać błysk.

– Próbował wpływać na moje śledztwo. I przeszkadzał we wznowieniu dochodzenia w sprawie śmierci Simona.

Klein kiwa głową w zamyśleniu.

– Odważnie. Odważnie, ale i nierozsądnie.

Jego słowa Annę denerwują.

– Dlaczego zachowałeś samochód Karla-Johana? – pyta Anna

i pokazuje głową na budynek gospodarczy. – Jego letni samochód, bo tak go chyba nazywał, prawda?

– Chciał go wyremontować – mruczy pod nosem Klein. – Nawet mu w tym trochę pomagałem. Ale potem przyszło to... – Pokazuje głową na piętro domu.

– Malowidło?

– Był nim omamiony. Opętany. Spędzał tam całe dni. I nigdy nie był z niego zadowolony, cały czas coś poprawiał. Kładł warstwy farby jedna na drugą. Moim zdaniem to przez ten obraz oślepl, a nie ze smutku. Jeśli ja miałbym o tym decydować, to już dawno powinniśmy puścić z dymem i Tabor, i to malowidło. Z takiego zafiksowania nic dobrego nie wynika ani dla Karla-Johana, ani...

– Klein milknie. – Ani dla nikogo innego.

Musi minąć kilka sekund, zanim Anna zrozumie, że to ją miał na myśli.

Jesień 2017

Anna postanawia nie budzić Agnes przed wyjściem do pracy. Obie miały wczoraj ciężki dzień i Agnes potrzebuje się wyspać.

Anna wie, że powinna skorzystać z okazji i powiedzieć jej, jak to naprawdę było. Håkan wyraźnie jej to pokazuje swoim okropnym milczeniem. A jednak trudno jej się zmusić, żeby wyznać córce prawdę.

W pracy siada za biurkiem i wpatruje się w telefon. Czeka na rozmowę z naczelnikiem policji. Mimo dręczących ją wątpliwości nie powinna była pozwolić się sprowokować Morellowi i tak wybuchnąć. To już drugi raz w ciągu dwóch dni, kiedy nawarzyła sobie piwa. To, że ma przeciwko sobie Henry'ego Morella i prokuratora Santessona, powinno jej wystarczyć, a jakby jej było mało, na swoją listę wciągnęła również naczelnika policji. Pytanie tylko, czy jej wczorajszy wybuch to dostateczny powód, żeby ją wylał z pracy. Prawdopodobnie nie. Jest tu jeszcze nowa, ma dobrą opinię wśród współpracowników, w każdym razie miała przed tym artykułem w prasie. Poza tym, a nie można tego pominąć, jest kobietą. Zwolnienie jej z pracy tylko dlatego, że zbeształa mężczyznę, który zresztą już tu nie pracuje, a który podważał jej autorytet, jest dość ryzykowne nawet dla samego naczelnika. Więc pewnie będzie cierpliwie czekał na mocniejsze powody, na przykład podejrzenie o udział w śmierci Håkana.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, co się stanie z dochodzeniem Rylandera. Naczelnik nie ma policyjnego wykształcenia, to zwykły gryziopiórek, któremu brak jakiegokolwiek pojęcia o przesłuchaniach, a tym bardziej o prowadzeniu dochodzenia w sprawie o morderstwo. Pewnie zwróci uwagę na to, co zna z telewizji.

Narzędzie zbrodni, odciski palców czy DNA. Połączenia komórkowe, plamy krwi i inne ślady, od których aż roi się w kryminałach telewizyjnych. A ponieważ nie poświęci ani jednej zbędnej korony ze swojego ukochanego budżetu na coś tak prostego i nienaukowego jak stara poczciwa policyjna intuicja, Anna już teraz może sobie wyobrazić, co jej powie.

Rylander nie miał przy sobie komórki? Pewnie wcześniej ją zgubił. Albo ją sprzedał, kto wie. A te przestawione siedzenia w samochodzie? Może lubił sobie pojeździć na półleżąco, nie używając ani lusterek, ani pedałów. Rana na nodze Rylandera? Na jakiej podstawie sądzić, że miała bezpośredni związek ze śmiercią?

Najgorsze w całej tej fikcyjnej rozmowie z naczelnikiem jest to, że coś w tym wszystkim jest. Przecież wciąż nie ma niezbitego dowodu na to, że śmierć Rylandera to morderstwo. Tego, że cała czwórka kłamie, jest pewna, brakuje jej jednak czegoś, co by mogło ich zdemaskować. Najgorsze jednak jest to, że właściwie wyczerpała już wszystkie ślady i poszlaki.

Dzwoni telefon. To jedna z recepcjonistek, która przedstawia się imieniem, a potem głosem miłym i przyjaznym mówi:

– Masz gościa. Liza Savic. Zdaje się, że byłyście umówione. Mam ją przyprowadzić na górę?

Kiedy podają sobie rękę na powitanie, Liza Savic sprawia równie miłe wrażenie co wczoraj. Ma na sobie ten sam dziergany sweter, dżinsy i buty do kostek, z tym że dzisiaj całości dopełniła szalik owinięty wokół szyi – ochrona przed jesiennym wiatrem. Przez wczorajsze zamieszanie Anna zupełnie zapomniała o spotkaniu z córką Rylandera. Próbuje się przekonać, że już lepiej z nią porozmawiać, niż siedzieć i gapić się w telefon.

– Powód, dla którego tu jestem, to nie tylko mój ojciec – zaczyna Liza, kiedy już siedzi u Anny w gabinecie. Jej głos jest miły i przyjazny, mówi z lekkim dialektem gdzieś ze środkowej Szwecji. – Moja matka zmarła, kiedy miałam jedenaście lat. Urodziła mnie tuż po dwudziestce i nie była gotowa na dziecko. Może dlatego, że była narkomanką, a może z innych powodów... W każdym razie

oddała mnie do rodziny zastępczej, kiedy byłam niemowlakiem. Ale nie porzuciła mnie – kontynuuje Liza, zanim Anna zdąży coś powiedzieć. – Kiedy czuła się lepiej i była czysta, wpadała w odwiedziny, a na każde urodziny przysyłała mi prezenty. Była z moimi rodzicami zastępczymi w ciągłym kontakcie. Kiedy zmarła, zajęli się nawet uporządkowaniem jej spraw, mieszkania i w ogóle...

Anna pochyła się do przodu. Jest ciekawa, do czego prowadzi ta opowieść.

– A ojciec? – pyta.

Liza wzrusza ramionami.

– Był u mnie parę razy z mamą, kiedy byłam mała, ale niewiele z tego pamiętam. Mam kilka zdjęć w albumie, na których wszyscy troje siedzimy w ogrodzie. Szczęśliwa rodzina, można powiedzieć. – Liza uśmiecha się tak smutno, że wprost nie sposób nie odwzajemnić jej uśmiechu. – Kiedy mama zmarła, wszelki kontakt z ojcem się urwał. Kilka lat temu miałam taki czas, że dużo myślałam o tym, kim jestem. To nic niezwykłego u dzieci adoptowanych czy takich, które wychowały się w rodzinach zastępczych. Na początek chciałam więcej dowiedzieć się o mamie. O tym, czego mi nie powiedziała. Jaka była, kiedy była młoda, o czym marzyła. I dlaczego stało się to, co się stało. Skontaktowałam się więc z ojcem. – Liza uśmiecha się nieco nieśmiało, jakby czekała, aż Anna coś powie. Potem mówi dalej: – Siedział akurat w więzieniu, więc napisałam do niego list. Spytałam o niego i o mamę, o to, jak się poznali. I, ku mojemu zdziwieniu, odpisał. To nie była wyczerpująca odpowiedź, ale zgodził się na spotkanie. Kiedy wyszedł z więzienia, kilka razy zjedliśmy lunch. Powiedział mi, że i on, i mama pochodzą stąd, ze Skanii, i że spotkali się w domu dziecka. Że byli ze sobą tak blisko, iż czasami udawali rodzeństwo. Tuż przed moimi narodzinami ojca zamknęli na kilka lat. Ich drogi się rozeszły, ale miewali ze sobą kontakt od czasu do czasu, aż do dwa tysiące drugiego, do jej przedawkowania. Mówił, że mama była miłością jego życia, ale wydaje mi się, że powiedział tak tylko ze względu na mnie. – Liza znów lekko się uśmiecha. – Po naszym pierwszym spotkaniu odzywał

się do mnie kilka razy w roku. Ale zawsze tylko wtedy, kiedy potrzebował pomocy. Najczęściej chodziło o pieniądze.

– Pomagałaś mu?

– Czasami tak, ale nie jestem głupia i dobrze wiedziałam, że nie zobaczę już ani korony z tych pieniędzy. Ojciec nie był aniołem, ale moja matka zastępcza zawsze mawiała, że czasami trzeba zrobić dobry uczynek nawet mniej dobrym ludziom.

Anna kiwa głową i uświadamia sobie, że intuicyjnie lubi Lizę Savic. Jej miękki ton głosu i to pozytywne spojrzenie na ludzi. Matka ją porzuciła, ojciec się nią nie interesował, a mimo to w tej młodej kobiecie nie ma ani odrobiny goryczy. Czy ona też taka była w jej wieku? Prawdopodobnie nie. Kiedy była tuż po trzydziestce i pracowała już jako policjantka od pięciu lat, jej wiara w dobroć ludzi zdążyła się nieco nadwyrężyć.

– Jakiś miesiąc temu ojciec zadzwonił i chciał się spotkać – kontynuuje Liza. – Spytał, czy mam jakieś pamiątki po mamie, i czy może je zobaczyć. Uznałam to za okazję, żeby się o mamie więcej dowiedzieć, więc go zaprosiłam. Było całkiem miło, zjedliśmy obiad, piliśmy wino i przeglądaliśmy jej rzeczy. To kilka kartonów z książkami i innymi drobiazgami, które moi rodzice zastępczy znaleźli w jej mieszkaniu, nic nadzwyczajnego.

– Kiedy to było, tak mniej więcej? – pyta Anna, która już się domyśla, o co chodzi.

– Około dwudziestego września.

– Tuż po tym, jak dostałaś list od Elisabet Vidje?

Liza kiwa głową.

– Zgadza się. Jakiś tydzień później.

– Nie pamiętasz, czy w którymś z kartonów była kasetka magnetofonowa?

Liza znów się uśmiecha.

– Tak, mały stojak na kasety. Pamiętam, że mama miała *Thriller* Michaela Jacksona i parę innych kaset. Joe i ja... – Liza przerywa. – Nazywam go Joe, nie tata... W każdym razie nawet trochę się śmialiśmy z jej gustów muzycznych. Pracuję w wytwórni płytowej,

więc muzyka to dla mnie i praca, i jednocześnie hobby. Joe uważał, że to bardzo interesujące. Dużo mnie o to wypytywał.

– Nie zauważyłaś, żeby brakowało jakiejś kasety? Czy Joe nie wziął którejś z nich?

– Nie, dlaczego?

Bo prawdopodobnie w rzeczach twojej mamy znalazł kasę, którą nagrał Simon Vidje, dopowiada sobie Anna w myślach. Ale skąd Tanja ją miała?

– W każdym razie... ten list od Elisabet Vidje... – kontynuuje Liza. – Joe dostał podobny, a wiem to, bo go zapytałam. Chciałam, żeby mi powiedział, co w nim było.

– I co? – Anna pochyla się przez biurko.

Liza podciąga rękaw swetra.

– To jest właśnie powód, dla którego tu jestem. Joe nagle zrobił się bardzo tajemniczy. Napomknął coś, że byli z mamą na jakiejś imprezie w kamieniołomie i że nie bardzo rozumiał, co się tam stało, aż do tej chwili. Potem już nie chciał o tym rozmawiać. Ale zrozumiałam, że musi tu chodzić o pieniądze. U Joego zawsze chodziło o pieniądze...

– A twoja mama? Czy wspominała kiedykolwiek o kamieniołomie?

Liza potrząsa głową.

– Nigdy, ani mnie, ani moim rodzicom zastępczym. To było jeszcze przed moim urodzeniem. Urodziłam się rok później. W każdym razie... – Liza milknie i wierci się niespokojnie. – Przyszłam tutaj, bo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej. Chciałam, żebyś mi opowiedziała, co się właściwie stało, że ten chłopiec zginął, i czy to ma jakiś związek z moimi rodzicami? Chodzi mi o to, że... – Liza wzdycha. – Joe uważał, że jest sprytniejszy od innych. I że świat powinien dopasować się do niego. Spotykam takie typy na co dzień często, to nie takie znów rzadkie w branży muzycznej. – Robi ironiczny grymas, który wywołuje w Annie lekki uśmiech. – Mają jedną rzecz wspólną, uważają, że oprócz nich świat składa się z samych idiotów. Chodzi mi o to, że... może to zabrzmie głupio... – Liza wzrusza ramionami – po prostu trudno mi sobie wyobrazić,

żeby Joe sam odebrał sobie życie. Za bardzo siebie lubił, żeby coś takiego zrobić.

Anna chce coś odpowiedzieć, ale dzwoni jej komórka. Zazwyczaj odrzuca połączenie i wycisza głos, ale to Agnes.

– Przepraszam, ale muszę odebrać – mówi i wychodzi na korytarz.

– Tak, kochanie! – Natychmiast sobie uświadamia, że za bardzo się wysiła.

– Cześć, mam. Jesteś zajęta? – Jej głos nie jest ani zdenerwowany, ani obwiniający.

– Trochę, dlaczego pytasz?

– Mats jest tutaj. Mówi, że chce z tobą porozmawiać. I że to ważne. – Anna słyszy jakiś chrzęst, jakby Agnes zasłoniła ręką słuchawkę, a jej głos przeszedł w szept. – Wydaje mi się, że chce rozmawiać o Simonie Vidje.

– Już jadę.

Anna kończy rozmowę. Przeprasza Lizę Savic i tłumaczy, że musi wyjść w ważnej sprawie. Prosi ją o numer telefonu i obiecuje się odezwać.

Mats i Agnes siedzą na schodach i bawią się z Milo. Gdy tylko Anna wychodzi z samochodu, olbrzym podnosi się i zakłopotany podciąga róg płaszcza.

– Zdaje się, że chcesz ze mną porozmawiać?

Mats nie odpowiada, tylko patrzy na dach domu.

Agnes też się podnosi i bierze Matsa ostrożnie pod ramię.

– Mats pyta, czy może zobaczyć to malowidło ścienne.

Anna unosi nieco brwi.

– Wydawało mi się, że mieliśmy rozmawiać o...

Agnes robi zirytowany grymas i jednocześnie potrząsa głową. Następnie pokazuje na piętro.

– Oczywiście, że możesz, Mats – odpowiada Anna, ale wciąż nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

Cała trójka idzie do sali kazań. I kiedy Mats ogląda malowidło, Anna robi pytający gest w kierunku Agnes, nie otrzymuje jednak odpowiedzi.

Mats staje kilka metrów przed malowidłem i przygląda się mu w ciszy. Po chwili na jego szerokim czole pojawia się zmarszczka.

– To kamieniołom – mruczy do siebie. – Ale gdzie on jest? Nie mogę go znaleźć.

Agnes ustawiła fotolampy po obu stronach ściany i nakierowuje je na malowidło. Podchodzi do jednej z nich i naciska guzik. Światło wydobywa wyraźny zarys ciała Simona Vidje w samym środku ciemnej tafli wody.

Mats zaczyna dyszeć, cofa się kilka kroków i podnosi rękę do oczu, jakby próbował się bronić przed tym, co widzi.

Anna pamięta, co powiedział o tej wodzie. Że Carina była aż sina z zimna. Rozumie, że teraz jest właściwy moment, żeby zapytać go o to, nad czym tak się długo zastanawiała.

– Czy byłeś tam, Mats? – mówi cicho. – W kamieniołomie, tamtego wieczoru?

Mats powoli kiwa głową. Z jego ogromnych policzków zaczynają płynąć łzy.

– Żeby podglądać Carinę Pedersen?

Mężczyzna znów kiwa głową i ściera łzy z policzków.

– Była taka piękna. Długie jasne włosy... Jak anioł. – Robi się purpurowy na twarzy.

– Czy inni wiedzieli, że tam jesteś?

Mats kręci głową.

– Nie. Bo Marie na pewno odwiozłaby mnie do domu. Zawsze tak robiła, gdy mnie tam widziała. Musiałem się ukrywać. Schowałem się w lesie. Jest tam takie miejsce, gdzie przez dobrą lornetkę można wszystko zobaczyć.

– Jak... – Anna próbuje opanować swoją ciekawość. – Jak długo tam byłeś, Mats?

– Aż zaczęło padać. Aż... – Milknie, wierci się niespokojnie i znów patrzy na malowidło.

– Aż co? – pyta Anna spokojnym głosem.

– Aż zaczęli się kłócić – mamrocze Mats.

– Kto? – Agnes nie może powstrzymać ciekawości.

Mats rozkłada ręce.

– Wszyscy. Alex, Marie, Carina, Bruno. To było wtedy, kiedy odjechał motor. Potem zaczęli się bić.

– Kto? – Tym razem kolej Anny na zadawanie pytań.

– Alex i Simon. Simon nie miał najmniejszych szans. Alex był duży i silny. To wszystko wyglądało tak okropnie, że uciekłem tam, gdzie schowałem motorynkę. Strasznie lało i wpadłem do rowu w drodze do domu.

Ostatnie słowo Mats wymawia jako dum, nie dom.

– A co widziałeś, zanim odjechałeś?

Mats krzywi się, tak jakby pamięć go bolała.

– Alex rzucił Simona na ziemię zapaśniczym chwytem. Simon upadł i nie mógł się ruszyć. Reszta zaczęła na niego krzyczeć.

– Na Alexa?

Mężczyzna kręci głową.

– Nie, na Simona. Krzyczeli brzydkie słowa, wyzywali go okropnymi słowami. Uciekłem stamtąd. Mogłem wtedy coś powiedzieć, prawda... Mogłem powiedzieć, żeby Alex przestał bić Simona. Żeby przestali na niego krzyczeć.

Mats milknie, spogląda na malowidło i chwytą się za brodę. Znów ma zaszkłone oczy.

– Czy pamiętasz coś jeszcze? – pyta Anna po chwili, która wydaje jej się wiecznością.

– Nie – mamrocze Mats, nie odrywając wzroku od malowidła, na którym ciało Simona Vidje unosi się na ciemnej tafli wody. – Tylko to, jak pędziłem do domu.

Anna zostawia Matsa i Agnes na górze w sali kazań i wychodzi do ogrodu. Serce wali jej z wrażenia, więc próbuje się uspokoić, zanim zadzwoni do Jensa Friberga.

– Jutro rano chcę, żebyś doprowadził Alexa Morella na przesłuchanie – mówi, kiedy Jens odbiera telefon. – Zatrzymaj go tak, żeby nikt nie widział. To ważne, żeby nikt oprócz nas nie

dowiedział się, że go zatrzymaliśmy, okej?

Na kilka sekund w słuchawce zalega cisza.

– Czy jesteś tego pewna, Anno? – Głos Friberga znów brzmi tak jak przy pierwszym spotkaniu. Podejrzliwie, sceptycznie. A nawet odrobinę wrogo. Rozczarowanie tkwi jej w piersi jak gula w gardle i przechodzi w poczucie, że może za bardzo się pośpieszyła. – Henry będzie... – mówi Friberg, ale nie kończy.

Anna mu przerywa:

– Zrób, co mówię, Jens – kończy i odkłada słuchawkę.

Jesień 2017

Pokój przesłuchań na komisariacie w Nedanås jest dużo miłszy niż ten w Wydziale Dochodzeń Wewnętrznych w Sztokholmie. Ściana naprzeciwko drzwi ma okno, przez które widać drzewo z garstką liści. Na pozostałych ścianach wiszą biało-niebieskie plakaty Organizacji ds. Przeciwdziałania Kradzieżom. Nie ma tu kamer ani ukrytych mikrofonów, jedynie stary pocziwy magnetofon kasetowy, który stoi na stole. Anna miała cały czwartkowy wieczór, żeby wszystko przemyśleć. Nieco żałuje, że wciągnęła w to Friberga już wczoraj po południu. Może trochę się pośpieszyła, ale też wie dlaczego. Coraz bardziej go docenia i chce go mieć po swojej stronie. Pokazać mu, jak jest cholernie dobra, co oczywiście w sumie wydaje się śmieszne.

Nie spała prawie całą noc i była przygotowana na to, że Friberg weźmie zwolnienie lekarskie, żeby nie być kojarzonym z jej śledztwem. Albo jeszcze gorzej, że zadzwoni i ostrzeże Henry'ego Morella, co się święci. Ale kiedy tuż po siódmej przyjechała na komisariat, prywatny samochód Friberga już stał zaparkowany, a jednego radiowozu brakowało. Za piętnaście ósma Friberg zadzwonił i poinformował, że ma Alexa Morella i że już jadą. Anna poczuła ulgę, a zarazem lekkie zmieszanie. Jens Friberg wciąż pozostawał dla niej zagadką, ale teraz miała inne rzeczy na głowie.

Anna wkłada nową taśmę do magnetofonu i kilka razy robi próbę głosu. Siedziała w podobnym pokoju już setki razy. Przesłuchiwała wszystkie możliwe typy podejrzanych. To dla niej chleb powszedni, jej działka. A mimo to czuje narastający stres.

Stukanie do drzwi, a potem pojawia się Jens Friberg razem z Alexem Morellem.

– Usiądź!

Friberg pokazuje na krzesło po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Anny. Czeką, aż Alex usiądzie, i chce wyjść.

– Zostań, Jens.

Friberg zatrzymuje się i przez moment wygląda na zdziwionego. Po chwili odsuwa krzesło obok Anny i siada posłusznie.

– Chciałaś ze mną rozmawiać, Anno – mówi Alex Morell. – Coś się nie zgadza z moim alibi?

Krzywy uśmiezek nie ukrywa jego zdenerwowania. Czuć je nawet przez pot i woń jego kombinezonu roboczego. Anna włącza magnetofon.

– Przesłuchanie Alexa Morella, urodzonego siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku...

– Anna milknie i czeka kilka sekund, zanim zacznie.

Siedzi w ciszy i uważnie studiuje mężczyznę po drugiej stronie stołu. Alex wciąż się uśmiecha, ale wyraźnie widać, jak pod zarostem jego jabłko Adama podskakuje raz w górę, raz w dół. Jedną stopą rusza się nerwowo. Nie jest zachwycony myślą, że on, syn szefa policji, jest przesłuchiwany. Anna spogląda na Fribergę, ale on nie daje po sobie poznać, co myśli ani o niej, ani o całej tej sytuacji.

– Dlaczego pobiliście się z Simonem Vidje tamtego wieczoru w kamieniołomie – pyta Anna i nieznacznie pochyła się do przodu.

Jego głos jest miękki, ruchy płynne, delikatne, ale Alex Morell odsuwa się, jakby został spoliczkowany. Ma otwarte usta, z trudem łapie powietrze.

– Powiedziałeś, że był twoim przyjacielem – kontynuuje Anna, zanim on zdąży zebrać myśli, i jeszcze bardziej pochyła się do przodu. – Mimo to dałeś mu wycisk, a pozostała trójka się temu przyglądała. Duży, silny zapaśnik, olimpijczyk przeciwko szczupłemu małemu muzykowi. To musiało się skończyć tylko w jeden sposób, prawda?

– Mm...

Twarz Alexa robi się biała jak kreda, język krąży pod wargami, jakby szukał właściwych słów. Anna widzi, że Friberg również pochyła się

nieco do przodu, ale Anna uniesieniem prawej ręki z kolana daje mu sygnał, żeby był cicho.

– A więc... – próbuje Alex, lecz jego mózg i usta wciąż jeszcze nie mogą się skoordynować.

Anna widzi, jak się męczy, jak rozpaczliwie szuka wyjścia. Więc mu je daje.

– Opowiedz, co się właściwie stało tamtego wieczoru, Alex.

Oczy Alexa błyszczą, jego wzrok krąży od Anny do Friberga, tam i z powrotem. Spuszcza głowę, jego ramiona się kurczą i przez chwilę wydaje się, że zaraz upadnie do przodu, opanowuje się jednak, kładąc ręce na stole. Siedzi w takiej pozycji przez kilka sekund i próbuje się wziąć w garść. Po czym bierze głęboki wdech i zaczyna opowiadać.

28 sierpnia 1990

Deszcz lał się na nich strugami.

Alex wykonał klasyczny rzut przez bark i całym ciężarem ciała przycisnął Simona do ziemi.

Teraz to on tu decydował, on miał kontrolę. Jego wściekłość kipiąca w całym ciele mieszała się z satysfakcją z odzyskania władzy. Reszta stała w kole i skandowała, żeby dowalić jeszcze mocniej, żeby dać Simonowi to, na co sobie zasłużył.

Alex odchrząknął, zaparł się nogami i rzucił ciałem Simona, tak jak to robił z przeciwnikiem na macie zapaśniczej. Simon twarzą zarył w dół pełen deszczu. Gruz i kamienie wbiły mu się w skórę i to dzięki nim ocknął się po uderzeniu.

– Puszczaj!

Simon wyrывał się i próbował wyjąć głowę z wody, ale Alex go przytrzymał. Woda zalewała mu usta i nos, nie mógł nabrać powietrza.

– Puszczaj! – Spróbował ponownie, lecz z jego gardła wydobywało się jedynie charczenie.

Pozostała trójka wciąż krzyczała i zagrzewała Alexa, żeby bił coraz mocniej.

Alex szarpnął Simonem tak mocno, aż można było usłyszeć strzelające stawy. Woda wypełniła już cały dół i Simon, żeby złapać powietrze, musiał kaszleć i charczeć. Pozostała trójka wciąż podsycala Alexa do walki, ale on zdecydował, że już wystarczy. Dał Simonowi wycisk i pokazał mu, co się może stać, jeśli się wkroczy na jego terytorium.

Alex zwolnił uchwyt i podniósł się powoli. Usłyszał zawód w głosie pozostałej trójki.

Simon wyczołgał się z dołu i zaczął pluć brunatną deszczówką. Próbował uklęknąć, ale natychmiast został przewrócony.

– Uważasz, że jesteś lepszy od nas, tak? – Głos Bruna był tak pełen gniewu i nienawiści, że Alex niemal go nie poznał. – Że możesz robić, co ci się podoba, co?

Simon próbował się podnieść, ale znów został popchnięty, tym razem przez Carinę.

– Jesteś małym gnojkiem, Simon. Rozumiesz?!

Simon przewrócił się na bok i znów spróbował się podnieść. Tym razem to Marie popchnęła go tak mocno, że uderzył głową o kamień.

– Tak bezczelnie mnie zawieść... Przecież byliśmy jak rodzeństwo...

Simon chwycił się za tył głowy, jego twarz stężała.

– Zobaczcie, on płacze – powiedział Alex. – Co za cholerny mazgaj!

– Pieprzeni idioci – wydobył z siebie Simon, a jego głos, pełen rozpacz, łamał się.

Ponownie spróbował się podnieść, ale tym razem przyszła kolej na Alexa i to on powalił go na ziemię.

– To ty jesteś idiotą, Simon – szydził Alex. Przepęłniało go uczucie władzy, dzięki któremu poczuł się tak dobrze, jak nigdy przedtem.

– No, powiedz, że jesteś idiotą, to może cię puścimy.

Simon potrząsnął głową, a łzy lały mu się po policzkach. Łzy gniewu i poniżenia. Podparł się rękami, próbując się obrócić na bok i wstać. Ale kolejne razy wymierzone przez Alexa pozbawiły go zupełnie sił.

Alex pokazał pozostałej trójce, żeby zamknęła krąg. Zbudowali wokół gęsty las nóg i zamknęli Simonowi drogę ucieczki.

– No, powiedz, że jesteś idiotą! – szydził dalej Alex. – Powiedz, że jesteś małym, cholernym mazgajem, to cię puścimy.

Próbując się podnieść, Simon dostał tak mocno kolanem w twarz, że aż zaszczekał zębami.

– No, powiedz to! – krzyczał Alex.

Simon skulił się, chwycił się rękami za kolana i pochylił głowę.

– Jestem idiotą – wymamrotał.

– Głośniej! – krzyknęła Carina.

– Jestem idiotą!

– Powiedz, że jesteś zdrajcą! – krzyczała z wściekłością Marie.

– Jestem zdrajcą.

– Powiedz, że twój ojciec powinien siedzieć w domu wariatów!

Simon podniósł głowę. Jego włosy były przemoczone, strugi deszczu spływały mu po policzkach. W jego oczach był jakiś dziwny blask.

– No, powiedz to – warczał Bruno. – Powiedz, że twój ojciec powinien siedzieć w domu wariatów!

– Mój tata... – wymamrotał Simon i nagle jakby odzyskał siły. – Mój tata powinien siedzieć w domu wariatów.

Na kilka sekund zaległa cisza, słychać było tylko deszcz. Simon ukląkł w kałuży na czworakach i powoli się podniósł. Spojrzał na nich, na każdego z osobna, otarł z twarzy łzy i deszcz. Marie zrobiła krok do tyłu. Wyglądała, jakby właśnie pożałowała tego, co powiedziała. Simon wykorzystał tę lukę, przeszedł obok kuzynki i poszedł prosto w las.

– *Friends forever!* – krzyknął przez ramię i coś w jego głosie uderzyło Alexa prosto w serce.

Jesień 2017

– Wszystko oszalało... Wszystko poszło nie tak... – mówi Alex słabym głosem. – Byliśmy naćpani, pijani i wściekli. A to razem dało mieszankę wybuchową, która skierowała się przeciwko Simonowi. – Alex smutno rusza głową. – Jakaś zbiorowa psychoza, nie jestem w stanie tego inaczej wytłumaczyć.

– Co się stało później? – pyta Anna. – Kiedy Simon podniósł się i poszedł do lasu?

Alex wypuszcza powietrze. Jego twarz jest zboląta.

– Po paru minutach deszcz nas otrzeźwił i uświadomiliśmy sobie, co zrobiliśmy. Dziewczyny zaczęły wołać Simona, poszły nawet do lasu go szukać.

– A ty i Bruno? – pyta Friberg.

Alex pochyla głowę.

– My zostaliśmy przy namiotach, próbowaliśmy rozpaścić ogień. Potem wróciliśmy dziewczyny. Simon nie odpowiadał, poza tym był za duży deszcz i było zbyt ciemno, żeby go dalej szukać. Uznaliśmy, że doszedł do barierek, wziął rower i pojechał do domu, do Änglabergi. Myśleliśmy, że następnego dnia pojedziemy do niego i go przeprosimy...

– Nie pomyśleliście o tym, żeby zejść na dół i sprawdzić, czy jest jego rower? Albo po prostu pojechać za nim? – pyta Friberg.

Anna go nie powstrzymuje. Jest dobry. Rower... „Rower Simona?”, zapisuje Anna w notesie, nie wiedząc właściwie dlaczego.

Alex ma przygnębiony wyraz twarzy.

– Byliśmy wszyscy zmęczeni, przemoczeni do suchej nitki i wstydziliśmy się jak psy. Poza tym nie byliśmy w formie do prowadzenia samochodu, w każdym razie nie w ciemności i nie

w takim deszczu. Więc położyliśmy się spać. – Jego głos łamie się nieco na końcu.

– I nic nie słyszałeś? Żadnych odgłosów? Nic?

Alex potrząsa głową.

– Nie. O ile dobrze pamiętam, tak lało, że ledwo było słychać własne myśli. Od razu padłem. Obudziłem się dopiero następnego dnia rano, kiedy usłyszałem krzyk Marie.

Alex ogląda swoje dłonie, obraca je powoli, rozczapierza palce, jakby czegoś szukał na swojej stwardniałej skórze.

Nagle, bez ostrzeżenia, otwierają się drzwi i do pokoju przesłuchań wpada Henry Morell. Ma bladą twarz i czarne błyszczące oczy. Jens Friberg podnosi się błyskawicznie i staje mu na drodze, co zatrzymuje Morella.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz, Anno!?! – krzyczy Morell przez ramię Friberga. Z ust pryska mu ślina, która trafia Jensa w twarz i w jego idealnie wyprasowaną koszulę. Ale nie przesuwa się ani o milimetr.

Zanim Anna zdąży cokolwiek odpowiedzieć, Morell podbiega i chwyta syna za ramię.

– Chodź, Alexander, nie musisz tu siedzieć ani jednej cholernej minuty dłużej. – Wyciąga w kierunku Anny swój gruby palec wskazujący. – Chcesz rozmawiać z Alexandrem, to w obecności mojej i adwokata. Słyszysz?

Morell ciągnie syna za ramię, żeby się podniósł. Ale Alexander nie rusza się z miejsca.

– Spokojnie, tato – mówi do ojca, a ton jego głosu jest miły, prawie czuły.

Tymczasem Henry Morell, jakby w ogóle nie słyszał, co do niego mówi, ciągnie go za ramię. Pod jego gęstą brodą rozlewa się pąs.

– Chodź! Nie musisz jej mówić ani jednego cholernego słowa, tej...

– Morell wymachuje ręką, nawet nie patrząc na Annę.

A Alex wciąż siedzi i smutno potrząsa głową.

– Nosilem to w sobie prawie trzydzieści lat, tato. Chcę to z siebie wyrzucić. Wziąć odpowiedzialność za to, co się stało. Za to, co

zrobiliśmy Simonowi.

Morell puszcza rękę Alexa.

– Alexander, przecież nie możesz... – Próbuje mu przemówić do rozsądku. – Przecież nie możesz sobie zniszczyć życia w ten sposób. Nigdy na to nie pozwolę.

Alex wstaje i oddanym gestem poklepuje ojca po ramieniu.

– To moje życie, tato. I moja odpowiedzialność. – A potem Alexander odwraca się do Anny i mówi: – Zawiedliśmy naszego przyjaciela. – Smutek w jego spojrzeniu jest tak głęboki, że aż nie sposób go nie żałować. – Poniżyliśmy go i popędziliśmy do lasu. Zmusiliśmy, żeby błądził w deszczu i w ciemności, sam, zбитy i upokorzony.

Alex wciąga powietrze i wymienia z ojcem krótkie spojrzenie. Henry Morell jest błąd jak ściana, a jego ręce zwisają bezwładnie.

– To nasza wina – odzywa się Alex cicho, a słowa te kieruje zarówno do ojca, jak i do Anny. Po jego policzkach zaczynają płynąć łzy. – Moja, Bruna, Marie i Cariny. To przez nas Simon nie żyje i najwyższy czas, żebyśmy się do tego przyznali.

Alex i Henry wciąż siedzą w sali przesłuchań, podczas gdy Anna i Friberg idą do jej gabinetu, żeby przedyskutować to, co przed chwilą usłyszeli. Recepcjonistki i trzech innych policjantów stoją w małej grupce i szepczą coś, ale natychmiast przestają, gdy tylko ich widzą.

– Jak myślisz, kto powiadomił starego Morella? – pyta Anna, kiedy są na schodach.

Friberg wzrusza ramionami.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Może i nie.

Anna się cieszy, że Friberg znów gra z nią do jednej bramki.

– I co teraz robimy? – pyta Friberg, zamykając drzwi. – O ile dobrze rozumiem, to Alex Morell przyznał się, że on i pozostali pobili Simona, ale nic poza tym. Myślisz, że kłamie? Że przyznaje się do

mniejszego przestępstwa, by uniknąć poważniejszych konsekwencji?

Anna siedzi cicho przez kilka chwil. Zdążyła już o tym pomyśleć. To nie takie rzadkie, że podejrzani grają w ten sposób, ale Anna nie widziała ani śladu tego u Alexa Morella.

– Nie – odpowiada. – Wydaje mi się, że mówi prawdę.

– Też tak myślę. – Friberg kiwa głową. – W takim razie cała czwórka winna jest pobicia i narażenia drugiej osoby na utratę zdrowia i życia, zgodzisz się?

Teraz jej kolej przyznać mu rację.

– Nie pamiętam w tej chwili, po jakim czasie przestępstwo ulega przedawnieniu, ale wydaje mi się, że dwadzieścia siedem lat to trochę za długo, żeby postawić ich w stan oskarżenia... – Friberg unosi pytająco brwi.

– Pięć lat – mówi Anna. – Dziesięć, jeśli to ciężkie przestępstwo. Niezależnie od wszystkiego dwadzieścia siedem lat to i tak za późno. Musimy się skupić na Rylanderze.

Friberg robi grymas.

– W każdym razie znamy już motyw. Pytanie tylko, skąd Rylander wiedział, co się tam wydarzyło. Myślisz, że wrócił z Tanją do kamieniołomu i coś widzieli?

Anna wzrusza ramionami.

– Być może. Chociaż osobiście wydaje mi się, że Rylander nic nie wiedział.

– Tak sądzisz?

Anna wyjmuje list od Elisabet Vidje i daje mu do przeczytania.

– Myślałam nad tym trochę – mówi Anna, kiedy Friberg kończy czytać list. – Sądzę, że gdy dostał ten list, dostrzegł szansę na zarobienie pieniędzy. I zaryzykował, podejrzewając, że w kamieniołomie rzeczywiście coś się wydarzyło. I że ktoś z nich, a może nawet cała czwórka, gotowy będzie zapłacić mu za milczenie. Więc porzysłał do nich maile, a potem pojawił się na festynie w parku.

Friberg kiwa głową i nie pyta, dlaczego Anna pokazuje mu list dopiero teraz.

– W każdym razie dobrze sobie wykombinował, co? Komuś zależało, żeby to, co się tam stało, nie wyszło na jaw, ale nie chciał zapłacić. No i wkrótce potem Rylander zginął. Dzięki temu, że Alex Morell się przyznał, wiemy dlaczego. Teraz pozostaje tylko pytanie, kto to zrobił.

Anna zgadza się z Fribergiem i na znak tego unosi do góry kciuk.

– Alex Morell ma alibi. Ale przyznał się do bójki w kamieniołomie – Anna wylicza na palcach, najpierw na wskazującym, potem na palcu środkowym. – Marie i Bruno dają sobie wzajemnie alibi. Wiemy też, że pracują razem z Alexem nad tym swoim projektem, na który potrzebują pieniędzy. – Anna przechodzi do palca serdecznego. – Caia Bianca twierdzi, że była wtedy na koncercie, ale nie sprawdziliśmy jej alibi. Czysto teoretycznie to ona ma najwięcej do stracenia, jeśli sprawa śmierci Simona Vidje ujrzałaby światło dzienne. Dziewiętnastolatek zadręczony na śmierć przez najbliższych przyjaciół to katastrofa dla jej wizerunku. Poza tym ma już na swoim koncie podejrzenie spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym. – Anna milknie, marszczy czoło. Chwyta najmniejszy palec. – Mamy też piątą alternatywę. Ktoś zupełnie inny załatwił Rylandera. Ktoś, kto robi wszystko, żeby sprawa śmierci Simona Vidje nie wyszła na jaw.

– Więc kto?

Zanim Anna zdąży odpowiedzieć, dzwoni telefon. To Malmö. Dobrze wie kto, zanim jeszcze usłyszy w słuchawce mrukliwy głos naczelnika policji.

– Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z Henrym Morellem i sądząc po jego wzburzeniu, nie byłem jedynym, do kogo zadzwonił. – Jego głos jest bardziej zmęczony niż zdenerwowany. – Bądź więc tak miła i wyjaśnij mi, jak wypełniłaś mój rozkaz, aby zawrzeć pokój z Morellem, skoro wyrzuciłaś go z komisariatu, na którym spędził ponad trzydzieści lat swego życia, a potem aresztowałaś jego syna?

– Alexander nie jest aresztowany. Został dowieziony na przesłuchanie.

Naczelnik wzdycha.

– Teraz przyjaciele Morella będą do mnie wydzwaniać przez cały dzień, a ty nie ułatwiasz mi sprawy. Jak cię będę mógł wybronić?

Anna bierze głęboki oddech i streszcza naczelnikowi przyznanie się Alexandra Morella. Tłumaczy mu, jak to się ma według niej do śmierci Joego Rylandera. Naczelnik słucha, nie przerywając.

– Niezaprzeczalnie bardzo interesująca historia i definitywnie możliwy motyw – odpowiada naczelnik, kiedy Anna kończy. – Ale jest jeden problem.

– Mianowicie? – Pytanie jest zbędne, bo Anna doskonale wie, co zaraz usłyszy.

– Przyjrzałem się dokładnie temu śledztwu i wciąż nie ma wystarczających dowodów na to, że Rylander rzeczywiście został zamordowany. Mimo pewnych niejasności jego śmierć mogła być równie dobrze samobójstwem lub nieszczęśliwym wypadkiem. – Anna słyszy w słuchawce, jak naczelnik stuka palcami o biurko. – W świetle zeznań Alexandra Morella zamierzam jednak pozwolić ci pociągnąć to dalej. Przesłuchaj pozostałą trójkę w poniedziałek.

– Musimy to zrobić teraz – odpowiada Anna. – Zanim Henry Morell zadzwoni do nich i opowie, co powiedział Alexander. Musimy ich wziąć z zaskoczenia.

– Anno, na twoim miejscu jeszcze raz bym przemyślał sprawę Henry’ego Morella... Już cię obwinia o to, że prowadzisz prywatną wendetę, a twoje oskarżenia to tylko woda na jego młyn. Nie ma w tej sprawie nic, co by wymagało pośpiechu czy wykorzystania i tak już skromnych zasobów policji i przesłuchania ich w weekend. Nie mówiąc już o tym, że zupełnie niepotrzebnie dołałybyś oliwy do ognia, gdybyś w dzień wolny od pracy doprowadziła na przesłuchanie troje porządnych obywateli. – Naczelnik milknie. Po kilku sekundach kontynuuje, a jego głos jest mniej kategoriyczny: – Jesteś dobrą policjantką, Anno, i niewykluczone, że coś znalazłaś. Ale ten artykuł w gazecie bardzo ci zaszkodził i, niestety, ani ty, ani to śledztwo nie potrzebujecie już więcej niespodzianek. – Naczelnik wzdycha głęboko. – Wypuść Alexandra Morella najszybciej, jak to tylko możliwe, i przygotuj się porządnie na poniedziałek, a ja

spróbuję tych sprzymierzeńców Morella przytrzymać na odległość przez kilka dni. I jeszcze jedno... życzę ci powodzenia.

Jesień 2017

Anna prosi, żeby Friberg poinformował obu Morellów, że są już wolni i mogą wracać do domu. Kiedy idą do samochodu Henry'ego, Anna stoi w oknie na piętrze i patrzy na nich. Są tego samego wzrostu, mają bardzo podobne ruchy, a jedyne, co ich odróżnia, to bardziej pochylona sylwetka i cięższy krok ojca. Słońce, które teraz wyszło zza chmur, daje całej tej posępnej scenie zupełnie niepasującą oprawę.

Kiedy obaj mężczyźni wsiadają do samochodu, Anna zastanawia się, czy któreś z przednich foteli w ich volvo wysunięte jest do tyłu.

O trzeciej Anna wraca do domu. Jedzie wolno w górę zbocza. Udaje jej się znaleźć w telefonie piosenkę Simona Vidje. Włącza ją i słucha przez stereo samochodowe. Jego głos jest miękki i miły, słowa piękne, a zarazem przerażające.

– *I'll see you by the waters. The dark and lonely waters.*

Z drzew pospadały już liście i strome zbocza pokryły się kolorowym dywanem. Anna skręca na drogę prowadzącą do Taboru, ale zatrzymuje się i siedząc nieruchomo kilka chwil, nad czymś się zastanawia.

Alexander Morell powiedział prawdę o tym, co się wydarzyło w kamieniołomie. Wiedzą o tym ona i Friberg, i jeszcze naczelnik policji. No i oczywiście Henry Morell, co oznacza, że wkrótce dowie się o tym cały świat. Więc jest więcej niż pewne, że pozostała trójka także. Anna wrzuca wsteczny bieg i kieruje się na drogę do Änglabergi.

Kiedy skręca w aleję, obok budynku zaraz za wjazdem stoją

samochody Kleina i Elisabet Vidje. Anna zatrzymuje się i parkuje samochód przy drodze. Ciernisty żywopłot otaczający budynek jest tak wysoki, że wystaje z niego tylko dach. W żywopłocie znajduje się przejście, które prowadzi do głównego budynku. Drewniany dom pomalowany jest na zielono. Przedsiónek i okna ozdobione są białymi drewnianymi zdobieniami, mimo to dom wygląda dość smutno. Jakby chował się między cierniami żywopłotu daleko w głębi alei.

Anna słyszy głosy dochodzące z tyłu budynku i tam też się kieruje. Za rogiem widzi szopę. Podwójne drzwi są otwarte na oścież, a na samym środku pokoju wisi jelenź. Spod brody zwierzęcia wystaje hak przymocowany do łańcucha zwisającego z belek stropowych. Jelenź jest tak duży, że jego tylne kopyta dotykają betonowej posadzki. Anna próbuje sobie przypomnieć, czego się uczyła w szkole o jeleniach, i wie, że są ich dwa rodzaje, ale nie pamięta jakie. Klein i Elisabet Vidje stoją przed zwierzęciem i podziwiają je. Kiedy słyszą kroki, odwracają się.

– Prawda, że piękny? – mówi Elisabet Vidje.

– Tak – odpowiada Anna. – Co to za rodzaj jelenia?

– Jelenź szlachetny – odpowiada Klein i wygląda, jakby pytanie Anny bardzo go rozbawiało. – Daniele są mniejsze i mają łopatowate rogi. Nie takie jak ten olbrzym. Ustrzeliłem go dzisiaj rano w Bensige. Warto było na niego poczekać. – Klein kładzie rękę na szyi jelenia i klepie go kilka razy. Jego ręce są zakrwawione.

– Klein chciał go ustrzelić już w zeszłym roku – mówi Elisabet Vidje. – Ale poprosiłam go, żeby poczekał. To buchaj, więc chciałam dać mu jeszcze trochę czasu, żeby zdążył przekazać geny. – Kobieta uśmiecha się. Ma zmęczone oczy. Jej twarz, do połowy zasłonięta chustką, jest blada i poorana zmarszczkami.

– Dlaczego w ogóle trzeba było go zabijać? – pyta Anna.

– Jeśli tego nie zrobimy, to wcześniej czy później zapuści się dalej na wschód i dojdzie do Trollebergi. A tam łowca trofeów, który zapłaci kupę pieniędzy, żeby go ustrzelić, weźmie z sobą głowę i powiesi ją na ścianie gdzieś w Danii czy w Niemczech. A mięso

wyląduje w delikatesach w Sztokholmie. – Elisabet potrząsa głową. – Urodził się i wyrósł tutaj na wzgórzach, jego dzieci i wnuki tu się pasą. Więc chcemy, żeby u nas został do końca. – Elisabet Vidje głaszcze jelenia. Delikatnie, niemal z czułością.

– Karl-Johan nie lubi polowań – stwierdza Anna i właściwie nie wie, dlaczego to powiedziała.

Klein i Elisabet Vidje podnoszą głowy, kiedy słyszą imię Karla-Johana. Ich ruchy są tak identyczne, że to aż komiczne.

– Nie – mówi Klein i spogląda na Elisabet.

– Karl-Johan to romantyk – odpowiada cicho Elisabet. – Kocha naturę w teorii, trochę trudniej, jeśli chodzi o praktykę. Nie chce zaakceptować faktu, że śmierć to następstwo życia. – Elisabet głaszcze jelenia po raz ostatni, a jej usta odzyskują ten sam ostry wyraz co zwykle. – Ale nie przyjechałaś tu chyba po to, żeby rozmawiać o polowaniu, prawda?

– Chodźmy najpierw do domu – odpowiada Anna.

Budynek przy wjeździe do posiadłości, tak jak Anna przypuszczała, to mieszkanie Brora Kleina. Otwarty przedsionek, na wprost łazienka, na lewo kuchnia połączona z salonem, a po prawej stronie dwoje zamkniętych drzwi.

Ściany i sufit pokryte są pożółkłą sosnową boazerią i przypominają Annie domek, który wynajmowała z Agnes i Håkanem, kiedy jeździli w góry. Nawet pachnie tu podobnie. Suchym drewnem i kuchnią na węgiel. Wyposażenie domku jest spartańskie, oprócz rogów sarny i jelenia Anna widzi tylko jeden drobiazg, makatę ścienną z napisem: „Kto szuka, ten znajdzie, a kołaczącemu otworzą”.

Elisabet Vidje siada przy stole, a kiedy Klein robi kawę, Anna korzysta z okazji i przemyka do toalety, żeby zebrać myśli. Jak ma to powiedzieć? Ile z tego, co wie, może im zdradzić?

Łazienka Kleina jest tak samo skromna jak reszta domku. Sedes, wanna z prysznicem, umywalka i metalowa szafka, której drzwi Anna oczywiście musi uchylić, żeby zobaczyć, co jest w środku. Szczotka do zębów, pasta i dwie buteleczki z lekarstwami. Jedno przeciwko nadciśnieniu, drugiego Anna nie zna. Googluje

w telefonie i czyta, że to lek antydepresyjny. A więc Klein o kamiennej twarzy łyka tabletki na poprawienie nastroju... To dość nieoczekiwane. Anna odstawia lekarstwa i ostrożnie zamyka szafkę. W drodze do kuchni słyszy, jak Klein i Elisabet rozmawiają. Wciąż ma mało czasu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym tajemniczym Brorze Kleinie. Drzwi najbliższej łazienki prowadzą najprawdopodobniej do komórki. Z szerokiej szczeliny pod drzwiami dochodzi ją słaby zapach wilgoci.

Ale kiedy Anna naciska na klamkę, okazuje się, że drzwi są zamknięte. Próbuje więc drzwi na prawo – to sypialnia z nienagannie poślany wąskim łóżkiem i kilkoma szafami. Anna ostrożnie robi krok do przodu i teraz widzi pokój w całości. Podobnie jak w całym domu tu też nie ma ozdób, dekoracji czy rzeczy osobistych. Jedyna osobista rzecz, jaką dostrzega, to książka i zdjęcie na stoliku nocnym.

Książka to *Boska komedia* Dantego, co dziwi Annę równie mocno jak antydepresanty w łazience. Stara edycja. Anna otwiera pierwszą stronę. Książka wydana została na początku dziewiętnastego wieku. „Dla Brora od Karla-Johana, lipiec 1972”, dedykacja napisana jest ozdobnym stylem.

Nie od Karla-Johana i Elisabet, tylko od Karla-Johana. Wpis i rodzaj prezentu sugerują, że on i Klein byli lub są dobrymi przyjaciółmi. Cenne prezenty daje się zazwyczaj temu, kto to doceni, temu, kogo się lubi. Zdjęcie na stoliku nocnym potwierdza jej przypuszczenia. To bardzo podobna fotografia do tej, która stała na kominku. Koc, trawa, dwuletni Simon, który patrzy w słońce i obejmuje rączką szyję taty. Jednak na tym zdjęciu to nie Elisabet siedzi obok Karla-Johana, tylko mężczyzna w tym samym wieku, wyprostowany, o ostrym wyrazie twarzy. Mimo iż zdjęcie ma już dwadzieścia pięć lat, Anna natychmiast go poznaje. To Bror Klein... Z kuchni słyszy głosy i szybko odkłada fotografię na miejsce, wychodzi do przedsiionka i ostrożnie zamyka za sobą drzwi. A więc i Klein był na tym pikniku. Z jakiegoś powodu Anna jest też przekonana, że to on robił zdjęcie ślubne kilka lat wcześniej.

Anna siada przy stole kuchennym, a Klein nalewa kawę do kubków.

Bror Klein to nie tylko zarządca majątku, nie tylko ktoś, kto poprawia nieudane gospodarowanie Karla-Johana. To również bardzo bliski przyjaciel, niemal członek rodziny. Anna przypomina sobie, co mówił sprzedawca rowerów. Że Klein i Elisabet przez wiele lat byli kochankami za plecami Karla-Johana. Anna próbuje przywołać w pamięci, czy coś z tego zauważyła wcześniej, ale ani Klein, ani Elisabet nie należą do osób, które by się z tym afiszowały. Jeśli Klein tak naprawdę mieszka w dużym domu w Änglaberdze, to całe to jego domostwo jest tylko na pokaz. A to właściwie tłumaczy spartańskie umeblowanie. Ale Klein ma tu swoje lekarstwa, co wskazuje, że to tutaj jednak mieszka. Anna główkuje, nic jednak nie przychodzi jej do głowy.

– Rozmawiałam z Alexandrem Morellem – zaczyna, kiedy Klein siada. Annie zależy, żeby on też był przy tej rozmowie, na wypadek gdyby Elisabet źle to przyjęła. – Alex opowiedział, co się stało tamtego wieczoru w kamieniołomie. Co zrobili... – Anna spogląda na Elisabet Vidje. – Simonowi.

Elisabet powoli kiwa głową. Jej twarz staje się nieco bledsza. Kładzie swoją dłoń na dłoni Kleina i mocno ją przyciska, jakby się przygotowywała. Anna bierze głęboki wdech.

– Pokłócili się – kontynuuje. – Alex chwytem zapaśniczym rzucił Simonem o ziemię. Pozostali na początku go dopingowali, a potem sami się dołączyli. I zaczęli się znęcać nad Simonem...

Anna milknie, widzi dłoń Elisabet Vidje na dłoni Kleina. Ale żadne z nich nic nie mówi ani nie wykonuje najmniejszego gestu.

– Byli naćpani i pijani – ciągnie dalej. – Alex Morell opisał to jako zbiorową psychozę. Pp-po... – Anna robi przerwę, czeka, aż jąkanie minie. – Simon uciekł do lasu za kamieniołomem. Po chwili zrozumieli, co zrobili, i poszli go szukać. Ale go nie znaleźli i wyszli z założenia, że zabrał rower i wrócił do domu. Alex Morell twierdzi, że następnego dnia rano zamierzali do niego pojechać i go przeprosić.

Anna kończy i czeka na pytania.

– A potem? – pyta Elisabet Vidje. – Co się stało potem?

– Alexander i Bruno poszli do swoich namiotów, żeby się schronić przed deszczem. Alex natychmiast zasnął i obudził się dopiero rano, kiedy usłyszał krzyk Marie.

Elisabet Vidje kiwa głową ze zrozumieniem i wygląda, jakby szukała ręki Kleina.

– Myślisz, że mówi prawdę? – Jej głos jest pozbierany, niemalże obojętny.

– Tak mi się wydaje. Alexander wyglądał, jakby bardzo żałował, i widać było, że mu ulżyło, kiedy to z siebie wyrzucił.

– Rozumiem.

Elisabet Vidje nie reaguje tak, jak Anna przypuszczała. Dopiero co dowiedziała się, w jakich okolicznościach zginął jej syn! Poznała prawdę, której szukała przez dwadzieścia siedem lat, i jedyne, co mówi, to „Rozumiem”? Anna przygląda się im obojgu po drugiej stronie stołu i widzi, że wymieniają spojrzenia. Coś tu jej nie pasuje. Coś musiało jej umknąć.

Mija chwila, po której nagle wszystko staje się jasne.

– Wy już to wiecie – mówi i ukrywa zdziwienie. – Ktoś już wam powiedział o tej bójce.

Ani Klein, ani Elisabet nie odpowiadają, ich twarze są nieruchome. Ale to wystarczy, by mogła wyczytać z ich twarzy, że się nie myli. Kto im to powiedział? Kto przyznał się do winy?

– Marie – mówi Anna. – To Marie wam powiedziała, prawda?

Elisabet i Klein znów na siebie spoglądają, po chwili twarz Elisabet odrobinę mięknie.

– Jesteś niezła, Anno – mówi Elisabet bez odrobiny ironii. – Tak, masz rację. Marie po śmierci swojej mamy powiedziała nam w tajemnicy, co się wtedy stało. Najpierw byłam wściekła. Nie mogłam na nią patrzeć. Miałam ochotę wsiąść w samochód, pojechać i wykrzyczeć wszystko prosto w twarz Henry’emu Morellowi i Bengtowi Anderssonowi. – Elisabet wolno potrząsa głową.

– Ale nie zrobiłaś tego. Dlaczego?

Elisabet bierze głęboki oddech.

– Bo Marie jest moją siostrzenicą i jedyną osobą, która z całej czwórki przyznała się i wzięła za to odpowiedzialność. Załatwić ją w taki sposób byłoby po prostu nie w porządku. To by zniszczyło jej małżeństwo i bardzo poróżniło ją z ojcem. Nie przepadam za Bengtem Anderssonem, ale jest bardzo ważny dla Marie zarówno jako ojciec, jak i zawodowo. A poza tym pozostała trójka kłamie, to oni... – Elisabet natychmiast przerywa i zaczyna się kołysać.

Klein kładzie swoją wolną rękę na jej ramieniu, a Annie rzuca pełne wyrzutu spojrzenie.

– Dobrze się czujesz, Elisabet? – pyta Klein.

Elisabet kiwa głową.

– Potrzebuję tylko trochę wody – mówi.

Klein wstaje, przynosi jej szklankę wody i stoi przy stole, dopóki Elisabet nie wypije kilku łyków.

– Tak, teraz lepiej. Możesz usiąść, Klein. Na czym to skończyliśmy, Anno?

– Czyli... – zaczyna Anna, próbując uporządkować myśli. – To wszystko, listy, Tabor i mój udział, to wszystko po to, żeby ktoś z pozostałej trójki w końcu powiedział, co tam się wtedy wydarzyło? Żeby prawda o śmierci Simona wyszła na jaw bez wplątywania w to Marie, tak?

Elisabet Vidje kiwa głową.

– Marie jest moją najbliższą krewną, moją jedyną ewentualną spadkobierczynią, nie mogę zostawić jej Änglabergi, dopóki nie uporałam się z przeszłością. Jestem ci ogromnie wdzięczna, że mi w tym pomagasz, Anno.

Elisabet Vidje uśmiecha się, Anna też nie może powstrzymać się od uśmiechu. Ale pod jej czaszką bulgocze wściekłość i musi mocno zacisnąć szczęki, żeby nie wybuchnąć. Spogląda na Kleina, spotyka jego wzrok. Jego twarz jest tak samo nieruchoma jak zwykle, a mimo to widać, że pod powierzchnią coś się w nim gotuje. Coś, co go niepokoi.

– Ale to jeszcze nie koniec – mówi Anna głucho.

– Nie?

- Wciąż mamy do rozwiązania sprawę śmierci Joego Rylandera.
- Znaleźliście już coś, co wyklucza samobójstwo?

Pytanie pada, ale w zasadzie jest zbędne, Elisabet Vidje znabowiem odpowiedź, a wyraz jej twarzy jeszcze bardziej utwierdza Annę w przekonaniu, że została całkowicie zmanipulowana.

Jesień 2017

W sobotni rano świeci słońce. Anna i Agnes jedzą w milczeniu śniadanie. Ich relacja jest dziwniejsza niż zwykle. Rozmawiają ze sobą w jakiś nienaturalny sposób, ostrożnie badając każdy temat. Zanim pójdą dalej, upewniają się, że nie będzie on dotyczył ani Håkana, ani dochodzenia, ani artykułu w gazecie. Wcześniej Anna postrzegala ich kontakt jako pole minowe, może nawet trochę niesprawiedliwie. Teraz porównuje siebie i Agnes do dwóch chrząszczy krawców, które widziała przedwczoraj w kamieniołomie – poruszają się wokół siebie niespokojnie, ostrożnie, nie mając odwagi podejść zbyt blisko, w obawie, że przetrną cienką powierzchnię wody i zostaną wessane w głębinę.

Wczorajsze wydarzenia wciąż wędrują jej po głowie i Anna sama nie wie, które wywarło na niej większe wrażenie. Czy to, że przyjaciele Simona pobili go i poniżyli, czy to, że Marie Sordi przyznała się do wszystkiego Elisabet Vidje, czy że Elisabet zmanipulowała Annę, by osiągnąć własny cel. Po namyśle Anna skłania się ku temu ostatniemu.

W każdym razie zna już okoliczności śmierci Simona Vidje. Pozostaje jednak coś jeszcze, coś, co przeszkadza, jakaś luźna nić, której Anna nie potrafi zidentyfikować.

Niezależnie od wszystkiego w poniedziałek rano planuje doprowadzić pozostałych troje przyjaciół na przesłuchanie i porządnie ich przycisnąć. Zdecydowanie mają powody po temu, żeby się bać, co zdradził Rylander. Caia Bianca za wszelką cenę nie chce zniszczyć swojego wizerunku w mediach społecznościowych. Marie i Bruna prawdopodobnie nie stać na zapłacenie szantażyście. Poza tym motyw Marie jest dość niejasny. Przecież już się przyznała

przed Elisabet Vidje i musi rozumieć, że ciotka zrobiła, co mogła, by prawda wyszła na jaw bez obciążania jej winą. Anna jednak wciąż nie może pozbyć się myśli, że istnieje jeszcze jedna możliwość. Że poza tą czwórką jest jeszcze ktoś, kto zajął się Rylanderem, żeby ich chronić.

Słyszysz dźwięk swojej komórki, to wiadomość od Lizy Savic: „Pożyczyłam rower i jadę do Mörkaby odnaleźć kamieniołom. Wiesz, gdzie dokładnie to jest? Nikt jakoś się nie pali, żeby mi wytłumaczyć. Dzięki”.

Annę zaczynają gryźć wyrzuty sumienia. Już dwa razy musiała przerwać spotkanie z tą sympatyczną młodą kobietą. Spogląda na Agnes, która zajęta jest swoim telefonem. Prawdopodobnie ona też czuje to dziwne napięcie między nimi, ale być może jest coś, co może zrobić, coś, co już wcześniej podziałało.

– Masz ochotę przejechać się do kamieniołomu? – pyta Anna.
– Możemy pojechać do miejsca widokowego od północnej strony, co ty na to?

Jadą w milczeniu, ale pięć minut po tym, jak zabierają Lizę Savic spod hotelu, atmosfera w samochodzie się poprawia. Liza bawi się z Milo i pyta Agnes o aparat fotograficzny. Temat szybko schodzi na Karla-Jo. Agnes ożywionym głosem opowiada o malowidle i o postaci Simona Vidje, a Liza słucha z zainteresowaniem. Zadaje właściwe pytania we właściwym czasie i Anna nie może się nadziwić, jak fascynująca jest ta młoda kobieta. Liza Savic wydaje się naprawdę dobrym człowiekiem.

Liza i Agnes podziwiają wzgórze spowite jesiennymi kolorami, a kiedy dojeżdżają do rozwidlenia na Kotorp, Anna zatrzymuje samochód na kilka sekund.

– W tamtym kierunku – pokazuje ręką. – leży miejsce widokowe, gdzie twój ojciec... gdzie Joe... – Anna waha się i nie kończy zdania. – Pomyślałam, że może najpierw będziesz chciała tu przyjechać, a potem do kamieniołomu?

– Jeśli nie nadrabiamy dużo drogi...

– Nie, nie.

Anna zmienia bieg i jadą po małych żwirowych ścieżkach. Tym razem trafia bez problemu. Deszcze w ostatnim tygodniu powiększyły dziury w ścieżce i na prostym odcinku wjeżdżają w coś na kształt małego niewinnego bajorka, co okazuje się ogromną dziurą, tak głęboką, że podwozie samochodu z łoskotem szoruje po ziemi. Od wstrząsu Agnes zderza się głową z Milo.

– Spokojnie, mam – mówi zirytowanym głosem i pociera psa za uszami.

Anna martwi się, że coś się stało z samochodem. Kręci kierownicą i kilka razy sprawdza hamulce. Na szczęście wszystko w porządku.

Chwilę później dojeżdżają do miejsca, gdzie został znaleziony saab Rylandera. Anna opowiada Lizie o samochodzie, następnie idą w stronę miejsca widokowego. Milo biega po liściach i szczeka na wiewiórkę, która przebiega mu tuż przed nosem.

– Tutaj – mówi Anna i więcej zamierza się nie odzywać.

Agnes strzela aparatem, najpierw fotografuje widoki, a potem w dole księżycowy krajobraz Glarei. Liza Savic podchodzi do zardzewiałej siatki. Stoi przez kilka chwil, a jesienny wiatr targa jej krótkie blond włosy. Jej widok sprawia, że w głowie Anny zapala się lampka. Ma nadzieję, że Håkan przestanie się boczyć i powie jej, do jakiego wniosku doszedł jej mózg. Ale słyszy tylko szczekanie Milo, choć tym razem innego rodzaju.

– Mamo – mówi Agnes, przerywając jej myśli. – Ktoś tam idzie.

Słyszają jakieś głosy na zboczu, a po chwili zza drzew wynurzają się dwa kształty. To dwa duże owczarki, które biegną wprost na nie.

Milo zaczyna wściekle ujadać, jakby chciał ruszyć w kierunku psów, ale w ostatniej chwili Agnes chwyta go za obroź i bierze na ręce. Pies wciąż szczeka jak szalony i próbuje wyrwać się z jej rąk. Owczarki biegną wprost na nie i wyglądają, jakby właśnie Milo obrały sobie za cel. Anna popycha Agnes za siebie, robi krok naprzód i próbuje sobie przypomnieć, jak Friberg poradził sobie z rottweilerami w warsztacie samochodowym. Psy mają uniesione

ogony, ale bynajmniej nie w przyjacielskim geście. Szczekanie Milo przechodzi w wycie, wrywa się jak oszalały, siecze powietrze, jakby za wszelką cenę chciał zeskoczyć na ziemię, żeby bronić Agnes.

Psy są zaledwie pięć, może sześć metrów od nich.

– Mamo! – krzyczy Agnes.

Anna bierze na cel pierwszego psa i uświadamia sobie, że nawet nie zdążyła się przestraszyć. Aż do tej chwili.

Trzy metry, dwa...

Nagle zza drzew słychać głośny gwizd. Oba psy natychmiast się zatrzymują, okręcają się w kółko i biegną w tym samym kierunku, skąd się pojawiły. Milo szczeka dopóty, dopóki psy zupełnie nie znikną.

Anna, Agnes i Liza spoglądają na siebie z ulgą. Po chwili słyszą chrzęst liści i zauważają dwie postacie wyłaniające się zza drzew. Mają na sobie długie płaszcze i czapki z daszkiem, każda ze swoim psem na smyczy. To Bruno i Marie Sordi. Milo znów zaczyna warczeć.

– O, to wy – mówi Marie. – Słyszeliśmy jakiś huk, prawie jak wybuch.

– Wjechałam w jakąś ogromną dziurę – tłumaczy Anna.

– Oj! Trzeba uważać. W zeszłym roku tata szukał psa, który im się zgubił na polowaniu, i też wjechał w jakiś dół i zniszczył sobie amortyzatory. Musieli go holować. Mam nadzieję, że chłopcy was nie przestraszyli, co? – Marie pokazuje na psa po swojej lewej stronie. – Zazwyczaj nikogo się tu nie spotyka o tej porze roku. Za zimno i za duży wiatr na pikniki.

– Nic się nie stało – odpowiada Anna. – Nieźle sobie z nimi radzisz.

– Kastor, ten tu, to mistrz posłuszeństwa. Polluks też.

Oba psy obserwują je czujnym wzrokiem. Agnes wciąż trzyma Milo w objęciach, a psiak nadal ma nastroszoną sierść, z pyska zaś cieknie mu ślina. Kiedy tylko któryś z psów się ruszy, Milo zaczyna warczeć.

– A to pewnie twoja córka? – pyta Marie i robi głową przyjazny gest w kierunku Agnes. – Jaki ładny mały terierek. I jaki odważny. Ile ma lat?

– Dwa – odpowiada Agnes. – Nazywa się Milo.
– Chodzisz z nim na tresurę?
– Nie. Planowaliśmy z tatą, ale... – Agnes milknie, rzuca spojrzenie w kierunku Anny. – Jakoś się nie udało – kończy.

Marie ze zrozumieniem kiwa głową.

– To smutne, ta historia z twoim tatą – mówi i jednocześnie spogląda na Annę. Spojrzenie i ton głosu sugerują, że ma na myśli artykuł w gazecie i dochodzenie. – Jeśli będziecie miały ochotę, to serdecznie zapraszam do naszego psiego klubu – mówi Marie. – W poniedziałki i czwartki mamy kurs dla początkujących. Bruno i ja jesteśmy instruktorami.

Agnes się rozpromienia.

– To świetny pomysł. Prawda, mamo?

Anna przytakuje i już sobie wyobraża, jak mile tam będzie widziana po poniedziałkowym przesłuchaniu.

– A my się znamy? – Marie zwraca się do Lizy. Jej ton głosu jest uprzejmy i pełen ciekawości.

– Liza Savic. – Liza chce podejść i podać Marie rękę, ale boi się owczarków.

– Dzień dobry, Liza. Marie Sordi, a to mój mąż Bruno. Nie jesteś stąd, prawda?

Liza kręci głową.

– Nie, jestem tu tylko przejazdem. Mój tata tu... – Liza spogląda w stronę Anny – ...zginął – kończy zdanie.

– Oj, bardzo nam przykro.

– Dziękuję.

– Czy coś nowego w sprawie tego nieszczęsnego Rylandera?

Anna zwleka z odpowiedzią. Marie od wielu lat balansuje na cienkiej linie. Z jednej strony ciotka w Änglaberdze, z drugiej przyjaciele, ojciec i Henry Morell. Ale już z tym koniec, i to dzięki Annie.

– Jeszcze nic – odpowiada Anna. – Ale cały czas nad tym pracujemy.

– Okej. – Marie uśmiecha się i próbuje zachować spokój, choć

niespecjalnie jej to wychodzi.

Stoją w ciszy kilka sekund i nie bardzo wiedzą, co powiedzieć.

– A jak tam wasz projekt? – pyta Anna i odwraca się do Bruna, głównie po to, żeby jego też włączyć do rozmowy.

– Do przodu – mówi Bruno, może zbyt pośpiesznie.

– Na kiedy planujecie otwarcie?

Bruno spogląda na żonę.

– Jeszcze na to trochę za wcześnie. To ogromny projekt... No ale dobrze, chyba już musimy wracać, prawda kochanie? Dzieci czekają.

– Tak, tak – mówi Marie. – Dajcie znać, jeśli zechcecie przyjść na szkolenie. Zaczęliśmy kilka tygodni temu, ale nie ma problemu.

Milo znów zaczyna warczeć na jednego z owczarków, który się poruszył.

– Miło było się poznać – Marie zwraca się do Lizy.

– Marie i Bruno... – mówi Liza, jakby nagle przypomniało jej się coś ważnego.

– Taak?

– Wy też tam chyba byliście, kiedy zginął Simon. I spotkaliście moją mamę i tatę, Tanję i Joego.

Bruno i Marie wymieniają spojrzenia.

– No tak, zgadza się – mówi Bruno wyczekująco.

– Właśnie jedziemy do kamieniołomu – mówi Liza, a jej ton głosu zdradza, że nie ma pojęcia, co tam się wtedy wydarzyło.

– Ach tak – odpowiada Marie głosem pełnym niepokoju.

– Rodzice mnie nie wychowywali, więc próbuję się dowiedzieć o nich jak najwięcej – kontynuuje Liza. – Gdzie mieszkali, z kim się przyjaźnili. To może dziwne pytanie, ale czy pamiętacie Joego i Tanję z tamtego wieczoru?

Marie, jakby się zmniejszyła, jej wzrok błądzi, a twarz staje się zupełnie biała. Bruno robi krok do przodu, popuszcza trochę smycz, żeby jego wielki owczarek mógł się ruszyć. Milo znów zaczyna szczekać.

– Nie, niestety – odpowiada Bruno. – Musimy już wracać. Miłego dnia. – Bierze Marie pod rękę i odchodzą.

– Czasami za dużo gadam, prawda? – pyta Liza.

Jadą do kamieniołomu. Na początku milczą, ale po chwili Agnes i Liza znów zaczynają rozmawiać o malowidle. Anna zastanawia się, czy opowiedzieć im o wyznaniu Alexa Morella. Już to raz zrobiła, ale Elisabet Vidje jest tu osobą pokrzywdzoną, więc można to jakoś obronić. W końcu Anna postanawia zatrzymać to dla siebie, w każdym razie na pewien czas.

Kiedy zbliżają się do drogi prowadzącej do kamieniołomu, widzą dużego ciemnego SUV-a zaparkowanego tuż przy barierkach. Anna podjeżdża bliżej i zatrzymuje się. W samochodzie siedzą dwie osoby, ale przez przyciemnione szyby nie widać kto to, dopóki Anna nie wysiądzie i kierowca nie otworzy okna. Na miejscu prowadzącego siedzi Caia Bianca.

– O, to ty! – odzywa się. – Przeszkadzamy?

– Nie, skądże znowu. – Anna zagląda do samochodu. Na miejscu pasażera siedzi Alexander Morell.

– Siedzimy i rozmawiamy – mówi, jakby uznał, że winny jest jej wyjaśnienie. – Wspominamy stare dzieje.

– Myślałam, że nie lubisz wracać do przeszłości – mówi Anna do Cai.

– I tak jest.

Alex i Caia siedzą zakłopotani, jakby zostali przyłapani na gorącym uczynku. Agnes i Liza stoją obok Anny.

– Ciebie to ja skądś znam – mówi Caia i uśmiecha się do Lizy, prawdopodobnie, żeby zmienić temat rozmowy. – Spotkałyśmy się już kiedyś, prawda?

Liza potrząsa głową.

– Nie przypominam sobie.

– Jesteś pewna? Twoja twarz wygląda jakoś znajomo...

Liza znów kręci głową.

– Widziałam cię w telewizji, ale osobiście nigdy się nie spotkałyśmy. W każdym razie nie przypominam sobie.

– No, jak to się można pomylić... Ale spotykam tylu ludzi, że czasami zupełnie nie kojarzę twarzy. – Caia uśmiecha się sztucznie.

– Byliście na górze? – pyta Anna i pokazuje na kamieniołom.

Caia milczy, tylko spogląda na Alexa.

– Nie – odpowiada Alex. – Tak daleko nie doszliśmy.

– A my się tam wybieramy. Więc jeśli macie ochotę, możecie do nas dołączyć. – Anna sama nie wie, dlaczego im to proponuje. Wystrzeliła zupełnie bez namysłu. W każdym razie zarówno Alex, jak i Caia równocześnie kręcą głowami.

– Nie, nie, dzięki. Musimy już wracać. – Caia uruchamia samochód.

– Miło było się spotkać – mówi, podnosząc boczną szybę.

Anna stoi i patrzy, jak Caia cofa samochód. W tej samej chwili spojrzenia Anny i Alexa się spotykają. Mężczyzna uśmiecha się krzywo, wygląda jednak na udręczonego.

Idą lasem w kierunku kamieniołomu, potem ścieżką w górę. Kamieniołom jest cichy i wygląda na opuszczony. To samo złowieszcze uczucie, którego Anna już wcześniej doświadczyła, wisi nad czarną taflą wody.

Liza pomaga Agnes ustawić aparat na statywie i słucha uważnie tego, co dziewczyna opowiada o różnych soczewkach i o tym, jakie dzięki nim można osiągnąć efekty.

Anna świeżym spojrzeniem patrzy na płytę skalną. Nie jest specjalnie duża, może czterdzieści czy czterdzieści pięć metrów kwadratowych. Są to głównie głazy i kilka małych miejsc porośniętych trawą. Okrąg wypalonych kamieni to dawne palenisko. Anna próbuje policzyć, jak daleko od ogniska mogła się zacząć bójka. Tuż obok jest kilka większych wgłębień i zapewne w jedno z nich Alex Morell wcisnął twarz Simona Vidje. Anna wyobraża sobie, jak Alex blokuje ścieżkę prowadzącą do wyjścia, i jak Bruno i Carina „Caia Bianca” Pedersen zagradzają mu drogę do namiotu. Simonowi pozostaje więc jeden kierunek. Prosto w las, tak jak powiedział Alex.

Anna próbuje odtworzyć jego drogę ucieczki, ale nie jest to takie proste. Między lasem za kamieniołomem a płaskowyżem znajduje się kilkumetrowe strome zbocze pokryte luźnymi kamieniami. Anna

próbuję kilka razy, zanim uda jej się zejść. Drzewa rosnące niżej to sosny, ale trochę głębiej jest już las iglasty. Tak zarośnięty, że Anna musi pochylić się, żeby móc do niego wejść. Idzie prawą stroną w kierunku kąpieliska i bez powodzenia próbuje znaleźć ścieżkę, którą mogłaby podążać dalej. Ziemia pokryta butwiejącym igliwem opada w dół, gdzieś tam wystają ostre kamienie. Anna potyka się o jeden z nich i ściera sobie kolano o korzeń. Klnie i próbuje iść w kucki. Z oddali dochodzą ją jeszcze głosy Agnes i Lizy. Anna próbuje sobie wyobrazić, czy coś było słychać, kiedy tak lało, i z łatwością dochodzi do wniosku, że wcale nie trzeba iść daleko w głąb, żeby być zupełnie poza zasięgiem. Próbuje się wspinać na płytę skalną od tyłu kamieniołomu. Ten nieprzyjazny teren ma ostry spad w dół. Z ziemi wystaje coraz więcej podstępnych kamieni. Po chwili uświadamia sobie, że ma tylko dwa wyjścia. Albo iść dalej w głąb lasu, żeby uniknąć nachylenia terenu i kamieni, albo kontynuować tak jak teraz, ryzykując, że będzie musiała sobie poradzić z wysokimi skałami.

Wybiera skały i idzie pod górę jeszcze kawałek. Nagle teren się obniża i Anna wychodzi na otwartą przestrzeń tuż za jednym z najwyższych uskoków. Z daleka znów widzi Agnes i Lizę, macha do nich, że wszystko w porządku, i ostrożnie podchodzi na skraj skały, która jest wyższa, niż jej się wydawało. Osiem metrów, może nawet więcej. Woda w dole jest ciemna, ale małe zmarszczenie na jej powierzchni przykuwa jej uwagę. Tuż pod lustrem wody jest niewielka skała. Jeśli więc Simon wybrał tę samą drogę co ona i jeśli potykając się, schodził w dół w ulewnym deszczu i w ciemności, wyczerpany po bójkę z Alexem, wściekły, upokorzony i w dodatku nietrzeźwy, to nietrudno sobie wyobrazić, że mógł spaść z krawędzi, rozbić sobie głowę o skałę i wyplynać na powierzchnię. Dokładnie tak, jak to jest przedstawione na malowidle. Leżąc na plecach z rękami wyciągniętymi za głowę.

– Nic nie szkodzi – mówi Agnes, prawdopodobnie do Lizy, a jej czysty głos roznosi się po kamieniołomie, odbija od skał i przekształca w smutne echo.

- szkodzi...
- kodzi...
- odzi...

Anna spogląda na czarną taflę wody i wstrząsa nią dreszcz.

Zbocze po przeciwnej stronie nie jest tak strome i zdecydowanie rzadziej porośnięte drzewami, więc zejście do barierki zajmuje jej zaledwie pięć minut. Próbuje zebrać to wszystko razem. Całe to pseudośledztwo, zeznanie Alexa Morella i jej własne spostrzeżenia prowadzą ją do wniosku, że śmierć Simona to naprawdę nieszczęśliwy wypadek. Wprawdzie wywołany awanturą między tymi, którzy ślubowali sobie *friends forever*, ale mimo wszystko wypadek. Tragiczny, poprzedzony przestępstwem, które uległo już przedawnieniu. Anna musi się tym zadowolić, musi jej wystarczyć to, co opowiedział Alex. Że ta awantura to ich tajemnica, tajemnica, która w żadnym wypadku nie mogła wyjść na jaw. Dla której gotowi byli nawet zabić.

Caia Bianca musi dbać o swój wizerunek, do tego dochodzą jeszcze plotki o jej pierwszym mężu. Bruno Sordi ma na głowie projekt budowlany, na który nie ma pieniędzy. Marie, również zaangażowana w projekt, jest lokalną działaczką, a poza tym nie chce, żeby jej mąż i ojciec dowiedzieli się, że już dawno temu o wszystkim opowiedziała Elisabet Vidje. Bengt Andersson pochłonięty jest Nedanås i jego reputacją. Alex Morell, który wprawdzie przyznał się do swojego udziału w awanturze i wydaje się, że ma alibi na czas, kiedy zginął Rylander, ma wybuchowy temperament i skłonność do agresji. I w końcu Henry Morell, który rękami i nogami trzymał się swojego stołka przez dwadzieścia siedem lat, żeby tylko ta cała straszna historia nie wyszła na jaw...

Zdaniem Anny to już wystarczająco dużo, żeby sprawę wziąć w swoje ręce. Powinna zrobić dokładnie to, co powiedziała Jensowi Fribergowi: skupić się na śmierci Rylandera. Jednak kiedy tak stoi przy barierkach, coś innego ją zastanawia. Ta luźna nić, której się już wcześniej domyślała, ale której z niczym nie mogła powiązać. Teraz już wie, o co chodzi. Dwa słowa, które zanotowała w notatniku

podczas przesłuchania Alexa. „Rower Simona?”.

Bo jeśli Simon rzeczywiście błąkał się wtedy w ciemnościach i deszczu, spadł ze skały i zabił się, to dlaczego rano nie było jego roweru? Dlaczego nie wspomniano o nim w dochodzeniu?

Agnes, Liza i Anna wracają do samochodu. Słońce zaszło za chmurę i atmosfera pomiędzy nimi także się zmieniła. Anna idzie pochłonięta własnymi myślami, a Agnes i Liza się nie odzywają. Jakby pobyt w tym ciemnym kamieniołomie nastroił je refleksyjnie. Na twarzy Agnes pojawiła się mina, jaką miewa, kiedy myśli o Håkanie, tymczasem Anna łapie się na tym, że chyba już z pięćdziesiąty raz próbuje rozmawiać z Håkanem, a on raz za razem dręczy ją swoim ponurym milczeniem.

Wiem, że popełniłam błąd, mówi do siebie, nie poruszając wargami. Nakrzycz na mnie, do cholery, powiedz, że jestem idiotką, która nie potrafi dotrzymać słowa. Powiedz cokolwiek, ale powiedz!

Ale Håkan milczy, tak jak przez ostatnie kilka dni.

Dochodzą do samochodu i pakują sprzęt Agnes do bagażnika. Stojąc tam, w delikatnych jesiennych woniach Anna wyczuwa jakiś inny zapach. Ostry, którego wcześniej nie czuła. Milo też go chyba czuje, bo podnosi łeb i w powietrzu pociąga nosem. Annie przychodzi do głowy, że to może wyciek benzyny, że wpadając w dół, jednak uszkodziła silnik. Pochyla się, przeciąga ręką po trawie pod samochodem i węża. Nic nie czuje. Pociąga nosem w powietrzu, ale zapach jakby znikł.

Wszystkie wskakują do samochodu. Liza tym razem siedzi z przodu, a Agnes i Milo z tyłu.

– Co teraz robimy? – pyta Anna przesadnie dziarskim głosem, kiedy cisza w samochodzie zaczyna być męcząca.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wróciłabym do Gästis – odpowiada Liza, a w jej głosie słychać zmęczenie. – Jutro wcześnie rano mam pociąg, a jeszcze się muszę spakować.

– Oczywiście, bez problemu.

Mijają Änglabergę, z samochodu widać dom Kleina. Anna przypomina sobie, jaki jest pusty i niezamieszkanym. Wyczyszczony

z wszystkiego, co mogłoby wskazywać, że ktoś w nim mieszka. Ale pewnie o to mu chodzi. Może woli żyć jak zakonnik, z jedną książką na nocnym stoliku. O którą się troszczy od ponad czterdziestu lat. *Boska komedia* to nie lektura dla niewprawnego czytelnika, a jego sposób bycia i sposób wyrażania się wskazują na to, że jest wykształconą osobą. Wygląda na kogoś, kto dużo czyta, a mimo to w jego domu nie ma półek z książkami. Bo może jest tak, jak jej się wydaje, że ten dom to tylko fasada i że tak naprawdę Klein mieszka z Elisabet. Anna wyjmuje komórkę i włącza piosenkę Simona Vidje. Jego miękki głos wypełnia głośniki. Droga prowadzi je w prawo i zaczyna się wíć po krawędzi wzgórze.

– Jaka piękna – mówi Liza o piosence.

Anna zamierza jej powiedzieć, kto to śpiewa, ale wyczuwa, że coś jest nie tak z samochodem. Pedał hamulca, który zazwyczaj funkcjonuje świetnie, na pierwszym zakręcie zachowuje się dziwnie i choć Anna mocno go dociska, szybkość nie zmniejsza się na tyle, na ile powinna. Zaraz następny zakręt, więc Anna tak mocno naciska hamulec, że aż się podnosi z siedzenia.

Nagle słycać metaliczny trzask i pedał jakby zapada się w podłogę. Anna jest tak zaskoczona, że mimowolnie skręca kierownicę i samochód jedzie zygzakiem po drodze. Zapalają się lampki na tablicy rozdzielczej i włącza się sygnał ostrzegawczy.

– Mamo! – woła Agnes niespokojnie z tylnego siedzenia.

Ale Anna jest tak zajęta utrzymaniem samochodu na drodze, że nie ma czasu odpowiedzieć.

Odzyskuje kontrolę tuż przed tym, jak lewe koła zjeżdżają z drogi. Słyszy obok siebie głośny oddech Lizy. Pedał hamulca, wbity w podłogę, nie działa. Anna redukuje bieg i silnik warczy niemiłosiernie, zagłuszając sygnał ostrzegawczy. Jednocześnie po omacku szuka hamulca ręcznego... nie może go znaleźć... Prędkość cały czas rośnie, następny zakręt jest coraz bliżej, a ona wciąż próbuje namacać dłonią hamulec ręczny.

– Mamo! – krzyczy Agnes, a jej głos jest teraz bardziej przestraszony.

Nagle Anna przypomina sobie, że jest jeszcze hamulec elektryczny. Guzik, który znajduje się... znajduje... Gdzie on jest, u diabła?

Lewą rękę zdejmuje z kierownicy i dalej szuka po omacku pod tablicą rozdzielczą. Silnik warczy coraz głośniej, szybkość rośnie, a wąski zakręt jest coraz bliżej. Anna podnosi głowę i widzi przerażone spojrzenie Lizy.

– Mamo! – krzyczy Agnes. – Hamuj, mamo!

Jej palce gorączkowo naciskają wszystkie guziki, jakie napotyka, ale nic się nie dzieje. Zakręt zbliża się nieuchronnie, Liza ciężko dyszy. Anna chwyta kierownicę obiema rękami i kręci nią we wszystkie strony. Opony trą o asfalt, Anna próbuje sterować samochodem tak jak ją uczyli na kursie pogotowia technicznego wiele lat temu i prawie jej się udaje. Jednak kiedy wjeżdżają w zakręt, tylne koła nagle tracą przyczepność. A kiedy tylne zawieszenie z potwornym hukiem się urywa, Anna już wie, że jest naprawdę źle.

– Trzymajcie się! – krzyczy.

Samochód przechyla się na bok i zjeżdża z drogi. Przez nadwozie przechodzi potężny wstrząs, silnik warczy coraz głośniej, a czas jakby zwalnia na krótki moment. Wszystkie szczegóły w środku samochodu stają się niesłychanie wyraziste. Zszokowany wyraz twarzy Lizy, lampki rozświetlające tablicę rozdzielczą. Wrażenie gładkiej skóry kierownicy, na której zaciskają się dłonie Anny. Sygnał ostrzegawczy wymieszany z brzmieniem miękkiego głosu Simona Vidje.

– ...*dark and lonely waters*.

Samochód obraca się wolno w powietrzu i przez boczne szyby widać zbliżającą się ziemię. Anna zdąży jeszcze zamknąć oczy i przygotować się na uderzenie, które najpierw zamienia czas w *slow-motion*, by potem jeszcze bardziej go przyspieszyć.

Agnes i Liza krzyczą. Ich wrzaski zagłuszają szczekanie Milo, które bardziej przypomina wycie, by po chwili zatonać w szczęku wgniatanego metalu i brzęku tłuczonych szyb.

Samochód zsuwa się ze zbocza, góra staje się dołem, a cały świat

wiruje. Uderzają w drzewo, zmieniają kierunek i napotykają kolejne drzewo... Następne uderzenie wciska do środka dach samochodu, Anna rzuca się na skrzynię biegów, żeby chronić głowę. Nagle nic nie waży, a za oknem coś połyskuje. A kiedy samochód z hukiem wpada do rzeki, Anna już wie, co się dzieje.

Rany boskie, zdąży jeszcze pomyśleć, zanim stłuczona szyba ustąpi, a świat zamieni się w mroczną, samotną wodę.

Jesień 2017

„OBUDŹ SIĘ ANNO OBUDŹ SIĘ ANNO OBUDŹ SIĘ!”.

Głos Håkana wypełnia jej głowę radością. Znów z nią rozmawia!

Więc rozumie, gdzie ona, Agnes i Liza się znajdują. Są w samochodzie wypełnionym lodowatą czarną wodą. Anna leży pochylona nad skrzynią biegów, jej głowa do połowy zanurzona jest w szybko przybierającej wodzie. A kiedy próbuje się wyprostować, okazuje się, że jest zakleszczona. Szarpie, żeby się uwolnić, ale czuje, że coś uciska jej kark i ramiona. To zapięty pas. Ręką przesuwając wzdłuż prawego biodra, znajduje przycisk i się odpina. Równocześnie próbuje uwolnić stopy, szarpie jednak tak mocno, że głową uderza we wgnieciony dach samochodu. Białe światło rozsadza jej głowę i Anna czuje, że za moment zemdleje.

„AGNES”, krzyczy Håkan. „MUSISZ POMÓC AGNES!”.

Anna kilka razy zaciska powieki i przytomnieje. Uświadamia sobie, że oddycha. Pod dachem samochodu powstała mała, szybko kurcząca się kieszeń powietrzna, więc Anna bierze głęboki wdech. W samochodzie jest niemal zupełnie ciemno, ale wydaje jej się, że obok widzi coś błyszczącego. Przesuwając po omacku prawą rękę i po kilku sekundach na siedzeniu pasażera znajduje guzik do odpinania pasa. Naciska, próbuje go odpiąć. Nad swoją ręką czuje rękę Lizy. Chwyta ją mocno i ciągnie Lizę do kieszeni powietrznej, która teraz jest znacznie mniejsza niż jeszcze chwilę temu. Słyszy głośne charczenie, a potem kasłanie.

– Drzwi... – charczy Liza. – Nie dają się otworzyć.

– Przednia szyba – mówi Anna. – Musisz się wydostać przez przednią szybę.

Anna odwraca się w stronę tylnego siedzenia. Unosi kolana nad

skrzynią biegów i wciska się między fotele. Bierze głęboki wdech i nurkuje do miejsca, gdzie ostatnio widziała Agnes. Porusza się w ciemności, uderza się w nogę, wali w coś pięścią.

Agnes się nie porusza. Anna wystawia głowę, żeby wziąć oddech. Kieszeń ma teraz tylko dwadzieścia, trzydzieści centymetrów i Anna już czuje ucisk na bębenki, kiedy wlewająca się woda wypiera powietrze. Znów się zanurza. Czuje lodowate pulsowanie w skroniach, rozpaczliwie szukając ręką pasa. Jak długo Agnes jest pod wodą? Minimum minutę. Prawdopodobnie dwie.

„Trzy minuty”, mówi Håkan rzeczowo, a jednocześnie niespokojnie. „Masz tylko trzy minuty, nie więcej”.

W końcu znajduje pas Agnes i próbuje go odpiąć, bezskutecznie. Szarpiąc i ciągnąc pas, zużywa tyle tlenu, że znów musi się wynurzyć i nabrać powietrza. Powietrza jest coraz mniej. Jakies dziesięć centymetrów. Anna bierze dwa wdechy i próbuje uciszyć walenie w sercu. Znów zanurza się pod wodę. Złodowaciałe palce ślizgają się na przycisku do odpinania pasa. Jej gwałtowne ruchy przechylają samochód od przodu.

„Spokojnie”, mówi Håkan. „Zachowaj spokój”.

Nagle nieoczekiwanie pas się odpina. Anna zrzuca go z bezwładnego ciała Agnes i ciągnie ją w swoją stronę. Opiera się jedną stopą o tylne siedzenie i pociąga ciało Agnes w górę. Kieszeń powietrza jest teraz tak mała, że musi przechylić głowę na bok, żeby się do niej dostać. Chwyta Agnes za twarz i stara się wydostać jej usta i nos nad powierzchnię wody.

– Agnes! – krzyczy. – Agnes, obudź się!

Bez reakcji. Samochód przechyla się do przodu i kieszeń powietrza przesuwa się. Do najwyższego punktu w samochodzie, czyli pod sufit nad tylną szybą. Anna wypycha Agnes w tamtą stronę, żeby mogła złapać powietrze.

– Agnes! – krzyczy po raz kolejny.

W desperacji uderza ją ręką w czoło. Wciąż bez reakcji. W końcu bierze głęboki wdech, przyciska swoje wargi do jej ust i dmucha. W przetyku Agnes zaczyna bulgotać. Musiała natykać się wody, która

dostała się być może nawet do płuc.

„Musicie się wydostać”, mówi Håkan poważnym głosem. „I to teraz, natychmiast!”.

Samochód znów się zaczyna kołysać. Anna nabiera powietrza i kieszeń znika... Klęczy teraz na tylnym siedzeniu tonącego samochodu. Jedyne wyjście na zewnątrz to przednia szyba, która jest za nimi. Żeby się tam przedostać, musi przecisnąć swoje ciało i ciało Agnes między siedzeniami i ominąć wgłębienie dachu.

To się nie może udać. Puszczają Agnes i nurkuje w stronę drzwi. Samochód jest pełen wody, więc ciśnienie na zewnątrz i wewnątrz powinno być takie samo. Czyli teoretycznie drzwi powinny się dać otworzyć. Teoretycznie...

Anna ciągnie za klamkę, czuje, jak ta unosi się do góry, ale drzwi ani drgną. Zimno kurczy jej płuca, jej ruchy są coraz wolniejsze. Zapiera się o siedzenie kierowcy i nogą popycha drzwi, które powoli zaczynają się otwierać.

Przed oczami wirują jej białe plamy. Walenie serca ją ogłusza.

„Trzy minuty”, mówi Håkan takim samym głosem, jaki czasami miewał, kiedy razem ćwiczyli. „Ostatnia szansa, Anno. Weź się w garść, do cholery!”.

Anna zbiera wszystkie siły, otwiera usta, wydaje z siebie krzyk wściekłości wprost do wody i z całych sił nogą popycha drzwi, centymetr po centymetrze. W końcu się otwierają.

Jego tlen się skończył, białe plamy przed oczami zmieniły się w feerię sztucznych ogniów. Mimo to, ostatkiem sił, wyciąga Agnes z samochodu. Odpycha się od nadwozia i wypływają w górę.

„Jeszcze”, mówi Håkan. „Jeszcze, dasz radę”.

Ale bezwładne ciało Agnes ciągnie Annę w dół, a ona sama niemal traci przytomność. Ciemna lodowata woda zaczyna ją wchłaniać, tak jak Simona Vidje. Anna zamyka oczy i przyciąga Agnes do siebie.

Nagle ciśnienie wokół głowy ustępuje i wypływają na powierzchnię. Anna bierze wdech i zaczyna oddychać, wdech za wdechem. Gasną fajerwerki i rozjaśnia się wzrok.

Do brzegu mają trzy, cztery metry. Anna próbuje płynąć,

pomagając sobie jedną ręką, drugą trzyma głowę Agnes nad powierzchnią wody. Twarz córki jest blada, oczy zamknięte. Lewe oko zalewa krew.

Powoli płyną w kierunku brzegu. Lodowata woda jest wartka i wypycha je na zewnątrz. Anna próbuje zmienić pozycję i płynąć na plecach, trzymając głowę Agnes tak, jak się uczyła na kursie pierwszej pomocy. Idzie jej odrobinę lepiej i centymetr po centymetrze zbliżają się do brzegu. Anna kaszle, połykając wodę, ale dzięki adrenalinie pompowanej przez ciało wciąż jeszcze daje radę. Mimo zimna, braku tlenu i wyczerpania.

„Cztery minuty”, szepcze Håkan. „Musicie się wydostać na brzeg, musisz pomóc jej odzyskać oddech”.

– Anno!

Anna podnosi głowę i widzi Lizę trzymającą się kurczowo kamienia, kilka metrów od brzegu. Jej druga ręka zwisa bezwładnie w dziwnym ułożeniu. Woda wokół kamienia wiruje spienionym pierścieniem.

– Już nie mogę. Woda jest zbyt rwąca. Moja ręka! – krzyczy Liza.

Anna jest jeszcze kawałek od tego wiru, ale z każdą sekundą wahania coraz bardziej się przybliża. Musi się dostać do brzegu, teraz, natychmiast. Córka jest najważniejsza.

Anna wierzga, zużywając niemal wszystkie siły, żeby tylko się posuwać naprzód. Nagle uderza ramionami o kamień. Obniża nogi, udaje jej zrobić kilka kroków i znów traci grunt. Kolejna próba, potem jeszcze jedna i już jest przy kamienistym brzegu. Szoruje kolanami o dno, próbuje zgiąć staw skokowy, ale jej nogi są tak zmarznięte, że jedyne, co czuje, to ból. Brzeg ma niewiele ponad pół metra wysokości, ale kiedy Anna próbuje wyciągnąć ciało Agnes, którego woda już nie unosi, wyczerpana, pod ciężarem ciała Agnes, z córką w ramionach, po prostu opada z sił. Czuje skurcze żołądka i wylewa się z niej kaskada wody, która pali przetyk.

Liza ją woła. Håkan krzyczy w jej głowie, że musi się podnieść, wyciągnąć Agnes i zacząć ją reanimować. Anna próbuje się wdrapać na brzeg, ale nogi i ręce odmawiają jej posłuszeństwa i przewraca się na plecy obok Agnes. Ktoś krzyczy głośno i przesywająco

z rozpaczy i bezsilności. Dopiero po kilku sekundach uświadamia sobie, że to ona sama.

Nagle czuje, jak ktoś chwyta ją za ramię i wyciąga na brzeg. Anna widzi kalosze, zielone bojówki i płaszcz przeciwdeszczowy. To Bror Klein.

Bez słowa zostawia ją, robi kilka szybkich kroków do wody i wyciąga Agnes.

Jej twarz i wargi są zupełnie białe.

Nadzieja daje Annie nowe siły, klęka więc i rzuca się w kierunku córki. Odsuwa pomocne ręce Kleina i pokazuje na kamień, przy którym jest Liza.

– Tam jest jeszcze ktoś. Szybciej!

Klein znika jej z pola widzenia, a ona zaciska nos Agnes i przyciska swoje wargi do jej ust. Czuje smak krwi, ale dmucha z całych sił. Znów słyszy to okropne bulgotanie, które staje się coraz mocniejsze.

„Jeszcze”, mówi Håkan. „Nie poddawaj się!”.

Wciąż dmucha i sama czuje, że brak tlenu ogranicza jej pole widzenia. Ale nie przestaje.

Nagle Agnes gulgotce jakoś inaczej i z jej ust niczym lawa z wulkanu chlusta zielonkawoczarna woda. Przekłada Agnes na bok i stuka ją w plecy, aż lawa przestanie wypływać.

– Agnes! – krzyczy.

Jej głos brzmi jakby z daleka. Agnes się nie rusza.

– Agnes! – Jej pole widzenia staje się coraz mniejsze. Za moment zemdleje.

Ostatkiem sił wali Agnes w plecy, bierze w dłonie jej głowę i twarzą przyciska się do jej lepkiej od krwi twarzy.

– Agnes, kochanie!

I wtedy coś zaczyna się dziać. Słabe drgnięcie na twarzy Agnes, spazm dochodzący z przepony, potem kaszel. Wylewa się z niej więcej wody, która wypływa na trawę i zagłusza wspaniałą dźwięk urywanego oddechu. Anna czuje, że ziemia zaczyna wirować, że zaraz straci równowagę.

Jeszcze nie teraz!

Poprawia się, żeby zrobić Agnes więcej miejsca. Agnes kaszle i bierze jeszcze jeden wspaniały wdech.

Anna upada do tyłu. Zdąza jeszcze zobaczyć, jak przemoczony Bror Klein chwiejnym krokiem wydostaje się na brzeg z Lizą w ramionach. Jeszcze widzi jego kamienną udręczoną twarz, która powoli znika jej z pola widzenia. Zastępują ją korony drzew pod wysokim, niebieskim jesiennym niebem.

Czerwono-złote liście.

Anna rozpościera ręce i zamyka oczy. Czuje, jak ziemia najpierw się przybliża, a następnie wznosi się i zabiera ją ze sobą.

„Teraz!”, szepcze Håkan. „Teraz!”.

A ona idzie za jego głosem w łagodną ciemność.

Jesień 2017

Anna i Håkan znów są w tym małym zamkniętym pokoiku szpitalnym. Wszystko jest tak jak dawniej. Powietrze, światło, szum maszyn i kable, które wiją się na kołdrze niczym plastikowe węże. Jednak tym razem role są odwrócone. To ona leży w łóżku, a on siedzi na krześle.

Wygląda inaczej. To zdrowy Håkan, a jednak nie...

Anna wyciąga do niego rękę, ruchem pełnym wysiłku, jakby siłą woli.

On bierze jej dłoń w swoje dłonie. Anna czuje ciepło jego skóry i widzi, jak łzy płyną mu po twarzy. I choć wie, że to nie jest naprawdę, chce mu powiedzieć, jak bardzo go jej brakuje. Jak bardzo się cieszy, że go widzi.

– Świetnie sobie poradziłaś – mówi Håkan. – Naprawdę świetnie, kochanie.

Wszystko się zmienia.

Stoją teraz ręka w rękę przy kamieniołomie. Jej koszula szpitalna powiewa lekko na wietrze. Wysoko nad nimi na jesiennym niebie rozpościera się stado dzikich gęsi nawołujących się żalonym głosem.

– Tam – mówi Håkan i wskazuje na skałę.

Stoi tam czworo młodych ludzi, wszyscy mają pochylone głowy. Anna ich poznaje ze zdjęcia.

Alex, Carina, Marie i Bruno.

Pod nimi w ciemnej wodzie unosi się ciało Simona Vidje.

Wiatr targa jesienne liście i marszczy powierzchnię wody.

Gdzieś w oddali gra muzyka. Jasny głos z akompaniamentem gitary.

– *I'll see you by the waters. The dark and lonely waters.*

Nagle, dokładnie tak jak na malowidle, kiedy na tafłę wody patrzy się w świetle dziennym, ciało Simona znika i wszystko, co jest w tym starym kamieniołomie, staje się ciemną, samotną wodą.

– Wiesz, co musisz zrobić – szepcze Håkan.

Anna słyszy za sobą dźwięk i odwraca się. Pod wąskimi oponami chrzęści żwir, a potem rozlega się dzwonek roweru.

Anna budzi się spokojna. Pokój szpitalny jest na wpół ciemny i niemal natychmiast wyczuwa, że nie jest sama. W rogu pokoju ktoś siedzi w fotelu i śpi. Przez moment Annie wydaje się, że to Håkan. Wzrok przyzwyczajają się do ciemności i mózg zaczyna pracować. Osobą w fotelu jest Liza Savic. Jej lewe ramię spoczywa na temblaku.

Anna wyciąga rękę po uchwyt nad łóżkiem, żeby się podciągnąć i usiąść. Ruch powoduje, że łóżko trzeszczy. Kable ciągną się po kołdrze, a jeden z aparatów, do którego najwyraźniej jest podłączona, wydaje dyskretne pikanie, które podrywa Lizę.

– Obudziłaś się – mówi i wstaje z fotela.

– Agn... – Struny głosowe odmawiają jej posłuszeństwa, więc charczy i próbuje jeszcze raz. – G-gdzie jest Agnes?

Liza podchodzi bliżej łóżka i bierze dłoń Anny w swoje dłonie, dokładnie tak samo jak robił to Håkan w jej śnie.

– Jest na intensywnej terapii.

Serce Anny zaczyna bić mocniej, zabiera dłoń i próbuje zejść z łóżka. Jeszcze jeden aparat zaczyna pikać.

– Pomóż mi, muszę wstać – mówi i chwyta się oparcia łóżka, żeby je obniżyć.

Liza próbuje jej pomóc. Udaje się i Anna siada na brzegu. Pokój wiruje jej przed oczami, a powieki zaczynają ciążyć.

– Przecież nie możesz... – zaczyna Liza niespokojnym głosem.

Otwierają się drzwi i wchodzi pielęgniarka.

– O, widzę, że wstajesz. – Podchodzi i miękko kładzie rękę na ramieniu Anny. – Jak się czujesz?

– M-muszę tam iść – wydobywa z siebie. – Moja c-córka. Na intensywnej terapii...

Pielęgniarka poklepuje Annę lekko po ramieniu i patrzy na nią przyjaznym wzrokiem.

– Poczekaj, przyprowadzę wózek – mówi.

Agnes wygląda tak wątłutko w szpitalnym łóżku. Jej czerwono-różowe włosy rozrzucone są na poduszce, biały opatrunek przykrywa jej czoło, a maska tlenowa zasłania prawie całą resztę jej twarzy.

Jej oczy są zamknięte, a ręka ani zimna, ani ciepła.

– Utrzymujemy ją w śpiączce farmakologicznej, w każdym razie do jutrzejszego popołudnia – informuje lekarka. Mówi też coś o wstrząśnieniu mózgu, niedotlenieniu i wodzie w płucach.

Anna stara się słuchać, ale słowa lekarki nie docierają do niej. Jedyne, co widzi, to Agnes w podobnym łóżku do tego, w jakim zmarł Håkan, i najbardziej ze wszystkiego chciałaby teraz wstać z wózka i wziąć swoją córkę w ramiona. Zabrać ją do domu.

„To nie twoja wina”, mówi Håkan. „Przecież wiesz?”.

Anna mu nie odpowiada. Pochyliła się do przodu i swoje czoło zbliżyła do przedramienia Agnes. Przytula się do niej i wdycha jej zapach, tak jak to robiła, kiedy Agnes była malutka i miała koszmary senne.

– Jestem tutaj, kochanie – mówi. – Mama jest tutaj. Wszystko będzie dobrze.

Słyszy, jak lekarka i pielęgniarka wychodzą i zamykają za sobą drzwi. Anna wciąż siedzi z czołem wtulonym w przedramię córki i krąży między jawą a snem. Kiedy już chce zasnąć, słyszy, że nie są same w pokoju. Tuż obok stoi Håkan z jedną ręką na ramieniu Agnes, a drugą na dłoni Anny.

Kiedy Anna się budzi, znów jest w swoim szpitalnym łóżku i jak przez mgłę pamięta, że lekarz ją namawiał, żeby odpoczęła. W rogu pokoju stoi duży bukiet kwiatów, pewnie postawili go, kiedy spała. Mimo odległości wydaje jej się, że widzi kartkę od Mów-mi-Lasse.

Jej ciało jest zupełnie bez sił. Mięśnie bolą, jakby zrobiła dziesięć najcięższych treningów z rzędu, i kiedy dostaje śniadanie, musi poprosić pielęgniarkę, żeby otworzyła jej jogurt.

Gdy zjadła, do pokoju wchodzi inny lekarz i przeglądając kartę chorobową, mówi, że jest skrajnie wycieńczona, poobijana, że opija się dużo wody, ale jakimś cudem nie ma żadnych poważniejszych obrażeń, więc gdy tylko poczuje się lepiej, może wracać do domu.

Kiedy lekarz wychodzi, Anna ma czas, żeby jeszcze raz przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. Hamulce, które przestały działać, poślizg na wąskim zakręcie. Jak koziołkowały ze zbrocza i wpadały do rzeki. Lekarz jest profesjonalistą i nic nie powiedział, a przecież mogło się skończyć o wiele gorzej. Jeśli zderzyłyby się z dużym drzewem albo jeśli samochód wpadłby do rzeki dachem do dołu, żadna z nich by nie przeżyła. Ta myśl ją paraliżuje.

Słabe pukanie do drzwi wrywa Annę z zamyślenia.

Wchodzi Jens Friberg, w równie nienagannym mundurze jak zwykle.

– Jak się czujesz? – pyta i wygląda na naprawdę zmartwionego.

– Jakby ktoś przejechał po mnie walcem parowym – odpowiada Anna.

– A twoja córka?

– Wstrząśnienie mózgu. Trzymają ją w śpiączce farmakologicznej do popołudnia.

Friberg potakuje głową, powstrzymuje się od mówienia, jak mu strasznie przykro, dzięki czemu zyskuje jeszcze jeden plus.

– Pamiętasz, co się stało? – pyta Friberg i wyjmuje notatnik.

A więc jest tu służbowo, nie jako przyjaciel. Anna natychmiast wymazuje plusik, który mu przed chwilą dała, i prowadzi z nim pobieżną rozmowę.

– Hamulce przestały działać – mówi krótko. – Dwie godziny wcześniej wpadłam w dużą dziurę na drodze. Poza tym czułam, że jakoś tak dziwnie pachniało, kiedy wsiadałyśmy do samochodu w drodze powrotnej. Pewnie popękały hamulce i wyciekł płyn hamulcowy.

Friberg notuje to, co mówi Anna, ale marszczy czoło.

– Co? – pyta Anna.

– Nie zapaliła się żadna lampka ostrzegawcza?

– Nie, w każdym razie nie, zanim popsuły się hamulce. Później, tyle że wtedy zapaliły się wszystkie lampki.

– Okej. – Friberg notuje coś jeszcze i przez kilka sekund siedzi w milczeniu, w końcu zadaje ostatnie pytanie. – Domyślasz się może, kto chciałby ci zaszkodzić?

Kiedy Friberg wychodzi, Anna pyta, czy może wziąć prysznic i zmyć z siebie całą tę wodę z rzeki. Długo stoi pod ciepłym prysznicem i próbuje pozbyć się tego, co przed chwilą zaczęła podejrzewać.

Ich samochód stał zaparkowany przy barierkach ponad godzinę, a to znaczy, że ktoś z odpowiednim oprzyrządowaniem i doświadczeniem miał dostatecznie dużo czasu, by uszkodzić hamulce. Kto zatem może być sprawcą? Liza powiedziała Marie i Brunowi, dokąd jadą. Poza tym przy barierkach rozmawiały z Caią Biancą i Alexem. A więc są przynajmniej cztery osoby, które mogły mieć motyw i okazję, żeby to zrobić.

Kiedy Anna wychodzi spod prysznica, widzi na łóżku swoje rzeczy. Mimo iż są suche i czyste, wciąż pachną mułem rzeczonym. Ale to i tak dużo lepsze niż koszula szpitalna, więc Anna się ubiera i idzie do pokoju Lizy, która leży za ścianą.

W zdrowej ręce Liza trzyma pilota i skacze po kanałach. Kiedy widzi Annę, wygląda na zadowoloną.

– Cześć, Anno. Byłam u ciebie niedawno, ale spałaś. Jak się czujesz? I jak się czuje Agnes?

Anna opowiada jej, co powiedział lekarz. Mówi, że zaraz idzie do Agnes, żeby być przy niej, kiedy ją będą wybudzać.

– A jak ty?

– Złamany obojczyk i kilka stłuczonych żeber – odpowiada Liza.

– Poza tym w porządku.

Obie milczą przez kilka sekund.

– Właściwie... – zaczyna Anna, czując, że musi się z czegoś wytłumaczyć. – Naprawdę chciałam ci pomóc, ale byłam tak zajęta Agnes... Ona była nieprzytomna...

Anna wykonuje przepaszający gest, ale Liza macha tylko ręką, że nic się nie stało.

– Oczywiście. Poza tym uwolniłaś mnie z pasa. Jeśli byś tego nie zrobiła, nie siedziałabym teraz tutaj. Naprawdę, nie masz za co przeproszać, Anno. – Liza poprawia się na łóżku. – Idź do Agnes, a ja może później do niej wpadnę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. – Anna uśmiecha się i uświadamia sobie, że coraz bardziej lubi Lizę.

Na korytarzu niemal wpada na Bengta Anderssona, który niesie starannie zawinięty bukiet kwiatów. Kiedy ją zauważa, na jego twarzy pojawiają się co najmniej o dwa grymasy za dużo.

– Anno, wspaniale cię widzieć na nogach! Wierz mi, tak się wszyscy martwiliśmy...

Podaje jej kwiaty, a Anna mu dziękuje.

Ciekawe, kogo miał na myśli, mówiąc „wszyscy”.

– Masz chwilę, żeby porozmawiać na osobności? – pyta ściszym głosem.

Anna spogląda na zegarek. Właściwie to najchętniej poszłaby teraz do Agnes, ale ma jeszcze kilka minut, a poza tym jest ciekawa, co Andersson ma jej do powiedzenia. Wchodzą do pokoju, Anna wkłada kwiaty do wazonu na półce, a Bengt siada w fotelu.

– To straszne z tym wypadkiem... Rozmawiałem z intensywną terapią. Ordynator Göransson i ja znamy się z Rotary.

– Nie wiedziałam – mówi Anna ostrym głosem i jest bliska pytania go o członkostwo w klubie łamania tajemnicy lekarskiej.

Andersson jednak uprzedza ją machnięciem ręki.

– Nie, nie, oczywiście nie wtajemniczał mnie w szczegóły. Chciałem się tylko upewnić, że Agnes będzie miała najlepszą możliwą opiekę. Możesz być spokojna, jest w dobrych rękach.

– To świetnie.

– No dobrze – mówi Bengt Andersson i uśmiecha się jeszcze

szerzej. – Jak wiesz, jestem w zarządzie Glarei. Cała ta historia z tym skoczkiem... Rydell czy jak mu tam było... – Andersson wykonuje nonszalancki ruch ręką, by pokazać, że nie pamięta żadnego Rylandera, ale kłamie i jest to tak oczywiste, że Anna nawet nie musi się specjalnie wysilać, żeby go zdemaskować. – Smutna historia i dla Glarei, i dla całej gminy, prawda?

– Nie mówiąc już o rodzinie Rylandera... – dodaje kwaśno Anna.

– Tak, tak, zgadza się – odburkuje Andersson. – Ale, o ile dobrze się orientuję, to Rylander nie należał do osób, które dbałyby o kontakty z rodziną. Nie płacił alimentów, a najstarsza córka ledwo go znała?

– Ale coś znaczył dla kogoś.

– Co?

– Rylander. Coś znaczył dla kogoś. Wszyscy coś znaczą.

Bengt Andersson wzrusza ramionami, jakby nie bardzo rozumiał, o czym Anna mówi.

– W każdym razie – kontynuuje Andersson – badasz tę sprawę już od dwóch tygodni i, o ile się orientuję, nie ma nic, co by wskazywało, że to jednak nie było samobójstwo... A może się mylę?

Anna nie zaprzecza, spostrzega jedynie, że jak na fakt, iż nie pamięta nazwiska Rylandera, jest świetnie poinformowany.

– Oczywiście, to twoje śledztwo i ja, zupełny amator, jestem daleki od tego, by w jakikolwiek sposób na ciebie wpływać. – Znów unosi ręce.

Ale, dodaje w myślach Anna. Bo oczywiście zaraz pojawi się jakieś „ale”.

– Ale z całą pokorą chciałbym zapytać, czy nie byłoby lepiej zakończyć tę tragiczną historię, zanim obudzi niepotrzebną ciekawość. My w gminie i poza nią, a jest nas nie tak mało, bardzo byśmy to docenili. – Jego uśmiech jest tyleż przymilny, co przesadny. – Ciężko pracujemy na dobrą opinię Nedanås i jestem dumny z tego, że nam się to udaje. Od przyszłego roku, jak wiesz, będziemy tu mieć pociągi dalekobieżne, a wraz z nimi więcej firm i więcej możliwości. Ludzie tu przyjeżdżają, i raczej niechętnie stąd wyjeżdżają, rosną ceny nieruchomości... Dobre szkoły i niska przestępczość też mają

duży wpływ, a ta cała historia z... – Andersson milknie i znów udaje, że szuka w pamięci nazwiska. – Z tym Rylanderem może nam popsuć opinię. Wybacz, jeśli brzmię nieco cynicznie, ale godzić się na to, żeby taki człowiek jak on zniszczył to, co wielu z nas budowało przez wszystkie te lata, byłoby, delikatnie mówiąc, niedorzecznością... – Bengt jakby czeka, aż Anna coś powie, ale ona milczy, kontynuuje więc aksamitnym głosem: – Wiem, Anno, że ty i Morell poróżniliście się... Osobiście bardzo tego żałuję. Jesteś dobrą policjantką, mimo tej strasznej historii, o której pisali w gazetach, i bardzo byśmy chcieli zatrzymać cię tutaj, w Nedanås. – Andersson wciąż się przymilnie uśmiecha, ale jego wzrok teraz już jest ostry. – Żeby jednak tak się stało, potrzebujesz lojalnych przyjaciół. Ludzi, którzy będą dobrze o tobie mówić i którzy będą chcieli z tobą współpracować.

Anna próbuje utrzymać spokój i zignorować tę dziwną, a zarazem oczywistą groźbę w jego słowach.

– Marie, Bruno, Alex i Carina pobili Simona Vidje tej samej nocy, kiedy zginął – mówi Anna spokojnie. – Joe Rylander próbował ich szantażować. Czy Morell mówił ci o tym?

Uśmiech na twarzy Bengta Anderssona blednie.

– Tak, coś tam słyszałem.

– Więc chyba rozumiesz, dlaczego nie mogę umorzyć śledztwa, prawda? – Anna wbija w niego wzrok na kilka sekund. Zauważa, że Andersson ma taki sam mocny nos i oczy jak jego córka.

– Nie możesz czy nie chcesz? – pyta Bengt Andersson.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Oboje siedzą w milczeniu. Obserwują się.

– Właściwie to nie – odpowiada szybko Andersson i wstaje. – Nie będę ci dłużej przeszkadzał, Anno. – Bengt wyciąga rękę na pożegnanie, Anna niechętnie podaje mu swoją. – Pewnie chcesz już iść do Agnes, zresztą ja też powinienem wykonać jeszcze parę telefonów.

Po jego wyjściu Anna podchodzi do okna. Pokój ma widok na główne wejście, obok którego stoi dobrze jej znane

ciemnoniebieskie volvo zaparkowane na miejscu dla karetek. Kiedy Bengt Andersson wychodzi ze szpitala, otwierają się drzwi i z samochodu wysiada Henry Morell. Wyglądają, jakby o czymś żywo rozprawiali, po czym spoglądają w górę i patrzą wprost na jej okno. I choć odległość nie pozwala jej tego dostrzec, Anna jest pewna, że obaj mężczyźni się uśmiechają.

Na intensywnej terapii Agnes wciąż śpi. Anna siedzi przy niej i trzyma ją za rękę, gładzi po policzku i robi wszystko, żeby się nie rozpłakać. Po półgodzinie zagląda lekarz. To ta sama kobieta, z którą Anna rozmawiała w nocy.

– Konsultowałam się z kolegami i wszystko wygląda dobrze, więc powoli odstawimy środek usypiający. Zacznie się budzić za jakieś pół godziny.

– Świetnie. – Anna spogląda na zegarek. – Czy mogę pożyczyć telefon?

Ponieważ komórka Anny, podobnie jak jej samochód, leży na dnie rzeki, musi zadzwonić do informacji, żeby dowiedzieć się o numer do swojego adwokata. Mimo niedzieli adwokat odpowiada już po dwóch sygnałach. Ten telefon to raczej impuls po tym, jak zobaczyła Bengta Anderssona i Henry'ego Morella ucinających sobie przed szpitalem pogawędkę.

– Dobrze, że się odzywasz. Dzwoniłem do ciebie, ale masz wyłączony telefon.

Anna nie ma siły, żeby mu tłumaczyć, co się stało, czeka tylko, co też on ma jej do powiedzenia.

– Dzwonił jeden z chłopaków Santessona. Najwyraźniej udało im się znaleźć DNA na przyciskach pompy infuzyjnej. To śladowe ilości, ale liczą na to, że gotowy profil będą mieli już w przyszłym tygodniu.

– O, to coś nowego – mówi Anna i czuje, jak odpływają z niej te niewielkie ilości energii, które udało jej się uciąć. To z pewnością

dlatego Andersson i Morell tak się uśmiechali. – A dlaczego nas o tym informują?

– Taktyka, jak mi się wydaje. Te ilości DNA są być może za małe, żeby stworzyć profil. Dlatego Santesson chce mieć plan B. Jego propozycja złagodzenia wyroku, jeśli się przyznasz, jest w dalszym ciągu aktualna. Przemyśl to i zadzwoń najpóźniej o szóstej, jeśli chcesz, żebym to dalej pociągnął, okej?

Anna odkłada słuchawkę, chowa twarz w dłoniach i pochyla się nad kolanami. Tylko nie to, nie teraz.

Znów jest u Agnes. Trzyma jej rękę w swoich dłoniach. Bez maski tlenowej Agnes wygląda na znacznie zdrowszą. Tak jakby spała. Minęło dokładnie pół godziny, odkąd lekarz odłączył pompę infuzyjną ze środkiem usypiającym. Jak na ironię, to dokładnie taka sama pompa jak ta, którą prokurator generalny Santesson trzyma jako miecz nad głową Anny.

Powieka Agnes zaczyna lekko drgać. Jej dłoń ściska rękę matki. Anna odwzajemnia uścisk i zapomina o całym świecie. Lekkie drżenie ust i Agnes powoli otwiera oczy. Spojrzenie ma zamglone i wygląda, jakby trudno jej było skupić wzrok.

– Agnes – szepcze Anna. – Agnes, kochanie, słyszysz mnie?

Agnes błądzi pustym wzrokiem.

Anna próbuje sobie przypomnieć, ile minut Agnes była pod wodą, bez powietrza. I jak to mogło wpłynąć na jej wspaniały, kruchy mózg.

– Agnes... – szepcze znów Anna, a głos więźnie jej w gardle.

Agnes zamyka oczy i wygląda, jakby zasnęła. Anna odwraca się do lekarki, która właśnie weszła do pokoju.

– Zbadam ją – mówi cicho. – To może zająć trochę czasu, zanim...

– Mamo...

Anna się odwraca. Oczy Agnes są otwarte. Spojrzenie jasne.

– Chce mi się pić – mówi słabiutkim głosem.

I nagle wszystko odpuszcza.

Kiedy lekarka stwierdza, że jak na okoliczności Agnes czuje się nieźle, obie siedzą w ciszy. Anna próbuje zebrać się na odwagę. Światło jest zgaszone, rolety do połowy zaciągnięte, a pokój zatopiony w miękkim półmroku.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć – odzywa się Anna. – Coś, co powinnaś wiedzieć już dużo wcześniej. Coś o twoim tacie.

Agnes poprawia się na łóżku.

– O prawdziwym powodzie, dla którego się tu przeprowadziłyśmy – dodaje. – A raczej uciekłyśmy.

Anna bierze głęboki wdech i zaczyna mówić. Powoli, co rusz biorąc oddech, prawie bez zająknięcia, wszystko jej dokładnie opowiada, mimo iż to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu robi. Zaczyna od tego, jak poznali się z Håkanem w szkole policyjnej, tłumaczy, dlaczego się rozwiedli, i w końcu dochodzi do tego, jak zmarł. I choć ciekną jej łzy, nie pomija najmniejszego, nawet najbardziej bolesnego szczegółu.

A potem siedzi na łóżku Agnes z jej głową na swoich kolanach. Gładzi ją po czole, dokładnie tak jak wtedy, kiedy Agnes była mała.

Moja kochana mała dziewczynka, mówi do siebie w myślach.

„Nasza kochana mała dziewczynka”.

Anna słyszy Håkana wchodzącego do pokoju. Widzi go jako szarą postać w mroku. Już nie w jej głowie. Teraz jest wolny.

„Dobrze zrobiłaś, kochanie”, szepcze Håkan tonem przyjaznym, ale smutnym.

Anna wie dlaczego. Jego smutek ma konkretny powód, a jest nim to, że tak długo zwlekała z rozmową z Agnes. Håkan staje blisko Anny.

Musisz już iść?, pyta Anna, a raczej myśli. Nie możesz jeszcze zostać chociaż chwilę?

Håkan nie odpowiada, uśmiecha się tylko melancholijnie, a Anna jeszcze raz myśli, czy go nie poprosić, by jeszcze został. Czy mu nie powiedzieć, że ona i Agnes wciąż go potrzebują. Wie jednak, że to nie ma sensu.

„Czas już iść”, szepcze Håkan łagodnym głosem i gładzi Annę po policzku. „Żegnaj, moja ukochana Anno. Wszystko będzie dobrze”.

Liczą razem sekwencję, tak jak poprzednim razem.

Trzy, trzy, siedem, pięć, dziewięć, dwa.

Select.

A potem, z lekkim westchnieniem ulgi, Håkan znika.

Jesień 2017

Kiedy Agnes można już przenieść na zwykły oddział, Anna, choć niechętnie, postanawia pojechać do domu, do Taboru. Potrzebuje coś zjeść i zmienić ubranie, poza tym ma jeszcze jedną, o wiele ważniejszą sprawę. Milo. Agnes pytała ją o psa, a ona, kompletnie idiotycznie, kierowana instynktem macierzyńskim, powiedziała, że wszystko z nim w porządku. Białe kłamstwo. Wybudzić się ze śpiączki po tak groźnym wypadku, a zaraz potem dowiedzieć się prawdy o śmierci ojca to już wystarczająco dużo jak na szesnastolatkę.

Kiedy Anna widziała Milo ostatni raz, siedział na tylnym siedzeniu razem z Agnes, więc jest prawie pewna, że pies stracił przytomność, kiedy koziółkowały, a następnie poszedł na dno razem z samochodem. Wrak będzie wyciągany dopiero pod koniec tygodnia, tak więc do tego czasu nie pozostaje jej nic innego, jak mieć nadzieję, że psu udało się jakoś uratować i przebiec te dziesięć kilometrów do domu, do Taboru. Niestety, jakoś za bardzo w to nie wierzy...

Anna bierze wilgotną jeszcze kurtkę, płaci dwieście koron w recepcji za pobyt w szpitalu i po drodze do wyjścia odwiedza Lizę.

Liza szczerze się cieszy, że z Agnes jest już lepiej.

– Zostaję tu jeszcze jedną noc – mówi. – Czy będę mogła odwiedzić Agnes jutro rano przed wyjściem?

– Oczywiście!

– A co z jej psem?

Anna wykrzywia usta w wymuszonym uśmiechu.

– Mam nadzieję, że w porządku. Właśnie jadę do domu, żeby go szukać.

Anna chce dzwonić po taksówkę, ale w recepcji szpitala dowiaduje się, że przed wejściem jest postój. W dalszym ciągu jest słaba, ma bóle mięśni, a jej ruchy są sztywne i powolne. Idąc na postój, widzi, że na miejsce rozładunkowe podejżdza znajoma ciężarówka na polskich numerach rejestracyjnych. Z samochodu wyskakuje dwóch mężczyzn i Anna natychmiast ich poznaje. To ci dwaj Polacy z Änglabergi, którzy pomagali jej i Agnes w przeprowadzce. Jeden z nich ma zakrwawiony bandaż wokół łydki. Podpierając się o kolegę, powoli kieruje się do wejścia. Ciężarówka wciąż stoi na miejscu rozładunku. Kierowcę Anna też poznaje. Kiwa do Anny głową, kiedy ta podchodzi do samochodu, i opuszcza szybę.

– *What happened?* – pyta Anna.

– *Accident* – odpowiada kierowca.

– *Where?*

– *In forest.* – Mężczyzna wygląda, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale wtedy ze szpitala wraca jego zdrowy kolega i krzyczy coś po polsku. – *Sorry* – odpowiada kierowca, podnosi szybę i uruchamia samochód.

Droga do domu zajmuje czterdzieści pięć minut. Na ostatnim odcinku Anna musi poprowadzić taksówkarza. Kiedy mijają zakręt na zboczu, gdzie Anna straciła panowanie nad samochodem, musi zamknąć oczy. Nie chce widzieć, jak blisko była śmierci.

Kiedy dojeżdżają, Tabor jest cichy i ciemny. Świeci się tylko lampa na zewnątrz. Anna jeszcze w taksówce przechyla się między siedzeniami, żeby zobaczyć, czy na schodach wejściowych nie dostrzeże małej białej sylwetki. Ale jest pusto. Czuje ucisk w sercu.

Kiedy taksówka odjeżdża, Anna robi obchód i zapala wszystkie lampy.

– Milo! – woła. – Miii-loo!

Lecz jedyne, co słyhać, to wiatr hulający między drzewami.

Drzwi wejściowe zostawia otwarte, w razie gdyby pojawił się Milo, i szuka telefonu bezprzewodowego. Po kilku próbach przypomina

sobie kod dostępu do poczty głosowej.

Pierwsza wiadomość jest od adwokata. Anna natychmiast ją kasuje. Następna nieco ją zaskakuje.

– Witaj, tu Alex... Morell. – Głos brzmi niepewnie. – Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz. Myślałem o tym, co powiedziałaś... O chłopcu, jakim byłem, i o mężczyźnie, jakim się stałem. Nie wiem, kiedy moje życie się skończyło, ale zamierzam je odzyskać. Niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało...

Wydaje się, jakby zapomniał, co ma jeszcze powiedzieć, albo po prostu pożałował, że w ogóle zadzwonił, bo natychmiast kończy rozmowę.

Anna czeka na trzecią wiadomość i od razu rozpoznaje mrukliwy głos naczelnika policji. Natychmiast się domyśla, z czym dzwoni, mimo iż zaczyna od wyrażenia współczucia z powodu wypadku i radości, że udało im się z tego wyjść. Znów czuje rosnący ucisk w piersi.

– ...podjąłem decyzję o przeniesieniu cię do mojego wydziału, tu w Malmö, gdzie lepiej będziesz mogła wykorzystać swoje wyjątkowe kompetencje. Większe możliwości awansu, wyższa pensja... – Brzmi to jak awans. Jak krok wyżej. Naczelnik nie zapomina przy tym zaznaczyć, że ma do niej niezachwiane zaufanie, a rozmowę kończy, podkreślając, że teraz najważniejsze jest to, żeby w pełni odzyskała siły i zajęła się rodziną.

Anna w mig pojmuje, co się stało, potrzebuje jedynie porównać czas. Wiadomość została nagrana zaledwie dwie godziny po jej spotkaniu z Bengtem Anderssonem. Wypadek to kropla, która przelała czarę i zmusiła go, żeby się ugiął pod naciskiem Anderssona, Morella i ich wpływowych przyjaciół z wojewodą na czele.

Wystarczy godzina papierkowej roboty, żeby wyczarować odpowiednie odwołanie, i już jej nie ma. Bo taka jest prawda, oczywiście, mimo zapewnień naczelnika, że jest wprost przeciwnie. Oni wygrali, a ona została wylana z pracy. Aż trudno jej oddychać. Powietrze w kuchni jest jakieś ciężkie i gęste, a płuca jakby za małe.

Anna wychodzi na dwór i siada na schodach, zostawiając otwarte

drzwi do tego pustego domu. Bierze kilka głębokich wdechów zimnego wieczornego powietrza.

Milo wciąż nie ma. Jutro musi powiedzieć Agnes, że pies, którego dostała od swojego taty, ten ostatni element, który je obie łączył z Håkanem, najprawdopodobniej zginął. Ucisk z serca przemieszcza się do gardła i bez ostrzeżenia Anna zaczyna szlochać. Płakały razem z Agnes już wcześniej, ale ten płacz to coś zupełnie innego. Anna obejmuje kolana rękami, pochyla głowę i płacze tak mocno, że aż jej brak tchu. Chce, żeby Håkan wciąż był w jej głowie, żeby mógł powiedzieć jej coś pocieszającego, doradzić, co robić, by było dobrze. Żeby mógł ją pocieszyć i zapewnić, że i tym razem sobie poradzi. Ale Håkan odszedł, odszedł od niej i od Agnes, i już nigdy nie wróci. Tak jak Milo.

Anna płacze przez kilka minut, dopóki ucisk nie ustąpi. Nagle czuje, że coś mokrego muska jej rękę, unosi dłoń do oczu i podnosi głowę w górę.

To Milo! Pies przechylił głowę i patrzy na nią tak, jakby się cieszył, że ją zobaczył, a jednocześnie nie chciał się do tego przyznać. Anna chwytą go za obrozę, przyciąga do siebie to głupie psisko i przytula je tak mocno, jak tylko potrafi. Milo się nie sprzeciwia, a po kilku sekundach zaczyna lizać ją po policzkach.

Z drogi słychać kroki. Anna podnosi głowę. To Mats Andersson idzie powoli przez podwórko.

- Już jesteście w domu – mówi i patrzy w kierunku kuchni.
- Tylko ja, Agnes wyjdzie za kilka dni – odpowiada Anna.
- Okej. – Mats wykrzywia usta, jest zawiedziony. – Co z nią?
- Już dużo lepiej.

Mats kiwa głową.

– Ciotka mówiła mi o wypadku... Pojechałem tam, żeby zobaczyć. Policja ogrodziła teren biało-niebieską taśmą. Jak mnie tam zobaczył, od razu przybiegł. – Mats pokazuje na Milo, który wciąż siedzi Annie na kolanach. – Był zmarznięty, przemoczony i głodny. Wziąłem go do domu, do Änglabergi, umyłem i dałem jeść.

- Bardzo, bardzo ci dziękuję. Agnes bardzo się ucieszy. Myślałam,

że... – Anna odchrząkuje. – Myślałam, że Milo poszedł na dno razem z samochodem.

Mats potrząsa głową.

– Nie to małe ladaco... Jest na to za cwany.

– Chcesz wejść? – pyta Anna. – Wprawdzie nie mam nic do jedzenia, ale...

Mats znów potrząsa głową.

– Nie, muszę się zbierać do domu. Mam coś do roboty.

Pochyla się, drapie Milo za uszami swoją ogromną łapą, odwraca się i odchodzi. Milo zaczyna pomrukiwać, wyrывa się z objęć Anny i biegnie do niego.

– Poczekaj, Mats! – woła Anna, wstaje i macha ręką, żeby wrócił. – Chcesz jutro odwiedzić Agnes w szpitalu?

Jego twarz pod dziko zarośniętą brodą rozjaśnia się.

– A mogę?

Anna kiwa głową i kończy myśl:

– Poproszę cię nawet, żebyś zabrał Milo. To może niezupętnie zgodne z regulaminem szpitala, ale Agnes bardzo się ucieszy.

Uśmiech Matsa robi się jeszcze pełniejszy.

– Nie ma problemu, wsadzę go pod płaszcz. – Mruga do Anny i otwiera połę płaszcza, żeby pokazać, co ma na myśli.

– To jesteśmy umówieni. Odwiedziny są od dziewiętej rano. Leży na oddziale dziewiętnastym, pokój numer cztery.

Mats kiwa głową z zadowoleniem, wygląda, jakby był szczęśliwy. Anna też się czuje znacznie lepiej. Jakby ten mały pies i ten ogromny mężczyzna włączyli w nią nowe siły.

– Dziękuję, Mats – mówi Anna i wyciąga rękę.

Mats, swoją wielką łapą, potrząsa jej dłoń. Wygląda wciąż na zadowolonego, ale Anna zauważa, że wzrokiem szuka okna do sali kazań.

– Nie musisz się czuć winny, że nie powiedziałeś Elisabet, co widziałeś tamtego wieczoru w kamieniołomie – mówi Anna. – Marie wszystko już jej powiedziała.

Olbrzym drży i wygląda, jakby nie bardzo rozumiał, o czym Anna

mówi.

– Twoja ciotka wie o tamtej kłótni – Anna próbuje mu wyjaśniać.

– Marie opowiedziała jej o tym po śmierci waszej mamy. To dlatego Elisabet nie jest na nią zła.

Mats uśmiecha się niepewnie.

– Nic się nie stało, że jej nie powiedziałaś – kończy Anna.

Mats kiwa głową i znów się rozpromienia.

– Nie pamiętasz, co się wydarzyło po tej kłótni? – pyta Anna, już raczej z przyzwyczajenia.

Mats powoli macha głową.

– Nie. Wróciłem do domu, kiedy zaczęło padać.

– Jak się dostałeś do Änglabergi? – Anna myśli o rowerze Simona.

– Motorynką – odpowiada Mats, gasząc w ten sposób jej nadzieję na rozwiązanie tej zagadki. – Nie mogłem jej znaleźć, bo lało i było ciemno.

Ostatnie słowo wymawia „ciemno” zamiast „ciemno”.

– Na zakręcie wymijałem samochód i wpadłem do rowu, jak już mówiłem. Do tej pory mam ślad. – Pokazuje na nogę. – Ludzie jeżdżą jak wariaci, pewnie już to zauważyłaś?

Mats drapie się po szyi i uśmiecha, jakby zaczynał sobie uświadamiać znaczenie swoich słów.

– Dziękuję, że powiedziałaś o Marie. Długo mnie to gryzło, ale nie miałem odwagi, żeby jej opowiedzieć.

– To my dziękujemy, Mats. Uratowałeś przecież Milo, prawda? Jesteś bohaterem.

Olbrzym uśmiecha się szeroko. Kiwa głową na pożegnanie, odwraca się i idzie w kierunku lasu, a Milo obskakuje mu nogi.

– Głupi pies – mówi Anna pod nosem i się uśmiecha.

Jesień 2017

Anna zaczyna dzień od telefonu do firmy ubezpieczeniowej, żeby poinformować ich o wypadku. Następnie zamawia taksówkę do wypożyczalni samochodów na przedmieściach Helsingborga, pożycza samochód i jedzie do szpitala. Kiedy wchodzi do pokoju Agnes, widzi coś niespotykanego.

Agnes siedzi na łóżku z rozochocionym Milo w objęciach, który liże każdy skrawek jej skóry. Mats Olbrym stoi przy ścianie i się uśmiecha. Na stoliku obok widzi duży bukiet kwiatów, który musiał kosztować krocie. Ale kiedy Anna dostrzega jeszcze dwie inne osoby, wprost nie może uwierzyć własnym oczom... Elisabet Vidje siedzi na krześle, a koło niej stoi Bror Klein.

– Cześć, mamol! – mówi Agnes z radością w głosie, której Anna nie słyszała od kilku lat i która natychmiast rozwiewa wszystkie przykre myśli o naczelniku policji, o pracy i innych, mniej ważnych rzeczach. – Zobacz, jakie ładne kwiaty dostałam od Elisabet i Kleina!

Agnes czuje się świetnie, będąc w centrum zainteresowania, a Anna bynajmniej jej tego nie żałuje.

– Bardzo ładne, kochanie – odpowiada.

Pochyla się, żeby pocałować Agnes w policzek, i czeka, aż Milo zacznie warczeć, jak to zwykle robi w takich sytuacjach. Ale pies patrzy tylko na nią z głową przechyloną na bok i macha swoim małym ogonkiem.

Kiedy Anna odwraca się do Brora Kleina i chce mu podziękować, do pokoju wchodzi Liza Savic. Wciąż jeszcze ma rękę na temblaku, ale wygląda już znacznie lepiej.

– Cześć, Liza – wita ją Agnes. Jest taka ożywiona. Widać, że odwiedziny jej służą.

– Cześć! Oj, ale tu tłok – mówi Liza. Uśmiecha się i kiwa głową na powitanie do Elisabet Vidje, a kiedy przesuwa wzrok na Kleina, jej twarz poważnieje. – To ty mnie wyciągnąłeś z wody – mówi.

Klein wykonuje mały ruch głową na potwierdzenie. Liza robi kilka kroków naprzód, swoją chorą ręką obejmuje go za szyję i się do niego przytula. Kamienna twarz Kleina nawet nie drgnie, ale widać maleńki grymas w kącikach ust i krótki błysk w jego oku. Jednak po chwili, zanim jeszcze Liza zdąży go puścić, przywołuje się do porządku.

– Mnie też – dodaje Anna. – Jeśli nie ty, nie siedzielibyśmy tutaj.

Klein kiwa głową, a następnie ściąga usta w taki sam sposób jak Elisabet Vidje.

– Wraciałem wtedy z miasta – mówi – i między drzewami zobaczyłem ślady hamowania i obłok kurzu. Od razu się domyśliłem, że coś się stało. Każdy by tak zrobił.

– Jesteś zbyt skromny – mówi Elisabet Vidje i gładzi Kleina po rękę. – Powinieneś być z siebie dumny. Zaslugujesz na to!

Na kamiennej twarzy Kleina pojawia się rumieniec. Anna próbuje rozstrzygnąć w myślach, czy to ma związek z sytuacją, czy z gestem Elisabet. Czyżby Elisabet i Klein faktycznie byli kochankami? Coraz bardziej utwierdza się w tym przekonaniu.

– A ty pewnie jesteś jego żoną. – Liza Savic wyciąga rękę do Elisabet Vidje.

– Nie – odpowiada Elisabet i trochę niezgrabnym ruchem podaje jej rękę. – Klein i ja jesteśmy starymi znajomymi. A raczej przyjaciółmi. Dwoma osobami, które dzielą wspólny los... – I znów gładzi Kleina po rękę, tym razem bardziej oddanym gestem.

Anna wciąż ich obserwuje. Próbuje rozgryźć, czy to wszystko to tylko gra.

– Wyglądasz znajomo – zwraca się Elisabet Vidje do Lizy w ten swój bezpośredni sposób.

Liza macha głową.

– Nie jestem stąd.

– Ach tak, no proszę. Już nie ta pamięć. Co z twoją ręką? – Elisabet

pokazuje na temblak.

– Złamany obojczyk. Ale mogło być gorzej.

Dopiero teraz Anna zauważa, jak Elisabet mizernie wygląda. Jej twarz jest jeszcze bledsza niż poprzednio, a skóra tak przezroczysta, że aż widać wszystkie żyły. Właściwie to Anna wciąż jeszcze jest wściekła na Elisabet, ale teraz stara się o tym nie myśleć.

– Nie będę wam dłużej przeszkadzać – mówi Liza. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wpadnę do ciebie trochę później, Agnes, dobrze?

Agnes kiwa głową. Liza znów patrzy na Kleina.

– Jeszcze raz dziękuję – mówi i znika za drzwiami.

Po wyjściu Lizy ten przepelniony pokój w jakiś dziwny sposób wygląda pusto, więc Anna próbuje zagaić rozmowę. Dziękuje Elisabet Vidje za troskę i piękne kwiaty, co, tak jak przypuszczała, zostaje skwitowane machnięciem ręką i lekkim wykrzywieniem warg. Agnes wyczuwa napięcie i chwali Matsa za to, że Milo ma takie ładne błyszczące futro. Jest ciekawa, jakiego szamponu użył. Na moment wypełniają pustkę w pokoju. Klein milczy, jak zwykle, i nie uczestniczy w rozmowie.

Po chwili Elisabet Vidje wstaje ciężko z krzesła i gestem pokazuje Annie, że chce z nią wyjść na korytarz. Klein idzie z nimi, ale Elisabet, ruchem ręki, go zatrzymuje.

– Jest mi bardzo przykro, że to się tak skończyło między nami – mówi Elisabet, gdy tylko są same. – Rozmawiałam z Kleinem i zrozumiałam, że zachowałam się jak... – Elisabet szuka właściwego słowa. – Po prostu bez wyczucia. Nie to miałam wtedy na myśli i mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny. Bardzo nam pomogłaś, Anno, i jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni.

Anna zwleka z odpowiedzią, więc Elisabet czuje się odrobinę niekomfortowo.

– Wybieramy się... – kontynuuje po kilku sekundach milczenia – ... Klein i ja wybieramy się do Karla-Johana. Mieszka zaledwie piętnaście minut drogi stąd. Byłoby miło, gdybyś z nami pojechała.

Anna siedzi z tyłu w zadbanym pick-upie Kleina. Mats zaproponował, że on i Milo zostaną jeszcze u Agnes, więc nie było powodu, by Anna nie pojechała. Poza tym nie chce stracić takiej okazji. Już od dziecka jest bardzo ciekawa Karla-Johana, no i będzie mogła poobserwować Kleina i Elisabet Vidje razem. Nie dlatego, że to ma jakiś związek ze sprawą, ale myśl o tym, że mają w tajemnicy romans, ją fascynuje. Tajemnica, może nawet starsza niż tragiczny los Simona, która do tej pory nie została odkryta...

Klein prowadzi trochę za wolno, jak większość mężczyzn po siedemdziesiątce. Ani Anna, ani Elisabet Vidje nic nie mówią. I nawet jeśli Anna zazwyczaj nie ma nic przeciwko milczeniu, to jednak teraz jest zmuszona, żeby je przerwać.

– Wczoraj przed szpitalem spotkałam tych Polaków – mówi. – Jeden z nich miał najwyraźniej jakiś wypadek w lesie?

Klein wymienia spojrzenie z Elisabet, ale się nie odzywa.

– To nie był wypadek – mówi po chwili. – Paweł wszedł w sidła zastawione przez Matsa. Mats wie, że nie wolno mu tego robić, ale ubzdurał sobie, że złapie wilka. I nie słucha...

Elisabet gładzi Kleina po nodze i go ucisza. Ten gest świadczy o takiej żałyłości, że Anna aż unosi brwi ze zdziwienia.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Elisabet. – Możesz tam zaparkować.

Dom opieki otoczony jest wysokimi drzewami i zielonym dywanem trawy. Pielęgniarka prowadzi ich do świetlicy. W jej głosie jest coś miękkiego, kiedy rozmawia z Karlem-Johanem. Duże okna panoramiczne wychodzą na park, w którym dwóch ogrodników w żółtych uniformach grabi liście. Robota idzie im wolno, park jest tak duży, a liści takie mnóstwo, że zadanie wydaje się wręcz niewykonalne.

Karl-Johan Vidje siedzi w fotelu zwrócony do nich plecami, nogi ma okryte kocem i patrzy na ogrodników w parku. Anna i Klein trzymają się przez chwilę z boku, a Elisabet podchodzi do niego i całuje go

w policzek. Karl-Johan chwyta Elisabet za rękę, tak jakby się bardzo ucieszył, że przyszła. Elisabet zamienia z nim kilka słów, a potem macha do Anny, żeby podeszła bliżej.

– To jest Anna Vesper, o której ci mówiłam. Razem z córką mieszkają teraz w Taborze. Musisz wiedzieć, że Anna bardzo nam pomogła.

Karl-Johan jest sporo po siedemdziesiątce, ale wciąż ma blond włosy i zaskakująco mało zmarszczek. Ma pogodną twarz i miły uśmiech, a na nosie ciemne okulary.

– Anna... – odzywa się Karl-Johan i potrząsa jej ręką w sposób, który pozwala Annie przypuszczać, że powtarza sobie w myślach jej imię.

– Moi rodzice, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, mieli jedną z twoich litografii – mówi Anna. – Bardzo ją lubiłam.

Karl-Johan kiwa głową, ale coś w jego twarzy mówi jej, że najprawdopodobniej nie ma pojęcia, kim ona jest ani co tutaj robi. Anna kontynuuje jednak rozmowę i opowiada mu, co przedstawiała litografia i gdzie jej tata ją kupił. Karl-Johan tylko kiwa głową. Mimo okularów i demencji jest w nim coś pociągającego, nie tylko w twarzy i uśmiechu, ale również w aurze, jaka z niego emanuje. Annie przypominają się fotografie, które widziała, jedną w Änglaberde i drugą w sypialni Kleina. Jakim atrakcyjnym mężczyzną był Karl-Johan i jakim wrażliwym. Annie bardzo łatwo sobie wyobrazić, dlaczego Elisabet zakochała się w nim po uszy. Karl-Johan, już sędziwy i prawie niewidomy, wciąż robi wrażenie na ludziach, których spotyka, Anna nie jest więc tu wyjątkiem. I mimo to Elisabet miałyby go zdradzić z Kleinem? Czy może po prostu znaleźli w sobie oparcie? Anna woli myśleć, że tak właśnie jest, i wyrzuca sobie, że tak spekuluje i plotkuje o czymś, co przecież nie jest jej sprawą. Czy tego chce, czy nie, z rodziną Vidje jest w jakiś sposób związana, a ich odwiedziny w szpitalu tylko to potwierdzają.

Skończyła swoje wystąpienie i dalej nie wie, co powiedzieć.

– Anna – Karl-Johan wymawia jej imię. – Anna.

– Mieszkam z córką w Taborze – dodaje. – W twoim dawnym

atelier.

Jego uśmiech pozostaje niezmienny.

– Znalazłam twoją starą zjeż... – Anna połyka zająknięcie – ...
dżalnię.

Karl-Johan rozpromienia się.

– Zjeż-dżalnia – powtarza w taki sam sposób jak Anna, co powoduje, że czuje do niego jeszcze większą sympatię.

– Zjeżdżaliśmy na niej, Simon i ja, przez otwór w ścianie. – Karl-Johan kiwa głową i uśmiecha się szczęśliwy. – Mój mały chłopiec...

Nagła gula w gardle zmusza Annę do przełknięcia śliny. Nie wie, co powiedzieć. Na ratunek przychodzi jej Elisabet.

– Annie i jej córce bardzo dobrze się mieszka w Taborze. Bardzo tam teraz ładnie, prawda Anno?

– Bardzo ładnie – odpowiada Anna i próbuje brzmieć wesoło.

Ale nagle robi się ponuro. Jedyne, o czym teraz myśli, to zdjęcie Karla-Johana i małego Simona. Jacy szczęśliwi obaj wtedy byli.

„Mój mały chłopiec...”

Znów czuje gulę w gardle, i znów musi ją przełknąć.

– Tabor – odzywa się Karl-Johan i uśmiecha się w środku, tak jakby jego zniszczony mózg przywołał obraz, który tylko on widzi. Po kilku sekundach jego wyraz twarzy się zmienia i nagle robi się niespokojny. – Jeleń – mówi i zaczyna się wiercić. – Ten jeleń, który nie żyje. To nie moja wina. Nie moja... – Karl-Johan potrząsa głową, jakby jego niewidome oczy zobaczyły w pokoju rzeczy, które go niepokoją. Nagle chwyta Annę za nadgarstek i przyciąga do siebie.

– Nie moja wina – powtarza. – Nie moja wina...

Anna nie wie, co robić. Jego chwyt sprawia jej ból, ale trudno jej się wyswobodzić. Karl-Johan wciąż powtarza swoje słowa. Jego głos brzmi rozpaczliwie, a twarz jest naznaczona cierpieniem.

– Nie moja wina. Nie moja wina!

Elisabet próbuje mu coś powiedzieć, ale on nie słucha, tylko przyciąga Annę bliżej siebie. Jego palce wpijają się w jej nadgarstki, aż do bólu.

– To nie moja wina – sapie tuż przy jej twarzy, a Anna widzi, jak

spod okularów płyną mu łzy.

– J-ja... – Anna przełyka ślinę, jest bardzo poruszona, ale wciąż nie wie, co powiedzieć ani zrobić.

Karl-Johan nie ma zamiaru zwolnić uchwytu, powtarza tylko w kółko te same słowa, a łzy ciekną mu po policzkach.

– Nie moja wina. Nie moja wina...

Nagle, jakby znikąd, pojawia się Klein i próbuje ją wyswobodzić. Niemalże odpycha Annę do tyłu, pochyla się i szepcze Karlowi-Johanowi coś do ucha. Anna dostrzega błysk na twarzy Kleina. Jego kamienna maska znika, a zamiast niej pojawia się ten sam wyraz twarzy, który miał, kiedy pierwszy raz się spotkali w sali kazań. Wyraz napięcia.

Anna nie słyszy, co Klein mówi do Karla-Johana, ale to go uspokaja. Przysuwa sobie krzesło i siada. Bierze Karla-Johana za rękę i coś mu szepcze do ucha. Anna próbuje usłyszeć, co mu mówi, ale jedyne, co słyszy, to dźwięki, których nie potrafi ubrać w słowa. Tak jakby Klein coś mu nucił, a nie mówił.

– Chodźmy – mówi ostrożnie Elisabet i prowadzi Annę do wyjścia.

– Bardzo mi przykro – zaczyna Anna, ale Elisabet pokazuje ręką, że nie trzeba.

– To nie twoja wina – odpowiada zmęczonym głosem. – Karl-Johan żyje w swoim własnym świecie, a dzisiaj najwyraźniej ma gorszy dzień. Klein potrafi się nim zająć. Pozwólmy im chwilę porozmawiać, a potem wrócimy do szpitala.

– Nadchodzi zmiana pogody – mówi Klein, a wraz z tymi słowami powraca jego kamienna twarz, bez najmniejszego śladu po tym, co się przed chwilą wydarzyło. – Zapowiadali na noc sztorm.

Jesień 2017

Klein zatrzymuje się na parkingu szpitalnym. Przepraszają, że nie idą do szpitala, ale Elisabet musi odpocząć.

– Tylko jedno pytanie – mówi Anna przed wyjściem z samochodu. Myślała nad tym już wcześniej i chce się tylko upewnić. – Rower Simona, ten, na którym pojechał do kamieniołomu, jaka to była marka?

– Pomarańczowy crescent – odburkuje Klein – z pochyloną kierownicą.

– Dostaliście go z powrotem?

Klein i Elisabet szybko wymieniają spojrzenia.

– Nie – odpowiada Elisabet po kilku sekundach. – W każdym razie nic takiego nie pamiętam. Ale tyle się wtedy działo, więc już sama nie jestem pewna. Ale czy to ma jakieś znaczenie?

Anna wzrusza ramionami.

– Właściwie to nie wiem. W raporcie policyjnym też nie ma wzmianki o żadnym rowerze... Po prostu chciałam się tylko dowiedzieć, czy wiecie, co się z nim stało.

W pokoju u Agnes jedna z surowszych pielęgniarek odkryła Milo, więc umawiają się, że Mats przechowa go jeszcze kilka dni. Olbrzym się cieszy i uważa, że to wspaniała propozycja, ale Anna wcale nie ma ochoty wracać do pustego domu.

Parę minut później przychodzi Liza. Już ją wypisali i jest ciekawa, czy Anna nie podrzuciłaby jej do Nedanås.

– Wracasz do domu? – pyta Agnes.

– Jutro. Muszę jeszcze przebukować bilet na pociąg. Mam nadzieję,

że będę mogła jeszcze zostać jedną noc w Gästis. Powinnam się była wymeldować już wczoraj – mówi Liza.

– Przecież możesz mieszkać u nas – proponuje Agnes. – Mój pokój stoi pusty, a mama nie lubi być sama, prawda mammo?

– Masz ochotę, Lizo? – pyta Anna.

– Bardzo chętnie, jeśli to oczywiście nie problem.

Po obiedzie Agnes jest już zmęczona, czas więc jechać do domu. Liza się z nią żegna i obiecuje, że się odezwie w ciągu tygodnia.

W drodze do Taboru wstępują jeszcze do sklepu. Anna kupuje sobie nowy telefon, taki sam, jaki niedawno dostała Agnes. Dzięki pomocy sprzedawcy udaje jej się przenieść stary numer. Przez resztę drogi rozmawiają o Simonie Vidje. Liza zdążyła się już zorientować, kto to Klein i Elisabet, ale chce się dowiedzieć więcej o wizycie u Karla-Johana.

Kiedy przyjeżdżają do Nedanås, Anna zostawia Lizę przy Gästis, a sama jedzie na komisariat. Sztorm znad zatoki jeszcze nie dotarł, ale już zaczęło mocno wiać. Mimo wiatru wyraźnie czuć zapach z Glarei. Prawdopodobnie wypalają, ile się da, żeby zdążyć przed zamknięciem.

Jej karta wstępu wciąż działa, więc nie musi przechodzić przez recepcję, idzie więc wejściem dla pracowników. W gabinecie otwiera dolną szufladę, wyjmując dokumenty ze śledztwa Simona Vidje, z pożaru w Änglaberdze i ze śmierci Joego Rylandera i idzie je skopiować. Oryginały układa na biurku w staranną kupkę, a kopie wkłada do kieszeni kurtki. Przy wyjściu otwiera swoją skrzynkę pocztową i znajduje w niej grubą kopertę.

Zaadresowana jest do Anny Vesper, Policja w Nedanås. Wkłada kopertę do kieszeni razem z papierami.

Po drodze wpada na Jensa Friberga. Przeklina w myślach, bo miała nadzieję, że go nie spotka.

– Cześć – mówi Friberg zakłopotany i nie bardzo wie, w którą stronę patrzeć.

– Pewnie już słyszałeś? – pyta Anna.

Friberg kiwa głową na znak, że wie.

– I zapewne naczelnik poprosił, żebyś to wszystko po mnie przejął, prawda?

Brak odpowiedzi znaczy tyle, co odpowiedź twierdząca. Głuchy wybuch wprawia podłogę w wibracje, ale Anna już się przyzwyczaiła.

– W końcu dostałeś to, co chciałeś – mówi gorzko do Friberga.
– Zawsze o tym marzyłeś.

Friberg powoli potrząsa głową.

– Odmówiłem.

– Co takiego?

– Przenosimy się – mówi my, ale nie precyzuje, kogo oprócz siebie ma na myśli. W innych okolicznościach Anna byłaby ciekawa.

– Dokąd?

Friberg wzrusza ramionami.

– Tam, gdzie praca policjanta jest mniej... skomplikowana. Aplikowałem na kilka różnych stanowisk i zobaczymy, co z tego wyjdzie. W każdym razie chciałbym ci podziękować, że mi zaufałeś. Że włączyłaś mnie do śledztwa, mimo naszego... – robi zmieszany gest – ...nie najszcześniejszego początku. Praca z tobą dużo mnie nauczyła.

Cisza. Cała ta rozmowa szczerze Annę zaskoczyła i teraz nie bardzo wie, co powiedzieć.

Friberg robi się czerwony na twarzy, ale próbuje to ukryć, wpatrując się w swój wodoodporny zegarek. Przez kilka sekund stoją naprzeciwko siebie.

– Mnie też się z tobą dobrze pracowało, Jens – mówi w końcu Anna i wyciąga rękę na pożegnanie. – No i powodzenia.

– Wzajemnie, szefowo.

Friberg trzyma jej rękę jeszcze przez kilka sekund. Ściąga usta na kształt życzliwego uśmiechu.

Anna zabiera Lizę spod Gästis i pomaga jej włożyć walizkę do bagażnika. W drodze do Taboru postanawia zignorować tajemnicę służbową i dzieli się z Lizą opowieścią Alexandra Morella. Liza słucha

w milczeniu, a potem zadaje kilka pytań.

– Czy jest pewien, że moi rodzice odjechali już, kiedy zaczęła się ta cała awantura?

– Tak, ale twierdzi też, że to oni byli jej powodem. Wściekłość na Joego po prostu skierowali na Simona.

– A więc to po części wina mojego taty, tak? – Liza milknie. – To znaczy Joego... Wszystko zaczęło się od tego, co zrobił Carinie, prawda?

– Być może. Ale o ile dobrze zrozumiałam, to pozostała czwórka czepiała się Simona przez cały wieczór. Poza tym palili trawkę, kilkoro z nich po raz pierwszy w życiu, no i sporo wypili... Sama więc widzisz, że było wiele rzeczy, które się na siebie nałożyły... Jednym słowem seria niefortunnych zdarzeń.

Mijają ostry zakręt, na którym wypadły z drogi zaledwie dwa dni temu. Milczą przez chwilę.

– Co za straszna historia... – mówi Liza. – Pięcioro bliskich przyjaciół nagle zaczyna awanturę. Wystarczy jeden jedyny wieczór, żeby wszystko się skończyło po tylu latach przyjaźni. Jak można żyć po czymś takim, ze świadomością, że się przyczyniło do śmierci człowieka? Kogoś, kogo się kochało...

Pytanie jest retoryczne, a jednak porusza Annę, która czuje się w obowiązku odpowiedzieć.

– Nie można.

Anna parkuje samochód i pomaga Lizie wnieść walizkę do pokoju Agnes. Ciało ma wciąż poobijane i choć walizka nie jest ciężka, to i tak czuje się zmęczona.

Anna pokazuje Lizie dom. Najpierw parter, a potem górę i salę kazań. Anna celowo idzie wolno po stromych schodach i pochyła się nad zniszczoną poręczą, na której wciąż widać odciski palców Karla-Johana. Liza długo podziwia widoki za oknem. Pod niebiesko-szarym niebem kołyszą się jesienne drzewa. Zrzucają resztę liści, które jeszcze się zachowały.

– A więc to jest to słynne malowidło? – Liza zatrzymuje się przed ścianą z obrazem. – Ale nie widzę żadnego ciała w wodzie...

Anna podchodzi do lampy, którą zainstalowała Agnes, zapala i nagle tak bardzo chce, żeby Agnes tu była i zrobiła to sama...

Tak jak poprzednio, światło wydobywa ciało Simona na tafli wody. Liza wstrzymuje oddech. Anna stoi kilka sekund, a potem idzie przygotowywać kolację, żeby Liza spokojnie mogła obejrzeć malowidło. Kiedy się odwraca, coś dostrzega na podłodze w lewym rogu pokoju. Kilka czarnych zarysowań na białych deskach. To ślady po gumowej podeszwie, która porysowała podłogę. Anna nie przypomina sobie, żeby je widziała wcześniej. Czy to ona mogła je zrobić?

Po kolacji Anna instaluje Lizę i jej złamany obojczyk przed telewizorem, wyjmuje skopiowane akta śledztwa i kładzie na stole w kuchni. Tylko rzuci na nie okiem, szybko i da już sobie z tym wszystkim spokój. W każdym razie tak właśnie przekonuje samą siebie.

Czyta notatki jeszcze raz i próbuje porównać z tym, co usłyszała od Alexa Morella. I, tak jak wcześniej, nie widzi żadnej rozbieżności. Joe napastuje Carinę, wywiązuje się kłótnia, Simon zaczyna bronić Tanji i Joego, potem Tanja i Joe odjeżdżają. Wszyscy zwracają się przeciwko Simonowi. Pięć osób, które są dla siebie ważne, tak jak powiedziała Liza.

„Najbardziej kłócimy się z tymi, których najbardziej kochamy”.

Przeczytała to gdzieś zaraz po rozwodzie. I wydawało jej się, że to dotyczy tylko romantycznej miłości, ale teraz, kiedy jest starsza i mądrzejsza, wie, że może się to tyczyć każdego rodzaju miłości. Między przyjaciółmi, między rodzeństwem, między rodzicami a dziećmi.

Anna rozrywa kopertę, którą znalazła w swojej skrzynce. Koperta zawiera stos listów związanych brązową gumką. Wszystkie adresowane do Joakima Rylandera. Anna pamięta wiadomość

sprzed tygodnia, nagrany na sekretarkę od zrzędlivego ojczyma Rylandera. Tak czysto formalnie, listy należą do Lizy, ale Anna mimo wszystko je otwiera.

W kopercie są rachunki, upomnienia z zakładu karnego i kilka zawiadomień z policji. Reklama kart kredytowych z banku, którego specjalnie nie obchodzi, komu proponuje swoje pieniądze. Ze stosu listów wystaje jedna koperta. To z firmy amerykańskiej o nazwie Regeneration. W środku jest formularz z tabelami oraz tekst po angielsku, na który Anna rzuca okiem:

Drogi Panie Rylander.

Wysłany przez Pana materiał do badań wykazuje, iż dwie wskazane przez Pana osoby z 99,99% prawdopodobieństwem nie są ze sobą spokrewnione.

Anna próbuje zrozumieć, o co tu chodzi. Najwyraźniej Joe Rylander wysłał materiał genetyczny do analizy DNA aż do Ameryki. I test wyszedł negatywnie.

Anna sprawdza datę na formularzu. Znajduje tabelę o nazwie „sample date” i już zaczyna rozumieć.

– Liza! – woła. – Czy pamiętasz dokładnie, kiedy twój tata cię odwiedził?

– Około dwudziestego września, a dlaczego pytasz?

Anna jeszcze raz sprawdza tabelę. Próbkę do testu zostały dostarczone 25 września... Anna czuje, jak wali jej serce.

– Czy po wizycie Joego zauważyłaś, że w domu czegoś brakuje?

– Nie.

– Nic, czego później potrzebowałaś i nie mogłaś znaleźć?

– Chyba nie... – odpowiada Liza, jednak z lekkim namysłem.

– A właściwie... kiedy tak o tym mówisz, przypominam sobie, że zginęło mi coś, co trudno wytłumaczyć...

– Co to było?

– Moja szczotka do zębów.

W głowie Anny coś zaczyna świtać.

– Kiedy się urodziłaś, Lizo?

– Dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego. Ale dlaczego pytasz?

Anna szybko coś przelicza. Zaledwie osiem miesięcy po wypadku w kamieniołomie. Osem miesięcy – to dlatego nikt nie widział żadnego związku. Musiało dopiero minąć dwadzieścia siedem lat... Joe Rylander dostaje list od Elisabet Vidje i wszystko zaczyna mu się składać w jedno. I Anna też nareszcie rozumie, co się właściwie stało tamtego wieczoru.

– Jesteś wcześniakiem, prawda?

Na chwilę zapada cisza.

W drzwiach stoi Liza. Liza, której imię nie jest przypadkowe. Bo Liza to skrót od Elisabet.

– Skąd wiesz? – pyta Liza, marszcząc czoło. – Skąd wiesz, że jestem wcześniakiem?

– Bo Joe Rylander nie jest twoim ojcem – odpowiada Anna powoli.
– Jest nim Simon Vidje.

Jesień 2017

Anna nie może zrozumieć, dlaczego tak późno do tego doszła. Liza ma blond włosy, tak jak Simon, pracuje w branży muzycznej... Poza tym ma w sobie coś, co sprawia, że trudno jej nie lubić, podobnie jak Karla-Jo. I jeszcze ta kasetka z piosenką Simona, którą Tanja zachowała przez wszystkie te lata...

Caia Bianca i Elisabet Vidje, obie, powiedziały, że Liza wygląda jakoś znajomo, a Anna mimo to nie zareagowała, za co jest na siebie zła.

Liza milczy przez następne kilka minut. Twarz ma białą jak kreda i widać, że myśli kłębią jej się w głowie.

Anna przynosi jej szklankę wody. Liza natychmiast wypija. Na jej twarz powoli wracają kolory.

– Ale nie wiemy na pewno, że to badanie mnie dotyczy, prawda?
– pyta Liza.

– Nie, ale to wysoce prawdopodobne.

Liza jakby strząsa z siebie kolejne pytanie.

– A jak możemy mieć pewność, że Simon to mój ojciec?

– Musimy zrobić nowe badania DNA, które porównają twój materiał genetyczny z materiałem krewnych Simona, czyli musimy porozmawiać z Elisabet Vidje i powiedzieć jej, że prawdopodobnie jest twoją babcią.

Liza nerwowym ruchem odstawia szklankę.

– Wiem, że to dziwne, ale czy możemy to zrobić jeszcze dziś wieczorem? Jutro rano wyjeżdżam, a bardzo chcę być przy tej rozmowie. – Głos Lizy jest przejęty i bardzo zdecydowany.

Anna unosi lekko brwi i wygląda przez okno. Zdążyło się już ściemnić, o szyby uderza deszcz, a wiatr jest tak silny, że aż słysząc

stukające poszycie.

– Może lepiej poczekać... – mówi Anna.

– Ale po co? – Liza wstaje. – Jeśli zdecydowałyśmy, że z nią porozmawiamy, to dlaczego nie zrobić tego teraz? Przecież nie jest jeszcze aż tak późno.

Anna zastanawia się, czy nie zrzucić winy na pogodę. Rozsądek nakazuje poczekać i jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Ale część jej jest tak samo niecierpliwa jak Liza. Po tym wszystkim, co się stało, chce nadać tragedii Simona Vidje jeśli nie szczęśliwe, to chociaż trochę szczęśliwsze zakończenie. Poza tym Liza ma pełne prawo być przy tej rozmowie.

– Dobrze – zgadza się Anna i wstaje po kluczyki do samochodu.

Wiatr huczy o dach, kiedy biegną przez podwórze. Szyba samochodu zdążyła się już pokryć uschłymi liśćmi.

Anna jedzie ostrożnie i powoli wzdłuż ciemnej leśnej drogi. Żadna z nich nic nie mówi, napięcie w samochodzie jest duże i pełne oczekiwania.

Kiedy dojeżdżają do alei prowadzącej do Änglabergi, widzą, że między drzewami migocze niebieskie światło. Dokładnie na wysokości domu Kleina mijają ambulans. Anna usuwa się z drogi, żeby go przepuścić. Kierowca ambulansu jest w szoferce sam i jedzie tak, jakby się śpieszył. Anna i Liza stoją na skraju drogi i patrzą na siebie.

– Wracamy? – pyta Liza niespokojnym głosem.

– Pojedźmy tam i zobaczmy, co się stało – odpowiada Anna.

Na dziedzińcu i w domu palą się wszystkie światła. Parkują przed wejściem. Drzwi wejściowe są uchylone. Anna puka i wchodzi. Dom wydaje się opustoszały. Anna i Liza spoglądają po sobie. Z salonu, w którym Anna i Elisabet wczoraj siedziały, dobiegają jakieś odgłosy, więc się tam kierują.

– Halo, jest tu kto?

W pokoju widzą przewrócony fotel. Na podłodze leżą nieotwarte

plastikowe opakowania, które Anna poznaje. Personel ratowniczy zostawia je po sobie, kiedy się śpieszy.

Z drugiego fotela wstaje Marie Sordi. Jest blada i ma zaciśnięte usta.

– Co się stało? – pyta Anna. – Po drodze minęłyśmy ambulans.

Marie próbuje doprowadzić się do porządku.

– Ciocia Elisabet... – odpowiada cicho. – Znalazłam ją na podłodze.

– Żyje?

– Tak, ale nie jest dobrze. Klein pojechał z nią do szpitala. Ja też tam się wybieram, tylko... – Marie pokazuje na rzeczy leżące na podłodze, podnosi fotel.

Anna jej pomaga. Mimo iż Anna zna Elisabet Vidje zaledwie kilka tygodni i nie zawsze szły tą samą drogą, ta wiadomość ją przybija. Liza też jest zszokowana.

– A co wy tu robicie? – pyta Marie, kiedy już udaje im się podnieść ciężki fotel. – Przecież już po ósmej.

– Chciałyśmy odwiedzić Elisabet – mówi Anna i przekręca głowę, żeby zasygnalizować Lizie, żeby nie mówiła nic więcej.

Ale Liza podchodzi do kominka i ogląda zdjęcia.

– To jest Simon, prawda? – Podnosi zdjęcie małego Simona z tatą.

– Tak. – Marie poprawia okulary.

– Jesteśmy podobni – mówi pod nosem Liza.

– Słucham?

Liza się odwraca z fotografią w ręku.

– Są podobni. Simon i jego tata.

Marie stoi przez chwilę i powoli kiwa głową.

– Muszę już jechać. Anno, czy mogłabyś zabrać resztę rzeczy?

– Marie pokazuje na pudełka walające się po podłodze. – A ja pogaszę światła i pozamykam, dobrze?

– Oczywiście. – Anna klęka i zaczyna zbierać porzrzucone opakowania, podczas gdy Marie wychodzi z pokoju.

– A jeśli nie zdążymy jej powiedzieć? – martwi się Liza. – Jeśli umrze, zanim się dowie, że jestem jej wnuczką?

Anna też już o tym pomyślała. Najgorsze w całej tej historii jest to,

że Elisabet czeka na sprawiedliwość od dwudziestu siedmiu lat, a teraz, kiedy cała historia przybiera zupełnie inny zwrot, umiera...

– Musimy za nią trzymać kciuki – mówi Anna cicho i podchodzi do kosza wyrzucić śmieci.

Nad biurkiem wisi mały obrazek. Namalował go Karl-Johan. Przedstawia rysia. Żywego, w przeciwieństwie do tego nieszczęśnika w piwnicy Matsa. Anna wciąż ma przed oczami to wypchane zwierzę. Ból na jego twarzy, wnyki, które wbijają mu się w ciało aż do kości. Myśli też o tym biednym Polaku, który wczoraj przeżywał to samo. Nagle coś jej przychodzi do głowy. W całym tym zamieszaniu związanym z wypadkiem zupełnie zapomniała o świeżej ranie na nodze Joego Rylandera. Taka rana w dolnej części łydki może być spowodowana sidłami.

Na biurku stoi duży telefon z zaznaczonymi numerami. Anna podnosi słuchawkę i naciska przycisk z numerem trzy – to do Matsa. Cztery dzwonki.

– Halo? – odpowiada Mats.

– Tu Anna Vesper. Chciałabym cię zapytać o te twoje sidła, Mats.

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza.

– Zdejmę je. To nie moja wina, że Paweł nie przeczytał tabliczki.

– Nie, nie, chodzi mi o coś innego – tłumaczy Anna zirytowanym głosem, ale kiedy to sobie uświadamia, zmienia ton. – Gdzie porzastaś sidła, Mats?

Znów cisza, którą Mats wykorzystuje na odgadnięcie, o jaką odpowiedź Annie chodzi.

– W lesie, tutaj z tyłu – odpowiada po chwili. – Niedaleko tego miejsca, gdzie był borsuk. Ale postawiłem tabliczkę.

– Gdzie jeszcze?

Znowu cisza.

– Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz... – Mats się ociąga. – Będzie na mnie zła, jak się dowie...

– Kto będzie na ciebie zły? Gdzie jeszcze rozstawiłeś sidła?

Mats przeciągle wzdycha.

– W Vargadalen. – I znów westchnienie.

– W Vargadalen? To tam za Kotorp, prawda?

I nagle w jej mózgu jakby zapaliła się lampka. Potem druga i jeszcze jedna. W końcu wszystko zaczyna się składać w pewną całość.

– To się nazywa Norrblicka – mówi Marie zza drzwi. – Odłóż słuchawkę, Anno.

Głos Marie jest lodowato zimny. W dłoni trzyma czarny pistolet.

Jesień 2017

Anna i Liza siedzą w fotelach, a Marie stoi przed nimi na środku pokoju.

– Należał do mojego dziadka – mówi Marie i okręca pistolet dookoła palca. – W czasie wojny wymienił go za niemieckiego dezertera. Potem ciotka przechowywała go w sejfie. Ale zanim zaczniecie kombinować, musicie wiedzieć, że raz w roku Klein sprawdza, czy strzela, tak na wszelki wypadek... – Lufą zatacza w powietrzu małe kółko. – I teraz właśnie nadszedł czas na ten „wszelki wypadek”, prawda?

Liza przez ostatnią minutę nie odezwała się ani słowem, ale wydaje się, że szok już minął, przynajmniej częściowo.

– Dlaczego...? Co...? – swoje urywane słowa kieruje do Anny.

– Änglaberga – mówi Anna powoli. – Tu nie chodzi o śmierć Simona, tylko o Änglabergę. To dlatego Joe Rylander musiał zginąć, tak?

Marie uśmiecha się krzywo.

– Ojciec Marie, Bengt, i Glarea potrzebują nowych odkrywek, które zastąpią kopalnię w miasteczku – kontynuuje Anna. – Marie nie ma już więcej ziemi, ale w Änglaberdze jest sporo żwiru, kamieni, które wystarczą na długie lata. Nowe miejsca pracy, rozwój, ceny nieruchomości... No i oczywiście sprzedający dostanie dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wreszcie zrealizować marzenie swojego życia...

Marie uśmiecha się coraz szerzej.

– Opinia o tobie rzeczywiście nie jest przesadzona. Zdolna z siebie policjantka. No, powiedz, co jeszcze tutaj odkryłaś? – Znów zatacza kółko pistoletem.

Anna myśli o komórcie, którą ma w kieszeni kurtki. Jeśli odważy się

i wyciągnie rękę, żeby jej dosięgnąć... Zmienia pozycję, żeby mieć lepszy dostęp do kieszeni.

– Przez wiele lat ciężko pracowałaś, by urobić Elisabet. Opowiedziałaś jej o awanturze, kiedy zginął Simon, nie dlatego, że miałaś wyrzuty sumienia... po prostu wykalkulowałaś sobie, że dzięki temu odbudujesz jej zaufanie. Miałaś nadzieję, że z czasem ci wybaczy. Siostrzenica, jedyna, która wskoczyła do wody, żeby ratować Simona, i jedyna, która wzięła za wszystko odpowiedzialność. – Anna milknie, prawą rękę delikatnie przesuwając w kierunku kieszeni kurtki. – Aż tu nagle pojawia się Joe Rylander. Wykorzystuje piosenkę Simona na festynie, żeby was sprowokować, a kiedy niespodziewanie mu się udaje, jest pewien, że macie coś do ukrycia. Zaczyna węszyć, żeby się czegoś dowiedzieć. Najpierw tutaj, w Änglaberdze, a potem w Kotorp.

Marie marszczy brwi i unosi pistolet.

– Mam na myśli Norrblickę, oczywiście – poprawia się Anna, cały czas zbliżając rękę do kieszeni. Palcami wyczuwa telefon. Wie, że musi mówić jak najdłużej. – Ale Joe ma pecha. Wpada przypadkowo w sidła zastawione na innego ssaka i woła o pomoc. – Anna wcale nie jest pewna, że tak właśnie było, wciąż jeszcze brakuje jej kilku fragmentów tej układanki, ale musi mówić. Wsuwa rękę głębiej do kieszeni... – Pech chce, że go tam znajdujesz, pomagasz mu się uwolnić i zabierasz do siebie. A nawet bandażujesz mu ranę. Ale gdzieś głęboko w głowie domyślasz się, kim jest i dlaczego tutaj węszy.

Anna patrzy na Marie, żeby potwierdzić swoją teorię, ale ta nic nie daje po sobie poznać.

– Niestety, Joe nie potrafi utrzymać języka za zębami. Wprawdzie niewiele wie o śmierci Simona, natomiast odkrył inną tajemnicę. – Anna odwraca się do Lizy. – Wyliczył sobie, że Simon Vidje najprawdopodobniej jest twoim ojcem, a to oznacza, że w kolejce po Änglabergę pojawia się jeszcze jedna spadkobierczyni. Ktoś, kto niezależnie od tego, co jest w testamencie, ma prawo do co najmniej połowy majątku.

Anna wyczuwa w kieszeni telefon. Gdyby jej komórka miała przyciski, wszystko byłoby proste. Dwa naciśnięcia na jedynekę i jedno na dwójkę. Ale ze smartfonem sprawa jest o wiele trudniejsza.

– Więc Joe żąda pieniędzy, żeby nie puścić pary z ust, kim jesteś – Anna zwraca się do Lizy. – Niestety, szantażuje nie tę osobę. Bo Marie wszystkie swoje oszczędności utopiła w rodzinnym biznesie i jest zadłużona po uszy. Nie ma pieniędzy, żeby zapłacić Joemu, a jednocześnie nie może pozwolić, żeby wszystko wygadał. Kosztowałoby ją to dużo, dużo więcej, a wtedy lata pracy i wyrzeczeń poszłyby na marne.

– Więc go zabiłaś? – mówi Liza do Marie. Jest przerażona, jakby wciąż jeszcze nie była świadoma powagi sytuacji.

Anna ostrożnie błądzi palcami po telefonie, szuka guzika, żeby go włączyć.

– Joe był głupi – odpowiada nieoczekiwanie Marie. – I teraz, i te dwadzieścia siedem lat temu. Grandził i bruździł. Prowokował siebie i innych, i to tylko dla zabawy. Ale jeśli chcesz znać odpowiedź na swoje pytanie, to powiem ci, że sam się załatwił. – Marie pistoletem wskazuje na Annę. – Ona w większości ma rację. Znalazłam go, jak spacerowałam z psami. Leżał w wykopie w Vargadalen i skomlał jak zwierzę. Pomogłam mu się wydostać z sideł, zabrałam go i opatrzyłam. Kiedy poczuł się lepiej, zaczął mnie szantażować. Żądał pieniędzy za milczenie. Więc zamknęłam go, żeby mieć trochę czasu na zastanowienie się. Niestety, zwiął. – Marie wzrusza ramionami. – Lało jak z cebra, a on był ranny. Chłopcy szybko go wywęszyli i kiedy dochodziłam do miejsca widokowego, puściłam na niego psy. Było ciemno, lał deszcz, więc... nie zauważył krawędzi i... – Marie gwizdże, naśladując spadanie. – Bye, bye, Joe!

Uśmiecha się. W jakiś dziwny sposób czuje się dobrze, opowiadając tę historię. Anna wystarczająco długo trzyma kciuk na przycisku włączanie, żeby telefon zaczął działać, w każdym razie taką ma nadzieję. Teraz musi tylko wykombinować, co zrobić, żeby puścić sygnał bez patrzenia na ekran.

– Chcieliśmy się pozbyć ciała – kontynuuje Marie – a pewnie i tak nikt by po nim nie płakał... Ale, niestety, Joe zrobił nam psikusa i wylądował na drzewie, a tam nie mogliśmy się dostać. Odszukaliśmy jego samochód i przestawiliśmy bliżej miejsca, skąd spadł, żeby upozorować samobójstwo. Jego telefonem też się zajęliśmy... A skoro o tym mowa... – Marie podnosi pistolet, a jej głos jest teraz mocniejszy: – Wyjmijcie telefony, powoli i bez kombinowania.

– Nie mam telefonu – odpowiada Liza. – Zniszczył mi się w wypadku.

Marie kieruje pistolet w stronę Anny, która wciąż trzyma rękę w kieszeni.

– Czy szanowna ekspolicjantka może wyjąć z kieszeni swoją komórkę i rzucić ją tam, w róg pokoju.

Annie nie pozostaje nic innego, jak służyć polecenia. Telefon łąduje na podłodze i zatrzymuje się przy koszu na śmieci.

– A ten wypadek... – odzywa się Liza. – To też ty?

Marie spogląda na nią i kiwa głową.

– Domyśliłam się, kim jesteś, kiedy się tam spotkałyśmy, i wolałam nie ryzykować... Przecież Joe mógł ci wygadać, kto jest twoim prawdziwym ojcem. A ponieważ powiedziałyście, że wybieracie się do kamieniołomu... wystarczyło tylko pojechać za wami. Hamulce i tak były już zniszczone, więc wystarczyło jedynie trochę w nie postukać i załatwione.

Marie milczy i nasłuchuje odgłosów z korytarza. Słyszczy otwieranie drzwi, a potem kroki. Anna uświadamia sobie, że Marie kilka razy użyła słowa my... A więc nie była sama, miała kogoś do pomocy. Kroki się zbliżają...

Tak, to musi być Alex Morell. Alex, który w budowę w Kotorp zainwestował wszystkie swoje oszczędności. I teraz ma ostatnią szansę na odzyskanie chociaż części tego, co stracił. Anna przypomina sobie jego wiadomość. „Nie wiem, kiedy moje życie się skończyło, ale zamierzam je odzyskać. Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało”. Widzi przed oczami duże ciało Alexa na

siedzeniu w saabie Rylandera i Marie, która mówi mu, gdzie ma go przeparkować. Widzi go też, jak leży pod jej samochodem i niszczy układ hamulcowy. Aż nią wstrząsa. Czuje mdłości. Kroki się zbliżają. Ruch klamki.

W drzwiach staje Bruno Sordi.

Ma bladą twarz. Spogląda na Lizę, następnie na Annę, a w końcu na swoją żonę trzymającą pistolet.

– O nie – wzdycha z nieszczęśliwą miną. – I co my teraz zrobimy, kochanie?

– Miałam na to trochę czasu – odpowiada Marie. – Co sądzisz o pożarze, tym razem ze skutkiem śmiertelnym?

Bruno wzdycha i powoli kiwa głową.

– Chyba nie mamy wyboru.

Jesień 2017

Bruno przyjechał minibusem należącym do rodziny Sordich i zaparkował koło samochodu Anny. Dwa owczarki siedzą w bagażniku i nie ruszają się z miejsca, dopóki Marie nie wyda im komendy.

– Wskakujcie – mówi do Anny i Lizy, pokazując pistoletem na bagażnik. – Tyłem do siedzenia i podkurcz nogi, żeby ona też się zmieściła.

Anna robi, co Marie każe. Liza siada między jej nogami, plecami do niej. Anna czuje, jak Liza drży, jak dyszy z bólu, kiedy zgina swoją uszkodzoną rękę.

– Spokojnie – szepcze jej Anna do ucha.

Trudno jest słuchać własnych słów, kiedy widzi owczarki wskakujące z nimi do bagażnika. Są niespokojne, że muszą dzielić z nimi to ciasne miejsce.

– Chłopcy was nie ruszą, jeśli będziecie grzeczne – mówi Marie i zamyka klapę.

Większy owczarek zaczyna warczeć.

Anna zamyka oczy i pochyla głowę do szyi Lizy.

– Spokojnie – szepcze ponownie, tym razem również do siebie.

Marie wskakuje do samochodu i ruszają. Owczarek siedzący bliżej Anny kładzie się niemalże na niej. Anna czuje na nogach jego oddech. Na dworze jest zupełnie ciemno. Deszcz dudni o dach samochodu, a wiatr rzuca samochodem na boki. Anna podnosi głowę, żeby zobaczyć, gdzie są, ale jeden z psów natychmiast zaczyna warczeć. Liza pojękuje cicho. Anna czuje, jak wali jej serce i jak miesza się z biciem jej własnego. Marie skręca w lewo i wjeżdżają na dobrze Annie znaną żwirową ścieżkę. Zwalniają. Po

chwili pojawia się drugi samochód. To Bruno, który jedzie samochodem Anny.

Bruno i Marie parkują samochody przed Taborem i otwierają drzwi kluczem, który wyjęli z kieszeni Anny.

Nikt nie zwraca na nie uwagi. I nie musi, bo gdy tylko któraś z nich się ruszy albo coś powie, psy natychmiast zaczynają warczeć. Ich pyski są na tej samej wysokości co twarze Anny i Lizy. Aż czuć ich oddech.

Po chwili szyby samochodowe zachodzą parą i nie widać ani Marie, ani Bruna. Liza, skulona, nie reaguje, kiedy Anna ostrożnie przyciska lewe kolano do jej boku.

– Nie poddawaj się – szepcze. – Damy radę. Wszystko będzie dobrze.

Bagażnik się otwiera i psy podnoszą głowy.

– Wskakiwać – wydaje komendę Marie.

Owczarki posłusznie wyskakują i siadają przy jej nogach ze wzrokiem wbitym w Annę i Lizę.

Anna spogląda Marie przez ramię i widzi, jak Bruno wyjmuje plandekę z bagażnika jej samochodu. Następnie ostrożnie wyjmuje dwa duże snopy słomy i niesie je do domu. Marie widzi wzrok Anny.

– Podobno płyn łatwopalny i benzyna zostawiają ślady – mówi Marie. – Widziałam w telewizji...

Anna dobrze wie, że Marie ma rację. Benzyna i płyny łatwopalne zostawiają ślady nawet po pożarze, natomiast słoma jest materiałem organicznym i nic po niej nie zostaje...

– No dalej. – Marie wymachuje pistoletem, ale Liza się nie rusza. – Pośpieszcie się, bo inaczej poproszę moich chłopców o pomoc.

Anna daje Lizie delikatnego kuksańca w plecy, żeby się ocknęła. Mozolnie wychodzą z samochodu. Droga była krótka, ale i tak czują sztywność w ciele, poza tym ręka Lizy zsunęła się z temblaka.

Marie znów wymachuje pistoletem.

– Szybko! Do sali kazań.

Anna patrzy na pistolet Marie. Odległość jest tak mała, że może dałaby radę wyrwać jej go z rąk, ale wystarczy jedno spojrzenie na

psy i już wie, że natychmiast by się na nią rzuciły. Myśl, że mogłaby być przez nie pogryziona, jest gorsza od myśli, że Marie ją zastrzeli.

– Szybko, dalej, dalej!

Liza idzie do domu, Anna musi przyśpieszyć kroku, żeby ją dogonić. Za drzwiami wejściowymi Bruno ułożył stos ze słomy.

– Nie musisz tego robić, Bruno – mówi Anna. – Rylander to może i był wypadek, ale podpalenie nas to morderstwo z zimną krwią. Marie jest szal-lona...

– Cicho!

Anna czuje uderzenie w tył głowy, że aż ściska jej szczęki. Zatacza się, ale przed upadkiem chronią ją plecy Lizy. Szybko się odwraca, żeby uniknąć kolejnego ataku.

Marie stoi z pistoletem wycelowanym w Annę. Ma zaciśnięte szczęki, nieprzytomny wzrok, a górną wargę tak odchyłoną, że aż widać jej zęby. Przez krótką chwilę Anna jest przekonana, że Marie zaraz strzeli jej prosto w twarz. Przerażona twarz Bruna tylko to potwierdza.

– Marie – zwraca się do niej Bruno cichym głosem.

Jego żona nie odpowiada. Jej palce zaciśnięte na pistolecie są sine. Część Anny chce zamknąć oczy i odciąć się od strzału i bólu, ale druga nakazuje jej mieć oczy otwarte. Psy przy nogach Marie warczą złowrogo i szczerzą zęby dokładnie tak samo jak ich właścicielka.

– Nie macie cholernego zielonego pojęcia – syczy Marie przez zęby. – Nie macie pojęcia, co to znaczy być za wszystko odpowiedzialnym, zawsze spełniać oczekiwania innych. Wszystkich... – Unosi pistolet kilka centymetrów wyżej. Palec wskazujący trzyma na spuście.

– Kochanie – mówi Bruno, tym razem głośniej. – Przecież nie tak planowaliśmy. A musimy działać zgodnie z planem, prawda?

Marie nieruchomieje na kilka sekund, a potem opuszcza pistolet. Szalony wyraz jej twarzy nieco blednie.

– Nigdy więcej tak o mnie nie mów – zwraca się do Anny. – Nigdy, rozumiesz!?

Anna powoli kiwa głową.

– Wejdźcie na górę – mówi Bruno, a jego głos brzmi tak miękko

i miło, że w całej tej sytuacji wydaje się wręcz groteskowy.

Kiedy są na górze, Marie pokazuje na ścianę z malowidłem.

– Stańcie tam, w rogu.

– Naprawdę myślisz, że ci się uda? – próbuje Anna. – Że policja uwierzy, że dom się zapalił bez powodu?

Marie się uśmiecha.

– Nie jestem policjantką, ale jestem pewna, że ewentualne dochodzenie wykaże, że robotnicy z zagranicy, których zatrudnia ciotka, źle zainstalowali elektrykę, niezgodnie ze szwedzkimi normami. No i od zwarcia spowodowanego ulewą powstał tragiczny w skutkach pożar. – W jej oczach wciąż czai się szaleństwo. – Poza tym dobrze znam osobę, która będzie prowadzić śledztwo...

Anna czuje, że opada jej szczęka, ale zanim zdąży zamknąć usta, Marie zaczyna mówić dalej:

– To ty nic nie wiesz? Naczelnik poprosił Henry'ego, żeby cię zastąpił, dopóki nie znajdą kogoś nowego na twoje miejsce. Jens Friberg okazał się tak samo dużym zawodem jak ty, a więc, jak widzisz, został tylko nasz stary dobry Henry. A przecież znasz jego zdanie na temat Elisabet i tych jej Polaków, którzy zabierają pracę jego ukochanemu Alexandrowi. – Marie znów zaczyna wymachiwać pistoletem. – Ale już wystarczy tego gadania. Z wiadomego powodu nie związę was. Wtedy nawet stary Henry miałby problem z dowodem... Jak się pewnie domyślicie, są dwa wyjścia. Albo możecie wyskoczyć przez okno, albo zginąć w pożarze. To już zależy od was.

Marie zabiera psy i schodzi na dół. Sekundę później słychać głuchy trzask i drzwi się zamykają. Anna podnosi się i podchodzi do schodów. Po drugiej stronie drzwi leżą dwa zapalone stosy słomy. Płomienie mają pół metra wysokości i błyskawicznie zajmują suchą słomę, tworząc kłęby czarnego dymu, który czuć już w sali kazań. Nie mają szansy same się stąd wydostać, a nawet jeśli im się uda, to na dole czeka Marie, Bruno i psy.

Anna biegnie do drugich schodów, które prowadzą do głównego wejścia. Dobrze pamięta dużą kłódkę od zewnętrznej strony, ale

próbuję mimo to. Drzwi ani drgną.

– Anno! – krzyczy Liza, więc Anna wbiega z powrotem do sali kazań.

Płomienie zajęły już poręcz i ściany. W szokująco szybkim tempie liżą suche drewno i docierają na górę. Od dymu Liza zaczyna kaszleć. Anna podbiega szybko do pięknego witrażowego okna, chwytając jedną z toreb Agnes do aparatu i wali nią mocno w szybę. Dziura jest wielkości piłki futbolowej, ale Anna nie przestaje i wali coraz mocniej. W powietrzu fruwa szkło i odpryski drewna, a do środka wpada wiatr i deszcz. Liza bierze kilka głębokich wdechów i jednocześnie słyszy, jak płomienie za nią chciwie pożerają tlen. Anna wychyla się na zewnątrz i patrzy na ścianę budynku. Szuka czegoś, po czym mogłyby się zsunąć na dół. Ale nic nie ma, nawet rynny, jedynie stromy dach i śliskie od deszczu cegły.

– Anno!

Kiedy się odwraca, fala gorąca uderza ją prosto w twarz. Czerwony słup ognia zajął już schody i jest tak wysoki, że za moment dosięgnie belek stropowych. Syk ognia miesza się z trzaskiem płonącego drewna. Od dymu pieką jej oczy i nos.

Anna znów wystawia głowę za okno, wciąga świeże powietrze i próbuje zorientować się, czy mogą skoczyć. Ale przed oczami natychmiast widzi zmasakrowane ciało Joego Rylandera. Tutaj skarpa jest nawet wyżej niż w Glarei. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów, a może nawet więcej. Zdecydowanie za wysoko, żeby przeżyć taki skok.

Syk płomieni przechodzi w dudnienie, a kiedy Anna się odwraca, w pokoju jest zupełnie czarno od dymu. Kaszłąc, próbuje się przedostać w róg pokoju, bliżej malowidła, gdzie siedzi Liza. Udaje jej się przejść może metr, a potem musi się zatrzymać i spróbować na kolanach. Dym gęstnieje i coraz trudniej oddychać. Z oczu tak jej cieknie, że ledwo widzi Lizę. Próbuje na czworakach, potem zaczyna się czołgać. Z tyłu za sobą czuje rosnące ciepło.

– Anno... – Słyszy głos Lizy obok siebie.

Obejmują się ramionami i przyciskają do boazerii. Szkło w oknie

zaczyna pękać od gorąca. Anna nie ma już więcej pomysłów. Jedyne, co teraz mogą zrobić, to schować się w kącie i czekać na nieunikniony koniec. Dym otumania Annę i już sobie wyobraża Agnes, która w wieku szesnastu lat zostanie sierotą...

Budynek trzeszczy, ogień zajął już całą drewnianą konstrukcję dachu, ale dym jest tak gęsty, że ledwo widać płomienie. Anna zaciska oczy, mruga i mocno kaszle. Obie z Lizą wciskają się mocno w kąt pokoju. Nagle Anna czuje jakiś trzask przy prawym ramieniu. To panel po prawej stronie odrywa się i wypada na zewnątrz. Anna jest pewna, że budynek zaraz runie, a jednocześnie nie rozumie, dlaczego odrywa się panel najdalej od ognia. Świeże powietrze rozwiewa dym w pokoju. Jest im łatwiej oddychać i mogą coś zobaczyć. W ścianie pojawia się dziura tak idealnie symetryczna, że to z pewnością jakiś dobrze ukryty otwór. Otwór, który został wykuty w ścianie specjalnie dla zjeżdżalni.

I nagle w tym otworze pojawia się duża głowa. To Mats Andersson.

Olbrzym bez słowa bierze Annę za rękę i ciągnie w swoją stronę. Szarpnięcie jest tak mocne i szybkie, że Anna nie ma czasu na reakcję. Uświadamia sobie, co się dzieje, gdy jest już na zewnątrz i zwisa z ramienia Matsa. Z oczu wciąż jej cieknie, ale dostrzega starą żelazną drabinę opartą o ścianę budynku. Pod drabiną stoi coś małego z nastroszoną sierścią i podniesionym do góry ogonem. Mats kładzie Annę na ziemi obok Milo, ale pies nie patrzy na nią. Jest pochłonięty obserwowaniem drugiej części dziedzińca. Z jego gardła wydobywa się słabe warczenie. Zimno i wilgoć powodują, że Anna natychmiast przytomnieje i zaczyna kasłać. Pokazuje na piętro, że jest tam jeszcze jedna osoba. Ale Mats już jest na drabinie. Zagłąda do środka, a po kilku sekundach bezwładne ciało Lizy zwisa z jego ramienia. Anna podnosi się, strząsa z siebie deszcz i sadzę z twarzy, a potem pomaga Matsowi położyć Lizę na ziemi. Jej twarz jest cała we łzach i sadzy, oczy ma zamknięte, ale po chwili, leżąc na deszczu, zaczyna ruszać powiekami i kasłać. Płomienie ognia przebijają się już przez sufit i syczą wściekle, mieszając się z deszczem.

– J-jak...? – Anna pyta Matsa, ale nie kończy.

– Widziałem, że dzwoniłaś z telefonu ciotki, więc przyszedłem sprawdzić, co się dzieje. Wtedy zobaczyłem was na podwórzu. I Marie z pistoletem dziadka. Widziałem, jak was wsadzili z psami do bagażnika, a przecież ty nie lubisz psów... Usłyszałem, że mówiła coś o Taborze. Że go spali... – Mats pokazuje na otwór nad nimi.
– W nocy wchodziłem tędy do środka i szukałem Simona na obrazie.

Olbrzym czuje się zawstydzony, i Anna rozumie dlaczego. To jego po nocach słyszała w sali kazań. Zakradał się tam po kryjomu. Ale teraz nie miejsce i nie czas, żeby się na niego gniewać.

Milo znów warczy, tym razem głośniej. Przez huk i trzask ognia słychać głosy. Marie i Bruno wciąż są na podwórzu. A więc nie są jeszcze bezpieczne.

– Musimy stąd uciekać – mówi Anna i pomaga Lizie wstać.
– Możesz biec?

Liza kiwa głową.

– Chodźcie – odzywa się Mats.

Idą w kierunku lasu. Anna bierze Lizę za prawą rękę i ciągnie za sobą. Chwiejnym krokiem przemykają między drzewami, potykając się o korzenie i nierówności. Kiedy Anna chce już powiedzieć Matsowi, że musi zwolnić, ponieważ nie są w stanie utrzymać takiego tempa, z Taboru słychać głośnie wołanie.

– Do diabła – mamrocze Mats. – Zobaczyli drabinę. Mogłem ją schować.

Mats macha do Anny i Lizy, żeby się pośpieszyły.

– Szybciej, bo Marie poszczuje nas psami. A mnie to one nie słuchają.

Mats przyśpiesza, a Anna robi, co może, żeby za nim nadążyć. Tyle że Mats to człowiek lasu i zna tam każdy korzeń, każdą nierówność. A ona jeszcze musi pomóc Lizie, która w dodatku ma rękę na temblaku. Po około pięćdziesięciu metrach Anna potyka się, upada jak długa i nie może się podnieść. W ustach ma błoto i czuje, że czoło ociera się o coś twardego.

– Wszystko w porządku? – pyta Liza.

Anna wstaje, dotyka czoła i kiwa głową.

– Musimy iść.

Rozgląda się za Matsem, ale on i Milo znikli im z pola widzenia.

Gdzieś z tyłu słyszą szczekanie psa. Po chwili następnego. Odwracają się i między drzewami dostrzegają światło latarek. Liza chwytą Annę za rękę i zaczynają biec.

Z wolna ich wzrok przyzwyczaja się do ciemności. Annie wydaje się, że poznaje ten mały strumyk, wzdłuż którego kiedyś szły z Agnes. Ma wrażenie, jakby to było całe wieki temu, a przecież od przygody z borsukiem minęło zaledwie kilka tygodni.

Znów słychać szczekanie psów, tym razem głośniejsze. Anna wyobraża sobie, jak te dwa ogromne owczarki pędzą w ich kierunku, metr po metrze, i są coraz bliżej. Próbuje biec jeszcze szybciej, ale ma poobijane ciało i nawdychała się dymu. W ustach czuje smak krwi. Znów słyszy szczekanie, już bardzo blisko. Nie więcej niż sto metrów od nich. Ścieżka jest stroma, a nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

– Zaczekaj! – Liza zostaje w tyle, lecz Anna ciągnie ją pod górę.

W dole, po lewej stronie, znajduje się mała niecka. Na drzewie, niespełna metr od nich, wisi coś, co zupełnie nie pasuje do otoczenia. Anna robi kilka kroków w przód i widzi, że to prostokątna tablica. Litery napisane są ręcznie, tuszem, i są tak duże, że z powodzeniem można je przeczytać w ciemności. Styl okrągły i nieco dziecinny.

„NIEBEZPIECZEŃSTWO! SIDŁA”.

To na pewno Mats ją tam powiesił. Anna przez chwilę się zastanawia, a potem zrywa tablicę i rzuca ją gdzieś w bok.

– Chodź – mówi do Lizy. – Musimy się pośpieszyć.

Obchodzą nieckę i Anna przypomina sobie, że Mats miał nadzieję, że w końcu pojawi się tu wilk. To dlatego na dnie niecki zastawił te okropne sidła. Wilk czy pies, nie ma znaczenia. Jedyne, co teraz musi zrobić, to zwabić tu owczarki. Liza uwalnia się od temblaka i odzyskuje nieco energii, a może to Anna straciła swoją, bo teraz to Liza ją ciągnie.

Nogi robią się coraz cięższe, a smak krwi powoduje mdłości. Anna

ma wrażenie, że zaraz eksplodują jej płuca.

– Chodź, chodź! – Liza ciągnie Annę za sobą, ale nieco zwalniają tempa.

Nie więcej niż pięćdziesiąt metrów dalej znowu słychać szczekanie psów. Między drzewami od czasu do czasu pobłyskuje latarki.

– Nie dam rady – sapie Anna. – Ale ty idź. Idź przed siebie!

Anna robi gest ręką, pokazując na Änglabergę. Dławi się i ma mdłości.

– Nie idę bez ciebie! – odpowiada Liza i ciągnie ją za sobą.

Anna uwalnia się od jej ręki, klęka i zaczyna wymiotować.

– Idź! – powtarza Lizie. – Spróbuję ich zatrzymać.

Rozgląda się za czymś do obrony i znajduje kij. Wprawdzie powinien być dłuższy i grubszy, ale ten musi wystarczyć. Niecka leży gdzieś między nimi za prześladowcami, ale przy odrobinie szczęścia może Annie uda się zwabić tu psy.

Liza nie rusza się z miejsca.

– Uciekaj! – mówi Anna. – Da-am sobie radę.

Annie wystarczy tlenu tylko na te słowa. Puls przeniósł się do gardła, a zawartość żołądka do przełyku. Odwraca się do Lizy tyłem, trzymając kij jak dzidę, i znów wymiotuje.

– Biegnij! – mówi po chwili zza pleców.

Zbliżają się, widzą światło latarek.

Anna słyszy chrzęst liści pod stopami biegnącej Lizy. Między drzewami przemyka szybko czarna sylwetka. Dziesięć metrów dalej jeszcze jedna.

Za daleko, myśli Anna i dostrzega, że oba owczarki ominęły nieckę, zamiast przez nią przebiec. Pierwszy pies zauważył Annę i zwiększył szybkość.

Anna odwraca się, odgarnia z czoła włosy, brud i wodę. Następnie obiema rękami mocno chwyta kij. Puls dudni jej w skroniach, miesza się z szumem wiatru. Dziesięć metrów, pięć...

Już widzi otwartą paszczę, stojące uszy i cielsko, które szykuje się do skoku. Unosi wąty kij i napina ciało, żeby się przygotować na ból.

Nagle Anna słyszy warczenie i szczekanie, przed sobą, tylko z lewej

strony. I nagle między drzewami widzi lecący mały biały pocisk, który trafia w owczarka z taką siłą, że pies pada na ziemię. Warczenie staje się jeszcze donośniejsze, a po chwili zostaje zastąpione odgłosem zaciskających się szczęk. To Milo!

Ten mały terierek wbił się kłami w szyję owczarka i teraz oba psy spadają ze zbocza prosto w nieckę. Owczarek wydaje z siebie dziki skowyt, próbuje się odwrócić, żeby dostać się do Milo, ale terier nie odpuszcza.

Nadbiega drugi pies, lecz nie interesuje się Anną, tylko zbiega ze zbocza, żeby pomóc swojemu towarzyszowi.

– Milo! – krzyczy Anna, ale jest za późno.

Drugi owczarek rzuca się na jej małego terierka. Jedyne, co teraz słychać, to wściekły skowyt. Anna nie ma czasu do namysłu, rzuca się ze zbocza ze swoim marnym kijem. Okłada jednego z psów, a drugiego kopie tak mocno, że czuje to aż w szczękach.

Zwierzę, wyjąć, usuwa się na bok. Anna jest pewna, że go pokonała. Ale owczarek robi kółko i zanim jeszcze Anna zdąży zareagować, gryzie ją w lewe udo.

Dziwne, ale nie czuje bólu. Być może jest tak napompowana adrenaliną, że nie docierają do niej żadne impulsy. Zdąży nawet popatrzeć psu w czarne ślepia i zobaczyć górną szczękę wbijającą się w jej udo. Sama jest zdziwiona, gdy z zimną krwią wali psa czubkiem kija między oczy. Owczarek puszcza jej nogę i wycofuje się na jakiś metr. Ma zakrwawione kły, ale nie wygląda, jakby chciał jeszcze raz ją ugryźć. Koło prawej nogi Anna czuje jakiś ruch. To Milo. Jest w opłakanym stanie, ma naderwane ucho, a jego białe futro jest ubłocone i zakrwawione. Ale jego sierść wciąż jest najeżona, a ślina cieknie mu z pyska. Owczarek, którego Anna skopała, znów się pojawia, tym razem z prawej strony. Zwierzę kuleje i ma rozcięte ucho – to robota Milo. Pies wprawdzie wciąż szczerzy kły i warczy, ale on też niespecjalnie ma ochotę na następny atak. Anna robi krok w stronę tego, który znajduje się najbliżej. Ruch sprawia, że pogryzione udo zaczyna boleć, ale, o dziwo, zwierzę wycofuje się na pewną odległość.

– Dobrze! – mówi Anna do siebie. – Tylko spróbuj, ty wstrętna bestio!

Teraz Anna robi krok w kierunku drugiego psa, z boku słyszy powarkiwania Milo. Rezultat jest taki sam. Owczarek cofa się kilka metrów i patrzy pytająco na swojego kamrata, jakby nie bardzo wiedział, co robić dalej. Wzrok i poranione oko sprawiają, że ten jeszcze niedawno groźny pies wygląda teraz jak kupa nieszczęścia.

– I bardzo dobrze! Tak to się dzieje, jak się zadziera z Vesperami! – mówi Anna do siebie, choć właściwie sama nie wie dlaczego.

Owczarki patrzą na siebie. Milo robi krok do przodu i zaczyna szczekać, a psy wycofują się jeszcze kilka metrów.

Anna odwraca się i spogląda w górę na skałę, szukając drogi odwrotu. Nie mają za dużo czasu. Adrenalina przestaje działać i ból nogi narasta. Nagle ostry strumień światła oświetla nieckę, następnie przenosi się na psy, a potem na Annę, oślepiając ją.

– Dobrze, chłopcy! – woła Marie. – Bierzcie ją!

Na te słowa w psy wstępuje jakby nowa siła. Zaczynają szczekać. Anna musi osłonić oczy od oślepiającego światła, żeby je zobaczyć.

– Bierzcie ją! – krzyczy znów Marie, zbiegając z góry w stronę niecki.

Latarka zaczyna migotać, co jeszcze wzmaga wrażenie grozy. Psy zbliżają się, każdy ze swojej strony. Milo zaczyna szczekać, jednak tym razem owczarki się go nie boją.

Anna widzi, jak Marie biegnie przez nieckę z pistoletem w jednej ręce i latarką w drugiej. Światło przez moment oświetla jej twarz. Maluje się na niej tryumf i ekscytacja. Nagle zza drzew pojawia się jeszcze jedno źródło światła. To pewnie latarka Bruna.

No to koniec, myśli Anna i czuje, że wszystkie jej mięśnie za chwilę się poddadzą.

Marie biegnie z pistoletem wycelowanym prosto w Annę. Światło latarki odbija się w kropkach deszczu i zamienia w białe refleksy.

– Bierzcie ją...! – krzyczy Marie i naraz czuje, że coś chwytą ją za nogę.

To pułapka Matsa, którą zastawił na wilka. Sidła z głośnym

łoskotem wysuwają swoje ostre zębiska i zatrząskują się na stopie Marie. Jej komenda do psów w jednej chwili zamienia się w szaleńczy wrzask. Ciało Marie przebiega do przodu. Łańcuch, do którego przyłączone są sidła, wije się po liściach niczym czarny wąż. Z każdym jej krokiem łańcuch robi się coraz prostszy, aż w końcu napina się do granic wytrzymałości i powala ją na ziemię. Marie leży jak długa, ale wciąż trzyma w rękach pistolet i latarkę.

Kiedy twarzą upada na mokre liście, uświadamia sobie, na czym leży. Wytrzeszcza oczy, jej krzyk zamienia się w wycie, a potem nagle zostaje odcięty, kiedy drugie sidła zaciskają się na jej szyi.

Pistolet wypada jej z ręki, a latarka leży obok i oświetla tę przerażającą scenę, która rozgrywa się zaledwie kilka metrów od Anny. Oczy Marie wciąż są wytrzeszczone, jej ręce i nogi zaczynają drgać, a z tego, co zostało z jej gardła, wydobywa się słabe bulgotanie.

– Marie! – krzyczy Bruno i rzuca się wprost do niecki, ku swojej żonie. – Marie! Kochanie! Nie! Nie!

Pada na kolana i próbuje otworzyć metalowe zębiska, ale mu się nie udaje. Krew zalewa liście i miesza się z deszczem. A Bruno leży na ziemi i raz za razem wykrzykuje imię swojej żony. Kiedy ciało Marie przestaje się konwulsyjnie ruszać, krzyk Bruna przechodzi w dzikie wycie pełne bólu i rozpacz.

Owczarki obwąchują zwłoki Marie i siadają, po obu jej stronach. Po kilku sekundach dołączają do rozpaczliwego wycia Bruna.

Anna chwiejnym krokiem podchodzi do miejsca, gdzie leży pistolet. Podnosi go, oczyszcza z liści i celuje w Bruna.

– To już koniec – mówi do niego.

Jesień 2017

Anna stoi w drzwiach pokoju Elisabet Vidje. Wezgi łóżka jest podniesione, tak żeby mogła wygodnie siedzieć. Na twarzy ma maskę tlenową, która razem z koszulą szpitalną i całą tą aparaturą sprawia, że wygląda na słabą i schorowaną.

– Masz oczy swojego taty. Zauważyłam to już wtedy, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam – mówi Elisabet do Lizy Savic, która siedzi na brzegu łóżka i gładzi ją po ręce. – I dziadka.

Anna czuje, jak napływają jej łzy do oczu, patrzy więc w okno. Na moment spotyka wzrok Brora Kleina. Jego oczy są błyszczące, a na ustach maluje się szczęśliwy uśmiech. Oboje z Anną patrzą przed siebie zawstydzeni, jakby żadne z nich nie chciało pokazać, co czuje. Anna słyszy wibracje komórki w kieszeni, wychodzi na korytarz i odbiera.

To Jens Friberg.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wszystko mamy pod kontrolą. Bruno do wszystkiego się przyznał, więc nie ma tu już żadnych znaków zapytania. Bengt Andersson wynajął dla niego najlepszego adwokata, ale to i tak nie zwróci Marie życia.

– A Tabor?

– Strażakom udało się uratować piwnicę i mury domu. Deszcz też zrobił swoje, musi jednak minąć trochę czasu, zanim będzie można w nim zamieszkać.

– Okej. – Anna myśli o swoich rzeczach. O szlafroku, o albumie ze zdjęciami, o pudełku z pamiątkami z czasów, gdy Agnes była mała. O tych jedyńskich śladach po wspólnym życiu jej, Håkana i ich córki.

– Wszystko w porządku? – Friberg jest szczerze zaniepokojony.

Anna myśli o Agnes. Potem o Lizie Savic i Elisabet Vidje. Jeszcze

kilka dni temu utrata domu i wszystkiego, co w nim było, zwałaby ją z nóg. Byłaby ciosem, po którym być może by się już nie podniosła.

– To tylko rzeczy – odpowiada Anna. I naprawdę tak myśli.

– To co teraz? – pyta Friberg.

– Nie wiem. Agnes wypisują jutro. Przez kilka dni zatrzymamy się w hotelu, a potem zobaczymy. A co z tobą?

– Ja też nie wiem – odpowiada Friberg. – Mam jeszcze coś do załatwienia, więc pewnie trochę tu zostanę. A przy okazji trafił mi się przyspieszony trening śledczy z dobrym nauczycielem.

Przez krótką chwilę Annie wydaje się, że widzi, jak Friberg znacząco się uśmiecha.

– Odezwij się od czasu do czasu – mówi Anna.

– Ty też.

W słuchawce na chwilę zapada cisza.

– Trzymaj się, Jens – mówi Anna.

– Ty też, Anno.

Anna zostawia rodzinę Vidje, żeby mogli sobie spokojnie porozmawiać, a sama idzie kupić coś do picia. Rana po szyciu uda ciągnie i sprawia, że porusza się bardzo wolno. Nagłówki w gazecie krzyczą o „Morderstwie w Nedanås”, co pewnie jest równie trudne dla Bengta jak strata córki, myśli Anna z pewną złościwością. Kupuje colę i pije przy wejściu. Przestało padać, ale wciąż wieje zimny wiatr. Anna marznie, wchodzi więc do środka.

Elisabet Vidje siedzi oparta o łóżko i ma zamknięte oczy. W fotelu drzemie Klein. Wciąż ma kamienną twarz i po raz pierwszy, odkąd się spotkali, wygląda na tyle lat, ile faktycznie ma.

– Ten stary wariat nie spał od kilku dni – mówi Elisabet cicho. – Nie chce jechać do domu, mimo iż potrzebuje swoich lekarstw.

– Mogę je przywieźć, jeśli chcesz – proponuje Anna. – I tak muszę jechać do Änglabergi i zabrać Milo od Matsa. Obiecałam Agnes, że go dzisiaj przywiozę na noc. Może pielęgniarki na nocnej zmianie

przymkną oko.

Poza tym Anna chce zajrzeć do Matsa. Uratował przecież ją i Lizę, i Anna chce się upewnić, że wszystko z nim w porządku.

– Świetnie! – Głos Elisabet brzmi niezwykle życzliwie. – Klucze są w kieszeni jego płaszcza. – Elisabet pokazuje na płaszcze Kleina wiszący na drzwiach. – Lekarstwa trzyma w szafce w łazience.

Anna już chce powiedzieć, że wie, ale w ostatniej chwili gryzie się w język. Już teraz jest pewna. Elisabet i Klein są parą, i to od wielu lat. Ale to ich sprawa i nikomu nic do tego.

– Jeśli byś jeszcze mogła przywieźć z Änglabergi kilka albumów ze zdjęciami, to byłabym ci wdzięczna. Są w salonie. Chcę Lizie pokazać jej tatę. Klucz jest razem z kluczami Kleina.

– Nie ma problemu.

Anna skręca w aleję prowadzącą do Änglabergi. Friberg załatwił jej samochód służbowy, bo jej wypożyczony jest na przeglądzie technicznym. Anna zastanawia się, gdzie pójść najpierw. Do Matsa czy do domu Kleina. Wybiera to drugie.

Jego dom jest ciemny, oświetla go jedynie jedna lampa wisząca na ścianie budynku. Duży pęk ma około dziesięciu różnych kluczy i mija dobra chwila, zanim Anna znajdzie właściwy. Wieczorem pokoje sprawiają wrażenie jeszcze bardziej smutnych i opuszczonych, szczególnie teraz, kiedy nikt tu nie mieszka.

Anna wyjmuje z szafki lekarstwa i przy okazji idzie jeszcze raz obejrzeć sypialnię. Wszystko wygląda dokładnie tak jak poprzednio. Tak samo starannie zasłane łóżko, ta sama książka, to samo zdjęcie na stoliku nocnym.

Zaczyna dzwonić telefon Anny. Tym razem to jej adwokat.

– Przed chwilą zadzwonił Santesson. Dostał już próbki DNA – mówi.

– No i... – Anna czuje, jak zaczyna jej walić serce.

– To DNA Håkana – odpowiada adwokat. – Ale ty już wcześniej o tym wiedziałaś, prawda, Anno?

Anna nie odpowiada.

– Santesson twierdzi, że to niemożliwe, by Håkan zdołał się

dowiedzieć, jak działa pompa infuzyjna, poza tym nie mógłby dosięgnąć do przycisków... – Adwokat milknie w oczekiwaniu na reakcję Anny, ale słyszy tylko ciszę w słuchawce. – Sugeruje, że ktoś mu musiał w tym pomóc.

Anna milczy.

– Ktoś musiał mu wytłumaczyć, które przyciski są od czego, i przysunąć pompę bliżej łóżka. A ponieważ pomoc w samobójstwie nie jest karalna, to sprawa zostaje umorzona.

Anna czuje ulgę rozlewającą się po całym ciele i słyszy w słuchawce oddech adwokata. Milczenie profesjonalisty walczy ze zwyczajną ludzką ciekawością.

– Zrobiłaś to? – pyta w końcu. – Pomogłaś Håkanowi odebrać sobie życie?

Anna zostawia go bez odpowiedzi i odkłada słuchawkę.

Uświadamia sobie, że stoi przed drzwiami do piwnicy Kleina. Powinna już stąd wyjść, zostawić dom w spokoju. Ale tak jak u jej adwokata chwilę temu ciekawość zwycięża.

Zamek oraz drzwi są stare i solidne. Anna szybko znajduje właściwy klucz. Kiedy otwiera drzwi, widzi schody prowadzące na dół. Jest zupełnie ciemno, więc upływa kilka sekund, zanim znajdzie przycisk światła. Zniszczona wykładzina na schodach wskazuje na to, że schody są często używane. Na dole znajdują się następne drzwi, które prowadzą do pachnącej stęchlizną pralni, a naprzeciw nich jeszcze jedno, nowsze, ze stali. Anna je otwiera i ręką szuka włącznika światła.

Postanawia tam zajrzeć. Pokój jest ciemny, ale nie pachnie wilgocią ani piwnicą. Jest tu dużo przyjemniej. Kiedy zapala światło, widzi, że wszystkie ściany zabudowane są regałami na książki. Na podłodze leżą grube dywany, a w rogu pokoju stoją dwa wyściełane uszaki, każdy ze swoją lampą. Anna wyobraża sobie Kleina i Elisabet siedzących w fotelach i czytających, ale dziwi ją, że wybrali tak odległe i schowane miejsce spotkań, kiedy cała Änglaberga jest o rzut kamieniem. Czy naprawdę tak bardzo bali się, że zostaną zdemaskowani?

Prawie na wszystkich półkach stoją książki, natomiast na trzech najbliższych dostrzega zdjęcia. Na pierwszej półce znajdują się tylko fotografie Simona. Simon jako niemowlę, jako mały chłopiec o lnianych włosach, jego pierwszy dzień w szkole ze zdecydowanie za dużym tornistrem na plecach. Na kolejnych zdjęciach Simon prawie zawsze trzyma w ręku jakiś instrument, a to gitarę, a to flet czy trąbkę. Potem są zdjęcia z jego spalonego studia nagrań. I w końcu zdjęcie, na którym Simon stoi przy pięknym czerwonym samochodzie sportowym w czapce maturalnej na głowie i z wieńcem kwiatów na szyi. Anna domyśla się, że to letni samochód Karla-Johana, którego zwęglone szczątki wciąż stoją w Taborze.

Następna półka pełna jest zdjęć rodziny Vidje. Fotografie z pikniku, które Anna widziała już wcześniej, z plaży, zdjęcia z atelier Karla-Johana w Taborze z małym Simonem wysmarowanym farbą czy zdjęcia na zjeździe. Są tam też fotografie Elisabet i Simona siedzących przy fortepianie. Ostatnie zdjęcie podobne jest do pierwszego. Simon w czapce maturalnej przy samochodzie, jednak tym razem otoczony rodzicami. Blond czupryna Karla-Johana unosi się lekko na wietrze i nawet jeśli Elisabet ma nieco poważniejszy wyraz twarzy niż jej mąż, to wyraźnie widać, jak są dumni z syna.

Na trzeciej półce stoją zdjęcia Elisabet i Karla-Johana razem. Pierwsze to ich fotografia ślubna, ale jest też wiele innych zrobionych mniej więcej w tym samym czasie. Na jednym zdjęciu Kleina nie ma, co jeszcze wzmacnia podejrzenia Anny, że to on był fotografem. Ostatnie zdjęcia są czarno-białe i przedstawiają młodego, dwudziestopięcioletniego Karla-Jo, siedzącego w parku na oparciu ławki i pochylającego się do przodu. Jego spojrzenie skierowane wprost na aparat jest tak intensywne, że aż je czuć. Anna robi krok do tyłu i przygląda się regałom. Jest w tym wszystkim jakiś głęboki smutek. Deszczowa noc, jeden nieuważny krok na skale, a szczęście i miłość, które promieniają prawie ze wszystkich zdjęć, zamieniają się w niewyobraźną tragedię.

Anna mija regały i odkrywa, że na jednym z nich jest taki sam gramofon, jaki miał jej dziadek. Na gramofonie leży płyta winylowa.

Nie jest zakurzona, co świadczy o tym, że Klein często jej słucha. Anna sprawdza tytuł. Edith Piaf, *Les feuilles mortes*.

W dalszej części pokoju Anna spostrzega jeszcze jedne małe drzwi, nad którymi wisi portret młodego mężczyzny. Może to nie jego charakterystyczny styl, ale nietrudno odgadnąć, że to dzieło Karla-Jo. Młody mężczyzna leży w łóżku na brzuchu i jest do połowy nagi. Spod jego ciała dyskretnie wystaje kawałek prześcieradła. Z tyłu za nim znajdują się na wpół otwarte drzwi do altany. Sądząc po drzwiach i świetle dochodzącym z zewnątrz, domyślić się można, że portret nie był malowany w Szwecji. Annie bardziej wygląda na południe Europy, może Francję.

Mężczyzna na łóżku ma twarz delikatnie zwróconą na obserwatora. Grzywka łagodnie opada mu na czoło, a na twarzy maluje się szczęśliwy uśmiech. Po kilku sekundach Anna uświadamia sobie, że gdzieś już widziała ten obraz. Podchodzi bliżej, żeby dokładniej go obejrzeć, i nie ma już najmniejszych wątpliwości. Ten młody mężczyzna to Bror Klein.

Anna stoi w ciszy i zastanawia się nad znaczeniem tego, co widzi. Obraz jest natarczywy, intymna chwila między dwiema osobami, której nie chcą dzielić z nikim innym.

Po chwili Anna ostrożnie otwiera drzwi pod portretem i wchodzi do małego schowka, w którym na regale leży gitara i magnetofon kasetowy. Obok, w rogu, tam, gdzie nie dociera światło, znajduje się coś jeszcze. Mija chwila, po której Anna już wie, na co patrzy. To pomarańczowy crescent.

Rower Simona.

Jesień 2017

Anna wciąż stoi w drzwiach i nie bardzo wie, co o tym myśleć. Zwalcza w sobie nieodpartą ochotę, żeby dotknąć tego, co widzi, ale odchodzi i siada w fotelu. Co to wszystko znaczy?

Dlaczego Bror Klein ma rzeczy Simona, i to schowane w najdalszym kącie domu, gdzieś w piwnicy? Rzeczy, które dwadzieścia siedem lat temu uznane zostały za zaginione lub zniszczone w pożarze? I skąd ten portret pióra Karla-Jo przedstawiający młodego, półnagiego Kleina leżącego na łóżku? Anna rozsiada się wygodnie w fotelu. Ma stąd widok na wszystkie zdjęcia. Trzy życia, a właściwie cztery, ukryte przed światem, jak te rzeczy w schowku.

Na fotelu obok leży zniszczona skórzana teczka, której Anna wcześniej nie zauważyła. Znajduje się w niej tylko jedna kartka, list napisany pięknym, starannym stylem. Napisany jest ołówkiem i widać, że wiele razy był poprawiany. Annie od razu przychodzi do głowy malowidło w Taborze.

Droga Elisabet.

*Zrobiłem coś strasznego, coś nie do wybaczenia.
Ale zrobiłem to z miłości.*

Kiedy Anna czyta dalej, czuje, jak pokój wiruje jej przed oczami. Natychmiast zaczyna rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Zdjęcia, fotele, rzeczy w schowku. Wszystko, co przez ostatnie tygodnie widziała i słyszała, nabiera teraz zupełnie nowego znaczenia.

Deszcz.

Na zakręcie wymijałem samochód i wpadłem do rowu... Ludzie jeżdżą jak wariaci.

Rower.

Karl-Johan zawsze był bardzo wrażliwy.

Jeleń.

To nie moja wina. Nie moja wina.

Samochód letni.

Mój mały chłopiec...

Pożar.

Zrobiłem coś strasznego...

Anna ponownie czyta cały list i musi bardzo się wysilić, by nie trzęsły jej się ręce.

Jak wiesz, droga Elisabet, urodziłem się inny. Jedyłą osobą, która mnie rozumiała, byłaś Ty. Tobie jednej mogłem się zwierzyć i opowiedzieć o swoich słabościach, o tym, co mnie boli. To dzięki Tobie spotkałem miłość, na którą już straciłem nadzieję.

Tak samo jak Ty kochałem Karla-Johana z całego serca. Mogłaś mnie za to zniechęcić. Ale tego nie zrobiłaś. Wykazałaś zrozumienie. I za to jestem Ci dożywotnie wdzięczny.

Wszyscy troje byliśmy dla Simona rodzicami. Kiedy miał trzynaście lat, zapytał nas o to prosto z mostu, pamiętasz? Karl-Johan wytłumaczył mu, że wszyscy troje się kochamy, ale w trochę inny sposób. I żeby nikomu o tym nie mówił, bo pewnie nie wszyscy to rozumieją. Ale Simon rozumiał. To był wspaniały chłopiec.

Latem 1990 roku zauważyłem, że coś jest nie tak, jak być powinno. Karl-Johan przestał czytać i musiało upłynąć trochę czasu, zanim zorientowałem się, że ma problem ze wzrokiem. Kiedy go o to zapytałem, wściekł się, wszystkiemu zaprzeczył i zabronił mi o tym mówić. Zawsze był czuły i kochający, ale wtedy zrobił się wręcz odpychający. Zamknął się w atelier i opuszczał je tylko wtedy, kiedy wybierał się na te swoje przejażdżki samochodem letnim. Jeździł jak

wariat po tych wąskich drogach. Na maksymalnym gazie, ryzykując, jakby sam się prosił o nieszczęście.

I tak pewnego razu przyszedł do mnie w środku nocy spanikowany. Powiedział, że przejechał jelenia przy kamieniołomie i że może ten jeszcze żyje. Błagał mnie, żebym to sprawdził.

Kiedy tylko zobaczyłem powyginany rower, natychmiast zrozumiałem, co, a raczej kogo przejechał Karl-Johan...

Siedziałem tam w deszczu z głową Simona na moich kolanach i gładziłem go po policzku. Mówiłem mu, jak bardzo go kocham, jak wszyscy go bardzo kochamy.

A potem zrobiłem to, co trzeba było zrobić. Zaniósłem Simona z powrotem do kamieniołomu i włożyłem go do wody, żeby tam spoczął.

Była to najtrudniejsza rzecz, jaką dotychczas zrobiłem, ale zrobiłem to z miłości. Do Karla-Johana, do Simona i do Ciebie. Z miłości do tego, co wszyscy wspólnie dzieliliśmy i co tak nagle zostało nam zabrane.

Potem odwoziłem Karla-Johana do domu i położyłem do łóżka. Zapewniłem go, że to był jeleni i że nie cierpiał. Ukryłem jego samochód w garażu, ale dość szybko doszedłem do wniosku, że trudno będzie go oddać do naprawy bez żadnych podejrzeń. Więc następnego nocy podpaliłem garaż, samochód i studio. Zachowałem sobie tylko ulubioną gitarę Simona i taśmę magnetofonową z jego pięknym głosem. No i jego rower. Po prostu nie mogłem się go pozbyć.

Jestem tylko człowiekiem. Człowiekiem, który dla miłości gotowy był poświęcić wszystko.

Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał przysporzyć Ci cierpienia moją tajemnicą. Ale kiedy tylko poznałem Annę Vesper, wiedziałem, że ten moment musi nadejść.

Oto moja spowiedź, droga Elisabet.

Mój uczynek.

Moja jesienna zbrodnia.

Jesień 2017

Po raz drugi tego wieczoru Anna stoi w drzwiach do pokoju Elisabet Vidje. Milo siedzi u stóp Elisabet i tak jak Anna spogląda na te trzy osoby, które są z nią w pokoju. Liza wróciła i siedzi na brzegu łóżka, podczas gdy Elisabet przegląda zdjęcia w albumie, który Anna jej przed chwilą przywiozła.

– Zobacz, tutaj twój tata, kiedy dostał swoją pierwszą gitarę – mówi Elisabet do swojej wnuczki. – Widzisz, jaki jest szczęśliwy? Karl-Johan kupił mu ją w Kopenhadze. Ty też wtedy z nim byłeś, prawda Bror?

Klein, który stoi w drugim końcu łóżka, kiwa głową. Pod tym jego uśmiechem, przez krótki moment, można zobaczyć tego pięknego, młodego mężczyznę z portretu.

– Dziękuję za album, Anno! – mówi Elisabet. Jej głos jest przyjazny, a wyraz twarzy zupełnie inny niż zwykle. – Przywiozłaś lekarstwa Brora?

– Oczywiście – odpowiada Anna i odwraca się do Kleina. – Włożyłam je do kieszeni twojego płaszcza, razem z kluczami.

– Dziękuję – mruczy pod nosem Klein, ale jego uśmiech tężeje.

Elisabet cały czas przegląda album i co rusz pokazuje nowe zdjęcia zachwyconej Lizie. Ale Klein patrzy tylko jednym okiem. Drugim obserwuje Annę, czeka, aż ona coś zrobi albo powie.

– Bror i ja jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobiłaś, Anno – mówi Elisabet.

Anna kiwa głową i nie bardzo wie, co ma odpowiedzieć. Spojrzenie Kleina pali ją w twarz i trudno jej utrzymać maskę.

– Ostatnie pytanie, zanim pójdziesz? – Elisabet poprawia się na łóżku.

– Tak, słucham.

– Kamieniołom. Jak sądzisz, co się właściwie stało tamtego wieczoru?

Część Anny czekała właśnie na to pytanie. Bo nie tak dawno temu obiecała Elisabet Vidje dowiedzieć się prawdy o Simonie. Teraz tę prawdę zna, w najmniejszym, najokropniejszym i najtragiczniejszym szczególe. Ale ile z tego ma jej powiedzieć? Anna spogląda na Kleina.

Dwadzieścia siedem lat temu Klein podjął decyzję, której konsekwencji nie mógł przewidzieć. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wtedy powiedział prawdę?

Simonowi życia by tym nie przywrócił, a jego przyjaciół sumienie gryłoby tak samo jak teraz. Może nawet jeszcze bardziej. Bo mimo wszystko to przez nich sponiewierany i upokorzony Simon wsiał na rower i w deszczu oraz ciemnościach pojechał do domu.

Wprawdzie Elisabet Vidje uniknęłyby prawie trzydziestu lat rozgoryczenia, ale czy wolałyby prawdę? A tata Simona, dla którego nie do pomyślenia było zabicie zwierzęcia, miałby żyć ze świadomością, że zabił własnego syna? Może mimo wszystko Karl-Jo to podejrzewał? Czy dlatego ciało Simona na malowidle niby leży w wodzie, a jednak nie leży, w zależności od tego, co się chce zobaczyć?

Z prawnego punktu widzenia na cokolwiek jest już za późno. Wszystkie przestępstwa uległy przedawnieniu i nikt nie może już być pociągnięty do odpowiedzialności. W każdym razie nie w sądzie.

Niezależnie od tego, z której strony się na to spojrzy, śmierć Simona Vidje jest niewyobrażalną tragedią, która, jeśli wyszłaby na jaw, prześladowałaby wszystkich mieszkańców do końca życia.

Właśnie o tym jest list Brora Kleina. A właściwie jego spowiedź.

Podejrzenia Anny się potwierdzają, kiedy Klein oblizuje sobie usta i odchrząkuje. Ale ani Liza, ani Elisabet nie mają okazji tego zauważyć, pochłonięte oglądaniem zdjęć w albumie. Pytanie Elisabet wciąż wisi w powietrzu.

Klein otwiera usta i nabiera powietrza. Jego kamienna twarz ustępuje miejsca niewyobrażalnemu smutkowi. Jego wargi już

zaczynają formułować pierwsze sylaby spowiedzi.

– To był wypadek – odpowiada Anna, nie spuszczać wzroku z Kleina. – Wszystko wskazuje na to, że śmierć Simona to był tragiczny wypadek.

Elisabet powoli i smutno kiwa głową, odwraca się do Lizy i pokazuje jej kolejne zdjęcia w albumie, a ich głosy stapiają się w szmer. Klein i Anna patrzą na siebie. Przez kilka sekund ten starszy mężczyzna czuje się zbity z tropu, niemalże zszokowany. Jednak powoli odzyskuje kontrolę nad mięśniami twarzy. Jego twarz, napinając mięsień za mięśniem, znów przybiera swój kamienny wyraz. Klein przechodzi do wezgięcia łóżka i delikatnie kładzie dłoń na ramieniu Elisabet, a potem drugą na ramieniu Lizy.

Kiedy Anna chce już wyjść, widzi, że Klein znów na nią patrzy. Jego wargi wykonują nieznaczny ruch. Nie słycać żadnego dźwięku, a mimo to Anna jest pewna, jakie wymawia słowo.

Dziękuję.

Ciężkim krokiem Anna idzie szpitalnym korytarzem, a Milo kuśtyka przy jej nodze.

– Nie jesteśmy w najlepszej formie ani ty, ani ja, prawda? – mówi Anna do Milo.

A on, w bardzo zabawny sposób, wychyla język i przekrzywia łeb z zabandażowanym uchem, jakby chciał jej powiedzieć, że tak czy owak czuje się lepiej niż ona.

– Głupie psisko – mruczy Anna pod nosem. – Teraz musimy już znaleźć Agnes, co ty na to?

Deszcz i wiatr targają o szybę ostatnimi opadającymi liśćmi. To już nie chrzęst ostrza przecinającego jej serce, tylko szelest kruchych jesiennych liści, które uderzają o szybę i znikają w niebycie.

„Ostatni, przedzimowy taniec”, powiedziałby Håkan.

Anna tęskni za nim. Zawsze będzie za nim tęsknić. A jednak w jakiś nieoczekiwany sposób nie czuje już smutku. Tak jakby coś zrzuciło z niej ciężar, zniknęło razem z jesiennymi liśćmi i zostało zastąpione

czymś innym.

– Wszystko będzie dobrze – mówi sama do siebie, po czym otwiera drzwi do pokoju Agnes i widzi rozświetloną twarz swojej córki.

Wszystko będzie dobrze.